PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY. — TOM CXVII.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1913.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1913.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Coroczny dzień Skargi. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*—4*
Nowe drogi w wykształceniu przemysłowem. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	1 203
Najnowsze teorye estetyczne. Przez *dr. Witolda Rubczyńskiego*	20
Z twórczości Roberta Hichensa. Przez *Teresę Wodzicką*.	45 226
Poezye. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską, T. Lwicza i Z. Ulaszynównę*	64
Z okazyi dzieła ks. S. Okoniewskiego. Przez *ks. Romualda Koppensa T. J.*	71
Fakt powszechności religii w świetle pewności samorzutnej. Przez *ks. Brunona Wolnika T. J.* .	101 248
Emigracya ludu i program ochronny. Przez *Henryka Wielowieyskiego*	175
W przeznaczeń godzinie. (Wiersz.) Przez *Krystynę Saryusz Zaleską*	189
Kwestya szkolna na ostatnim zjeździe katolików niemieckich. Przez *Stanisława Podoleńskiego T. J.*.	192
Sztuki techniczne a sztuki odtwórcze podług Lippsa. Przez *dr. Witolda Rubczyńskiego*.	217
Obrona narodowej pracy. Przez *dr. Leopolda Caro* .	337
Szkolnictwo przemysłowe i szkoły św. Łukasza w Belgii. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*.	352
Religijny moment w belletrystyce naszej. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską*	373
Estetyka Witaska. Przez *dr. Witolda Rubczyńskiego*	396
Z cyklu „Opowieści Chrystusowe“. Niewiasta Chananejska. Przez *M. Český*	419
Rok 1496 w życiu Stwosza. Przez *Ludwika Stasiaka*	427

Strona

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Piotr Skarga w dziejach i literaturze Unii brzeskiej. Józef Tretiak. *(Ks. J. Urban T. J.)* 118

Okruchy przeszłości. Aleksander Kraushar. *(Józef Płaza)* 120

Wspomnienia artysty. Wojciech Kossak. *(Stanisław Sołtys Kozaryn)* . 126

Zygmuntowi Krasińskiemu — nauczycielе szkół średnich. (Księga pamiątkowa ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Z. Krasińskiego.) *(Tadeusz Sinko)* 270

Gloria victis. (1863). E. Orzeszkowej. *(Stanisław Sołtys Kozaryn)* . . 436

Babilon. Wacław Gąsiorowski. (Wiesław Sclavus). *(Helena Skolimowska)* . 442

Życie św. Alfonsa Maryi Liguorego, Doktora Kościoła. Skreślił O. Bernard Łubieński, kapłan ze Zgrom. OO. Redemptorystów. *(Ks. St. B.)* 443

Obrona religii katolickiej. Tom I. Jak wielkim skarbem jest religia katolicka i dlaczego ma dzisiaj tylu przeciwników? Napisał ks. Biskup Pelczar. — Tom II. Czy i jaki jest Bóg? Napisał ks. dr. K. Wais, prof. uniw. lwowskiego. *(Ks. St. B.)* 445

Z piśmiennictw obcych.

Essai sur la Foi dans le catholicisme et dans le protestantisme. Abbé Snell. *(Ks. B. Wolnik T. J.)* 132

Geschichte der Jesuiten in Portugal unter der Staatsverwaltung des Marquis von Pombal. Aus Handschriften herausgegeben von Christoph Gottlieb von Murr. Neue verbesserte Ausgabe von J. B. Kafkemeyer S. I. *(Jan Sygański T. J.)* 133

Adam Mickiewicz. Życie i twórczość. A. L. Pogodin. *(Antoni Mazanowski)* 294

Die Ethik des heiligen Augustinus. Von Joseph Mausbach, Doktor der Theologie und Professor an der Westfälischen Wilhelms-Uniwersität in Münster. Erster Band: Die sittliche Ordnung und ihre Grundlagen. Zweiter Band: Die sittliche Befähigung des Menschen und ihre Verwirklichung. *(Dr. Wojciech Marceli Gielecki)* 446

Ze świata autobiografii. Autobiographie de H. M. Stanley, publice par ta femmy Dorothy Stanley. — Jean Fabre. *(Z. P.)* 453

Zapiski bibliograficzne.

Sprawa reformy elekcyi za panowania Zygmunta III. Ku czci X. Piotra Skargi w 300-letnią rocznicę zgonu. A. Szelągowski. *(K. K.)* . . 136

»Moje wspomnienia z powstania 1863-1864 r.« Napisał Dr. Roman Dallmajer, szeregowiec 1-ej roty pułku Żuawów. *(Kaź. Girz.)* 136

Biskupa Stanisława Karnkowskiego: Zbiór Konstytucyi Synodalnych. Ks. Dr. A. Kakowski. *(K. K.)* 137

Studya współczesnej dyplomacyi. Przygotowania do Sadowy. Napisał Julian Klaczko. Tłumaczył Karol Scipio. Przedmowa St. Tarnowskiego. *(A. Z.)* 137

Wspomnienia z Królestwa polskiego i Litwy. Ks. Dr. Jan Górka *(A. Z.)* 137

Książę Józef Poniatowski 1763—1813. Szymon Askenazy. Wydanie skrócone przez W. St. *(A. Z.)* 138

Księga pamiątkowa drugiego kongresu maryańskiego polskiego i zarazem wiecu katolickich stowarzyszeń polskich, odbytego w Przemyślu w dniach 26, 27 i 28 sierpnia 1911 r. *(P.)* 138

Wzrost i upadek Polski. Rzut oka na główne momenta jej dziejów. Przez autora »Zarysów stanu moralnego naszego społeczeństwa«. *(A. Z.)* 138

Strona

Wojna na Litwie w roku 1831 przez N. Z. *(X.)* 306
Rok 1863. W pięćdziesiątą rocznicę. I. Grabiec. *(P.)* 306
Walka z alkoholizmem. *(Kn.)* 307
Pamiętniki ks. Zygmunta Felińskiego arcybiskupa warszawskiego. *(J. U.)* 307
Geschichte der Kongregation der Franziskanerinnen von der Busse und der christlichen Liebe. Von Maria Paula Münster *(V. S.)* . 307
Der junge Priester. Von Herbert Kardinal Vaughan. *(B.)* 308
Leben und Lehre Jesu Christi. Betrachtungen für alle Tage des Jahres von Nikolaus Avancini. *(B.)* 308
Predigten von Alban Stolz. *(Sz)*. 309
P. Martin von Cochem 1632—1712. Sein Leben und Seine Schriften nach Quellen dargestellt von P. I. Schulte O. M. Cap. *(Z.)* 308
Aszetische Bibliothek: Trost und Ermutigung im geistlichen Leben von L. Blosius O. S. B. Bearbeitet von P. Pl. Friedrich O. S. B. *(T.)* . 308
Führer durch die deutsche katholische Missionslitteratur. Von Robert Streit O. M. I. *(V. S.)* 308
Sancti Benedicti Regula Monachorum. Editionem critico-practicam adornavit Dr. Guthbertus Butler O. S. B. *(T.)* 308
Monumenta Ecclesiastica Petropolitana. Dr. Michał Godlewski. *(J. U.)* 309
Die Gnadensonne des xx. Jahrhunderts. Geistliche Erwägungen zur Förderung der Herz-Jesu-Andacht von Martin Hagen S. J. *(T.)* 309
Jak my pracujemy? Szkic z życia naszego przemysłu. Żuraw. *(Z)* 458
Spółki pieniężne. Jan Purwin. *(Z.)* 459
Zdradne sieci. Przestroga dla dziewcząt. Iza Moszczeńska. *(Zet.)* . . . 459
Jaką młoda dziewczyna być powinna. Nixon Waterman. Przełożyła E. Węsławska. *(B.)* 459
Dobre dzieła. I. Szynwałd. Napisał Józef Nekanda Trepka. *(R. K.)* . . . 460
Irydion. Z. Krasińskiego. Dramat w 9-ciu odsłonach z prologiem i eksodosem wystawia na scenie (sic!) Bernard Feller. *(bn.)* 461
Polska pieśń miłosna. Jan Lorentowicz. *(bn.)* 461
Duszom w odlocie. Poezye. Władysław Zalewski. *(bn.)* 462
Skarga. Jadwiga Podhorska. Część II. *(bn.)* 462
Łzy-Perły. Poezye. Marya Paruszewska. Tom II. *(bn.)* 462
Przez złocisty gaj. Ks. Ewaryst Nawrowski. Nowe poezye. *(bn.)* 462
Hołd miłości u stóp Chrystusa. Dziecko Maryi. *(bn.)* 462
Aniołom dźwięku. Bronisława Ostrowska. — Helvetia. Marya Poraska. *(bn.)* 463
Poezye. Matylda Piotrowska. *(bn.)* 463
Imagina. Marya Konopnicka. *(bn.)* 463
Ethica socialis seu sociologia. Auctore Dr. Josepho Kachnik. C. R. *(E. M)* 463

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

Sprawy Kościoła: Ś. p. Arcybiskup Popiel. — Dalszy ciąg kursu. Przez *ks. J. Urbana T. J.*) 139
Wykładowy język religii według najnowszego rozporządzenia ministra Kasso. Przez *ks. J. Urbana T. J.* 147
Ze świata techniki. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 152
I. Zjazd Hygienistów polskich we Lwowie. 172
Errata. 173

Strona

LUTY.

Sprawy Kościoła: Nowy kurs we Francyi? — Program wyborczy włoskich katolików. — Ostatnia statystyka religijna w Niemczech. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 310

Z czwartej konferencyi dyrektorów szkół średnich galicyjskich we Lwowie. Przez *K. K.* 315

Listy z Warszawy. Jeszcze bojkot Żydów w Warszawie. — Przeszkody. — Brak rutyny kupieckiej. — Adwokaci i dworzanie żydowscy. — Socyaliści w obronie Żydów. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 324

MARZEC.

Sprawy Kościoła: Praca kapłana polskiego śród stosunków najtrudniejszych. — Staropolska modlitwa i praca. Przez *ks. Konstantego Czaykowskiego T. J.* 465

Ze świata nauk i wynalazków: Chodząca ryba. — Pośmiertne objawy życiowe. — Odznaczenie lekarza bohatera. — Odżywianie nowoczesnej armii. — Z najnowszej statystyki militaryzmu. Najlepszy chronometr w r. 1912. — Badania nad aeroplanami. — Atom magnetyzmu, magneton. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 472

COROCZNY DZIEŃ SKARGI.

Jeszcze jedno, ostatnie, echo po roku jubileuszowym Skargi!..

Oto kilka stowarzyszeń zajęło się tą myślą, by dzień 27 września, będący rocznicą śmierci Skargi, pozostał we wiecznej pamiątce narodu. Z roku na rok, z pokolenia na pokolenie, dzień ten ma być poświęconym Skardze i hasłom ze Skargą związanym.

Jest w tym zamiarze niezawodnie wyraz serca i uczucia, które rozbudzone uroczystościami jubileuszowemi, pragnęłoby ten widok podniosły, jaki z zetknięcia się duchowego z postacią Skargi płynie, w jak najdalsze czasy przedłużyć. Jest to tosamo uczucie, które zmusza do obchodzenia corocznej pamiątki powstań, do święcenia co roku pamięci Kościuszki i Mickiewicza. Ponadto jednak tkwi w tym zamiarze myśl głębsza, zbliżona do tej, jaka jest podstawą corocznego obchodu 3 Maja.

Niema chyba w Polsce dzisiejszej inteligentnego człowieka, któryby nierozumiał, że wszystkie nieszczęścia kraju wypłynęły z tego zatrutego źródła, na które tak wymownie wskazywał Skarga — z antypołecznych skłonności natury polskiej. Cóż zatem naturalniejszego nad to, by w tym kierunku skupiły się wysiłki energii narodowej, by krzyżowały się prądy i dążności, powstawały instytucye i związki tak o charakterze uświadamiającym naturę i objawy zła, jak też i o cha-

rakterze, wpływającym na wolę. A jednak nic podobnego nie widzi się. W innych zakresach, czy oświatowym czy ekonomicznym, stwierdzić należy większe lub mniejsze wkłady pracy, jakąś dążność i jakiś ruch i idący za tem rozwój; w tym zakresie, jeżeli nie całkowity panuje zastój, to w każdym razie nie zaznacza się ruch wybitniejszy. Jakieś w tym względzie znaczenie mogłaby mieć świeżo założona polska szkoła nauk polityczno-społecznych, oczywiście, gdyby stale był uwzględniany charakter etyczny kwestyi. Ale szkoła taka może wydać dopiero owoce po latach; ponadto dostępną jest tylko dla małej ilości słuchaczy. Tożsamo ograniczone znaczenie mają przygodnie zdążające w tym kierunku prelekcye szkolne lub poświęcone tej kwestyi prace publicystyczne. Najdonioślejszą jeszcze dla rozwoju tej sprawy jest praca stowarzyszeń, mających, za zadanie wyrobienie charakteru i udoskonalenie wewnętrzne swych członków; w pierwszym rzędzie praca Kościoła. Z jednostek składa się naród, z doskonaleniem zatem jednostek doskonali się i naród cały.

Jest jednak w tej nieodzownej reformie obyczajowo-społecznej pewien moment, który w pracy Kościoła może być tylko przygodnie uwzględniany. I Skarga swoje Kazania sejmowe nie mówił z niedzieli na niedzielę, ale w wyjątkowych chwilach, w obliczu sejmujących przedstawicieli całej Rzeczypospolitej, gdy na pierwszym planie nie tyle stało dobro jednostki, ile raczej ogólne dobro narodu. Ponadto w chwilach takich wchodzi w grę także moment polityczny, który, z natury swojej w pewnych przynajmniej szczegółach, nie bardzoby się nadawał na ambonę.

Wynika z tego, że dla wzmożenia ruchu obyczajowo-społecznego w duchu Skargi, pożądaną by była nowa jakaś inicyatywa, czy w formie stałych związków, czy w doborze odpowiednich chwil. Chodzi o to, by jak najszersze warstwy narodu stale były uświadamiane o nieodzownej reformie wad społecznych charakteru polskiego i usilnie do podjęcia tej reformy pobudzane. Rozum społeczny, którego w Polsce zawsze brak było, i silna wola, temu rozumowi posłuszna

i ujarzmiająca antyspołeczne skłonności — oto ideał tej inicyatywy.

Nie ulega chyba kwestyi, że coroczny dzień skargowski czyto w formie wieczorków jak wieczorki mickiewiczowskie, czy z obszerniejszem programem, odpowiednich konferencyj czy zjazdów, dzień obchodzony w całej Polsce, a więc skupiający naród cały, zadaniu temu w znacznej mierze by odpowiedział. Zjawiająca się z roku na rok w dzisiejszem społeczeństwie postać Skargi, z podniesionymi jak zygzak błyskawicy rękoma i z piorunami w oczach, przeklinająca złodziejskie serce, prywatę, zawiść, warcholstwo i przebujały indywidualizm, postać wieszcza, która przepowiadając otchłań, tak dosłownie urzeczywistnioną, temsamem najlepiej prawdziwość swych żądań uzasadnia — postać ta unieśmiertelniona jako proroczy symbol losów narodu, ma taką moc wpływu i działania na podniesienie społecznego poziomu, jak żadna inna.

To jedno zadanie dnia Skargowskiego.

Zadania tego zamierzają podjąć się na razie czynniki ze sfer katolickich. A zamierzają dlatego także, że łączą z tem zadaniem inne zadania. Oto postać Skargi, będąca najpełniejszem wcieleniem katolicyzmu czynnego, może być silnym bodźcem dla wzmożenia akcyi katolicko-społecznej. Warto z tą postacią tę akcyę związać i stworzyć jeden dzień w roku, dzień akcyi katolicko-społecznej.

Dnia takiego dotyczas nie mamy. Mamy w roku kościelnym uroczystości wiele, które zasadniczo biorąc, silniej jeszcze tę ideę rozpłomienićby mogły, ale niema w nich tego wyłącznego skierowania ku temu celowi, które rostrzyga o przeznaczeniu. A ważnym byłby taki dzień, dzień, któryby pilnował, ażeby w nim coś ważnego dla akcyi katolicko społecznej się stało, w którym każdy Polak-Katolik poczuwałby się do obowiązku zrobienia czegoś dobrego dla Kościoła i Ojczyzny. Jakby dzień taki w rzeczywistości się przedstawiał, trudno dziś szczegółowo określać. Musi instytucya tego dnia rozpocząć się od drobnych początków, od nabożeństwa porannego i uroczystego wieczorku, przyłączyć się później może coraz pełniejszy udział rozlicznych

stowarzyszeń, które w dniu tym przedsiębrałyby jakąś szczególniejszą akcyę na zewnątrz. Jakiekolwiek zresztą będą losy dalszego rozwoju, sama instytucya takiego dnia daje rękojmię pomyślnego żniwa.

Nad dniem takim unosząca się pamięć Skargi mieści w sobie jeszcze jedną pobudkę. Oto w dniu takim zgromadzeni spadkobiercy idei skargowskiej, czynem swoim najlepiej zaświadczą, że to, co stanowiło istotę Skargi, zjednoczenie polskości i katolicyzmu, że to trwa dalej niezachwianie — i, że dla biednej skołatanej Ojczyzny tkwi w tem zjednoczeniu najlepsza rękojmia przyszłości.

Ks. J. Pawelski.

Nowe drogi w wykształceniu przemysłowem.

L'apprentissage se meurt, l'apprentissage est mort skarżą i żalą się sfery przemysłowe Francyi. Skargi te i żale ciągną się właściwie już od pół wieku z okładem. Już w r. 1863 t. j. w 12 lat po wprowadzeniu ustawy o kontrakcie terminatorskim, dziś martwej, ale zawsze jeszcze obowiązującej, wysadziło ministerstwo handlu i przemysłu komisyę w sprawie terminatorów i praktykantów, znikających powoli ale stale wraz z fachowemi siłami roboczemi z dziedziny handlu i przemysłu. I odtąd sprawa ta już nie zniknęła z porządku dziennego troski publicznej i obrad parlamentarnych i sfer kompetentnych.

„Od tej chwili, czytamy[1] świeżo w najpoważniejszem ekonomicznem piśmie francuskiem, kryzys ostry przedewszystkiem przybrała charakter. Kwestya ta, badana wszechstronnie stała się przedmiotem prac poważnych, głównie w latach ostatnich. Zajmowała się nią specyalnie wielka ankieta w roku 1901—1902, a następnie sprawozdanie p. Briat z ramienia stałej komisyi Wyższej Rady Pracy. Sprawa ta była przemiotem publicznych dyskusyi w Radzie Pracy z okazyi rządowego projektu ustawy, przedłożonego w Izbie posłów dn. 13 lipca 1905 r. W sprawie tej przedłożył inny projekt poseł Henri Michel, ogłosił uczone studya cały szereg członków Izby handlowej w Paryżu, przedłożył sprawozdanie w roku 1909 Astier o projekcie rządowym z roku

[1] *L'Économiste Français* z dnia 31 sierpnia 1912.

1905. Sprawozdanie to, które podjął ten sam poseł w imię kompetentnej Komisyi Izby dnia 9 czerwca 1910 r. odnosi się do wykształcenia technicznego, przemysłowego i kupieckiego młodzieży przemysłowej i handlowej. W sprawie wykształcenia przemysłowego również Astier, gdy został senatorem, wniósł świeżo interpelacyę do ministra handlu. Z drugiej strony dnia 7 marca 1912 roku Henri Michel i Mascurand złożyli w Senacie projekt ustawy, tyczący się terminatorstwa. Nadto w sprawie tej przedłożyli poważnę prace w paryskiej Radzie miejskiej w roku 1904 Louis Dausset, w roku 1905 delegacya Magistratu, która w tym celu zwiedziła Szwajcaryę, Austro-Węgry i Niemcy, w roku 1906 Pierre Morel. Wreszcie ostatnio sprawą tą zajął się kongres, zwołany w czerwcu 1912 r. przez Assocyacyę obrony klas średnich".

Ale nie tylko we Francyi i w innych krajach kulturalnych brak fachowo wykształconych robotników i wykształcenie młodzieży, pracującej w dziedzinie przemysłu i handlu, jest przedmiotem poważnej troski publicznej i zabiegliwych i bezustannych zarządzeń i reform ze strony rządów, społeczeństw i sfer przemysłowych. I ktoby chciał historyę tych usiłowań w poszczególnych państwach śledzić, przekonałby się, że w sprawie wykształcenia i szkolnictwa przemysłowego i handlowego wszystkie prawie państwa kulturalne od połowy albo raczej pod koniec ubiegłego wieku jakby gorączkową rozwijały działalność i nawzajem się prześcignąć usiłowały. I pod tym względem zabiegi ustawodawcze we Francyi wraz z całym aparatem uczonych referatów i ankiet i studyów porównawczych nie różnią się zgoła od usiłowań i prac reformatorskich, podjętych w tej mierze w innych państwach kulturalnych.

Ruch ten wziął początek we Francyi, kiedy narody w szlachetnem współzawodnictwie jęły walczyć o lepsze w dziedzinie handlu i przemysłu i na wystawach światowych roztaczać i krytycznie porównywać produkty swojej wytwórczości przemysłowej. Wówczas poczęto zakładać muzea przemysłowe, które „zapoczątkowały wśród narodów nas otaczających, jak mówi jeden z francuskich ekonomistów, nowy ruch edukacyi artystycznej i przemysłowej i jeżeli dziś te narody walczą z nami z pe-

wnem powodzeniem, to tylko dla tego, że walczą naszą bronią. Muzeum *South-Kensington* w Londynie powstało po wystawie w roku 1855; muzeum narodowe w Monachium, muzeum przemysłowe i artystyczne we Wiedniu, muzeum sztuki stosowanej w Berlinie wyrosły z wystawy francuskiej w roku 1867; muzeum peszteńskie powstało po wystawie wiedeńskiej, gdzie Francya mimo świeżych ruin zajaśniała nowym blaskiem. Ta sama wystawa powołała do życia z tych samych racyi muzeum orientalne we Wiedniu. Wystawa z roku 1878 zrewolucyonizowała cały system wykształcenia przemysłowego we Włoszech. Muzeum Trocadéro było przyczyną, że założono muzeum sztuki monumentalnej w Brukseli, że wytworzyła się sekcya architektury w muzeum edimburgskiem i sekcya dekoracyi monumentalnej w muzeum liverpoolskiem. A kto w odleglejsze jeszcze chciałby sięgnąć czasy historyi sztuki współczesnej, przekonałby się, że *Architectural Court* w muzeum *South Kensington* zawdzięcza swoje powstanie petycyi artystów francuskich w r. 1848, wystosowanej do rządu w sprawie organizacyi warsztatu form architektonicznych arcydzieł francuskich. Proudhon zawołał raz w przystępie gniewu patryotycznego; „Co się stało z geniuszem Francyi? My, tak my pierwsi zdradziliśmy go! Oto rezultaty wystaw naszych, dostępnych dla świata całego“ [1].

Obecnie nie tylko Francya, ale wszystkie kraje przemysłowe w mniejszym lub większym stopniu odczuwają brak wielki fachowo wykształconych robotników, wszystkie państwa kulturalne usiłują zaradzić temu brakowi przez podniesienie szkolnictwa przemysłowego i terminatorstwa i szerzenie w sferach przemysłowych oświaty handlowo-przemysłowej.

I w Austryi, która według kompetentnych słów ministra francuskiego Dubief'a należy do krajów o doskonale zorganizowanem szkolnictwie technicznem „przemysłowem i handlowem“ (tylko nie Galicya), w której wykształcenie terminatorów jest głównem zadaniem cechów rzemieślniczych, brak pracowników

---

[1] *La Rivalité des industries d'Art en Europe*, Edmond Plauchut. *Revue des deux Mondes* r. 1891, zeszyt czerwcowy.

fachowo wykształconych jest wielki. W Galicyi w ostatnich latach na polu szkolnictwa przemysłowego dużo się zrobiło.

A rezultat jaki? „Jednym z wielkich braków — czytamy w ostatniem sprawozdaniu towarzystwa „Polska sztuka stosowana“ — jest brak dobrego robotnika. Uskarżają się na to artyści, uskarżają się majstrowie. Minęły te czasy, kiedy w warsztacie wyrabiały się i doskonaliły siły robotnicze. Dzisiaj z powodu radykalnej zmiany stosunków ekonomicznych i społecznych majstrowie niechętnie przyjmują na naukę młodzież, natomiast poszukiwany i niemal rozrywany jest ukwalifikowany robotnik“ [1].

Różne na niedomaganie te terminatorów i pracowników fachowych złożyły się przyczyny.

Jedną z najgłówniejszych, to zmiany i przeobrażenia, jakie się dokonały i dokonywają w rozwoju techniki maszynowej i organizacyi przemysłu. W ciągu ubiegłego wieku pod hasłem *laissez faire, laissez passer* industryalizm na ruinach organizacyi rzemieślniczych rozwinął się w olbrzyma i podbił z jednej strony robotnika w moc techniki i sił przyrody a z drugiej zrewolucyonizował z gruntu wszystkie stosunki robotnicze w dziedzinie przemysłu i zburzył dawną, wiekami uświęconą hierarchię pracy.

Technika produkcyjna wzięła górę nad człowiekiem, robotnik stał się niewolnikiem maszyny, w pracy mechanicznej zatraciło się żywe piętno pracy indywidualnej, w dziedzinie przemysłu zapanował wszechwładnie automatyzm produkcyi. Maszyna pracuje z precyzyą, wykonuje prace skomplikowane, pracuje tak rozumnie, jakby duszą ożywiona była rozumną. W Chicago n. p. istnieje pralnia parowa, w której brudna bielizna automatycznie przechodzi przez cały szereg przyrządów, dopóki nie wyjdzie lśniąca śnieżną białością, gotowa do użycia. Czynność obsługujących pralnię tę robotników polega tylko na tem, że wrzucają bieliznę do aparatów, z których każdy ma jakąś funkcyę specyalną do wykonania. Bieliznę, kołnierzyki, mankiety maszyna pierze, płócze, krochmali, prasuje i składa w pudełka.

---

[1] X. sprawozdanie za rok 1911 tow. „Polska sztuka stosowana“.

Bezpośredni skutek tego automatyzmu produkcyi był ten, że maszyna poczęła wypierać tachowego robotnika, że terminator w hierarchii pracy stał się zbytecznym. Wystarczy przecież automatycznie wykonać jedną ściśle określoną czynność, żeby maszynę obsłużyć i zlać się z nią w jedną potęgę produkcyjną. I przez długi czas zdawało się, że postęp techniki produkcyjnej zamienia robotnika w niewolnika maszyny i tamuje rozwój kulturalny całego stanu robotniczego i co za tem idzie ogromnej większości ludzkości.

A jednak błąd to mniemać, że maszyna zamienia człowieka w bezduszną maszynę. Tak ongi mniemano, ale dziś już wiemy, że każdy postęp w technice i organizacyi przemysłu wymaga nieodparcie coraz to większego wykształcenia robotników. Dzisiejszy przemysł i w robotach najgrubszych i najprostszych, jeżeli tylko praca racyonalnie jest zorganizowana, wymaga zawsze od robotnika pewnej inteligencyi i wiedzy.

Powtóre każdy postęp w technice produkcyi i handlu zawsze oznacza pewne zwycięstwo inteligencyi nad siłami przyrody, bo grubszą robotę przekazuje maszynie a robotnika zamienia w kierownika maszyny. Im więcej zaś wydoskonalona maszyna, im więcej skomplikowany proces produkcyi, im więcej uproszczona organizacya pracy w tym procesie, tem więcej ukształcony i uzdolniony i wyćwiczony musi być robotnik, który obsługuje tę maszynę i pracuje w tej organizacyi produkcyi maszynowej i pracy ludzkiej. Dzisiejsza więc ewolucya produkcyi maszynowej i organizacyi pracy domaga się coraz większej inteligencyi i wykształcenia zawodowego i sumienności w pracy.

Żywotną zaś sprężyną tego postępu to konkurencya handlowa i kulturalna pomiędzy państwami i ruch emancypacyjny wśród robotników samych. Konkurencya sprawia, że przemysł coraz więcej wydobywa z ukrycia i coraz lepiej wyzyskuje twórcze siły przyrody, które mają zastąpić siły muszkułów, i ujarzmione w maszyny iść pod panowanie robotników. W tym kierunku też pracują sami robotnicy i ich żądania pod tym względem więcej może znaczą w tej pracy na drodze ulepszeń technicznych i hygienicznych, niż wszelka konkurencya. I dla

tego też w wielu gałęziach przemysłu robotnicy i przedsiębiorcy organizują zawodowe szkoły przemysłowe. I dla tego też wszystkie państwa kulturalne, ażeby się nie dać wyprzedzić swoim sąsiadom nieufnym, rozwinęły w ostatnich lat dziesiątkach na drodze szkolnictwa przemysłowego nader rozległą i żywą działalność.

„Jeżeli prawdą jest, że robotnik może w kilku tygodniach nauczyć się obsługiwać maszynę, — mówi minister francuski Millerand, to nie mniej prawdą jest i to, że interes i produkcya narodowa, że interes producenta i kraju domagają się robotników inteligentnych i ukształconych, wymagają pracowników którzy znają wszystko, co wchodzi w zakres ich zawodu, którzy mają takie wykształcenie, żeby zrozumieć funkcyonowanie maszyny, którzy potrafią maszynę tę naprawić, gdy się zepsuje, i w razie potrzeby wynaleść odpowiednie ulepszenia w dziale swojej pracy produkcyjnej.

Ażeby się na oko przekonać jak dzisiejszy postęp w technice produkcyjnej i komunikacyjnej i handlowej siłą rzeczy rozbudza siły duchowe i kształci i wychowuje martwe i ciemne masy robotnicze, wystarczy przypatrzyć się dzisiejszym olbrzymim warsztatom fabrycznym i maszynowym warsztatom rzemieślniczym, dzisiejszym centralom elektrycznym, pociągom pospiesznym i dworcom kolejowym, dzisiejszym olbrzymim budowlom i mostom o olbrzymich rozpięciach, automobilom i aeroplanom i pracowniom substancyi wybuchowych. Czyż olbrzymi i skomplikowany ten warsztat pracy produkcyjnej i środków komunikacyi nie wymaga inteligentnych i sumiennych i wyszkolonych robotników i rzemieślników i majstrów?

Ale nie we wszystkich gałęziach przemysłu podział pracy i automatyzm produkcyjny jest możliwy. To też zdawałoby się, że w tych przynajmniej działach produkcyi terminatorstwo się zachowa. Gdzie tam, i tam, gdzie bez zawodowo wykształconych robotników obejść się nie można, skarżą się powszechnie na zanik terminatorstwa i co za tem idzie brak ukwalifikowanych robotników.

Przedsiębiorcy bowiem dzisiejsi są siłą rzeczy zarazem kupcami a częstokroć może zanadto kupcami, którzy przedewszystkiem dbają o to, żeby z przedsiębiorstwa jak największe ciągnąć zyski.

Uczeń zaś to rzecz kosztowna przynajmniej w pierwszych miesiącach nauki: zajmuje dużo czasu, bo trzeba go uczyć i ciągle kontrolować; psuje narzędzia i partaczy w pracy i niszczy dużo materyału. Skoro zaś trochę zakusi rzemiosła i przestaje być ciężarem dla przedsiębiorstwa, zaraz domaga się wynagrodzenia, jak dojrzały i ukwalifikowany robotnik, lub opuszcza pracę i szuka sobie zarobku gdzieindziej. Dlatego też jedne przedsiębiorstwa, choć opierają się na robotnikach ukwalifikowanych, żadnych wógóle nie przyjmują uczniów. Inne zaś przyjmują wprawdzie, ale jako płatnych młodocianych robotników, którzy w wolnych tylko chwilach mogą się trochę kształcić, a zresztą są częstoktoć ofiarą wyzysku dla przedsiębiorców.

Skutek jest ten, że uczniowie tacy stają się partaczami a liczba ukwalifikowanych robotników z dnia na dzień topnieje. I w wielu działach przemysłu i w wielu krajach brak ten zdolnych robotników przybrał już charakter ostrego przesilenia i grozi nieuchronną dla państw całych w pewnych gałęziach przemysłu klęskę ekonomiczną.

Częstokroć też rodzice sami nie pozwalają dzieciom zaciągnąć się w szeregi terminatorów. Dla czego? Bo pragną widzieć dzieci swoje raczej przy biurku lub w błyszczącym uniformie t. j. na wyższem w ich rozumieniu stanowisku społecznem niż przy pracy w ubraniu warsztatowem.

Coraz dziś więcej takich, żali się jeden z francuskich działaczy społecznych, którzy mają głęboką niechęć do pracy ręcznej. Cechą znamienną naszej epoki to pasorzytnie krzewiące się wszelkiego rodzaju urzędy publiczne i prywatne. Francya liczyła 1 stycznia 1910 roku 968.443 wszelkiego rodzaju agentów. Na 40 Francuzów przypadał jeden agent. Urzędy te, mnożące się za przyczyną prowincyonalnych mężów stanu i biurowych przemysłowców i pedagogów biurowych, są dla kraju prawdziwą klęską finansową i polityczną. Najcięższa jednak szkoda publicz-

na, która wynika z systemu tego jest ta, że mnóstwo młodych, ludzi, łudząc się nadzieją wygodnego życia i stałych dochodów, odwraca się od handlu i przemysłu i pracy produkcyjnej i wytwórczości narodowej.

Słuszne uwagi te i żale, właściwe państwom biurokratycznym, odnoszą się w dużej mierze i do narodu naszego przynajmniej w Galicyi. I u nas niechęć do pracy i brak odwagi, żeby się przebijać przez trudności życiowe popycha całe szeregi zdolnej młodzieży do marnych i chudych zajęć biurowych, i u nas złote kołnierze i dworskie tytuły nęcą młodzież akademicką i odrywają ją tłumnie od przemysłu i handlu, i u nas błyszczące guziki i jaskrawe galony odciągają tysiące rąk od warsztatów rzemieślniczych i fabrycznych i narodowej pracy produkcyjnej.

Najwięcej jednak rodzice usuwają dzieci od służby terminatorskiej w przemyśle dla tego, bo pragną żeby i one w miarę możności przyczyniły się do utrzymania rodziny. W tym wypadku nędza i rosnąca drożyzna pobudza ich najczęściej do tak nieopatrznego rozporządzania przyszłością swoich dzieci. Najgorsza to rachuba, bo dziecko nie wykształcone zawodowo i mało zarobi i później stałej pracy nie znajdzie prawie nigdy. Przedsiębiorca zaś, który odrazu daje wynagrodzenie zatrudnionym w swojem przedsiębiorstwie dzieciom, już zgoła nie będzie się poczuwał do obowiązku zajęcia się, choćby zgrubsza zawodowem ich wykształceniem.

Ale powstają zawsze jeszcze średnie i małe warsztaty rzemieślnicze, w których terminatorzy kształcić się mogą na dzielnych pracowników i rzemieślników.

Tak, tylko że przemysł drobny w ogólnej sumie produkcyi przemysłowej tak drobną stanowi cząstkę, że rola jego w kształceniu robotników przemysłowych jest nikłą bardzo. On z trudem tylko nawet tam, gdzie wychowanie i wykształcenie terminatorów jest jednem z najgłówniejszych zadań organizacyi cechowych, jak w Austryi, wypełnić szczerby i uzupełnić zdoła własne szeregi i zaopatrzyć własne warsztaty w siły ukwalifikowane. W małych bowiem warsztatach, licho zaopatrzonych w dobre narzę-

dzia lub motory trudno i nie warto się kształcić, większe zaś przedsiębiorstwa przybierają charakter i kierują się zasadami produkcyi fabrycznej.

W dodatku w chwili obecnej przemysł drobny przebywa jeszcze ciężkie przesilenie i w łonie jego odbywają się ciągłe zmiany i przeobrażenia. Jedne gałęzie przemysłu się przeżyły i nie odpowiadają już dzisiejszym potrzebom albo formom produkcyi, inne z braku korzystnych warunków rozwoju marniały lub upadły wskutek nie uczciwej konkurencyi, wskutek konkurencyi fabrycznej, albo magazynowego przemysłu domowego, inne wreszcie przekształciły się w warsztaty motorowe lub fabryczne. Że ciągła fluktuacya ta przemysłu drobnego wśród najtrudniejszych częstokroć warunków życiowych niekorzystnie wpływa na rozwój terminatorstwa i wykształcenia zawodowe robotników nie ulega wątpliwości.

Częstokroć — rzecz dziwna — ustawy ochronne przyczyniają się w pewnej mierze do upadku terminatorstwa. U nas n. p. przedsiębiorcy, żeby się uchylić od obowiązków, jakie nakłada na nich kontrakt terminatorski, zatrudniają częstokroć zamiast terminatorów chłopców jako młodocianych robotników dziennych, we Francyi ustawa z r. 1900, ograniczająca czas pracy dzieci, dziewcząt i kobiet w zakładach przemysłowych do 10 godzin, sprawiła, iż wielu przedsiębiorców przed ukończonym ustawowym 18 rokiem młodocianych robotników wogóle nie przyjmuje do pracy.

Słowem „koncentracya przemysłu, mówi Briat, specyalizacya i uproszczenie pracy, zanik drobnych warsztatów i pewnych rzemiosł, oto przyczyny które łącznie z rozwojem przemysłu sprawiły, iż terminatorstwo zanika. Różne instytucye, zapytane o przyczynę tego zaniku wskazują nadto na konkurencyę zagraniczną i wewnętrzną. Izby handlowe i syndykaty przedsiębiorców we Francyi wskazują na niekorzystne dla terminatorstwa we Francyi ustawy ochronne i na fakt, że obecnie dzieci same i rodzice pragną odrazu mieć jakiś zarobek“ [1].

[1] *L'Apprentisage et les Écoles Professionnelles Municipales à Paris.*

Ażeby zaradzić tym niedomaganiom w przemyśle, zajęły się państwa i społeczeństwa przedewszystkiem popieraniem szkolnictwa przemysłowego i reformą stosunków terminatorskich. I tu odrazu zaznaczyły się dwa odrębne kierunki.

Jedne, zaufane w opatrzny rozum i siłę organizacyjną rządu budują wyłącznie tylko na inicyatywie i pracy organizacyjnej administracyi państwowej, na reformie ustawy przemysłowej, na obowiązkowym kontrakcie terminatorskim w przemyśle przynajmniej drobnym. Do państw tych należą przedewszystkiem Austrya i Niemcy.

Inne, polegając przedewszystkiem na twórczych siłach społeczeństwa popierają głównie tylko to, co inicyatywa działaczy społecznych i kół przemysłowych i miast i krajów wytwarza. Na czele państw tych kroczą przedewszystkiem Stany Zjednoczone i Anglia, Francya i Belgia. I ich działalności w dziedzinie szkolnictwa przemysłowego warto tu się bliżej przypatrzyć.

Zaczniemy od Francyi.

We Francyi wielka rewolucya zburzyła ze szczętem dawny porządek społeczny i dawną hierarchię pracy i wszystkie spójnie stanowe. Cechy rzemieślnicze upadły a z porządkiem cechowym i terminatorstwo. W dziedzinie pracy nastała wszechwładna wolność kontraktowania.

Skutek bezpośredni tych wolności był ten, że ukwalifikowany robotnik na początku 19 wieku stał się rzadkością, jak się wyraża Hippolit Blanc w broszurze p. t. *Les ouvriers ontils été victimes de la Révolution*? „Bonaparte, opowiada on, chcąc umeblować pałac *la Malmaison* musiał niecierpliwie czekać z tygodnia na tydzień, zanim otrzymał jakiś nowy mebel z warsztatu stolarskiego! . . . Że zaś wogóle umeblowanie pałacu mógł zamówić w Paryżu, stało się tylko przypadkiem, bo Bonaparte miał szczęście odnaleść utalentowanego i pilnego stolarza-artystę Jacob'a, który należał ongi do dawnych cechów rzemieślniczych. Otóż Jacob, którego ojciec był stolarzem Ludwika XV i Ludwika XVI, zachęcony przez pierwszego konsula otworzył warsztat i począł powoli kształcić terminatorów i majstrów.

Tak zmartwychwstało stolarstwo artystyczne". W innych działach rękodzielnictwa było dużo gorzej.

Ażeby zaradzić niedomaganiom tym rząd francuski w roku 1851 wprowadza w życie ustawę o kontrakcie terminatorskim, określającą prawa i obowiązki terminatora i przedsiębiorcy. Ustawa ta, wszelako warunkowa tylko i pozbawiona wszelkiej sankcyi, choć dziś jeszcze obowiązuje we Francyi, faktycznie rzadko tylko stosuje się w życiu przemysłowem. Według statystyki Wyższej Rady Pracy kontrakt na piśmie w roku 1900 znachodzi się tylko w bardzo nielicznych przemysłach i wynosi w ogólnej liczbie umów terminatorskich tylko 6%.

W roku 1880 usiłuje rząd w celu podniesienia przemysłu wprowadzić do szkoły ludowej ćwiczenia warsztatowe. „Szkoły terminatorskie, postanawia ustawa, założona przez gminy albo departamenty, mające wyrabiać u młodzieży, która się poświęca zawodom praktycznym, potrzebną wprawę i wiadomości techniczne, należeć mają do kategoryi publicznych szkół ludowych". Szkoły te jednak mimo ustawy i późniejszych dekretów, uzupełniających w r. 1888 ustawę, nigdy nie stały się rzeczywistością.

W 13 lat później rozporządzenie ministeryalne umożliwia i popiera zakładanie zawodowych szkół handlowych i przemysłowych przez gminy i departamenty przy wydatnej pomocy rządu. Szkół takich, subwencyonowanych przez rząd — suma subwencyjna wynosiła w 1911 r. 1,973.000 fr. — powstało w ostatnich latach szereg cały, ale gwałtownej potrzebie robotników ukwalifikowanych one nie zaradziły. Liczba bowiem pracowników w nich się kształcąca jest nie duża, a powtóre program szkół tych zbyt szeroki i zgoła nie przypada do miary potrzeb terminatorów i robotników przemysłowych. Są to raczej szkoły dla kierowników warsztatów przemysłowych.

W roku 1904 wreszcie ustawa o dzieciach opuszczonych postanawia, aby dzieci pod opieką publiczną będące, [illegible] przedewszystkiem w rolnictwie i kształcono na [illegible]. I na tej ustawie kończą się zarządzenia państwowe we Francyi w sprawie terminatorów i wykształcenia zawodowego robotników przemysłowych.

w Dąbrowie

Rozleglejszą i bogatszą w owoce akcyę ratunkową w tym kierunku rozwinęły miasta i inicyatywa prywatna. Pierwsze miejsce zajmuje tu miasto Paryż, które założyło i utrzymuje 15 szkół zawodowych, 7 męskich i 8 żeńskich. Nauka w szkołach tych trwa 3 do 4 lat i dla uczniów z Paryża jest bezpłatna. Dzieci biedne, pozbawione środków do życia, otrzymują nadto w szkołach tych śniadanie, ciepłą strawę lub ubranie. Szkoły te ze względu na wzorową organizacyę i pierwszorzędne wyposażenie techniczne zasługuje na szczególniejszą wzmiankę. Cecha ich charakterystyczna polega na tem, że one zastąpić mają pracę i naukę terminatorów po warsztatach prywatnych pod okiem i kierunkiem majstra. Każda tedy z nich przygotowuje ucznia do pewnego zawodu specyalnego[1].

Szkoła Diderot kształci metalowców i pracowników w przemyśle drzewnem. Na jej utrzymanie przewiduje na rok 1912 budżet miasta Paryża 176.154 fr. Szkoła ta liczy 300 uczniów.

Szkoła Boulle przygotowuje pracowników w dziedzinie stolarstwa artystycznego. Koszta jej utrzymania na rok 1912 wynoszą 219.035 fr. Ze szkołą tą łączą się kursy wieczorne dla dorosłych, które kosztują 8.500 fr. W szkole tej kształci się 300 uczniów, a czas nauki trwa 4 lata. Ze względu jednak na wielkie różnice w uzdolnieniu uczniów Rada miasta Paryża postanowiła w kwietniu zeszłego roku zredukować dla ogółu uczniów czas nauki do trzech lat, dla zdolniejszych zaś w celu gruntowniejszego wykształcenia się przedłużyć naukę o rok lub 2 lata. Uchwała ta atoli nie uzyskała dotąd aprobaty ministeryalnej.

Szkoła Estienne, założona w roku 1889, ma za zadanie kształcić wybitnych specyalistów w różnych dziedzinach zdobnictwa książkowego. Plan nauki zarówno teoretyczny jak i praktyczny obejmuje sztukę drukarską, litografię, rytownictwo, fotodruki, introligatorstwo, historyę i geografię, język ojczysty, rysunki, modelowanie, ćwiczenia w kompozycyi dekoracyjnej, historyę sztuki i historyę książki i t. d. Wieczorem odbywają

[1] *Les écoles professionnelles de la Ville de Paris 1911.* Imprimerie de l'Ecole Estienne.

się kursy dla dorosłych. Szkoła liczy 200 uczniów, a koszta utrzymania wynoszą 232.981 fr.

Szkoła Germain-Pilon kształci pracowników w sztuce stosowanej i rysunków przemysłowych. Program jej naukowy obejmuje następujące działy: rysunki i modelowanie, główne zasady architektury, nauka perspektywy, projekty umeblowania, desenie tkanin i t. d. Dla dorosłych są zorganizowane kursy wieczorne. Koszta utrzymania wynoszą 57.595 fr. a liczba uczniów, nie licząc uczestników kursów wieczornych, 100.

Szkoła Bernard-Palissy kształci rzemieślników-artystów w pewnych działach przemysłu artystycznego jak keramika, rzeźba w drzewie, w marmurze, kamieniu, kości słoniowej, malarstwo dekoracyjne, desenie tkanin, wzory tapet. Wieczorem odbywają się kursy dla dorosłych. Budżet wynosi 70.225 fr., a liczba uczniów dochodzi do 100.

Dwie ostatnie szkoły, pracujące w dziedzinie sztuki stosowanej cieszą się, według sprawozdania z roku 1911, dużem powodzeniem społecznem. Uczniowie ich częstokroć zaszczytne odnoszą nagrody w konkursach artystycznych i dobrze płatne znajdują posady w różnych przedsiębiorstwach przemysłowych.

Specyalny charakter przedstawia szkoła Dorian, gdzie udziela się nauka elementarna i zawodowa i mieści się internat i eksternat. Nauka warsztatowa obejmuje roboty ślusarskie i kowalskie, dział stolarstwa budowlanego i artystycznego i drobnej mechaniki. W kursach zawodowych kształcą się uczniowie w rysunkach, modelowaniu i mechanice. Szkoła liczy 200 uczniów, internistów i 120 eksternistów. Budżet na rok 1912 wynosi 280.220 fr.

Oprócz wyż pomienionych szkół przemysłowych utrzymuje nadto miasto wyższego rzędu szkołę fizyki i chemii przemysłowej, której zadaniem jest kształcić fizyków i chemików dla różnych gałęzi przemysłu. Budżet tej szkoły za rok 1912 wynosi 263.955 fr.

Dla dziewcząt założyło miasto Paryż 8 szkół zawodowych, które mają za zadanie uzupełnić wiadomości elementarne dziewcząt i wykształcić je w pewnym kierunku zawodowym. W po-

łowie tych szkół udziela się nadto nauka gospodarstwa domowego, nauka gotowania, prania, prasowania, szycia i cerowania.

Jedna tylko szkoła Duperré ma na celu kształcenie rysowniczek dla różnych działów sztuki stosowanej. W dziale wyższej tej szkoły uczą się dziewczęta modelowania, malarstwa akwarelowego, kompozycyi dekoracyjnej, rysunków hafciarskich i farbiarstwa artystycznego oraz ćwiczą się w różnych robotach z kości słoniowej i w robotach skórnych i keramicznych.

Budżet roczny wszystkich żeńskich szkół zawodowych w Paryżu wynosi razem 906.480 fr., a liczba uczenic 2,340.

Paryskie męskie szkoły zawodowe, aczkolwiek świetnie wyposażone w środki naukowe i siły profesorskie, wogóle nie cieszą się uznaniem.

Szkoły te są stanowczo za drogie, mówią jedni: One wszystkie razem kosztują 1.100.000 fr., a liczą nie więcej jak 1200 uczniów. Na jednego więc ucznia wypadnie rocznie prawie 1000 fr., licząc zaś 4 lata nauki każdy uczeń kosztuje miasto około 4000 fr.

Szkoły te nie wydają dzielnych i zdolnych pracowników, mówią inni:

Rada stolarzy i tapicerów utrzymuje, że uczniowie szkoły Boulle „nie dorównują żadną miarą uczniom, kształcącym się po warsztatach prywatnych. Ich praca jest mniej wydatna i powolna".

Rada przyrządów precyzyjnych utrzymuje, „że szkoły te należy z gruntu zreorganizować: Uczniowie bowiem kończący te szkoły nie znają zgoła roboty praktycznej swego zawodu. Na nowo rozpoczynać naukę w warsztacie zbywa im na odwadze, większość tedy porzuca swój zawód i idzie na bezdroża".

Nasuwa się tu pytanie dziś wobec powszechnego zaniku terminatorstwa warsztatowego, ogromnie doniosłe dla rozwoju przemysłu i bogactwa kraju wogóle, czy szkolne warsztaty i najlepiej zorganizowane i wyposażone nie zdołają zastąpić nauki i pracy terminatora w warsztacie pod okiem i kierunkiem majstra, który jest nauczycielem i wychowawcą zarazem?

„Teoretycznie rzecz biorąc, mówi z okazyi paryskich szkół

zawodowych jeden z najwybitniejszych znawców i organizatorów dzisiejszego szkolnictwa przemysłowego w Monachium, warsztaty szkolne zdają się być najlepszą szkołą dla wykształcenia przemysłowców średnich.

Szkoły tego typu zostały wyraźnie zorganizowane w celu podniesienia stanu rzemieślniczego. Plan ich nauk obejmuje wykształcenie techniczne, kupieckie i społeczne uczniów. One kształcą zarówno pod względem fizycznym i warsztatowym, jak i duchowym i moralnym. Nauka trwa 3—4 lat i obejmuje 44—56 godzin tygodniowo. Nauka systematyczna sprawia, iż wszelka praca bezmyślna jest tam wykluczona. Obok pracy warsztatowej i gimnastyki, uczą w szkołach tych hygieny obowiązków i praw towarzyskich i obywatelskich, literatury i historyi w celu rozszerzania ogólnego wykształcenia.

Obok tych zalet atoli niezaprzeczonych okazują szkoły te, przynajmniej na kontynencie europejskim, duże braki istotne. Najprzód utrzymanie takich warsztatów szkolnych pochłania znaczniejsze sumy, a powtóre szersze rozpowszechnienie szkół takich pozbawiłoby majstrów najzdolniejszych uczniów. Ale może mniejsza o to, gdyby tylko uczniowie po ukończeniu tych szkół też rzeczywiście zaciągnęli się w szeregi czeladników i majstrów. Wówczas bowiem prędko podniósłby się poziom umysłowy całego stanu i szkoły takie może powoli okazałyby się zbytecznemi. Większość atoli uczniów tych i to właśnie najzdolniejszych nie otwiera wogóle podwojów, prowadzących do twardego życia praktycznego. Oni ubiegają się o najróżniejsze posady, ale nie w dziedzinie pracy praktycznej. Szkoły te może przyczyniają się do rozwoju przemysłu, ale wogóle stanu rzemiosł one nie podnoszą. Wyjątek stanowią tu zawodowe szkoły terminatorskie w celu podniesienia przemysłu domowego wśród ludności ubogiej, jak szkoły snycerskie, keramiczne, koronkarskie, haftarskie i koszykarskie“ [1].

Głosom tym doświadczenia przeciwstawmy teraz radę kra-

[1] Georg Kerschensteiner: *Mittelstand u. Schule* w *Internationale Monatschrift* 1912, str. 611.

kowskiego Towarzystwa „Polska sztuka stosowana“ w sprawie kształcenia terminatorów, wyrażoną w ostatniem sprawozdaniu za rok 1911. „Kształcić młodzież od najmłodszych lat — czytamy tam — rozumnie i konsekwentnie, oto zadanie dla ludzi i instytucyi, zajmujących się losami rzemiosła. A do tego potrzebne jest coraz liczniejsze powstawanie szkół zawodowych, i to nie na prowincyi, ale w wielkich miastach, przy udziale pierwszorzędnych sił nauczycielskich, pod ciągłą kontrolą społeczeństwa i ludzi, znających się na rzeczy. Nauka w szkole powinna zastąpić dawną naukę w warsztacie, czyli, że szkoły powinny być oparte głównie na pracy warsztatowej. Jest to konieczna wytyczna zarówno dla, szkół zawodowych, jak i dla innych instytucyi, przy których odbywa się nauka rzemiosła“.

Oprócz przemysłowych szkół warsztatowych istnieją w Paryżu jeszcze inne instytucye, które mają przeciwdziałać niedomaganiom w wykształceniu przemysłowem. Tak wprowadzono do miejskich szkół ludowych ćwiczenia warsztatowe albo ćwiczenia ręczne bez warsztatu, zorganizowano w różnych dzielnicach zawodowe kursy uzupełniające, kursy specyalne dla terminatorów, techniczne kursy wieczorne i dzienne, które się regularnie odbywają.

Dla dziewcząt zorganizowano w różnych dzielnicach kursy, kształcące w pewnym kierunku specyalnym n. p. kursy modniarskie, hafciarskie, kwiaciarskie, stanikarskie, gorseciarskie i t. d. Nadto po syndykatach robotniczych i po różnych instytucyach i stowarzyszeniach najczęściej przy zasiłkach Izby handlowej odbywają się różne kursy zadowowe, murarskie, miernicze, ogrodnicze, drukarskie, introligatorskie, elektryczno-techniczne i t. d. Nadto na szczególną uwagę zasługują wielkie zakłady przemysłowe w Paryżu (*Chaix*, *Christofle*, *Pauchard*), które obok warsztatów otworzyły dla swoich robotników młodocianych szkoły uzupełniające.

Trzeba wyznać miasto Paryż, które i dziś jest najżywotniejszem wszelkiej pracy i ruchu kulturalnego ogniskiem, rozwinęło na polu wykształcenia przemysłowego młodzieży nader żywotną

inicyatywę i działalność. Rozległa i specyalna organizacya wykształcenia przemysłowego obejmuje tam i ogarnia życie robotnika od wczesnych początków życia jego intelektualnego do męskiej dojrzałości przemysłowej pracy zawodowej. Dla dzieci od 6—13 roku życia istnieją szkoły, które łączą teoretyczne wykształcenie elementarne z ćwiczeniami pracy ręcznej przy warsztacie albo bez rękoczynów warsztatowych. Dla chłopców od lat 13—15 istnieją kursy, poprzedzające czas właściwej nauki terminatorskiej i wdrażające przyszłych robotników młodocianych do ich specyalnej pracy zawodowej. Dla właściwych zaś terminatorów od lat 13—18 odbywają się dzienne kursy techniczne. Dla skończonych już pracowników przemysłowych odbywają się kursy wieczorne [1].

W końcu nie wypada nam pominąć pomyślnie się rozwijających na tem polu ważniejszych instytucyi katolickich, które obok wykształcenia technicznego młodocianych robotników i terminatorów szczególniejszy nacisk kładą na ich prowadzenie się moralne i wychowanie religijne. Rzuca się tu przedewszystkiem w oczy szkoła św. Mikołaja, jedna z najstarszych instytucyi wychowawczych we Francyi, założona w roku 1827 przez Braci szkolnych i odznaczająca się myślą oryginalną swojej organizacyi i kwitnącym rozwojem swoich warsztatów.

Jest to właściwie szkolny warsztat terminatorski rozpadający się na 14 działów różnych gałęzi przemysłu. I organizacya tych poszczególnych warsztatów stanowi cechę charakterystyczną tego zakładu. Nauka bowiem warsztatowa spoczywa tam w rękach majstrów świeckich, których wyszukują sobie Bracia szkolni dla odpowiednich działów swojej szkoły i odstępują im do użytku lokal warsztatowy. Majster zaopatruje pracownię w swoje narzędzia, on też jest panem warsztatu, dostarcza materyału surowego, sprzedaje wyroby i ponosi ryzyka wszelkie. W zamian zaś za lokal bezpłatny ciąży na nim obowiązek kształcić terminatorów na dzielnych rzemieślników.

---

[1] Patrz: *Bulletin de la Société de protection des apprentis et des enfants employés dans les manufactures* — Imprimerie Chaix. 1912.

Inny typ przedstawia szkoła terminatorów ks. Rudynskiego w dzielnicy de la Chapelle. Zrazu była to uboga izdebka w suterynach, w której znalazło opiekę i przytułek kilku opuszczonych chłopców, a obecnie lokal ten rozszerzył się w wielkie przedsiębiorstwo przemysłowe, zatrudniające 80 terminatorów i pracujące na zamówienia i dla handlu. Czas nauki trwa 3 lata, w ciągu którego terminatorzy nie pobierają żadnej płacy. Czas pracy trwa 10 godzin dziennie pod kierunkiem majstrów. Nadto dwa razy tygodniowo wieczorem uczniowie muszą uczęszczać na kurs rysunków. Po skończonym terminie młodzi robotnicy dzięk zabiegom kierownika przedsiębiorstwa znajdują zwykle dobre posady.

Obok zakładów żywotną rozwinęło działalność nad wykształceniem i wychowaniem terminatorów w Paryżu towarzystwo p. t. *Société des amis de l'enfance pour l'éducation et l'apprentissage des jeunes garçons pauvres de la ville de Paris.* Stowarzyszenie to dobroczynne powstało w r. 1828 i uznane zostało za publiczną instytucyę pożyteczną dekretem z dnia 4 grudnia 1867 r. Celem jego jest: „wyrywać dzieci z otchłani nędzy, i wychowywać je na dzielnych ludzi dla społeczeństwa". I w myśl tego celu, wytkniętego sobie w roku 1828, stowarzyszenie to zbiera z ulicy dzieci bezdomne albo opuszczone i zaniedbane przez rodziców i umieszcza je głównie w wyż pomienionych warsztatach szkolnych św. Mikołaja (w roku 1905 pracowało w tych warsztatach za przyczyną towarzystwa 170 chłopców) albo też we własnym domu przy ulicy Crillon, skąd uczęszczają na naukę do uczciwych majstrów, (w roku 1905 było terminatorów takich 75).

Z innych miast we Francyi, które w walce z niedomaganiami terminatorstwa praktyczne i żywotne wprowadziły w życie zarządzenia, zasługują na szczególniejszą uwagę czeladnicze egzamina konkursowe w Nîmes i kursy terminatorskie w Bordeaux.

Otóż w Bordeaux na mocy uchwały Rady miasta z roku 1845 założono cały szereg burs dla terminatórów. Kto chce w bursie zamieszkać winien przedłożyć dobrze zredagowany kon-

trakt terminatorski. Czas terminowania trwa 3 lata, a roczne koszta utrzymania ucznia 200 fr. W roku 1900 było w mieście burs takich 50. Pomyślny rozwój bursy zależy oczywiście przedewszystkiem od moralnych i pedagogicznych zalet kierowników burs.

Egzamina zaś konkursowe w Nîmes polegają na tem, że terminator po odbyciu nauki może współubiegać się o konkursowy dyplom i nagrodę, przez złożenie odpowiedniego egzaminu wobec fachowej komisyi. Nagrody wyznaczają Rada miasta albo okoliczni przemysłowcy. System ten egzaminów okazał się nader żywotnym i przyjął się w wielu innych miastach.

(C. d. n.)

Ks. Leonard Lipke.

Najnowsze teorye estetyczne.

Kierunki zamiłowań w pięknie i tworzenia artystycznego przyjęły w ostatnich lat dziesiątkach zbyt różnobarwną, skomplikowaną a po części wyrafinowaną i wysubtelnioną postać, ażeby można było już teraz zdać sobie z nich wyczerpująco sprawę, objąć je i podporządkować pod jakiś jednolity punkt widzenia, wyprowadzić z niego ich specyalne właściwości, jakoby rozgałęzienia jakiegoś wspólnego pnia, ażeby można było ocenić i wykazać, co w tych kierunkach jest przejściowym, efemerycznym wykwitem usposobień a co może być trwałą zdobyczą kulturalnego postępu. A jednak mimo tych warunków wielce utrudniających zaokrąglony i zamknięty rezultat rozmyślań nad istotą piękna i sztuki, weszły w grę inne czynniki, które wielce pobudziły i ożywiły zapęd do dociekań na tem polu, kazały umysłowi ludzkiemu ze szczególnie natężonem oczekiwaniem i podsycanemi nadziejami skupić się około tego przedmiotu, odsłaniając pogodniejsze aniżeli w sferach innych zagadnień perspektywy co do możności rozjaśnienia stałych i powszechnych pociągów natury ludzkiej. Poważny materyał zebrany przez porównawczą historyę sztuki, przez śledzenie jej początków, społecznych i duchowych warunków jej powstawania, rozkwitu i przekwitu, przez badanie objawów analogicznych w rozwoju wybitniejszych indywidualności twórczych, ośmielał do wnioskowań dalej i szerzej sięgających, wzywał do poszukiwania prawidłowości ogólnej, wedle której ludzkość mimo wszelkich

przerw, zastojów a nawet cofań się chwilowych wspina się po szczeblach coraz bogatszego i jednolitszego a zarazem pogłębiającego się odczuwania i wcielania wartości formy. Prądy symboliczno-mistyczne, z powodzeniem od lat przeszło 20-tu występujące do walki z naturalizmem w sztuce siłą swego przekonania o ukrytym, bezwzględnym pierwiastku piękności zdziałały tu również wiele: ułatwiały otrząśnięcie się z tłumiącego wszelki śmielszy polot estetyki przesądu, iż nasze upodobania w tem, co pięknem nazywamy, polegają na przypadkowych skojarzeniach, przyzwyczajeniach, na bezwiednem i mechanicznem wiązaniu dodatnich ocen z objawami rzeczy zmysłowo przyjemnych lub z innych względów, n. p. z uwagi na przejrzysty z nich pożytek, nam pożądanych. W czasie zachwiania się wiary w inne bezwzględne wartości (jak prawdy dla umysłu i etycznego dobra dla woli) sztuka i kultura estetyczna pozostały dla wielu jedynem ujściem odwiecznych tęsknot ducha ludzkiego za absolutną doskonałością, za wyzwoleniem z granic czasu i przestrzeni, za odnalezieniem swego „ja", które przeważający w poglądach na świat determinizm pogrążał w powszechnym łańcuchu związków przyczynowych. Ale najwięcej przyczyniły się dwa fakty do wznowienia prób całokształtu teoryi estetycznych. Postępy psychologii mianowicie w dziedzinie analizy i porównania różnych wrażeń, wyobrażeń, uczuć i ich kompleksów pozwoliły nareszcie na ściślejsze wydzielenie estetycznej strony życia psychicznego od jego objawów związanych z potrzebami innej natury, tak umysłowemi jak organicznemi i otwarła się droga naukowego uzasadnienia odrębnych cech i podstaw uciechy sprawianej przez piękno w równej mierze wolnej od decydującego wpływu bodźców fizyologicznych, jak i od mogącego jej odebrać samoistność wkraczania pobudek umysłowych lub etycznych, z drugiej strony odżywające zainteresowanie dla estetyki Kanta spowodowało, iż zaczęto coraz usilniej oglądać się w kierunku poruszonych przez niego zagadnień za powszechnie, t. j. dla każdego podmiotu ludzkiego ważnymi warunkami niesamolubnego upodobania w formie spostrzeżeń i wyobrażeń, a chociaż tylko niektórzy wyciągnęli dalsze kon-

sekwencye z istnienia takich warunków aż do wysunięcia w estetyce na pierwszy plan jej rzekomo normatywnego charakteru t. j. iż jest ona raczej nauką dającą przepisy aniżeli wyjaśniającą, to przecież i przedstawiciele wręcz przeciwnego kierunku, czysto psychologicznego, sprowadzający odczucie wartości estetycznej do pewnych psychicznych faktów i praw, zasadzający na opisie i objaśnieniu odnośnych zjawisk całe zadanie estetyki, pozostają pod wpływem Kanta, uznając za niezbędną dla owego odczucia wartości pewną zgodność ujętej formy przedmiotu z organizacyą podmiotową ujmującego „ja".

Wypadnie też nam zacząć od najgłośniejszego i najsystematyczniejszego z nich, twórcy teoryi wczuwania się (*Einfühlungstheorie*), którym jest

I. Theodor Lipps (urodz. 1851 r. profesor filozofii w Monachium — najważniejsze z jego poprzednich dzieł są *Grundthatsachen des Seelenlebens* 1883, *Die ethischen Grundfragen* 1899 i rozprawy wydawane w *Beiträge zur Ästhetik* publikacyi peryodycznej pod wspólną redakcyą jego i lwowskiego do niedawna Prof. Ryszarda Wernera). W dziele p. t. *Ästhetik. Psychologie des Schönen und der Kunst* Cz. I. *Grundlegung der Ästhetik* 1903 Cz. II. *Die ästhetische Betrachtung und die bildende Kunst* 1906 wychodzi Lipps z założenia już dawniej zaznaczonego, że psychologia jest centralną i pierwotną nauką filozoficzną, z której wyrastać i na której opierać się powinny inne, w szczególności etyka i estetyka. Jej samej zaś podwaliną przedewszystkiem ma być bezpośrednie psychologiczne doświadczenie, czyli rozważanie i analiza stanów świadomości, wobec której to podwaliny przyznaje już tylko drugorzędne znaczenie eksperymentowi i psychologii fizyologicznej, zwłaszcza tę ostatnią umieszcza na dalszym planie. Tak też i estetyka jest mu zastosowaniem psychologii, względnie jej metod do osobnego działu przedmiotów i uczuć, ma za zadanie uczynić zrozumiałem działanie tych przedmiotów na nas (oczywiście po należytem zanalizowaniu tego działania). Od trafnego wejrzenia w faktyczny stan rzeczy, t. j. czem jest odczucie piękna i od czego zawisło, spodziewa się też Lipps zupełnie wystarczającej znajomości norm estetycznych, tak iż

osobnego szukania i formułowania ich zgoła nie potrzeba jego zdaniem. Taksamo uważa zadanie estetyki jako obejmującej teoryę piękna artystycznego za spełnione jeżeli proces powstawania artysty i istnienie dzieła sztuki staną się zrozumiałemi (T. I. str. 4). Ta wiedza— co prawda bardzo trudna do osiągnięcia — zastąpić zdoła w jego oczach wszelkie przepisy. Przywiązuje też wiele wagi do poznania, w jaki sposób charakter wieku przebija się w dziele sztuki.

Wyjaśniwszy, iż pięknem nazywa to, co jest cennem estetycznie (czysto słowna definicya), czyli zdatnem (*geeignet*) do radowania w pewien określony sposób. zastrzega się zaraz, że wielkość lub wysokość wartości pewnego przedmiotu nie schodzi się bynajmniej w jedno z wysokością lub intenzywnością sprawianego uczucia uciechy, gdyż różnice między dwoma uczuciami nie są tylko różnicami ich natężeń. ale dołącza się tu bezpośrednio element jakościowy (*qualitative Eigenart*). Ponieważ wartość estetyczna jest taką specyalną wartością, która nam się odsłania przy pewnem odrębnem (t. j. ani logicznem ani czysto zmysłowem ale właśnie „estetycznem") oglądaniu (*Betrachtung*) przedmiotu, przeto zdaniem Lippsa różnice tych psychicznych aktów oglądania, ujęcia przedmiotu i połączonych z nim uciech, polegają głównie na tem, że jedne z nich w wyższej mierze a inne w niższej odpowiadają naturze duszy, że w jednych wyobrażaniach ta natura (bez przesądzania zresztą o metafizycznej kwestyi jej substancyalności) w wyższym stopniu jest czynną, pełniej się aktualizuje, urzeczywistnia, a w innych mniej, że jedne przychodzą jej łatwo, swobodnie, a w innych doznaje wrażenia przymusu lub czegoś samowolnie uroszczonego i narzuconego (*Zumutung*). Wychodząc z powszechnie niemal przyjętego w nowszej psychologii odróżnienia między percepcyą a apercepcyą, którą to ostatnią określa jako wewnętrzne uchwycenie i dopełnienie wrażenia (*Vollzug der Empfindung*), stwierdza, iż stopień aktualizowania się duszy w owych aktach oglądania zawisł od tego, czy zachodzą przychylne warunki dla apercepcyi. Mianowicie proces oglądania skupiający się dokoła swego przedmiotu musi obudzać jakiś interes. Lipps nie przeocza

tu faktu, że i rzeczy wywołujące odrazę mogą początkowo bardzo zaprzątnąć uwagę i że owszem ta odraza jest tem silniejszą, im więcej uwagi ściągnął na siebie proces oglądania t. j. im intenzywniejszą była apercepcya, jednakże do pełnego zgodnego z naturą duszy zaktualizowania się jej w procesie apercepcyjnym uważa za potrzebne, aby zachodziła równowaga między roszczeniem (*Anspruch*), jakie podrosi przedmiot oglądania, a gotowością (*Bereitschaft*) t. j. skłonnością, dyspozycyą psychiczną do całkowitego przyswojenia sobie go, do obudzenia się w duszy, jak niżej zobaczymy, sympatycznych oddźwięków, „resonansów", wątków pokrewnych wyobrażeń i uczuć składających się na całość uciech estetycznej. Gdzie tej równowagi niema, następować ma po chwilowem, chociażby silnem zaprzątnięciu uwagi tem energiczniejsze jej odwrócenie, tłumienie żywości aktu apercepcyjnego przeciwdziałającymi temuż elementami zbudzonymi przez niezgodność jego z organizacyą psychiczną. Dalszą analizę uczuć estetycznych poprzedza podział ich na wywołane przez jednorakie pierwiastki, n. p. jedną barwę, ton i t. p. elementarne (*Elementar-Gefühle*) i sprawiane przez połączenia, formalne (*Formgefühle*). Bliższą uwagę poświęca nasz estetyk najpierw drugim, do których też później przy pomocy paru hipotez stara się sprowadzić uczucia elementarne. Uwagi jego o działaniu rozmaitości w jedności są, jak to sam przyznaje, oparte na zużytkowaniu pomysłów dawniejszych estetyków, którzy jak szkoła Herbarta, do strony czysto formalnej w pięknie przywiązywali największą wagę. Powiązanie różnych elementów w jedność sprawiającą estetyczne zadowolenie może być jego zdaniem dwojakie: albo jest ono tego rodzaju, że tych wiele składników ma między sobą coś wspólnego, a ta ich jednorakość znów jest bądź jakościową, bądź tylko empiryczną t. j. daną z doświadczonego zbiegania się w czasie lub miejscu, albo też polega na monarchicznem, jak je Lipps nazywa, podporządkowaniu jednych elementów drugim, na silniejszem zaakcentowaniu niektórych, w czem znów może być cały szereg stopniowań, mianowicie jeden lub dwa równoważące się elementy mogą zajmować stanowisko naczelne

a wśród pozostałych dadzą się jeszcze wyróżniać rozczlonkowane grupy słabiej i silniej akcentowanych składników, dzielących się panowaniem nad zupełnie nieakcentowanymi, stanowiącymi jednoraką masę, która przez tę swą jednorakość, czyli brak różnic staje się także wiążącym czynnikiem. Przy omawianiu obu rodzaji jednorakości, jakościowej i empirycznej kładzie nacisk na to, że sama przejrzystość i zrozumiałość przedmiotu nie czynią go jeszcze estetycznie, czyli dla naszego oglądania cennym. Wartość poznawcza przedmiotu t. j. jego uchwytność, nie jest jego własną, o co w uciesze estetycznej przekonaniem, Lippsa najbardziej chodzi, ale jest tylko jego wartością w odniesieniu do naszych władz, czy funkcyi dążących do objęcia go. Przedmiot zbyt uproszczony musi raczej odtrącać nas swą jednostajnością. Natomiast tem, co ma w sobie warunki do obudzenia naszego zainteresowania, jest jedność, która się rozszerza i różniczkuje w wielość, w której wytwarza się pewien stopień napięcia między rozchodzącymi się biegunami a dążnością do zachowania związku. Widzi w tem autor odpowiednik naszego życia psychicznego, które również przedstawia możność różnorakich działań obok tendencyi do sprzężenia ich i zaabsorbowania w jakiejś całości. To też dla psychicznego aktu pełnej apercepcyi nadawać się może tylko taka z wewnątrz, t. j. z głębi swej różniczkująca się jedność cech. W każdej oglądanej wspólności elementów nasuwa się nam oddźwięk samoistnego bytu psychicznego zachowującego podobnież łączność między rozbieżnymi kierunkami jego manifestowań się — a im bardziej różność kierunków odsłania na dnie swem jednolite, jasno rozpoznalne prawo, tem więcej musi nam nasuwać podobieństw i pokrewieństw z naszym własnym żywotem wewnętrznym. Rozciąganie się linii, powierzchni, brył działa według Lippsa na nas estetycznie przedewszystkiem zapomocą tych nasuwanych analogii, a nietylko wewnętrzne (immanentne) ale i postępowe (sukcessywne) różniczkowanie się może w nas wywoływać echa ruchu psychicznego. Także i druga zasada podporządkowania monarchicznego ma źródło i znajduje resonans w życiu psychicznem, które tętni ustawicznie naturalnym bezwiednym

rytmem, wysuwającym pewne momenty na plan pierwszy, a pozostawiającym w cieniu inne. Temu rytmowi wewnętrznemu odpowiada w naszych oglądaniach dążność do zgęszczenia, skrócenia jakoby całości w pewnych jej częściach szczególnie ważnych. Nietylko ich silniejsze podkreślenie, ale nadane im stanowisko, umieszczenie ich, ustosunkowanie do reszty elementów potęguje ścisłość owego podporządkowania — a w szczególności wzięty przykładowo stosunek złotego cięcia ma mieć zdaniem Lippsa, dlatego jedynie takie znaczenie w ukształtowaniu prostokątów, że uwidacznia ścisły stosunek między długością i szerokością figury a sumą tych obu wymiarów.

Teorya wczuwania się i jej centralne stanowisko w estetyce Lippsa.

Zestawienie warunków łatwego i przyjemnego ujęcia rzeczy spostrzeżonej lub wyobrażonej jest dla poglądów monachijskiego estetyka dopiero tłem lub podścielą, na której rozwija swoje kardynalne założenie. Polega ono na tem, iż w każdem upodobaniu estetycznem ma przychodzić do skutku bezpośrednie i ideowe ale niewyrozumowane, to też i niezdające sobie sprawy z tego aktu, przeniesienie się podmiotu odczuwającego w oglądany przedmiot. Cieszymy się według Lippsa pewną rzeczą, jako piękną, gdy się z nią duchowo identyfikujemy, z nią w oglądaniu jednoczymy, to znaczy, gdy dostrzegamy w niej takie rysy bądź samego już zachowania się, bądź form stężałych, ale będących jeszcze świeżym, przejrzystym śladem, czy też wyrazem jakiejś akcyi, że odczuwamy w sobie skłonność do życia wewnętrznego odpowiadającego tym rysom i faktycznie przeżywamy je, wykonując w sobie te poruszenia i czynności, które zdają się nam tkwić w oglądanym przedmiocie. Tak więc między podmiotem odczuwającym estetycznie a jego przedmiotem pięknym zadzierżguje się zdaniem omawianego tu pisarza wieloraki i obustronny węzeł. Musimy najpierw przy świadomem obejmowaniu przedmiotu apercepcyą odnajdywać w nim odbicia ruchów pokrewnych z odbywającymi się w naszem

wnętrzu, dalej ruchy te muszą być tego rodzaju, abyśmy byli skłonni powtórzyć (*mitmachen*) czyli razem czynić je względnie im podobne ponownie w nas samych, a do tego potrzebnem jest, abyśmy te ruchy (aprobowali=*billigen*) uznawali za dodatnie i pożądane, upatrując w nich jakąś affirmacyę i spotęgowanie życia, wreszcie muszą one zajść w nas faktycznie i to nie w kierunku jakichś praktycznych lub poznawczych usiłowań ale w ścisłem odniesieniu do oglądanego przedmiotu w skupieniu uwagi na nim i duchowem zespoleniu się z nim. Cały ten proces psychologiczny przeżywania w sobie przedmiotu oglądanego na podstawie wczucia się w jego pokrewieństwo z czynnościami i stanami naszego „ja“ nie jest w oczach Lippsa identyczny z grupą zjawisk duchowych oddawna już zauważonych i rozstrząsanych a mianowicie z t. zw. animizmem, t. j. ogólnym właściwym zwłaszcza pierwotnemu człowiekowi pociągiem do dopatrywania się duszy podobnej do ludzkiej w przedmiotach natury nieożywionej. Różnica zasadza się na tem, że wytwory kulturalne owego pociągu animistycznego, w szczególności wyobrażenia mitologiczne o świecie, są połączone z pewnemi przekonaniami, sądami o realnym porządku w świecie, podczas gdy dla czystego upodobania estetycznego jest rzeczą obojętną, czy oglądany przedmiot jest w rzeczywistości takim, jakim się nam przedstawia t. j. przenikniętym i opanowanym przez życie psychiczne, podobne do naszego w jego fazach najpotężniejszych i najgłębiej nami wstrząsających. Do tego, ażebyśmy coś jako piękne odczuli i ocenili, wystarcza sam ten fakt, iż w oglądaniu danego przedmiotu, wśród ujęcia jego form lub ruchów, czujemy się podniesionymi, pełniej, zgodniej, żywiej czującymi tętno naszej własnej psychicznej działalności. Następuje więc w myśl tych wywodów pewne oderwanie się, wyosobnienie a zarazem zidealizowanie naszej treści duchowej w czystem odczuciu piękna. Przestajemy być na tę chwilę naszem „ja“, dążącem do jakichś zewnętrznych realnych celów, jak również istotą rozstrząsającą logiczne i objektywne stosunki przedmiotów między sobą i wobec nas, a natomiast pogrążamy się całkowicie w przedmiocie widzenia, słyszenia lub wyobrażeń i zaznajemy jego tętn żywotnych

tak, jakby były naszemi własnemi. Takiem ma być wczuwanie się pozytywne, t. j. w piękno. Przeciwnie negatywne t. j. odczucie brzydoty jest w duchu tej teoryi odpornem zachowaniem się wobec oglądanego przedmiotu, odmową zidentyfikowania się z nim, mającą źródło w tem, że przy usiłowaniu ujęcia go podmiot oglądający doznaje wręcz odwrotnych skutków, aniżeli, gdy ma przed sobą rzecz wydającą mu się piękną, odczuwa mianowicie grożące zacieśnienie, stępienie lub rozdźwięk swego życia osobistego, miarkuje, iż dalsze zaprzątanie się i przejęcie tym przedmiotem osłabiłoby w nim poczucie swej wartości.

Samo powstanie tego zasadniczego procesu wczuwania się usiłuje Lipps wytłómaczyć tem, iż istnieje (jak wiadomo nietylko u człowieka) pierwotna odruchowa dążność do naśladownictwa ruchów istot podobnych a nawet i wtedy, gdy nie przechodzi ona w czyn zewnętrzny, wywołuje w istocie, w której się obudziła stan psychicznego napięcia lub akt zbliżony jakością i treścią do wewnętrznego stanu lub poruszeń psychicznych istoty naśladowanej. Stąd pochodzi zrozumiałość gry mimiki, gestów, postawy i ruchów całego ciała, większa lub mniejsza w miarę podobieństwa organizacyi istot i większego lub mniejszego ich między sobą obycia się. Nie znaczy to jednakże, jakoby można było kłaść na karb przyzwyczajenia większą lub mniejszą zdolność wczuwania się i wrażliwości estetycznej. Autor tej teoryi bowiem podnosi słusznie, iż przyzwyczajenie przytępia wrażliwość i że przy wczuwaniu się nie rozstrzyga o intenzywności zaznawanej uciechy i o bogactwie wzruszeń sama łatwość, z jaką odczytujemy z cudzego oblicza i ruchów ściśle określoną i odgraniczoną treść wewnętrznych przejść, ale głównie okoliczność, o ile my do tych przejść, chociażby tylko w ogólnych zarysach odgadywanych przez nas, przywiązujemy jakąś wagę, o ile one mają w sobie warunki do podniesienia, rozszerzenia i pogłębienia żywota naszej psychy, a temsamem siłę zapalną, co jak wiadomo jest wykluczone tam, gdzie jakiś objaw i wyrażona nim treść dla nas spowszehniały ustawicznem powtarzaniem się i nabrały w naszych oczach ujemnego znamienia pospolitości. Z tych też powodów stanowczo przeciwnym jest Lipps obja-

śnianu uciech estetycznych przez bieg częstych skojarzeń (assocyacyi). Pomimo przyjęcia pierwszego punktu wyjścia dla wczuwań się w popędzie do naśladownictwa, a więc do zachowań się pod pewnym względem biernych, podkreślić usiłuje postawę ducha wobec przedmiotu pięknego, jako przeważnie czynną, opierając się na tem, że czujemy i cenimy życie w sobie i w innych istotach tylko poprzez jakąś działalność, podczas gdy samo bierne poddawanie się wrażeniom, czy gdy ono zachodzi w nas, czy gdy je dostrzegamy w innych istotach, nie może zrodzić ani spotęgować poczucia żywotności, tego nieodzownego momentu uciechy estetycznej.

Z odrzuceniem wpływu determinującego assocyacyi na stopień i jakość upodobań w pięknie łączy się w tym poglądzie estetycznym niemniej stanowcze oświadczenie się przeciw fizyologicznym źródłom prawdziwej uciechy estetycznej sprawianej przez kształty osób płci odmiennej (T. I. str. 148 *Das Sexuelle hat mit dem ästhetischen nichts, auch nicht das Allermindeste zu tun*, poczem Lipps dodaje, że taksamo mało mają zmysłu estetycznego ci, co ostrzegają przed nagościami). Kto w odosobnieniu i wyzwoleniu z postronnych pobudek ogląda kształty ciała ludzkiego, nie jest w tym wyodrębnionym akcie oglądania ani mężczyzną ani kobietą. Specyficzną naturę tego rodzaju wyzwolonych uciech płynących z oglądania kształtów istot płci drugich upatruje autor właśnie w wyjściu ideowem poza własną płeć. Czuje w pięknych kobiecych formach osobne, bujne, pełnią sił kwitnące życie, którego mężczyzna jako taki bezpośrednio zaznawać nie może. Ten fakt przedziału, oddalenia jakościowego, z poza którego dopiero odsłania się nam egzystencya również ludzka i na tymsamym stopniu kultury, a przecież o tyle odmienna i uzupełniająca braki drugiej płci, może nam wyjaśnić niejeden subtelniejszy i podnioślejszy rys w odczuwaniu piękna. Lipps zdaje się cokolwiek zbyt jednostronnie zasadzać je na przeżywaniu wartości odnajdywanych we własnem poczuciu sił i działań i dlatego wobec tych objawów wskazujących, jak wiele uroku przedstawia dla człowieka ideał doskonałości bytu pełnego

niedościgłego, wzywający do łamania się ze skłonnościami, które jak trafnie się wyraził, z estetyką nie mają nic wspólnego, nie podaje dostatecznej odpowiedzi, dlaczego właśnie miłość, oczywiście nie czysto zmysłowa, współdziałała tylokrotnie przy wydaniu najpotężniejszych kreacyi artystycznych.

Jego założeniem kardynalnem jest, że w każdym kształcie, ruchu, dźwięku odczuwanym jako piękny bierzemy żywy udział dlatego, iż sam akt oglądania budzi w nas samych szersze, pełniejsze i zgodniejsze życie. Ale czy nie istnieje tu przypadkiem pewne błędne koło? Do tego, żeby tętna swego wewnętrznego życia swobodnym rytmem bijące odnaleźć w oglądanym przedmiocie, potrzeba, ażeby zdolność do takiego odkrywania siebie samego była już poprzednio wykształconą, a wykształcić mogłaby się tylko na uchwytywaniu przedmiotów odpowiednio zbudowanych. Muszą więc istnieć jakieś objektywne prawa rządzące warunkami, wśród których możliwe jest rozwijanie się owej zdolności wczuwania i powiemy, że nie dlatego rzecz jest piękną, iż my w nią wnosimy szczególnie bujne i zaokrąglone nasze życie duchowe, ale iż jest taką w stosunku do naszej organizacyi, że sprzyja rozbujaniu naszych aktów spostrzegawczych, a zarazem poruszeniu wśród nich głębszych pokładów, podświadomych drgnień naszej egzystencyi psychicznej, powołując całą osobistość do bogactwa, siły i równowagi w jej emocyach estetycznych [1]. Jeżeli która umiejętność filozoficzna to zwłaszcza estetyka zmusza do zdecydowanej postawy

[1] W dziele p. t. „Uzasadnienie metody objektywnej w estetyce“ Kraków 1910, które poznałem już po napisaniu powyższych uwag, wytacza Dr. Michał Sobeski przeciw Lippsowi zarzut niekonsekwencyi (str. 63 i dalsze) i motywuje go w ten sposób, że Lipps „proklamując wczuwanie jako jedyną i zupełnie wystarczającą zasadę estetyczną, powinien był swe zasady formalne z niej wydedukować, jeżeli już się bez nich obyć nie mógł. Lecz naturalnie tego uczynić nie zdołał, gdyż jest to niemożliwością. Zaś z drugiej strony, poświęciwszy już wyłączność zasady wczuwania w estetyce, winien był mimo to nie schodzić z gruntu psychologicznego, uważając przecież estetykę za naukę psychologiczną“. Zarzut ten jest słuszny, ale ta wadliwość metody jest, jak to i Dr. S. uznawać się zdaje, głównie następstwem nieuwzględnienia objektywnego stanu rzeczy, mianowicie faktu, iż wczuwania się są uwarunkowane stosunkami zachodzącymi między każdorazowym estetycznym przedmiotem a podmiotem.

w zagadnieniach co do stosunków między podmiotem i przedmiotem świadomości, a skoro jak w wypadku rozstrząsanej obecnie teoryi, cała jej konsekwencya prowadzi do przyjęcia przedmiotu narzucającego się podmiotowi i bądź to pociągającego i przejmującego swemi dodatniemi stronami, bądź odpychającego przez swą niezgodność z organizacyą podmiotową, potrzebnem było stanowcze stwierdzenie, iż podmiot nawet twórczy artystycznie, a tem mniej taki, który tylko odbiera wrażenia estetyczne, nie jest zgoła niezależnym od objektywnych, absolutnych praw powstawania piękności, tylko w najlepszym razie samorzutnie, bezwiedną, szczęśliwą intuicyą je urzeczywistnia. To cieszenie się swem własnem życiem, przymiotami swej energii, o którem często mówi Lipps, natrafia na najcięższe szkopuły. On sam w wielu miejscach zauważa trafnie, że w widzeniu, słyszeniu, czy wyobrażaniu piękna wychodzimy poza samych siebie. Zdaje się nawet przyjmować rodzaj rozdwojenia osobowości o bardzo skupionym i natężonym akcie oglądania, gdy ponad „ja“ zmysłowem, zamkniętem w sobie, wyrastać ma drugie „ja“ całkowicie zanurzone w przedmiocie, utożsamiające się z życiem jego form, czujące jego energię i harmonię objawów tejże tak, jak gdyby była jego własną. Niewątpliwie w ciągu takiego stanu musi zachodzić wielkie rozszerzenie się i utwierdzenie poczucia swej siły i wartości przez tak ścisły kontakt z przedmiotem wysokiej oceny, jednakże tem, co góruje w owym akcie oglądania, co na siebie zwraca naczelną uwagę, jest nie stan odczuwającego, ale forma przedmiotu, jego zróżnicowanie w przestrzeni lub czasie, sposób zapośredniczenia i przężenia tych różnic, wreszcie treść życiowa, która się w tem wszystkiem przejawia, i ten sposób przejawienia jest rzeczą najważniejszą. Przy śledzeniu warunków, od których zawisło nasze upodobanie w biegu linii, w rytmice przestrzennego lub czasowego następowania po sobie części silniej i słabiej akcentowanych, stosuje faktycznie Lipps powyższą zasadę, iż musi być duchowi naszemu danym jakiś stosunek objektywny, za którego śladami dopiero odczuwamy ukształtowanie rzeczy, jako budzące odpowiednie

naszej naturze ruchy, wyprowadzające ją z zastoju, przygotowujące i przyspasabiające do coraz silniejszych emocyi, do chwilowego nawet wytrącenia z równowagi, ażeby tem przyjemniej napowrót do niej doprowadzić.

Na osobną wzmiankę zasługuje wczuwanie się nazywane przez Lippsa nastrojowem (*Stimmungs-Einfühlung*). Każdemu przeżywaniu psychicznemu właściwy jest pewien rytm, który nawet miałby zdaniem jego towarzyszyć zgoła prostym, niezłożonym wrażeniom (n. p. barwy) o ile i one powstają tylko przy pewnej chyżości i liczbie fal świetlnych. Otoż w każdym takim wywołanym rytmie tkwi dążność do rozszerzenia się na całe życie psychiczne, a skoro je opanował, wytwarza się w niem ogólny stan uczuciowy, którym reagujemy na wrażenia i który wnosimy w dostrzegane własności rzeczy, przypisując im samym ciepło lub chłód, wesołość lub powagę, czy smutek zaznane pod wpływem pewnych rytmów i tak ściśle z tymi rytmami związane, że za ich powtórzeniem się odżywa cały ów stan i to nie drogą zwykłych skojarzeń, ale, jak sobie to tłómaczy Lipps, poprzez oddźwięki pokrewnych nastrojów (*Stimmungsresonanz*).

Na dnie wszystkich tych podobnych przejawisk tkwi wynikająca z tych analiz „estetyczna sympatya“ nazwana wprost wspólnem jądrem wszelkiego estetycznego użycia. Czujemy się społem z oglądanym przedmiotem, porwani przez strumień dopatrzonej w nim akcyi i czucia, przywiązując do nich cenę oczyszczonego, spotęgowanego ludzkiego „ja“. W każdem powiązaniu i zróżnicowaniu elementów formy budzących w nas taką sympatyę, odnajdujemy jakąś jedność żywotną, składających się na nią, przeciwległych i równoważących się funkcyi czyto jak w ciążeniu i podpieraniu się, w uginaniu się i wyprostowywaniu części architektonicznych, czyto w przyspieszeniach i opóźnieniach tempa muzycznego, w parciu naprzód i zatrzymywaniu się, czy też w napięciach i załagodzeniach kontrastujących składników melodyi. Wszędzie tu przemawiają do nas koleje jakiegoś wewnętrznego żywota przez pryzmat mieniących się sił i ich stosunków. Główna różnica między uczuciami estetycznemi po-

lega wedle Lippsa na tem, że jedne budzą się wobec czegoś wielkiego, imponującego siłą i ważnością, innych zaś przedmiot jest na granicy znikającej małości tak, iż skutkiem swego drobnego znaczenia zaledwie zdolnym jest podtrzymać zainteresowanie. Pierwsze należą do kategoryi uczuć wzniosłości. Wzniosłem mianowicie albo wewnętrznie potężnem jest to, w czego oglądaniu „sam czuję się wewnętrznie wielkim i wywyższonym ponad pospolitą miarę“ (Artyk.: w *Kultur der Gegenwart* cz. I. Oddz. VI. str. 364). Za odwrotnie przeciwległą wzniosłości uważa Lipps wesołą lekką igraszkę. W pośrodku między tymi dwoma biegunami umieszcza powab lub wdzięk (*Anmut*). Powabnem jest to, co bez gwałtowności, a przecież może i potężnie działa i wnika, co wolnem jest od szorstkości i kanciastości, od wewnętrznej rozterki i zaznacza się z niezakłóconą swobodą, jako przez się zrozumiała manifestacya życia z wewnątrz (*innere Lebensbetätigung*). Przeciwieństwo takiego należytą miarę między naprężającą wzniosłością a lekką igraszką zachowującego piękna, t. j. brzydota jest równoznaczna ze wszystkiem, co mieści w sobie jakąś negacyę życia, jak słabość, próżnię, ociężałość, tępość, wewnętrzną sprzeczność, dyssonans, skarłowacenie, zniszczenie, zaraz wszakże następuje zastrzeżenie, iż brzydota, a raczej brzydki przedmiot, może mieścić w sobie i momenty piękności, o ile ma coś pozytywnego, jakąbądź siłę lub bogactwo, a jeszcze częściej służy pięknu brzydota, bądź siłą kontrastu, także jako tło uwydatniające, bądź iż opowiada koleje przebytych walk, np. ruiny, łachmany, zmarszczki. Natomiast stanowczo nieprzychylnym jest omawiany tu pisarz, krzewiącemu się w ostatnich czasach pociągowi do brzydoty pod postacią zwyrodnienia moralnego i fizycznego, widzi w nim objaw przytępionej wrażliwości i potrzeby sztucznych podniet, jak targanie za nerwy i schlebianie zmysłowości.

Osobną drogę do zmodyfikowania piękna, na której ono przez wchłonięcie w siebie pewnych elementów brzydoty może przecież zasilić się lub urozmaicić, upatruje Lipps w humorze i w tragice. Śmieszność t. j. komizm, jako taki, czyli wzięty ze strony objektywnej, nie jest w jego oczach niczem pięknem, przeciwnie

czemś brzydkiem, jako to, co rości sobie pretensyę do uznania za coś wielkiego i znaczącego, a rozwiewa się w nicość przy bliższem wglądnięciu. Jednakże ruch psychiczny naszej apercepcyi estetycznej, t. j. uwagi spostrzegawczej, demaskującej ową nicość, jakkolwiek zwykło mu towarzyszyć uczucie przykre rozczarowania, łączy się z wytworzeniem poczucia pewnych wartości, jako górujących, a przez to sprowadza swobodny stan subjektywny humoru, który ma być nawet rodzajem poczucia wzniosłości, mianowicie niezniszczalnych, zwycięskich potęg duchowego zdrowia, tęgości charakteru, prawości, sprytu w porównaniu z upokorzonemi słabemi stronami. Odróżnia tu Lipps humor optymistyczny, pojednawczy od samego początku, satyryczny, w którym pod osłoną zewnętrznej walki wewnętrznie tryumfuje dobra sprawa i ironię, w której oświetleniu śmieszność sama się pobija. Ponadto w losach działających indywiduów przeciwstawia wewnętrzny, zawiniony komizm charakterów zewnętrznemu komizmowi zbiegu zdarzeń, jak również odpowiadające tymże dwa rodzaje humoru u twórców i widzów, stworzone tym rodzajem sytuacyi.

Zupełnie analogiczną rolę z humorem w komice ma odgrywać w tragice cierpienie. Widok jego bowiem potęguje naszą zdolność współczucia i wczucia się w dolę innych ludzi. Niewyjaśnia nam wszakże dostatecznie intenzywności tej sympatyi, zwłaszcza, gdy ona ma miejsce względem osób zgoła fikcyjnych przy pełnej o tem świadomością widza tragedyi. Na tym punkcie ujemne strony jego teoryi odsłaniają się widoczniej, niż przy innych sposobnościach. Wczuć się bowiem w koleje wyśnionego wyobraźnią bohatera tragedyi możemy w pierwszym rzędzie nie dzięki jego cierpieniom, które zresztą zwykły następować dopiero w dalszym toku akcyi, ale głównie dzięki założeniu, zarysowującemu się od wstępu charakterowi lub sytuacyi, prawdzie i konsekwencyi postaci oraz zajętemu przez nią stanowisku wobec jakiegoś ogólnego porządku, wreszcie sposobowi zaznaczenia, jak ten porządek na czyny bohatera reaguje, jaka jest jego nieugiętość i racyonalność. Przyjmuje wprawdzie estetyk niemiecki jako środek pomocniczy do zadzierzgnięcia sympatyi między działaczem a widzem,

wyszlachetnienie się w cierpieniu wielkiem nawet i ludzi najpospolitszych a przynajmniej, iż takie cierpienie ma ich w oczach naszych otaczać jakoby ekspiacyjną aureolą, bardzo jednak wątpliwem jest, czy ten probierz dałby się zastosować do wszystkich wypadków, czy n. p. koniec tchórzliwie umierającego zdrajcy lub szpiega potrafi nas dla niego choć cokolwiek przychylniej usposobić. Uznaje zresztą Lipps, że tak w tragice charakterów jak w tragice losów muszą się znaleść jakieś momenty wielkośc i siły osobistej, i że w tragiźmie zawinionym współdziałają one z widokiem przewagi porządku moralnego.

Przejście od ogólnej teoryi piękna i użycia estetycznego do teoryi sztuki odbywa się w tym systemie za pośrednictwem poglądu, iż każdy przedmiot odczuty estetycznie wydziela się zarówno, jak odczuwające go „ja", ze związku świata rzeczywistego, wyosabnia się w akcie oglądania i w sobie koncentruje, że też w ocenie wartości takiego przedmiotu następuje wyzwolenie się zidealizowanego owem skupieniem się czującego „ja" od wszelkich przypadkowych ,wyłącznie konkretnych do przedmiotu odniesień naszego „ja" zmysłowego, „realnego", jakkolwiek przedmiot nie staje się przez to dla nas mniej realnym, owszem odnajdujemy w nim głębszą treść naszej osobistości, urabiamy sobie za jego pomocą, spotężnione, zobjektywizowane poczucie siebie i swej wartości. Otóż w konsekwencyi tego poglądu sztuka jest naturalnym owocem dążenia ku wydzieleniu przedmiotu oglądań ze związku rzeczywistości, który to związek zawsze więcej lub mniej zakłóca nasze użycie piękna. Dzieło sztuki ułatwia (n. b. jeśli udane) swemu widzowi lub słuchaczowi przeniesienie się w pewną ściśle obramioną i odgraniczoną sferę życia, wzywa go wprost do zagłębienia się uwagą w samem dziele, do zapomnienia na chwilę o wszystkiem, co pomysłu artystycznego i jego wykonania nie dotyczy. Osiąga zaś sztuka skutek ten przez to, co Lipps nazywa izolacyą i estetyczną negacyą. Wyosabnia n. p. formę ciała ludzkiego z jego materyi i przenosi ją w kamień lub brąz, albo, jak w muzyce, wiąże wewnętrzne przejścia z tonami, jakkolwiek niekoniecznie muszą one tym przejściom towarzyszyć i nie zlewają się z ich treścią, podobnież

w przeniesieniu dramatu na deski sceniczne a wyglądu wzrokowego rzeczy na powierzchnię dowolnie obranych przedmiotów przez malarza lub rysownika. Ścisłe wydzielanie tego, co jest tylko przedstawieniem artystycznem, z jego realnego otoczenia, traktowane tu jest jako nieodzowny warunek wrażenia artyzmu tak, iż wykroczenia przeciwko niemu, n. p. ustawienie posągu na podstawie z innego materyału, nie przedstawionej, ale już realnej, wychodzenie szczegółów obrazu poza jego zewnętrzną powierzchnię, są w oczach Lippsa błędami, które odbierają dziełu sztuki większą część jego specyficznego uroku. Negacya znów estetyczna zasadza się na tem, że sztuka wyjmuje ze związku życiowego tylko pewne poszczególne rysy a natomiast porzuca i wręcz wyłącza z rozpatrywań swych (dodaćby tu może należało zastrzeżenie: bezpośrednich) rysy inne. Tak n. p., na co zwłaszcza silny położono nacisk, przestrzeń odzielająca części jakiejś grupy plastycznej nie wchodzi w zakres przedstawienia rzeźbiarskiego, wyjąwszy tylko płaskorzeźby, które Lipps zwie malarskiemi, a które uwydatniają zapomocą odpowiednich środków bliższe i dalsze tła swoich sceneryi. Taka negacya jest temsamem wzmocniona affirmacyą, czyli podniesieniem znaczenia tego, co faktycznie przedstawiono. Gdy w przedstawieniu jakichś elementów formy, n. p. mowy ludzi działających w dramacie, połączone są z niemi elementa, które w życiu stale i z reguły im nie towarzyszą, (n. p. w tym przypadku rytm, lub śpiew) wówczas forma artystyczna, obok wyżej wspomnianej negacyi rzeczy obojętnych i podkreślenia znaczących, daje jeszcze dodatkowe przekształcenie treści zaczerpniętej z rzeczywistości. Spożytkowując i dalej rozwijając myśli Klingera, kładzie Lipps wielki nacisk na znaczenie materyału i techniki, objąwszy je jednem pojęciem środków przedstawienia i wykazuje, jaką one mają doniosłość dla oddania pewnych określonych momentów i rysów świata realnego i jak każde dzieło sztuki wymaga liczenia się a nawet rodzaju kompromisu między środkami, którymi rozporządza a rzeczą przedstawić się mającą. Gwałcenie materyału i zamienianie go w niewolnika lub maszynę, mści się jego zdaniem i wytwarza nierze-

telną połowiczność. W miarę zmiany techniki i jej środków nawet ten sam przedmiot nabiera artystycznie innej treści. W szczególności przytaczając zdanie Klingera, iż każdy materyał ma swego własnego ducha i swą własną poezyę, występuje śmiało i stanowczo przeciwko chronionemu powagą Fidyasza poglądowi, jakoby z dwóch materyałów mogło powstać jedno dzieło sztuki, również jakoby dwie techniki malarska i plastyczna mogły złożyć się na jeden utwór.

Liczby sztuk pojedynczych nie uważa za dającą się wyczerpnąć i za skończoną. Tak na pozór jedna sztuka rytownicza albo sztuka rylca (*Griffelkunst*) różniczkuje mu się w całą wielość mających odrębne procedery i cele możliwe do osiągnięcia. Osobne dla poszczególnych normy lub żądania streszcza w ogólnej radzie: „wiedz artysto czego chcesz i czego możesz chcieć artystycznie". Główną jednak zasadę podziału przyjmuje na sztuki abstrakcyjnie i konkretnie przedstawiające. Pierwsze podają nam tylko ogólne rysy i prawidłowości życia, bądź odsłaniające się tylko słuchowi następstwa ruchów w tonach (muzyka), bądź dostępne tylko dla oka współczesne rozmaitości form (ornamentyka, architektura, ceramika, tektonika), bądź dostępne wzrokowi następstwa i falowania ruchów, których ujęciu dopomaga i słuch (jak taniec, łączący się z reguły z muzyką lub śpiewem). Ornamentykę ze sztuk wzrokowych najabstrakcyjniejszą przedziela od innych zbliżonych do niej to, iż te ostatnie nie mają już do czynienia z samemi figurami geometrycznemi, ale muszą uwzględniać masę o własnościach materyalnych jak wytrzymałość, spoistość, elastyczność, a zwłaszcza architektura musi się liczyć z ciążeniem i własności te należy odpowiednio wyrazić w formie utworów.

W przeciwieństwie do tych sztuk abstrakcyjnych przedstawiają inne konkretnie jakieś indywidualne życie lub indywidualnie określony związek żywotów, dzieląc się znów na słuchowe i wzrokowe z mimiką, która, o ile jej towarzyszy wygłoszenie, podobnie pośrednie, jak taniec między abstrakcyjnemi sztukami, zajmuje stanowisko. Dla uzupełnienia systemu dołącza jeszcze Lipps podział na sztuki wolno tworzące i na takie, które

jedynie porządkują lub przyozdabiają pewne przedmioty. Do tych ostatnich zalicza sztukę zakładania pięknych ogrodów, artystycznego urządzania pomieszkania, nawet sztukę strojenia się.

Jak do wydania sądu o każdej teoryi, tak i do skontrolowania twierdzeń, na tem miejscu roztrząsanych, pierwszorzędnej doniosłości jest okoliczność, czy i jak udało się autorowi sprowadzić je i zastosować w obszerniejszym zakresie doświadczeń, czyli podsumować pod fakt wczuwania się jak najrozleglejsze dziedziny uciech estetycznych, a różnice między niemi wyjaśnić rozmaitością sposobu, jakim wczuwane w przedmiot oglądań estetycznych stany i ruchy świadomości wiążą się, komplikują, rozczłonkowują i wskutek tego rośnie siła i bogactwo uczuć. Probierzem teoryi staje się kwestya: czy zachodzi ścisła równoległość między rozwojem wczuwania się a zróżniczkowaniem, siłą i bogactwem uciech estetycznych, względnie czy te uciechy zależne są właśnie od takich cech ujmowanych bezpośrednio w przedmiocie, które sprzyjają procesowi wczuwania się i potęgują go. Otóż Lipps w bardzo szczegółowych analizach wrażeń sprawianych przez kształty linii i mas, jak również przez możliwe kombinacye rytmów tak dostępnych wzrokowi, jak słuchowi, stara się wykazać tę równoległość i zależność, a co ważniejsza, usiłuje przeprowadzić wyczerpującą kompletną systematykę i klasyfikacyę elementarnych form wzrokowych i połączeń tonów wedle zasad tkwiących na dnie naszych czynności psychicznych, t. j. aktów wewnętrznego dążenia i obejmowania uwagą jakiegoś przedmiotu. Ścisłą łączność naszych stanów podmiotowych z różnicami w natężeniu i chyżości bezpośrednio po sobie następujących wrażeń słuchowych, które tym stanom towarzyszą, było mu łatwo wykazać, mianowicie o ile momenty napięcia, silniejszego akcentu lub wyższego tonu przez wyrównanie się z momentami wypoczynku i niższego tonu doprowadzają nas do ukojenia się i zadowolenia, które oceniamy tem wyżej, im bogatszy był przebieg naszego życia wewnętrznego, przynoszący nam w rezultacie to zrównoważenie, z im większemi musiał

się łamać przeszkodami, im więcej i energiczniejszych zbudził w nas sił drzemiących. Natomiast rytmy widziane n. p. w powtarzaniu się pewnych motywów ornamentu, albo części architektonicznej struktury w następowaniu po sobie silniej, słabiej i wcale nie akcentowanych składników, mają wedle wywodów Lippsa głównie to znaczenie, iż uwydatniają związek i rozczłonkowanie organiczne całości, jakkolwiek w naszej czynności psychicznej ujęcia ich odpowiadają im też pewne falowania, przy których pomocy wczuwamy się w wewnętrzne życie kompozycyi architekty. Właściwą wszakże treść wrażeń wzrokowych w oderwaniu od kontrastów oświetlenia i barwy, wypełniają linie i kształty mas, względnie kontury tychże, będące już skomplikowańszemi liniami. Już w spostrzeżeniu linii prostej tkwi, zdaniem estetyka monachijskiego, elementarny zaród wczucia się estetycznego przez to, iż ujęcie biegu tej linii jest zarazem u nas samych ruchem świadomości w niezmiennym kierunku. Już w samem powiedzeniu, że linia „biegnie" prosto, mieści się uprzytomnienie sobie jej postaci przy pomocy bezpośrednio nam danego czucia ruchu ciągłego i bez zmian, które to czucie wnosimy w linię widzianą. Do tego najogólniejszego czucia dodajemy zaraz składniki konkretniejsze, jak rozciąganie się między końcowymi punktami lub ograniczającemi je liniami, wiązanie ich, względnie przedzielanie, z czem się łączą wczuwania dalsze odpowiednich funkcyi również zrozumiałych nam jako formy pewnych naszych wewnętrznych działań. Innego rodzaju prawidłowość, ale także łatwo i bez rozumowań nam uchwytną przedstawiać ma linia jednostajnie zakrzywiająca się, czyli kolista, w której dążność do zachowania stałego kierunku ruchu kombinuje się ze stałą dążnością ku jednemu punktowi, leżącemu na linii prostopadłej do owego kierunku. Podobnież jasnemi w swym układzie i przystępnemi wczuwaniu się na podstawie naszych własnych doświadczeń ruchowych są dwie inne linie krzywe, falista, czyli linia kolejnych podniesień i opadów albo jednostajnych wahań między dwiema równoległemi prostemi i linia spiralna, wywodząca się z kolistej przez przewagę ruchu odśrodkowego lub dośrodkowego przy krążeniu dokoła jednego punktu.

W obu także zdolność do elastycznej reakcyi przeciw pewnemu naciskowi lub oporowi może wyrażać się w sposób wielokrotnie przez nas samych zaznawany. Bardzo delikatne i trafne są uwagi o działaniu linii złożonej z dwóch spiralnych, rozbiegających się w przeciwnych kierunkach, a która zwykła w architekturze służyć powiązaniu profilów poziomych z pionowymi i stosownie do tego, jaką częścią przylega do poziomu a jaką do pionu, sprawia albo wrażenie dźwigania, albo swobodnego unoszenia się. Niemniej analiza woluty w kapitelu jońskim, powstałej jak wiadomo z dwóch spiralnych w tym samym kierunku zaginających się, jest nader subtelna.

Działanie estetyczne wszystkich innych konturów krzywolinijnych, wypukłości i wklęsłości stara się Lipps wytłómaczyć i sprowadzić do aktów naszych wczuwających się emocyi i apercepcyi za pośrednictwem udzielającego nam się rzekomo ruchu mas. W szczególności każda wznosząca się na danej podstawie masa ma na nas sprawiać wrażenie, bądź pionowych tendencyi i odpowiednich im ruchów, bądź poziomych a obok tego bądź samorzutnych, bądź reagujących przeciw jakiemuś ciśnieniu. Z tendencyi pionowych jedna wystrzelająca ku górze, jestto własne wyprostowywanie się (*sich Hinaufrichten*) postaci, wypływające z jej wewnętrznych sił, przeciwne rozlewaniu się wszerz ale i przeciw ściśnieniom, druga działająca ku dołowi, to ciążenie własnej masy, a zwłaszcza i to głównie, mas z zewnątrz, wyżej położonych. Ten nacisk z góry powoduje rozszerzanie się masy pośrednio, bezpośrednio zaś zmniejszenie wysokości. Wczuwając się w naturę tego nacisku i ulegającej mu masy, stajemy się przystępnymi zrozumieniu estetycznego znaczenia wypukłości (*Wulst*), która powstaje w ten sposób, że blok prostokątny uginając się pod ciężarem mniej lub więcej elastycznie, przyjmuje na swych ścianach pionowych kontur kolisty i to przy sprężystości doskonałej kształtu półkola, (wyp. normalna), gdy zaś materyał jest raczej giętki niż sprężysty, może kontur ten zbliżać się do pełnego koła (wypukłość nadnormalna), gdy wreszcie jest bardziej odpornym niż sprężystym, kontur nie będzie dosięgać półkola,

ale obejmie tylko jakiś mniejszy łuk kolisty. Jednakże tego rodzaju zagięcie o konturze przedstawiającym linię koła jest tylko jednym i nienajczęstszym wyrazem odporności masy wobec ciężaru. Jej wyrazem najdobitniejszym jest, jak dowodzi Lipps, łuk koszowy, zaginający się silniej na rogach bloku a w samym tegoż środku przechodzący w linię prostą. W słabszej zaś mierze objawiać się ma opór przeciw zgięciu i to w szczególności zgięciu jakiegoś pęku, łukiem kolankowatym zgiętym silnie w środku, prawie aż pod kątem rozwartym i bliskim załamania się. Obok rozpierającego masę wszerz ciśnienia ciężaru, który sprawiać ma uwypuklanie się konturów ku środkowej części masy, przyjmuje Lipps w pewnych kształtach, a szczególnie w zastosowywanych przez ceramikę, ciśnienie wewnętrzne materyału w kierunku bezpośrednio poziomym t. j. dążenie do rozlania się lub rozsypania u podstawy, które może działać i wyżej, gdy ta podstawa jest gwałtownie zwężoną i wciętą. Naprzeciw zaś temu ciśnieniu stawia wręcz przeciwny nacisk poziomy z zewnątrz, a więc zwężający masę i równoważący jej rozprężność, jej ściąganie (*Einziehung*), które znów może działać dwojako: albo na całą masę równomiernie a wtedy powstaje wklęsłość w środku konturu, albo tylko w pewnym punkcie wysokości bloku, a wtedy zaznacza się ono wcięciem (*Einschnürrung*), wyrównującem się następnie zwolna, co Lipps nazywa przebrzmiewaniem (*Verklingen*) wcięcia, mianowicie w kierunku ku górze, t. j. coraz łagodniejszem rozszerzaniem się konturów, przechodzącem zwolna w linię prostą. Odwrotnem temu objawowi jest przebrzmiewanie wewnętrznego ciśnienia, zaznaczające się konturem wypukłym o coraz słabszej krzywiźnie. Dla wyczerpnięcia wreszcie wszystkich możliwych kombinacyi działań sił, znajdujących jakiś wyraz w konturze postaci, przyjmuje omawiany tu autor, że masa już uległszy ciśnieniu ciężaru a więc wypukła, może zaklęsnąć w środku pod działaniem ściągającego nacisku przeciwnego z zewnątrz (będzie to więc wklęsła wypukłość), i że odwrotnie może powstać wypukła wklęsłość, gdy przedmiot ściągnięty w sobie, pod naciskiem ciężaru lub skutkiem własnej rozprężności zacznie się wydymać. Ponadto jeszcze wprowadza w grę, jako czynniki, rozszerzenie

i zwężenie podstawy (względnie zachowaną normalną szerokość) i trzy najogólniejsze typy kształtów zaokrąglonych, t. j. kulisty, pionowo i poziomo elliptyczny. Kombinacye tych różnych czynników, (którymi objęte jest także możliwe podcięcie podstawy lub nadcięcie górnej warstwy, tak iż mamy przed sobą nie zupełny profil, ale tylko górną lub dolną część jakiejś idealnej całości), służą Lippsowi do przełożenia widzeń sprawianych przez jakikolwiek kontur linijny, niezależnie od skojarzeń postronnych, na język naszych emocyi, t. j. współodczuwania z przedmiotem tętniących w nim, względnie łamiących się ze sobą sił i dążności ruchowych. Wrażenie będzie dodatniem, gdy z konturów przedmiotu łatwo i bez nasuwających się sprzeczności lub niemożliwości, odczytamy wyraz gry owych sił, których oddźwięk, ponowne przeżywanie u nas samych budzi się, jeżeli tylko te siły i tendencye, jako stany i ruchy naszej świadomości, wzajemnie się podtrzymują i potęgują. To tłomaczenie estetycznego działania linii tem, że się w nich przejrzyście i zgodnie wyraża napięcie, akcya i reakcya ważących się ze sobą sił, rozciąga się także do kształtów łuków i sklepień. I tak, gdy są półkoliste, objawiać ma się w nich równowaga między naciskiem a oporem, czyli doskonała sprężystość materyału i budowy. Gdy sklepienia i łuki przekraczają tę miarę i nabierają kształtu podkowy, wyraża się w tem wedle Lippsa pewna miękkość, podatność obok wielkiej masywności i znacznego ciążenia. Wreszcie łuki nie dosięgające połowy koła, podnormalne, znamionowane mają siłę odporności znacznie przewyższającą ciężar. Wśród rozstrząsań krytycznych możliwych innych sposobów tłómaczenia wyłania się stanowcza postawa przeciw teoryom usiłującym wytłómaczyć powstanie zadowolenia w kształtach i ruchach z wrażeń organicznych (*Organenpfindungen*) w szczególności sprawianych przez stany naprężenia i zwolnienia narządów ruchowych, jak mięśnie, ścięgna, powierzchnie stawów i przegubów, przyczem omawiany tu pisarz podnosi, iż wszystkie te stany naszej świadomości przedstawiają się już jako rezultaty czynu psychicznego, że mogą być wprawdzie symptonami a — z pewnymi

zastrzeżeniami i do pewnej granicy, nawet muszą towarzyszyć wewnętrznym natężeniom i poruszeniom naszego „ja", że jednak nie można wobec zupełnej nieporównalności ich treści z poczuciem osobistości wykazać, iżby były punktem wyjścia lub zarodkiem uciech estetycznych.

Nie można odmówić wielkiej dozy bystrości i subtelności uwagom tego estetyka, które poświęca rozczłonkowaniu i uwydatnieniu czynników psychologicznych składającym się na wrażenia doznawane wobec konturów linijnych. Niektóre charakterystyki jego n. p. odróżnienie linii dawniejszej, ogólnie nazwanej *antique*, płynącej z obranych u wstępu założeń, od linii modernistycznej, w którą wplatają się i organicznie w nią wcielają coraz to nowe motywy — są wielce ciekawe i pobudzające do myślenia. Przyjmując jednakże nawet trafne skonstatowanie znacznej liczby objawów i jeśli zgodzimy się z ich pomieszczeniem w tym związku, n. p. co do nader problematycznego nacisku z zewnątrz, który nie jest tak oczywisty, ażeby w bezpośrednim oglądzie estetycznym mógł grać taką decydującą rolę, musimy sobie zadać pewne pytanie, na które przedstawiona tu teorya nie zdaje się udzielać zadowalniającej odpowiedzi. Jeżeli uginanie się masy materyalnej pod ciężarem i sprężyste przeciw niemu reagowanie ma nam sprawiać przyjemność dlatego, że masa skutkiem tego wydaje nam się ożywiona życiem podobnem do naszego, dlaczego nie odczuwamy także przytłaczającego wrażenia na widok poddawania się naciskowi z zewnątrz? Dlaczego także zwężanie postaci przez rzekomy nacisk horyzontalny i wyciąganie ich wzdłuż, jakby na łożu Prokrusta nie przygnębia nas? Powstaniu tych ujemnych wyników zapobiega coś, co nie jest objęte teoryą wczuwania się. Mianowicie zdaje się tym być ogólny wygląd celowości, współdziałania części do wytworzenia całości z jednolitym zamiarem obmyślanej. Samo przeżywanie w sobie dopatrzonych w przedmiocie ważeń się kontrastów, nie da ogólnego rezultatu zaspokajającego. Potrzeba przynajmniej jakiegoś zawiązku idei przebłyskującego, któryby te grające siły i dążenia uprawniał, nadawał im jakąś

w oczach naszych cenę. Taksamo motyw wspinania się ku górze, obok budzenia w nas impulzywnych dążeń podobnych, musi być oświecony chociażby minimalnie świadomo budzącą się w nas ideą, że godniejszym człowieka jest żywioł wznoszący się i wyzwalający, aniżeli pełzanie po ziemi.

(C. d. n.)

Dr. Witold Rubczyński.

Z TWÓRCZOŚCI ROBERTA HICHENSA.

Może to osobiste zapatrywanie albo raczej pewna umysłowa sympatya — ale jakoś się zdaje, że w beletrystyce a zwłaszcza w powieściach angielskich jest bez porównania więcej treści niż w przeciętnych utworach francuskich. Winą tu zapewne jest centralizacya czyniąca z Paryża nietylko serce ale i mózg Francyi, mózg, do którego sączą się siły całego kraju, przerabiają, filtrują, czyszczą lub brudzą, aż wreszcie wydają produkt niekiedy moralnie wzniosły ale najczęściej bulwarowo-jednostajny, wyłączny, ciasny, poświęcony sprawom małżeńskim lub społecznej sytuacyi stolicy. Francuz — choćby pisał z Beluczystanu pisałby tak samo jak z ulicy Rivoli, bo wszędzie swój kąt Paryża ze sobą przenosi — i usiłuje nowej ojczyźnie nadać charakter paryski. Toż nawet misyonarze francuzcy nie zadawalniają się nawracaniem i oświecaniem pogańskich ludów, ale gdzie mogą zakładają szkoły francuskie... Jest w tem pewna siła ale jest i zacieśnienie myśli, jest pozostałość owej szalonej dumy francuskiej datującej się z czasów Ludwika XIV. i przez trzy wieki narzucanej całemu światu. Dziś jeszcze, pomimo klęsk wszelkiego rodzaju resztki tej żywiołowej próżności włóczą się po francuskich głowach: *Il faut avouer que nous avons eu partout l' avantage*! [1] chwalił sie jeden w Berlinie z jeńców francuskich, pojmanych pod Sedanem. *Ah*! *mais notre litterature est une litterature mondiale* [2] — wtrąca zaraz Francuz, jeśli się przed nim

[1] „Trzeba przyznać żeśmy wszędzie mieli przewagę".

[2] „Ale n a s z a literatura jest literaturą wszechświatową".

chwali piśmiennictwo innych narodów. Bywają oczywiście wyjątki jak n. p. Zola i inni umiejący się przejąć atmosferą miejsc i ludzi, o których piszą, tu jednak mówimy nie o jednostkach, ale o dążności ogólnej. Jakie owoce wyda dzisiejszy wzrost potęgi angielskiej, jaki wpływ wywrze na anglo-sasońską umysłowość i jej produkty — dotąd niewiadomo. Obecnie znać tylko tyle, że podróżujący Anglik stał się ze sztywnego uprzejmym i że literatura angielska odbija w sobie charakterystyczne cechy wszystkich ludów i krajów, nad któremi powiewa *Union-Jack*, t. j. sztandar angielski. Z utworów Kiplinga i jego naśladowców zna się Indye lepiej, niż niejeden kraj europejski, dzięki innym zna się podobnie południową Afrykę lub Australię — słowem, człowiek czytający po angielsku, wie z lekkiej literatury tysiące rzeczy, których inni z suchych ksiąg etno- i geograficznych uczyć się muszą. A jakże inną, o ile żywotniejszą jest wiedza, czerpana z życiowych, choćby cudzych wrażeń i doświadczeń od wykutej i wybębnionej z zawsze nudnego acz najdokładniejszego podręcznika! Nie ma się przez to rozumieć, że nie należy się uczyć, tylko czytać romanse — ale, że są powieści, które na gruncie „nauczonych" wiadomości działają jak haft na kanwie, nadając jej wypukłość, bogactwo barw i rysunku — takich zaś jest obecnie wiele w belletrystyce angielskiej. Któż n. p. czytając Hichens'a *The garden of Allah* (Ogród Allaha) nie czuł się na pewien czas przeniesionym na brzeg Sahary, do Beni Mora „kędy granic pustyni pilnujące głazy — dziką na Beduina poglądają twarzą"? Kto wraz z autorem nie zapuszczał się nocą w ciasne uliczki arabskiego miasteczka, nie napełniał uszu jego dziwnemi dźwiękami, oddechu jego niezwykłą wonią, umysłu jego tajemniczym czarem? Co prawda, pisarz musi sam silnie odczuwać, aby módz wrażeniem swojem czytelnika ogarnąć. Robert Hichens zaś zdaje się czuć bardzo silnie a niekiedy głęboko.

Fakt, na którym oparł swą fabułę, zaszedł istotnie, ogrody Hr. Anteoini i jego willa dotąd istnieją. Dziś jeszcze można z poza ich muru patrzeć w bezmiar pustyni tam, zkąd nań patrzała Domini, myśląc o człowieku, który „uciekł był od modlitwy", a którego silną a miłosną dłonią napowrót do stóp ołtarza przywiodła

i wraz z ofiarą własnego szczęścia na zawsze oddała Bogu. Są osoby, które umyślnie podróż do Beni Mora odbyły, aby tam utwór o *Ogrodzie Allaha* odczytać...

Ktoby jednak, oparłszy się na tej książce, wnioskował o pobożności jej twórcy — uległby pewnemu złudzeniu. Hichens wierzy silnie w Boga i posiada bardzo wyrobiony zmysł moralny. Forma religii wszakże jest dlań obojętną: byle się kto modlił gorąco i szczerze — to już mu dobrze, a w dzisiejszych czasach czytelnik i za to jest wdzięczny. Hichens jest przedewszystkiem śpiewakiem słońca. Byłby jak ptak w klatce oniemiał i zmarniał, gdyby go życie było uwięziło w ciemnej północy. Szczęśliwszym był od Heinego, który nadarmo śpiewał:

Es leuchtet die Ferne im goldenen Licht —.
Doch zieht mich der Nord, ich erreiche sie nicht!

To też krom dwóch osnutych na tle okkultystycznem wszystkie dotychczasowe utwory Hichensa oblane są i przesiąknięte słońcem Włoch lub Egiptu.

Jedna z nich niedawno wyszła z druku p. t. *The spell of Egypt* — Czar Egiptu! sumuje w sobie wrażenia autora i wszystkich ludzi, którzy byli nad Nilem, wszystkich, prócz tych oczywiście, o których Goethe mówi, że mogą cały świat objechać nie widziawszy nic oprócz siebie. Nie jestto powieść, ale szereg obrazów, panorama, w której przed naszym wzrokiem i przed naszą duszą przesuwają się kolejno Sfinx, piramidy, śpiewne niegdyś, a dziś nieme kolossy Memnona, groby królów, ogniste barwą czeluście skał libijskich, fale Nilu w dzień brunatne i mętne a przy zachodzie słońca tonące w purpurze i złocie, ciemne postacie fellahów, schylające się rytmicznie z dziwnym okrzykiem pół-wołaniem, pół-pieśnią nad otworami szluz rozprowadzających wodę po zielonych polach wybrzeży. Nadewszystko zaś świątynie, przed tysiącami lat wspaniałe i ludne, dziś piękne jeszcze, królujące majestatem wieku, ogromu i kształtów. Autor lubił chodzić tam bez towarzyszy i siadłszy u stóp kolumny samotnie dumać wpatrzony jak w Denderah w kamienne lotusy, tworzące kapitele filarów, w półzatarte na ścianach barwy wśród

których „jakoby szmat nieba“ przeziera jeszcze żywy a delikatny lazur — kolor miłości u dawnych i u dzisiejszych Egipcyan. A lazur musiał w Denderah przeważać, bo to była świątynia egipskiej Afrodyte, bogini Hathor, której twarz niegdyś widniała z każdego filaru a dziś już na jednym tylko została, ale jakaś znękana, wylękła, istna twarz zrzuconej z tronu królowej. Dziś w ciemnych głębiach świątyni gnieździ się nocne ptactwo i z głuchym szumem wielkiemi skrzydłami o kamienne lotusy uderza. Jak tu bywało dawniej — wyobrazić sobie trudno, bo nie same wonne westchnienia dziewic wzlatywały ku stropom świątyni, a sama Mumia jednej z kapłanek Hathory, tchnąca po dziś dzień wyrazem zgrozy i nadludzkiego wysiłku, świadczy jakie szatańskie formy przybierał w rzeczywistości kult onych bóstw, których poeci tylko estetyczną stronę widzieli. Ztąd nieraz zamięszanie pojęć, oskarżanie Chrystyanizmu o ponure niszczenie piękna. Sam p. Hichens popada chwilowo w podobny zapał oburzenia, piętnuje wściekłość, z jaką dawni chrześcijanie niszczyli zabytki, które dzisiejsi chrześcijanie odkopują z miłością. Ma słuszność o tyle, że obecnie inaczej zachowalibyśmy się względem pogańskiej świątyni, z której byśmy wyrzucili tylko bałwany... Zapomina jednak i on i jemu podobni, że owych zniszczeń dokonywali nie chrześcijanie rzymscy lub helleńscy, ale świeżo nawrócone najezdnicze ludy Hunnowie, Goci, Ostrogoci, Wizygoci i Wandale — na tych ostatnich potem całą winę złożono, choć jak się obecnie ukazuje, oni jeszcze mniej od innych burzyli. Zapominają zwłaszcza o Islamie i o najgorszym z niszczycieli — o czasie! Ten, jak wiadomo, łaskawszym jest w Egipcie, niż gdziekolwiek na ziemi, opary Nilu dochodzącego w czasie zalewu niemal pod stopy Sfinksa mniej są zgryźliwe od pleśni naszych jesieni, a żar słoneczny od uścisku mroźnych zim i trzeba ludzkiej drapieżności dla zbezczeszczenia zwłok, które uszanowało robactwo... Nie mniej przeto i tu czas działa. Toż on, nie ludzie, starł rysy kolossów Memnona, on zarył piaskiem w Deir-al-Bahori misterną świątynię królowej Haczepsu, odgrzebaną dziś i odmalowaną na niebiesko, różowo i pomarańczowo, jak była niegdyś, z zalotną niemal elegancyą przedwieczną. More-

lowe jej kolumienki odbijają pono zdala na tle płomiennych skał. Sama postać królowej jednak podwakroć odmalowana na wewnętrznych ścianach wygląda raczej chciwa i zła, niż zalotna — choć nie znać u niej brody, jaką dla silniejszego określenia jej męskiego umysłu obdarzyła ją w tradycyi wyobraźnia ludowa.

Czas również pono powalił w Ramasseum olbrzymi posąg Ramzesa II., a ludzie zabrali całą dolną część ciała tak, iż tylko tułów i głowa leżą na ziemi, która zda się jęczeć pod nadmiarem ciężaru. Ale ani czas, ani ludzie nie zdołali stłumić chwały i zatrzeć pamięci wielkiego Faraona. Cały kraj pełen jest jego wspomnień, jego dzieł, jego świetności, zturczony Egipcyanin z bałwochwalczą czcią imię jego wymawia — po dziś dzień Ramzes III. nad Egiptem panuje. Ten władca, jak świadczą egipskie pisma, prowadził wojny jedynie obronne, walczył w nich osobiście stawiając czoło tłumom nieprzyjaciół; obronny też wygląd nadał świątyni zbudowanej przez siebie w dzisiejszym Medinet-Abu. Tu nie masz smukłych kolumn, uwieńczonych kwiatem lotusu, nie masz wdzięku, jaki po tysiącach lat błąka się wśród ruin w Edfu, w Karnaku, w Luxorze. W Medinet-Abu czuć powagę, czuć siłę, przypominają się feudalne zamki północnych stref. A siła jest tak wielka, iż w niej czuć spokój, jaki wypływa z poczucia bezpieczeństwa i zupełnej ufności we własną moc. I istotnie Ramzes III. „ostatni z wielkich władców Egiptu" mienił się być równym bożkowi wojny Mentu, czczonemu w jego wieku niemal na równi z Amnonem. W ostatnim okresie swego 31-letniego panowania Ramzes III. oddawał się magii i dwór swój czarownikami napełniał. Po dziś dzień wiara w czary nie wygasła w Egipcie. Hichens opowiada, że w Luxorze ofiarowano mu za parę funtów st. talizman, mający chronić życie i zdrowie; na dowód zaś żądano, aby przyszedł w nocy z psem i rewolwerem. Psu miano zawiesić u szyi talizman, a potem sześć razy doń strzelić. O zmierzchu autor istotnie począł się oglądać za psem i znalazł jednego z wielu głodnych a bezpańskich egipskich psów. Zwierzę jednak jęło wyć tak żałośnie, iż wolał je puścić, narażając czarownika na próżne czekanie.

Co właściwie stanowi czar Egiptu? pyta sam siebie Hichens.

Toż inne strony północnej Afryki — choćby sama Algieria — są bez porównania więcej urozmaicone, bardziej uderzające i malownicze, niż ten kraj, składający się z rzeki i po obu jej brzegach skrawków uprawnej ziemi, zamkniętej linią piasku lub skał. Otóż głównym czarownikiem tutaj, głównym cudotwórcą est słońce. Egipcyanie byli po wsze czasy i na różny sposób czcicielami słońca. Nie dziw też, iż wyobrażenie Horusa o głowie jastrzębiej spotyka się wszędzie, we wszystkich świątyniach i na wszystkich grobach, malowane, albo rzeźbione, że sam Sfinks — według najnowszych badań — jest tego boga posągiem, że wreszcie jemu poświęconą była najwspanialsza z świątyń Egiptu — Edfu. Tylko, że według autora nawet bóg-słońce byłby zbyt małym w ścianach takiego chramu. Wśród tego ogromu wspaniałości, wśród niezrównanej piękności i doskonałości form dusza milknie, przejęta uwielbieniem nie Horusa, nawet nie Amnona i całej egipskiej tryady, ale „ukrytego" prawdziwego Boga. Tu nareszcie wybitna cześć autora dla każdej, szczerze wyznawanej religii ustępuje miejsca uczuciom Chrześcijanina, wobec których umysł jego już wprost się buntuje przeciw egipskim wierzeniom, gdy płynąc wzwyż Nilu ku Nubii napotyka Kom - Ombos, świątynię Sebeka, czyli krokodyla. Ogląda w niej mumie starych krokodylów i dziwuje się niedorzeczności ludzkiej, znajdując dla niej jedno tylko tłumaczenie: otóż krokodyl był symbolem Seta, to jest ducha złego. Wnioskuje więc, że Egipcyanie chcieli dla bezpieczeństwa i dyabłu świeczkę zapalić...

Książka kończy się wycieczką po ulicach starego Kairu, tam, gdzie u progu zatrzymuje się strychulec zachodniej cywilizacyi, gdzie zamierają odgłosy lokomotyw, samochodów, tramwajów. Tu już nie prawy Egipt, ale arabski wschód, miejscami pełen zgiełku i wrzawy, to znów dokoła starych meczetów pusty, ponury i głuchy. Tu pod szaremi arkadami z kamienia siedzą postacie ludzkie, których wieku niepodobna odgadnąć. Rzekłbyś, że skamieniały, i że pod dotknięciem może w proch się rozpadną wraz ze strzępami łachmanów, które je okrywają. Ale nie! tu się nic nie rozpada, nic umrzeć nie chce, jak n. p. owe szeregi kamie-

nic szaro-zielonych, pochylonych starością jedna ku drugiej, patrzących w ulicę ślepemi oczami okien, osłoniętych zmurszałą drewnianą kratą. Brzydkie są, posępne i niemal nie tajemnicze, bo w ich wnętrzu myśl odgaduje haremy zwiędłych wiedźm... Wśród takich domów stoi kościół koptycki, wybielony wewnątrz, ale także okropnie stary. Nie ma w nim piękności, a przecież zawiera skarb drogi — bo jego krypta osłania miejsce, gdzie według tradycyi Najświętsza Panna z Dzieciątkiem Jezus spoczęła, przybywszy do ziemi egipskiej...

Tegoż samego autora dwutomowa powieść *Bella Donna*, skreśloną jest przeważnie także na tle Egiptu, oświetlona tym samym morzem palącego żaru; nad Nilem zamieniającym się o zachodzie słońca w szeroką wstęgę purpury i złota. Bez tego cudownego tła powieść byłaby tylko pełną grozy psychologiczną zagadką. Do połowy pierwszego tomu dramat rozgrywa się w Londynie — jestto wszakże jakoby przedmową. U wstępu widzimy postać wielkiego lekarza, Żyda cieszącego się szybkim powodzeniem, „jakiego tylko Żyd w Londynie doznać może". Warto zauważyć, iż obecnie w utworach angielskich spotyka się coraz częściej na pierwszym planie osobistości żydowskie, odmalowane w różnych odcieniach, z różnemi charakterystycznemi rysami, przeważnie sympatyczne, a zawsze interesujące w całości. Jestto jednym z dowodów siły umysłowości angielskiej, że zdoła objektywnie studyować to, co nas zbyt blizko a nieraz zbyt boleśnie dotyka, abyśmy spokojnie obserwować je mogli. Z drugiej strony jednak, czy nie masz w tej objektywności zbytniego zaufania we własną żywotność wobec żywiołu wnikającego coraz gęściej i głębiej w organizm narodu? Hichens wspomina mimochodem o licznych typach żydowskich, napotykanych w przedmieściach Londynu; spotyka się ich też nie tylko w kupieckiej City, ale i po salonach wyłącznej niegdyś a dziś wielce zamerykanizowanej arystokracyi angielskiej. Na to zaś, aby jakikolwiek rys społeczeństwa odbił się w literaturze musi już być dobitnym... Owóż p. Hichens na pierwszej stronie swojej powieści odmalował Żyda. Lekarz Meyer Isaacson był od pewnego czasu bożyszczem stolicy. Czterdziestoletni, średniego

wzrostu, o wyraźnym typie swej rasy, oświetlonym wielkimi oczami, posiadał prócz silnej intelligencyi i poważnej wiedzy pewien subtelny instykt, „zrodzony z kobiecości, której każdy Żyd w sobie odrobinę posiada". Instynkt ów w sławnej jego, bo zawsze trafnej dyagnozie, wiódł go do badania psychicznego stanu chorych, jako wpływającego najczęściej na ich organizm fizyczny. Niejeden pacyent odchodził od niego skrzywiony, gdy mu wielki lekarz zamiast pigułek przepisał obok życia hygienicznego każdodniową, kilkugodzinną pracę — o ile możności „dla drugich". Nie wszystkim było przyjemnie pod błyszczącym wzrokiem, który zdał się przenikać do dna sumienia. Znalazła się przecież kobieta dość śmiała, aby wyzwać tę siłę. Pewnego wieczora do gabinetu doktora weszła Mrs. Chepstow sławna z piękności i lekkiego życia — Bella Donna, jak ją zwano w Londynie. Przyszła poradzić się na stan moralnego znużenia, który według niej mógł tylko mieć źródło fizyczne, „dusza bowiem i wszystko co jej dotyczy, to niedorzeczność. Życia należy używać póki się da, kobieta zaś może go używać tylko póki jest młoda, a pozostaje młodą, póki się nią czuć nie przestaje". Słowem roztoczyła cały program materyalizmu, zastrzegając się przytem, że mówi nie do „człowieka", ale do „lekarza", obowiązanego niemal jak spowiednik *au secret professionel*. Poczem dowiedziawszy się, że jej fizycznie nic nie brakuje, wyszła zostawiając bardzo silne a przykre wrażenie. Isaacson wiedział o niej, że jest z dobrego rodu, i że była wychowana wśród szalonego zbytku, a potem przez zrujnowaną matkę sprzedana w małżeństwo bogatemu przemysłowcowi, który po paru latach odkrywszy, iż go zdradza rozwiódł się z nią w sposób rozgłośny; że następnie wzgardzona przez porządnych ludzi prowadziła dalej zbytkowne życie kosztem kolejnych adoratorów, aż wreszcie minąwszy czterdziestkę, piękna jeszcze, ale umalowana, musiała się zadawalniać przygodnemi hołdami bezwąsych studentów. „Co ona odemnie chciała?" myślał doktór. Wkrótce miał się dowiedzieć. — Otóż tego samego wieczora spotkał bardzo ukochanego przyjaciela, powracającego z długiego pobytu w Egipcie. Nigel Armine, młodszy brat i prawdopodobny dziedzic bezdzie-

tnego Lorda Harwich, był najpiękniejszym typem rycerskości zabłąkanym w zaranie XX. wieku. Wysoki, smukły, jasnowłosy, o silnych ramionach i spracowanych rękach a wykwintnej twarzy, zdał się nieść światło przez samą swą obecność. Przed kilku laty, wziąwszy piękny majątek po matce oddał się był sercem i duszą dobru swych ubogich dzierżawców, zakładał szkoły, biblioteki, szpitale, schroniska — poczem, gdy powstał spór o używanie jakiejś pobocznej dróżki, dzierżawcy stanęli zajadle przeciw niemu niepomni doznanych dobrodziejstw. Wtedy Nigel rzucił wszystko, majątek tanio wypuścił i podążył do Egiptu, do wielkiej a żyznej oazy Fajum, gdzie zakupiwszy grunta jął pracować nad zdobywaniem i użyźnianiem ziemi pustynnej. Był to człowiek rozumny, o sercu dziecka i duszy gołębia, wierzący nietylko w dobro u ludzi, ale w możność wywołania go przez wiarę w jego istnienie: „Samem posądzeniem o nieuczciwość — mawiał — czynisz człowieka złodziejem; jeśli zaś przeciwnie okażesz mu ufność i szacunek, przez to samo powstrzymasz go od złego. W każdej, najniżej upadłej istocie istnieją pierwiastki dobrego; świat odpychając taką istotę, depce te pierwiastki w jej duszy, gdy przeciwnie należy je wydobyć, pogrążając w cień zapomnienia wszystkie przymieszki złego". Nigel Armine czytał był dużo Tołstoja... W dwie godziny po spotkaniu Isaacsona zaprowadził go do sali restauracyjnej hotelu Savoy, gdzie był zamieszkał — po chwili weszła do sali Mrs. Chepstow. Sprytna kobieta, dowiedziawszy się o przyjaźni między lekarzem a upatrzoną ofiarą, uprzedziła tegoż wpływ sobie przeciwny, zawiązując mu usta. Isaacson mógł wobec Nigla walczyć już tylko wykazywaniem faktów — tych jednak najmniej się bała. Odgadła, że Nigel da się najpewniej schwytać pozorami głębokiej a dyskretnej skruchy, niedolą samotnej, odrzuconej przez wszystkich za grzech młodzieńczej płochości, ukrywającej pod cichością smutku skarby najszlachetniejszych uczuć. I rozpoczęła się, przeważnie po za plecami Isaacsona, subtelna strategia, działanie wprzód na litość, potem na umysł a wreszcie na całą istotę zbyt niewinnego człowieka, tem silniejsze, iż w znacznej części dokonywało się listownie, w czasie kilkotygodnio-

wego pobytu Nigela wśród jego rodziny. Czy się im zwierzył z zamiarów? autor nie pisze, ale wkrótce po powrocie do Londynu Armine i Bella Donna wyjechali razem do Egiptu. Wtedy dopiero Isaacson dowiedział się, że byli cywilnie pobrani.

Nigel rozpoczął dzielnie przedsięwzięte dzieło podniesienia i uszlachetnienia kobiety, którą poślubił, a rozpoczął przez samego siebie: zanim będzie mógł na nią podziałać musi sam się nauczyć być doskonałym małżonkiem. I był nim w istocie, choć nie same róże zbierał w czasie tych „miodowych" tygodni. Jego związek z Bella Donną nie ją podniósł do jego godności, ale na niego samego rozciągnął ową „szatę niesławy", jaką była słusznie okryta. Już na statku, wiozącym ich do Aleksandryi spotkał się z ubliżającą ciekawością, a następnie z lodowatem obejściem znajomych. Jął ich tedy unikać; tak był jednak zajęty osłanianiem żony przed każdą przykrością, iż nie mmiał czasu myśleć o sobie. Z jednym tylko towarzyszem podróży rozmawiał, zapoznawszy się z nim przy wspólnym stole. Od pierwszego spojrzenia uderzyła go niezwykła postać młodego mężczyzny o przepysznych kształtach, wytwornem odzieniu i wielkopańskiem obejściu, o wzroku pałającym inteligencyą i siłą życiową. Był to Mahmoud Baroudi, pół Grek a pół Egipcyan, potężny bogactwem i wpływem, głowa przeróżnych wielkich przedsiębiorstw, mahometanin mile widziany przez władze angielskie, a bałwochwalczo czczony przez swoich. Z tym Nigel dużo rozmawiał, zbierając skwapliwie wiadomości i praktyczne rady; z nim też Mahmoud Baroudi okazywał się wylanym i ożywionym. Wobec żony jego przeciwnie przestawał na skąpych oznakach najbanialniejszej grzeczności. Przybiwszy do portu w Aleksandryi zamienił kapelusz na narodowy tarbusz i pożegnawszy się zniknął z ich życia — jak się zdawało — na zawsze. Tymczasem już pierwszego wieczora po przybyciu Arminów do willi, którą Nigel najął był nad brzegiem Nilu w Luxorze, powitał ich przeciągły śpiew Arabów w łodzi, zatrzymanej po przeciwnej stronie rzeki. Później dopiero miała pani Armine dowiedzieć się, że była to serenada inscenizowana przez Baroudiego... Nie łatwym do określenia był stan jej umysłu w tych czasach. Ogromnie dbała o wygody życia a mało czuła na piękności

natury i sztuki, musiała wszakże przed mężem udawać, by nie wyjść ze swej roli. I rzeczywiście odgrywała ją dobrze do chwili, gdy z Anglii nadeszła wieść druzgocąca cały gmach jej nadziei. W jej oczach Nigel był tylko dziedzicem Lorda Harwich, którego życie wisiało na włosku. Jako hrabina Harwich zmusiłaby go do uległości, do zadosyć uczynienia cały ten wielki świat, który ją odepchnął. Wieść zaś niosła, że obecna Lady Harwich szczęśliwie powiła dwóch synków! Co gorzej — Nigel żeniąc się, wiedział o odmiennym stanie bratowej i nie powiedział nic — a teraz nawet się nie zmartwił tylko trochę dla niej. Pani Armine nie mogła wstrzymać ruchu niezadowolenia, i to wszakże umiała obrócić na swoją korzyść, udając oburzenie na męża, iż ten mógł przez chwilę posądzić ją o interesowność. „Ale cóż dziwnego? — mówiła z goryczą — mnie przecież tylko o zło posądzić można"! I biedny, niwinny Nigel przepędził noc bardzo smutno, przemyśliwiając nad sposobami naprawienia krzywdy, wyrządzonej żonie. Ta zaś pozwoliła się łaskawie przeprosić, wspominając wszakże, iż zadana jej rana, nie łatwo da się zagoić. Ją też zaczynał chwytać czar Wschodu, ale nie ten wzniosły i czysty, płynący z kamiennych oczu Stinksa, z dalekich głosów pustyni, z płomiennych blasków zachodzącego słońca... Nigel spotkał był raz w Luxorze Baroudiego, który zaprosił go wraz z żoną na zwiedzenie cudnej jego dahabiei „Lulii". Tu pani Armine po raz pierwszy ujrzała się wśród wschodniego zbytku, wschodniej atmosfery zapachów i dźwięków i wtedy cała jej istota zadrgała chciwie. Byłaby rada została na łodzi bodaj za odaliskę, bodaj za niewolnicę... Trzeba jednak było powrócć na ląd. „Lulia" tegoż wieczora jeszcze odpłynęła z Luxoru, a wkrótce potem i Nigel odjechał do swej posiadłości w Fajum, by tam choć pod namiotem urządzić wygodne schronisko dla żony.

Pani Armine pozostała w Luxorze sama z garderobianą paryską i męską służbą krajową, wpatrzoną w nią jak w gwiazdę i pozornie niewolniczo oddaną. Takim był w istocie piękny a uczciwy Hassan, o ciemnej twarzy, białem odzieniu i szkarłatnym pasie. Prócz niego atoli był młody, długi, wiotki dragoman Ibrahim i zwerbowany przezeń na stałe wraz ze swoim osłem Hamza

the praying donkey-boy, jak go zwano w Luxorze, dziwny chłopiec, o tajemniczych oczach, spędzający lato na modlitwie w pośród derwiszów, a podczas egipskiego sezonu umiejący wyprzedzać swych nie-mistycznych towarzyszy w eskortowaniu największych bogaczy do ciekawości miejscowych. Ibrahim był dawnym sługą Baroudiego, Hamza zaś jego moralną własnością — Barondi bowiem powiózł go był na swój koszt do Mekki, kupując sobie przez to jego dozgonną niewolniczą wdzięczność. Hamza mówił wogóle mało, a po angielsku prawie nic; każdą chwilę wolną od pracy poświęcał modlitwie; miał przytem — jak wogóle Muzułmanin — inne od naszego sumienie i wręcz inny rządzący niem kodeks. Był subtelniejszym od Ibrahima o i parę stopni mniej uczciwym. Dla obu atoli Mahmoud Barondi był istotą wyższą, stojącą tuż po Allahu i Mahomecie, a chwilami może między Allahem a Prorokiem. W dzień wyjazdu Nigela, gdy pani Armine zapytała Ibrahima, coby robić przez ten cały dzień, odpowiedział: „Jechać" i już po chwili przebyli Nil i wylądowali po stronie Teb. Tu czekał Hamza, który wsadził ją na gotowego już osła, poczem nie mówiąc nic, skierowali się ku górom libijskim. „Bella Donna" nie zapytała nawet dokąd ją wiozą. Owiana czarem cudownego powietrza, podniecona poczuciem swobody w nieobecności męża, zaprzątnięta nowym kierunkiem pożądań i myśli, dała się unosić w milczeniu przez pola zielone, mijając w dali znajome już świątynie. Upał stawał się coraz większym, południe się zbliżało gdy Hamza wreszcie zatrzymał osła. Pani Armine rozejrzała się; byli jakoby w piecu ognistym, zewsząd otoczeni ostremi zrębami skał, mieniących się od blado-żółtego do ciemnej purpury wszystkiemi barwami płomienia. Ziemia paliła pod nogami, nie było jednej trawki wśród urwisk, ani szmeru wody na głębiach przepaści. „Zapytanie: Po coście mnie tu przywieźli?" drgało na ustach kobiety, ale go nie wymówiła. Arabowie zaś spiesznie rozwijali przywiezione przyrządy do herbaty poczem jeden z nich powiódł ją na tonący w cieniu wyłom skalisty, gdzie rozścielone kobierce i wschodnie poduszki zdały się oczekiwać jej przybycia. Zdziwiona trochę, ale rada usiadła — opodal Hamza już klęczał wśród żaru i bił czołem

w ziemię, szemrząc pacierze. Nie wiadomo czemu przeszedł ją dreszcz. Po chwili jednak obaj służący znikli, a ją w tej ciepłej samotności i ciszy, wśród miękkości jedwabnych wezgłowi ogarnęło toż samo uczucie, co w kabinie na „Lulii". Zamknęła oczy, a gdy je otwarła, przed nią wsparty o skałę stał Mahmoud Baroudi. Był w białym europejskim stroju, a jednak zdał się bardzo wschodnim, wschodnim w powolnych ruchach potężnej postaci, wschodnim w wytwornych a rozkazujących tonach swego głosu, wschodnim zwłaszcza spojrzeniu, które przenikało do głębi, nie dozwalając nic dostrzedz z własnej jego duszy. Z paru słów pani Armine zrozumiała, że od pierwszego jej kroku na ziemi Egipskiej, człowiek ten zarzucił na nią sieć, z której uwolnić się ani mogła, ni chciała. Ona, która dotąd miotała losem innych, po raz pierwszy czuła nad sobą moc cudzej woli, cudzego ducha, do którego nie posiadała klucza.

Z Baroduim jednak była swobodniejszą, niż wobec łagodności Nigela; wiedziała iż ten nie wymaga od niej cnoty, nie upatruje wzniosłych uczuć ni celów, że domyślając się jaką jest, nie pyta czem była, lecz zamierza pokierować jej najbliższą przyszłością. Uderzyło ją przytem, iż wśród lekkiej szermierki słów jaka wywiązała się między nimi, Baroudi z umysłu używał francuskiego języka. Unikał angielszczyzny — bo w głębi duszy nienawidził Anglików. Było w nim jakoby dwóch ludzi: Grek przemyślny, przedsiębiorczy, rzutny, o umyśle jasnym a ściśle praktycznym i Turko-Egipcyanin fanatyczny, namiętny, chciwy rozkoszy i zbytku, nie znający tamy w zawiści lub żądzy. Tylko, że w nim Grek służył Egipcynowi. Potrafił dla dogodzenia fantazyi zrujnować człowieka tak zręcznie, iż ten winiąc sam siebie, przeklinał swoje szaleństwo, iż nie usłuchał mądrych jego wskazówek. Potrafił wiele innych rzeczy... opowiadać o Egipcyanach, którzy uwodzą żony Anglikom, mszcząc się za ich polityczną przewagę. Baroudiego widywano w całym blasku umysłowej i materyalnej wytworności Zachodu świecącego w europejskich salonach, inni widywali go wśród barbarzyńskiego przepychu z twarzą ku wschodowi zwróconą, bijącego kornie czołem w godzinach modlitwy. Byli i tacy, co poznawali jego wyniosłą

postać w Muzułmaninie o zszarzanej odzieży i brudnym turbanie wkradającym się nocą do nory palaczy haszyszu. Teraz zaś pani Armine patrzała na niego wśród płomienistych skał, wspominała tajemniczą twarz pobożnego Hamzy, łagodne oblicze Ibrahima i pomyślała, że to jest prawdziwy Egipt — uśmiechnięty, pododny, milczący na zewnątrz, a pod tą powłoką buchający nienawiścią, żądzą brudnych chuci, samowoli i zemsty. I wszystko, co w niej było złem wybiegło naprzeciw osaczającemu ją złu. Mahmond Baroudi oczarował ją samem swem gładkiem a despotycznem obejściem — ani wtedy jednak ani w kilka dni później gdy łódka Ibrahima powiozła ją do jego nadbrzeżnej willi, tonącej wśród zieleni rozległych pomarańczowych plantacyi nie wyrzekł ani słowa mogącego o jej losie stanowić, ani słowa ubliżającego dla jej męża. Jakże obcym wydawał się jej wtedy ów jasnowłosy, Nigel rycerski, Nigel ze swą kryształową wiarą w jej nawrócenie i żal! Wszakże gdy powrócił przyjęła go dobrze i dała się przezeń powieść do „egipskiego raju", do Tajum w oazę wybujałej wilgocią roślinności, gdzie trzeba było żyć pod namiotem i gdzie po dniu ciężkiej pracy nad „zdobywaniem pustyni" Nigel zmęczony, ale szczęśliwy prowadził ją za całą uciechę słuchać rechotania żab w sąsiednim moczarku. Co prawda namiot był kosztowny, bo opatrzony wszelkiemi wygodami jakiemi najnowsza cywilizacya może podróżnika obdarzyć — więc pani Armine wyrażała swą wdzięczność i odgrywała rolę troskliwej nawet gospodarnej małżonki. Nigel znajdował ją stokroć piękniejszą niż była w Londynie, cieszył się, że się przestała malować. Bo też klimat Egiptu – jak to pono nieraz bywa — zdziałał był cuda, wracając jej chwilowo świeżość lat młodych. Bella Dona słuchała mile pochwał męża — myśląc przytem o innych celach, do których jej ta piękność posłużyć miała. Obecne położenie zdało jej się przejściowem a pracowicie odgrywana komedya cnoty sposobem zarobienia sobie na wolność. Jak do niej dojdzie jeszcze nie wiedziała, ale wiedziała, że dojść musi, bo chce. O Mahmoudzie znów było głucho. Pewnego dnia Nigel wybrał się z nią nad „święte jezioro" Kurun. Tu już nie

było palm ni zieleni, tylko wielka szara przestrzeń wód, nieruchoma wśród szarych piasków, pod szarem tego dnia niebem. Tu Nigel miał polować na kaczki równie liczne obecnie jak bywały za czasów Ramzesów, dzienne łowy nie udały się więc postanowił wybrać się na całą noc w towarzystwie jednego z krajowców. Znów zatem Pani Armine pozostała sama i wolna i znów z tej wolności skorzystała straż postawiona przy niej przez Baroudiego. Zaledwie światła po namiotach zagasły Ibrahim i Hamza nie mówiąc jej nic wyprowadzili ją po za obozowisko, po za wał piaszczystych pagórków, aż wśród ciemności dosłyszeli chrapnięcie wielbłąda. Po chwili pani Armine na grzbiecie jego niesiona zbliżała się szybkim krokiem do wiadomego już celu. Tam widniał inny, luźniejszy obóz, a w nim namiot Mahmouda. Przed namiotem kilku ludzi drzemało dokoła ogniska, z boku dochodził dźwięczący głos instrumentu muzycznego. Pani Armine domyśliła się obecności innych kobiet, gdy zaś uchyliwszy jedwabną zasłonę stanęła w progu namiotu powitanie Baroudiego wydało się jej tak wyniosłem i chłodnem, że zrazu chciała odejść napowrót w ciemną noc. Musiała jednak pozostać, a gdy w ciągu rozmowy oświadczyła, iż zażąda od męża popłynięcia Nilem do Assuanu, Baroudi zauważył patrząc w nią bystro, że pani Armine zapewne tak się Nil spodobał, iż z tej podróży nie wróci... Noc ledwie bladła, gdy Bella Donna stanęła w obozie męża nad jeziorem Kurun. Nigel zastał ją pozornie uśpioną, że zaś praca jego w Fajum była chwilowo skończoną, wkrótce potem oboje wrócili do Luxoru. „Czemże mógłbym ci się odpłacić za całą twą dobroć i cierpliwość w tej puszczy?“, pytał z rozczuleniem żony a ona odrzekła: „Wycieczką po Nilu!“ — I jakoś dziwnie korzystnie się złożyło, iż dahabieja Mahmouda Baroudiego, Lulia, znalazła się gotowa za tanie pieniądze do wynajęcia z całem urządzeniem i załogą. Do tej Arminowie przyłączyli tylko Ibrahima i Hamzę.

Dr. Isaacson jeden tylko list otrzymał był od przyjaciela, list promieniejący szczęściem, miłością i dumą, namawiający na przyjazd do Egiptu, tak jakby chciał powiedzieć: „Przypatrz

się mej szczęśliwości i przyznaj żem miał słuszność!“ [1] — W pewien czas atoli przyszedł list drugi, nie już od Nigela ale od jednej z pacyentek posłanych na słońce. Ta wśród różnych nowinek z przygodnej angielskiej kolonii doniosła, iż widziano tu Arminów w przejeździe ku kataraktom, iż są bardzo czułą parą, ale że on jest chory, podobno wskutek słonecznego udaru i że tych, którzy go widzieli uderzył zwłaszcza dziwny koloryt jego twarzy, szary niemal do siności. Isaacson od pewnego czasu walczył między obowiązkami swej praktyki lekarskiej a jakąś tęsknotą, która go parła do ziemi egipskiej, jakoby do własnej ojczyzny. Toż widział, że kilka pokoleń jego przodków spędziło życie nad Nilem. Wieść o chorobie Nigela przeważyła szalę. Nie wiedząc nawet czy jest potrzebnym, a zwłaszcza czy jest pragnionym, przeleciał kontynent lotem strzały. W Kairze znajomi potwierdzili wiadomość, dodając, że chory musi być bardzo osłabionym skoro mimo otrzymanej depeszy o zgonie Lorda Harwich nie mógł na pogrzeb pojechać. Isaacson tedy nie uprzedzając Arminów najął łódź nieco mniejszą i lżejszą i puścił się w pogoń za Lulią. I jego wszakże chwycił czar Egiptu, zagłuszając w duszy niepokój tak, że się wzdrygnął w Edfu przechodząc z pod dziennego żaru w ciemne głębie świątyni ujrzał naraz przed sobą wysoką postać pani Armine. Cała w bieli, nieruchoma, wydała mu się dziwnie wysoką, a głos jej gdy go powitała, jej głos zwykle tak cudny — dziwnie chrapliwym i ostrym. Gdy ujrzał twarz wyczytał w niej przerażenie, które dopiero po chwili siła woli zdołała pokryć zimną grzecznością. O stanie męża zrazu nie wspominała; na zapytanie złożyła „minioną“ chorobę na udar, na zaziębienie, a wreszcie na żal po stracie brata. Przyrzekła, że da znać listownie czy Nigel odmawiający z powodu tego żalu wszelkiego zetknięcia z ludźmi, zechce przyjąć Isaacsona. Istotnie pod wieczór przywieziono doktorowi list, ale stanowczo odmowny. Nigel, według słów żony, był daleko zdrowszym, ale nie chciał widzieć nikogo. Isaacson uczuł się teraz istotnie zaniepokojonym. Wśród zapadłych już ciemności wysiadł na brzeg

[1] Dodawał przytem iż nigdy w życiu nie czuł się tak zdrowym.

i szedł ku Lulii, u której masztu błękitna lampa jak szafir świeciła w ciemności. Doszedł tuż blizko tak, iż sam niewidziany mógł dostrzedz na pomoście oświetlone osoby, mógł słyszeć słaby, boleśnie zmieniony głos Nigla odpowiadający zapewnieniom żony o szybko powracającem zdrowiu: „A ja ci powiadam że ten doktór nie poznał się na chorobie, że czuję blizką śmierć... Mój Boże! gdyby tu Isaacson był ze mną!" Po chwili gdy głosy umilkły a pani Armine odprowadziwszy chorego wróciła na pokład wszedł nań i Isaacson. Strach, oburzenie, gniew zasyczały w przyciszonym z umysłu głosie kobiety. Przekonana o kłamstwo, drżąca ze złości wikłała się w nowych kłamstwach, to znów wyprężając z pozorem godności swą wyniosłą postać, rozkazywała mu iść precz". Tak jest — pójdę! zawołał w końcu Isaacson ale zamiast na mostek skierował się szybko w stronę gdzie się domyślał kabiny Nigela. Ledwie jednak przekręcił klamkę już w otwierające się drzwi rzuciła się z po za niego pani Armine, wołając wesoło: „A widzisz jaką ci zgotowałam niespodziankę!" I stanęła przy mężu, tak, iż ten nie mógł ani chwili sam z lekarzem pozostać. Pomimo to, pomimo również iż nie mógł wiedzieć, że Hamza wraz z Bella Donną sami co dnia przyspasabiają kawę choremu — wielki lekarz wracając tego wieczora na własną łódź był już pewnym, że ma tu do czynienia ze zbrodnią — z powolnem truciem. Nazajutrz przybywszy na Lulię zastał tam zagospodarowanego innego lekarza — jednakże nie ustąpił. I nastąpiły dwa dni walki z szatańską przebiegłością i złości kobiety. walki o życie lub śmierć, wśród której ponowny rozkwit piękności chwilowo zyskany nad Nilem znikał gwałtownie. W końcu Isaacson zagroził policyą i zwyciężył. Młody lekarz, który dotąd w oczach Bella Donny czytał dyagnozę jej męża, dobrowolnie ustąpił z pola; Isaacson zaś objął nieodstępną straż nad chorym, nie dozwalając mu nic brać do ust prócz przysposobionego pod jego okiem pokarmu. Oddalenie Hamzy ułatwiła zazdrość Ibrahima, zepchniętego od początku żeglugi na drugi plan przez „modlącego się oślarza". Tylko pani Armine nie podobna było oddalić i lekarz musiał z goryczą w duszy słuchać długich wynurzań Nigla o jej poświęceniu, o jej niestrudzo-

nej czujności. „Służyła mi jak niewolnica i tak się biedaczka tem umęczeniem sterała!", mówił czule patrząc w jej zestarzałą twarz i zaostrzone rysy. Isaacson milczał i z drżeniem myślał o chwili, gdy pacyent wróciwszy do sił przestanie potrzebować jego pomocy i znów w zbrodnicze ręce Bella Donny popadnie. Ona tymczasem pozbawiona podniecenia i nadziei polegającej na rychłej śmierci męża, wiła się w mękach jak zwierz dziki w klatce. Pod okiem pogromiciela wytrzymała drogę powrotną do Luxoru, ale tu po paru dniach oznajmiła, że musi dla sprawunków jechać na trzy dni do Kairu i wyjechała — w pościg za Baroudim. Z nieobecności skorzystał Isaacson, acz żadna chyba operacya lekarska nie kosztowała go takiego wysiłku. Zapytywany przez Nigla o istotny powód i charakter minionej choroby stopniowo odsłonił mu prawdę. Z ust Nigla zaledwie zrozumiał, wyrwał się krzyk oburzenia; słowa przyjaciela zdały mu się bluźnierstwem. Isaacson obrzucony obelgami musiał się oddalić, zostawiając wszakże na dowód swych twierdzeń kłamliwy list pani Armine. Ta nie zastała Baroudiego w Kairze, po 24-ch godzinach oczekiwania oznajmiono jej, że wyjechał do Luxoru gdzie załoga Lulii miała rozkaz nań czekać. Pani Armine tedy wróciła wcześniej niż się mąż spodziewał, wróciła roznamiętniona, opanowana jedną tylko myślą: wyrwać się na swobodę! Nigel nie przeczytał był listu zostawionego przez doktora — tak wierzył swojej dobrej, nawróconej żonie! Gdy zapytała o Isaacsona odrzekł, że go za drzwi wyrzucił i powiedział dla czego. Bella Donna odpowiadała skąpo, Nigel sądził że zmęczona i chciał ją z terasy pociągnąć do domu ale pójść nie chciała, a gdy mąż uderzony jej milczeniem i dziwnym wyrazem jej twarzy puścił nagle jej ręce odwróciła się doń gwałtownie wołając: „Więc wyrzuciłeś go za drzwi? — Głupcze! to była prawda!"

I pobiegłszy nad brzeg rzeki zawołała Ibrahima i wskoczyła na łódkę. Po drugiej stronie Nilu widniała „Lulia" oświetlona rzęsiście, strojna, dźwięczna muzyką i śpiewem wioślarzy. Po chwili pani Armine stała w drzwiach kajuty Mahmouda. Siedział wśród jedwabnych wezgłowi w turbanie, z długą fajką w ręku — nie ruszając się z miejsca wlepił we wchodzącą zdzi-

wiony wzrok. I wzrok ten w miarę jak patrzał w jej zmienione lica, stawał się coraz bardziej zimnym i twardym.

— „Przyszłam tu", mówiła pani Armine, „bo mój mąż wie wszystko" . . .

— „Wszystko"?, podchwycił gwałtownie Baroudi.

— „Powiedziałam mu sama: wie, że był otruty i wie przez kogo!"

A na to Baroudi zawołał: „Hamza!" — a gdy wszedł młody Arab, Mahmoud wydał mu w swojej mowie rozkazy, — jej zaś kazał iść za Hamzą. I znów wsiadła na łódkę bezmyślnie prawie i ocknęła się dopiero, gdy łódź dotknęła brzegu naprzeciw willi Nigela. „Nie chcę wyjść", zajęczała, ale wyjść musiała i wraz doszedł ją odgłos wioseł oddalającego się Hamzy. Upłynęła godzina zanim odważyła się zbliżyć do domu; tu przez drzwi otwarte widziała postać Nigela nieruchomego z twarzą ukrytą w dłoniach. Bella Donne podeszła na taras, ale wtem otwarły się drugie drzwi salonu, a w nich ukazał się zdyszany Ibrahim prowadząc za sobą doktora. Isaacson stanął w pośrodku pokoju, poczem obaczywszy postać kobiety za progiem, szybkim ruchem wychylił się i zatrzasnął przed nią okiennice. Bella Donna stała czas jakiś w ciemności a potem otuliwszy płaszcz wkoło siebie poszła na ślepo w czarną noc, w stronę skał i urwisk libijskich.

Takim jest szkielet powieści Hichensa, odarty z cudownych barw otoczenia, z tajemniczego uroku atmosfery, wśród której się dramat rozgrywa. Niektóre postacie w nim jak n. p. Ibrahim są żywcem odmalowane z natury; „Lulia" też była nazwą statku, na którym autor odbył swą drugą żeglugę Nilową. A Baroudi i Hamza? A Nigel i Isaacson? W tych chciał widocznie ujawnić przeciwieństwo dwóch żywiołów, żyjących obok siebie w Egipcie — pierwszy silniejszy przewagą pieśni i w tryumfie swoim naiwny — drugi zaś gładki, nienawidzący a chytry — im gładszy tem niebezpieczniejszy. Sama historya Bella Donny — nie jest dalekim oddźwiękiem Tołstoja? Nie darmo w tegoż pismach wykołysał się rycerski umysł biednego Nigela. Isaacson zaś dla tego może jest tu silniejszym od tego szlachetnego marzyciela,

że może stanowić żywioł pośredni między światem zachodnim a wschodnim. Więc i w tem Żyd wychodzi na pierwszy plan i na pierwsze miejsce. Jedno jeszcze podnieść warto: w owych dwóch tomach zbitego druku wśród sytuacyi drażliwych, z których w pewnych krajach na kontynencie zrobionoby istne bagienko[1] — nie masz jednego brudnego słowa, jednego zmysłowego opisu. Jakże daleko jest taki powieściopisarz od tych co twierdzą, że przymieszka niemoralności jest koniecznym warunkiem powodzenia!

(Dok. nast).

Teresa Wodzicka.

[1] Dość wziąć do ręki takie n. p. utwory jak fantastyczne *La Maison des Hommes Vivants* lub gorzej jeszcze *Le Docteur Lerne Sous-Dieu* Maurycego Bénard. To ostatnie śmiał autor dedykować Wells'owi, jako niby wyrosłe z tego samego założenia co *The Island of Dr. Moreau.* Wątpić należy, aby Wells rad był temu hołdowi, bo gdy u niego celem jest wykazanie istnienia duszy odgraniczającej ludzkość od świata zwierzęcego, u Benarda widzimy tylko dziwaczne pomysły bez żadnej moralnej tezy, ale za to przeplatane szeregiem wprost obrzydliwych opisów absolutnie zbytecznych dla zaokrąglenia treści.

POEZYE.

TRZEJ KRÓLOWIE CZASÓW NASZYCH.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis.

Jadą królowie mędrcowie i magi
Od wschodu swojego już pełni powagi
W purpurze i złocie
Jaskrawym klejnocie
I juczno i huczno i szumnie i dumnie,
Heroldy swoje szląc z trąby złotemi,
Królewskość ich trąbić i państwo na ziemi.
Za nimi dworzany z skarbami:
Z kadzidłem i złotem,
A, choć nie wiedzą nic o tem,
Wiozą też mirrę ukrytą gdzieś na dnie,
Do juk włożoną im zdradnie.

Jadą królowie krajami południa,
I coraz rozgłośniej ich szlak się zaludnia.
W koron swoich złocie
Urzekli już krocie.
W tryumfów wesele lud szaty swe ściele.
Z uśmiechem złote się leją im miody,

Z wesela puharu, z puharu urody,
Z puharu potęgi a sławy,
I w kadzidł dymie
Królewskie suną olbrzymie
Poważne wielbłądów ich nawy.
W dymy lud patrzy i w złote dmie rogi:
Witajcie magi, półbogi.

Padło gdzieś słońce w zielone, w mgłach morze,
I hymny zginęły w pomrocznym wieczorze.
A droga się zwęża
Do zwykłych miar męża —
Więc wielbłąd wspaniały i koń też zostały.
Piechotą dążą królowie i magi.
Za nimi dworzany pozbywszy powagi.
A rosa niebieska w mrok pada —
W niej gasną korony
Szkarłat i płaszcz królewski zetlony
Królewska zanika parada.
We drzwiach stajenki gdy staną, już nocą
Wspomną, gdzie szli tak i po co.
Szopka. — Objawień noc dusza wspomina.
Na ręku u Matki Dziewicy Dziecina.
A Matkę i Króla
Zasłoną otula,
Zachwytem wskróś drżąca, poświata miesiąca.
Z dziecięcych oczu, poprzez łez nalanie,
Wieczności na duszę patrzają otchłanie,
Dźwigając z ciasnego ją łona.
Za ciszą ukryta
Pieśń tajna śpiewa wyśnita.
Za cieniem mrzy światłość tajona.
Dawne zachwyty ich przy Nim w krąg klęczą
Dróg pierwszą uszłe przełęczą.

Stoją Królowie Mędrcowie a Magi
Z pustemi rękoma, z pustemi biesagi:

— „Przędlim z złota sieci
„Na błysk, co się świeci —
„Na chwile motyle, nad młodą urodą —
„I kulim z złota tłąby a cymbały,
„ By głośno nam echa biły naszej chwały.
„Przez złote — szliśmy tu bramy,
„W kadzideł dymie —
„Kąpiący swe imię
„Kadzidła ni złota nie mamy...
„Chyba już tylko dla Ciebie o Pani
„Ta na dnie mirra zostanie!“

Krystyna Saryusz Zaleska.

SYNU! WINA NIE MAJĄ.

Gdyś była Matko w Galilejskiej Kanie;
Na najszczęśliwszem weselu na świecie
A brakło wina we weselnym dzbanie;
Spojrzałaś, słodka, na najświętsze dziecię
I rzekłaś z troską: „Synu! me kochanie,
„Wina nie mają!“ — Cóż jest wino przecie?
Wobec pragnienia narodowej duszy?
O Matko! ratuj!! bo się moc w nas kruszy!!

„Wina nie mają!“ O Królowo nasza!
O! Ty najsłodsza! O! Ty miłosierna!!
Spojrz jak winnica coraz pustsza lasza!!
Tu nie wesele, lecz boleść niezmierna,
Na ślub z niewolą, Matko, Cię zaprasza!!
Nie mamy wina — ale choć cysterna
Niech będzie nasza wolna do czerpania,
Od której, Matko, dziś nas wróg wygania“.

Rzekłaś, najsłodsza, służącym wesela:
„Cokolwiek każe — czyńcie moi mili!“

Ach! ach! to zdanie jekżeż onieśmiela!
Bo, co nam kazał myśmy nie czynili...
Gdy nam swobody huczała kapela...
I do dna czary win swych wychylili;
Nikt nie usłuchał, by do stągw swobody,
Dolać najprostszej obowiązków wody!...

I patrzysz smutna z murów Częstochowy...
I patrzysz smutna z wieży Ostrej Bramy...
Rada do Syna rzec słodkiemi słowy;
Ale nie pewna czy Go usłuchamy...
Czekasz daremnie na cud Chrystusowy,
Któremu sami wciąż stawiamy tamy...
Czekasz... aż sługi Syna usłuchają:
A rzekniesz wtedy: „Synu w i n nie mają!"

T. Lwicz...

KRÓLESTWO NASZE NIE JEST Z TEGO ŚWIATA.

Królestwo nasze nie jest z tego świata,
Nas wiodły zawsze tajemnicze znaki,
Nas kołysała jakaś baśń skrzydlata
I myśmy byli, jako słońca ptaki,
Co gonią szczęścia wieść cudną, nie zgasłą...
A ona trwała z nami długie lata,
Ona głosiła nam wolności hasło...
Królestwo nasze nie jest z tego świata...

Oto idziemy z zadumaną twarzą,
Idziemy cisi skroś rozterki ziemi,
A gwiazdy przecznie nad nami się zarzą,
Jak przewodniczki blaskami jasnymi.
Śnią się nam moce niepojęte Ducha,
Dalekie dzieje tęsknotą się marzą:
A choć nas ziemska goni zawierucha,
Idziemy cisi — z zadumaną twarzą...

Czasem... gdy skrzydła anielskie nam rosną
I złote nimby u skroni się złocą,
Nucim pieśń dziwną, tryumfem radosną,
Pieśń, co jest prawdą i pięknem i mocą,
I płyniem wtedy w bezmiar rozmodleni
Ową cudowną naszej duszy wiosną
W szczęściu bez końca i w światło bez cieni,
Czasem.. gdy skrzydła anielskie nam rosną...

Królestwo nasze nie jest z tego świata
I przeto jasnem patrzymy obliczem
Na dłoń, co z cierni nam wieniec uplata,
Bo ziemski ból ten, gdy przejdzie jest niczem!
Nas już nie kusi potęgi korona
I nie olśniewa uciech złota szata,
Ku innym skarbom wznosimy ramiona,
Królestwo nasze nie z tego jest świata...

Bowiem mieszkaniem ono wielkiej ciszy
I uroczystą modlitwą pokoju,
Pieśnią przedziwną, której ten nie słyszy,
Kto traci chwile w marnej troski boju,
Obcą nam życia pozioma zawiłość
I otchłań ciemna, która zemstą dyszy,
Bo w księgach naszych napisano: miłość.
Królestwo nasze jest mieszkaniem ciszy...

Bo myśmy syny wielkiego zakonu,
Co się łez krwawych i nocy nie boi,
Co tryumfuje cichą męką zgonu
Z nienaruszonych wieczności podwoi,
I dusze nasze ku jutrzni dalekiej
Zwołuje czasem śpiewna mowa dzwonu,
Jako wołała i niegdyś przed wieki
Promienne syny swojego Zakonu... *Z. Ulaszynówna.*

* * *

OBCA MI...

Obcą mi pieśni waszej dziwna nuta
I waszych dążeń powikłane drogi
I wasza czara cynizmem zatruta
I hasła wasze — i bogi!

Nie pójdę z wami w pył burzyć ołtarzy
Z Bożych i ludzkich praw głosić wyzwolin,
Bo mi się dawna nasza wiara marzy,
Co w szczyty wiodła od dolin.
Nie będę z wami wieńczyła mych skroni
Kwiatem pogańskich uciech i bez troski,
Bo oto głowę zakrwawioną kłoni
Nad głowy nasze Mistrz Boski.

Nie zmieni serca ni wicher, co miecie
Nowe ideje tonem waszych lutni,
Ale współczuję wam za to, że w świecie
Wyście samotni i smutni!...

Z. Ułaszynówna.

Z okazyi dzieła ks. S. Okoniewskiego.[1]

Bilans prac naukowych lub popularnych, zdobyczy sztuki lub skarbów moralnych i religijnych, które w tym roku jubileuszowym Skargi nagromadziły się już, i gromadzą się jeszcze, jako karm posilna na dalsze lata naszego narodowego rozbicia, tułaczki i służby u obcych, nie jest jeszcze ustalony, a z powodu nadzwyczajnej mnogości „pozycyi" zapewne nie da się prędko zamknąć i ustalić. Mimo to jednak już nawet w tej chwili wystarczy choćby pobieżny rzut oka, by stwierdzić, że wbrew niesmacznym, gdy idzie o naród kulturalny, protestom znikomo marnej garsteczki ludzi, mianujących się szumnie „obozem" i przez jednego z historyków literatury niesłusznie, bo wbrew oczywistości, zaszczyconych tem mianem:[2] trzechsetna rocznica śmierci wielkiego miłośnika ojczyzny, Skargi, była naprawdę świętem całego narodu polskiego, któremu wszędy, gdzie ją można było obchodzić należycie, niosła „moc" odradzającą, — „wstrząsała myślą i uczuciem", — „wskrzeszała nieśmiertelne prawdy", — stawała się wielokrotnie „bodźcem i drogowskazem czynu i posiewem przyszłości"[3]. Poruszone bowiem przez obchody jubile-

[1] Ks. S. Okoniewski: „Pismo św. w dziełach X. P. Skargi". Poznań, 1912, druk. św. Wojciecha.

[2] Por. I. Chrzanowski: „Kult Skargi" w *Pamiętniku liter.*, 1912, z. IV., str. 529—533.

[3] Por. Ks. J. Pawelski: „Rok Skargi" w *Przeglądzie powszechnym*, t. 113, str. 1*.

uszowe olbrzymie zasoby pracy, energii, wysiłków tak rozumu, jak woli, przyniosły naszej literaturze długi szereg niezmiernie cennych nabytków w postaci nowych wydań dzieł Skargi, głębokich nieraz studyów, popularnych opracowań, okolicznościowych artykułów, odczytów, mów i programów; sztuce dały świeże zdobycze w zakresie poetyckiego słowa, plastyki lub muzyki; a szerokim warstwom miejskim i ludowym — prócz bogatego zasobu czerstwej strawy ducha i głębszego uświadomienia narodowego — zapewniły trwałe pożytki i gospodarcze korzyści przez nowe instytucye dobroczynności społecznej ... Zaznaczamy tu tylko lekko zarysy; wymieniamy zaledwie kategorye tych przeróżnych dziedzin, w których jubileusz Skargi pozostawił po sobie widoczne plony ... W tem sprawozdaniu chcemy się jeno zatrzymać przy jednym tytule: wydań i studyów i wybieramy z tego zakresu przedewszystkiem dzieło, godne, by na nie szczególną zwrócić uwagę świata naukowego, mianowice ks. Stanisława Okoniewskiego „Pismo św. w dziełach ks. Piotra Skargi" (Poznań, nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha, 1912).

Dziwne to bowiem zjawisko ... Autor wymienionego dzieła nie jest ani specyalistą-filologiem, ani profesorem nauk biblijnych, lecz duszpasterzem w Wielkopolsce (w Bninie), ciężką, codzienną pracą parafialną obarczonym, co niedawno odpokutował swą kapłańską i obywatelską gorliwość kilkumiesięcznem więzieniem we Wronkach za to, że się ważył w swym parafialnym kościele wygłosić kazanie, w którem rząd „państwa bojaźni Bożej" dopatrzył się obraźliwej rzekomo krytyki stosunków szkolnych pod względem udzielania nauki religii dziatwie polskiej.[1] Przymusowy ten wypoczynek zapewne ułatwił autorowi dokonanie dzieła, wymagającego niezwykłej cierpliwości i zamiłowania przedmiotu, nakładu pracy olbrzymiej i benedyktyńskiej iście wytrwałości, o jakiej zwykli profani nie mają nawet pojęcia[2].

---

[1] Por. *Gazeta kościelna*, r. 1912, nr. 45.

[2] Por. „Literatura i sztuka", dodat. do *Dziennika poznańskiego*, r. 1912, nr. 45.

W jubileuszowej koronie Skargi dzieło takie to — obok „Listów ks. Piotra Skargi" i „Działalności ks. Piotra Skargi na tle jego listów", mozolnych prac ks. J. Sygańskiego T. J. [1], — jedna z najcenniejszych pereł, bo to hołd twardej, wśród ognia religijnych i narodowych prześladowań zahartowanej, niezłomnej, nieugiętej woli i pracy Wielkopolanina, co w bezpośredniem zetknięciu z brutalną przemocą protestanckiego rządu lepiej niż „Królewiak" lub „Galicyanin" rozumie i odczuwa, czem był Skarga dla Polski, i coby się było stało z jego narodem, gdyby „fanatyzm religijny" i „nietolerancya" twórcy „Kazań Sejmowych" i jego zakonu, a w następstwie wywołanej przez to „reakcyi" katolickiej — także i narodu nie były się oparły wszystko druzgocącej i miażdżącej fali germańskiego najazdu na ducha Polski w XVI. wieku . . .

Z okazyi jubileuszu ostatniego potomka generała Chłapowskiego niedawno wypowiedziano [2] o Wielkopolsce następujące, bardzo trafne spostrzeżenie: „Mówi się często i pisze w Galicyi i Królestwie o zdrowym duchu w zdrowem ciele naszych braci Wielkopolan. Tam mniej waśni społecznej, lepsze wychowanie narodu, więcej hartu, pracy, spokoju, trzeźwości — słowem, więcej tych cnót, z któremi najłatwiej żyć i przetrwać trudne okoliczności istnienia". Powyższa uwaga jest prawdziwa i w odniesieniu do plonów literackich Wielkopolski. Nie zasypuje nas ona tandetą beletrystyczną lub rymowaną, ale natomiast, pomimo najtrudniejszych warunków bytu, składa ciągle dowody pracy naukowej na seryo, lub wydawnictw praktycznych ogromnej doniosłości [3]. Takie głębokie i gruntowne dzieła, jak ks. Warmińskiego „Samuel i Seklucyan", jak ks. Hozakowskiego „Żywoty Świętych", lub ks. Okoniewskiego „Pismo św. w dziełach X. P. Skargi", są namacalnym dowodem

[1] Oba wyszły w Krakowie r. 1912. nakładem „Wydawnictw Tow. Jez.", jako wyraz hołdu Jezuitów polskich, wyrażonego w pięknym, pomnikowym, łacińskim napisie.

[2] Ob. *Czas*, r. 1912., nr. 461., felieton p. t. „Kopaszew".

[3] Np. wydawnictwa księgarni i drukarni św. Wojciecha w Poznaniu, jak „Głosy na czasie", „Za prawdę" i t. p.

naukowego dorobku z kilku ostatnich lat, o wartości wprost wyjątkowej. I dlatego też „Pismu św." ks. Okoniewskiego poświęcamy osobne i obszerniejsze sprawozdanie.

* * *

Już w grudniu 1911 r. zjawiło się ogłoszenie drukarni i księgarni św. Wojciecha w Poznaniu p. n. „Ku uczczeniu X. P. Skargi. 1612—1912". Po wstępie o pracach przygotowawczych do jubileuszu Skargi powiedziano tam: „I nasza dzielnica, w której z konieczności energia i polot umysłów skierowany więcej ku zagadnieniom ekonomicznej natury, nie może pozostać obojętną na tak niezwykłą, a tak głęboko w życie narodu wrzynającą się rocznicę. Toż Skarga przez lat przeszło 40 wiódł duszę polską wśród odmętu nowinek religijnych prostą drogą odwiecznych prawd Bożych w swoich „Kazaniach"; zasilał ją skarbami dziejowych doświadczeń i wzniosłych przykładów w „Żywotach świętych" i „Rocznych dziejach Kościelnych"; utrwalał ją i umacniał w jednem i drugiem „Zawstydzeniu Aryanów", w „Nowym Mesyaszu"; dbał o „Żołnierskie Nabożeństwo", o „Jedność Kościoła"; pragnął ulżyć biedzie i nędzy przez „Bractwo Miłosierdzia" i „Św. Łazarza". A źródłem tej owocnej pracy było Pismo Święte. Mówi Birkowski w mowie przy pogrzebie Skargi: „Zawsześ go nalazł, a on Pismo św. czytał, a czytał z poważnym rozmysłem . . .". Stamtąd czerpał on tę przebogatą mądrość, którą się jego dzieła odznaczają; te prześliczne obrazowania, budzące podziw; te natchnione słowa, które nakształt gromów padały na współczesnych, a rozbrzemiewają wciąż jeszcze nad następnemi pokoleniami. Aby oną treść, oną istotę najgłębszą działalności Skargi uprzystępnić społeczeństwu naszemu, wydajemy dzieło: „Pismo św. w dziełach X. P. Skargi". Z benedyktyńską iście wytrwałością zestawił X. Stanisław Okoniewski, b. redaktor *Przeglądu Kościelnego*, wszystkie cytacye Pisma św., których niezmierna jest liczba we wszystkich dziełach Skargi, i ułożył z nich całość, która niepospolite wykazuje zalety. Jest to przedewszystkiem własne tłomaczenie Skargi,

przewyższające niesłychanie tłomaczenie Wujka; wyrażenia silne, jędrne, a oddające subtelnie myśl oryginału, przedstawienie plastyczne, znamionują przekład Skargowski... W ten sposób Pismo św. w dziełach X. P. Skargi stanowić będzie lekturę pożyteczną i niezmiernie zajmującą dla wszystkich, a zbliży na nowo tę krynicę najpiękniejszych myśli i najwznioślejszej poezyi, tę księgę ksiąg, do społeczeństwa naszego. Ale prócz tego ma to Pismo św.... doniosłość wielką jako przyczynek do tłomaczenia, względnie poprawienia, przekładu Pisma świętego. Nie wątpimy, że wskutek tego zainteresuje się tem dziełem ogół duchowieństwa polskiego. I dla filologów nie będzie dzieło to bez zajęcia: autor zachowuje pisownię pierwszych wydań Skargi, uwzględniając i inne wydania, pojawiające się za życia Skargi".

Powyższa zapowiedź nie była, jak się to nieraz zdarza, czczą reklamą handlarską, gdyż wykonanie jej w postaci dzieła ks. Okoniewskiego przewyższa w wielu kierunkach obudzone przez ową zapowiedź nadzieje.

W tej książce o imponujących rozmiarach można wyróżnić naprzód czysto subjektywną „przedmowę" (s. I—XVIII), w której ks. Okoniewski wyjaśnia genezę swego studyum, pobudki, metodę i układ w najogólniejszych zarysach; podaje spis dzieł Skargi, użytych w niniejszej pracy, zestawionych w porządku chronologicznym daty ich wydań, a sięgających cyfry 32 (nawet „Listy X. P. Skargi", wydane przez X. J. Sygańskiego, uwzględnił już autor w swych badaniach); objaśnia znaki skróceń, którymi powyższe dzieła Skargi oznacza w cytatach, i zestawia katalog dzieł pomocniczych w liczbie około 60, wśród których jest wiele ściśle naukowych, o paru lub kilkunastu tomach. Po tej „przemowie" następuje część pierwsza studyum ks. Okoniewskiego, mająca odrębną paginacyę (s. 1*—70*) i napis: „X. P. Skarga a Pismo święte". Jest to właściwe studym autora nad stosunkiem Skargi do Pisma św., zarazem rezultat jego mozolnych badań i komentarz wstępny do tekstu części drugiej. Składa się on z 3 rozdziałów, z których pierwszy (s. 5*—45*) prowadzi nas do

samych źródeł skargowskiego przekładu Pisma św.; drugi (s. 45*—60*) wyłuszcza niezmiernie pracowicie wydobyte na jaw z różnych dzieł Skargi — jego poglądy, pojęcia i zapatrywania na Pismo św.; a trzeci (s. 60*—70*) kończy całe to sumienne badanie syntezą, w której ks. Okoniewski wypowiada ocenę skargowskiego przekładu Pisma świętego. Cała zaś ta część pierwsza to jeno śledzenie dróg, któremi Skarga chadzał w swych dążeniach do własnego przekładu Pisma św., i zestawienie wniosków ks. Okoniewskiego, jako rezultatu i tych poszukiwań i tego olbrzymiego materyału, jaki autor podaje w części drugiej swego dzieła (s. 1—720) pod napisem: „Pismo św. zestawione z dzieł Skargi".

Po tym rzucie oka na całość i układ dzieła przejdźmy do analizy jego bogatej treści.

W I. części swej pracy („Skarga a Pismo św.") zastanawia się autor nad studyami Skargi w Krakowie i Rzymie — a więc nad latami, o których nawet „Listy" ks. Sygańskiego nie przyniosły nam nowych a ważnych informacyi — i drogą bardzo skomplikowanych poszukiwań, zestawień i wnioskowań dochodzi do określenia tych wszystkich źródeł, z których Skarga mógł był swą wiedzę biblijną czerpać. Bodźcem zewnętrznym, który Skargę musiał skierować w stronę studyów nad Pismem św., był już sam „duch czasu". Wszak „nowinki płynące z Zachodu wraz ze zbiegłymi z klasztorów zagranicznych mnichami, wsiąkające w umysły młodzieży, po niemieckich błąkającej się uczelniach, wstrząsnęły w Polsce podwalinami dotychczasowych wierzeń i pojęć" (s. 3*) [1]. Odrzucenie autorytetu Kościoła w rzeczach wiary i uznanie Pisma św. za jedyne jej źródło, jak to czynili nowatorzy ówcześni, wywołało bardzo żywe zajęcie się księgami świętemi — a ze względu, jużto na propagandę tych „nowinek wśród mas, jużto na obronę wiary przed atakami nowinkarzy, zmuszało, tak dyssydentów, jak katolików, do intenzywnej pracy nad przyswojeniem tekstu Pisma św.

[1] Cytacye, znaczone w ten sposób, odnoszą się do wstępnej rozprawy dzieła ks. Okoniewskiego.

i jego przekładem na języki nowożytne. U nas wieki średnie pozostawiły (przynajmniej, o ile do naszych czasów zbadać zdołano) zaledwie jedną „Biblię polską“[1] i dwa „Psałterze“[2]. A wiek XVI. wydał i całkowitych przekładów Pisma św. i częściowych całe mnóstwo[3]. Kto chciał, jak Skarga, rozpocząć walkę skuteczną z dyssydentami, ten musiał studyom biblijnym oddać się z zapałem, aby przygotować sobie do tej walki odpowiedni oręż.

Zanim ks. Okoniewski zapuści się w mroki nierozświetlonych dotąd należycie lat studyów Skargi, słusznie zwraca naszą uwagę na niezbędne warunki wszelkich tłómaczeń z obcych języków. „Dobre jakiegoś dzieła tłómaczenie wymaga nietylko dokładnej znajomości języka, w. którym ono dzieło spisane, oraz języka, któremu pragnie się je przyswoić, ale także obycia wszechstronnego z przedmiotem dzieła“ (s. 5*). Stąd do pracy nad przekładami Pisma św. potrzebna była Skardze wyborna znajomość z jednej strony języków: hebrajskiego, greckiego i łacińskiego, z drugiej — nadzwyczajne władztwo nad językiem ojczystym, ale też prócz języków konieczne było gruntowne przyswojenie sobie całego zasobu ówczesnej wiedzy filozoficznej (scholastyki) i teologicznej. Narzuca się przeto samo przez się pytanie: czy Skarga posiadał owe nieodzowne warunki dobrego przekładu Pisma św.?

Na podstawie najbardziej krytycznych, źródłowych i specyalnych monografii, i szczupłych dat z czasów pobytu Skargi w uniwersytecie Jagiellońskim (z *Album studiosorum* zaczerpniętych) między r. 1552—1554., usiłuje ks. Okoniewski jak najdokładniej wyjaśnić, jakich tu Skarga mógł słuchać wykładów, z jakich korzystać znajomości, w jakim zakresie mógł sobie zdobyć konieczne warunki dobrego tłómacza Biblii. Przesuwają się tedy przed naszemi oczyma sylwety profesorów łaciny i greki,

---

[1] T. z. „Biblia Królowej Zofii“. wyd. przez A. Małeckiego 1871 r.

[2] Psałterz „Floryański“ z II. połowy w. XIV. i „Puławski“ z w. XV.

[3] X. Zwolski: *De Bibliis Polonicis*. Poznań, 1904; — Estreicher, „Bibl. pol.“ (Kraków, 1894), cz. III. t. 2., str. 13—56; — Chmielowski: „Historya liter. pols.“, Warszawa (Bibl. dzieł wybor.), t. I., str. 78, 118, 153, 162.

jak Jana van den Campen, Waleryana Pernusa, Marcina Glickiego z Pilzna, Benedykta Kotarskiego. Dowiadujemy się, że w studyach filozoficznych i krasomowstwie mistrzem Skargi był Jan Leopolita, z przydomkiem Nicz albo Kasprowicz, który się wsławił poprawieniem i wydaniem w r. 1561 jakiegoś już przestarzałego przekładu Biblii (s. 10), a Wujka zachęcił do napisania Postylli[1]. Na jego wykłady filozofii Arystotelesa i wymowy w r. 1552 i 1553[2] uczęszczał zapewne Skarga, gdyż te wykłady należały do obowiązkowych dla bakalaureatu (s. 11*). „Postać tak wybitna, odznaczająca się wymową, obejmująca szerokim umysłem ówczesne wykształcenie filozoficzne, wnikająca w myśl i krasę językową autorów klasycznych, musiała wpływ głęboki wywrzeć na Skargę, który już w owych czasach, może bezwiednie, szuka towarzystwa przyszłych kaznodziei i pod słynnymi kształci się mowcami". (s. 11*) Wszak według wszelkiego prawdopodobieństwa blizkimi Skardze towarzyszami z tych jego uniwersyteckich lat byli późniejsi jego współbracia zakonni lub serdeczni przyjaciele, a w urzędzie kaznodziejskim na dworze Zygmunta Augusta i Batorego poprzednicy i słynni znawcy krasomowstwa, jak Benedykt Herbest, rodem z Nowego Miasta pod Przemyślem; jak dzielny apologeta i kaznodzieja Stefana Batorego, Stanisław Sokołowski; jak ściągający na swe kazania za Zygmunta Augusta tłumy — Marcin Nerwicki z Kłodawy, przez Skargę w jego wzmiance[3] o mistrzach i kolegach akademickich „Kłodawitą" zwan... Zetknął się też Skarga w Krakowie ze znanym nawet poza Polską profesorem astronomii, matematyki, filozofii i komentatorem autorów klasycznych — Mikołajem Szadkiem, a nadto z wielce zasłużonymi mistrzami *facultatis artium*, jak Sebastyan z Krakowa, Jan Sylwiusz i Jan z Tarczyna (s. 11*—12*). Aby prawdopodobieństwo swych wniosków co do studyów akademickich Skargi w Krakowie unaocznić,

[1] Por. przedmowę Wujka do jego *Postilla catholica*, Kraków, 1573, str. A_5 v.

[2] Wykładał w zimowem półroczu 1552. *Partitiones oratoriae* Cycerona. Ob. *Liber diligentiarum*.

[3] Por. „Żywoty Świętych, wyd. 11., str. 1162. w życiorysie św. Jana Kantego.

ks. Okoniewski zestawia w osobnej tabeli plan tych studyów na podstawie zapisek *Libri diligentiarum* (s. 14*). Po skończeniu tych studyów w akademii r. 1554. koło Popielca za dekanatu ks. Feliksa Sierpcia (Sierpskiego) poddał się Skarga egzaminowi i uzyskał pierwszy stopień naukowy na wydziale filozoficznym. Choć nie posiadany o tem zapiski autentycznej, bo *Liber promotionum* z lat 1542—60 nie dochował się, to jednak zapewnia nas o tem Wielewicki (*Dziennik* III, 72) i Starowolski (*Hekatontas* nr. 98).

Po tych wielce skomplikowanych wywodach przechodzi ks. Okoniewski do zestawienia wniosków o rezultacie naukowym studyów Skargi w Krakowie, przyczem oczywiście wciąga w zakres dowodzenia wiele faktów późniejszych, illustrujących dobitnie i te lata. Jakiż więc był ten rezultat?

„Z krakowskiej akademii wyniósł Skarga przedewszystkiem dokładną znajomość języka łacińskiego“ (s. 15*), którego i później nie zaniedbywał, doskonaląc się w nim, zgodnie z wymaganiami epoki humanizmu, ustawicznie, jak to widać w pierwszem jego łacińskiem dziełku z r. 1576: *Pro Sacratissima Eucharistia* lub *Artes duodecim* z r. 1582., a wreszcie i w łacińskiej korespondencyi Skargi, jak to pokazują „Listy“ wydane przez ks. Sygańskiego. Świadczą one wymownie, że Skarga nie goni nigdy za frazesami lub pustym dźwiękiem słów, że nie lubi pozy, udawania, blichtru, a odznacza się natomiast i w swym łacińskim stylu szczytną prostotą (s. 17*). Stąd słusznie odrzuca ks. Okoniewski insynuacyę W. A. Maciejowskiego,[1] jakoby Skarga „mniej w łacinie aniżeli w polszczyźnie był biegły“.

Znał też Skarga i język grecki, na co autor zebrał na stronie 18* zupełnie przekonywające dowody. Natomiast czy już w Krakowie zapoznał się Skarga z językiem hebrajskim, nie można tego napewno ani stwierdzić ani zaprzeczyć (s. 19*—20*). Zato nie potrzeba wiele dowodzić, że Skarga „władał językiem polskim jak nikt z jego rówieśników“ i dlatego „pisma jego pozostaną na zawsze krynicą, z której najpóźniejsze

[1] Ob. „Życiorysy“, II, 285.

jeszcze pokolenia czerpać będą kryształową czystość, wzniosłą powagę i nieugiętą siłę" mowy i stylu (s. 20*—21*). Nabrał wreszcie Skarga w swych krakowskich latach wielkiej wprawy w syllogistyce scholastycznej, biegłości w operowaniu filozoficznemi pojęciami scholastyki i w logicznej szermierce (s. 22*).

Dalsze dziesięciolecie życia Skargi od 1554—1564 autor pomija zupełnem milczeniem. Domyślamy się, że czyni to z dwu racyi: 1-o że brak do tych lat nowych źródeł; 2-o że lata te niewiele z pewnością przyniosły nowych nabytków naukowych, pomocnych w kierunku pracy nad przekładem Biblii. Skarga oddaje się w tym czasie naprzód zawodowi nauczycielskiemu (od czerwca 1555. r. jest „rektorem" szkoły parafialnej w Warszawie;) w r. 1557. wchodzi w bliższą styczność z A. Tęczyńskim, z którego synem Janem, jako mentor, przebywar. 1560—61. w Wiedniu (gdzie napewno, jak widać z późniejszych „Listów" nr. 85, nabył znajomości języka niemieckiego); w r. 1561. na 1562. gotuje się już do stanu duchownego; 1563. wyświęcony na subdyakona, 1564. na dyakona i kapłana, otrzymuje w tymże roku 1564. 2. lipca godność kanonika kapituły lwowskiej, a zrzeka się tej godności między 30. IV. a 12. VII. 1569. r.; wreszcie również w r. 1564. d. 16. XII. rezygnuje z probostwa rohatyńskiego, które mu Tęczyńscy, zdaje się, jeszcze w r. 1561—2. ofiarowali[1].

Do tego 1564. r. nawiązuje ks. Okoniewski dalsze swe badania, i w krótkim ustępie maluje (s. 22*—23*) przemianę, jaka się dokonywa w młodym, a pełnym już ducha apostolskiego kapłanie, postanawiającym w 4 lata po wyświęceniu „pogłębić swe studya" i „oddać się życiu doskonalszemu" („Listy" nr. 3.) w zakonie Towarzystwa Jezusowego. Najczystsze i najszlachetniejsze pobudki zaprowadziły Skargę do nowicyatu rzymskiego. „Były to czasy — powiada ks. Okoniewski (s. 23*) — dla takich zamysłów najszczęśliwsze. Rozbrzmiewały jeszcze potężnie dekreta soboru trydenckiego; żyli jeszcze teolodzy, którzy głębokimi wy-

[1] Daty te przeważnie ustalił i zestawił ks. J. Sygański T. J. w swem dziele: „Działalność ks. P. Skargi", zwłaszcza w przypiskach na wielu miejscach.

wodami swymi przyłożyli niejedną cegiełkę do onych ustaw, zmierzających do odnowienia życia chrześcijańskiego i odparcia błędnych wymysłów nowinkarzy. A wśród onych teologów odznaczali się członkowie T. J. O błogiem, owocnem działaniu tego zakonu, o młodzieńczym zapale, z jakim szedł: i niewiernych nawracać i Kościoła bronić i szerzyć naukę, — rozchodziły się wieści po świecie. I Skarga słyszał o tym hufcu wybranym, od którego szło jakby tchnienie wiosenne; patrzał na niestrudzoną tego hufca działalność, jako pedagog Tęczyńskiego w Wiedniu".

Tak znalazł się Skarga d. 2. lutego 1569. w domu nowicyackim w Rzymie, na Kwirynale, wraz z swym młodszym przyjacielem, Szymonem Wysockim, dyakonem z dyecezyi lwowskiej[1] i spędził tu całe dwa lata[2], bo do wiosny r. 1571. Jest to okres w życiu dotąd Skargi niezbadany dostatecznie. Nawet „Listy" i „Działalność" — dwa najobfitsze w nowe szczegóły do biografii znakomitego kaznodziei wydawnictwa jubileuszowe — nic nowego nam nie przynoszą. Aby tę lukę zapełnić, o ile możności, zwrócił się autor „Pisma św. w dziełach ks. P. Skargi" do O. W. Ledóchowskiego T. J. w Rzymie i za jego pośrednictwem uzyskał „cenne szczegóły z dawnych manuskryptów, które dużo nowego rzucają światła na pobyt Skargi w Rzymie i niemal dokładnie go przedstawiają". (s. 24*) Korzystając z tych rękopiśmiennych szczegółów autor prowadził dalsze badania i poszukiwania, wymagające bardzo rozległych studyów, zwłaszcza w zakresie historyi teologii, a wynik tej mrówczej pracowitości składa w swem dziele na stronach: od 24*—35*. Streśćmy te niezmiernie cenne dla „nienapisanej monografii Skargi" rezultaty usiłowań krytycznych autora, który sumienność swoją i ścisłość naukową posunął do tego stopnia, że jeszcze w czasie korekty swej książki studyował wszystko, co o Skardze drukowano, jak tego dowodzą n. p. polemiczne wycieczki w dopiskach (s. 26* i 59*) przeciw niektórym poglądom prof. Windakiewicza

[1] Sygański: „Działalność Skargi", str. 5.
[2] Sygański: „Listy", nr. 6.

na Skargę, jako na biblistę, wypowiedzianym w *Przeglądzie powszechnym*, t. 115, s. 110—115.

Według zwyczaju ówczesnego Skarga nie pozostawał w nowicyacie dłużej jak do września lub października 1569 r. I rzeczywiście rok szkolny 1569. na 1570. i 1571. spędza on z pewnością na powtarzaniu teologii w Kolegium Rzymskiem, jak to wynika z t. z. „Katalogów" Jezuitów w Rzymie. Z tychże katalogów dowiadujemy się także o kierownikach duchownych Skargi i jego profesorach. „Mistrzem życia duchownego w nowicyacie" miał tedy Skarga O. Klaudyusza Aquavivę, który od r. 1581. został generałem zakonu i o 3 lata jeszcze Skargę przeżył. Był to jeden z najpotężniejszych organizatorów Towarzystwa Jezusowego po św. Ignacym. Swym genialnym talentem i wielką surowością świątobliwego życia, swą wielce rozległą wiedzą, a przytem pogardą dostojeństw i dóbr świeckich, musiał wywierać na młodego kapłana, — który pod niejednym względem posiadał podobne uzdolnienia i skłonności, — wpływ decydujący i niezmiernie głęboki. Świadczy o tym wpływie list Skargi z 25. maja 1581 r. z Wilna, pisany do O. Aquavivy, wówczas wybranego generałem. Jak szczera, pełna prostoty — tak się wyrażają u Skargi wszystkie uczucia — przebija z tego listu radość, że najukochańszy, wielbiony przezeń „mistrz nowicyatu" stanął teraz na czele zakonu. *Sit Dominus Jesus benedictus* — pisze tu Skarga[1] — *et donet ipsi inexhaustae suae bonitatis talenta, quae abunde in antecessores Vrae Rdae Ptis effundebat, quibus nos omnes Domino lucrifacere et ad omnem sanctarum virtutum perfectionem adducere possit. Ego praecipuum in hac promotione Vrae Rdae Ptis spiritualis gaudii fructum retuli, qui meum tirocinium in hac s. Societate sub Vrae Rdae Ptis gubernatione deposui, et ipsius praeclaris sanctisque exemplis, exhortationibus, lectionibus, et sancta conversatione, quae mihi hactenus in corde dulcescit, nutritus sum, utinam ad spiritus pinguedinem.*

Na teologii w Kolegium Rzymskiem był znowu rektorem Skargi jeden z najwybitniejszych Jezuitów XVI. w., Piotr Ri-

[1] Sygański: „Listy", nr. 71.

badeneira, umiłowany uczeń św. Ignacego, którego wzniosłe nauki, zasady i przykłady wiernie, z całem ciepłem przywiązanego serca przekazał w swych pismach potomnym, a dla Jezuitów XVI. w. w Rzymie był sam żywym wzorem zakonnego ducha. Na studyach zaś teologii, wskutek ówczesnych wymagań apologetycznych w walce z protestantami, miał Skarga wśród profesorów cały szereg znakomitych apologetów, egzegetów i biblistów, jak Emanuel Sa — biegły w języku greckim i hebrajskim, członek komisyi, która z polecenia Piusa V. wydawała krytycznie tekst biblii *Septuaginta*, a sam, autor *Scholiów* do całego Pisma św. — jak Benedykt Pereyra, jeszcze słynniejszy i głębszy od O. Sa, egzegeta— jak Jakób Ledesma, Piotr Parra, Benedykt Fernandez ; towarzyszami zaś jego blizkimi już w nowicyacie i po nim — jak sam w żywocie św. Stanisława i w „Próbie zakonu S. J." (w r. II) opowiada, byli: Franciszek Torres (=Turrianus), Franciszek Leonius, Hieronim Olavius, Rudolf Aquaviva, Aleksander Valinianus i in.

Działał też na Skargę wpływ koryfeuszów wiedzy teologicznej, wówczas w Rzymie bawiących, jak Possevino, Toletus, a może i Hozyusz, który od r. 1569. także zamieszkał w stolicy chrześcijaństwa.

Lecz ks. Okoniewski nietylko doszedł do wykrycia tej listy towarzyszów i mistrzów Skargi w Rzymie zapomocą bardzo pracowitych zestawień, poszukiwań po różnych źródłach, przez innych badaczy dotąd nie tkniętych, i drobiazgowych szperań po różnych dziełach Skargi, aby z nich wydobyć osobiste wspomnienia kaznodziei z jego lat rzymskich : autor nadto już tutaj stara się szczegółowo uzasadnić rodzaj wpływu, jaki powyżsi uczeni na Skargę wywarli. A czyni to w sposób zupełnie przekonywający. Ostateczny rezultat skomplikowanych wpływów Rzymu na umysł, wiedzę i serce Skargi określa sam autor w następujący sposób :

„Odziaływały więc na Skargę podczas pobytu jego w nowicyacie rozliczne wpływy dodatnie ze strony przełożonych i towarzyszów, zmierzające do gorącego umiłowania ideałów zakonnych, Kościoła i jego nauki. Spełniło się pierwsze jego pragnienie :

położył podwaliny silniejsze ku udoskonaleniu swej duszy. Rozgorzało teraz potężniej podniecone jeszcze przez uczonych towarzyszów jego w nowicyacie pragnienie drugie: pogłębienia nauk teologicznych. Zbliża się Skarga, odzywający się niedawno: *Theologos nunquam audivi, Patres non vidi*, do krynicy wiedzy teologicznej" (s. 28*).

„Wobec braku bliższych szczegółów niemożliwą jest dokładne wykazanie przedmiotów teologicznych, którym w Rzymie baczniejszą poświęcił uwagę. Z doboru profesorów wynikałoby, że przedewszystkiem zajęło go Pismo św. Pewne potwierdzenie wniosku naszego znajdujemy w *Ratio studiorum*, które na ostatnie dwa lata studyów teologicznych przeznacza egzegezę; a przecież Skarga, posiadając już jakieś wiadomości teologiczne, uzupełniał je tylko w Rzymie. Nadto pociągały dawniejszego kaznodzieję katedry lwowskiej niewątpliwie nauki biblijne, bo z nich główne czerpał w przemówieniach swoich dowody" (s. 34*).

„Silniej i trwalej jeszcze zapisał się w pamięci Skargi Rzym chrześcijański i przyczynił niemało do rozjaśnienia i rozszerzenia pojęć jego teologicznych. Widok namiestnika Chrystusowego; przedstawicieli Kościoła; różnego języka, kraju narodowości; starożytne pomniki, nagromadzone w przecudnych świątyniach; wspomnienie świętości własnego rodaka, Stanisława Kostki, oraz założyciela zakonu, Ignacego Lojoli, były jakby uderzeniami dłóta mistrzowskiego, co wykuwało w duszy Skargi te wyraziste, smukłe linie gmachu pojęć jego teologicznych, w dziełach jego jaśniejące" (s. 35*).

Zresztą i na tem nie poprzestał: studya rzymskie pogłębiał i rozszerzał i w latach następnych, 1571—73, i w Pułtusku i w Płocku, i później aż do złożenia w r. 1577. ostatnich ślubów (profesyi) zakonnych; a jako rektor akademii wileńskiej od 1579. do 1584. miał ciągle do czynienia z nauką, żył i oddychał niejako atmosferą ściśle naukową. Słusznie więc kończy autor swoje wywody o studyach Skargi uwagą następną: „Zbyt znane zasługi Skargi na polu teologii, byśmy je mieli jeszcze podnosić. Przedziwną jasnością pojęć teologicznych odznaczają się zwłasz-

cza jego „Kazania o siedmiu Sakramentach". Trudno dobitniej i przystępniej rzecz wyłożyć. A polemiczne pisma jego pozostaną na zawsze wzorem dla dogmatyka, jak zdzierając jedną zasłonę błędu po drugiej, dojść do prawdy promiennej. Niezwykłe zatem wykształcenie Skargi teologiczne nie podlega żadnej wątpliwości" (s. 36*).

Przyswoiwszy sobie język łaciński, grecki, a może i hebrajski; znając przedziwnie język ojczysty; zdobywszy sobie rozległą — jak na owe czasy — wiedzę filozoficzną i teologiczną: posiadł Skarga tem samem wszelkie warunki, by módz dobrze tłomaczyć Pismo św. Dowodzą zresztą tego, prócz racyi już podanych, liczne inne, poza Biblią, przekłady Skargi, a zwłaszcza odznaczające się precyzyą, siłą, jędrnością i wiernością tłomaczenia cytat z dzieł Ojców Kościoła, spotykane niezmiernie często we wszystkich jego pismach. Aby nas o tem przekonać, ks. Okoniewski od s. 36*—45* objaśnia i uzasadnia swe zdanie na całym szeregu przykładów i porównawczych zestawień, wydobytych z najróżnorodniejszych dzieł Skargi. W istocie jest tych drogocennych skarbów u Skargi taka moc, że „złożyłby się z nich wcale pokaźny podręcznik patrystyczny" — a wszystkie są jego własnością — tłomaczył je bezpośrednio z łaciny (s. 36*). Niejednokrotnie nie zadowalał się pierwszym przekładem, jakiego dokonał; ale w dziełach lub wydaniach późniejszych tę samą cytatę patrystyczną poprawiał, udoskonalał i wygładzał. Od r. 1584. Skarga zaczyna występować z przekładami całych dzieł łacińskich na język polski, jak n. p. „Dziesięć wywodów..." w r. 1584; „Roczne dzieje kościelne" Baroniusza r. 1603; „O czterech końcach ostatnich żywota ludzkiego" O. Franciszka Costera S. J. w r. 1606 . . .[1] Jak przepysznie przetłomaczył Skarga n. p. apokryficzny list Abagarusa, księcia Edessy,

[1] Na końcu dzieła dodał jakby sumaryusz jego, który zdaje się być własnością samego Skargi. Ten to sumaryusz p. t. „Na przewozie" wyszedł z druku 1912 r. w „Wydawn. Chyrowskiego Koła Tow. im. P. Skargi" jako jego nr. 6. Całe to pięknie o młodzieży świadczące wydawnictwo jest na składzie w księgarni F. Westa w Brodach.

do Chrystusa Pana, podany przez Baroniusza w „Rocznych dziejach", a przez ks. Okoniewskiego wybrany (s. 42*—43*), jako typowy okaz wdzięku stylistycznego! Jeszcze plastyczniej unaocznił autor, że tak powiem, wyższość prozy skargowskiej nad prozą jego współczesników przez porównawcze zestawienie kilku charakterystycznych ustępów z *Rationes decem...* błog. Edmunda Campiana T. J., którego dziełko aż dwu pisarzy w tym samym roku 1584. na język polski przełożyło: Gaspar Wilkowski i Skarga. Ks. Okoniewski przez zestawienie dobranych ustępów z oryginału łacińskiego i obu przekładów w równoległych kolumnach każdemu namacalnie okazuje, że „tłomaczenie Skargi wyróżnia się jasnością i czystością wysłowienia; przekład zaś Wilkowskiego, często zawiły, zakrawa raczej na parafrazę słów Kampiana, jak (! powinno być: niż) na tłómaczenie „z pilnością" dokonane (s. 43*). Wogóle „góruje Skarga nad rówieśnikami swymi jako tłómacz dzieł teologicznych. Umie subtelnie pochwycić myśl autora i uwydatnić ją wiernie w języku ojczystym bez uronienia jej siły i powabu. Od takiego tłomacza spodziewać się można mistrzowskiego przekładu, przynajmniej Wulgaty" (s. 45*).

Ostatni wniosek, do którego doszedł ks. Okoniewski pod koniec I. rozdziału swego studyum, wypływa wprost z faktycznych przesłanek, z których każdą staraliśmy się jak najwierniej w naszem sprawozdaniu czytelnikom dać poznać i wyjaśnić. Atoli na przekład dzieła wpływają też nieraz zapatrywania nasze osobiste, subjektywne. Pismo św. jest to niby pergaminowy dokument z rozmaitymi przywilejami niezmiernej doniosłości, wystawiony dla ludzi przez samego Boga. Człowiek wierzący wraz z św. Pawłem, że Pismo św. jest θεόπνευστος γραφή[1], zbliża się do św. Ksiąg z najgłębszym szacunkiem i religijną czcią, usiłuje zrozumieć każdą myśl, każde nawet słowo, jak najdokładniej i jak najwierniej. Zupełnie inaczej będzie je traktować człowiek nie mający tej wiary i takich przekonań. Słusznie więc pyta ks. Okoniewski w II. rozdziale swej pracy (s. 45*—60*):

[1] Ob. II. Tim. 3, 15, 16.

„Jak Skarga zapatrywał się na Pismo św. i złączone z niem zagadnienia“ (s. 46*) i daje nam na to pytanie, na podstawie różnych wynurzeń Skargi, zwłaszcza w „Żywotach Św.“ i „Kazaniach“, bardzo dokładną odpowiedź. Słyszymy więc, z jak głęboką i żywą wiarą zbliża się Skarga do Ksiąg św., by w nich znaleźć prawdę Bożą, wiodącą do świętości (s. 46*); jak żąda, by ich nie czytać lekkomyślnie, bez żadnej pomocy ze strony nauki Kościoła, boć Pismo św. ma w sobie „kości, któremi prosty udawić się, i głębokość, w której hardy rozum utopić się może, co na dzisiejszych heretykach widzimy“ (s. 48). Nie szczędzi zarzutu ówczesnemu duchowieństwu, że przed rewolucyą religijną XVI. w. zaniedbali główną podstawę teologicznej wiedzy — Pismo św. „ Przed Lutrem — powiada w „Kaz. na niedz. i święta“ — bardzo byli w nauce i w powinności swej stępieli naszy kapłani; zbroje ich: księgi i biblie i szkoły zardzewiałe leżały“ (s. 48*—49*). Prześlicznie, dosadnie i przystępnie, nawet dla prostaczków, wyjaśnia powstanie kanonu ksiąg świętych w „Żywotach Św.“ i dowodzi ich historycznej powagi (s. 49*—50*). Nie pomija też ksiąg Pisma św. zaginionych i przeróżnych apokryfów, z których „Modlitwę Manassego“ i „III. księgę Edrasza“ częściowo przetłomaczył. Zwracał też pilną uwagę na tekst pierwotny Ksiąg św., choć z pomiędzy wszystkich tłomaczeń najwyżej stawiał Wulgatę; znał jednak i Septuagintę i Hexaplę i Oktoplę (s. 51*—53*). Wspaniale broni potrzeby najwyższej, widomej instancyi, któraby rozstrzygała spory religijne, na tle Pisma św. powstałe, i nie bez humoru maluje jałowość i śmieszność zwad, między heretykami wybuchających z tegoż powodu. Domaga się przedewszystkiem dosłownego tłomaczenia, a odrzuca t. z. „duchowne“, a zwykle błędne i dowolne wykłady, — „które sobie każdy wymyślić może, i któremi żadna prawda wiary naszej dowodzić się, okrom literalnego rozumienia, nie może“ [1], choć nie gardzi uzasadnionym wykładem przenośnym, o ile go poprzeć można świadectwem Ojców

[1] „Wtore zawstydzenie Arianow“, str. 45.

Kościoła; nie brak mu przytem zmysłu krytycznego i archeologicznego (s. 54*—56*). Nad zagadnieniami introdukcyi szczegółowej rozwodzi się przedewszystkiem w streszczeniu „Rocznych dziejów"; w „Żywotach Św." opisuje żywoty wielu natchnionych autorów; streszcza listy św. Apostołów, bada przyczyny, pobudki, okoliczności powstania tych listów w innych swych pismach. W egzegezie „oglądał się zawsze na tych, którzy od Apostołów idąc, klucz do rozumienia (ksiąg Bożych) wzięli": czerpał więc przedewszystkiem z dzieł Ojców Kościoła" (s. 57*). A jak dalece zapalił się do tej pracy, wnioskować można z wzmianki Possewina w jego dziele *Apparatus sacer* II. 267., że Skarga miał napisać komentarz naukowy do „Pieśni nad pieśniami" i do „Przypowieści Salomona" (s. 59*).

Z uwydatnionych powyżej poglądów Skargi na Pismo św. wyłania się „umysł szeroki, który obok szczerej czci dla ksiąg Bożych obejmuje niemal wszystkie, podonczas poruszane zagadnienia biblijne. Patrzał na nie z wyżyn teologii katolickiej, opartej, jak na granicie, na nieomylnych wyrokach Kościoła. Tłómaczeniu więc jego Ksiąg św. możemy nietylko bezpiecznie zaufać, ale zarazem to żywić o niem przekonanie, że oddaje myśl natchnionego Duchem św. autora wiernie" (s. 59*).

Z trzecim, najkrótszym rozdziałem studyum ks. Okoniewskiego zbliżamy się do ostatecznej syntezy badań autora, ujętej tytułem: „Ocena skargowskiego przekładu Pisma św." (s. 60*—70*). Zastanawia się tu autor po kolei nad dwoma jeno pytaniami. Pierwsze z nich dotyczy stopnia zależności przekładu Pisma św. Skargi od jego polskich poprzedników; odpowiedź na drugie uwydatnia zalety lub niedostatki tego tłomaczenia. Wnioski autora co do stosunku Pisma św. Skargi do „Biblii Królowej Zofii" (lub jej pierwowzoru) i przekładu Leopolity nie są należycie uzasadnione: ks. Okoniewskiemu brakło już widocznie czasu do przeprowadzenia ścisłej paraleli; przynajmniej w obrębie niniejszego studyum ścisłą ona nie jest, bo za mało poczyniono zestawień miejsc analogicznych, aby z nich już można wyciągać wnioski kategoryczne:

dlatego i sam autor czyni to bardzo oględnie (s. 60* —61*). Natomiast twierdzi stanowczo, że „trudno odkryć jakiekolwiek ślady wpływu Grzegorza z Żarnowca na przekład Skargi", choć Osiński, a po nim Mecherzyński chcieli się tego wpływu dopatrywać. Autor zaznacza, że zadał sobie trud, żeby porównać cytaty biblijne obydwóch, ale nie znalazł między niemi żadnego podobieństwa (s.61*). Również nie mógł odszukać silniejszego wpływu przekładu Pisma św. Wujka na tłomaczenie Skargi, krom dwu wyjątków, mianowicie 1-o Skarga przed r. 1599. przywodzi w „Kazaniach" ewangelie wedle „N. Testamentu" Wujka z r. 1593, ale w tekście samych kazań używa prawie wyłącznie swego przekładu; 2-o zaś po r. 1599. t. j. po ukazaniu się w druku całej Biblii Wujkowej, bardzo rzadko w ostatnich swych dziełach, a zwłaszcza w „Messiaszu Nowych Arianów" (1612r.), wydanym już po zgonie wielkiego kaznodziei, posługuje się i w tekście tłómaczeniem Wujka. Nie brał też Skarga cytat biblijnych z innych przekładów XVI. w. n. p. z t. z. „Biblii Radziwiłłowskiej" (r. 1563), ani z Budnego czyli „Nieświeskiej" (r. 1572), lub z „N. Testamentu" przypisywanego Seklucyanowi (r. 1553), albo z późniejszych jak Nieświeski 1563, Rakowski Czechowica 1577, Toruński 1585 i Rakowski drugi z r. 1606. Zasadnicze twierdzenie autora jest, że Skarga „tłómaczył poszczególne miejsca Pisma św. przeważnie samodzielnie wprost z Wulgaty, uwzględniając nieraz Septuagintę" (s. 62*), o czem świadczą liczne waryanty, którychby nie było, gdyby Skarga posługiwał się jakimś gotowym przekładem. Rzeczywiście, w II. części swego dzieła ks. Okoniewski zebrał takie mnóstwo tych waryantów, że hipotezę swą uzasadnił przez to całkowicie.

Taką, przeważnie umotywowaną szczegółowo, odpowiedź daje nam autor na pierwsze pytanie co do samodzielności, oryginalności lub stopnia zawisłości Skargi od poprzedników na tem polu.

Co do zalet lub braków pracy Skargowskiej to twierdzi i na przykładach uzasadnia, że 1. w cytatach Pisma św. Skargi

uderza przedewszystkiem bogactwo wyrażeń i niewyczerpana ilość zwrotów, nawet w porównaniu z Wujkiem (s. 66*); 2. miła dla ucha rozmaitość w doborze wyrazów (rytmiczność); 3. unikanie określeń rozwlekłych i zastępowanie ich dobitniejszymi zwrotami (s. 67*—68*); 4. używanie wyrażeń szlachetniejszych i piękniejszych niż u Wujka; 5. majestatyczność prostoty stylu (s. 68*—70*).

Braki przekładu skargowskiego wytyka autor pod sam koniec swojego studyum. „Jako niedostatek skargowskiego przekładu Pisma św. — powiada tamże (s. 70*) — podnosi się niekiedy wolniejsze jego tłómaczenie. Nie można go . . . nazwać jedynie parafrazą. Płynie ono z kaznodziejskiego zawodu autora. Przełożeni nie powierzyli niestety Skardze, obarczonemu rozległą pracą fundacyjną, nauczycielską, polemiczną, kaznodziejską, — tłómaczenia Biblii, lecz zdolniejszemu może odeń lingwiście, Wujkowi. W ten sposób pozostały w spuściźnie skargowskiej drogie kamienie, niektóre oszlifowane już, inne jeszcze surowe, a wszystkie nieułożone w przecudne wzory poszczególnych ksiąg św. Ale tych drogocennych kamieni oszlifowanych jest tyle, że ufundują sławę Skargi także, jako tłómacza Pisma św.“. Prócz wyjaśnionego powyżej zarzutu pewnej swobody przekładu wytyka ks. Okoniewski jeszcze: używanie (bardzo rzadkie) archaizmów, a jeszcze rzadziej spotykane tu i ówdzie drobne niedokładności lub nieścisłość mała [1].

Dobiegliśmy z autorem do końca pracowitych jego badań. Pokazaliśmy czytelnikom dokładnie, jaką to drogą dochodzi ks. Okoniewski do obranego celu, jakimi posługuje się środkami, jakie zdobywa nowe punkty widzenia dla lepszego poznania Skargi, jakie pewne lub prawdopodobne tylko o wielkim miłośniku narodu w zygmuntowskiej dobie wygłasza poglądy i sądy. I wyznać musimy, że wobec ogromu pracy autora zdejmuje nas podziw, ze czcią uchylamy czoła przed tą wielkopolską wytrwałością, i czujemy dlań wdzięczność za ten szlachetny

[1] Wszelkie tego rodzaju usterki autor skrupulatnie w przypiskach drugiej części swego dzieła zaznaczył.

trud, bo rezultat jego to wielka dla nauki czystej, bezstronnej — zdobycz. Czcigodny autor powiada w samem zakończeniu swej rozprawy wstępnej: „Mają wielkie dzieła to do siebie, że czytane, badane, nowe niejako wytwarzają kręgi myślowe, nowe uwydatniają blaski, nowymi w górę strzelają promieniami, — jak one przygasające już węgle, kiedy się je poruszy. Sprawdziło się to na dziełach Skargi. Trzechsetna rocznica jego zgonu zbliżyła cały szereg pracowników polskich do tej spuścizny jego literackiej, i nowe podniosą się blaski i płomienie myśli jego szlachetnej. A wśród tych blasków i płomieni nie ostatnie miejsce zajmą te, co płyną od skargowskiego przekładu Pisma św." (s. 70*).

Głębokie to spostrzeżenie. Studyum autora jest najlepszem stwierdzeniem jego prawdziwości. A nietylko to studyum części pierwszej tego kolosalnego dzieła, ale i cała część druga[1] (s. 1—720), która przynosi nauce dań jeszcze cenniejszą, bo zestawienie wszystkich cytat z Pisma św., napotykanych we wszystkich znanych dziełach i pismach Skargi, z wszystkimi ich waryantami! *Aere perennius*... Jakby z kamyków mozaikowych, składa szanowny autor w tej części różne księgi Pisma św. Starego i Nowego Zakonu, nie opuszczając nawet apokryficznych, z wypisanych przez siebie cytat przekładu Skargi, wyłuszczonych skrupulatnie z pism wielkiego kaznodziei. Bierze je przedewszystkiem z pierwszych wydań, uwzględniając jednakże i wydania późniejsze, pojawiające się za życia wielkiego kaznodziei. Jak trudna to była praca, można zrozumieć choć w części — profan wogóle tego nie zrozumie — gdy się zauważy, że cytat Pisma św. w pierwszych wydaniach Żywotów Św., Kazań i niektórych pism mniejszych nie oznaczono w druku kursywą: więc autor musiał je z tekstu całego dopiero mozolnie wyławiać; że, dalej, na marginesach dość często błędnie podano rozdział, z którego cytata pochodzi, a wierszy rozdziału nie zaznaczono wcale: więc z pomocą „Konkordancyi" należało je dopiero wyszukiwać; że nieraz spotyka się cytaty

[1] Wydrukowano błędnie na czele tej części dzieła „I.".

bez żadnej wskazówki, skąd pochodzą! Wiele też tekstów Pisma św. wplata Skarga w swą własną myśl, skąd trzeba je było starannie wyłuskiwać. Zresztą nietylko tłómaczenie dosłowne, ale nawet różne parafrazy Pisma św. zebrał autor z dzieł Skargi, bo mieszczą się w nich przepyszne nieraz wyrażenia i zwroty, które przy nowym przekładzie Pisma św. mogą oddać znakomite usługi. Uwzględnił nawet autor „Gospodarstwo duchowne“ (r. 1606) i Fatyego „Księgi o umartwieniu“, choć Skarga nie jest ani ich autorem ani tłómaczem; atoli przejrzał je i poprawił (s. VII). Trzymając się zasady, uznanej przez ogół wydawców tekstów staropolskich, mających służyć za substrat badań naukowych, ks. Okoniewski zachował pisownię oryginału. Choć wymaga to ogromnej pracy, zwłaszcza przy korrekcie — boć zecer zwykle odczuwa dziwną chętkę do poprawiania rękopisu podług znanych mu norm współczesnej pisowni — to jednak ze względu na zadania filologicznych i lingwistycznych studyów jest rzeczą jedynie godną zalecenia, boć w pisowni objawia się rozwój nie samej jeno ortografii, ale i morfologii, nieraz nawet całej umysłowości pisarza! Od tej zasady odstąpił ks. Okoniewski jedynie w tem, że nie kreskuje *s* i *c* przed *i*, a stale kreskuje *s* w *jeśli*, lubo w druku niezawsze ową kreskę spotykał. Przestroga i wyznanie to autora ważne; ale, niestety, musimy żałować, że autor temu odstępstwu od zasady przez siebie uznanej uległ, podobnie jak w interpunkcyach oryginału, które „tam jedynie zmieniał — jak określa rzecz na str. VIII — gdzie tego domagało się lepsze uwydatnienie myśli Pisma św. Tak n. p. średnik dzisiejszy, u Skargi wyrażany kropką, został przez autora wprowadzony zamiast tej kropki; albo dodaje też autor zawsze przecinek przed zaimkiem względnym, czyli krótko mówiąc, modernizuje znaki pisarskie Skargi. Jest to innowacya, która wprawdzie nie szkodzi badaniom czysto skrypturystycznym „Pisma św. księdza Skargi“, ale dla użytku i badań czysto filologicznych lub nawet oratorskich jest mniej korzystna: wiadomo bowiem, że interpunkcye Skargi miały ściśle określony charakter kraso-

mówczy, a mianowicie oznaczały stopień i rodzaj pauzy w mowie żywej, zgodny ze zwyczajami oratorskimi kaznodziei królewskiego. Wreszcie i to pod względem technicznym zauważyć warto, że pod każdą cytatą podaje wydawca „Pisma św." Skargi źródło, z którego cytata zaczerpnięta. Są to zwykle początkowe litery odnośnych dzieł Skargi, objaśnione przez autora na str. XIV.

To wszystko jeszcze autorowi nie wystarczało: dodał bowiem ponadto olbrzymią ilość przypisków, w których albo przytacza rozliczne waryanty (jeśli jest ich więcej, to w porządku chronologicznym są ustawione); albo wyjaśnia trudniejsze miejsca Pisma św., posługując się ile możności egzegezą Skargi, a gdzie jej zabrakło, to opierając na najnowszych egzegetach i komentatorach Pisma św., jak słynnym, kilkunastotomowym *Corsus Scripturae Sacrae*, wydawanym przez takie powagi, jak Knabenbauer, Cornely, Gietmann — nadto do listów św. Pawła na dziełach Belsera i Schäfera; do Psalmów na studyach ks. Woltera; do Ewangelii na komentarzach Schanza, na pomnikowym *Dictionnaire de la Bible* Vigouroux'a i t. d. i t. d. Nie zaniedbał wkońcu autor podać zawsze znaczeń wyrazów przestarzałych na podstawie najlepszych dotąd słowników Lindego i Karłowicza. Dziełu nadała godną zewnętrzną szatę znana i wielce zasłużona drukarnia i księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu [1].

Ks. Okoniewski osiągnął naprawdę swym szlachetnym, bezosobistym, a nader ofiarnym trudem wielu lat wszystkie zamierzone przez siebie cele. Złożył naprzód imieniem Wielkopolski najwspanialszy hołd wielkiemu apostołowi Rzeczypospolitej w jego jubileuszowym roku; bo gdy chodzi o Skargę, to z pewnością najgodniejszym jego osoby hołdem jest „rozpatrywanie jego dzieł, wykazywanie dróg jego ducha ... a najważniejszą drogą ducha Skargi, promiennym szlakiem, po którym zstępowały najwyższe jego natchnienia, jest Pi-

[1] Na wydawnictwa tej drukarni, szczerze i całkowicie oddanej na usługi sprawy katolickiej na ziemiach polskich, zwracamy uwagę wszystkich instytucyi katolickich i całego społeczeństwa.

smo św. Słuszną więc rzeczą wykryć te tajemnicze siły działalności Skargi i, w hołdzie dlań — je odsłonić" (s. IX). Dodajmy, że to rozpatrywanie dzieł, wykazywanie dróg ducha Skargi, ma wielce doniosłe znaczenie praktyczne dla nas, w podobnej epoce rozstroju, jak Skarga, żyjących, bo nam dostarcza potężnej broni przeciw współczesnym obłędom, albo wskazuje bodaj, jak należy tę broń przystosowywać do potrzeb czasu, co słusznie podkreślił jeszcze w kwietniu zeszłego roku redaktor *Przeglądu powszechnego* [1] w tych słowach: „Wielki mowca i wielki pisarz, wielki obywatel i wielki kapłan, jeden z duchów przewodnich narodu, jeden z tych kilku, z których nazwisk symbol Polski się składa — ma dość danych i do wdzięcznej pamięci potomnych i do żywotności tej pamięci, żywotności, wskrzeszającej z dawnych wieków nowe dzieje. Tę żywotność, — rodzicielkę nowych czynów — rzadko która z rocznic polskich posiada w tym stopniu, co idąca rocznica Skargi [2]... W sercu Skargi dopełniła się nierozerwalna spójnia katolicyzmu i polskości... Odnowienie w całem społeczeństwie ducha Skargi, górnej miłości Chrystusa i Polski, jest piekącą potrzebą dzisiejszych czasów... Wszak zbliża się krytyczna chwila, w której katolicyzmowi polskiemu przyjdzie przejść przez próbę ogniową... a przejdzie ją tylko wtedy, gdy wskrześnie w nim duch Skargi". Ks. Okoniewski wskazał w swem studyum jedno z tajemniczych, nadprzyrodzonych źródeł, z których „górna miłość Chrystusa i Polski" u Skargi wypływała, mianowicie wiecznie odmładzające duszę, żywą natchnione wiarą a korne i pobożne zagłębianie się w Księgach św., zawierających w sobie najszczytniejsze słowo, gdyż słowo Boże; — tem samem zaś

[1] Ob. *Przegląd powszechny*, t. 110., str. 1*, 4*—5*, art. ks. J. Pawelskiego p. t. „Idąca rocznica Skargi".

[2] Bijącem w oczy stwierdzeniem prawdziwości tego poglądu były paroksyzmy wściekłości bezsilnej, i ślepego i oślepiającego rozum fanatyzmu: czy to socyalistycznego, czy postępowo-żydowsko-liberalnego, czy masońsko-ateistycznego, wyrażające się w czasie obchodów Skargowskich w gadzinowych organach prasy: kłamstwem, oszczerstwem, insynuacyą lub przekręcaniem cynicznem faktów.

przyczynił się do zbliżenia społeczeństwa polskiego do tej niewyczerpanej krynicy, z której wieki czerpały, czerpią i czerpać będą: światło, siłę i zapał do walki o prawdę Bożą, o cnotę, o świętość, co było również jego zamiarem, jak wyznaje w przedmowie (s. IX.). Wkońcu pracę swą pojmował autor jako przyczynek do przyszłego tłomaczenia czy poprawienia dotychczasowego przekładu Ksiąg św. (s. IX.). Przez wydanie „Pisma św. Skargi" czcigodny autor zasłużył się pod tym względem niepomiernie: gdyż obok przekładów polskich, archaicznych, jak Biblia Królowej Zofii, Biblia Leopolity — obok tłomaczeń tak klasycznych, jak Wujek — zdobył i dla literatury i dla nowszych tłomaczy Biblii (przypominamy zaczęty przekład J. E. ks. arbybiskupa Simona) niemal cały nowy przekład Pisma św., dokonany przez pisarza, co „wzniósł prozę polską do najwyższej doskonałości, jaką ona w stylu poważnym, klasycznym, osiągnęła w całym przebiegu literatury staropolskiej" — co „jak Kochanowski w poezyi, tak (on) w prozie był prawdziwym artystą słowa, umiejącym świadomie rozporządzać środkami językowymi, by najlepiej wyrazić dany pomysł" — co „pierwszy zważał na rytmikę prozaiczną, na harmonijne zakończenie peryodów zapomocą umiejętnego zastosowania wyrazów dwu- i trzyzgłoskowych"... — słowem, pisarza, którego „wielkie bogactwo wyrazów i zwrotów, umiejętność w przechodzeniu od prostego opowiadania do wstrząsających gromów bez pustej deklamacyi, żywość i plastyka wyobraźni, czyli jednem słowem, szczęśliwe i jemu właściwe odszukanie najlepszej formy dla myśli niepowszednich: wyniosło ponad ogół mowców i zapewniło mu w literaturze znaczenie wyjątkowe, nienadwątlone aż po wiek dzisiejszy"[1].

[1] Por. P. Chmielowski: „Historya literatury polskiej", I, str. 234. Podobnie wyraża się o języku Skargi prof. I. Chrzanowski: „Język (Skargi) stanowi wspaniałą koronę pracy naszych pisarzów zygmuntowskich nad wyrobieniem mowy ojczystej... a do dziś dnia jeszcze — pomimo wielkich pisarzów XIX wieku — jest, jeżeli się nie mylimy, jako klasyczne zespolenie obrazowości poezyi z prostotą i jasnością prozy, nieprześcignięty i nieprześcigniony". (*Pamiętnik literacki*, rocznik XI, z. IV., str. 533. Lwów. 1912 r.).

Parę lat temu Dr. Ludwik Posadzy, sam Wielkopolanin, pisał o swoich najbliższych współrodakach: „Już dziś jest w Wielkopolsce tradycya kultury polskiej przerwana. Jeżeli się nie zdobędziemy na wyższy ton obrony, to walka nasza coraz więcej stawać się będzie walką o... dożywocie, nie o lepszą przyszłość... Zdobycze gospodarcze nas nie uratują, gdy na nich oparci, nie sięgniemy po wyższe zdobycze kulturalne... Coraz więcej jest ludzi w Poznańskiem, którzy niemiecką kulturą żyją, a polską się tylko ozdabiają. Wytwarza się nowy typ Polaka z przyzwoitości" [1].

Nie chcemy zapuszczać się w analizę tego niezmiernie przykrego i bolesnego zarzutu. Choćby w tym zarzucie tkwiło jakieś ziarno prawdy, to w każdym razie opinii tej w całości podpisać niepodobna bez widocznej krzywdy. Wielkopolska nie tylko u siebie w domu i że tak powiem, na swój użytek, wychowuje wśród najtrudniejszych warunków charaktery tak stalowe i nieugięte, jak kard. Ledóchowski, biskup Janiszewski, arcyb. Stablewski — że nie wymienimy żyjących — nietylko wydała ludzi głębokiej nauki, jak August Cieszkowski (choć pochodził z Podlasia), Karol Libelt; ks. Fr. Malinowski, Klemens Kantecki, Leon Wegner, Kazimierz Jarochowski, ks. dr. Warmiński; albo niezrownanych działaczy i organizatorów, jak dr. Karol Marcinkowski, ks. Wawrzyniak; albo artystów, jak Ryszard Berwiński, Franciszek Dz. Morawski i t. d. i t. d. ale nadto zasila swemi dzielnemi siłami szczególnie Galicyę, w której Wielkopolanie i w nauce i w sztuce i na katedrach uniwersyteckich i na bardzo odpowiedzialnych stanowiskach wybitnie się odznaczają [2].

W każdym razie dzieła takie, jak pomnikowa praca ks. Okoniewskiego, czynią poważne szczerby w teoryi czy poglądach Dra Posadzego na Wielkopolskę, które to poglądy do dzielnego jej duchowieństwa z pewnością zastosować się nie dadzą.

---

[1] Ob. Dr. L. Posadzy: „O posłannictwie narodów..." Inowrocław, 1909, s. 139.

[2] Por. P. Chmielowski. „Historya lireratury polskiej", V., str. 12—42.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. W roku jubileuszowym Skargi niewiele okazało się wydawnictw, którymby nauka przyznać musiała znaczenie przełomowe; ale natomiast zjawiło się w druku mnóstwo niezmiernie cennych studyów szczegółowych, nieraz bardzo drobiazgowych i specyalnych, które są spojrzeniem krytycznem na Skargę z punktu widzenia XX. wieku. Z wydań na pierwszem miejscu postawić należy „Listy ks. P. Skargi", wydane i opatrzone komentarzem „ogromnego dla badaczy pożytku"[1] przez ks. Jana Sygańskiego T. J. Drugie miejsce zajmuje wznowione wydanie „Kazań sejmowych P. Skargi z pierwodruków r. 1597", połączone ze znakomitem studyum prof. I. Chrzanowskiego. Trzecie miejsce należy się bez wątpienia „Pismu św.", zebranemu z dzieł Skargi przez ks. S. Okoniewskiego i opatrzonemu całkiem samodzielnem i nowem (co do treści i kąta widzenia) studyum, z którego podaliśmy sprawozdanie w niniejszej rozprawie. Czwarte zapewne miejsce w szeregu wydań dostanie się w udziale „P. Skargi pismom zebranym" w opracowaniu znanego poety W. Gomulickiego: mają one stanowić początkowe tomy „Biblioteki literacko-artystycznej" w Warszawie pod redakcyą znakomitego krytyka, Jana Lorentowicza. Pojawiły się wreszcie w obiegu księgarskim: trzy tomiki pism wybranych Skargi p. t. 1) Wybór pism... 2) Żywoty Świętych polskich... 3) Wybór żywotów Świętych — wszystkie przez A. Januszewskiego (w drukarni narodowej w Krakowie), ułożone i zaopatrzone wstępami, — w których wydawca podaje krótki życiorys i charakterystykę najważniejszych dzieł Skargi (w każdym tomie omówiono bardziej szczegółowo dzieła, w tymże tomiku pominięte); — jakoteż odpowiedniemi streszczeniami i objaśnieniami (rzeczowemi i językowemi); a wreszcie w „Wydawnictwach Chyrowskiego Koła Tow. im P. Skargi" poświęcono Nr. 1. „Złotym ziarnom... z pism X. P. Skargi", a Nr. 6 przedrukowi

[1] Porów. recenzyę prof. T. Grabowskiego w *Pamiętniku literackim*, 1912 r. zeszyt IV., str. 615.

sumaryusza dziełka ks. F. Kostery T. J. („O czterech końcach . . .") tłomaczonego przez Skargę, który to sumaryusz wydawcy zatytułowali „Na przewozie". Atoli wymienione w ostatnim ustępie wydania rzeczy skargowskich mają wyłącznie popularny charakter, więc do dorobku ściśle naukowego się nie przyczyniają.

O wiele bogatszy jest plon studyów naukowych, dokonanych z okazyi jubileuszu Skargi. Prócz wymienionych już powyżej (prof. Chrzanowskiego o „Kaz. Sejm." i ks. Okoniewskiego o „Piśmie św. w dziełach Skargi") wspomnieć tu znów należy naprzód ks. J. Sygańskiego T. J. „Działalność ks. P. Skargi T. J. na tle jego listów 1566—1610" (Kraków, 1912, nakładem wydawnictw T. J.). Praca ta przynosi olbrzymią ilość dokładnie i krytycznie oświetlonych przyczynków do biografii Skargi od 1568—1610. i dlatego przez krytykę naukową przyjęta została z uznaniem [1]. Sędziwy prof. J. Tretiak dał nam znakomite studyum p. t. „P. Skarga w dziejach i literaturze unii brzeskiej" [2]. Prof. S. Windakiewicz użyczył ze swej teki do jubileuszowych zeszytów *Przeglądu powsz.* kilku rozdziałów ze swego cyklu wykładów, r. 1897 mianych w uniwersytecie Jagiellońskim, a wyjaśniających: charakter, intelligencyę i kaznodziejstwo Skargi; a w felietonach *Czasu* (1912 r., 447, 449, 451 i 453 n.) i w osobnej odbitce: publicystykę Skargi. Najwięcej może najrozmaitszych studyów, szkiców, artykułów po czasopismach i dziennikach w roku skargowskim ogłosił inny prof. uniw. Jag., Dr. T. Grabowski; ale że zapowiedziane jest jego osobne dzieło o Skardze w wydawnictwach „Akademii Umiejętności", więc nie wyliczamy na razie tych prac szczegółowych. Prof. uniwersytetu Lwowskiego (obecnie Jagiellońskiego), ks. dr. J. Fijałek, dał studyum analityczne o „Skardze jako proroku-kaznodziei". Dr. M. Treter w szkicu, pod względem metodycznym bardzo umiejętnie napisanym, wyjaśnia „Ducha twórczego Skargi"

[1] Por. *Pamiętnik literacki*, 1912, z. IV., str. 614—615.

[1] Obszernie omawia je w *Przeglądzie powszechnym* ks. J. Urban T. J.

i po dokładnej analizie faktów dochodzi do bogatej w wyniki syntezy, która jest wyborną sylwetą zygmuntowskiego kaznodziei. Nagrodę konkursową otrzymało bardzo obszerne, drobiazgowe czasem aż do pedantyzmu, a jednak bynajmniej nie wyczerpujące całego Skargi studyum Stanisława Mitery p. t. „Indywidualność twórcza Skargi". Mniejsze przyczynki do studyów nad życiem, działalnością lub pismami Skargi, dali oprócz tego: Stanisław Mondelski, Szczęsny Fidziński, Stanisław Łempicki (w *Pamiętniku lit.* 1912. z. IV. dał znakomite i bardzo ważne, krytyczne studyum: „Zamoyski, Jezuici i Skarga", popularnie w swych wynikach powtórzone w *Kronice powszechnej*, 1912, n. 47 i nast.); Stanisław Kot (notatka „Brożek o Skardze" w *Pam. liter.* 1912, n. 47 s. 590—1). Dr. Antoni Prochaska (w *Ateneum kapłańskiem* r. 1912 z. III.) opracował gruntownie, z głębokiem zrozumieniem i odczuciem epoki „Obywatelską działalność Skargi", a E. Winkler (tamże) w trzech artykułach roztrząsa „Myśli polityczne" Skargi, jego poglądy „o miłości ojczyzny" i o „wewnętrznym ustroju państwa", przez co zbliża się tematem do rozprawy prof. Dra T. Grabowskiego (*Pam. liter.* 1912 r., IV. z., s. 534—541) p. n. „P. Skarga jako polityk". Ks. Jan Kurczewski objaśnia (w *Dwutygodniku dyecez. wileńsk.*" 1912 r., 18 n.) „Stosunki ks. Piotra Skargi z kapitułą wileńską" i (w *Litwa i Ruś*, 1912 r., z. IX.) rolę „Skargi jako założyciela Bractwa Miłosierdzia w Wilnie"; a ks. P. R. (*Litwa i Ruś* 1912 r., IX. z.) zestawia przekłady pism Skargi na język białoruski. Prof. Dr. W. Hahn przedstawił w swym szkicu, który już obecnie trzeba dopełniać, — „Skargę w poezyi polskiej"[1].

Jak widzimy z tego pobieżnego spisu wydań dzieł Skargi i naukowych o nim prac — bo całej kopy przeróżnych ży-

[1] *Słowo polskie* r. 1912., nr. 454. i *Nowa reforma* r. 1912., nr. 445. pomieściły bibliografię jubileuszowych prac o Skardze, ale bardzo niedostateczną.

ciorysów [1], mniej lub więcej popularnych, okolicznościowych, a przeznaczonych dla różnych warstw społeczeństwa, od ludu aż do intelligencyi, i całej masy artykułów po gazetach w dniach skargowskich nie dotknięto tu wcale — to ruch, rozbudzony obchodem trzechsetnej rocznicy wielkiego obrońcy „robaczków ziemskich", wyraził się w kierunku naukowym bardzo obfitym i bogatym plonem. A jednak— nie wahamy się podnieść tego z całem uznaniem — w tem skupieniu energii, pracy, dobrej woli i czcigodnego entuzyazmu dla jaśniejącej blaskiem zygmuntowskich czasów postaci znakomitego pisarza, ks. Potra Skargi, trud, podjęty przez ks. Stanisława Okoniewskiego, był może najbardziej mozolny, najmniej wdzięczny, ale w rezultatach swych pomnikowy.

Ks. Okoniewski wskazał drogę następnym badaczom, bo pomimo tylu studyów Skarga, aby był oświetlon wszechstronnie, wymaga i długo jeszcze wymagać będzie nakładu wytężonej pracy; idąc szlakami, przez autora „Pisma św." wytkniętymi, należałoby w podobny sposób wyłuszczyć i zanalizować patrystykę Skargi, jego dogmatykę wraz z polemiką [2], zapatrywania na dzieje polskie i powszechne, jego polityczne i socyalne poglądy — wszystko oczywiście na tle pojęć, wyobrażeń, prądów, poziomu naukowego epoki, do której genialny miłośnik Polski należał. Skarga z pewnością nic na tem nie straci.

Ks. Romuald Koppens.

---

[1] Sama drukarnia św. Wojciecha w Poznaniu ogłosiła ich 8 prócz „Wskazówek do urządzania obchodów ku czci X. P. Skargi".

[2] Tej polemiki dotknął prof. Windakiewicz w „Skarga jako publicysta".

Fakt powszechności religii w świetle pewności samorzutnej.

(Szkic z psychologii religii).

II.

Fakt powszechności religii.

Podobnie jak twierdzimy: faktem jest, że starożytna Grecya miała wysoko rozwiniętą literaturę i sztukę, albo faktem jest, że czuję, myślę, chcę itp., tak również trzeba powiedzieć: faktem jest, że ludzie powszechnie są religijni, albo, że ludzie powszechnie mają religię. Wyrazem „fakt" oznaczamy w tym wypadku, jak w innych, rzeczywistość poznaną, stwierdzoną, skonstatowaną i dającą się w każdej chwili stwierdzić, skonstatować przy pomocy naukowych środków i metod. Te naukowe środki i metody w kwestyi religijnej określa dokładniej i stosuje rozwijająca się obecnie z dniem każdym nauka o religiach (*Religionswissenschaft, Science des religions*).

Używając następnie wyrażenia: powszechność religii, nie myślę zaczepiać o kwestyę sporną, rozstrząsaną w wielu podręcznikach teologii naturalnej i w dziełach apologetycznych, czy i o ile człowiek może być zupełnie bezreligijnym, czyli całkowitym ateuszem, ani też utrzymuję, jakoby każda bez wyjątku jednostka ludzka była religijną w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Nie twierdzę bynajmniej, iż nie ma lub nie było ludzi,

o których należy powiedzieć, że albo wcale religii nie mieli lub nie mają, albo przynajmniej religii w powszechnie przyjętem znaczeniu tego wyrazu. Do prawdziwości twierdzenia: religia jest wśród ludzi powszechną, wystarczy najzupełniej, jeżeli ludzkość na ogół czyli bezprzecznie znacznie większa jej część była i jest naprawdę religijną.

Lecz co należy rozumieć przez powiedzenie „naprawdę religijny", w ścisłem tego wyrazu znaczeniu „religijny"? Co oznacza wyraz religia? Co stanowi istotę religii? Jakie są jej podstawowe założenia, jakie niezbędne i zasadnicze jej warunki? — Tu jądro całej kwestyi.

William James stwierdza w powszechnie znanem dziele o różnorodności doświadczenia religijnego, że religia jako fakt wewnętrznego doświadczenia polega wszędzie i na każdym stopniu swego rozwoju na przeświadczeniu jednostki ludzkiej, iż wchodzi w stosunek z wyższą potęgą (albo z wyższemi potęgami), z którą (któremi) czuje się związaną[1]. A krótko przed tem (str. 428), cytując słowa pewnego francuskiego teologa, mówi, że „religia jest świadomem i chcianem obcowaniem duszy z tajemniczą potęgą, od której, jak czuje (dusza), ona sama i los jej zależy. Nie przyjmując interperetacyi filozoficznych, jakie James na podstawie teoryi o podświadomości doświadczeniom, w swojem dziele zebranym, daje, możemy jednak przyjąć skonstatowanie tego faktu, że osoba religijna ma to przekonanie, iż o tyle jest religijną, o ile wchodzi w osobisty, realny stosunek z wyższą potęgą, będącą panem jej życia i losu. Jeżeli chodzi o bliższe określenie tej „wyższej potęgi", to trzeba powiedzieć, jak znowu James na innem miejscu stwierdza, że w pojęciu zarówno najwyżej się wzbijających mistyków,

[1] „Lassen wir alle kirchlichen und theologischen Streitfragen beiseite, so besteht die Religion, wie wir sahen, als Tatsache innerer Erfahrung überall und in allen ihren Entwicklungstufen in dem Bewusstsein eines Verkehrs zwischem dem Einzelmenschen und der höheren Macht (oder den höheren Mächten), an die er sich gebunden fühlt". *Die rel. Erfahrung in ihrer Mannigfaltigkeit*, tłom. G. Wobbermina, Leipzig 1907, str. 429.

jak dopiero co nawróconego grzesznika, w rozumieniu zarówno dzikiego, jak ludzi najbardziej cywilizowanych i wykształconych, ona wyższa potęga nie jest jakąś abstrakcyą boskości czy bóstwa, ale bytem osobowym, zdolnym i poznać biedy i cierpienia ludzkie i skutecznie im zapobiedz [1].

Atoli, jak wspomniany autor sam zaznaczył, to określenie odnosi się do religii jako faktu wewnętrznego doświadczenia. Wyraz bowiem religia i pochodny od niego przymiotnik religijny ma różne, ale związane ze sobą znaczenia, widoczne w zdaniach jak: On jest religijny, ten naród ma religię, on wyznaje taką a taką religię, dziecko uczy się religii itp.

Nie wdając się w subtelne dyskusye naukowe, bierzmy te wyrazy tak, jak ich ludzie powszechnie używać zwykli, i jak je rozumieją ci, co potrafią sobie zdać sprawę ze swoich aktów religijnych. A więc, mówiąc o kimś, że jest religijny, biorąc rzecz ogólnie, chcę na pierwszem miejscu powiedzieć to, co James stwierdził, mianowicie, że utrzymuje osobisty stosunek z istotą wyższą, osobową, stojącą ponad biegiem zjawisk doczesnych, czyli z Bogiem. Utrzymuje się zaś ten stosunek przez to, iż zwraca się do Boga w pewnych świadomych, dobrowolnych aktach, jakiemi są n. p. modlitwa, składanie ofiary lub uczestnictwo w niej. To obcowanie z Bogiem, to zwracanie się osobiste do Boga w pewnych aktach uważano zawsze za istotę religii.

Chcąc dokładniej określić ów stosunek, powiedzieć należy, iż polega na oddawaniu należytej czci i hołdu, przysługującego tylko Panu Najwyższemu. Ponieważ zaś oddać komuś cześć i hołd znaczy tyle, co uznać wyższość jego nad sobą i dać wyraz temu uznaniu, więc cześć i hołd względem Boga zawiera też jedno i drugie: uznanie wyższości i wyraz dany temu uznaniu. Wyrażamy zaś to uznanie przez korne poddanie się onej wyższej potędze. Najistotniejszym objawem i dowodem tego poddania się jest ofiara.

---

[1] Porówn. także: W. Schmidt, *L'origine de l'idée de Dieu.* Anthropos 1908, H. 1. str. 125 nast. — A. Lang, *Cultes, mythes et religions.* Paris, 1896, str. 318, 307—308. — Michelet, *Dieu et l'agnosticisme contemporain*, Paris 1912, str. 80—85; str. 314 nast.

Lecz widocznie trudno oddawać komuś cześć i hołd, jeżeli się nie jest przekonanym o jego dostojeństwie i wyższości, jeżeli się nie zdaje sobie sprawy ze szczególnego stosunku, wiążącego mnie z daną osobą. Toteż ono obcowanie człowieka z Bogiem, to składanie czci i hołdu, jeżeli ma być godnem człowieka rozumnego, musi się opierać na pewnych wiadomościach o Bogu, na uznaniu pewnych prawd, odnoszących się do niego i określających bliżej istotę stosunku Jego do człowieka i człowieka do Niego. Te prawdy, czy to rozumem poznane czy też skądinąd przyjęte i uznane, stanowią niezbędną podstawę i normę czci bożej. One to określają mniej lub więcej dokładnie i prawdziwie przedmiot czci, jego naturę i własności, jego stosunek do tych, którzy mu cześć i hołd składają.

I nie ma naprawdę religii, nie posiadającej pewnego kompleksu prawd i wierzeń, pouczających wyznawców, że bóstwo było czynne przy powstaniu świata, że los człowieka od niego zawisł, że człowiek ma pewne obowiązki względem niego do spełnienia, że może się czegoś po niem spodziewać, uciekać się do niego o pomoc, względnie, że trzeba się w pewnych wypadkach bożej potęgi obawiać.

Zazwyczaj także znajdują się przepisy i zwyczaje, określające w jaki sposób Boga czcić, prosić, przebłagać należy.

Otóż i te prawdy i wierzenia, stanowiące podstawę i normę obcowania ludzkiego z Bogiem i te przepisy i zwyczaje mniej lub więcej obowiązujące wyznawców, nazywamy religią. W tem to znaczeniu, powiedzmy przedmiotowem — w przeciwstawieniu do pierwszego, które nazwać można podmiotowem — używamy wyrazu religia, rozróżniając n. p. religie monoteistyczne i politeistyczne, religię naturalną i objawioną, albo mówiąc : on ma taką a taką religię, on uczy się religii.

Obecnie nie biorę oddzielnie religii w podmiotowem znaczeniu od religii przedmiotowo uważanej, lecz uwzględniam fakt religii, o ile występuje w praktyce życiowej, w konkretnych aktach religijnych tak jednostkowych jak zbiorowych. Religia zatem oznacza nam osobiste i realne obcowanie ludzi z tą istotą, którą za Boga uważają, i którą na podstawie i według normy

przyjętych prawd i wierzeń, przepisów i zwyczajów jako Boga czczą.

Nie potrzebuję, zdaje mi się, dodawać, iż nie wymaga się, by przy każdym akcie religijnym człowiek miał aktualnie w pamięci wszystkie prawdy i przepisy religijne; wystarczy, jeżeli, podobnie, jak w stosunkach towarzyskich, zapytany o racyę swego postępowania, potrafi dać odpowiedź rozumną, odpowiednio do rozwoju umysłowego i wykształcenia.

Ale trzeba, jakkolwiek i to samo przez się jest zrozumiałe, zaznaczyć wyraźnie i podkreślić to, że w konkretnych aktach religijnych czynną jest nie tylko wolna i rozumna wola, lecz mniej lub więcej cały człowiek. Stąd odpowiadające powadze i ważności aktu postawa i układ ciała, wyrażające usposobienie wewnętrzne. Stąd objawy uczuciowe, mniej lub więcej silne i wyraźne, zależnie od charakteru osoby, od nastroju, od żywości przekonania i przejęcia się doniosłością aktu. Ten pierwiastek występuje u niektórych ludzi, u pewnych narodów o wysoko rozwiniętej i rozbudzonej uczuciowości tak dobitnie i stale, iż powierzchowny obserwator mógłby sądzić, jakoby cała religia tych ludzi miała swoje źródła w uczuciu i na niem się kończyła.

Widzimy zatem, że fakt religii jest zjawiskiem złożonem, obejmującem jednocześnie kilka pierwiastków, które razem składają się na całość stosunku, wiążącego człowieka z Bogiem. Nasamprzód wchodzi tu poznanie i uznanie pewnych prawd, określających stosunek człowieka do tej istoty, którą za Boga uważa, i stanowiących rozumną podstawę i niezbędny warunek utrzymywania tego stosunku[1]. Następnie z tego poznania wypływa przeświadczenie i poczucie zależności od Boga, a stąd odpowiednie akty woli i uczucia czci, wdzięczności, bojaźni, nadziei, miłości itd. Wreszcie występują objawy zewnętrzne tych przekonań, tych aktów

[1] Uwaga: Dwie są prawdy zasadnicze i bezwzględnie konieczne: 1-sza, że Bóg istnieje; 2-ga, że tego Boga obchodzi, co człowiek robi i jak postępuje, że zatem z tej strony czeka człowieka nagroda, względnie kara. Porówn. list św. Pawła do Żydów, 11, 6. — Porówn. także W. James, op. cit. str. 450.

woli i uczucia, unormowane zazwyczaj pewnemi przepisami i zwyczajami czyli t. zw. kult.

W ten to sposób pojmują swoją religię i religijność ludzie, posiadający tę cnotę i umiejący zdać sobie sprawę ze swoich praktyk religijnych, przynajmniej w chwilach, gdy zdrowej refleksyi nie mącą wyszukane jakieś i sztuczne teorye filozoficzne czy naukowe. [1]

To samo pojęcie o fakcie religii wynosi się również ze studyum „doświadczeń religijnych", zebranych i zanalizowanych przez James'a, jeżeli się przy pomocy zdrowej krytyki potrafi wyłączyć i usunąć jego własne, dowolne interpetacye filozoficzne [2].

W fakcie religii tak zrozumianym podstawę i podwalinę stanowi, jak to na pierwszy rzut oka jest widocznem, i jak już wyżej zaznaczyłem, przekonanie o istnieniu bóstwa osobowego, mniej lub więcej rozwinięte pojęcia o niem, wiara i przekonanie o stosunku jego do świata w ogóle a w szczególności do człowieka.

To też wiara ta, to przekonanie, te mniej lub więcej rozwinięte pojęcia o bóstwie powinny być kamieniem probierczym tak samego faktu religijnego i jego powszechności jako też prawdziwości i czystości jakiejkolwiek z form religijnych. Kult zewnętrzny, praktyki rozmaite czy na prawdę czy też tylko pozornie religijne, jakkolwiek idą zazwyczaj w parze z rozwojem przekonań i pojęć o bóstwie, nie mogą jednak stanowić kryteryum ani faktu ani prawdziwości religii, i to tem mniej, jeżeli się te formy zewnętrzne bada litylko z pewnego punktu widzenia, oderwanie od przekonań praktykujących. Powierzchowny jeno badacz zatrzyma się przy tych formach kultu, gdyż wpadają

---

[1] Porów. S. Aug., *De vera religione*, 55. — S. Thom. 2, 2. qu. 81. a. 1. — Suarez, *de Relig. Tract.* I. 1. I. 6. — Z nowszych autorów: Schell, *Apol. d. Christentums*, I. str. 1—17; — Wilmers-Houtheim, *Lehrb. d. Relig.* I. B. str. 32 ff. — Boutroux, *Science et Religion*, Paris, 1911, str. 372 nast. — G. Michelet, op. cit. str. 313 nast. — L. de Grandmaison, *L'Études des Rel.* w Rev. d'Apol. prat. 1910, str. 721 nast.

[2] Porówn. G. Michelet op. cit. str. 71—182.

odrazu w oczy i łatwo dają się podciągnąć pod pewne kategorye i ułożyć w system nawet z góry, *a priori*, wymyślony.

Mnóstwo błędów i bałamutnych wniosków w badaniach porównawczych religijnych zjawisk ma swoje źródło w lekceważeniu lub nieuwzględnianiu tego właśnie jedynego, prawdziwego kryteryum. Stąd to wiele prac i studyów o religii i religiach uważać trzeba za chybione, nie prowadzące do celu i nie posuwające ani o krok naprzód żmudnej pracy naukowej. Niestrudzony badacz objawów religijnych A. Lang wytyka taką powierzchowność wielu uczonym, którzy pomijają lekceważąco, milczeniem, wyższe pojęcia religijne, napotykane u t. zw. ludów pierwotnych, pod pozorem, iż to są pierwiastki obce, wniesione przez misyonarzy lub wyznawców religii monoteistycznej. Z większą może jeszcze słusznością należy uczynić ten zarzut tym, co pisząc o religii, z którą stykają się na każdym kroku, o której nietrudno mieć wiadomości najpewniejsze i najautentyczniejsze, nie uważają za swój obowiązek zasięgnąć odpowiednich informacyi u wybitnych i wykształconych jej wyznawców, lub czerpać z samych źródeł, lecz z dziwnem jakiemś niedbalstwem śmieją wydawać dzieła naukowe na pozór, w rzeczy samej zaś pełne twierdzeń, nie dających się w danych warunkach uzasadnić inaczej, chyba tylko nieprzychylną, wrogą religii intencyą.

Powierzchowność więc i to dziwne jakieś niedbalstwo, oto jeden powód bałamuctwa w pojęciu i określaniu faktu religijnego.

Gorszy jeszcze zamęt i rażącą dowolność wywołało w tej kwestyi w ostatnich zwłaszcza lat dziesiątkach, błędne stosowanie źle zrozumianej zasady ewolucyi. Błędnie stosowano tę zasadę o tyle i dla tego, że prawo rozwoju ustrojów organicznych chciano koniecznie stwierdzić i wykazać na zjawiskach religijnych czyli raczej traktowano fakt religijny, a więc akty rozumnej i wolnej psychy ludzkiej, taksamo jak zjawiska życia organicznego. Z góry uczyniono przypuszczenie lub milcząco postawiono to założenie, iż ewolucya, jaką obserwowano

na ustrojach organicznych, musiała mieć miejsce także w zakresie objawów religijnych. [1]

Stosowano zaś źle zrozumianą zasadę ewolucyi, ponieważ według odnośnej teoryi szereg rozwojowy musi być koniecznie szeregiem wartości rosnących, poczynających się od form najpierwotniejszych; a za najpierwotniejsze uważa się z reguły formy najniższe, najniedoskonalsze, najmarniejsze, że tak powiem.

Oparłszy się na zasadzie ewolucyi w ten sposób zrozumianej, usiłowano określić fakt religijny genetycznie. Naukowo chwalebne to usiłowanie. Atoli łatwo pojąć, jak tą drogą kwestyi tak zawiłej a delikatnej zarazem, w sprawie tak zasadniczej lecz dla tego właśnie nader trudnej, przy najlepszej woli można dojść do wniosków bardzo wątpliwych. Doszło się, co gorsza, do wyników wprost błędnych, nieprawdziwych; a doszło się przedewszystkiem dlatego, że zasada ewolucyi w odnośnej teoryi konsekwentnie stosowana zmusza do wydawania mnóstwa sądów apryorycznych, podyktowanych logiką teoryi, nie następstwem i związkiem rzeczywistych faktów, i zostawia szerokie pole dowolności w ocenie różnorodnych form religijnych.

Lecz powróćmy do naszej kwestyi.

Powiedzieliśmy, iż o takcie religii i religijności ma ostatecznie rozstrzygnąć mniej lub więcej doskonałe pojęcie o bóstwie, wiara i przekonanie o jego stosunku do świata i człowieka. Nasuwa się więc pytanie jak doskonałe to pojęcie, jakie te przekonania być powinny, żeby człowiek mógł spełnić akt naprawdę religijny. Innemi słowy: Jakiego minimum znajomości o tej istocie, którą jako Boga czcić zamierzam, wymaga akt w ścisłem tego słowa znaczeniu religijny?

Pytanie to stawiali sobie nieraz ludzie uczeni, zajmujący się specyalnie i fachowo kwestyami religijnemi. Długie ich wywo-

[1] Uwaga: Odrzucając błędne stosowanie zasady ewolucyi nie zaprzeczam bynajmniej rozwoju religijnego, utrzymuję jeno iż prawa tego rozwoju należy wyprowadzić z konkretnego, naukowo stwierdzonego następstwa objawów religijnych.

dy i argumenty, pełne subtelnych uwag i uczonych rozróżnień da się krótko ująć w następujące twierdzenia:

1° Akt religijny nie wymaga koniecznie, aby człowiek wiedział, iż Bóg jest istotą czysto duchową, nieskończoną w doskonałości, mającą racyę istnienia w samej swej istocie, czyli, akt ściśle religijny nie musi się koniecznie opierać na poznaniu natury bóstwa lub przymiotów bożych wewnętrznych t. zn. związanych koniecznie z samą jego istotą.

2° Nie wystarcza do aktu ściśle religijnego poznanie bóstwa tak niedokładne i tak niejasne, że przedmiot tego poznania można ostatecznie utożsamić z jakiemś stworzeniem, chociażby najidealniejszem. Nie wystarcza więc pojęcie, nie wykazujące ani jednego przymiotu naprawdę bożego.

3° Wymaga się i wystarcza poznanie bóstwa, aczkolwiek niedokładne, jednakowoż na tyle wyraźne i jasne, by człowiek potrafił przy pomocy jakiejś cechy odróżnić istotę, którą za bóstwo uważa, od każdego innego przedmiotu czci.

Wystarczy zatem, jeżeli poznanie bóstwa, mniejsza o to jaką drogą, czy pracą własnego rozumu czy przez tradycyę nabyte, wykazuje cechy i przymioty prawdziwie i wyłącznie boże, chociaż tylko objawiające się na zewnątrz w stosunku do świata i ludzi. Do takich pojęć należą n. p. Najwyższy Pan, Sprawca wszystkich rzeczy, Najwyższy Twórca i Władca tego świata, Najwyższy Sędzia; Ten, którego wszyscy czcić winni itp. A nawet co do tych określeń wypada jeszcze zaznaczyć, że stopnia najwyższego i pojęcia „Stwórca" n. p, nie trzeba w nich brać w znaczeniu bezwzględnem, filozoficźnie najściślejszem, ale w znaczeniu względnem o tyle, iż uznaje się n. p. w Bogu Pana Najwyższego względem nas, co istniejemy, iż uznaje się w nim Stwórcę tych rzeczy, co istnieją i t. d., nie zapuszczając się w kwestyę, czy są możliwe światy lub istoty od jego woli niezależne [1].

A więc, biorąc rzecz konkretnie, przyznać należy, iż może być mowa o aktach naprawdę religijnych w politeiźmie. Tem

[1] Porówn. *Acta Concil. Vatic.* Coll. Lac. VII. col. 79. — *Dict. de Théol. cath.* t. IV. s. v. *Dieu (son existence)*, col. 881. nast.

łatwiej to przyznać trzeba, gdyż zazwyczaj mamy do czynienia z politeizmem monarchicznym. Tu bowiem jest całkowite przekonanie o istnieniu bóstwa osobowego, stojącego ponad biegiem zjawisk doczesnych, kierującego losami świata, zajmującego się dolą ludzką, karzącego występki a nagradzającego uczynki dobre. Fałsz zachodzi głównie i zasadniczo co do przymiotu bóstwa, wypływającego z samej jego natury, mianowicie co jedności liczebnej bóstwa [1].

Określiwszy dostatecznie, jak sądzę, i w ramach szkicu psychologii religijnej wystarczająco, istotę faktu religijnego i jego jedynie prawdziwe kryteryum, przejdźmy już do drugiej części naszej kwestyi, do faktu powszechności religii.

Czy ogół ludzkości był i jest naprawdę religijny? Czy bezprzecznie większa część ludzi, zdolnych do przekonań i aktów ludzkich — bo o takich tylko mowa, nie o dzieciach, nie o jednostkach umysłowo nie rozwiniętych, upośledzonych lub całkowicie obłąkanych — miała i ma religię w naszem tego wyrazu rozumieniu? Oto pytanie, na które szukamy odpowiedzi.

Naprzód nie może być pod tym względem wątpliwości co do wyznawców religii monoteistycznych. Również nie da się zaprzeczyć aktów ściśle religijnych u wyznawców politeizmu, zwłaszcza u ludu prostego, który, stojąc z daleka od walk i dysput filozoficznych, stał wiernie przy tradycyi ojców i czcił bóstwa, uciekając się do nich po pomoc w chwilach groźnych, po błogosławieństwo w twardej pracy, po opiekę w dolegliwościach życia. A więc były religijne ludy, znane nam z historyi: Grecy, Rzymianie, Celtowie, Germanowie, ludy słowiańskie. Mieli religię Egipcyanie, Babilończycy, Asyryjczycy, Persowie; były i są religijne Chiny, gdzie reformy religijne Lao-tse'go, Konfucyusza, późniejsze przewroty, wywołane przez Tia-jan'a, bonzy japońskiego shintoizmu, dalej reakcya pod przewodnictwem Tchou-hi'ego i zmiany za dynastyi Yuen, Ming, Tsing (od 1280—1905) odgrywają się w sferach rządowych i oficyalnych, tymczasem gdy lud chiński w życiu prywatnem, przyjąwszy zasady

[1] H. Schaaf S. J. *Instit. Theol. nat.*, Roma 1906. p. 177.

moralne Buddyzmu, zawsze się kłaniał i po dziś dzień się kłania „Czcigodnemu Panu nieba, Temu, co widzi i sądzi, co karze i nagradza : Bogu sumienia, zwanemu Lao-tien-ye". [1]

A około r. 1900 wynosiła podług zestawienia H. Krosego [2] liczba samych monoteistów blisko połowę ludności kuli ziemskiej : 549 milionów chrześcijan, 11 mil. żydów, 202 mil. mahometan na mniej więcej 1537 milionów mieszkańców ziemi.

Tak się rzecz ma co do czasów nam znanych i co do ludów, które w pochodzie dziejowym odegrały wybitniejszą rolę, które miały, względnie mają pewną cywilizacyę.

Atoli jak było w czasach przedhistorycznych, o których nie mamy żadnych dokumentów, żadnych wyraźnych świadectw oprócz prostych bardzo budowli, narzędzi z kamienia, kości, drzewa, bronzu i szczupłej ilości szkieletów? Jak stoi sprawa u t. zw. ludów pierwotnych, u tych licznych szczepów Afryki, Australii, Ameryki, co to stosunkowo nie tak dawno zetknęły się z kulturą europejską a żyły przez lat może tysiące w swojej kulturze pierwotnej?

Odpowiedź na te pytania, czy będzie twierdzącą czy przeczącą, czy zupełnie pewną czy też jeno prawdopodobną, dużo zaważyć może w naszej kwestyi. Nadto ma w naszych czasach szczególniejsze znaczenie. Nadano bowiem kwestyi religijnej co do ludów t. zw. pierwotnych taką formę, traktuje się ją z takiem zajęciem i przekonaniem, jak gdyby od jej rozwiązania zależały wartość i znaczenie religii w ogóle. Jakkolwiek ze stanowiska ściśle naukowego i krytycznego takiego znaczenia tej kwestyi przypisać żadną miarą nie można, gdyż podstawą odnośnych twierdzeń jest błędnie zrozumiana zasada i teorya ewolucyi a ostatecznie zaprzeczenie wszelkiego wpływu sił nadprzyrodzonych na losy człowieka, to jednak warto zwrócić na nią szczególniejszą uwagę, chociażby tylko dla powodów wyżej podanych. Nie podobna, rozumie się, rozbierać szczegółowo pojęć

[1] *La religions des Chinois* par L. Wieger w „Manuel d'Histoire des Religions", Paris 1912, Beauchesne.

[2] *Die wichtigsten Religionsbekenntnisse zur Zeit der Jahrhundertwende*, Freiburg 1903, Herder.

i praktyk religijnych każdego z tych ludów z osobna, rzecz to i zadania nauki specyalnej o religiach. Do nas należy podać dotychczasowe wyniki pewne i niewątpliwe odnośnych studyów i badań.

Zacznijmy od tak zw. ludów pierwotnych. Ludy pierwotne: pod to pojęcie podciągamy szczepy Afryki, Ameryki, Australii, Azyi o kulturze znacznie niższej niż kultura t. zw. ludów cywilizowanych. Nazwa ludów pierwotnych odpowiada tym szczepom lepiej niż n. p. ludy dzikie albo ludy niecywilizowane. Dzikimi bowiem zwać ich nie można, jeżeli się przez wyraz „dzicy" rozumie, jak to zazwyczaj bywa, istoty ludzkie, prowadzące życie niestałe, nieunormowane żadnemi prawami, życie nieobyczajne, bez organizacyi rodzinnej i społecznej. Tego rodzaju „dzicy" nie istnieją wcale, a może nigdy nie istnieli, jak utrzymuje Msgr. A. Le Roy. „Niecywilizowanymi" również trudno ich mianować. Bo jakkolwiek nie posiadają cywilizacyi takiej jak my, to jednak nie są pozbawieni pewnej kultury i pewnej cywilizacyi, innej wprawdzie od naszej, niższej od europejskiej, lecz w każdym razie dostosowanej do ich natury, do ich potrzeb i warunków życia. Dzięki tej swojej kulturze rozwijają się pomyślnie i umieją korzystać z życia po swojemu; doświadczeniem pouczeni, wolą nawet niższą swoją cywilizacyę raczej niż naszą. Niezawodnie znajdzie się jednostki niecywilizowane, nietylko w środku Afryki lub w Polynezyi lecz i gdzieindziej, ale nie ma grup społecznych bez wszelkiej zgoła cywilizacyi.

Dlatego najlepiej może dać im nazwę „ludów pierwotnych". Atoli w jakiem znaczeniu? Nie, jakgdybyśmy mieli utożsamiać szczepy z pierwszemi ludźmi, jacy ziemię zamieszkiwali, warunki życia tych zbyt mało jeszcze znamy lecz tylko chcemy zaznaczyć stan ich cywilizacyi bardzo prosty, mało rozwinięty, najbardziej może zbliżony do stanu kultury człowieka naprawdę pierwotnego.

Pytamy się tedy czy te ludy pierwotne są zdolne do aktów religijnych w znaczeniu wyżej rozwiniętem? Czy posiadają naprawdę jakąś religię? A ponieważ do aktów ściśle religijnych potrzeba koniecznie pewnego minimum przekonań religijnych mianowicie przekonania o istnieniu Najwyższej istoty i przeświad-

czenia o zależności losów świata i ludzi od Niej, więc pytanie nasze schodzi się z kwestyą: Czy tak zwane ludy pierwotne posiadają to minimum przekonań religijnych, które wystarcza, lecz zarazem jest niezbędnem do aktów naprawdę religijnych. Proste uznanie istnienia istoty, stojącej ponad zmiennemi zjawiskami świata i życia ludzkiego, stanowi wprawdzie teoretyczną tylko religię, religię, którą mógłby się zadowolić człowiek wzięty oderwanie od konkretnych życia warunków, lecz ponieważ u tych ludzi prostych, u tych dzieci natury myśl, uczucie i czyn są czemś od siebie nieodłączalnem, są jakby jednem i tem samem, więc też u nich religia teoretyczna jest rzeczą, prawie niemożliwą, jak słusznie zauważył W. Schmidt. Przekonania ich wcielają się mimowoli w czyn, objawiają się natychmiast w aktach fizycznych. Być może, iż objawy religijne nie przybrały jeszcze wszędzie u nich form stałych, że ulegają jeszcze licznym zmianom, gdyż są zbyt samorzutne i bezpośredniem wypływem stanu duszy, wywołanego zewnętrznemi wypadkami.

Z dzieł wybitnych nawet etnologów, takich jak Lubbok, Tylor, H. Spencer, W. Robertson Smith, z pierwszych prac A. Langa, z mnóstwa dziełek, noszących charakter bardziej popularny, jak n. p. w naszej literaturze W. Schreibera, „Twórcy Bogów", ba nawet z relacyi kilku misyonarzy odnosi się to wrażenie, jakoby cała religijność tych ludów tonęła to w animiźmie, to w maniźmie, to znowu w praktykach magicznych lub zwyczajach totemicznych; słowem, zaprzecza się tym ludziom wszelkich pojęć wyższych, doskonalszych o bóstwie. Na podstawie takich wiadomości musielibyśmy konsekwentnie do naszego pojęcia o religii uznać te ludy za niezdolne do aktów ściśle religijnych.

Lecz dzisiaj, wobec najnowszych krytycznych badań tej kwestyi nie da się żadną miarą utrzymać takiego zdania. Niepodobno wprawdzie zaprzeczyć, że u wszystkich niemal ludów pierwotnych napotyka się na kult duchów przyrody, na kult przodków, że zabobony magiczne, totemizm, fetyszyzm odgrywają w ich życiu rodzinnem, społecznem, religijnem wielką rolę; przyznać trzeba, że te praktyki występują u wielu z nich bardzo

jaskrawo na każdym prawie kroku, że noszą często charakter znamiennie religijny; atoli nie zgadza się z rzeczywistością twierdzenie, jakoby religijność tych ludów o kulturze pierwotnej ograniczała się li tylko do tych nizkich praktyk i odpowiadających tym praktykom przekonań. Przeciwnie, nie brak im wcale wyższych pojęć religijnych, przekonań i praktyk, odnoszących się do istoty wyższej nad duchy przyrody, wyższej nad przodków, stojącej ponad wpływem sił magicznych. Jest to według ich głębokiej wiary Pan najwyższy, Stwórca wszystkiego, co niższe jest od niego, Sędzia, co wszystko widzi i sądzi. Tu i ówdzie pojęcia te są nadzwyczaj jasne i względnie bardzo czyste, w wielu wypadkach zaś zamglone, przesłonięte zbitą przędzą mitów, ale zawsze jeszcze poznawalne. Co ciekawsze, stwierdzono z dostateczną pewnością, że te przekonania religijne tam są czystsze, wyraźniejsze i dość wybitnie monoteistyczne, gdzie kultura jest prostszą i pierwotniejszą, względnie były czystsze i doskonalsze kiedy kultura była prostszą, wolną od wpływów ludów ościennych lub najezdców.

Pierwszy, co tego dowiódł, a dowiódł na podstawie sumiennych, naukowych i krytycznych badań, nie jest kto inny, jeno gorący niegdyś zwolennik i obrońca animizmu Tylora, Andrew Lang, twórca nowej teoryi, zwanej monoteistycznym preanimizmem, którą rozwija i uzasadnia w dziele *The Making of Religion* (1898[1], 1900[2]). Może ktoś nie zgadzać się z teoryą uczonego Szkota, ale faktów, nie czerpanych z relacyi misyonarzy, lecz z bardzo rozległego pola obserwacyi, z różnych okresów, u zacofanych i przez zewnętrzne wpływy najmniej dotkniętych ludów, z ich tajemniczych misteryów i pieśni, faktów, świadczących najwyraźniej o przekonaniu i wierze najniższych ludów w istotę wyższą nad duchy przyrody, nad ludzi, nad przodków-bohaterów, tych nie da się zaprzeczyć. Nie przeczy im też wcale Howitt [1], specyalista w badaniach nad ludami południowej Australii, zasługującemi z powodu niezwykle prostej swej kultury na szczególniejszą w naszej kwestyi uwagę; a przypuszcze-

[1] Howitt, *The native tribes of S. E. Australia*, London 1904.

nie Tylora, jakoby te wyższe pierwiastki przekonań religijnych u tych ludów nie były pierwotnemi lecz importowanemi przez Europejczyków, zbija Lang gruntownie.

Do tych samych wyników, co twórca teoryi monoteistycznego preanimizmu, dochodzą w swych badaniach uczeni katoliccy, jak W. Schmidt [1], światowej sławy redaktor Międzynarodowego Przeglądu etnologii i lingwistyki *Anthropos*, i Msgr. A. Le Roy [2], który przez lat 20 obserwował ludy pigmejskie i szczepy Bantu w Afryce środkowej.

„Kiedy się długo żyło z ludźmi pierwotnemi", mówi między innemi A. Le Roy, „dochodzi się do tego przekonania, iż poza tem, co się nazywa ich naturyzmem, animizmem, fetyszyzmem występuje wszędzie rzeczywiste i żywotne, chociaż często mniej lub więcej ukryte pojęcie jednego Boga, wyższego od ludzi, od przodków, od duchów i wszystkich sił przyrody". (*La Religion des Primitifs*, str. 171.) A dalej podaje: „Porównywując nadzwyczaj ścisłe dane lingwistyczne szczepów Bantu z ich aktualnemi pojęciami, odnosi się to wrażenie, że pojęcie bóstwa obniżyło się u nich widocznie, że w czasie urabiania się języka było o wiele dokładniejsze". (tamże str. 181).

Całkiem analogiczne spostrzeżenia zaznacza W. Schmidt w przytoczonych studyach historyczno-krytycznych, w których ustęp o najwyższych bóstwach południowo-wschodniej Australii jest wprost klasycznym tak pod względem ścisłej analizy faktów jak pod względem logiki, jaką wykazuje bezpodstawność licznych teoryi i systemów co do religii pierwotnej.

Wobec tego możemy więc bez wahania przyjąć jako pewnik, to jedno conajmniej, że ludom pierwotnym nie brak pojęć i przekonań, jakich wymagamy do aktów naprawdę religijnych. A jeżeli zwrócimy uwagę na to, iż wszędzie u nich napotyka się na mniej lub więcej zorganizowany kult: modlitwy, ofiary,

---

[1] *L'origine de l'idée de Dieu*, w „Anthropos" r. 1908—1910. Studyum to wydane niedawno w języku niemieckim p. t. *Der Ursprung der Gottesidee*, Aschendorff-Münster. *Die Stellung der Pygmäenvölker in der Entwicklungsgeschichte des Menschen*, Stuttgart, 1910.

[2] *Les Pygmées*, Tours, 1905. — *La Religion des Primitifs*, Paris, 1909.

ceremonie i t. d. jako wyraz poddania, pokuty, wdzięczności lub prośby błagalnej, iż, jak stwierdza A. Lang, najdziksi nawet wśród tych barbarzyńskich szczepów wznoszą swoje ręce i myśli swoje w chwili niebezpieczeństwa i zgrozy do Swego Ojca i Opiekuna, co wszystko widzi i wszystkiem rządzi,—jeżeli na to zwrócimy uwagę, to nie trudno nam będzie przyznać, iż ludy te mają religię w ścisłem tego słowa znaczeniu [1].

Dodajmy do wyników badań nad religią ludów pierwotnych, nam współczesnych, rezultaty studyów nad pierwotną religią ludów wschodnich: Semitów (z wyjątkiem ludu żydowskiego) [2], Persów [3], Egipcyan [4], dalej rezultaty studyów nad pierwotną religią Chińczyków [5], wykazujące jednogłośnie, że pierwotna religia tych ludów była czystszą, pojęcia o bóstwie jaśniejsze i doskonalsze niż w czasach późniejszych, a z wszelką pewnością przekonamy się o prawdziwości twierdzenia: że ludzkość, o ile nam jest znaną z historyi, była i jest na ogół religijną.

Pozostaje nam powiedzieć jeszcze słów kilka o człowieku przedhistorycznym. Wyraźne o religii tych ludzi naprawdę pierwotnych świadectwa byłyby nader pożądane. Niestety zbyt mało mamy odpowiednich danych. W każdym razie, szczątki ich, tu i ówdzie na światło dzienne wydobyte, budowa czaszki, proporcye szkieletu, dalej broń, narzędzia, te noże, piły, świdry, dłuty, topory, igły, wędki i t. p., których używali, wskazują na liczne, uwagi godne analogie życia ich i kultury z życiem i kulturą t. zw. ludów pierwotnych, nam współczesnych. Otóż, jak zupełnie fałszywie sądziłby o tych, ktoby je sobie przedstawił jako gatunek istot półnapół ludzkich półnapół zwierzęcych, o inteligen-

---

[1] Oprócz dzieł angielskich, francuskich, niemieckich, przytoczonych w tym ustępie, godną polecenia jest doskonale informująca praca ks. Radziszewskiego „Geneza religii w świetle nauki i filozofii", Warszawa, Gebethner.

[2] I. M. Lagrange, *Études sur les religions sémitiques*,[2] Paris, 1905.

[3] A Carnoy, *La religion des Perses*, w „Manuel" str. 161—219.

[4] Virey, *La religion de l'ancienne Égypte*, Paris, 1900. — Naville, *La religion des anciens Égyptiens*, Paris 1906.

[5] L. Wieger, *La Religion des Chinois*, w „Manuel" str. 95—120; praca według tekstów oryginalnych wykonana.

cyi strasznie tępej i ograniczonej, o obyczajach nieludzkich, egzystencyi nędznej i pożałowania godnej, tak również błędnieby sądził o człowieku przedhistorycznym, uważając go, jak to często się zdarza, za istotę półnapół małpią, upośledzoną pod każdym względem. Przeciwnie, jak dzisiejsi t. zw. dzicy są zadowoleni, często bardzo inteligentni, względnie moralni i religijni, a na ogół wolą życie swoje swobodne i proste, niż przesadne wymagania, ambicye i kolizye naszej wyrafinowanej cywilizacyi, tak samo było najprawdopodobniej z naszymi dalekimi przodkami. Co więcej, jeżeli człowiek przedhistoryczny jest wynalazcą wszystkich niemal narzędzi i sprzętów, służących nam po dziś dzień do potrzeb codziennych, i to w takiej formie, że żaden lud cywilizowany nie wprowadził w ciągu wieków istotnych w typie tych narzędzi zmian, to słusznie możemy twierdzić z Bumüllerem [1], iż człowiek pierwotny należał do rasy niezwykle uzdolnionej. A stąd możemy przypuścić, że nie był pozbawiony przekonań religijnych przynajmniej takich, jakie widzimy u współczesnych nam ludów niecywilizowanych. A przypuszczenie takie jest tem słuszniejsze, że obecnie jest rzeczą pewną, iż ludy pierwotne mają czystsze i doskonalsze pojęcia religijne, niż wiele ludów pogańskich o cywilizacyi wysoko rozwiniętej.

Przypuszczenie nasze zyskuje jeszcze na pewności, jeżeli nadto zwrócimy uwagę na fakt, przez wybitnych paleontologów przyjęty, iż najstarsze nawet rasy przedhistoryczne z wielką starannością swoich nieboszczyków chowały. Niezawodny to znak wiary w życie pozagrobowe. O ile zatem psychologia i filozofia wykazują, możemy powiedzieć z A. Le Roy [2], że akt chowania nieboszczyków wskazuje jako na swoje niezbędne założenie na przekonania i uczucia religijne, o tyle też i dla tej racyi można twierdzić, że już najstarsze rasy ludzkie przedhistoryczne miały religię.

Nie można więc wątpić o fakcie powszechności religii.

(Dok. nast.)

Bruno Wolnik

[1] *Aus der Urzeit des Menschen*, z r. 1907.

[2] *Les populations de culture inférieure*, w „Manuel“ str. 87.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Piotr Skarga w dziejach i literaturze Unii brzeskiej. *Józef Tretiak.* Kraków, nakł. Akademii Umiejętności, 1912 str. 352.

Bez książki prof. Tretiaka jubileuszowe uczczenie Skargi byłoby niezupełne. Wśród hołdów składanych w tym roku Skardze jako kaznodziei, jako pisarzowi, jako wychowawcy ducha narodowego, jako kapłanowi-ascecie, za mało, czy podobno wcale nie było słychać wyrazów uznania dla zasług, jakie położył on w dziele pierwszorzędnej kościelnej i politycznej doniosłości, w dokonaniu Unii Brzeskiej. Historyografia polska czy to z powodu technicznych trudności, czy prawdopodobniej krępowana wciąż trwającą walką dwóch narodowości i obrządków, wogóle mało się zwraca ku historyi cerkwi ruskiej w Rzeczypospolitej i stosunku jej do kościoła. Skutkiem tego — względne ubóstwo prac polskich o tym przedmiocie w porównaniu naprzykład z ilością prac rosyjskich. P. Tretiakowi uznanie się należy, że nie dał się powodować obcym nauce historycznej względom oportunizmu i wedle możności starał się oświetlić pewne karty z historyi Unii i znaczenie Skargi tak w samem zawarciu jej jak i w późniejszych jej losach.

Mówimy, że autor starał się wywiązać z postawionego zadania wedle możności. Właściwie sam sobie zadanie swoje ograniczył do skromnych rozmiarów. Z jednej strony, mając do czynienia z piśmiennictwem religijnem, wywołanym przez unię, zaniechał oceny tegoż piśmiennictwa ze stanowiska teologicznego, „nie czując się do tego uprawnionym“; z drugiej strony — nie oparł swej pracy na samodziel-

nych poszukiwaniach źródłowych, lecz zadowolił się wyzyskaniem ogłoszonych już źródeł, zwłaszcza wydawnictw rosyjskich.

Dla zrozumienia doniosłości wystąpień Skargi, autor przygotowuje naprzód tło, kreśląc stan cerkwi ruskiej w XV i XVI stuleciu. Sam udział Skargi w dziele unii, o ile on jest nam znany z ogłoszonych dotąd źródeł, występuje w trzech głównych momentach: w kazaniach wileńskich i ogłoszeniu książki O jedności kościoła Bożego, w osobistej obecności, w charakterze sekretarza na Synodzie Brzeskim i w obronie tegoż Synodu, wreszcie na schyłku życia, w odpowiedzi na schizmatycki pamflet Smotryckiego. W odstępach czasu między tymi momentami Skargi bezpośrednio w historyi unii brzeskiej nie widzimy, często na długo znika on z oczu czytelnika książki p. Tretiaka, czujemy atoli ustawiczny wpływ jego rzadkich wystąpień tak w rozwoju wypadków jak i w kierunku ruskiej literatury polemicznej.

Prawdziwą zasługą książki p. Tretiaka, to dokonane zestawienie przezeń w rozdziałach 7, 9 i 10 Skargi z Filaletem, Skargi z Wiszeńskim, Skargi ze Smotryckim. Znajdujemy tu rzeczy zupełnie nowe dla polskiego czytelnika. W Filalecie, wbrew przyjętemu mniemaniu, że pod tym pseudonimem ukrywa się Krzysztof Broński, odkrywa p. Tretiak protestanckiego pisarza Marcina Broniewskiego. Hipoteza bardzo prawdopodobna; życzyć tylko należy, by nowe jakie źródła jeszcze mocniej ją poparły. O polemice mnicha z góry Athos, Wiszeńskiego, pochodzącego podobno z Sądowej Wiszni, przeciwko Skardze i unii, a podobno i o istnieniu takiego przeciwnika Skargi, głucho u naszych autorów. Zajęli się tą ciekawą postacią pisarze rosyjscy i ruscy, a rezultat ich badań przyswoił nam p. Tretiak, w niektórych szczegółach, prostując wywody swoich poprzedników. Zestawienie nie tylko treści polemiki, ale samych nawet charakterów Skargi i Wiszeńskiego, pod piórem p. Tretiaka staje się skończoną a ciekawą charakterystyką dwóch odmiennych umysłowości: wschodniego ascety i zachodniego teologa-działacza; to dwa światy, które i dotąd swych osobliwości nie zatraciły. Ostatnie wystąpienie Skargi przeciw Smotryckiemu, ten jego śpiew łabędzi, tem jest względem Rusi, czem Wzywanie do pokuty było względem wszystkich obywateli Rzeczypospolitej: to testament apostoła katolicyzmu, nie tracącego wiary w świętość sprawy unii, pomimo napotykanych przeszkód. Idea Skargi jest niepowodzeń drogą i dla autora rozpatrywanej przez nas książki. Według p. Tretiaka, „historya unii religijnej nie jest skończoną". „Zadaniem

unii, było od wieków — i jest — wyrwać te ludy z odosobnienia i martwoty, powołać je, nie niszcząc ich obrzędowości, z którą się zrosły i która naturalnie stała się im drogą, do wielkiej rodziny ludów europejskich, do jedności religijnej z Zachodem i stąd do wspólnego życia kulturalnego". W genezie wcielania w życie tej idei nie wolno będzie nikomu pomijać ani lekceważyć postaci Skargi i płynącego z niej i z jego pism światła i pobudek, jakie nim w tem zbożnem dziele kierowały.

Zwyczajem recenzentów muszę wytknąć książce pewne niedokładności, które w „sprostowaniach" nie zostały usunięte. Tak na str. 38 data zjawienia się socyanizmu w Polsce mylna o całe sto lat. Na str. 326 i 327 czytamy wyrazy „wzgląd polityczny". Cały kontekst wskazuje, że miało być „wzgląd polemiczny". To usterki drukarskie. Co do usterek autorskich, to na str. 226 znajdujemy w przypisku zupełnie fałszywy wniosek, iż w cytowanem piśmie protestanckich ministrów ewangelia została usunięta z liczby źródeł wszelkiej prawdy. Słowa „pisma proroków i apostołów są źródłem wszelkiej prawdy" w ustach protestantów wykluczały tylko inne źródło objawienia — tradycyę. Ewangelie zaś u protestantów rozumiały się przez nazwę pism apostołów. Na str. 328 i nast. cała egzegeza widzenia Skargi i słów tajemniczych przezeń słyszanych, nie wydaje się ani przekonywającą, ani trafną, ani zresztą dla pracy autora potrzebną. Nakoniec notujemy jeden, naszem zdaniem, dotkliwy brak książki ze stanowiska historycznej krytyki literackiej : oto autor bierze rozpatrywane przez siebie pisma Skargi, jako goły fakt, nie dochodząc wcale źródeł, z których Skarga czerpał swe historyczne i teologiczne argumenty w polemice ze schizmą. Oczywiście takie dochodzenia wymagały zestawień z ówczesną łacińską literaturą kościelną, mniej dostępną dla pisarza świeckiego, narzucały się one jednak siłą rzeczy w celu wyjaśnienia, co w pracach polemicznych Skargi było przezeń zapożyczone u innych autorów, co zaś jego niepodzielną własnością.

Ks. Jan Urban.

Okruchy przeszłości. *Aleksander Kraushar.* 1913.

Znany ze swej niezwykle płodnej pracy historyograf, zebrał pod powyższym tytułem aż 30 cennych bardzo fragmentów naszej przeszłości. Są to krótkie szkice, odtwarzające epizodycznie niejeden rys

obyczajowo-kulturalny i to na podstawie samych dokumentów i najkompetentniejszych źródeł.

Rzecz sama zaczyna się od szkicu, poświęconego przeszłości Warszawy. Piękny to obrazek, ale tej tylko dzielnicy, co jest sercem tego polskiego grodu, dającem mu życie polskie i polski charakter. Od św. Jana i cichej kanonii prowadzi nas autor ulicą Świętojańską na rynek, a niczego nie pomija, co dla swej budowy, czy znaczenia w historyi większe budzi zajęcie. Przytoczywszy następnie opis życia Warszawy w XVIII w., nakreślony przez A. Jarzemskiego, co był muzykiem i budowniczym królewskim, prowadzi nas na zamek, a potem wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, ul. Senatorskiej i Miodowej. Szkic ten, jakkolwiek zdaniem samego autora do źródłowości pretensyi rościć sobie nie może, napisany jest z wielką znajomością rzeczy a gorącem i serdecznem przywiązaniem do tego, co z przeszłości naszej nam zostało.

Ciekawy jest następny epizod z życia niemieckiego filozofa: „Filozof J. B. Fichte w Warszawie". Myśliciel ten zjawia się na ziemiach naszych w r. 1791, kiedy to u nas życie umysłowe żywiej się budzić poczęło. Przyjmuje urząd nauczyciela i wychowawcy w rodzinie hr. Platterów, lecz dla swej nieuległej natury niedługo musi ustąpić. Zostawił interesujące bardzo spostrzeżenia swoje i notatki. Przy pisaniu tego fragmentu biograficznego korzystał autor z pomocy Dr. H. Struvego, który sam przejrzał dziennik Fichtego w muzeum brytańskiem a także odnaleziony w antykwaryacie frankfurckim życiorys, przez syna filozofa: *J. G. Fichtes Leben und litterarischer Briefwechsel.*

Na paru następnych kartkach jest rzucony jeden rys obyczajowy z XV. w. *Castigare, ut licet uxorem.* Odsłania on nam zagadkową stronę życia małżeńskiego w średniowiecznej Polsce. Oto na podstawie przechowanego orzeczenia sędziów, dokumentu, zapisanego w księgach grodzkich sieradzkich, dowiadujemy się, że mąż miał prawo używać chłosty jako kary na swą żonę, byle jej nie okaleczył albo nie zabił. Na potwierdzenie owego zwyczaju przytacza autor jeszcze inne źródło.

W kartce historycznej z r. 1599 „O dobrą sławę kasztelanki Kościeleckiej" broni autor sławy panienki zakonnej, niesłusznie zniesławionej o niezachowanie ślubów zakonnych.

Podobny charakter ma epizod: „Mniemane ostatnie votum kanclerza J. Zamoyskiego na sejmie warszawskim 1605 r." Rzecz to

niezwykłej doniosłości. Chluba naszej historyi i narodu, wielki hetman i kanclerz, miał zdaniem wielu nawet znakomitych skądinąd pisarzy wystąpić na sejmie warszawskim 1605 z mową, będącą obrazem i echem „wyuzdanych namiętności naszych" a kryjącą w sobie fatalne *liberum veto*, pogardę praw i majestatu królewskiego. Tak pisze Niemcewicz w historyi Zygmunta III, Staszic w „Uwagach nad życiem Zamoyskiego" i wielu jeszcze innych. Na szczęście jednak, na obronę sławy tego wielkiego męża i na obronę honoru dziejów naszych — w mowie, przytoczonej przez Niemcewicza, Staszica i innych, niema ani trochę prawdy. Nie prawdą jest, że Zamoyski miał powiedzieć *regna, sed non impera*. A na potwierdzenie tego mamy wiarogodny odpis tej inkryminowanej mowy w papierach zasłużonego archiwisty, Walentego Huberta. Autor przytacza tę mowę w całem jej brzmieniu, a nadto zestawia kilka stycznych punktów mowy zmyślonej z prawdziwą, przez co rzecz tem większej nabiera jasności, a rehabilitacya staje się tem skuteczniejszą. Nic niema w tej mowie, coby najmniejszy nawet rzucało cień na osobę Zamoyskiego, owszem kanclerz występuje w całej godności sprawiedliwego, a niczem nieugiętego syna Ojczyzny, a monarsze wiernie oddanego wodza. Świadczą o tem i historye nieuprzedzone i świadectwo naocznego świadka, Vanozziego, posła legata pap. kard. Gaetaniego.

Następuje krótka historya losów i wrażeń niektórych z podróży Jana Strusia, podróżnika polskiego w XVIII w., co długi czas ukrywał swe polskie imię pod francuskiem Jean'a Struys'a.

Fragment dalszy nosi tytuł „Sprawa o zgorszenie obyczajów przed trybunałem koronnym w w. XVIII". Autor podaje tu ustęp z kodeksu, przechowywanego w Bibl. Jag., z którego dowiadujemy się, że kiedy u nas zbrodnie gwałtu i uwodzenia niewiast karano nawet śmiercią, to występki natury prywatnej, ubliżające przyzwoitości i dobrym obyczajom, uchodziły bezkarnie, a już, co najwyżej, karano je wieżą. Przykładem niejaki szlachcic Hadziewicz, co kobietę, za chłopca przebraną, u siebie ukrywał, a jednak uszło mu to zupełnie bezkarnie.

W epizodzie historycznym z r. 1793: „Echa warszawskie stracenia Ludwika XVI w Paryżu", zebrał autor część smutnych i bolesnych odgłosów, jakiemi śmierć króla francuskiego, z matki Polki, przepełniła mury Warszawy i całej Rzeczpltej. Obok licznych nabożeństw i manifestacyi żałobnych nie brakło i przycinków, zwłaszcza ze strony obrońców obalonej przez Targowicę konstytucyi majowej.

Wyobrazicielem takich był zasłużony pułkownik Jakób Jasieński. Podniósł on głos protestu w popularnej formie satyry, że zamiast stanąć mężnem czołem przeciw wrogowi, to łzy ronimy nad obojętnym dla sprawy naszej Bourbonem. „A gdy wam honor, wolność, majątki odjęto, wy płaczecie, że króla o mil trzysta ścięto".

Na paru stronach następnych umieszcza autor „Autograf listu J. Waszyngtona, prezyd. St. Zj. Am., do J. U. Niemcewicza" i dodaje doń własne uwagi. Jest to serdeczny wyraz sympatyi, jaką ów bohater amerykański żywił dla naszej Ojczyzny i swego przyjaciela.

Interesującym jest szkic: „Grunwald i Tannenberg w dziejopisarstwie sąsiadów". Oto, co sądzą niektórzy dziejopisowie niemieccy i rosyjscy o wiekopomnym pogromie grunwaldzkim. Niemcy — sławni i popularni — nie mają pojęcia, gdzie ta bitwa się rozegrała, usprawiedliwiają pokornych Krzyżaków i łzy ronią nad krzywdą im zadaną, no a rosyjscy n. p. S. Sołowiew i Iłowajskij chlubią się tem, że pod Grunwaldem pułki właściwie rosyjskie odniosły zwycięstwo.

W „Pretensyach polskich do skarbu francuskiego" (1807—77) mamy wyjaśnioną historyę znanych sum napoleońskich i starań o ich odzyskanie.

Cennym bardzo jest następny urywek z historyi prawodawstwa polskiego: „W setną rocznicę nadania B. Ks. Warszawskiemu kodeksu Napoleona" (1808—1908). Stwierdziwszy fakt żywotności i wewnętrznej siły narodu naszego w czasie Księstwa Warszawskiego, Kongresówki i później, łączy go autor z wprowadzeniem w nasz ustrój społeczny kodeksu, co już gdzieindziej wielkie święcił tryumfy. Nie mamy opisu wewnętrznej jego wartości lub konstrukcyi, ale tylko opinię o nim za i przeciw, a w końcu zdanie trafne i słuszne tego, co szkic ten napisał. Istotnie od wprowadzenia tego kodeksu dużo u nas zmieniło się na lepsze. Kodeks stał się nicią historyczną, łączącą nas z wysoko rozwiniętem prawodawstwem zachodniem. Wprowadza zasadę równości dla wszystkich, by „zasypać tę przepaść, która braci dzieli" i ożywia to wszystko duchem demokratycznym. Wpływa wreszcie na udoskonalenie się prawodawstwa naszego.

Miłą bardzo jest postać w następnym obrazku historycznym „Starzec Narocki, współczesny Sobieskiemu, u ces. Napoleona w Warszawie 1807 r." Na podstawie historyi P. M. Laurenta de l'Ardéche'a *Histoire de l'empereur Napoléon* i *Dodatku do Gazety warsz. i zagran.* z 30 stycznia 1807 wprowadza tu autor 117-letniego starca, co pamiętał jeszcze Sobieskiego czasy, a teraz w zgrzybiałym wieku przy-

stępuje do Napoleona ze supliką. Cesarz okazał się wspaniałomyślnym, prośbę przyjął i dał Narockiemu roczną pensyę 100 napoleondorów.

Piękną jest także postać Maleszewskiego, pierwszego koresp. zagr. Tow. Warsz. Przyjaciół Nauk, której krótką biografię podaje nam autor na podstawie jego dzieła: *Essai historique et politique sur la Pologne, depuis son origine jusqu'en* 1788. Cechą odrębną tego polityka i literata jest niechęć do Napoleona i upatrywanie w jego geniuszu pierwiastków szkodliwych dla ludzkości współczesnej.

W notatce „Do dziejów biblioteki Załuskich" opowiada autor krótko losy tej naszej skarbnicy, niecnie nam zabranej, a następnie podaje starania o jej rewindykacyę.

Dwa dalsze fragmenty poświęcone są Kilińskiemu, znanemu bohaterowi z czasów Kościuszkowskich. W pierwszym maluje autor jego chwile ostatnie i podaje wartość drugiego jego pamiętnika, jako dokumentu obyczajowego, historyczna bowiem jego doniosłość jest bardzo mała; a w końcu przytacza zdania — Korzona o Kilińskim, a Kraszewskiego o jego pamiętniku. We fragmencie drugim mamy znowu tę samą postać bohatera ludu warszawskiego, jak staje przed Napoleonem i z otwartością wiarusa wyznaje mu swą miłość, a prócz dwóch synów składa jeszcze w ofierze dwie chorągwie regimentu piechoty, którego sam był kiedyś dowódzcą. Szczegóły te, z pewnych zaczerpnięte źródeł, wogóle mniej są znane publiczności, a przecież bardzo cenne do wykończenia rysów postaci szewca-bohatera.

Teraz następują trzy szkice, odnoszące się do osoby Niemcewicza. Pierwszy „Stulecie pamfletu obyczajowego Niemcewicza" mieści szereg dokumentów, które nam jasne a silne rzucają światło na stan, zwłaszcza obyczajowy społeczeństwa naszego r. 1812. Dosadne są zwłaszcza urywki z rozgłośnych „Listów litewskich" Niemcewicza, które nam wiernie przechowały dziwny brak zainteresowania się tem, co polskie, tę niewytłómaczoną obojętność dla sprawy polskiej i to w różnych warstwach ówczesnego społeczeństwa. Szkic drugi „Odczyt Niemcewicza na kanoniach w r. 1819" zawiera prócz wiarogodnego opisu Dupot-Zenowicza „O kampanii oddziału jenerała Karola Sierakowskiego odbytej w r. 1794", jeszcze uwagi referenta i autora samego, a wszystko to jest wielkiej ceny i marzenia do rehabilitacyi nieraz już szarganej sławy tego dzielnego i sprawnego jenerała. Szkic wreszcie trzeci to „Pamiątki po J. M. Niemcewiczu". Tu zaznajamia nas autor z cennymi zbiorami muzeum rodzinnego. Jeden okruch do historyi kultury naszej dorzuca nam szkic: „Izabella

ks. Czartoryska o swojej Sybilli puławskiej". Postać żony generała ziem podolskich, jakkolwiek przyćmiona wybujałościami nieumiarkowanego temperamentu, odgrywa w rozwoju kultury naszej znamienną rolę. Wszak ona to w swem Tusculum puławskiem podtrzymywała, zachowywała i wciąż budziła upadającego ducha narodu, a co więcej, utrzymywała łączność z kulturą zachodniej Europy. Mamy na to świadectwo jej własnego listu do miłośnika pamiątek archiwalnych Pongensa. List ten, podany tu w tłómaczeniu, jest wyrazem prawdziwego poświęcenia się księżnej dla sprawy naszego narodu.

W „Taczkach belwederskich" zestawia autor opowieści o karze robót przymusowych publicznych w parku belwederskim z dokumentem urzędowym, wyjaśniającym, kto i kiedy na taką karę zasądzany bywał. Wykazano tu, że kara ta stosowana bywała za przewinienia natury czysto prywatnej: Przytoczona na podstawie raportu urzędowego lista przestępców: *Liste nominative des individus designés aux traveaux à Łazienki* nosi znak *pro patria*, a nie zawiera ani jednego przestępcy kryminalnego.

Na paru dalszych stronach opisane: „Ostatnie przechadzki Niemcewicza w Paryżu", jakie sędziwy i skołatany pracą starzec odbywał do parku *Elisée Bourbon*, i to za szczególnem pozwoleniem ministra Thiersa.

Dwa następne fragmenty „Orły i sztandary" i „Wynurzenia Skrzyneckiego" są przyczynkami do powstania listopadowego. Pierwszy — to szereg dokumentów, odnoszących się do tej sprawy, następny jest wyznaniem nieszczęsnego wodza wojsk polskich. Jeszcze przed memoryałem *Mes erreurs* dał on szczery ich wyraz w liście do swego przyjaciela, Wł. hr. Ostrowskiego. Drobny to, ale ważny dokument nieszczęśliwego, choć rycerskiego wodza.

W „Sławie między obcymi" ciekawych dowiadujemy się rzeczy, o rozgłosie, jaki nasi trzej narodowi wieszcze mieli u obcych. Oto w chwili, gdy świat cały cieszył się już „Panem Tadeuszem", „Irydyonem", „Kordyanem", w r. 1844 głośna *Biographie portative universelle*, nawet nie wspomina o nich, chociaż n. p. Mickiewicz przemawiał już z katedry *Collége de France*. Po pięciu latach wychodzi znowu *Biographie universelle par una société de gens de lettres et de savants*, lecz i tu imiona Słowackiego i Krasińskiego świecą nieobecnością. Teraz jest lepiej, a sławą u obcych najwięcej, zdaniem autora, cieszy się Słowacki.

Pod następnym tytułem „Zaczątki agitacyi chełmskiej w Królestwie Polskiem“ zebrał autor garść dokumentów archiwalnych z początkowych lat panowania Aleksandra II., które nam wyjaśniają źródło powstania sprawy chełmskiej, stosunek do niej P. Muchanowa, kierownika wydziału wyznań, który wprowadził do Chełmszczyzny element rozterek i rozdrażnienia, a to przy pomocy księży unickich z Galicyi. Szereg podanych tu dokumentów niejedno rzuca światło na tę ważną sprawę i na jej przebieg.

Następuje wspomnienie z r. 1863 „Zgon Samuela Posnera“. Mało jest nam znane imię tego Żyda, co zginął za naszą narodową sprawę od kuli moskiewskiej w bitwie pod Zieluniem 1863 r.

W przedostatnim szkicu opisuje autor głośną niedawno historyę rydwanu tryumfalnego Sobieskiego, a następnie podaje nam opis tego wozu, i o ile przy przerobieniu go na ambonę uległ zmianie.

Całość kończy się „Ofiarnością niemiecką na rzecz Polski r. 1831“. Po kilku uwagach o psychologii ludów niemieckich wykazuje autor, jak wielka zaszła zmiana na gorsze w duszy niemieckiej.

Widzimy więc z tego pobieżnego sprawozdania, że szereg ten szkiców czy epizodów, nakreślonych ręką wprawnego i doświadczonego pisarza, oddać może niejedną usługę badaczowi naszej przeszłości historycznej czy literackiej, czy wreszcie obyczajowo-kulturalnej. Szkoda, że brak w nich głębszego i systematyczniejszego ujęcia pokrewnych sobie spraw. Widzi się zbyt wielką pobieżność, o czem świadczy i to, że wiele pomyłek drukarskich zostawiono. Jeżeli jednak chodzi o rzecz, a tę przedewszystkiem mieliśmy na myśli w całej naszej ocenie, to „Okruchy przeszłości“ mają wartość i z pewnością z należnem spotkają się uznaniem, a niejednemu oddadzą nawet usługę, na którą może oddawna czekał.

Józef Płaza.

Wspomnienia artysty [1].

Otwieramy przepysznie wydaną księgę w naprężoną ciekawością, choć i z pewną przymieszką powątpiewania. Czy świetny batalista potrafi równie dobrze pisać, jak namalować bitwę? Czy, choć go pędzel nigdy nie zawiódł, pióro nie zawiedzie? Czy znowu, zbytnio ba-

[1] Wojciech Kossak: Wspomnienia z 92 illustracyami w tekście oraz 8 kolorowanemi na osobnych kartach. Kraków. Nakład G. Gebethnera i Spółki. Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. 1913. str. n. l. + 348.

cząc na przepisy *artis bene scribendi* nie wpadnie w ostateczność drugą i zamiast „wspomnień" nie da nam literatury w złem znaczeniu tego słowa? Oto wątpliwości, jakie się nam narzucają u wstępu do czytania tego dzieła.

I trzeba zaraz zaznaczyć, że ogarnia nas zdziwienie bardzo miłe. Zupełnie bez nadętej napuszystości, prostym stylem opowieści czy, szlacheckiej gawędy, nie siląc się na nadzwyczajne łamańce psychologiczne, opowiada autor-batalista swoje wspomnienia. A że ma oko znakomicie wyszkolone w obserwowaniu rzeczy i ludzi, jako malarz, więc w tem dziele literackiem soczystość barw walczy o lepsze z plastyką postaci i naprawdę nie wiadomo, co więcej podziwiać: malarza, który tak potrafi opowiadać, czy też autora, który tak umie malować. Ma ten styl dla nas jakiś szczególniejszy urok kawalerzyckiej brawury, jakiejś bezpośredności odczuwania, tak rzadko w książce dzisiejszej spotykanej. Ma zresztą ta książka i inny cel na oku. Nie tylko opowiada barwnie przebieg ciekawego żywota i stawia przed oczy ludzi, o których ogół, po za ich nimbem, wie nie wiele, ale ma ona służyć jako oczyszczenie się z zarzutów, jakie autora-artystę przed laty kilku spotkały. Pamiętamy wszyscy, jak nie umieliśmy zrozumieć, że Wojciech Kossak, syn Juliusza, jest nadwornym malarzem Wilhelma II. w czasie Wrześni i mowy malborskiej. Odpowiedział wprawdzie artysta godnie na wszystkie zatrute strzały, których mu nie szczędziło dziennikarstwo w tym czasie, zupełnem usunięciem się z Berlina i zerwaniem stanowczem z Wilhelmem II. Znaliśmy fakt, nie znaliśmy okoliczności i wszystkich pobudek. Teraz widzimy je, jak na dłoni i przyznać musimy, iż silnym musiał być patryotyzm artysty, który nie zawahał się zerwać z ponętnymi widokami i co więcej narazić cały swój byt materyalny, byleby spełnić obowiązek wobec społeczeństwa, nazwiska i siebie. Te dwie uwagi uważaliśmy za potrzebne u wstępu naszego sprawozdania.

Urodził się w Paryżu w noc sylwestrową 1856-57, jako syn Juliusza i Zofii z Gałczeńskich. Ojcem chrzestnym był mu świetny batalista Horacy Vernet. Wspomnienia paryskie, to przeważnie późniejsze rekonstrukcye na podstawie opowiadań ojca. Choć pewnie i na dzieciaka musiały wywierać silne wrażenie, owe marsowe postacie bohaterów z pod Somo-sierry i Moskwy, Grochowa i Wawra. I znowu tu u samego wstępu do wspomnień podnieść należy dużą wiedzę historyczną artysty. Widać, że musiał się wiele porać nad literaturą pamiętnikarską polską, bo uwagom jego o dziwnej duszy W. Ks. Kon-

stantego, czy też o owym mimowolnym szacunku, jaki ma wojskowy dla wojskowego, jaki mieli oficerowie polscy dla fanatycznego, choć okrutnego miłośnika wojska, fachowy historyk nic by zarzucić nie mógł. Wzrastał w atmosferze przesyconej kultem „małego kaprala", to też nic dziwnego, iż jest jednym z najświetniejszych illustratorów i współtwórców legendy napoleońskiej w Polsce. I to, naszem zdaniem, czyni go społeczeństwu tak blizkim. Żadne rozumowanie i mądre wywody o szkodliwości tego kultu, nie potrafią go z duszy polskiej wymazać. Zostaliśmy może wywiedzeni w pole, choć pewnie wiele w tem winy nas samych, ale w epopei napoleońskiej przeżył naród swój porozbiorowy „sen o szpadzie", aby go zmienić w zwycięską rzeczywistość pod Ulm, Jeną, Austerliz, Somo-sierrą i Wagram i przypieczętować śmiercią pierwszego z Polaków pod Lipskiem.

Później Warszawa i straszny rok 1863. Widział chłopak rannych i zsyłkę na Sybir, przeżył rewizye i brutalność dzikich hord kozactwa.

Ojciec przenosi się do Krakowa. Syn, oddany do gimnazyum, stacza walki bezkrwawe, choć niemniej znojne z greką i łaciną przez lat pięć; ustępuje wreszcie, bodaj, że jedyny raz w życiu, i zostawiając łacińskie okresy i greckie wyjątki innym, wchodzi w poczet uczni Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Uwagi o indywidualności Matejki, która przytłaczała uczni, i prof. Łuszczkiewicza, nie są pozbawione słuszności. Wreszcie wysyła autora ojciec do Monachium, oddając go w opiekę dawnym towarzyszom młodości Maksowi Gierymskiemu, Brandtowi, Witkiewiczowi, Chełmońskiemu i Czachórskiemu. Jak świetnie ujmuje tu nasz autor zgubny wpływ owego piwnego nastroju monachijskiego na miękkie charaktery polskie! Z przykrością czytamy o marnowaniu się talentów w wyrobnictwie artystycznem, w fabrycznej wprost produkcyi onych *polnische Landschaft* z nieśmiertelnym wilkiem czy też błotnistnej drogi z rozwalonym — *conditio sine qua, non* — płotem. Nasz autor uczy się zapalczywie, podpatruje arkany kunsztu mistrzów, by z czasem w ich stanąć rzędzie.

Decyduje o dalszej jego karyerze malarskiej służba obowiązkowa w austryackiem wojsku, w ułanach krakowskich. Żołnierska krew odzywa się głośnem tętnem na szorstki głos wojskowej trąbki i ostry dźwięk, ciągniętej z pochwy, szabli. W czasie postojów, po męczących marszach, wsłuchuje się autor w opowiadania proste, a pełne rycerskiej krasy wachmistrza Sidora. *Hic natus est* — malarz „srogich dzieł Aresa" i ich gloryfikatów. Pojedyncze epizody, jak ów

z surową ekscelencyą Pejaczewiczem dodają tej części wspomnień wiele rodzimego, prostego humoru.

A po wojsku nieunikniony Paryż, metropolia mimo wszystko sztuki i literatury europejskiej. Wchodzi do szkoły Leona Bonnat'a. Z rozrzewnieniem wspomina autor owe figle studenckie, które w błękitnej dali przeszłości nabierają nieprzepartego uroku.

Następuje pierwszy wielki sukces malarski: cesarz Franciszek Józef I. nabywa w r. 1886 obraz autora, przedstawiający atak batalionu strzelców. Następują zaszczytne zaprosiny na polowania *par force* do Gödöllö i — sława. Odtąd staje artysta w rzędzie pierwszych batalistów współczesnych.

Przychodzimy do części najciekawszej „Wspomnień", do epizodu berlińskiego. Fałat, Wywiórski, Pułaski i autor malują w Berlinie w r. 1895 panoramę Berezyny. Wilhelm II. chce zobaczyć pracę *in statu nascendi* i wprowadzony przez Fałata, poznaje autora. Rozmowę z cesarzem niemieckim czyta się z niesłabnącem zajęciem. Szczery, nie obserwujący etykiety, a rozogniony objaśnianiem bitwy pod Berezyną, autor pali bez ogródek prawdę o osławionym pamiętnikarzu Marbot'cie, którego Wilhelm II. chwali. Niemiecki władca ze zdziwieniem słyszy słowa nie oglądające się na nic i — wychodzi z postanowieniem polecenia autorowi, by mu wykonał szereg obrazów z historyi pruskiej.

Tymczasem ambasady francuska i rosyjska interesują się panoramą żywo. Moskale spodziewają się, że będzie to pieśń pochwalna na cześć „tryumfu" wojsk „białego cara". Francuzi myślą z przykrością o tem, że Polacy taki właśnie moment do panoramy, która przecież objedzie Europę, wybrali. I następuje rozczarowanie panów z nad Newy. Panorama przedstawia drugi dzień bitwy, w którym się tak V. korpus polski odznaczył. A zwycięzcą Napoleona Wielkiego jest na obrazie, jak zresztą i w rzeczywistości rzecz się miała, nie Tormasow i Czyczagow, ale zima i klimat. Wywdzięcza się Francya głównemu twórcy panoramy, naszemu autorowi, krzyżem legii honorowej.

Wilhelm II. ofiarowuje Kossakowi atelier w zameczku Fryderyka II. „Monbijou", a pierwszym obrazem, wykonanym dla niego przez artystę jest — klęska Blüchera pod Etoges 1814 roku. Nie cieszył się pewnie władca niemiecki, gdy widział na sztalugach w pracowni artysty epizody z r. 1831, jak „Belwederczyków" czy „Bateryę Ks. St. Jabłonowskiego po szturmie na Warszawę". Nastę-

pują zaprosiny na obiad dworski i owa niesłychana historya o robótce szydełkowej przez dwadzieścia minut (przedewszystkiem punktualność!) po obiedzie. Zaznaczyć tu trzeba duży takt autora. Opowiadając o Wilhelmie II. stara się artysta zachować ścisłą objektywność i nigdzie ni słowem nie daje do poznania, iż mówi właśnie o kimś, kto jemu samemu i jego narodowi tyle i tak ciężkich zadał ciosów. Indywidualność Wilhelma II., pełna sprzeczności i wyjątkowej wprost impulzywności, występuje w tych berlińskich wspomnieniach nader wyraźnie. Jakżeż jedynym w swoim rodzaju jest obrazek następujący: Wilhelm II. dyktuje swemu adjutantowi tytuł obrazu, bijąc go, tak sobie, po każdem słowie, pewnie dla lepszego rzeczy zaakcentowania, po głowie! Epizod godny ołówka T. T. Heinego czy Cavan d'Ache'a!

Cesarz chce naszego autora wysłać na ową „słynną" (kiedy to złupiono pałac cesarzy) wyprawę pod dowództwem hr. Waldersee'go do Chin w r. 1900. Illustrator tej wyprawy, musiałby zarazem być jej chwalcą i gloryfikatorem zwycięstw pruskich. Autor grzecznie się wymawia, zasłaniając się kontraktem zawartym, co do namalowania bitwy pod Piramidami. W innym obrazku opowiada nam autor o owej słynnej i znakomitej organizacyi niemieckiej armii. Swoją drogą stawia ją to opowiadanie w świetle dość dziwnem. Oto w czasie manewrów pod Stuttgartem armie nieprzyjacielskie przechodzą mimo siebie i obok siebie, nie zetknąwszy się ze sobą prawie zupełnie.

Wreszcie pobyt w Berlinie staje się artyście-Polakowi, gościowi Wilhelma II. nieznośnym. Zaproszony do Malborga w r. 1902 nie jedzie nasz artysta, zrzeka się wszystkich łask i dochodów nie małych i otrząsa pył berliński z obuwia. Szczerze i bez afektacyi opowiada autor o ciężkich, cięższych w życiu nie miał, chwilach tuż po mowie malborskiej, jakie przeżył w ów czas w Berlinie. Zdaje nam się, iż nie będzie niesłusznem przypuszczenie, że echem tych dusznych rozterek i mąk jest o wiele później wydane album grunwaldzkie. Pamiętamy dobrze ten obraz, kiedy muzyka pruska gra idącym do ataku pułkom poznańskim mazurka Dąbrowskiego! To właśnie bitwa pod Gravelotte, która bodaj że ufundowała dzisiejsze imperium germańskie! Opowiadanie ma takie akcenty niesfałszowanej szczerości, iż z największem czyta się je współczuciem. Umiało społeczeństwo polskie dać artyście pełne zadośćuczynienie i swoje uznanie wyrazić mu niedwuznacznie. Przypomnę choćby niedawne nadanie mu człon-

kostwa honorowego przez „Związek Narodowy Polski" w Stanach Zjednoczonych.

Chcielibyśmy wreszcie zwrócić uwagę czytelnika na opis Tatr i Zakopanego w r. 1880, kiedy to jeszcze żył pan Tytus (dr. Chałubiński), kiedy to Sabała opowiadał swe bajki przy dźwięku „gęślicki", a ks. Ślósarczyk poświęcał wodą święconą szczyty. Są pozatem wspomnienia z Chłopów, z owych znanych manewrów cesarskich, z pochodu jubileuszowego w r. 1908 we Wiedniu, które wiele, wiele rzeczy objaśniają. Są inne z Somo-sierry, Madrytu i Egiptu. Ale nie chcę mnożyć przykładów. Kto ciekaw, niech weźmie książkę do rąk i niech posłucha opowiadania świetnego gawędziarza.

Nie mogę sobie jednak odmówić przyjemności przytoczenia odpowiedzi hr. Huyna, danej Wilhelmowi II. w czasie manewrów, kiedy ten chwalił atak kawalerzycki, wykonany przez brygadę hr. Huyna: „Najjaśniejszy Panie, mam przecież w mojej brygadzie samych Polaków, najlepszego żołnierza w świecie". Słowa te z ust Niemca musiały mieć smak piołunu dla gratulanta. I historyk znajdzie w tych „Wspomnieniach" nie jedną ciekawą wiadomość dla siebie, mówiącą wiele o ludziach i rzeczach. Do takich ciekawych notatek należy cała historya panoramy bitwy pod Somo-sierrą. Nasz autor chce się upewnić, czy mu rząd pozwoli wystawić panoramę w Warszawie. Nie pomogło wstawiennictwo Wilhelma II. i W. Ks. Włodzimierza. Wielkorządca Królestwa ks. Imeretyński wietrzy w panoramie „intrygę polską", a nawet boi się, by nie wybuchły rozruchy w Warszawie. Jest to klasyczny przykład bezmyślnego ucisku i barbarzyńskiego, mimo pozorów kultury, patrzenia na sprawy duchowe podbitego narodu. Myślimy, że kiedyś historyk zdumieje nad naiwną dzikością tego rodzaju postępków.

Wiele tu ciekawych spostrzeżeń i wynurzeń dla teoretyka, estetyka i historyka sztuki. Do takich należy naszem zdaniem uwaga, że żadna gałąź malarstwa nie jest tak ściśle zrośniętą z uczuciem i najgłębszą, obok religijnej, treścią duszy ludzkiej, z treścią jej narodową jak batalistyka. Wiemy dobrze, że sztuka jest jedna, ale przyjmujemy ten formalny podział na malarstwo portretowe, rodzajowe i historyczne celem łatwiejszego porozumienia się: Bo portret, choćby najniesympatyczniejszego człeka, może malarz namalować, jako ostatecznie obojętny problem barwnych plam i światłocienia. Batalistyka, o ile ma rzeczywiście oddawać i bojowy zapał i heroiczne czyny, musi być związana najściślej nerwami współczucia z tym

zapałem i heroizmem. Inaczej powstaną rzeczy martwe i konwencyonalne, nie mające w sobie tej drobnostki, która jest wszystkiem w dziele sztuki — d u c h a. Uwagi te, zupełnie słuszne, należałoby jeszcze uzupełnić tym dodatkiem, że dadzą się one jeszcze w wyższym stopniu zastosować do sztuki religijnej. Mniemamy, że malarz bez silnej wiary nie potrafi stworzyć dzieła sztuki prawdziwie podnoszącego widza ku niebu i w ten sposób tłómaczymy sobie martwotę dzisiejszej sztuki religijnej. Aby stworzyć anielskie Madonny, rozlewające w koło siebie blaski niebieskie, trzeba te blaski mieć we własnej duszy, trzeba czuć i wierzyć jak Fra Angelico.

Zamykając nasze sprawozdanie, nie sposób ominąć obficie po dziele rozsypanych illustracyi. Są między niemi znakomite, są tylko poprawne, lichych nie ma zupełnie. A to bardzo wiele.

Książka, illustrowana świetnie przez Wojciecha Kossaka malarza, przynosi Wojciechowi Kossakowi obywatelowi - pisarzowi zaszczyt prawdziwy. Spodziewając się, że doczekamy kiedyś obiecanego dalszego ciągu, życzymy naszemu artyście *ad multos annos* na chwałę polskiej sztuki. *Stanisław Sołtys Kozaryn*

Z piśmiennictw obcych.

Essai sur la Foi dans le catholicisme et dans le protestantisme. *Abbé Snell.* In-12 (XI+170). Paris 1911. Pierre Téqui. Libraire-Éditeur. Rue Bonaparte, 82.

Znany w literaturze francuskiej autor dziełka polemicznego p. t. „*Lettres à un Protestant*“ podaje nam obecnie zajmujące s t u d y u m nad r o z w o j e m p o j ę c i a w i a r y w katolicyzmie i w protestantyzmie francuskim; mówiąc dokładniej, przeciwstawia rozwój w prawdziwem tego słowa znaczeniu katolickiego pojęcia wiary licznym przemianom, przez jakie to pojęcie przechodziło w teologii kalwinizmu, począwszy od jej twórcy aż do naszych czasów. Tylko w kościele katolickim pojęcie „wiara“, zachowując niezmiennie pierwotną i zasadniczą swą treść, już w Piśmie św. dość wyraźnie zaznaczaną, pogłębia się z biegiem wieków coraz bardziej, określa i uzasadnia się coraz dokładniej, coraz jaśniej ocenia i wykazuje się całą jego wartość, doniosłość i znaczenie (ch. I.). W kalwiniźmie natomiast, wahając się od samego początku skutkiem wpływu intellektualizmu z jednej a mistycyzmu z drugiej strony, traci zwolna pierwotną i podstawową treść

swoją i charakter transcendentny, nadprzyrodzony (ch II.); mianowicie już w następnym okresie t. zw. prefideizmu przeważa pierwiastek uczuciowy (*foi sentiment*) (ch. III.), a przybrawszy w dalszej fazie fideizmu i symbolizmu (ch. IV.-VI) zupełnie ogólnikowe znaczenie (wiara to „oddanie się duszy Bogu" — *conservation de l'âme a Dieu*, — lub to „uczucie zależności istoty moralnej od kierującego nią prawa", *le sentiment du rapport de l'être moral à la loi qui le régit*), schodzi wreszcie w ostatnim okresie agnostycyzmu na to samo, co „autosugestya" (*Foi et autosuggestion sont nécessairement synonymes*).

Badając w zakończeniu powody tych dwu odmiennych zjawisk: prawidłowego i stopniowego rozwoju pojęcia wiary w katolicyźmie, a ciągłego obniżania się tegoż pojęcia i zaniku pierwotnego znaczenia w protestantyzmie, dochodzi uczony konwertyta do wniosku, że jedyną i ostateczną racyą tego jest z jednej strony nieomylna powaga Kościoła, strzegącego wiernie przekazanego mu skarbu przed niszczącym wpływem zmiennych prądów ludzkich chęci i wymysłów, gdy tymczasem z drugiej strony religia wolnego, indywidualnego badania nie potrafi powstrzymać swych wyznawców na pochyłej drodze niezdrowego mistycyzmu.

W czterech dodatkach umieścił nadto autor: 1) trzy rozprawy o akcie wiary; 2) trzy listy M. Ménégoz (głównego obrońcy fideizmu); 3) dodatek p. t. rozwój fideizmu; 4) wiedza a fideizm.

Rozdział pierwszy o rozwoju pojęcia wiary w katolicyzmie nie przynosi nic nowego dla teologii katolickiej, natomiast z wielkiem zajęciem i zadowoleniem czyta się sześć następnych, gdzie autor na podstawie obszernej literatury śledzi i wykazuje rozmaite czynniki, sprowadzające powolny zanik pierwotnego znaczenia wyrazu „wiara" w teologii kalwińskiej. Dla zajmujących się dogmatyką katolicką praca uczonego konwertyty rzuci dużo światła na rozwój t. zw. modernizmu. *Ks. B. Wolnik.*

Geschichte der Jesuiten in Portugal unter der Staatsverwaltung des Marquis von Pombal. Aus Handschriften herausgegeben von *Christoph Gottlieb von Murr*. Neue verbesserte Ausgabe von *J. B. Kaſkemeyer S. I.* Freiburg in Breisgau, in 8-o p. 171.

Krzysztof Gottlieb von Murr [1]), uczony protestant zadawał sobie nieraz pytanie, skąd to pochodzi, że w krajach romańskich, a zwłasz-

[1]) Urodz. w Norymberdze 6. sierp. 1733 r., zmarły tamże 8. kwietnia 1811 r.

cza w Portugalii, kwitnącej przedtem dobrobytem, nie tylko w Europie, ale i w zamorskich koloniach, coraz bardziej widocznym jest zanik katolickiej wiary, a w ślad za nim idące zdziczenie obyczajów i przewroty społeczne. Trzeźwo patrząc na rzeczy, korespondując z uczonymi różnych narodów, a przytem sam badając wiele, przyszedł do tego przekonania, że ów zanik wiary datuje się powoli odtąd, odkąd ów kraj zaczął hołdować liberalnym i jansenistowskim doktrynom, a natomiast znosić klasztory i zrywać powoli odwieczne węzły z katolickim Kościołem w II. połowie XVIII wieku, za rządów wszechwładnego ministra, markiza Sebastyana Józefa de Carvalho Pombala. Owocem jego badań jest przytoczone dzieło, wydane w dwu tomach w Norymberdze 1787—1788, a obecnie we Fryburgu przez O. Kafkemeyera S. I. ogłoszone w skróceniu. W 20 rozdziałach zamknął wydawca swą pracę, której treść główna tak się przedstawia pokrótce:

Po śmierci króla Jana V. († 31 lipca 1750), wstąpił na tron portugalski Józef I., książę brazylijski. Pod imieniem i zasłoną tego słabego króla, sprawował rządy smutnej pamięci Sebastyan Józef de Carvalho margrabia de Pombal. Z natury wyniosły i okrutny, opanowawszy umysł słabego króla i stawszy się wszechwładnym, rozciągnął na cały kraj prawdziwy terroryzm; więzieniem, konfiskatą majątków, torturami i karą śmierci gubiąc tysiące niewinnych ofiar. Nie dziw przeto, że do takich rządów zawadzali mu Jezuici, mający jeszcze znaczny wpływ i znaczenie u dworu. Wpływ ten zniszczyć i nie tylko usunąć tych kilku Jezuitów, którzy mu jako spowiednicy i kaznodzieje przy dworze przeszkadzali, ale i nad całym zakonem się pomścić, było odtąd najgorętszem jego pragnieniem. W tym celu nastraszył najprzód niedołężnego króla, ostrzegając go o zawiązanem rzekomo tajnem stronnictwie, dążącem do zrzucenia go z tronu, a wyniesienia na miejsce jego brata don Pedra, który od dawna przyjazne miał z Jezuitami stosunki, ci zaś nawzajem okazywali mu szczególne przywiązanie. Dał mu do przeczytania potwarcze przeciw Towarzystwu paszkwile, i tak powoli wymógł podstępnie na królu, że ich wydalono z dworu 27. września 1757. Pombal mając rozwiązane ręce, puszczał w obieg coraz nowe przeciw Towarzystwu pisma oszczercze; w samej Portugalii kazał ich wydrukować i rozpowszechnić 20.000 egzemplarzy. Szczególnem powodzeniem cieszyły się zmyślone wiadomości o bajecznych bogactwach Jezuitów w misyach, zostających pod ich kierunkiem w Uraguayu i w Paraguayu; tam, jak głoszono, miał panować król Jezuita, na czele potężnej armii, wszystek handel

i wszystkie źródła dochodów krajowych miały być w ich ręku, z wyzyskiwaniem i uciemiężeniem krajowców. Zuchwałe te kłamstwa znajdywały u wielu łatwowiernych posłuch. Pombal umiał je wyzyskać na swoją korzyść. Zarządził nagłe wyrzucenie Jezuitów z misyi portugalskich w Ameryce. Chcąc jednak te gwałty pokryć pozorem sprawiedliwości, wymógł po długiem naleganiu na papieżu Benedykcie XIV., zarządzenie wizyty i reformy zakonu. Benedykt XIV., prawie już umierający, ulegając natarczywym żądaniom dworu portugalskiego, na miesiąc przed śmiercią swoją († 3 maja 1758) podpisał 1. kwietnia 1758 Breve, zarządzające żądaną wizytę, do której mianował uległego we wszystkiem Pombalowi, kardynała Saldanha. W 10 dni kardynał wizytator uporał się z poruczoną czynnością, poczem samowolnie, bez uwiadomienia Stolicy św., wydał wyrok potępiający Jezuitów; zabronił im kupiectwa, którem się nigdy nie trudnili, odjął im władzę sprawowania posług duchownych. Wkrótce potem rozeszła się wieść, żadnym niepoparta dowodem, o zamachu na życie króla, jakoby spełnionym w nocy z 3 na 4 września 1758. Z tego faktu umiał skorzystać wybornie Pombal. Z jego rozkazu uwięziono całą rodzinę książąt d'Aveiro i margrabiów d'Tavora, a wraz z nimi przeszło 120 Jezuitów, jako wspólników w mniemanej zbrodni. Z pomiędzy nich O. Gabryel Malagrida, po trzech latach więzienia, bez badania i sądu skazany został na spalenie na stosie. Drudzy Jezuici, również nie badani, ani sądzeni, jęczeli w lochach podziemnych, i tamże po większej części wyginęli z głodu. Wszystko to jednak było wstępnym krokiem i przygotowaniem do zamierzonego zburzenia całego zakonu. Wszystkich w całej Portugalii Jezuitów uwięziono w ich domach i odczytano im edykt królewski z 2. maja 1759, oznajmujący im, że wszyscy pospołu zostali uznani winnymi spełnionego na życie króla zamachu, za co król skazuje ich na wieczne wygnanie z kraju i wszystkich posiadłości, podległych portugalskiemu berłu. Wszyscy pospołu ogołoceni ze wszystkiego, i jak galernicy wrzuceni zostali na okręty, a po długiej przeprawie wśród wszelakiej nędzy, wysadzeni na terytoryum Kościelnego Państwa w r. 1759. Tym sposobem w Portugalii padł zakon ofiarą nienawiści Pombala, który słusznie w zgubie tego jednego zakonu upatrywał drogę otwartą do zamierzonego podkopania i zburzenia wiary i zasad chrześcijańskich.

Cała rozprawa napisana jasnym potoczystym stylem, a oparta na źródłach portugalskich, włoskich, hiszpańskich, niemieckich, fran-

cuskich i angielskich, czyta się z zajęciem, jakby jaka tragedya, przejmująca zgrozą i oburzeniem, na widok tylu nieszczęśliwych, niewinnie cierpiących. *Jan Sygański T. J.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Sprawa reformy elekcyi za panowania Zygmunta III. *A. Szelągowski.* Lwów, 1912. Str. 30 Ku czci X. P. Skargi w 300-letnią rocznicę zgonu.

Rozprawa ta, wydana „ku czci X. Piotra Skargi w 300-letnią rocznicę zgonu", odpowiada bardzo Skargowskiemu jubileuszowi, omawia bowiem dzieje ostatnich lat tego króla, którego kaznodzieją nadwornym był Skarga; przedewszystkiem jednak dlatego odpowiada temu jubileuszowi, że temat, w niej poruszony, to oddźwięk kazań sejmowych. Wołał w nich Skarga o „naprawę domu, który już się rysuje", a największą rysą w domu Rzeczypospolitej była wolna elekcya.

Za Zygmunta III., przedewszystkiem pod koniec panowania jego, wołano nieraz o naprawę tych stosunków. Wołania te jednak umilkły w roku śmierci króla. Ale trzebaby dodać, że projekty reformy elekcyi wychodziły i od nieprzyjaciół króla. Przecież chodziły głuche wieści o zamierzonem przez króla złożeniu korony czy elekcyi za jego życia, i kandydatura szwedzka była nawet bardzo głośna — głośniejsza, niżby wynikało z obecnej rozprawy. Przedewszystkiem zaś wiemy z tych samych źródeł, jakie Sz. Autor cytuje, t. j. z relacyi sejmikowych i współczesnych korespondencyi, że w całej tej akcyi, prowadzonej przeważnie przez innowierców, ze szkodą dla Rzeczypospolitej, bo za pośrednictwem elektora pruskiego, nie występowała na pierwszy plan naprawa Rzeczypospolitej, ale raczej pod pretekstem naprawy chcieli dyssydenci upiec dla siebie korzyść. Całkowicie zrozumieć można te sprawy dopiero przy zestawieniu ich ze samą elekcyą Władysława i na tle stanowiska, tak szkodliwego dla Rzeczypospolitej, a tak hańbiącego innowierców polskich, jakie zajęli w swoich układach z wrogimi Polsce dworami dwaj reprezentanci ówczesnych dyssydentów u nas, Leszczyński i Radziwiłł. Może być, że p. Szelągowski, po wydaniu już tylu prac o tej właśnie epoce, uważał za zbyteczne powtarzać to, co powiedział już gdzieindziej.

Zresztą z przyjemnością i z wielkiem zainteresowaniem będzie czytał tę rozprawę ten, kto spotkał się w aktach owego czasu ze wzmianką o naprawie elekcyi. *K. K.*

„Moje wspomnienia z powstania 1863-1864 r." Napisał *Dr. Roman Dallmajer*, szeregowiec 1-ej roty pułku Żuawów. Lipsk, 1912. Drukiem W. Drugulina. Str. 108.

Pod tym tytułem poświęcił swą pracę Komitetowi obywatelskiemu celem obchodu 50-letniej rocznicy powstania 1863/4 r. Dr. Roman Dallmajer, szeregowiec 1-szej roty pułku „Żuawów", obecnie lekarz sztabowy w wojsku serbskiem. Jest to zbiór „piosnki smutnej" duszy czysto polskiej, rozdartej bolem na widok okrucieństw wroga, mąk i cierpień swych braci. Poezyą i prozą namalował polski tułacz kilka barwnych obrazków stoczonych walk („Wianek cierniowy"), i prócz wrażeń i nieszczęść ogólnych („Gorżkie żale")

swą smutną, za daleką ojczyzną tęskniącą duszę w nich przedstawił. („Moja lirenka"). Można tu mówić tylko o historycznej i ideowej wartości dziełka; wiersz bowiem pozostawia bardzo wiele do życzenia, a raczej na miano słabo rymowanej prozy zasługuje. Więc też nie na efekt poetycki autor nacisk kładzie; oświetla tylko „dawne czasy święte", każe je kochać i płakać za nimi; idlatego drogim i kochanym być nam powinien, jako przywiązany do swej polskiej ziemicy syn pomimo ciężkich losów półwiekowego tułactwa. *Kaź. Girz.*

Biskupa Stanisława Karnkowskiego: Zbiór Konstytucyi Synodalnych. *Ks. Dr. A. Kakowski.* Włocławek, 1912. Str. 36+IX.

St. Karnkowski, biskup włocławski, wydał w Krakowie w r. 1579 ustawy synodalne, sięgające po rok 1578.

Poszukiwania ks. Rektora Kakowskiego naprowadziły go na zupełnie nieznane dokumenty, odnoszące się do synodu piotrkowskiego z r. 1578. Na podstawie tych dokumentów stwierdza, że istotnie sam Karnkowki był autorem tego zbioru — a przyczyną, jaka go nakłoniła do jego wydania, był panujący dotąd chaos w prawodawstwie synodalnem. W ostatnich czasach, z powodu dążeń do reformy kościelnej, odbyło się tyle synodów, i tak odmienne uchwały na nich wnoszono, że trzeba było koniecznie uchwały obowiązujące na nowo zredagować. Zbiór ten zatwierdzony został przez Kongr. Soboru 13. kwietnia 1577. r.

W dodatku podaje Ks. Rektor wykaz synoptyczny źródeł Zbioru konstytucyi synodalnych Karnkowskiego, Mikołaja Trąby, Jana Łaskiego i Macieja Drzewickiego, wreszcie synodów sprawdzonych już częściowo czy przez samego autora, czy przez prof. Ulanowskiego, z lat 1542, 1547, 1551, 1556, 1557, 1561.

Praca metodycznie bardzo ścisła, jest ważnym przyczynkiem do historyi ustawodawstwa kościelnego w naszym kraju. *K. K.*

Studya współczesnej dyplomacyi. Przygotowania do Sadowy. Napisał *Julian Klaczko* Tłumaczył Karol Scipio. Przedmowa St. Tarnowskiego. Kraków.

„Co robił Bismark na to, żeby przygotować klęskę Austryi pod Sadową, jak się wziął do tego, żeby sobie zapewnić przymierze z Włochami, żeby uśpić i zaślepić Francyę, żeby Austryę także usypiać obietnicami i pozorami przyjaźni, aż w dogodnej chwili zmusić ją do wypowiedzenia wojny grubijańskiem, upokarzającem postępowaniem" — oto treść, przepyszny ustęp przedmowy prof. Stanisława Tarnowskiego do tego dziełka znanego i cennego, w którem znakomity autor „Wieczorów florenckich" nie zatail ani z jednej cech oryginalnych swej twórczości.

Tłumaczenie hr. Scypiona, zupełnie poprawne, uprzystępia szerokim warstwom zapoznanie się z arcydziełem w swoim rodzaju i zamyka zarazem komplet pism polityczno-historycznych Klaczki, jednego z największych, jakich ten dział liczy. *A. Z.*

Wspomnienia z Królestwa polskiego i Litwy. *Ks. Dr. Jan Górka.* Tarnów.

Jak spędzić pracowicie i z korzyścią dla siebie i drugich, a przecież przyjemnie, czas wakacyjnej swobody, jak chwytać wszelką nadarzającą się sposobność dla podniesienia ducha i wzmocnienia patryotycznych uczuć — oto przykład doskonały w tych kilku arkuszach druku. Autor dość lekkim stylem kreśli wrażenia swej drogi; Częstochowa, Warszawa, Wilno, Kowno, Troki, — oto główniejsze etapy, z trudem do-

stępne katolickiemu kapłanowi z innych zaborów. Każdy z nich nasuwa szereg wspomnień i uwag o stosunkach społecznych, o kwestyi religijnej, o pomnikach naszej rdzennej lub zapożyczonej sztuki. Sąd zdrowy i bystra obserwacya cechują tę miłą książeczkę, jak również głębokie patryotyczne uczucie; strona zewnętrzna natomiast pozostawia wiele do życzenia. *A. Z.*

Książę Józef Poniatowski 1763—1813. *Szymon Askenazy.* Wydanie skrócone przez W. St. Warszawa, Gebethner.

Znana książka prof. Askenazego, która świeżo doczekała się przekładu niemieckiego (Gotha, Perthes 1912, tłum. J. Tenner), znalazła w p. Wandzie Studnickiej bardzo szczęśliwą popularyzatorkę. W książeczce opuszczono wszystkie obszerniejsze naukowe wywody, dotyczące polityki, dyplomacyi i wojskowości; zachowano natomiast rdzeń rzeczy: postać księcia Józefa utrzymała swą barwność i plastyczność. Na pochwałę p. Studnickiej dodać należy i ten ważny szczegół, że charakterystyczne cechy oryginału nie zostały zatracone; styl i sposób ujęcia przedmiotu, właściwe prof. Askenazemu, oddane z zupełną wiernością. Popularna literatura została zbogacona cennym nabytkiem, który zasługuje na najszersze rozpowszechnienie. *A. Z.*

Księga pamiątkowa drugiego kongresu maryańskiego polskiego i zarazem wiecu katolickich stowarzyszeń polskich, odbytego w Przemyślu w dniach 26, 27 i 28 sierpnia 1911 r. Przemyśl 1912. str. 392.

O Kongresie maryańskim w Przemyślu pisaliśmy już w naszem piśmie, o świetnym przebiegu tego kongresu i jego najbardziej istotnych znamionach. Stąd wystarczy dziś krótko zwrócić uwagę na pamiętnik tego kongresu. Jest to obszerna księga prawie o 400 stronach. Zawiera się w niej materyał olbrzymi dla sprawy katolickiej w Polsce, szczególniej dla akcyi katolicko-społecznej. Każdy, komu sprawy te leżą na sercu powinien ten pamiętnik nabyć. Jest to poniekąd encyklopedya tych rzeczy, w których katolik polski powinien być uświadomiony. *P.*

Wzrost i upadek Polski. Rzut oka na główne momenta jej dziejów. Przez autora „Zarysów stanu moralnego naszego społeczeństwa". Kraków.

Stosownie do tytułu, rozróżnia autor dwa okresy dziejów Polski: jej rozrostu i upadku, a bierze pod rozwagę głównie — niemal wyłącznie — ich czynniki wewnętrzne. Jest to zarys dziejów Polski niepodległej (z małym dodatkiem rozdziału XII o czasach porozbiorowych), ze stanowiska nader rzadko spotykanego w takich opracowaniach: socyologicznem nazwaćby je można. Stąd wpływy Polski na ościenne państwa, jej stosunek do nich przychylny lub wrogi, jej zwycięstwa lub upokorzenia wojenne znaczone tylko mimochodem, o ile wpływały na ukształtowanie warstw społeczeństwa. Stosunek narodu do władzy, to nietylko punkt wyjścia ale i treść cała. Myśli oryginalnych zresztą nie wiele, ale oparcie silne na poważnej literaturze historycznej, tak zagranicznej jak naszej, cytowanej w licznych odsyłaczach, które jednak dosyć nieszczęśliwie znalazły pomieszczenie wszystkie razem na końcu. Stąd przy czytaniu ciągłe przewracanie kartek psuje wrażenie, jakieby można odnieść z dziełka, budzącego swem ujęciem przedmiotu wielkie zainteresowanie. *A. Z.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ś. p. Arcybiskup Popiel.

Dniem 7 grudnia ubiegłego roku, datą skonu sędziwego Arcybiskupa Warszawy ś. p. Wincentego Chościaka-Popiela, zamyka się okres dziejów polskiego Kościoła pod panowaniem rosyjskiem. Wprawdzie już od paru lat, odkąd sterane pracą i wiekiem siły opuściły zgasłego dostojnika Kościoła, przestał on być siłą, któraby bezpośrednio kierowała nawą Kościoła; nie stracił atoli do ostatniej chwili znaczenia żywego symbolu, streszczającego w sobie tradycyę całego półwieku i zniewalającego tych, którzy w jego imieniu i obok niego z innych stolic biskupich rządzili, do pewnego systemu i pewnej ciągłości w wykonywaniu trudnych obowiązków biskupich wśród najcięższych warunków zewnętrznych.

Na wyczerpującą ocenę działalności ś. p. ks. Popiela dziś jeszcze stanowczo zawcześnie. Żeby objąć wzrokiem tę wielką postać, potrzeba pewnego oddalenia w czasie, potrzeba perspektywy. Na biografię zaś zmarłego zdobędzie się dopiero ten, kto zdolnym będzie do napisania historyi Kościoła w Polsce w całym okresie popowstaniowym. Ale jeszcze nie prędko staną się dostępnemi dla badacza potrzebne do tego źródła i materyały.

Nie chcemy również wielbić prywatnych zalet i cnót zmarłego. Głosili je wybitni mowcy pogrzebowi, czytaliśmy o nich we wszy-

stkich dziennikach. Zresztą najlepsze świadectwo wystawił im ten niesłychanie tłumny udział wszystkich warstw społeczeństwa w obchodzie pogrzebowym. Niezawodnie chciano tem uczcić wysoką godność zmarłego, bez wątpienia manifestowano tem katolickość kraju i przywiązanie do Kościoła, ale nikt chyba i temu nie zaprzeczy, że również i sama osoba zgasłego Arcypasterza, jego nieposzlakowana cnota i niewątpliwa wielkość zmuszały te rzesze, nie już prostaczków wierzących, ale przedstawicieli wszystkich klas, wszystkich zawodów i instytucyi, bez względu na społeczne i polityczne zapatrywania, do oddania zmarłemu hołdu ostatniego. Słyszeliśmy stąd i zowąd krytykę pewnych poszczególnych zarządzeń zmarłego; lecz nie ośmielił się nikt zarzucić cokolwiek jego osobie i życiu.

Godzi się tu podkreślić w szczególny sposób dwa rysy z charakteru ś. p. ks. Arcybiskupa Popiela, zaiste godne księcia Kościoła i określające cały kierunek jego rządów. Pierwszy z tych rysów to ścisła kościelność zasad. Kto zna warunki, w jakich żyć i pracować musi Kościół pod berłem rosyjskich cesarzy, kto wie jakim duchem owiane jest całe prawodawstwo państwowe dotyczące spraw sumienia i Kościoła, ten łatwo oceni jak trudną jest rzeczą dla katolickiego biskupa w Rosyi nigdy się nie ugiąć przed przemocą, nigdy nie tylko nie zdradzić sprawy Kościoła i nie sprzeniewierzyć się zasadom prawa kościelnego, ale nawet nie pójść na wykrętne kompromisy dla ratowania własnej osoby i pozorów władzy. Ś. p. Arcybiskup Popiel był mężem nawskróś kościelnym, czerpiąc tego ducha w głębokiej wierze w prawdę katolicyzmu i w bezgranicznem przywiązaniu i szacunku dla Stolicy Apostolskiej. Jak każda wielkość, nie uchronił się i on od krytyki i napaści niepowołanych sędziów; zarzucano mu ustępstwo w sprawie języka, w jakim r. 1894 miał być odczytany carski manifest; potępiano go za udział w wysłaniu ambulansu na pole walki w Mandżuryi; odmawiano mu patryotyzmu, gdy wydał orędzie w sprawie bojkotu szkolnego. W pierwszym razie sam miał odwagę przyznać się, że popełnił słabość, ale nie była to słabość, któraby bezpośrednio godziła w zasady Kościoła; w innych dwóch wypadkach raz okazał wielkiego ducha chrześci-

jańskiej miłości, drugi raz dał dowód wypróbowanej roztropności i rozwagi, którą ocenili wszyscy, nie ulegający rządom pajdokracyi. Zarządzenie, któreby stało w sprzeczności wprost z prawem kanonicznem, nie wyszło, o ile wiemy, z ust zmarłego. Zresztą i w tych kilku wypadkach, jeśli i była jakaś pomyłka, nie z braku miłości Ojczyzny szukać jej źródła. Historya położy na drugą szalę te wysiłki, jakie czynił zmarły Arcybiskup, by swemu narodowi wywalczyć należne mu prawa; opowie o jego staraniach w wysokich sferach o nacyonalizacyę szkoły, o jego zarządzeniach w kwestyi używania języka polskiego w biurowości kościelnej, co zburzyła dopiero rewizya senatora Neuhardta.

Drugi rys charakteru zmarłego Arcybiskupa, to jego nieugiętość woli w tem, w czem widział dobro Kościoła i swój pasterski obowiązek. Swoją niezależność od wszelkich wpływów okazywał zawsze, bez względu na to skądkolwiekby te wpływy pochodziły. Już w chwili, kiedy gotowano mu tron biskupi w Płocku, miał śmiałość wypowiedzieć swe odmienne w kwestyi politycznej zdanie Arcybiskupowi Felińskiemu, z którym w ścisłej przyjaźni pozostawał. Stolicę biskupią w Płocku obejmował wśród zewnętrznych trudności i wbrew pogróżkom rządu narodowego, czy przynajmniej przeszkodom, stawianym przez pewną część powstańców, zdołał przyjąć sakrę biskupią. Po kilku zaledwie latach rządów dyecezyą płocką podnosi głośny protest przeciw niekanonicznym zarządzeniom rządu co do kolegium katolickiego w Petersburgu (nie wszyscy rządcy dyecezyi tak postąpili) i nie cofa się przed wygnaniem. Rządy we Włocławku od r. 1875 do 1883 przypadają na czas, kiedy między Petersburgiem a Watykanem stosunki oficyalnie były zerwane i komunikacya biskupów ze Stolicą św. uniemożliwioną. Na stanowisko najwyższego dostojnika Kościoła w Królestwie zjeżdża prawie w tym samym czasie, kiedy cywilne rządy kraju obejmował brutalny Hurko, a szkoła wydaną została na pastwę słynnemu Apuchtinowi. Cały ten czas zmarły stał wiernie na straży praw Kościoła. Nieco później, w latach 1896—1904, była trudna kwestya z językiem rosyjskim w seminaryach. Pod wodzą ś. p. Arcybiskupa Popiela oparł się cały episkopat nieuzasadnionym uroszczeniom

i ingereucyi władz administracyjnych, kilka lat nie zatwierdzano na stanowiska nowo wyświęconych kapłanów, wreszcie dzięki stałości episkopatu wygrana została przy Kościele. Dlatego nie dla retorycznej jeno ozdoby, ale z całą prawdą i prawem ks. biskup Zdzitowiecki mógł włożyć w usta zmarłego księcia Kościoła te słowa pożegnania, zwrócone do dostojnego pocztu episkopatu polskiego: „Na niebie naszem czarne zawsze wisiały chmury, słonko prawie nigdy z za nich nie spozierało łaskawie, a dziś są one jeszcze bardziej brzemienne i przerażająco złowieszcze . . . Bądźcie tedy jako dęby, które nie znają, co to jest podczas wichury słaniać się. Wasza dzielność i oddanie dusz waszych za owce swoje okryje was chwałą przed Bogiem, a sławą i czcią przed braćmi tej ziemi!“ Takie słowa można było wyjąć z ust tego, który sam nie umiał „słaniać się podczas wichury“.

Na zmarłym arcybiskupie sprawdziły się słowa psalmisty, że ośmdziesiąt lat życia to właściwość potentatów, a co ponad to, to już tylko męka i cierpienie. Był ś. p. ks. Popiel potentatem w Kościele Bożym, przeżył lat 87, z tego 49 jako wódz hufców kościelnych. Ostatnie lata jego życia były już cierpieniem i męką. Dano mu było dożyć późnej starości, by patrzał na upadek i rozprzężenie w życiu publicznem, na bandytyzm, który dużo krwi ludzkiej wylał, na herezyę, która mu dziesiątki tysięcy synów wydarła; wreszcie dano mu było ten pracowity i cierpiący żywot przypieczętować długą boleścią na śmiertelnem łożu. W ostatnich latach słyszało się głosy, że Arcybiskup warszawski żyje za długo, że jest człowiekiem przeszłości, że nie rozumie już współczesnego ducha i otoczenia, że przydałby się na jego stanowisku ktoś, ktoby lepiej odczuwał duszę współczesną i potrzeby bieżącej chwili. Jeżeli rzeczywiście ś. p. ks. Popiel nie zawsze umiał zoryentować się w teraźniejszości, jeśli jego pojęcia i ideały już nie mogły dotrzymać kroku biegowi świata i wypadków, to stokrotnie wynagradza się ten niezawiniony przezeń brak tem, że aż do naszych dni dochował w sobie i przekazał nam w spuściźnie, właśnie w chwili kiedy najbardziej tego potrzebujemy, tego prawdziwie kościelnego katolickiego ducha, który stwarza bojowników nieustraszonych o świętą sprawę Boga i Kościoła.

Dalszy ciąg kursu.

Przerażająco złowieszczemi nazwał ks. biskup kujawsko-kaliski te chmury, jakie zawisły nad Kościołem w Rosyi. Nie wdając się w domysły, o jakich chmurach mówić chciał Dostojny mowca, zwracamy ze swej strony uwagę naszych czytelników, nie po raz pierwszy, na te chmury, jakie nadciągają wciąż z północy. Pisaliśmy już nieraz na tem miejscu o położeniu Kościoła pod panowaniem rosyjskiem, dziś znowu do tej materyi wracamy. Niestety, nie mamy do zanotowania żadnego objawu poprawy na lepsze w stosunku rządu do katolicyzmu. Pozmieniały się osoby, nie uległ zmianie system. Politykę Stołypina względem Kościoła katolickiego prowadził dalej Makarow, który znowu w tej chwili przekazał ją swemu następcy. Pod tym względem chmury wiszące nad Kościołem, to nie chmury napędzone przez huragan, sprawiające dużo zniszczenia, ale ustępujące szybko promieniom słońca. Nie, jest to raczej owo nieruchome petersburskie niebo jesiennej pory, zawisłe nad ziemią ołowiem i nie rokujące na jutro żadnej nadziei. Jak wczoraj, tak i dzisiaj i jutro ; taż sama słota,taż sama ciemność, która wszystko kwasi, rozstraja, gnoi. Nie mamy, jak n. p. w latach 1839 i 1875, burzy brutalnego prześladowania Kościoła, lecz za to mamy kapuśniaczek ministeryalnych cyrkularzy, które powoli ale stale dezorganizują życie kościelne.

Jedno z wielu takich zarządzeń dyrektora departamentu wyznań, wydane w październiku r. z. na wyraźny rozkaz ministra Makarowa, leży przed nami w odpisie. Następca Charuzina, p. Mienkin zwraca uwagę jednego z rządców dyecezalnych, że „nadużycia", wykryte przez rewizye konsystorzy, dotąd w odnośnej dyecezyi nie zostały usunięte. Powołując się tedy na cały szereg artykułów ustaw państwowych, poleca dyrektor departamentu natychmiast usunąć następujące nadużycia :

1. Władza dyecezalna ma stanowczo zaprzestać załatwiania wszelkich spraw na prośby osób prywatnych, jeśli petenci zwrócili się do niej w innym języku, niż w państwowym. Petentom należy w takim razie oznajmić, że dopóki nie zwrócą się do władzy dyecezalnej w języku rosyjskim, dotąd ich p ośby żadnego nie odniosą skutku ;

2. Żadne rozporządzenia Kuryi Rzymskiej, bez względu na charakter ich treści, nie mogą być wypełniane, jeśli doszły do rąk władzy dyecezalnej inną drogą, niż przewidzianą przez art. 17 Ustawy, t. j. przez ministerstwo;

3. Wszystkie sprawy sądowe należą wyłącznie do konsystorzy, z usunięciem od nich innych organów, ustanowionych przez władzę dyecezalną;

4. Komisye budowlana, archeologiczna i liturgiczna, jako nieprzewidziane przez prawo, mają być zniesione;

5. Mają być zniesione, jako niezgodne z prawem *a*) opłaty za indulty, *b*) za rubrycele ponad rzeczywistą ich wartość, *c*) składki od duchowieństwa na seminaryum;

6. W kwestyi zebrań kleru, nie mających charakteru ściśle duchownych ćwiczeń, należy zastosować się do ogólnej ustawy o zebraniach;

7. Wkładanie obowiązku utrzymania duchowieństwa na parafian, na mocy uchwał samychże parafian, nie może być cierpianem, gdyż prawo przewiduje możność zobowiązywania się przez gminy do składek tylko na świątynie, nie zaś na utrzymanie księży.

Nie wdając się w kwestyę, czy ministeryalna interpretacya ustaw we wszystkich zacytowanych punktach jest wolną od naciągań i czy jedynie troska o poszanowanie tychże ustaw wywołała rozporządzenie p. Mienkina, musimy podkreślić szkody materyalne i moralne, jakie niechybnie wypłynęłyby dla Kościoła z wypełnienia żądań ministerstwa. Żądanie co do języka rosyjskiego jest postawione przez ministerstwo w ten sposób, że zastosowanie się do niego porodzić może nieufność, a może i nienawiść ludności do władzy duchownej. Ministerstwu nie dość tego, że władze dyecezalne własne swoje agendy załatwiały w języku urzędowym; ono chce zmusić biskupów, by przyjęli na się rolę narzędzi rządu w rusyfikacyi samej ludności. Punkt szósty rozporządzenia p. Mienkina o zjazdach duchowieństwa osłabia karność kościelną, uniemożliwiając nawet władzy dyecezalnej zwołanie podwładnego kleru dla omówienia spraw kościelnych, skoro nawet tego rodzaju zjazdy podciąga się pod

ogólne prawidła kontroli policyjnej. Dodajmy tutaj nawiasem, że innymi cyrkularzami ministerstwo zażądało od biskupów, by przesyłano władzom policyjnym zawczasu nazwiska księży, którzy mają brać udział w rekolekcyach parafialnych u swoich sąsiadów lub przybyć na odpust. Jednem słowem każdy ruch księdza podlega nadzorowi policyi i nadzór ten mają jej ułatwiać sami biskupi. O kontroli ze strony rządu, rozciąganej nad wszelkimi stosunkami biskupów ze Stolicą świętą, co jest przedmiotem punktu drugiego w rozporządzeniu Departamentu, pisaliśmy już dawniej, wykazując jak niezgodną jest z zasadniczym ustrojem Kościoła katolickiego i z naturą rzeczy (n. p. spraw sumienia) tego rodzaju rządowa kontrola. Wyrażone w 3 i 4 punktach wymaganie skasowania wszelkich organów władzy dyecezalnej, jako to sądu biskupiego, komisyi budowniczej i liturgicznej, nie tylko zakrawa na szykanę biskupów, przeszkadzając im wykonywać swą władzę przez takie osoby i instytucye delegowane, do których mają więcej zaufania, albo które są zgodniejsze z duchem prawa kanonicznego, ale ma jeszcze ten praktyczny dla rządu rezultat, że wszystkie sprawy zarządu kościelnego skupia w jednej instytucyi uznanej — w konsystorzach, które łatwiej rządowi kontrolować, i gdzie — przynajmniej w dyecezyach Cesarstwa — znajduje się cały poczet świeckich, zależnych zupełnie od rządu, urzędników. — W punktach piątym i siódmym bierze ministerstwo kler i ludność katolicką w obronę przed nielegalnymi poborami. Co za czuła opieka! Żeby ją dostatecznie ocenić i zrozumieć, ku czemu ona z natury rzeczy zmierza, dość uprzytomnić sobie, że na utrzymanie seminaryów dyecezalnych rząd z funduszu kościelnego wydaje śmiesznie nizkie kwoty (np. niektóre seminarya otrzymują ryczałtem 4000 rubli na rok na utrzymanie kleryków, profesorów, biblioteki itd.). Utrzymanie zatem tych uczelni spadało na duchowieństwo, które niosło swą pomoc materyalną przeważnie w fórmie opłat za rubrycele. Znosząc te opłaty (gdyby to dało się uskutecznić rządowi, w co wątpić można), naraziłoby się seminarya na to, że musiałyby zredukować znacznie liczbę alumnów, a co za tem poszłoby i liczbę duchowieństwa dyecezalnego, którego i tak

w niektórych dyecezyach brak dotkliwy. Tenże skutek oczekiwany jest i z zakazu pobierania opłat od parafian na utrzymanie kleru. Opłaty takie nakładane przez samychże parafian, istniały tylko w tych miejscowościach, gdzie nie było żadnej etatowej pensyi dla księdza. Skasowanie ich to skazanie wielu księży na żebraczy żywot, albo nawet pozbawienie wielu kościołów koniecznej obsługi duchownej.

Kiedy Departament tak pojmuje swe zadanie stania na straży ustaw państwowych, sądy rosyjskie również nie próżnują. Wyroki skazujące księży na grzywny, fortece, usunięcie od obowiązków sypią się jak z rogu obfitości. Obok takich „przestępstw", jak przyjęcie nieletnich prawosławnych na łono katolicyzmu, jak chrzty dzieci z małżeństw mieszanych, słyszy się coraz częściej o sądowem ściganiu obrazy prawosławia w druku lub z ambony. Pojęcie obrazy prawosławia jest bardzo elastyczne i gdy dalej pójdzie się w obranym kierunku interpretowania go, da się zastosować pojęcie tego przestępstwa do każdej obrony dogmatu katolickiego, różnego od nauki cerkwi wschodniej. Rekord w tym kierunku wziął sąd okręgowy pskowski, skazując ks. Sienkiewicza z Wilna na cztery lata twierdzy za artykuł o ks. Bosko, w którym to artykule dopatrzono się również obrazy religii państwowej.

Gdy tak władza sądowa i administracyjna prześcigają się nawzajem w represyach względem przedstawicieli Kościoła katolickiego, rząd petersburski ma śmiałość składać w Watykanie oświadczenie, że żadnego prześladowania katolicyzmu w Rosyi niema i władze stoją tylko na straży ustaw, systematycznie gwałconych przez kler katolicki. Widocznie rząd nie zadaje sobie wcale pytania, czy czasem same ustawy, na jakie się powołuje, nie gwałcą właśnie sumienia katolickiego i czy samo istnienie podobnych ustaw nie stoi w sprzeczności z zasadą tolerancyi, z której Rosya oficyalna szczycić się lubi. Zamiast otwartego postawienia kwestyi i wyciągnięcia stąd logicznych wniosków: albo zmiany kierunku dotychczasowej polityki wyznaniowej, albo otwartego proskrybowania katolicyzmu, takiego jakim on jest, rząd obiera drogę obłudnych tolerancyjnych haseł, a je-

dnocześnie dąży do wynaturzenia Kościoła, przykrawając katolicyzm do swej miary, by zeń uczynić pokorne narzędzie w polityce swojej. Stąd nic dziwnego, że wielu katolików, w torsce o losy katolicyzmu i Kościoła w Rosyi, zapytuje siebie, czy nie lepiejby było, gdyby ta cicha podjazdowa walka z Kościołem, denerwująca i demoralizująca zarazem, zamieniła się na otwartą wojnę? Zdaje się jednak, że rząd starać się będzie odwlec jaknajdłużej szczerą odpowiedź na to pytanie. *Ks. J. Urban.*

Wykładowy język religii według najnowszego rozporządzenia ministra Kasso.

14 punkt tolerancyjnego ukazu z r. 1905 głosił: „Uznać za prawidło, że w zakładach naukowych wszelkiego rodzaju, w razie wykładania w nich religii inosławnych wyznań chrześcijańskich, wykład ten jest prowadzonym w języku ojczystym uczniów". Tak wyrażona wola monarchy, zdawało się, kładła raz na zawsze kres jednej z najgorszych form przymusu w sprawach wiary — używaniu obowiązkowemu języka urzędowego w szkolnem nauczaniu wiary, praktykowanem przedtem w Rosyi, przymusu, który gdzieindziej wywołał Wrzesnię.

Niestety, jak inne zarządzenia ukazu tolerancyjnego, tak i ten, choć bynajmniej nie odwołany, podledz miał interpretacyom władz wykonawczych. Naprzód tedy postawiono zasadę, że odnośny artykuł ukazu nie ma na myśli zakładów wojskowych, wbrew wyraźnym słowom „w zakładach wszelkiego rodzaju" i w szkołach tych utrzymano język rosyjski przy wykładzie religii dla wszystkich uczniów. Nacyonalizm rosyjski nie mógł atoli strawić zrobionej „inorodcom" koncesyi i pod naciskiem jego ukazało się niedawno rozporządzenie ministra oświaty Kasso, które grozi wywołaniem bardzo przykrych, komplikacyi, jakie w oczach ludności przybiorą cechy nowego religijnego prześladowania. Kwestya tak się przedstawia. Przytoczony wyżej artykuł ukazu, stawiając ogólną zasadę, nie określił dokładnie ani tego, co należy rozumieć pod „rodzinnym językiem", ani też tego, do kogo należy określanie narodowości uczniów. Pierwsze pytanie, nie nastręczając żadnych trudności w odniesieniu

do Polaków na terenie etnograficznej Polski, ani też do Litwinów, Łotyszów, Niemców i innych narodowości o wyraźnem obliczu narodowem, rodziło wielką wątpliwość w tych okolicach, gdzie ludność jest mięszaną, lub gdzie narzecza i gwary ludowe powoli przechodzą jedna w drugą, tak że często trudno zdecydować, do jakiej narodowości zaliczyć daną grupę ludności. Tyczyło się to głównie Chełmszczyzny, gdzie część ludności unickiej, która przyjęła obrządek łaciński, przyznaje się wręcz do narodowości polskiej, jakkolwiek przeważnie obok polskiego, posługuje się w domowych sprawach i miejscowem narzeczem małoruskiem. W podobnem położeniu znajduje się część katolickiej ludności na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, która choć pochodzenia polskiego, tu i ówdzie zruszczała, wskutek sąsiedztwa z Rusinami prawosławnymi. Wreszcie na Białejrusi (licząc garstkę b. Unitów w gubernii Suwalskiej i kilka tysięcy Białorusinów w gub. Kurlandzkiej) niespełna milion katolików[1], używa zwykle w codziennych potrzebach różnych gwar miejscowych, jakkolwiek modli się po polsku.

Do jakiej narodowości zaliczyć tę niewyraźną etnograficznie

---

[1] W Nr. 5 *Czasu*, w art. „Na Białorusi" podano ogólną liczbę Białorusinów 10 milionów, z czego jakoby 4 miliony należało do kościoła katolickiego. Obie cyfry są mocno przesadzone. zwłaszcza druga. Według obliczeń etnograficznych, jeśli się wliczy nawet najdalej na wschód wyciągniętych Białorusinów w guberniach Smoleńskiej, Twerskiej i Czernihowskiej, którzy, nawiasem mówiąc, żadnej odrębności od Rosyan nie czują, to i tak liczba Białorusinów wynosi nieco więcej ponad 8 milionów, nie dochodząc do dziewięciu. Z tego na katolików przypada niecały milion. Dowód: Białorusini katolicy należą tylko do dyecezyi wileńskiej i mohilewskiej wraz z mińską. W dyecezyi żmudzkiej i sejnewskiej znajduje się ich razem co najwięcej 20 tysięcy. Otóż ogólna cyfra katolików wynosi w dyecezyi wileńskiej 1,500.000, a w archidyecezyi mohilewskiej wraz z mińską 1,200,000 czyli razem 2,700,000. Jakże w tej cyfrze mogą się zmieścić 4 miliony Białorusinów, jaka cyfra przypadnie na Polaków, litwinów, łotyszów i inne narodowości? Czy wyśrubowywaniem cyfry białorusinów katolików nie dostarcza się komuś złudnego dowodu, że polaków na Litwie wcale niema? W rzeczywistości w pomienionych dwóch dyecezyach jest katolików łotyszów przeszło 300,000, litwinów ze 400,000, trochę ludności na południu mińszczyzny, mówiącej po małorusku, niemcy, francuzi etc. Reszta nie całe dwa miliony, przypada na polaków i białorusinów. Między tymi trudno przeprowadzić ścisłe rozgraniczenie, ale jeśli się weźmie pod uwagę, że ludność katolicka całych kilku powiatów gubernii grodzińskiej i większość takiejże ludności po miastach białoruskich i litewskich należy niewątpliwie do narodowości polskiej, to się przyjdzie do przekonania, że ludność katolików białorusinów nie dosięgnie cyfry miliona.

masę? Niema mowy o tem, aby w wykładach religii katecheta musiał używać tej gwary, jaką lud mówi: powstałoby bowiem nietylko na Białorusi, ale i w rdzennej Polsce mnóstwo wykładowych języków. Oczywiście i prawodawca, zgodnie z rozumem, musiał mieć na myśli jakieś inne podstawy do określenia wykładowego języka religii. W istocie, sięgnąwszy do materyałów, jakie poprzedziły ukaz tolerancyjny, mianowicie do protokołów obrad komitetu Ministrów z dnia 22 lutego i 1 marca 1905 [1] r., przekonujemy się, że przygotowujący ukaz ministrowie wychodzili z zasady, iż nauczanie religii odbywać się winno w tym języku, w jakim uczniowie modlą się w domu. Zatem pod nazwą języka ojczystego rozumiano język modlitwy prywatnej.

Otóż wszystkie wyliczone powyżej grupy ludności, jakkolwiek używają w domu gwar języka małoruskiego lub białoruskiego, modlą się niewątpliwie po polsku. Jak się to stało? W początkach 19 stulecia mówiono jeszcze po kościołach łacińskich kazania białoruskie, śpiewano białoruskie choć nieliczne pieśni. Po kasacie Unii rząd uznał używanie tego języka za pokusę dla byłych Unitów i ukaz Mikołaja I z r. 1840 zabronił używać w kazaniach i dodatkowych nabożeństwach innego języka, jak polski. Na Chełmszczyźnie b. unicka ludność, ratując swą wiarę przed narzuconem jej prawosławiem, ukradkiem szukała pociech religijnych u kleru polskiego, dzięki czemu polonizacya ludu zrobiła znaczne postępy bez żadnych szczególnych wysiłków ze strony Polaków. Język polski w dodatkowem nabożeństwie i modlitwie prywatnej stał się w oczach ludu, podobnie jak łacina w liturgicznych czynnościach, jakby charakterystycznem znamieniem katolicyzmu i gwarancyą przed prawosławiem. Katolicyzm a „polska wiara" stały się synonimami. Czynić zamach na polszczyznę w religii, nabożeństwie lub nauczaniu religii uważanem było i uważa się za zamach na skarb największy, bo na wiarę.

Temi pobudkami, a nie jakąś zaborczością nacyonalistyczną, kierował się ks. biskup Ropp i inni biskupi, określając wnet po ukazie tolerancyjnym, że wykład religii ma się odbywać po polsku dla wszystkich tych, co po polsku modlą się, jak po litewsku dla Litwinów, po łotewsku dla Łotyszów i t. d. Instrukcya ministra oświaty z roku 1906 nic również w tem rozumieniu ukazu nie zmieniła, stawiając zasadę, że narodowość uczniów określają rodzice. We wszystkich bo-

[1] Wszystkie te materyały znajdują się zebrane razem w „Ugodownoje ułożenije 22 marta 1903 goda" N. Tagencewa, Petersburg 1906.

wiem tych wypadkach, kiedy chodziło o wykład religii, rodzice, choć używający w domu innych gwar, podawali się za Polaków.

Minister Kasso, pod presyą miejscowych czynników nacyonalistycznych, odstępuje tak od zasad, jakiemi kierował się komitet ministrów w r. 1905, jak i od przewodniej myśli Ukazu tolerancyjnego, który wszak miał usunąć wszystko to, co dotykało w jakibądź sposób uczuć religijnych ludności. Według najnowszego zarządzenia z 1912 r. narodowość uczniów określają nie rodzice, lecz sami nauczyciele i władze szkolne [1] na podstawie osobistego przekonania się, jakiej mowy używają rodzice uczniów. Oczywiście, kto nie udowodni, że używa języka polskiego nie tylko w modlitwie ale i w domowem życiu, ten zaliczonym będzie do kategoryi Białorusinów.

Atoli Białoruszczyzna na tem nic nie skorzysta. Rząd rosyjski żadnej odrębności białoruskiej mowy nie uznaje; na tem stanowisku stoi ministerstwo oświaty, w tym również sensie wypowiedziała się roku zeszłego większość Dumy. Białoruszczyzna, jak i język małoruski, to tylko narzecza rosyjskie. Językiem wykładowym religii w tym razie musi być język rosyjski.

Cyrkularz Kasso wywołał spodziewaną radość wśród nacyonalistów rosyjskich w kraju zachodnim. Wywołał jednak i żywy odruch wśród Polaków i Białorusinów. Ze strony polskiej odezwały się słowa przestrogi, aby rodzice domagali się dla swych dzieci wykładu religii po polsku, i dlatego aby podawali się za Polaków. Naszem zdaniem nie zawsze to pomoże. Ostrze zarządzenia p. Kasso właśnie na tem polega, że deklaracye rodziców tracą wartość, o ile nie udowodnią, że używają w domu języka polskiego. A jak to udowodni chłop białoruski, który choć rozumie po polsku i modli się po polsku, po za tem jednak polszczyzny nie używa? Trzebaby wpierw nauczyć go po polsku i oduczyć białoruszczyzny. Znowu prowodyrzy ruchu białoruskiego z *Naszej Niwy* nawołują ludność białoruską, by się domagała zaprowadzenia języka białoruskiego tak w szkole jak i w kościele. Teoretycznie rzecz biorąc nie można im mieć tego za złe. Domagają się wszak tylko tego, do czego ma przyrodzone prawo każda narodowość i co im przyznała parę lat temu i Stolica święta. Ale praktycz-

[1] Cytowany artykuł *Czasu* i pod tym względem jest niedokładny, gdy mówi, że władze rozesłały ankietę do rodziców, a przesadza, gdy oskarża *Naszą Niwę* o to, że ona przed czytelnikami zamilcza istotny stan rzeczy. Odnośny artykuł *N. Niwy* w Nr. 49—50 jest dokładny co do informacyi, choć należy uważać za chybione praktyczne wskazówki.

nie, cóż te domagania się sprawią? Stwierdzenie w każdym pojedyńczym wypadku, że się jest Białorusinem dostarczy władzom szkolnym tylko jednego więcej dowodu i to już bezspornego — o ile cyrkularz p. Kasso będzie miał zastosowanie — przeciw zastosowaniu w danym wypadku języka polskiego, ale praw dla białoruszczyzny w szkole nie wywalczy. Przytem ludność katolicka białoruska o tyle przywykła do używania języka polskiego w modlitwie i w kościele, że zamianę polszczyzny nawet na język białoruski w wielu razach przyjęłaby z niedowierzaniem, jeżeli nie gorzej. Cóż dopiero, gdy jawnem stwierdzeniem swej białoruszczyzny pozytywnie stwarza sobie perspektywę otrzymania języka rosyjskiego w wykładzie religii, a może i w kościele, co już byłoby dla niej nieomal zapowiedzią odstępstwa religijnego! Dlatego nawoływania *Naszej Niwy* w tej chwili zdają się nam faktycznie chybionemi. Nie zapoznajemy jednak trudności stanowiska białoruskiego organu. Czyż bowiem miał przyłączyć się do głosów prasy polskiej i nawoływać Białorusinów, aby zapisywali się jako Polacy? Pominąwszy bezcelowość i takiego kroku, naraziłby się na oskarżenie, że staje sam ze sobą w sprzeczności, że pod płaszczykiem białoruszczyzny polonizuje. Niezawodnie wyzyskaliby to znakomicie nacyonaliści rosyjscy, którzy i tak dosyć dokuczają *Naszej Niwie* za jej rzekome polonofilstwo.

Stworzonem zostało położenie bez wyjścia. O ile sądzić można z głosów duchowieństwa, nie zechce ono przyłożyć ręki do rusyfikacyi białoruskiej i małoruskiej ludności. Z drugiej strony uczenie dzieci tej kategoryi po polsku będzie uniemożliwione. Nauczanie prywatne religii po za szkołą jest również ścigane jako przestępstwo. Rezultat więc będzie taki, że młode pokolenie zostanie prawie zupełnie pozbawione nauki religii. Tym sposobem rząd, ścigając marę polonizacyi, a z drugiej strony nie chcąc uznać odrębności narzeczy białoruskiego i małoruskiego, wkracza znowu, może pomimo intencyi, na pole prześladowania religijnego, stwarzając nadto jak najpomyślniejsze warunki dla wzrostu ciemnoty, zdziczenia obyczajów i... bandytyzmu.

Ks. J. Urban.

Ze świata techniki.

Marynarka wojenna. — Para i żelazo w okrętach wojennych. — Okręty dzisiejsze i z przed pół wieku. — Typy okrętów wojennych. — Pancerniki liniowe. Artylerya i pancerze. Maszyny okrętowe. — Krążowniki. — Dreadnoughty. — Torpedy. — Statki podwodne. — Najświeższa statystyka okrętów wojennych.

Zasada znana: *primum vivere et postea philosophari*, najpierw żyć, a potem dopiero filozofować, cieszyła się zawsze wielkiem uznaniem ludzkości. I dzisiaj oczywiście silniej niż kiedykolwiek, panuje ona potężnie, a w dziedzinie myśli ludzkiej objawia się głównie dwoma kierunkami: wszechwładnem zapanowaniem nauk społecznych, niebywałem zainteresowaniem, jakiem obecnie otaczaną jest powszechnie tak zwana kwestya socyalna, gdzie, powiedzmy sobie po cichu lecz z prostotą, bardzo często pod najwznioślejszemi formułkami, wyprowadzonemi czyto z teoryi o ewolucyi i walki o byt, czy ze zdań Ewangelii, kryje się najpospolitszy materyalizm — z drugiej zaś strony zawrotnym prawdziwie pędem, jakim rozwija się dzisiejsza technika. Królowa ta, dobroczynna, lecz często i okrutna, zaprzągnąwszy do swej służby wysiłki umysłu i ciała ludzkiego, dokonała w czasach ostatnich dzieł prawdziwie zdumiewających; przekopała kanał suezki i panamski, za pomocą sztucznych kanałów poprowadziła daleko w głąb lądów okręty, przewierciła Alpy tunelami, w poszukiwaniu za opałem i kruszcem zapuściła się do dwóch kilometrów w głąb ziemi, a naftą, stamtąd zaczerpniętą wprawiła w ruch i puściła w powietrze ciężkie olbrzymy, balony i aeroplany, zwinnym lotem puszczającymi się zwycięsko w zawody z najszybszymi ptakami, udoskonaliła przemysł, rolnictwo, a wreszcie *last but no least*, dostarczyła sztuce wojennej przepotężnych środków lokomocyi i zniszczenia. Najwybitniej może stosunek ten nowożytnej techniki do sztuki wojennej występuje we flocie wojennej, która w ostatnich właśnie latach stała się przedmiotem szczególnej pieczołowitości największych państw ziemi. Smutnym zbiegiem okoliczności pieniądze polskie idą obficie trzema strumieniami, na zasiłek flot mocarstw podziałowych, to też kwestya floty wojennej stała się aktualną i dla nas Polaków, chociaż od oceanów oddalonych. Może wobec tego będzie dla niejednego czytelnika rzeczą interesującą zapoznać się w najogólniejszych zarysach ze stroną techniczną dzisiejszych flot wojennych, tak, jak ją przedstawiają najwybitniejsi fachowcy, zwłaszcza angielscy i francuscy.

Epokowy przełom w dziejach marynarki wojennej i początek doby obecnej, stanowi podobnie jak i dla marynarki kupieckiej, wprowadzenie na okręt maszyny parowej jako siły poruszającej a żelaza i stali, jako materyału budulcowego. Obie te innowacye zaczynają się prawie równocześnie z końcem osiemnastego stulecia, a pierwszą łódź żelazną, przeznaczoną na przewóz podróżnych, zbudowano w r. 1777 na rzece Foss, w Yorkshire, pierwszy zaś statek poruszany parą „Charlotte Dundas" ukazał się w Szkocyi w r. 1802. Dopiero jednak początek wieku dziewiętnastego jest świadkiem stanowczego w tym kierunku rozpędu a żelazo, jako materyał budulcowy na okręty, długo jeszcze miało swych przeciwników nawet w Anglii, gdzie, jak mówi Sir Watts, panował narodowy przesąd przeciwko podstawieniu żelaza za „drewniane wały Anglii" Po pierwszych szczęśliwych próbach postęp odbywał się gwałtownie, lecz i dziś jeszcze marynarka kupiecka buduje okręty drewniane i żaglowce. Tak n. p. na 604 okręty handlowe, zbudowane w Anglii w r. 1909 było 75 żaglowców drewnianych, 44 żaglowców stalowych, 92 parowców drewnianych a 383 parowców stalowych.

W technice rzeczą najważniejszą jest doświadczenie, dłuższe wypróbowanie praktyczne danego wynalazku. Nieraz bowiem się zdarza, że projekt jakiś na papierze i w planach wygląda doskonale, a w praktyce pokazuje się całkiem niedołężny, nawet niemożliwy. Pod czas gdy okręty handlowe codziennie miały sposobność do doświadczeń nowych urządzeń, marynarka wojenna rozwijała się więcej pod wpływem teoretycznych rozważań strategików, gdyż dłuższy czas nie nastręczała się sposobność flocie wojennej do wypróbowania w walce nowego typu żelaznych, parą poruszanych okrętów. Dopiero wojna krymska rzuciła obfity snop światła na nowoczesne warunki wojny morskiej, od niej też datuje się okres nowy w rozwoju marynarki wojennej. W wojnie tej przekonano się mianowicie dowodnie o wyższości okrętów opancerzonych i uzbrojonych w działa ciężkiego kalibru. Zmiany te najlepiej charakteryzuje wspomniany wyżej Watts, szef budowy okrętów marynarki wojennej, powaga pierwszorzędna, twórca i konstruktor kilku krętów typu Dreadnought. „Użycie żelaza i stali jako materyału na budowanie okrętów, i rozwój maszyny parowej, wywarły wpływ na konstrukcyę okrętu wojennego w ten sam sposób, jak wpłynęły na budowę okrętów dla marynarki kupieckiej; lecz nadto wprowadzenie pancerza celem ochrony okrętów, wielkie postępy poczynione w jego wyrabianiu, a ponad wszystko, zdumiewające

ulepszenia w materyałach wybuchowych i w kształcie i wyrobie armat i torped, zmieniły warunki wojny morskiej i zażądały też odpowiednich zmian w kształcie wojennych okrętów".

Najlepszą ilustracyą do słów powyższych będzie zestawienie niektórych rysów zasadniczych dwóch wojennych okrętów, najpotężniejszych przedstawicieli swej epoki: jeden z nich, „Duke of Welligton" ukończony w r. 1853, najw.ększy pancernik angielski z czasu przed wojną krymską, drugi „Orion", zaczęty w r. 1909—10. Długość okrętu „Duke of Wellington" wynosiła 240 stóp, szerokość 60 stóp, pojemność 5830 ton, maszyny parowe miały siły 999 koni, a szybkość największa okrętu wynosiła 9.89 węzłów[1] na godzinę. Jego uzbrojenie składało się ze 131 armat, z których największe, w liczbie 36, były ośmiocalowego kalibru. A odpowiednie dane dla Oriona wynoszą: Długość przeszło 500 stóp, pojemność 22500 ton, maszyny o sile 27 tysięcy koni nadają temu olbrzymowi prędkość 21 węzłów na godzinę. Boki okrętu ochrania pancerz stalowy 12 cali gruby, zaś artylerya składa się z 10 armat trzynaście i półcalowych, dwadzieścia cztery czterocalowych i pięć rur torpedowych. A dodać trzeba, że okręt ten, skończony bieżącego roku, obecnie wcale nie jest największym, jakim poszczycić się może marynarka angielska. Oczywiście koszt takiego kolosu, podobnego raczej do pływającej twierdzy, niż do okrętu, wynosi blisko 50 milionów koron.

W dziewiętnastym wieku okręty wojenne dzieliły się na trzy klasy: okręty liniowe, które później, gdy wprowadzono maszyny parowe i opancerzenie okrętów, zamieniły się na okręty wojenne (*battleships, cuirassés d'escadre*), fregaty, z początkiem stulecia żaglowe, potem parowe, znane pod nazwą krążowników i kanonierki. W ostatnich jednak latach krążowniki przemieniły się na potężne pancerniki o bardzo wielkiej szybkości, a nadto powstały okręty mniejsze, nowego zupełnie typu, tak że według Croneau, francuskiego szefa biór budowy okrętów, obecne typy okrętów wojennych ugrupować można w następujące trzy kategorye: 1. Okręty wielkie, jak pancerniki, opancerzone krążowniki, okręty wywiadowcze, 2. Kontrtorpedowce i torpedowce, okręty podmorskie. 3. Statki służące do zakładania i wyławiania min podwodnych.

---

[1] Przypominamy, że węzeł angielski (Admiralty knot) ma 6080 stóp angielskich, czyli 1853·24 metrów; stopa angielska (12 cali) wynosi okrągło 30·48 cm., zaś cal 2,54 cm.

Kształt i właściwości okrętu wojennego wogóle stosować się oczywiście muszą do potrzeb taktyki wojennej. Otóż pod tym względem wojny najnowsze a zwłaszcza rosyjsko-japońska, potwierdziły w zupełności przewidywania strategików, że „królową wojen morskich pozostaje i nadal armata". Przedtem sądzili niektórzy, że wobec szalonej szybkości, jaką okręt nowoczesny otrzymuje pod wpływem potężnych maszyn parowych, stanie się sam najniebezpieczniejszym pociskiem i druzgotać będzie okręty nieprzyjacielskie przez proste najechanie na nie, jak to było w zwyczaju przy dawnych bitwach morskich. Tymczasem przeciw temu wynaleziono łatwą a zupełnie skuteczną ochronę w postaci paru rur torpedowych, które dziś każdy okręt wojenny w tym celu po bokach posiada. Zanim najezdca dopłynie do swego przeciwnika, już w drodze wypuści tamten nań torped, żądło zadające śmiertelne rany. Jednak torped do walki na odległą metę nie jest bronią dosyć skuteczną, pozostaje więc tylko działo, które zadać potrafi ciosy ciężkie z bardzo wielkiej odległości i w bardzo rozmaitych warunkach.

Pod wpływem właśnie tych rozważań rzucono się do budowania owych twierdz pływających, otoczonych pancerzami, jakgdyby wałami stalowymi, a dźwigających na sobie armaty, nie tak liczne jak dawniej, ale za to tak potężnego kalibru, by kule ich zdala, o kilka kilometrów, przeszywać mogły grube płyty pancerzy okrętów nieprzyjacielskich. Obecnie jesteśmy pod tym względem świadkami prawdziwej orgii, gdzie z szaloną jakąś zapamiętałością jedne państwa prześcigają drugie w rzucaniu w morze nieprzebranej ilości krwawej pracy i wysiłku fizycznego i duchowego człowieka; Croneau podaje, że w jednym tylko r. 1911-tym zaczęto na całej ziemi budować ogółem dwadzieścia trzy wielkie pancerniki o pojemności łącznej pół miliona ton, a całkowity koszt tych kolosów wynosić będzie tysiąc czterysta milionów franków. Licząc wartość całorocznej pracy jednego robotnika na dwa tysiące franków, suma powyższa przedstawi pracę roczną siedmiuset tysięcy robotników. A to tylko część floty wojennej, w jednym tylko roku.

Pancerniki obecne pierwszej klasy, typu Dreadnought i Superdreadnought wykazują ciągłą tendencyę do przyrostu pojemności i zwiększania kalibru dział, prędkość ich natomiast pozostaje stale w granicach, bardzo zresztą wielkich, dwudziestu do 22 węzłów na godzinę. Okręt taki nosi na swej powierzchni zwyczajnie 5 wież stalowych, w każdej mieszczą się po dwa olbrzymie działa, o przekroju końcowym

lufy ponad trzydzieści centymetrów. Tak n. p. pierwsze dreadnoughty angielskie z r. 1905—1906 mają armaty ważące po 65 ton, których pocisk jeden waży 850 funtów ang. Budowane w r. 1910 trzy pancerniki typu Orion, mają już armaty trzynasto i półcalowe, z których każda waży 76 ton, a wyrzuca pocisk ważący 1250 funtów. Na środkowej linii okrętu wznosi się pięć wieżyc stalowych, z których druga i czwarta umieszczone są tak wysoko, że mogą strzelać ponad pierwszą i piątą; powiększono nadto długość i wysokość pancerza okrętowego, przyczem jak zwykle końce okrętu pozostawiono nieopancerzowane. Zmiany te pociągnęły za sobą powiększenie pojemności okrętu o 2600 ton a pomnożenie siły maszyn parowych o dwa tysiące koni, tak że n. p. Monarch ma pojemności 22680 ton, pancerz na 12 cali grupy, i maszyny o sile 27 tysięcy koni. W okrętach z r. 1911 pojemność znowu się zwiększa o 500 ton, gdyż nowe działa zdolne są wyrzucać pociski ważące 1400 funtów; a więc tyle co ładunek, jaki uwieźć zdoła dobry wóz naszego wieśniaka. A spuszczony przed paru tygodniami na morze pancernik Iron Duke ma pojemność jeszcze o dwa tysiące ton większą, bo kaliber dział mniejszych powiększono z 4 na 6 cali, i ulepszono opancerzowanie. A to samo, co w Anglii, dzieje się i w innych państwach. W Niemczech n. p. największy pancernik „König Wilhelm" z r. 1885 ma pojemności 9567 ton; gdy następnie Niemcy pod wpływem sięgającego dalej wzrokiem cesarza Wilhelma rzuciły się na politykę kolonialną i co za tem idzie, zaczęli budować pierwszorzędną flotę, skonstruowano w r. 1907 pancernik Nassau, pierwszy z niemieckich Dreadnoughtów, o pojemności 18200 ton, noszących na sobie 12 armat jedenasto calowych (280 mm.) a dwadzieścia ośm mniejszych, jego zaś maszyny o sile 22 tysiące koni, nadają mu szybkość 19 węzłów na godzinę. Pancerniki rozpoczęte roku następnego (Ostfriedland) Helgoland, Thuringen i Oldenberg) mają już pojemność po 22 i pół tysiąca ton, pojemność nowszych jest jeszcze większa, tak, że pancerniki typu Ersatz Weissenburg z r. 1911, mają według Croneau pojemność 27 tysięcy ton, 10 armat po 355 mm. 14 po 210 mm. i 13 po 88 mm; maszyny o sile ponad 25 tysięcy koni nadawać będą prędkośc 21 węzłów na godzinę.

Co do kalibru dział największych, to wynosi on 340 mm (Francya i Japonia) aż do 356 mm (Stany Zjednocz. i Niemcy). Wogóle powstała obecnie dążność, by kaliber ile możnościpowiększać, gdyż wraz z kalibrem rośnie oczywiście i masa pocisku, mianowicie jest ona proporcyonalna do trzeciej potęgi kalibru. Korzystjąc z tego faktu można,

nie zmniejszając energii czyli siły żywej kuli, zmniejszyć jej prędkość początkową, to zaś jest bardzo ważnem, gdyż im mniejsza początkowa prędkość kuli, tem, według zdania balistyków, działo mniej się zużywa. Działa największego kalibru ustawia się na najnowszych pancernikach, jak już wspomnieliśmy, w żelaznych, opancerzonych wieżach i zwyczajnie dwie armaty mieszczą się w jednej wieży, chociaż flota włoska ma po trzy armaty w wieży, zaś pancerniki francuskie z r. 1913 mają otrzymać wieże czterodziałowe.

Typową właściwością pancerników jest pancerz stalowy, który chroni je od nieprzyjacielskich pocisków. Nie tak dawno temu, bo jeszcze w r. 1908, angielskie dreadnoughty n. p. Neptun, otrzymywały pancerz wzdłuż całej swej długości. Wkrótce jednak konstruktorzy doszli do przekonania, że opancerzenie takie jest raczej szkodliwe, niż pomocne. Wobec bowiem dzisiejszych armat, pancerz o grubości mniejszej niż piętnaście centymetrów, niema żadnego znaczenia, zaś osłaniać całe okręty płytami tak grubemi, znaczyłoby pozbawiać go szybkości i zwinności ruchów, która w bitwie nie mniejszej jest doniosłości, niż inne zalety. Dlatego też obecnie otacza się pancerzem tylko boki okrętów, zato pancerz ten dochodzi miejscami do 30 cm i wznosi się na 6 i 7 metrów wysoko. Nieopancerzone przody i tyły okrętu zabezpiecza się w ten sposób, że pudło okrętu składa się tam z szeregu uszczelnionych komór.

Osobną troskę inżynierów marynarki wojennej stanowią maszyny. Okręty dzisiejsze, jak widzieliśmy, dochodzą do 27 tysięcy ton, jest to ciężar taki, że na przewiezienie go koleją potrzebaby użyć 54 wielkich pociągów towarowych, każdy o 50 wagonach. Żeby kolosom takim, zanurzającym się w wodzie na ośm do dziewięć metrów głęboko, nadać olbrzymią szybkość około 40 kilom. na godzinę, na to trzeba maszyn niesłychanie potężnych. Lecz maszyny te, nietylko że same są ciężkie — na jednego bowiem konia parowego liczy się ciężar maszyny, kotłów i innych przyborów na 140 do 200 kilo — ale nadto trzeba dla nich wieść obfity pokarm w postaci węgla kamiennego. Jeden koń parowy na godzinę zużywa teoretycznie pół kilo, w rzeczywistości około 700 gramów węgla, a więc maszyna o sile 28 tysięcy koni potrzebuje około 20 ton na godzinę, co czyni 480 ton czyli 48 wagonów węgla na dobę. Największe pancerniki nowożytne biorą na siebie normalnie 900 ton, a w czasie wojny maksymalnie 2700 ton węgla, nie mogą więc one długo krążyć po otwartem morzu, muszą często być zaopatrywane w węgiel, inaczej okręt staje się do walki niezdolnym. W dzisiej-

szych warunkach techniki pozostają więc tylko dwie możliwości dowyboru: albo bardzo wielki ładunek węgla, obciążający ogromnie okręt ze szkodą zwinności i sprawności ruchów, albo mała zdolność przebywania na otwartem morzu, trzymanie się wybrzeży, stacyi węglowych, by módz często zaopatrywać się w węgiel. Dlatego też wysiłki techniki okrętowej zmierzają dziś w tym przedewszystkiem kierunku, by ciężkie i wiele węgla pochłaniające maszyny parowe zastąpić innymi motorami.

Wielkie nadzieje rokują tu motory Diesela, należące do grupy silników o spalaniu wewnętrznem, t. zn. gdzie niema kotła, lecz energia cieplna, którą zamienia się na pracę, wywiązuje się już w samym walcu tłoku. Motory wynalezione przez niemieckiego inżyniera Diesela w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, poddane pierwszym próbom w r. 1897, zdobyły wkrótce powszechne uznanie i wypierają gwałtownie nietylko motory o spalaniu wewnętrznem innego typu, jak gazowe, benzynowe, gazolinowe i t. p., lecz nawet zaczynają skuteczną walkę z królem motorów, z maszyną parową. Motory Diesela znalazły obszerne zastosowanie w przemyśle wszelkiego rodzaju, są ulubionemi maszynami w młynach zwłaszcza wodnych, gdzie chodzi o częściowe lub czasowe wspieranie niedostatecznej siły wodnej, w elektrowniach, a w ostatnich czasach przedostały się i na okręty, zwłaszcza mniejsze. Na morzu Kaspijskiem i na Wołdze krąży kilkanaście statków, przeznaczonych do przewożenia nafty, poruszanych motorami Diesela o sile 1000 i więcej koni; do tego samego celu budują obecnie w Niemczech okręt większy, o 15 tysiącach ton, i opatrzony motorami o 4200 koni, a nawet największy obecnie na świecie francuski żaglowiec La France o pięciu masztach i 11 tysiącach ton pojemności, posiada jako pomocniczą siłę popędową motor Diesela o sile 2000 koni.

Motor Diesela własnościami swemi nadaje się szczególnie jako maszyna okrętowa; bo najpierw jest on stosunkowo bardzo lekki, na konia liczy się tylko 70 do stu kilo wagi motoru, więc połowę tego, co dla maszyny parowej, a nadto, co najważniejsza, spotrzebowuje on tylko 180 gramów ropy na konia i godzinę, a więc opał wynosi dla niego tylko czwartą część ciężaru opału potrzebnego dla maszyny parowej. To też wprowadzenie tego motoru na wielkie okręty wojenne, (w małych już znalazł zastosowanie), stanowić będzie nowy przewrót w marynarce wojennej, i dumna technika wyciśnie znów nowe tysiące milionów z uznojonych rąk robotników. Tymczasem zachodzi jedna przeszkoda, mianowicie motorów tych nie umieją jeszcze budować

dla bardzo wielkich sił, na cylinder motoru Diesela nie można dziś liczyć więcej nad tysiąc kilkaset koni, a więc w okrętach potrzebujących kilkadziesiąt tysięcy koni, trzebaby tych cylindrów wiele. Nie brak jednak w tym kierunku prób i usiłowań, a Niemcy już chciały zastosować te motory w najnowszym dreadnoughcie 'Prinz Regent Louitpold i sławna firma Maschinenfabrik Augsburg - Nürenberg S. G. budowała już grupę cylindrów, każdy o dwu tysiącach koni. Tymczasem przy próbach czynionych nad tymi olbrzymami zaszedł wybuch z powodu zmieszania się gazów, powstałych w cylindrach, z powietrzem w pompach zgęszczających, który zniszczył urządzenia fabryczne i opóźnił dalsze próby o kilka miesięcy. Ponieważ jednak Niemcy ze względu na sąsiadów angielskich nie chciały odwlekać wykończenia okrętu, więc Prinz Louitpold dostał zwykłe turbinowe maszyny parowe, a potężny Diesel, o ile odpowie oczekiwaniom, osiędzie na innym, jeszcze nowszym pancerniku.

Z okrętami liniowymi rywalizują wielkością a przewyższają je szybkością krążowniki nowego typu. Są to okręty, które rozwinęły się z dawnych żaglowych fregat, a których zadanie polegało na wspomaganiu okrętów wojennych liniowych, toteż nie miały one żadnego pancerza, a także i do ich uzbrojenia nie wielką przywiązywanowagę. Początkowo krążowniki parowe były to okręty niewielkie o pojemności 4 do 5 tysięcy ton i bez pancerza. Od r. 1883 Anglia zaczyna jednak budować także krążowniki ochronione, tak, że powstają dwa typy krążowników: opancerzone i bez pancerza. Krążowniki z r. 1898 typu „Cressy" mają już 12 tysięcy ton pojemności, sześciocalowy pancerz a długość okrętu wynosi 440 stóp. Lecz i na tem się nie zatrzymano. W r. 1906 admiralicya angielska zaczęła budowę krążowników nowego typu, tak zwanych krążowników-dreadnoughtów; są to „Invincible, Indomitable, i Inflexible. Długość takiego okrętu wynosi 161.5 metra (530 stóp), szerokość 24 metry, zanurzenie w wodę 26 stóp, pojemność zaś 17250 ton; ochrania je pancerz od 4 do 8 cali gruby, a na pokładzie znajduje się 8 ciężkich, dwunastocalowych armat, które są poruszane na Invincible przez motory elektryczne, a na innych przez machiny hydrauliczne, jak to w ogóle ma miejsce w marynarce angielskiej. Widzimy więc, że są to już olbrzymie pancerniki wojenne, potężnie uzbrojone i opancerzone — tylko różniące się od liniowych pancerników pod jednym względem: oto mają one niesłychaną szybkość 28 węzłów na godzinę. To też celem nadania

takiej prędkości umieszczono na takim krążowniku maszyny parowe o sile 41 tysięcy koni.

Oczywiście inne państwa nie omieszkały podążyć za Anglią w szlachetnej rywalizacyi. Niemcy budują w r. 1910 krążownik Moltke na 186 metrów długi, o pojemności 23 tysięcy ton, chroniony przez 20 centymetrowy pancerz, a niosący na sobie 10 dział wielkich, 280 milimetrowych i 28 mniejszych. Maszyny o sile 50 tysięcy koni nadają mu prędkość 29.7 węzłów na godzinę. Anglicy w r. 1910 kładą znowu na warsztaty jeszcze większy krążownik Lion na 212 metrów długi, pojemności 26.800 ton, opancerzony blachami, których grubość dochodzi miejscami do 229 mm. Armat ośm kalibru 343 mm a nadto 22 mniejszych; prędkość okrętu dochodzi do 28 węzłów, kosztem maszyn o sile 70 tysięcy koni! Można sobie łatwo wyobrazić, ile wynosi koszt zbudowania i utrzymania takiego potworu — ile pożytecznej pracy wykonaćby można temi maszynami, zużywającemi setki ton węgla na bezproduktywne ruchy. Najpotężniejszym jednak na świecie okrętem, pływającym już po wodzie, jest spuszczony przed kilku miesiącami na morze krążownik japoński Kongo. Poszczycić się on może następującemi datami: pojemność 28 tysięcy ton, długość 215 metrów, szerokość 48 m, dział wielkiego kalibru 356 mm. posiada ośm, mniejszych (152mm) szesnaście, grubość pancerza 254 mm., prędkość 28 węzłów na godzinę, maszyny o sile 64 tysięcy koni. Okręt ten zabiera na pokarm dla swych maszyn 4 tysiące ton węgla i tysiąc ton ropy. Widzimy, tedy że Japonia kroczy śmiało na czele wielkich mocarstw.

Jak już wspomnieliśmy, ideą przewodnią dla konstruktorów okrętów wojennych są wyłącznie wymagania taktyki wojennej. Opisane wyżej rodzaje okrętów stanowią podłoże dla najwalniejszej broni zaczepnej morskiej, jaką są bezsprzecznie armaty. Prócz nich jednak marynarka wojenna posługuje się jeszcze innym pociskiem, niemającym w armii lądowej dotychczas odpowiednika, torpedem. Przyrząd ten, nad którego udoskonaleniem wysilają się umysły fizyków i techników, ma już swą przeszło wiekową historyę. Zaraz na początku dziewiętnastego wieku sławny inżynier i wynalazca amerykański Robert Fulton podał projekt i praktycznemi poparł go doświadczeniami, by okręty nieprzyjacielskie niszczyć za pomocą ładunków bawełny strzelniczej, podłożonej pod kadłub okrętu, i ładunkom tym nadał nazwę torped. Zbudował on mianowicie małą łódź podwodną Nautilus, którą pokazywał wobec komisyi wyznaczonej przez Napoleona i za pomocą tej łodzi zdołał torpedem

w powietrze okręt do celu tego przez rząd ofiarowany. Pomysł Fultona przyjęty początkowo niechętnie przez Anglię, Francyę i Stany zjednoczone, powoli zyskiwał sobie zwolenników i przekształcił się z biegiem czasu w dwa urządzenia: minę podwodną i ruchomy torped.

Początkowo torped ruchomy miał kształt bardzo prosty; przeznaczona do tego łódź zwykła zabierała ze sobą torped i bardzo długi kij i starała się ukradkiem podjechać pod atakowany okręt. Zbliżywszy się dostatecznie do swej ofiary, za pomocą kija podkładała torped t. j. ładunek bawełny strzelniczej pod kadłub i oddaliwszy się nieco, iskrą z bateryi elektrycznej, połączonej z torpedem za pomocą drutu, podpalała nabój. Sposób ten, możliwy do spełnienia tylko w nocy i w braku dostatecznej czujności załogi okrętu, swą awanturniczością nęcił ochotników i niejednokrotnie się udawał. Sławny jest atak oficera amerykańskiego Cushinga podczas wojny cywilnej w r. 1864 na okręt Albemarle, leżący na kotwicy na rzece Roanoke. Oficer ten na łodzi parowej podjechał pod sam okręt i podłożył pod niego torped na kiju, poczem dostrzeżony przez załogę, wśród gradu kul podpalił torped prądem elektrycznym. Zarówno Albemarle jak i łódź Cushinga wyleciały w powietrze, jednak mimo to Cushing wypłynął i uratował się. Znacznie jeszcze później, bo w r. 1884 podczas wojny francusko-chińskiej taką samą torpedą zniszczyli Francuzi okręt chiński Yang Woo. Gdy jednak zaprowadzono proch bezdymny i reflektory elektryczne, ataki zapomocą akich torped nie mogły już mieć żadnych widoków powodzenia. Zwrócono się więc w inną stronę, do pomysłu nowego, który tymczasem się wyłonił, do tak zwanych torped swobodnych.

Pierwsze modele nie były jeszcze zupełnie swobodne, gdyż ciągnęły one za sobą druty, zapomocą których prądem elektrycznym kierowano nimi, czyto z brzegu, czy z okrętu. Torpedy wynalezione następnie przez Howella były już zupełnie swobodne, a poruszały się przy pomocy ciężkiego stalowego koła, wprawionego w ruch przez osobną maszynkę. Najsławniejsza jednak torpeda jest pomysłu Whiteheada. Jestto jakgdyby ryba stalowa kształtu cygara, długości przeszło 4 metrów a szerokościj 45 cm., której wnętrze podzielone jest na trzy części: w przedniej znajduje się olbrzymi, do 150 klg. ważący ładunek materyi wybuchowej, którą jest zwykle wilgotna bawełna strzelnicza; środek torpedy wypełnia komora ze zgęszczonem powietrzem, służącem do poruszania motoru, znajdującego się

w przedziale tylnym torpedu. W tym ostatnim przedziale znajduje się nadto przyrząd do kontrolowania głębokości i do sterowania, a z tyłu torped ma ster i śrubę która go pcha, jakby statek, naprzód. W chwili gdy torped zostanie z okrętu wyrzuconą do wody, odsuwa się w jego wnętrzu dźwignia, przez to otwiera się dostęp powietrza ze zbiornika do maszyny i motor zaczyna natychmiast swą pracę, pędząc torpedę naprzód. Dzisiaj prędkość, jaką nadaje torpedzie ów motor powietrzny, dochodzi już do 30 węzłów, a więc przewyższa chyżość bardzo szybkich krążowników. Cała jednak trudność przy użyciu torpedy polegała na tem, że torped zbaczał z prostej linii, pod wpływem prądu wody, zwłaszcza gdy go puszczono z okrętu będącego w ruchu tak, że do r. 1898 nie opłacało się prawie wyrabiać tych kosztownych a niepewnych maszyn. Postęp istotny datuje się dopiero od genialnego pomysłu, na jaki wpadł w r. 1896 inżynier austryacki Ludwik Obry, a który dozwala automatycznie sterować torpedem, nie pozwalając mu zbaczać z linii prostej. Wynalazek polega na znanej w mechanice ziemskiej i niebieskiej zasadzie zachowania płaszczyzny obrotu. Gdy mianowicie ciało jakie wprawimy w ruch obrotowy, to jego oś obrotu zatrzyma stale ten sam kierunek, a gdy będziemy się starali ją wychylić, wtedy ciało wirujące przeciwdziałać będzie tej sile wychylającej. Otóż Obry umieścił wewnątrz torpedu taki gyroskop, który w chwili wyrzucenia zostaje w prawiony w gwałtowny wirowy ruch za pomocą stalowej sprężyny. Oś tego gyroskopu, skierowana prostopadle do osi torpedy, połączona jest mechanicznie ze sterem. Gdy więc torped z jakichś przyczyn n. p. z powodu prądu wody, zbacza z prostej drogi, to mechanicznie wywiera to zboczenie na gyroskop taki sam skutek, jak gdyby siła jakaś starała się skręcić jego oś obrotu, Gyroskop więc przeciwdziała tej sile, a to przeciwdziałanie przenosi się na ster torpedy zapomocą odpowiednich urządzeń i torpeda zatrzymuje swój kierunek pierwotny. W ten sposób można dziś ze skutkiem prawdopodobnym wyrzucać torpedy na odległość 2 tysięcy i więcej metrów, przyczem, gdy pocisk ma trafić w okręt będący w ruchu, trzeba oczywiście kąt pod jakim torpedę się wyrzuca, dostosować do szybkości i kierunku ruchu okrętu, tak, by w tej samej chwili okręt i torpeda spotkali się jednak w tym samym punkcie.

Oczywiście opisy powyższe, mimo że podawane przez najpoważniejszych fachowców, z natury rzeczy obracać się muszą w ogólnikach, gdyż szczegóły i wynalazki najnowsze trzymane są przez

rządy w najściślejszej tajemnicy. Croneau twierdzi, że torpedy najnowsze wyrzucać można skutecznie już na odległość sześciu kilometrów, przyczem szybkość w ciągu tej długiej drogi wynosi przeszło 30 węzłów. Rezultaty takie uzyskuje się w ten sposób, że powietrze zgęszczone w zbiorniku torpedy przez odpowiednie urządzenie podgrzewa się, przez co oczywiście zwiększa się jego prężność i energią wewnętrzną.

Do wyrzucania torped służą odpowiednie rury umieszczone po bokach okrętów. Dawniej ujście tych rur było nad powierzchnią wody, dziś są one całkiem zanurzone i torpedę wyrzuca się wprost do wody. Rury takie posiada dziś każdy większy pancernik, a nadto buduje się w tym celu osobne małe łodzie, o pojemności najwyżej paruset ton, zwane torpedowcami, których jedynem zadaniem jest podsunąć się możliwie blisko i szybko do okrętu nieprzyjacielskiego i puścić weń torpedę. Do ataku wychodzi zwyczajnie większa liczba takich łodzi, a załoga okrętu napadniętego musi czemprędzej skierować przeciw nim grad pocisków armatnich, do czego właśnie służą mniejszego kalibru, by zatopić torpedowce, zanim jeszcze zdołają wypuścić żądło. Jedna bowiem dzisiejsza torpeda wystarcza, by największy pancernik, jeżeli nie zatopić, to przynajmniej ubezwładnić w ruchach. W czasach ostatnich torpedowce takie wychodzą z użycia, gdyż z powodu małej swej objętości nie mogą puszczać się w dalszą drogę, nie zdołają bowiem pomieścić potrzebnej do tego ilości opału, a nadto małe te statki podczas burzliwego morza stają się nie do użycia. Dlatego mają one jeszcze znaczenie tylko tam, gdzie morze zwyczajnie jest spokojnie i gdzie chodzi tylko o obronę wybrzeży. Właśnie w takich warunkach znajduje się flota austryacka, dlatego też Austrya ciągle je jeszcze buduje. Podczas gdy w r. 1911 flota austryacka miała 57 torpedowców, to w r. 1913 będzie ich 81, a natomiast Anglia, która rok za rokiem rzuca setki milionów w morze, flotyl torpedowców już nie zwiększa, lecz stoi przy liczbie 100. Miejsce torpedowców we flotach oceanowych zajmuje obecnie inny rodzaj łodzi, łodzie podwodne, a do walki torpedowej na otwartem morzu budują się kontrtorpedowce statki większe nieco, o pojemności tysiąca a nawet dwu tysięcy ton, uzbrojone prócz rur torpedowych jeszcze w lekkie działa, a obdarzone niesłychaną szybkością, większą, niż sam torped. Tak n. p. angielski torpedo boat destryoer Zulu ma pojemności tylko tysiąc ton, a mimo to jego maszyny rozwinąć są zdolne siłę piętnaście tysięcy pięćset koni, bo też nadać one mogą statkowi

temu prędkość niesłychaną 33 węzłów na godzinę. Jeszcze szybszy od niego jest inny o pojemności 1800 ton i sile maszyn 30 tysięcy koni Swift, godny swego imienia, bo posiada prędkość 35 węzłów na godzinę. Statek ten prócz dwu rur do wyrzucania torped, posiada jeszcze jako uzbrojenie cztery armaty czterocalowe.

Jakkolwiek ujmujący i pouczający jest opis tych machin i urządzeń, których jedynym celem jest zabicie jednym zamachem jak największej ilości ludzi, to jednak blednię on wobec *dernier cri* techniki wojennej, wobec łodzi podwodnych.

To, co się nam w młodości, czytając Vernego, wydało bajką, spełnia się przed oczyma naszemi — jakby pod ręką czarownika powstają flotyle całe statków podwodnych, zdolnych poruszać się za pomocą maszyn swobodnie w głębiach morskich i mieścić w sobie przez wiele godzin po kilkunastu ludzi. Austrya łodzi podmorskich posiada obecnie siedm, Niemcy 16, Francya 90, Anglia 79, Włochy 18, Stany Zjednoczone Ameryki 35, Japonia 12. Program budowy na rok przyszły we wszystkich państwach obejmuje dalsze powiększenie liczby łodzi tego typu.

Historya łodzi podwodnych jest już dosyć dawna. Na długie lata przed pojawieniem się powieści Vernego, bo jeszcze w r. 1775, zbudował niejaki Bushnell w Ameryce drewnianą łódź podwodną, poruszaną i zanurzającą się za pomocą wioseł, któremi pracował człowiek wewnątrz łodzi się znajdujący, który jednak mógł przebywać w łodzi pod wodą nie więcej nad pół godziny, gdyż na dłużej nie starczyło powietrza. Gdy się łódź wynurzyła z wody, automatyczne kurki natychmiast wypuszczały z łodzi powietrze zużyte a wpuszczały doń świeże. Z tyłu do łodzi doczepiony był magazyn, zawierający 150 funtów prochu, opatrzony przyrządem zegarowym do podpalania. Zadaniem łodzi podmorskiej było umieścić ten ładunek pod okrętem nieprzyjacielskim i odpłynąć pozostawiając zapalenie miny przyrządowi zegarowemu. Podczas wojny o niepodległość udało się Amerykanom podłożyć taki nabój pod okręt angielski Eagle; mina wybuchła w godzinę po jej założeniu, lecz w miejscu zbyt od okrętu odległem, i nie wyrządziła szkodz.

Do idei łodzi podmorskiej powracano ustawicznie i jak już wspomnieliśmy, także i sławny Fulton, zachęcony przez Napoleona, zbudował drewnianą, ręcznemi wiosłami poruszaną łódź, w której zanurzał się na 25 stóp pod wodę i przebywał tam przez cztery godziny. Podczas jednej z prób zdołał nawet podłożyć pod przeznaczony

do tego okręt minę i rozsadzić go w kawałki. Epokę w konstrukcyi podwodnych statków stanowi jednak r. 1863, w którym Karol Brun buduje we Francyi pierwszą łódź podwodną poruszaną nie ręcznie, lecz siłą maszyny. Łódź ta, zwana Plongeur, ma znaczną stosunkowo długość, bo 146 stóp, a szerokość 12 stóp; jej maszyny wprawiane w ruch zapomocą zgęszczonego powietrza, mają siłę 80 koni. W kilka lat później powstaje sławny i do dziś dnia wykonywany projekt łodzi podwodnych inżyniera Hollanda, który w r. 1877 wykonuje pierwszą łódź według swego planu i czyni z nią doświadczenia. Cechą charakterystyczną tej łodzi jest urządzenie, które służy do zanurzania łodzi. Gdy pragnie się łódź zanurzyć, wtłacza się do jej wnętrza, do przeznaczonych na to przedziałów uszczelnionych, wodę, ale tylko tyle, by jednak łódź zachowała pewną, chociaż małą zdolność do pływania. Zupełnego zanurzenia łodzi dokonuje się zapomocą poziomych wioseł, które tak długo mogą łódź pchać ku dołowi, jak długo posuwa się ona naprzód. Z chwilą, gdy wiosła stają, łódź własnym swym pędem do góry wypływa na powierzchnię.

Inżynier robiący projekt na łódź podwodną, musi pamiętać ustawicznie o dwóch przedewszystkiem własnościach, które każda łódź podmorska koniecznie posiadać musi: stałość ciężaru, gdy już raz statek jest pod wodą i stałość środka ciężkości. Łódź podmorska, która musi pływać na powierzchni, to znowu się zanurzać, ma warunki równowagi inne niż zwykły statek, i gdy środek ciężkości takiej łodzi ulegałby zmianom, to kierowanie nią pod wodą czyto w kierunku poziomym, czy w pionowym, to jest co do głębokości jej zanurzenia, byłoby niemożliwe. Brak tych dwóch przymiotów był zdaniem Wattsa przyczyną nieudania się prób doprzednich, i dopiero projekt Hollanda rozwiązał sprawę pomyślnie właśnie przez wtłaczanie wody balastowej do małych przedziałów, które można odpowiednio po statku rozmieścić. i przeto, że ciężar jakikolwiek wyrzucony z łodzi zanurzonej komensuje się automatycznie przez wtłoczenie do łodzi odpowiedniej ilości wody. Komisya rządowa Stanów Zjednoczonych Ameryki, która miała rozstrzygnąć konkurs na projekty łodzi podwodnych dla floty amerykańskiej, oświadczając się za modelem Hollanda orzekła, że „zanurzaniem się tej łodzi można kierować z taką łatwością, iż można ją utrzymać w ruchu w dowolnej głębokości z dokładnością kilku cali, można łódź wydobyć na powierzchnię i znowu zanurzyć w bardzo krótkim czasie".

Pierwszy model łodzi Hollanda miał motory naftowe, które

jednak wówczas tak były niedoskonałe, że groziły zaprzepaszczeniem całemu projektowi. Usterki później zdołano usunąć, i w r. 1903 zbudowano dla floty wojennej Stanów Zjednoczonych pierwszy statek Hollanda, któremu nadano imię Plunger (nurek) a za nim poszło sześć innych typu Adder (żmija). Plunger jest to statek o długości 35 stóp, szerokości 11 i pół stopy, a gdy zanurzony, wypycha 168 ton wody. Głębokość, do której statek podwodny zanurzać się może, zależy oczywiście od wytrzymałośc ścian jego na ciśnienie wody, które co 10 metrów czyli około trzydziestu stóp zwiększa się o jedną atmosferę, to znaczy, że na każdy centymetr kwadratowy ściany statku zanurzonego 10 metrów pod wodą, woda wywiera ciśnienie jednego kilograma. Otóż Plunger amerykański jest tak silny, że może iść pod wodę do głębokości 75 stóp. Jego pęd do góry, który jak widzieliśmy, zawsze pozostaje w łodziach typu Hollanda, a który trzeba przezwyciężyć ruchem wioseł, by łódź poszła pod wodę, wynosi ćwierć tony. Maszyny łodzi są to silniki gazolenowe o wewnętrznem spalaniu a poruszają one, gdy statek jest nad wodą, śrubę nadającą statkowi szybkość 15 węzłów na godzinę, a nadto wprawiają w ruch dynamoelektryczną maszynę o sile 70 koni, która nabija akumulatory elektryczne. Gdy statek się zanurzy, stają motory gazolenowe, a ich rolę obejmuje teraz dynamoelektryczna maszyna, która czerpiąc prąd z akumulatorów, spełnia obecnie funkcyę motoru elektrycznego i porusza śrubę okrętową, pod wpływem której statek porusza się pod wodą z szybkością 8 węzłów na godzinę Do rozglądania się po powierzchni morza, gdy statek znajduje się pod wodą, służy przyrząd, znany powszechnie pod nazwą camera lucida, a nadto umieścił Holland na grzbiecie statku wieżę ochronioną czterocalowym pancerzem stalowym, a na 4 stopy wysoką, z której można obserwować powierzchnię morza, gdy statek nieco podsunie się do góry. Jako uzbrojenie nosi Plunger torpedy Whiteheada, do wyrzucenia których ma po bokach dwie tuby.

Od łodzi Hollanda różni się zasadniczo statek podwodny zbudowany w Sztokholmie w r. 1883 przez sławnego wynalazcę Nordenfeldta. Statek ten 64 stopy długi, 9 stóp szeroki, o pojemności 60 ton, posiada maszynę parową o sile 100 koni, która nadaje statkowi, gdy tenże znajduje się na powierzchni, szybkość 9 węzłów na godzinę. Kotły parowe tej maszyny mają za zadanie nietylko dostarczać pary maszynie, ale nadto napełniać parą dwa zbiorniki, w których podobnie, jak i w kotłach, znajduje się pewna ilość wody, ogrzanej tak, że ciśnienie pary

wynosi około 20 atmosfer. Gdy statek ma się zanurzyć, gasi się ogień pod kotłem, a do poruszania maszyn służy teraz para ogrzana, nagromadzona w kotłach i w zbiornikach. To jest jeden rys charakterystyczny łodzi podmorskiej tego typu; a drugi jeszcze ważniejszy, odnosi się do sposobu, w jaki łódź pod wodę się zanurza.

By łódź zanurzyć, wtłacza się do niej wodę tak, że ponad powierzchnię wystaje tylko jeszcze kopuła obserwacyjna, która nadaje łodzi pęd do góry, równy sile jednego centnara. Do przezwyciężenia tego pędu nie służą wiosła, jak u Hollanda, lecz dwie śruby, umieszczone na osiach pionowych, a poruszane motorami parowymi o sile 6 koni. Gdy łódź dojdzie do największej głębi, do której jest przeznaczona — około 50 stóp — wtedy ciśnienie wody zewnątrz łodzi zamyka klapy do maszyny i łódź staje. Jako broń zaczepna służy torpeda Whiteheada umieszczona zewnątrz łodzi. Według modelu Nordenfeldta zbudowano już także wiele łodzi, oczywiście z rozmaitemi ulepszeniami.

Prócz typów powyższych z biegiem czasu powstały i inne, z których najbardziej rozpowszechnionym jest pomysł Goubeta wykonany w r. 1881 w Paryżu. W szczegóły ich wchodzić niepodobna, a zresztą wszystkie wynalazki i ulepszenia, dotyczące statków podwodnych, nawet często ilość i typy łodzi trzymają dotyczące państwa, ile możności, w najściślejszej tajemnicy, do tego stopnia, że n. p. Niemcy w budżecie marynarki wstawiają lakoniczną rubrykę: na zakupno łodzi podmorskich i doświadczenia 20 milionów marek. Stwierdzić tylko można, że podobnie jak w przypadku pancerników, tak samo i co do łodzi podwodnych panuje ciągła dążność, by budować statki możliwie wielkie i szybkie. Typy angielskie C_{19} — C_{38}, projektowane przez wspomnianego już Wattsa, a wzorowane na modelu Hollanda, mają długość 135 stóp, szerokość przeszło 13 stóp, pojemność 320 ton, a maszyny o sile 600 koni dają łodzi szybkość powierzchniową 12 i pół węzła. Pierwsze łodzie podwodne niemieckie, zbudowane w r. 1906, mają długość 139 stóp, a pojemność 240 ton; w trzy lata później budują Niemcy w Gdańsku łodzie o 600 tonach pojemności, które, według relacyi rządowych, robią dalekie podróże morskie bez asystencyi okrętów innych. Łodzie angielskie typu E z programu r. 1910—1911 mają już pojemności 800 ton a prędkość łodzi na powierzchni wody wynosi 15 węzłów; zaś sous-marin francuski Gustave-Zédé ma pojemności tysiąc ton. Jako siła motoryczna na łodziach podmorskich coraz więcej rozpowszechnia się motor ropny, który służy do poruszania statku na powierzchni wody i do ładowania akumulatorów.

Gdy statek znajduje się pod wodą, stają motory ropne, a pracują tylko motory elektryczne, zasilane prądem z akumulatorów.

Bronią łodzi podmorskich są torpedy, których kilka, zwykle trzy, łódź taka posiada i wypuszcza je na okręt nieprzyjacielski zapomocą odpowiedniej rury torpedowej. Jako *curiosum* przytoczyć należy najnowsze typy łodzi podmorskich angielskich, które prócz rur torpedowych mają nadto małe szybkostrzelne armatki, używane oczywiście tylko wtedy, gdy statek pływa po powierzchni. Gdy się łódź ma zanurzyć, chowa armaty, jak ślimak swe rożki do wnętrza, a klapy za niemi zamykają się szczelnie. Przeciw tym armatkom występują jednak strategicy, zaznaczając, że bronią zaczepną podmorskiej łodzi jest torped, a odporną zdolność ukrywania się w nurtach. Zapewne jednak konstruktorzy angielscy muszą mieć swe powody, dla których odważyli się na taką innowacyę.

Łodzie podwodne w zastosowaniu do sztuki wojennej mają wiele analogii z aeroplanami: teoretycznie niesłychanie niebezpieczne i nieuchwytne, niedrogie, a przedewszystkiem zupełnie jeszcze w walce prawdziwej niewypróbowane, stanowią one w wojnie czynnik zupełnie dotychczas niedający się obliczyć. Może zmienią zupełnie taktykę wojenną, a może pozostanie na razie wszystko po dawnemu i tak na lądzie jak i na morzu królować i trwożyć będzie nadal lwi ryk armaty. Na razie państwa zabierają się bardzo gorliwie do statków podmorskich, a nietylko mocarstwa wielkie, lecz także i małe, dla których łodzie te mogą stanowić tanią a bardzo skuteczną obronę nawet przed bardzo wielkimi pancernikami. Bronią łodzi podmorskiej jest torped, którego uderzenie jest śmiertelne, ale jak pokazały dotychczasowe doświadczenia z torpedowcami zwykłymi, pływającymi po powierzchni wody, nie jest rzeczą łatwą trafić przeciwnika torpedem. W wojnie chińsko-japońskiej torpedowce chińskie bezskutecznie wyrzuciły na flotę japońską szereg posisków; w wojnie rosyjsko-japońskiej powiódł się japończykom doskonale atak torpedowców pamiętnej nocy 8 lutego 1904, na stojącą w porcie Artura flotę rosyjską, ale też flota ta była zupełnie niestrzeżoną, okręty nie miały spuszczonych sieci chroniących je przed uderzeniami torped, niebyło nawet łodzi patrolujących w porcie. Torpedy uszkodziły wówczas kilka okrętów rosyjskich, jednak nie zatonął żaden z nich, a wkrótce zdołano uszkodzenia naprawić. Gdy potem w czerwcu wypłynęła majestatycznie naprawiona flota rosyjska do ataku po to tylko, aby wieczorem do portu powrócić, Japończycy nie omieszkali skorzystać ze sposobności i flotyla

torpedowców wykonała atak na ustępujące okręty, ale ani jeden torped nie trafił. Nawet w bitwie pod Cuszymą torpedy wykonały tylko rolę siepaczy dobijających te okręty rosyjskie, których artylerya zwłaszcza lekka, była już w bitwie armatniej ubezwładnioną. Czy statki podmorskie będą szczęśliwsze, to pokaże dopiero przyszła jaka wielka wojna. Uwagi jednak godne są tu słowa, które wypowiada angielski admirał Sir Sedney Marow Eardley-Wilmot, znany jako znakomity autor dzieł traktujących o rzeczach wojskowych i jako czynny dowódca floty, biorący chlubny udział w walkach morskich. „Przez ulepszenia w budowie i w sposobach wyrzucania, torped odzyskał miejsce, które stracił gwałtownie przed niewielu laty. W miarę jak pancerz otrzymuje coraz to większą siłę odporną przeciwko pociskom nad powierzchnią wody, a odporność ta wzrasta równocześnie z siłą armat, większą uwagę zwracać się będzie na atak podwodny, przeciwko któremu nie wynaleziono jeszcze dostatecznej ochrony. Tak więc zobaczymy prawdopodobnie, że torped zajmie bardzo wybitne miejsce w przyszłej wojnie pomiędzy wielkiemi mocarstwami morskiemi". A tę rolę wybitną zawdzięcza torped nietylko własnemu udoskonaleniu, ale także i może przedewszystkiem łodzi podwodnej.

Gdy wśród lektury niezmiernie zresztą ciekawych opisów odnoszących się do dzisiejszych okrętów i marynarki wojennej, umysł ocknie się na chwilę, natychmiast jak zmora wraca przygniatająca i zawstydzająca myśl, że tyle i tak wielkich wysiłków poświęcają dzisiaj jeszcze ludzie na te narzędzia mordu i zniszczenia.[1] Budżety dzisiejszych mocarstw, przez ludowe uchwalane parlamenty, rozsadzane są przez wydatki na armię i flotę, a gdy się pojawi jakikolwiek wynalazek na polu sztuki wojennej, to chociażby on był niesłychanie kosztownym, pieniądze nań znaleźć się muszą.[2] I nie w tem tkwi zło, że parlamenty

[1] W chwili, gdy to piszemy, przychodzi właśnie wiadomość przykra z Anglii o pierwszych próbnych jazdach nowego olbrzymiego pancernika liniowego Centurion, typu Super-dreadnougt, o pojemności 23 i pół tysiąca ton. Pancernik ten pędząc z szybkością 19 węzłów na godzinę najechał na żelazny okręt włoski Derna, pojemności 34000 ton. Centurion odniósł lekkie uszkodzenia lecz Derna poszedł na dno tak gwałtownie, że z 36 ludzi załogi nikt się nie uratował.

[2] Dnia 5 go grudnia ub. r. premier kanadyjski Mr. Borden przedstawił wśród niesłychanego entuzyazmu parlamentu kanadyjskiego wniosek, by ofiarować 7 milionów funtów (168 milionów koron) rządowi angielskiemu na sprawienie trzech „najpotężniejszych i najsilniejszych okrętów wojennych jakie wiedza może zbudować i jakie za pieniądze można dostarczyć". Oczywiście dar

te kwoty uchwalają, bo owszem jest to dowodem z ich strony i przezorności i poświęcenia nie małego dla idei patryotycznych, ale to przykre i straszne, że cywilizacya dzisiejsza, mimo tak łatwych środków komunikacyi myśli i idei, nie zdołała się zdobyć na sposób jakiś, by przez wspólną umowę temu wyrafinowanemu barbarzyństwu położyć, jeżeli nie koniec, to przynajmniej granicę. Myśl ustaje, gdy się pragnie uprzytomnić, ile to możnaby usunąć nędzy, ile uregulować rzek, zbudować kanałów, szkół, zakładów przemysłowych, za te pieniądze, które poprostu dosłownie ciska się w wodę, przez budowanie niesłychanie kosztownych kolosów i maszyn, na to tylko, by po latach kilku lub kilkunastu zastąpić je nowymi, jeszcze kosztowniejszymi. Do jakich rozmiarów doszło złe, pouczy najlepiej zestawienie flot dzisiejszych państw, „kroczących na czele cywilizacyi", a zebrane z źródła może najpewniejszego, bo ze znanego The Statesman's Year Book z r. 1912. Daty te pokazują stan floty państw w r. 1912, to znaczy są w nie wciągnięte wszystkie te okręty, których budowa i uzbrojenie będą ukończone w r. 1912. Rubryka zaś ostatnia podaje całkowity budżet na marynarkę danego państwa z r. 1910, (dla Francyi z r. 1911).

	Dreadnoughty i naddreadn.	Pancerniki dawniejsze	Opancerzone krążowniki	Krążowniki	Mniejsze statki wojenne	Torpedowce	Łodzie podmorskie	Ilość wszystkich statków wojennych	Wydatki na flotę w r. 1910 w milionach koron.
Austrya	1	12	3	6	19	69	7	117	67
Niemcy	13	20	9	34	129	47	16	268	531
Włochy	1	14	10	11	45	111	18	210	167
Anglia	20	40	34	72	252	100	79	597	975
Francya	2	23	20	12	97	307	90	551	416
Rosya	—	12	6	8	109	54	37	226	245
Razem	37	121	82	143	651	688	247	1969	2401
Stany Zjednoczone Ameryki	8	19	18	16	53	30	35	179	630
Japonia	1	16	13	17	66	50	12	176	—

taki wspaniałomyślny wywoła uzasadnione pretensye u rządów europejskich, by i nasze parlamenty ludowe w hojności nie pozostały w tyle. Zapewne jednak entuzyazm naszych posłów będzie mniejszy, niż w Kanadzie, która w r. 1910 na 1911 miała dochodu 24,210.418 funtów, a rozchodu 18,042.474 funtów, a więc nadwyżka budżetowa w jednym roku wynosiła tam blisko 150 milionów koron.

Jak z zestawienia tego widzimy, sześć mocarstw europejskich wydało w jednym tylko roku 1910 na flotę, to jest na budowanie okrętów nowych i utrzymanie już istniejących, dwa milianardy 401 milionów koron a zaznaczyć trzeba, że budżety na flotę z roku na rok coraz się zwiększają. W Anglii n. p. wydatki na flotę w r. 1910 wynoszą 975 milionów koron, w roku następnym natomiast już 1065 milionów; Niemcy w roku 1910 wydają na marynarkę wojenną 531 milionów, w r. 1911 zaś przeszło 549 milionów; republikańska Francya w r. 1911 daje 416 milionów, w r. 1912 blisko 427 milionów. Ile tam nędzy, jęków, krwią i potem ociekłych wysiłków zawartych leży w tych zimnych, olbrzymach stalowych pływających po morzach, które dzisiejsze ludowe parlamenty z tryumfem wznoszą w imię wolności i postępu z pracy ludu! A to tylko flota — pozostaje jeszcze rubryka na armię lądową, która nie wchodzi w zakres niniejszego rzutu oka na zastosowanie techniki do sztuki wojennej na morzu. . . .

Jak już zaznaczyliśmy, wysoce niepraktycznym i nierozumnym byłby parlament, któryby wobec obecnego rozszalałego ruchu zbrojnego odmówił swemu rządowi potrzebnych środków do obrony państwa; byłoby to wprost zbrodnią, gdyby obstrukcya taka działa się w parlamencie państwa bądź co bądź najszlachetniejszego i najsprawiedliwszego, jakiem bezsprzecznie jest państwo austryackie. Ale cyfry powyższe strasznie ponure rzucić muszą światło na stan prawdziwej cywilizacyi epoki, gdzie hasła uciemiężania narodowości i wiary znajdują gorliwe i skuteczne poparcie tak w społeczeństwie jak i w parlamentach, a idea ograniczenia tyrańskiego ucisku ludów przez tak szalone, ciągłe i ustawicznie rosnące zbrojenia dotychczas nie może wyjść ze sfery fejletonowych rozpraw.

Od czasu do czasu myśliciele rzucają sobie i innym pytanie, czy dzisiejsza cywilizacya wzmaga się, czy też, jak chcą niektórzy, znajduje się w stanie rozkładu i cofania się. Nam się zdaje, że z cyfr i opisów powyższych odpowiedziećby na tę kwestyę potrzeba: dzisiejsza technika ustawicznie idzie naprzód, ale prawdziwa cywilizacya duchowa, ta biegnie gwałtownie w przepaść, aż do ostatecznej katastrofy.

Bo takich zbrojeń i takich krzywd bezkarnie czynić nie można.

Ks. F. Hortyński.

I. Zjazd Hygienistów polskich we Lwowie.

I. Zjazd hygienistów polskich odbędzie się we Lwowie od 20 do 24 lipca 1913 r. Urządzeniem Zjazdu zajmuje się Komitet gospodarczy, którego skład jest następujący: prof. Dr. Kazimierz Panek, przewodniczący; Dr. Kalikst Krzyżanowski i Dr. Wiktor Legeżyński, zastępca przewodniczącego; Dr. Bronisław Kaczorowski, sekretarz generalny; Dr. Jan Opieński, skarbnik. Członkowie Komitetu gospodarczego: protomedyk Dr. Zdzisław Lachowicz, Dr. Szymon Bernadzikowski, doc. Dr. Bronisław Biegeleisen prof. Dr. Mieczysław Grabowski, prof. Dr Paweł Kucera, prof. Dr. Józef Wiczkowski, prof. Dr. Stanisław Bądzyński, Dr. Leon Popielski, prof. Dr. Jan Raczyński, doc. Dr. Eugeniusz Piasecki, Dr. Kazimierz Wyrzykowski. Dr. Maksymilian Bett, Dr. Emil Müller, Dr. Józef Starzewski, Dr. Julian Kasparek, Dr. Adolf Kuhn, prof. Antoni Łukasiewicz, Dr. Szczepan Mikołajski, Walery Włodzimirski.

Zjazd który obejmować będzie wszystkie zagadnienia zdrowotne doby współczesnej dzieli się na następujące sekcye:

1. Mikrobiologia i choroby zakaźne.
2. Walka z gruźlicą.
3. *a*) Hygiena i fizyologia żywienia,
   b) Walka z alkoholem i używkami.
4. Hygiena wieku dziecięcego i młodzieży:
   a) Hygiena dziecka przedszkolnego,
   b) Hygiena szkolna,
   c) Wychowanie fizyczne.
5. Hygiena miast.
6. Hygiena zawodowa i opieka nad klasami pracującemi (robotniczo-przemysłowa).
8. Opieka nad chorymi:
   a) Szpitalnictwo,
   b) Ratownictwo i pielęgniarstwo.
9. Hygiena zdrojowisk i uzdrowisk.
10. Hygiena wojskowa.
11. Statystyka sanitarna i demografia.

Zjazd łączy zagadnienia zdrowotne dotyczące wszystkich ziem polskich. W tym celu zorganizowane zostały komitety zamiejscowe: w Krakowie, Warszawie i Poznaniu. Posiedzenia zjazdowe będą dwo-

jakiego rodzaju: plenarne i sekcyjne. Na posiedzeniach plenarnych omawiane będą sprawy ogólne, na sekcyacnych zaś, fachowe.

Według regulaminu zjazdu Komitet gospodarczy przyjmie członków i uczestników Zjazdu. Członkiem Zjazdu może być każda osoba zajmująca się hygieną czy to pod względem naukowym, czy też praktycznym. Osoby należące do rodziny członka jakoteż uczniowie wyższych zakładów naukowych mogą brać udział w zjeździe jako uczestnicy.

Bliższe szczegóły jak regulamin zjazdu, organizacya sekcyi i porządek zjazdu rozsłane będą równocześnie do wszystkich Towarzystw Hygienicznych i lekarskich, jakoteż do ich organów.

Wszelkich wyjaśnień udziela sekretarz zjazdu Dr. Bronisław Kaczorowski, Lwów, Chorążczyzna L. 12.

Osoby pragnące wygłosić odczyty w sekcyach; zechcą zgłosić je do sekretarza zjazdu lub goposdarzy lub sekretarzy poszczególnych sekcyi najpóźniej do 15. maja 1913 r. i załączyć krótką treść odczytu (około 50 wierszy druku), aby mogła być umieszczoną w książce służącej do użytku zjazdu.

Szczegóły dotyczące programu zjazdu, ulg, pomieszczenia członków przyjezdnych przyjęć i wycieczek, poda Wydział gospodarczy w odpowiednim czasie, a to najpóźniej do 15. czerwca 1913 r.

Errata:

W zeszycie grudniowym *Przeglądu Powszechnego* wkradły się następujące błędy:

Str. 197 wiersz 3 od dołu zamiast *patrycyuszów*, ma być patryarchów
„ 199 „ 11 „ „ „ *Wschodu*, „ „ Włoch.

Druk ukończono dnia 20 stycznia 1913 roku.

Wojna na Litwie w r. 1831. Z mapą Przez A. Z. druk. W. L. Anczyca. Kraków 1913, str. 124.

Peru, wspomnienia z podróży. Napisał Jan Sztokman. Gebethner i Wolff. Warszawa, 1912. T. I-szy z mapą. Str IV+307 T. II. 267.

Monumenta ecclesiastica-Petropolitana. 4 edidit Dr. Michaël Godlewski. Petropoli 1912. Pp. 71.

Dzieje muzyki powszechnej w zarysie przez Henryka Opieńskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1912. Str. 205.

Pamiętniki ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego Arcybiskupa Warszawskiego. Część I od roku 1822 do r. 1851. Część II od roku 1851 do r. 1883. Wydanie drugie. Nakładem i drukiem Zienkowicza i Chęcińskiego. Lwów 1912. Str. XVI+431 i 295. —

Metryki kościoła Maryackiego i katedry na Wawelu w Krakowie opracował ks. Jan Sygański T. J. Osobne odbicie z „Miesięcznika heraldycznego". Nakładem Towarzystwa heraldycznego. Z I. związkowej drukarni we Lwowie 1912, Str. 83. —

Rozwój i ustrój kapituł polskich w wiekach średnich. Opracował Dr. Stanisław Zachorowski. Nakładem Akademii Umiejętności; W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1912, Str. 268.

Wspomnienia młodości przez Charles Sainte Foi. Z rękopisu francuskiego przełożył i wstępem opatrzył Kazimierz Woźnicki. Nakładem Gebethnera i Wolffa Druk. Łozińskiego we Lwowie. Str. 50.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II. Tom XXX, Ogólnego zbioru. 55. tom Z 2-ma mapami. Nakładem Akademii Umiejętności. Drukarnia uniwersytecka. Kraków 1912. Stron 425

Wspomnienia przez Wojciecha Kossaka. Z 92 ilustracyami w tekscie oraz 8 kolorowanemi na osobnych kartkach. Nakład Gebethnera i Spółki. Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1913 Stron 348.

Wstęp do baśań historycznych przez Ch. U. Zanglois i Seingnobos z francuskiego przełożyła Wanda Górkowa z przedmową Stanisława Zakrzewskiego. Serya IV, tom IX wydawnictwa związku naukowo-literackiego we Lwowie „Wiedza i życie." Nakładem H. Altenberga. Z drukarni zakładu Im. Ossolińskich we Lwowie 1912. Stron XI+384.

Poglądy na politykę austryacko-polską wobec sprawy słowiańskiej i międzynarodowych zawikłań od r. 1880 do 1912. Napisał Jerzy Moszyński. Nakład autora. Czcionkami „Czasu" w Krakowie. 1912. Stron 51.

O najświętszej ofierze Mszy świętej i sposobie jej słuchania z przydaniem rozmaitych ćwiczeń pobożnych przez X. de Bonhand T. J. Przegląd z francuskiego X. Wydanie nowe. Nakładem i drukiem Jelenia. Taraów 1913. Str. 223.

Przyjdź Panie Jezu i zostań z nami czyli pobożne akty przed i po Komunii św. Napisał X. Franciszek Walczyński. Nakładem i drukiem Jelenia. Tarnów 1912. Str. 876.

Żywot św. Franciszka z Assyżu. Napisał Jan Szmyt. Nakładem i drukiem Jelenia. Tarnów. 1912. Str. 39.

Św. Izydor skreślił Jan Szmyt. Nakładem i drukiem Jelenia. Tarnów, 1912. Str. 48.

Nauki rekolekcyjne i doroczne przed przyjęciem Sakramentów św. (Do dzieci szkół ludowych) napisał X. Józef Koterbski. Nakładem i drukiem Jelenia. Tarnów, 1913. Str. 141.

Przygody pajaca, powieść dla dzieci napisał F. Cherubini. Tłumaczenie z włoskiego, z licznemi ilustracyami w tekście. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk W. L. Anczyca i Sp. Kraków, 1912. str. 280.

Dżok, przygody psa i jego pana w puszczy. Napisał Sir Pery Fitzpatrick Przełożył z szóstego wydania angielskiego Stefan Barszczewski. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk W. L. Anczyca i Sp. Kraków, 1912. Str. 266.

W starym dworze powieść przez Artura Gruszeckiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Drukarnia Ludowa w Krakowie. 1913, str. 168.

Dzieje mężczyzny powieść przez Gustawa Olechnowskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1912. Str. 409.

Wyzwolenie „Mocnego człowieka" część II-a. Napisał Stanisław Przybyszewski. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. 1912. Str. 311.

Bajki napisał Kazimierz Gliński. Ze 4 kolorowanemi i z 12 jednobarwnemi ilustracyami Konstantego Górskiego. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. 1912, Str. 132.

Podwórko wiejskie. Bajki i powiastki S. Jachowicza i wielu innych. Nakład Gebethnera i Wolffa. Wykonał Stanisław Miszewski w Łodzi 1912.

Staś i Janek, ich figle i psoty. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1912.

Jutro, powieść współczesna przez Eugenję Żmijewską. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie, 1912. Str. 390.

Separatka, powieść. Napisała Konstancya Bielska. Z przedmową Gabryeli Zapolskiej. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1912. Str. VI+394.

Julcia, powieść dla młodzieży napisała Bronisława Włodkówna. Z 8-ma ilustracyami Zygmunta Badowskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1912. Str. 236.

Z oddali, romans. Napisała Ludwika Jahołkowska-Koszutska. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1912. Str. 225.

Tamta. Obrazki i nastroje. Zapytanie, Spotkanie, Stara piosenka, Bajeczka o kobiecej duszy, Bez retuszu, Filozofka, Z za kulis Variette, Tamta. Nowela Bronisławy Jeremi. Nakładem H. Altenberga. Druk Zakładu Im. Ossolińskich. Lwów 1912. Str. 192.

Młodość poety przez M. Mossoczową. Powieść historyczna dla dorastającej młodzieży osnuta na tle życia Zygmunta Krasińskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk. Poturalskiego w Podgórzu, 1912. Str. 233.

Kwiaty rodzinne. Wybór poezyi polskiej ułożony przez Narcyzę Żmichowską. Wydanie czwarte przejrzane i poprawione przez Or-Ota. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie, 1912. Str. V+491.

Przełomy. Powieść przez Julię Władysławę Motylińską. Z portretem autorki. Nakład Gebethnera i Sp. Drukiem „Polonii." Kraków, 1912. Str. 273.

Aniołom dźwięku. Napisała Bronisława Ostrowska. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. 1912, str. 252.

Imagina, przez Maryą Konopnicką, z przedmową A. Grzymały i Siedleckiego, z wizerunkiem autorki z doby powstania „Imaginy." Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk. W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. Str. XII+328.

Wesoły ludek dwanaście obrazków dla dzieci ułożyła Zofia Rogoszówna. Nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie, 1912.

Podręcznik kaznodziejski na 40 godzinne nabożeństwo. Napisał X. Alojzy Warol T. J. misyonarz w Ameryce. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. 1913, str. 263.

Modlitewnik Skargi, z modlitw w dziełach X. Piotra Skargi zawartych ułożył X. Stanisław Okoniewski. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha. Poznań, 1912. Str. 304.

Dzieje duszy czyli **żywot siostry Teresy od dzieciątka Jezus i od Najśw. Oblicza,** Karmelitanki Bosej 1873—1897 przez Nią Samą skreślony. Listy-Poezye. Tłómaczone z francuskiego. Wydanie drugie. Według najnowszego wydania francuskiego przejrzał i uzupełnił ks. Dr. W. Galont, Prof. św. Teologii. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha. Poznań 1912. Str. XIX + 506.

Godzinki, Modlitwy i pieśni o św. Stanisławie Kostce T. J. zebrał ks. Jarosław Rejowicz T. J. Nakładem Wydawnictw Towarzystwa Jezusowego. Z drukarni E. i Dra K. Koziańskich w Krakowie 1913. Str. 39. Cena 15 hal.

Statut Sodalicyi maryańskiej uczniów stanu kupieckiego w Krakowie opracował X. Jarosław Rejowicz T. J. Nakładem Sodalicyi. Drukiem E. i Dra K. Koziańskich w Krakowie 1912. Str. 27. Cena 30 hal.

De speculis Etruscis et cista in musaeo principum Czartoryski Cracoviae asservatis. Scripsit Petrus Bieńkowski. Sumptibus Academiae litterarum apud bibliopolam societatis librariae Polonicae. Cracoviae, 1912. P. 39 cum tabelis 9, folio.

Stary Gdańsk i historya jego sztuki przez ks. Dra Tadeusza Kruszyńskiego. Nakładem księgarni Wydawniczej J. Czerneckiego w Wieliczce. Druk W. L. Anczyca i Sp. Kraków, str. 137.

Są jeszcze w Polsce sędziowie. List otwarty w sprawie Stwosza przez Ludwika Stasiaka. Odbitka z Kuryera lwowskiego. Z drukarni Polskiej we Lwowie 1912. Str. 28.

Farby i materyały używane w malarstwie. Zeszyt I. Napisał Dr. F. E. Polzeniusz. Nakład autora. Drukarnia nakładowa. Kraków, 1912. Str. 55.

Katedra historyi i literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim (1826—1904) napisał Dr. Wiktor Hahn. Nakładem autora. Z drukarni „Prasa". Lwów 1912. Str. 12.

Bogusławski czy Kołłątaj. W sprawie autorstwa Cudu czyli Krakowiaków i górali. Napisał Wiktor Hahn. Odbitka z Pamiętnika literackiego. Zeszyt II. Drukarnia Polska. Lwów, 1912. Stron 7.

Polska pieśń miłosna. Antologia. Wybrał i wstępem opatrzył Jan Lorentowicz. Z 12 reprodukcyami obrazów artystów polskich. Nakład Gebethnera i Wolffa. Drukarnia W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie, 1912. Str. XI + 479.

Z duchowych wnętrz. Studya krytyczno-literackie Władysława Koryckiego Druk L. Bogusławskiego. Warszawa, 1913. Str. 270.

Arcydzieła Polskich Pisarzy. Tom 82 I. **Do prześwietnej deputacyi** dla ułożenia projektu konstytucyi Rządu Polskiego sejmie wyznaczonej od **II. O sprawach moralnych człowieka** (Z dzieła p. n. Porządek fizyczno-moralny) przez Hugona Kołłątaja na uczczenie setnej rocznicy śmierci H. Kołłątaja opracował prof. Dr. Nichał Janik. Nakładem i drukiem Feliksa Westa. Brody, 1912. S. 75

Ku czci i pamięci X. Piotra Skargi Pawęskiego w 300-tną rocznicę Jego zgonu **Jednodniówka** wydana staraniem Komitetu obchodowego w Chicago pod redakcyą Karola Wachtla. Chicago, Ill. dnia 29 września 1912 roku. Str. 48.

Chrystus i grzesznicy przez X. Dr. Józefa Lubelskiego z 12 rycinami. Nakładem i drukiem Jelenia. Tarnów, 1913. Str. 107.

Żywot Błogosławionej Małgorzaty Maryi Alacoque. Napisał Augustyn Hamon, tłumaczył z francuskiego X. Dr. Zodyowski. Księgarnia M. Szczepkowskiego, druk. Wł. Łazewskiego. Warszawa 1913. Str. 488.

Życie chrześcijańskie. Napisał ks. Biskup Bougaud, z francuskiego tłumaczyła Franciszka Siemieńska. Nakładem M. Szczepkowskiego. Warszawa, 1913. Str. 310.

Biblioteka apologetyczna ludowa. Zeszyt I. Nr. 110. Nakładem i drukiem Związku ludowego. W. Gladbach 1912, str. 159.

Pastuszek alpejski czyli życiorys młodzieniaszka Franciszka Besucco, wychowanka oratoryum św. Franciszka Salezego w Turynie. Napisał W. ks. Jan Bosko. Przekład 25 wydania włoskiego. Nakładem SS. Salezianów w Oświęcimiu. W drukarni „Głosu Narodu" w Krakowie, 1911. Str. 215. Cena 60 hal.

Życiorys młodzieniaszka Michała Magone, wychowanka oratoryum św. Franciszka Salezego w Turynie. Napisał W. ks. Jan Bosko. Wydanie szóste pomnożone. Przekład z włoskiego. Nakładem XX. Salezyanów w Oświęcimiu. Drukiem „Głosu Narodu w Krakowie. 1911. Str. 118.+Cena 30 hal.

Miesiąc marzec przez ks. L. Chiavarino, tłumaczył z włoskiego ks. A. K. Salezianus. Nakładem XX. Salezyanów w Oświęcimiu. Drukiem „Katolika" w Bytomiu 1912. Str. 110. Cena 40 hal.

Obrazki z życia świątobliwej Małgorzaty Bosko, matki W. ks. Jana Bosko, założyciela Zgromadzenia Salezyanów. Napisał ks. J. Lempoyne. Nakładem XX. Salezyanów w Oświęcimiu. Druk W. Poturalskiego w Podgórzu. 1912, str. 200.

Syn Marnotrawny. Dramat w pięciu aktach przez Braci Reffo. Przełożył z włoskiego Ks. Dr. J. S. Nakładem XX. Salezyanów w Oświęcimiu. W drukarni „Głosu Narodu" w Krakowie. 1910, str. 129. Cena 40 hal.

Żywot św. Franciszka Salezego w czterech księgach. Dla młodzieży napisał ks. dr. Juliusz Barberis. Tłumaczył ks. A. Kotarski, Salezyanin. Nakładem XX. Salezyanów w Oświęcimiu. Druk „Katolika" w Bytomiu 1912, str. 467.

Starożytne dzieje biblijne w świetle dokumentów najdawniejszych Wschodu z uwzględnieniem krytyki literackiej Napisał ks. Wilhelm Michalski C. M. prof. Pisma św. w Instytucie teolog. XX. Misyonarzy. Nakładem XX. Misyonarzy. Czcionkami drukarni Związkowej. Kraków 1912. Str. 415.

Kościół a nauka. Napisał ks. F. Abrantowicz, Magister św. Teologii. Przedrukowano z wiadomości kościelnych Arhidyecezyi Mohilewskiej. Drukiem W. Kopcia. Wilno, 1912. Str. 32.

Chrystus. Napisał Kazimierz Kosiński. Nakładem autora. Drukiem W. L. Anczyca i Sp. Kraków 1912, str. 31.

Nauka cerkwi rosyjskiej o Sakramencie Pokuty. Przez ks. W. Służałka. M. T. Drukiem W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1912. Str. 78.

Ciało Pańskie a ciała Zmartwychwstanie. Referat teologiczny wygłoszony na XXIII-im międzynarodowym kongresie eucharystycznym dnia 12-go września 1912 roku w kościele św. Michała w Wiedniu, przez ks. Dra Antoniego Szlagowskiego, kanonika metropolitalnego warszawskiego, Profesora Seminaryum. Wydawnictwo księgarni „Kroniki Rodzinnej" Drukarnia Społeczna w Warszawie 1912. Str. 38. Cena 50 hal.

Maryańska Sodalicya konwiktowa w Chyrowie 1887—1912. Nakład Sodalicyi. Druk. J. Styfiego w Przemyślu. 1912, str. 20.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Opere storiche del P. Matteo Ricc. S. I. edite a cura del Comitata per le Onoranze Nazionali conprolegomeni note e tawole del P. Pietro Tacchi Venturi S. J. — Vol. I. Icommentari Sella Cina. Premiato stabilimento tipografico Avv. Filippo Giorgetti. 1911, str. LXVIII+650.

Die Kirche und die Gebildeten. Zeitgeschichtliche Erwägungen und pastraltheologische Anrezungen von P. Joh. Chrysostomus Schulte O. M. C. Lektor und Doktor der Theologie. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau 1912, str. XIII. +181.

Alban Stolz Predigten. Aus dem Nachlass herausgegeben von Dr. Julius Mayer. Zweite und dritte Auflage. Mit einem Bildnis von Alban Stolz. I. Band. Herdersche Verglagshandlung. Freiburg im Breisgau 1912, str. VIII+456.

Predigten und Ansprachen zunächst für die Jugend gebildeter Stände Magr. Dr. Paul Baron de Mathias (Anogas Albing). IV Band: Advents und Fastenpredigten, akademische Ansprachen und Gelegenheitsreden. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau, 1912, str. X+477.

Lexikon der Pädagogik. Im Verein mit Fächmännern und unter besonderer Mitwirkung von Hoffrat Professor Dr. Otto Willmann herausgegeben von Ernst M. Roloff, Lateinschulrektor a. D. I. Band: Abbitte bis Forstschulen Herdersche Verlagshandlung, Freiburg im Breisgau, 1913, str. XVII+1346.

Jahres-Bericht der St. Petrus Claver-Sodalität für die afrikanischen Missionen 1911. Im selbstverlage der St. Petrus Claversodalität. Salzburg 1912, str. 55.

Der heilige Bernard von Siena und die franziskanische Wanderpredigt in Italien von Dr. Karl Hefele. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau 1912, str. IX+300.

Kurze Geschichte der Weltliteratur von Dr. Karl Holtermann. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg Breisgau 1912, str. XVI+479.

Das Buch von der Nachfolge Christi von Thomas von Kempen übersetzt von Bischof Johann Michael Sailer, neu herausgegeben von Dr. Franz Keller. Mit 56 Bildern von Joseph Führich. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau 1912, XXIII+505.

Die Wanderarbeiter in der Landwirtschaft der Provinz Sachsen und ihre Beschäftigung im Jahre 1910. Auf Grund von schriftlichen und persönlichen Erhebungen bearbeitet, unter Förderung von Seiten des Landwirtschaftlichen Instituts der königlichen vereinigten Friedrich Universität Halle-Wittenberg. Von Dr. Stefan Schmidt aus Krzywaczka, Galizien. Berlin. Verlagsbuchhandlung Paul Paren. 1912, str. XII+334 +VI Tafeln.

Poglądy starego szlachcica na sprawy oraz nadzieje na XX. stulecie. Z rękopisu swego ojca przerobił, dopełnił i wydał syn, W. Jastrzębiec. Tom I. W druk. „Czasu". Kraków, 1912, str. 225.

Jadwiga. Święta królowa na polskim tronie. Opowieść dziejowa w 3 częściach przez ks. biskupa Władysława Bandurskiego. Nakład „Księgarni Powszechnej". Włocławek, 1913. Str. 400.

Jan Zamoyski, Jezuici i Skarga, kilka uzupełnień i przyczynków podał Stanisław Łempicki Drukarnia polska. Odbitka z Pamiętnika literackiego. Lwów 1912, str. 26.

Emigracya ludu i program ochronny.

Sprawa, od lat 20-tu już uświadomiona naszemu społeczeństwu przez całą literaturę mów, broszur i dziennikarskich dyssertacyi, znajduje się obecnie w fazie, w której, z powodzi pomysłów, prób i doświadczeń nad żywem ciałem polskich rzesz bezrolnych i bezdomnych — wyjść musi wreszcie czyn konkretny, zbawczy, stanowcza decyzya uzdrowienia choroby, jeśli nie śmiercią, to kalectwem całemu narodowemu organizmowi grożącej.

Słynny proces wadowicki w latach 80-tych — odsłonił rąbek tajemnicy, ukrytej przed okiem prawodawców, opiekunów, a nawet trybunów ludu... Tą tajemnicą były męczarnie nędzarzy w szponach spekulacyi życiem i pracą ludzką, w szponach handlu ludzkim towarem, który tępiony przez wyprawy kolonialne cywilizowanych narodów w dalekich lasach Afryki i jej wielkich emporyach niewolnictwa — rozwijać się zaczął tymczasem pod okiem ustaw, administracyj państwowych i organizacyi religijnych i społecznych w samem centrum cywilizowanej Europy, co prawda na terenie bytowania narodu, z którym, gdy się pozbyto od lat 150 wszelkich państwowych skrupułów, nauczono się pozwalać sobie na wszelkie, wszystkim prawom boskim i ludzkim przeczące doświadczania i procedery... aż do wywłaszczenia z ziemi, ogłoszonego jako wykonalne prawo przez parlament cywilizowanego państwa uchwalone, przez administracyę jego dziś właśnie wprowadzone w życie... Kto się nie dziwi widowisku odbywającem się w Prusiech w interesie jednej

kliki podszywającej się pod dobro państwa — nie będzie się dziwił rewelacyom, powtarzającym się przez tych lat dwadzieścia na terenie sąsiednich państw, poddanych nietylko politycznym, ale przedewszystkiem finansowym wpływom podobnych klik pod tegoż samego państwa opieką zdobywających obce kraje lub choćby tylko wysysające soki żywotne ze społeczeństw bezbronnych wobec przewrotnych metod uprawiających handel ludźmi pod niewinną pokrywką traktatami rzekomo chronionych koncesyj. Jeżeli stwierdzimy, iż już wądowicki proces odkrył robotę koncesyonowanych lub nawet niekoncesyonowanych, bez wyjątku prawie pruskich agencyi i przewozowych przedsiębiorstw, potrzebujących materyału do eksploatacyi i wyzysku — i że rewelacye te nie pomogły ani ustawodawstwu do spostrzeżenia swych obowiązków — ani ludności do otworzenia oczu na przepaści, na każdym otwierające się kroku — i że — po tylu strumieniach elokwencyi opiekunów kuryalnych czy czteroprzymiotnikowych — znów się rozległ okrzyk boleści i grozy w nowych a równie strasznych rewelacyach — to naprawdę, załamać ręce nad tem wszystkiem, co w ciągu lat 20 uczynili czy tylko zamierzyli uczynić nieliczni ludzie dobrej woli i dobrej wiary — i zacząć od początku propagandę jedynego a chyba nie zrozumianego przez ogół programu — skoro dotychczas tylko ciągłemu podlegał koszlawieniu...

Bo że program ten istnieje już dawno i że przetrwał perypetye wszystkich rozpraw i ankiet — świadczy najświeższy ruch w łonie Duchowieństwa polskiego, które w punkcie najgroźniejszego terenu najbliższym, bo w Poznaniu stworzyć chce organizacyę opieki nad sezonowem wychodźtwem ludu polskiego do Niemiec — a temsamem podejmuje otwarcie i oficyalnie zadanie, jakie spełniało dotychczas prywatnie. Ten ważny fakt, jakby formułujący i kodyfikujący tę przez każdego Kapłana odczuwaną ideę, iż dziecko przez niego ochrzczone, więzami tego Sakramentu z nim jest złączone, więc o niem pamiętać winien czy w rodzinnej się chowa parafii, czy za oceanem pracuje i walczy o byt swój i swoich — a także o byt nieszczęśliwego Narodu, którego urodziło się członkiem.

Zasada ta wypowiedzianą została już wtenczas, kiedy, jako referat o emigracyi dla Koła polskiego we Wiedniu jeszcze w r. 1892, wyszła praca podpisanego p. t. *Emigracya ludu i nasze wobec niej zadanie* (*Gazeta Narodowa*, grudzień 1891, styczeń 1892), w której po wykazaniu, że to objaw elementarny głodu ziemi i pracy na rozdrobnionych gruntach zachodnich okolic wszystkich trzech zaborów dawnej ojczyzny naszej — odezwał się apel o ochronę tej pracy i jej owoców o użycie jej i przez nią zdobytych bogactw na rozszerzenie tych rozdrobnionych posiadań na grunta pobliskie — na powiaty trochę tylko ku wschodowi lężące a mające ziemi dużo najlepszej i to polskiej i dla polskiego ludu przeznaczonej od starszej braci...

Apel o spełnienie „naszego wobec niej zadania" — do części uświadomionej społeczeństwa, by raz poznawszy niebezpieczeństwo grożące rzeszom wędrującym za morza, podjęło pracę podwójną, bo pracę ostrzegania, misyę wstrzymywania od gry hazardownej o życie ludzkie, misyę zaprowadzenia zdrowych rąk w te strony tego samego kraju, gdzie tak są pożądane — wzmocniły słabnące naszego narodu siły i wspomogły go w politycznych opałach, które mu formalnie grunt z pod nóg usunąć i „za San" wyprzeć się siłą — a gdzie mogłyby znaleść tę samą Ojczyznę, jaką znalazły setki tysięcy ich poprzedników, po tatarskich zniszczeniach tamże osiadłych i do dziś o starej pomiętających misyi. Ale poza tem — gdzie już nie można zapobiedz wychodźtwu poza granice kraju — tam jej nie traktować jak wroga i dezertera[1] — ale... cytuję już dalej dosłowny tekst drukowanego referatu...

...„Zamiast tedy utrudniać tej ludności swobodę ruchów i bronić przejścia granic, jak to we wschodnich powiatach wydało się potrzebnem, zadaniem rządu i społeczeństwa powinna być racyonalna opieka nad tym ruchem, organizacya tegoż i nadanie mu takiego kierunku, jaki przy najmniejszych wysiłkach i stratach do pożądanego doprowadzi rezultatu. Bo

[1] Boć pierwsze rozmowy z urzędowymi politykami, zwłaszcza od „biura urzędowego" kończyły się tem zawsze, iż emigracyi „popisowych" zabrania ustawa wojskowa — a temsamem piętnuje i karze jako dezercyę...

że wychodźcy nasi narażeni są ciągle na wysiłki i straty niemałe, to łatwo z góry przewidzieć, choćby i niezliczone przykłady faktów dostatecznie nas o tem nie pouczały. Ciemny, skomplikowanych stosunków nowego świata nieznający wieśniak, oprócz swojego rodzinnego języka, pozbawiony środków porozumienia z różnojęzycznemi wrogiemi żywiołami, jakie spotyka na wybrzeżach nowego świata, czyż to nie najnieszczęśliwsza, najbezbronniejsza istota, która chyba o szczęściu może mówić, jeśli po wyczerpaniu się własnych skromnych środków, niezbyt długo przymiera głodem zanim dostanie środek utrzymania życia?

Czy nie dziwić się należy w istocie, iż pomimo prawdziwych hekatumb z ludzi, których niedawne opisy z ust podróżników brazylijskich zgrozą nas przejmowały — niespożyta odporność naszego Mazura wobec nędzy, częściowe choćby odniosła zwycięstwo, tak, iż wśród narodowości obu półwyspów nasza już dzisiaj cyfrę 1½ miliona zdaje się już przenosić? Nie mamy tej smutnej statystyki głodowej w portach Stanów Zjednoczonych, czy śmierci z przeciążenia pracą i złego traktowania w podrównikowych prowincyach Brazylii — ale przeraziłaby nas ona z pewnością, a straszną obudziłby w nas musiała świadomość tego niezaprzeczonego faktu, iż dla ratunku dzielnych przedsiębiorczych elementów naszego społeczeństwa nie zdziałaliśmy dotąd nic, nic zgoła, że ten biedny wyrobnik, którego nędza wypędza z pod rodzinnej strzechy, skazany jest na tej odległej wędrówce i w tem całem rozpaczliwem przedsięwzięciu na własną pomoc, własną siłę i przemysł, wobec całego arsenału cywilizacyjnej broni, z jaką stają wszyscy jego przeciwnicy w walce o byt na nowem polu![1]

[1] Urzęda statystyczne poczyniły już podobno starania, żeby cyfry ruchu pieniężnego w urzędach pocztowych w odpowiedni sposób zużytkowano. Dotychczas jednak pewnych danych mamy za mało, żeby mieć dokładne wyobrażenie o rocznym dorobku naszych wychodźców. Za *Przeglądem emigracyjnym* niech nam tu będzie wolno powtórzyć, iż w Królestwie wyliczono około pół miliona rubli, w Galicyi około 8 milionów (!) koron rocznego przypływu przeważnie drobnemi kwotami adresowanemi przeważnie ze Stanów Zjednoczonych do rodzin polskich wychodźców. Sprawdzenie tych cyfr jest

Jak ciężko odczuwają ci biedni ludzie brak opieki, najlepszym dowodem wdzięczność, z jaką otaczają tych kilku bezinteresownych dobroczyńców, przeważnie polskich księży, którzy w przypadkowem spotkaniu niosą mu pomoc i dają rady w tych pierwszych krokach. Wzruszające opisy tej działalności dobrych ludzi, jakie na szczęście coraz częściej spotykamy we wiadomościach z tamtąd, dają nam dokładny obraz tych stosunków, jakoteż gotowy program działania, do jakiego oświecona część naszego społeczeństwa czem prędzej powinna się zabrać, jeśli pamięta o tem, że naród walczący z groźbą zagłady podwójnie szczędzić musi swoich sił żywotnych i że każda zmarnowana kropla krwi czy jednostka to niepowetowana wobec przyszłości wina!

A program ten prosty: Jeśliśmy zanadto biedni na to, żeby jak inne szczęśliwsze narody, materyalną pomocą otaczać swoją emigracyę i stać się narodem czy państwem kolonizującem — to moralną opieką, organizacyą informacyi i zużytkowaniem znajomości stosunków zagranicznych powinniśmy zastąpić ten brak zasobów, a kierownictwem właściwem chronić te elementa od nędzy w drodze, od wyzysku na miejscu, pamiętając równocześnie także o zachowaniu ich dla naszej kultury i społeczeństwa.

Nie utopię tu mam na myśli i nie mam pretensyi do wynalazku. Już w aktach z 1847 r. czytam o 16 czy więcej towarzystwach niemieckich, które już wtedy, zrozumiawszy potrzebę organizacyi tamtejszego wychodźtwa, wzięły się do pracy. Jakie rezultaty wieńczą tę pracę, dowodem potęga, do jakiej żywioł niemiecki dochodzi w Stanach Zjednoczonych, dowodem zapędy otworzenia własnego terytoryum kolonizacyjnego cesarstwa! Tego i my teraz potrzebujemy koniecznie. Ich doświadczenia, ich sposób działania dają nam najdokładniejsze pouczenie, jak zaczynać ważną tę pracę. Hasło jej nawet wydane. Jak z jednej

---

rzeczywiście ważne, gdyż da nam dokładną ilustracyę stosunków majątkowych naszej emigracyi! (Wszystko cyfry z r. 1891. *Przyp. autora*).

bowiem strony widzimy owych ludzi dobrej woli za Oceanem, którzy tam działają osobistemi rozstrzelonemi siłami, tak i tutaj grono świadomych celu pracowników rozpoczęło akcyę, mającą na celu zwrócenie naszej uwagi na te zadania, a zmierzającą do nawiązania i utrzymania łączności pomiędzy nami a owemi rozprószonemi cząstkami naszego narodu, bacznem okiem spoglądając zwłaszcza na tych, o których my tutaj nie wiemy, a którzy także nieraz bliscy już tego, żeby o swej starej zapomnieć ojczyźnie !

Należy zawiązać „Towarzystwo opieki nad wychodźtwem polskiem" na wzór owych niemieckich z przed 1847 r., lub obecnie silnie tamże rozgałęzionego, jakoteż już i w Austryi działającego[1] „Towarzystwa św. Rafała" — z organami informacyjnemi w kraju, z mężami zaufania za granicami i za Ocean, którzy mając w ewidencyi każdego, który opuszcza kraj rodzinny, z góry wyznaczą mu marszrutę, zapewnią bezpieczną podróż i umieszczą za przybyciem w warunkach jemu odpowiednich, nie spuszczając i potem z oka jego materyalnych i moralnych potrzeb.

Instytucya taka oprócz powyższych celów inne, jeszcze równie ważne oddawałaby usługi naszemu społeczeństwu.

Niezaprzeczonym jest to faktem, iż w liczbie wychodźców za Ocean obok jednostek silnych, zdolnych pod każdym względem do zniesienia trudów przedsięwzięcia, znajduje się znaczny procent takich, które zarówno fizycznemi siłami, jak i ma-

[1] Z ust ks. prałata Chotkowskiego, którego prawdziwie patryotyczne zasługi na polu opieki nad unitami chełmskimi tak powszechnie są znane i cenione, dowiaduję się, iż wymienione niemieckie „Towarzystwo św. Rafała", a mianowicie wiedeński tegoż oddział, pod prezydyum ks. Jana Schwarzenberga, tym ofiarom religijnego ucisku nie odmawia swojej pomocy. Za pośrednictwem ks. prałata udziela ono tym ludziom, skoro chcą emigrować za morze, swoich kart legitymacyjnych, któremi wykazawszy się w ciągu podróży przez Niemcy specyalnym funkcyonaryuszom Towarzystwa (noszącym odznakę „kotwicy") uzyskują od takowych opiekę, informacye, wreszcie pośrednictwo w zakupnie biletów okrętowych i podobneż rekomendacye do takichże funkcyonaryuszów w portach amerykańskich. Czyż nie widzimy tu jasno wytkniętej drogi, którą pójść musi nasza własna organizacya?

teryalnemi środkami niedostatecznie są uposażone — tak, iż w obecnem położeniu wychodzą z domu na pewną prawie zagładę, zwłaszcza gdy mocą zapowiedzianych w senacie Stanów Zjedn. utrudnień wstęp do tego kraju stanie się im zapewne niemożebnym, a konieczność kierować ich będzie ku Ameryce południowej, gdzie znajdą warunki znacznie trudniejsze. Tych opiekuńcza instytucya powinna bezwarunkowo odwodzić od zamiarów tak niebezpiecznych, jak podróż do Ameryki — a kierować tam, gdzie choć może stosunkowo skromniejszy znajdują zarobek, w każdym razie jednak przyjaznego doznają przyjęcia. A miejsca tego niedaleko szukać. Cała wschodnia Galicya, nie wyłączając nawet okolic, z których teraz wywędrowało około 2000 ludzi do Rosyi[1] — jest krajem, który przyjąć może znaczną część emigracyi chłopskiej z zachodu. Nietylko tu bowiem na miejsce owych wychodźców potrzeba zastępstwa. Pomimo stosunkowo gęstego zaludnienia (które w każdym razie nie dorównuje gęstości zachodnich powiatów) spostrzegać się daje tu wszędzie ten fakt charakterystyczny, iż ludność ruska, jak wiadomo mało ruchliwa i skora do pracy, zwłaszcza przy lichem pożywieniu, do jakiego przywykła, zaledwie swe własne zagospodarować może grunta, folwarki zaś większej własności przez znaczną część roku cierpią dotkliwy niedobór rąk do pracy, tak że tylko w wyjątkowych razach bez obcych, z daleka sprowadzanych ludzi obejść się potrafią. Ci obcy ludzie w części tylko, t. j. w żniwa rekrutują się z gór wschodnich, zresztą jako służba folwarczna pochodzą już teraz z zachodniej Galicyi, skąd ich pracodawcy ze znacznym sprowadzają kosztem, narażając się przytem na liczne zawody, gdyż przy braku organizacyi i odpowiedniej informacyi wpadają najczęściej w ręce niesumiennych ajentów, którzy dbają tylko o ilość, a nie o jakość posyłanych ludzi, stręczą częstokroć takich, którzy z innych powodów jak przeludnienie u siebie zarobku nie znajdują.

Czyby zorganizowanie takiego przesiedlenia sił ro-

[1] Wszystko w r. 1891 (*przyp. autora*).

boczych z okolic cierpiących na bezrobocie do miejsc stosunkowo nie tak odległych, gdyż w tym samym położonych kraju, a skazanych na brak robotnika, nie było zadaniem godnem instytucyi, której zawiązanie tu proponuję? O ile znam stosunki mogę śmiało twierdzić, iż akcya ta zbawienną byłaby dla ludu skłonnego do emigracyi, tak prawdziwie pożądane dla rolnictwa krajowego wydałaby owoce, umożliwiając na wielkich obszarach wschodniej Galicyi podniesienie intenzywności gospodarstwa i rozszerzenie uprawy buraków cukrowych, która zwłaszcza przy podnoszącym się i pełnym nadziei przemyśle cukrowniczym w krótkim czasie zmieniłaby stosunki ekonomiczne tej części kraju w najkorzystniejszy sposób.

Prócz tego jednak i bezpośrednie podniesienie wartości ziemi i stanu majątkowego jej właścicieli we wschodnich powiatach mogłaby racyonalnie popierana działalność takiej instytucyi doprowadzić do skutku.

Zwróciliśmy już uwagę na fakt wpływania znacznych oszczędności emigrantów, które swą dążnością lokowania w ziemi podniosły już teraz cenę gruntów w zachodnich powiatach do niebywałej przedtem wysokości.

Jeżeli jakość tej ziemi porównamy z tą, jaką posiadają grunta sławnych w tej mierze powiatów: Podola i Pokucia, a uwzględnimy efektywną ich cenę, która częstokroć ledwie trzecią część tamtej wynosi, przychodzimy znów do projektów nieprzepartą narzucających się logiką, a które również od dawna wysnute, dziwnem nieszczęściem dotychczas wyjątkowo dały się urzeczywistnić.

Ułatwienie zakupna tych gruntów, program wewnętrznej kolonizacyi — oto zadanie, które w interesie ludności zachodnich powiatów, w interesie zadłużonej, zwłaszcza większej własności ziemskiej wschodniej części kraju jak najrychlej z całym zasobem świadomości i energii powinno być podjętem.

Na czele całej akcyi wymieniłem „Towarzystwo opieki nad emigracyą“ więc i tej jej części inicyatywę i pierwszy impuls oddać chciałbym takiej instytucyi, która jako organ informacyjny

rozwinęłaby w kołach, w których ma wpływy odpowiednią agitacyę i pouczeniem wskazywałaby nowym daleko zdobytym kapitałom drogi najlepszego ulokowania, jednakże z góry zrozumie każdy, iż w obecnych stosunkach główny punkt ciężkości tej sprawy na innych polegać będzie czynnikach.

Parcelacyi większych majątków próbowano już kilkakrotnie. Dzięki kilku ludziom uczciwej inicyatywy znajdujemy już kilka miejscowości we wschodniej Galicyi, gdzie taka operacya z niezłym nawet udała się rezultatem. Jeśli spytamy jednak tych inicyatorów o szczegóły, dowiemy się zaraz, iż trudności, z któremi mieli do walczenia — trudności prawne i finansowe — były tak wielkie, iż szersza działalność w tym kierunku okazała się niemożliwą.

Nie mamy potrzebom odpowiadającej ustawy hipotecznej względnie specyalnej ustawy parcelacyjnej. Kto zdecydował się już na to, żeby cały kompleks tabularny rozparcelować, temu udaje się jako tako, aczkolwiek szeregi formalności prawnych, rzecz mu w wysokim stopniu utrudniają i zbytecznemi obciążają kosztami. Właściciel jednak, któryby już to w niemożności administrowania zbyt wielkiego kompleksu, już to w konieczności ulżenia sobie ciężarów hipotecznych, już to z potrzeby powiększenia siły roboczej, chciał oddzielić część swego obszaru i takową na kolonię obrócić, znajduje w obowiązujących ustawach nieprzezwyciężone po prostu przeszkody. Wiec rolników w Stanisławowie wyliczył je przez usta hr. St. Dzieduszyckiego zbyt wymownie — potrzeba je usunąć koniecznie, potrzeba zreformować istniejącą ustawę hipoteczną w tym duchu, by ta ułatwiając częściową parcelacyę była do niej prawdziwą zachętą — gdyż to będzie środkiem potężnego dźwignięcia upadającej naszej własności, środkiem podniesienia wartości ziemi w ogromnej części naszego kraju i radykalnych, dla kraju prawdziwie pożądanych zmian w stosunkach rolnych.

[1] W dzisiejszej chwili, wobec groźnego przesilenia — akcya taka przedstawia się jako jedyna deska ratunku polskiego stanu posiadania w Galicyi wschodniej — oraz polskości kraju — o czem niżej (*przyp. autora*).

A to jest rzeczą naszych ciał ustawodawczych. Czy one zdobędą się w porę na ten czyn stanowczy ?

Ważność sprawy i jej kompletna dojrzałość każą tuszyć, iż urzeczywistnienie tej myśli niedługo powinno dać czekać na siebie. Tymczasem jednak pesymista tylko ten fakt miałby do zanotowania, że gdy w niedawnej sesyi sejmowej podniesiono wniosek upoważnienia Banku krajowego do udzielenia pożyczek na cele parcelacyjne — przeważyła obawa, że ułatwienie tej akcyi doprowadzić może do rozpłynięcia się obszarów dworskich, tej twierdzy naszego narodu... że z obawy rozdrobnienia ziemi polskiej w rękach polskich, konserwatyzm wolał patrzyć na przechodzenie jej w całości w ręce obce...[1]

Miejmy jednak nadzieję, iż chwilowe skrupuły i z najszczerszego zresztą źródła płynące obawy ustąpią realnej świadomości potrzeby kraju, a przykład poznańskiego Banku ziemskiego, oddającego pomimo skromnych środków także rzeczywiste sprawie narodowej usługi, i u nas pożądaną zdoła rozwinąć inicyatywę.

Pozostaje mi naszkicować metody przeprowadzenia opieki nad emigracyą polską w praktyce, oraz sformułować postulaty nasze w tej sprawie wobec państwa.

W pierwszym rzędzie chodzi tu o zawiązanie towarzystwa. Z jakich elementów ma się takowe składać, w jakich sferach poszukiwać mamy jego członków, komu powierzyć główną inicyatywę jego zawiązania, oraz kierownictwo ?

Jakkolwiek samo przez się jest zrozumiałem, że współudział jak najszerszych kół społeczeństwa naszego i materyalna pomoc z ich strony muszą być pożądane w rozwoju i działalności takiego towarzystwa — to jednak punkt ciężkości jego polegać musi głównie w samych interesowanych, jakoteż tych osób, które w najbliższej z nimi pozostają styczności. Możnaby temu zarzucić, że dopuszczenie i wciąganie ludności wiejskiej okolic,

[1] Od tego czasu przeszło jej blisko milion morgów na tę drogę! (*Przyp. autora* w r. 1912).

dających kontyngent emigracyjny, mogłoby przez tę ludność być źle zrozumianem i tłumaczonem, bo jako zachęta do wychodźtwa, — tak jednak nie jest. Danie sposobności rozwinięcia się publicznej dyskusyi nad kwestyą, która dla swej aktualności jest już faktycznie na porządku codziennej rozmowy, to tylko środek skierowania tej dyskusyi na tory właściwe i pożyteczne. Niech właśnie publiczne zebrania ludzi, którzy już to zamierzają wędrować za ocean, albo też ztamtąd już wrócili — dają im możność do wypowiadania swych potrzeb i wzajemnego udzielania praktycznych wskazówek. To będzie tylko korzystnem dla kandydatów emigracyi. Przecież nie tam owi szkodliwi agitatorowie i agenci będą szukać pola do działania, lecz raczej ludzie dobrze myślący znajdą przystęp, by spełnić obywatelski obowiązek pouczenia i poinformowania zdatnych, — a odstraszenia tych, których tylko niesumienny wyzysk mógłby pchać na drogę oczywistej zagłady poza oceanem, podczas gdy w niedalekich okolicach tego samego kraju znaleźć mogą pewniejsze środki utrzymania.

Podobnie, jak wiece Kółek rolniczych coraz większe wzbudzają zajęcie wśród ludności wiejskiej zachodnich powiatów tem właśnie, iż dają namacalne dowody bezpośredniej swej użyteczności, — tak samo, oczywiście w miarę rozwoju ruchu ludności, spopularyzować się muszą i takie zebrania Towarzystwa opieki nad emigracyą.

Fakt w oczy bijący, iż we wielu wsiach polskich pozamykane i na kilka lat lub kwartałów tylko opuszczone domostwa stanowią już znaczny procent, a podróż do Ameryki jest tam uważaną za wypadek prawie tak powszedni jak np. coroczna wyprawa bretońskich rybaków do Islandyi — to wszystko zapowiada najwymowniej, że zainteresowanie ludu opieką nad emigrującym czy tylko wędrującym za morze krewnym lub sąsiadem ma wszelką racyę a najlepszy odnieść może moralny efekt, ucząc go solidarności i zdolności organizacyi, której zarówno za morzem jak i w domu potrzebuje.

Że z t. zw. inteligencyi ksiądz polski będzie pierwszym,

który się znajdzie na takich zebraniach i tam nie zaniedba swej roli naturalnego i najbliższego doradcy — trudno nie dojrzeć i nie wymagać nawet. To też od niego powinnoby się rozpocząć organizacyjną akcyę i na duchowieństwie oprzeć pierwszy zawiązek Towarzystwa, zwłaszcza, że właśnie w tej warstwie znajdujemy element mogący odpowiedzieć wszystkim bez mała punktom podjętego programu. Właściwa katolickiemu duchowieństwu organizacya czyniąca je jednolitą a od państwowych granic niezależną korporacyą, ścisły związek z ludem i zdolność wywierania nań jak najdalej w codzienne jego stosunki sięgającego wpływu, wreszcie stopień wykształcenia, stawiający je w możności pośredniczenia pomiędzy różnorodnemi warstwami społeczeństwa i ułatwiania pomiędzy niemi porozumienia, jakie np. w przeprowadzeniu naszej kolonizacyi wewnętrznej będzie niezbędnym warunkiem powodzenia, — to wszystko przymioty, które ten element na pierwszy plan wysuwają. Gdy zresztą przyjrzymy się działalności przytoczonego powyżej niemieckiego Towarzystwa św. Rafała, spostrzegamy, że uwagi te już nawet są zużytkowane w praktyce.

Najważniejszy czynnik, t. zw. *Vertrauensmänner* Towarzystwa św. Rafała, zarówno w portach europejskich jak i amerykańskich stanowią księża katoliccy (np. w Bremie przez długie lata funkcyonujący ks. Schlösser i jego pomocnik i następca ks. Praher, w Antwerpii ks. Lorleberg, Czajkowski, Pezo i Müller, w Liwerpoolu ks. D'Heurter, w Nowym Jorku ks. Reuland i ks. Geyer zawiadowcy „domu Leonowego" w Baltimore ks. Chowaniec i t. d. a najklasyczniejsze świadectwo ich wartości w tej akcyi daje zasłużony sekretarz generalny tego Towarzystwa p. Cahensly, który przyznaje otwarcie, że jego działalność na kontynencie amerykańskim dopiero wtenczas okazała się skuteczną, gdy w niej udział wzięło duchowieństwo.

Czy wobec tego mamy odzywać się specyalnie do naszego kleru i ze swojej niekompetentnej strony wskazywać mu piękne zadanie, jakie go czeka, gdyby zechciał wziąć udział zarówno

w inicyatywie, jakoteż przeprowadzeniu tego prawdziwie patryotycznego polityce narodowej, pierwszorzędne usługi mogącego oddać przedsięwzięcia? Patryotyczny duch księdza polskiego pozwala nam rościć najlepsze w tej mierze nadzieje — ale też i sposobność pierwszego konkretnego kroku tak blisko. Oto zapowiedziany wiec katolicki [1] już z ogólno katolickich względów, z potrzeby roztoczenia duchownej opieki nad setkami tysięcy katolików pozbawionych takowej, dla braku dostatecznej ilości rodaków-księży na wielkich przestrzeniach nowego kontynentu — powinien tę sprawę na swym porządku dziennym umieścić i postarać się o rzucenie organizacyjnej myśli i jak najenergiczniejsze rozwinięcie w tym kierunku agitacyi, która wśród ludzi dobrej woli z pewnością należne uzyska poparcie.

Tymczasem jednak jeszcze jedną praktyczną podnieść chciałbym kwestyę. Czy zamierzona organizacya ma być od pierwszej chwili niezależną, na narodowej i krajowej naszej opartą odrębności, czyli też oprzeć się winna na istniejących już instytucyach pozakrajowych, których działalność już pożądane wydała owoce? Gdybyśmy tylko wielkość zadania mieli na oku — to patrząc na cyfrę jakich 60.000 [2] osób rocznej emigracyi polskiej z całego terrytoryum dawnej Rzeczypospolitej, musielibyśmy chyba na pierwszą zdecydować się alternatywę.

Uwzględnienie jednak całego szeregu okoliczności pomiędzy nimi, w pierwszym zaś rzędzie uznania godnego faktu, iż związek towarzystw św. Rafała (oddział niemiecki, belgijski i austryacki), jako instytucya humanitarno-katolicka zajmował się już w miarę możności i polskimi oraz ruskimi wychodźcami i dowiódł, że akcya jego pozbawioną jest narodowej ekskluzywności, a zarazem pewność, iż przyłączenie się do tak dobrze funkcyonującej organizacyi i nam ułatwi trudny jak zawsze początek — powinno nas skłonić do przyjęcia na razie drugiej alternatywy tj. przystąpienia do „austryackiego oddziału To-

[1] Odbył się w r. 1894 i uchwalił odnośne rezolucye.
[2] Obecnie blisko 600,000! (*Przyp. autora*).

warzystwa św. Rafała dla ochrony katolickich wychodźców, choćby w drodze utworzenia w takowym odrębnej polskiej sekcyi.

Że rozszerzenie takie młodej jeszcze instytucyi będzie tylko z korzyścią dla wspólnej akcyi i jej skutecznem wzmocnieniem, uznał to już sam zarząd, skoro w przeszłym roku jeszcze podniósł przez wysłanie pełnomocnika swego w osobie ks. Schlössera inicyatywę zawiązania u nas dyecezyalnych komitetów, oraz własnym kosztem wydrukował tłómaczenie polskie statutów oraz kart informacyjnych. Jakim trudnościom należy przypisać fakt, iż ta inicyatywa dotychczas nie odniosła pożądanych skutków, nie mogę sobie na razie wytłómaczyć — niech mi wolno będzie wyrazić tu choćby gorące życzenie, żeby ta najbliższa sposobność nie minęła bezowocnie, gdyż od zużytkowania jej zależeć będzie i zrealizowanie nadziei, że wniosek państwowej subwencyi dla sprawy opieki nad wychodźtwem zapowiedziany już w Izbie poselskiej i dla naszego kraju bezpośrednie przyniesie korzyści".

Zanim rozpoczęto odnośne kroki na terenie krajowym — podjęło Koło polskie inicyatywę na polu ustawodawstwa i organizacyi państwowej, dając wyraz intencyi swojej w upoważnieniu mię do wygłoszenia mowy przy debacie budżetowej, którą cytuję tutaj ze względu na aktualność programu, który w niej naszkicowałem.

Henryk Wielowieyski.

W przeznaczeń godzinie.

Tum prawiekowy wrasta w ziemię.
W pomrokach niskich sklepień drzemie
Na trumnie złotej męczennika,
W cień zatajony, błysk płomyka —
W pomrokach ciężkich błysk zamiera
Nad świętą kością bohatera.
W skrzydłach aniołów na strażnicy
Przemknie wspomnienie błyskawicy.
Czuwa oliwny ogień święty
W purpurę ciemnych lamp ujęty.

I codzień mroczne patrzy wnętrze
Na tajemnice przenajświętsze —
Codzień ofiarnik u ołtarza
Przed niepojętem się przeraża,
Gdy w strasznej chwili podniesienia
Chleb się na miłość niebios zmienia,
I przy asyście rzesz anielich
Krwią odkupienia wzbiera kielich.
W pustce milczącej i cichości
Płomienie drżą na tchu wieczności.

Codzień w nieszporne litanije
Z zaświatów kędyś łuna bije,

Jakby na lichy świat człowieczy
Wstawało morze wielkich rzeczy —
I nad czarnością tępą miasta
W wielkie wołanie się rozrasta —
I na zapadłe tumu progi
Biją pożarnych łun pożogi —
Przez zapadniętych okien kraty
Miedziane patrzą się poświaty.

I szarość dni powraca codzień —
I szary snuje się przechodzień
Pomiędzy szare miasta ściany
Troską codzienną zatroskany.
Codzień w bezsile tępej liczy
Dzień jeden więcej niewolniczy —
A codzień głębiej w ziemię wrasta
Wśród nieszczęsnego tego miasta
Tum, gdzie w mistycznej skryta nocy,
Trwa niespożytość Świętych Mocy.

Tum się zapada w ziem — a jeźli
Nadejść ma dzień, by męże wskrześli,
By świat się zbudził on umarły,
Nad którym groby się zawarły —
By piersi trupów wstrząsło życie —
Ogniste krajem trza słać wicie
Z czuwającego w tumie znicza!
A jeźli ziemia niewolnicza
Wstać ma — krwią synów świeżą tknięta,
Ta krew ofiarna ma być święta! —
Ma być czerpana w złotej czarze,
Którą podnoszą nad ołtarze.

Lecz w tum nie zejdzie nikt. — Na niebie
Zórz pożar patrzy się przed siebie.
W błyskaniach archanielskich mieczy

Wzbiera gdzieś morze wielkich rzeczy.
Czyż w tum nie zejdzie nikt? — Potrzeba
Skry, aby zstąpił ogień z nieba —
Potrzeba kropli Bożej Siły,
Aby się morza przechyliły!
Przeznaczeń słychać zew głęboki —
W grobu zstępuje tum pomroki.
Nikt? zali Bóg nam w tej godzinie
Zawiera mocy swej świątynie?

Krystyna Saryusz Zaleska.

Kwestya szkolna na ostatnim zjeździe katolików niemieckich.

Praca nad rozwijaniem władz poznawczych, kształceniem umysłu i wzbogacaniem go w coraz to nowe zasoby wiedzy, stawia szkołę w rzędzie najważniejszych instytucyi, którą — jak historya świadczy — wszystkie kulturalne narody szczególniejszą otaczały opieką. Ale kiedy do tego zadania dodamy nieodłączny i w czasach obecnych coraz silniej zaznaczający się charakter wychowawczy, dzięki któremu szkoła działać i przyczyniać się ma do wyrobienia woli i serca, do ukształtowania charakteru, do wytworzenia „człowieka", to wtedy wznosi się ona do szczytu znaczenia i potęgi a zarazem wiąże się ściślej z nami, stając się źrenicą oka całego społeczeństwa.

I nic dziwnego. Wszak nie może być obojętnem rodzicom — jakie będą mieli dzieci, państwu — jakich członków, rządowi — jakich poddanych, ojczyźnie — jakich synów. Skoro więc szkoła na osiągnięcie tego wywierać ma i wywiera wpływ przemożny, zwrócić się na nią muszą oczy wszystkich i nie żałować niczego, byle dla tej instytucyi stworzyć jak najpomyślniejsze warunki rozwoju.

To też katolicy niemieccy stanęli na wysokości zadania, kiedy w tegorocznym powszechnym zjeździe[1], w uświęconem

[1] Co roku odbywa się w jednem z miast cesarstwa ogólny kongres katolików niemieckich, na którym radzą nad aktualnemi sprawami i potrzebami. Obszerne sprawozdanie podaje po każdem z nich szczegółowo program i przebieg obrad.

wspomnieniami dziejowemi mieście Akwizgranie, jedno z pierwszych miejsc wyznaczyli kwestyi szkolnej, zarówno na zebraniu ogólnem jak przedewszystkiem w łonie odpowiedniej sekcyi. Jednym zaś z dowodów, jak bardzo leżała im na sercu ta sprawa, jest okoliczność, że mowy nie były rozstrzelone na różne punkta, których w tym dziale nie brak, ale zmierzały wszystkie do jednego celu, koło jednego obracały się tematu. Tematem tym była szkoła wyznaniowa.

Dwie główne części rozróżnić tu musimy. Czy szkoła wyznaniowa jest potrzebną i dlaczego? Czy racye za nią przemawiające są na tyle silne, że stawić mogą czoło opozycyi, dążącej do szkół bezwyznaniowych? A jeżeli okaże się, że tak, to wyłoni się drugie pytanie: jak ma być urządzoną, zorganizowaną szkoła wyznaniowa, co przez nią mamy rozumieć, co należy do jej istoty? Odpowiedź dają poszczególne mowy a zadaniem niniejszego referatu jest — obrobione na ich podstawie — systematyczne zestawienie treści.

I.

Dlaczego katolicy żądają szkoły wyznaniowej? Cztery są główne powody, które ich do tego skłaniają: cel wychowania, interes ojczyzny i kościoła, życzenie rodziców. Przejdźmy je po kolei.

Wyrobienie człowieka, doprowadzenie go do stanu doskonałości, oto najogólniej wyrażony i streszczony cel wychowania. Praca nad osiągnięciem takiej dzielnej jednostki, którąby zarazem była pożytecznym członkiem społeczeństwa, rozciągnąć się musi na więcej punktów. Przezwyciężenie słabości i niestałości, a wyrobienie silnej woli i niezłomnego charakteru, to jeden z nich; lecz to za mało. Wola, jako władza pożądająca, skierowaną jest zawsze do jakiegoś celu a dążenie to musi być świadome, człowiek poznać musi przedmiot, ocenić go i dopiero potem zwrócić się do niego silniej lub słabiej, albo odepchnąć, zależnie od tego, czy osądzi rzecz za dobrą, słuszną czy też za złą, nieodpowiednią. Sąd zaś taki nie może jednak zależeć tylko

od subjektywnych zapatrywań, ale musi być objektywnym, rzeczowym, opartym na należytem rozeznaniu, czy dany przedmiot jest dobry czy zły. Ale skąd wziąć kryteryum, któreby zadaniu temu odpowiedziało w zupełności? Nie da go niestety przez tak wielu popierana etyka bez Boga; bez żadnej stałej podstawy, chwiejna i uległa hasłu ewolucyi, stoi na grzęzkiem bagnie i pociąga wcześniej lub później tego, który zaciągnął się pod jej sztandar. Że tak się dzieje — wiadomo z doświadczenia, że tak być musi — wykazuje teorya etyki niezależnej. Nie może uczynić człowieka stałym i niezachwianym to, co samo chwieje się nieustannie; silna podpora na niewzruszonym opierać się musi fundamencie, lecz takim jeden jest tylko Bóg. Jedynie etyka na nim oparta posiada kryterya wystarczające do rozróżnienia dobra i zła, by niemi wesprzeć człowieka w potrzebie.

A jeżeli tak jest, to jasno chyba płynie wniosek, że wychowanie, które przysposobić ma dziecko na drogę życia, użyć powinno do tego środka jedynie skutecznego, jedynie prowadzącego do celu, to jest nauki i praktyki moralności, opartej na Bogu, a taką znajdzie jedynie w religii. I gdyby to jedno tylko dawała religia, wystarczającym to już byłoby motywem do jej wprowadzenia i podtrzymywania; ale daje ona więcej, daje siłę i męstwo potrzebne do pójścia za podanym wzorem, do wstąpienia na wskazaną drogę. I tego męstwa nie da nauka bez Boga, bo gdzież wskaże jego źródło, skąd go zaczerpnie; nie da go, bo nie ma motywów dość silnych i pobudek, któreby skutecznie zdołały wpłynąć i nieraz zmusić poprostu słabą, ułomną i do złego skłonną wolę ludzką. Całe życie trzeba człowiekowi tej cnoty, więc należy wszczepić w duszę zasady, któreby były dlań źródłem, skąd czerpać może w potrzebie; wszczepianiem jednak tem zająć się musi zawczasu, jak długo ma się przed sobą podatne podłoże, pracować trzeba nad duszą dziecka i młodzieńca. Że zaś w latach tych szkoła ma za zadanie działać wychowawczo, wpływać na wyrobienie dobrych zasad, stąd aż nadto widocznem jest, że powinna ona być rdzennie opartą na religii, powinna być wyznaniową. Że to nie są czcze tylko słowa,

dowodnie wykazują nam próby zastąpienia religii w szkołach czem innem, które wszystkie zawiodły. Stąd słusznie, oparty na rzeczowej podstawie i doświadczeniu a przejęty prawdziwem pragnieniem dobra młodzieży i społeczeństwa, woła Dr. Rosenberg: „Ze względu na wychowanie żądamy szkoły wyznaniowej".

Popatrzmy na dalsze dobra, jakie człowiek posiada na ziemi, na ojczyznę i Kościół. Każdy szlachetny człowiek przejęty jest miłością pierwszej i oburzyłby się zapewne na szkołę, którąby z serc dzieci wydrzeć usiłowała ten drogocenny skarb uczucia, które przodków jego skłaniało do porzucenia rodziny i domu i do przelania krwi własnej w obronie ojczystej sprawy; interes zaś Kościoła leżeć musi na sercu każdego wierzącego katolika, bo tam mieszczą się jego największe skarby i ideały. Wzniecić w młodocianych sercach miłość dla ojczyzny, wzbudzić i wzmacniać szacunek i przywiązanie do Kościoła, oto wzniosłe zadanie szkoły, któremu w pierwszym punkcie przyklasnąć musi każdy, a którego żądać powinien każdy prawdziwy katolik. Że to ostatnie zadanie najściślej łączy się z nauką religii, rzecz jest oczywista; zobaczmy czy w pierwszym punkcie religia też jaką odgrywa rolę.

Już w pokoju ale przedewszystkiem w czasach potrzeby i niebezpieczeństwa, potrzebuje ojczyzna — podobnie jak Kościół — ludzi ofiarnych i dzielnych, ludzi zasad i czynu, nieustraszonych i nie cofających się przed żadnemi trudnościami i przeszkodami. Lecz jak dostać i jak wyrobić takich szermierzy za dobrą sprawę? *Diesseitsmoral* i towarzysząca jej chęć używania i wyczerpnięcia do ostatniej kropli rozkoszy tego życia, do przeciwnych tylko dochodzą wyników; zniewieściałość, niewola i upadek ducha a stąd ludzie słabi i bezsilni, oto skutki tych zasad i na nich opartego prowadzenia. A ponieważ zło wszystkim zagraża i ponęty jego na każdego czyhają, więc trzeba uzdolnić młodego do walki życiowej i zaopatrzyć go w siły dostateczne, trzeba wyrobić go na bohatera, któryby miał odwagę do wystąpienia w potrzebie. Do tego jednak nie wystarczy zachować młodzież przed zetknięciem się z złem; bezpieczna póki w takiej przebywa opiece, siłą rzeczy musi

wyjść z tego stanu i wcześniej czy później oko w oko zmierzyć się z przeciwnikiem i biada jej, jeżeli wtedy poczuje się bezradną i nie wiedząc co począć — ulegnie. Trzeba jej więc przygotowania na drogę życia, a to dać powinno wychowanie, dać powinna zatem i szkoła, jako uczestnicząca w tem dziele; tego domagają się zwłaszcza czasy obecne. A jak tego dopiąć?

Nie osiągnie się tego ani pięknemi słowami i hasłami, ani schlebianiem ujemnym objawom i porywom wieku młodzieńczego. Takiej taktyki trzymają się tylko ci, którzy przy pracy wychowawczej do wprost przeciwnych zmierzają celów. Jaka jest właściwa droga, jaki jest jedynie skuteczny środek, już powyżej widzieliśmy; tylko religia dać może człowiekowi w całej pełni te wszystkie przymioty ducha a więc nauka jej w planie przedmiotów szkolnych główne zajmować powinna miejsce.

Prawda, że szkoła, wprzągnięta w sprawę ojczyzny i Kościoła, staje się dążnościową, czemu sprzeciwiają się zwolennicy beztendencyjności tej instytucyi; jednakże, pomijając wzniosłość i ważność rzeczy oraz łączność z przygotowaniem do życia, które przecież należy najściślej do celu wychowania, do postąpienia takiego zmusza taktyka socyalnej demokracyi. Według zestawienia mowcy ta ostatnia zagarnęła w swe ręce 70.000 młodzieży jako członków organizacyi, która posiada własny organ a w nim w cyniczny sposób wyszydza wszelkie uczucie religijne i zabija miłość ojczyzny; otwarcie zaś i jasno wypowiedzianym celem tego stowarzyszenia jest przeciąganie młodzieży do swego obozu i wyrobienie z niej bojowników w imię teoryi. Takim jednak dążeniom muszą katolicy przeciwdziałać.

Dalszych motywów, skłaniających do żądania szkoły wyznaniowej, dostarcza przekonanie i poczucie religijne. Szkoła jest szerzycielką kultury, lecz z pośród dóbr tejże prawdziwi katolicy najwyżej cenić muszą chrześcijaństwo, nie mogą więc dopuścić, aby to największe dobro nie było przedmiotem nauki szkolnej. Ich dzieci są członkami Kościoła katolickiego a zatem szkoła ma obowiązek, przyzwyczaić je do życia w Kościele i z Kościołem; aby jednak temu sprostać, musi sama być wyznaniową, musi być katolicką. Szkoła bezwyznaniowa nie nadaje

się dla dzieci wierzących, ponieważ jest pierwszym krokiem do wydarcia ducha chrześcijańskiego z ich serc i naturalnym porządkiem rzeczy staje się antyreligijną; bo albo uznaje się religię, albo się ją zaprzecza, innego wyjścia w praktyce niema; naprzód „szkoła bez Boga" a potem „przeciw Bogu", jak to widzimy w Francyi. Stąd niema pracy ważniejszej i zarazem bardziej płodnej nad pracę dla sprawy szkoły wyznaniowej. „Raczej pozwoli ludność katolicka aby jej zburzono świątynie, aniżeli żeby wydarto wiarę z serc dzieci" i dlatego walczy „przeciw szkole bezwyznaniowej a za szkołą wyznaniową" — woła dr. Rosenberg.

A jeżeli w sprawie własnych dzieci niepośledni głos mają rodzice, to i ich życzenie niemałą powinno tu odgrywać rolę. Oni dali dzieciom życie, na nich cięży obowiązek dbania o doczesne i wieczne dobro tychże, a zatem szkoła powinna być urządzoną odpowiednio do ich pragnień. Lecz życzeniem rodziców katolickich jest katolicka szkoła, to jest faktem niezaprzeczonym. Prawda, że niektórzy z niechętnych twierdzą, iż dzieci należą nie tylko do Kościoła i rodziców, ale też do ojczyzny; lecz na to odpowiedzieć wypada, że katolicy zawsze są pierwszymi, gdy chodzi o sprawę narodową. Szkoła wyznaniowa nie tylko nie stoi tu na przeszkodzie, ale przeciwnie ona uszlachetnia i potęguje miłość dla ojczyzny i budzi zapał i oddanie się dla jej sprawy. Historya świadczy, że narody religijne zawsze były wielkimi a bezreligijne stale chyliły się do upadku. Kto więc pragnie w szkole wychowania narodowego, ten powinien nie tylko nie wykreślać z jej planu nauki religii ale przeciwnie, zaznaczyć ją tam i podkreślić.

II.

Hasło więc: „Żądamy szkoły wyznaniowej! Żądamy dla katolickich dzieci katolickiej szkoły!" — okazało się słusznem i uzasadnionem. Podyktowył je nie chwilowy entuzyazm i uniesienie, ale głębokie zastanowienie się nad potrzebami życia, zrozumienie sprawy jednostki i społeczeństwa, Kościoła i oj-

czyzny. Lecz równocześnie z tym wynikiem wysuwa się druga, trudniejsza jeszcze i jak na obecne stosunki, zawilsza w teoryi i praktyce kwestya: co rozumieć mamy przez szkołę wyznaniową, jakim wymaganiom musi odpowiedzieć, żeby nią była nie z imienia tylko, ale rzeczywiście.

Jak niezmiernie doniosłem jest to pytanie, dowodzi ten prosty i powszechnie znany fakt, że mamy szkoły wyznaniowe i to liczne, mamy naukę religii a jednak trudno jakoś ujrzeć dodatnie rezultaty, jakich się możemy i powinniśmy spodziewać, a natomiast objawy ujemne uderzają nas na każdym kroku. Wielu bardzo katolików jest wprawdzie „chrześcijańskiego wyznania" ale też na tem koniec; katolicy z imienia nie potrafią w czynie okazać zasad, które uznają. Niejeden uczony i profesor pojmuje całą czczość nauk przeciwnych a jednak nie ma odwagi wyznać publicznie i jawnie wiary chrześcijańskiej, której go uczono. Wielu ludzi bogatych i wysoko postawionych przyznaje się do chrześcijaństwa, ale niema najmniejszego zrozumienia dla potrzeb ciała i duszy swych poddanych; pozwalają im pozostawać nadal w nędzy duchowej a czasem i materyalnej, choć z ich pracy żyją, choć los tych ludzi w ich ręku spoczywa. Wśród niższych też warstw spotyka się często brak sumienności, zanik poczucia obowiązku, niezadowolenie z swego losu.

Oto — powiada p. Weigl — dowody, że nasze wychowanie w szkole wyznaniowej nie znajduje nieraz czasu ani siły, aby od słowa przejść do czynu. A gdzie właściwa przyczyna?

Przyczyna leży w tem, że nie uczy się w szkole religii praktycznie, nie wprowadza się jej w życie, ale poprzestaje się na paru godzinach wyznaczonych jej w rzędzie innych przedmiotów szkolnych. W ten sposób uczeń styka się wprawdzie z religią, ale tylko przez krótki czas, a poza tem jest ona mu prawie obcą; nabiera teoretycznego zaznajomienia się z prawdami wiary, ale od poznania ich do czynu nie znajduje przejścia. A tymczasem tu droga daleka; chcąc i za młodu i jako człowiek dorosły wykonywać praktyki religijne, musi się jako dziecko powoli zaprawić i przyzwyczaić do nich.

Że tego urządzenia niema, wiadomo z planów nauki, z urzą-

dzeń szkół wyznaniowych, widać najlepiej po tych, którzy je ukończyli, a których przykłady przytoczono powyżej. Stan rzeczy jest tego rodzaju, że jak słusznie mowca zaznacza, pomódz tu może jedynie zupełne zerwanie z istniejącym systemem, by pchnąć działalność wychowawczą na nowe tory i poprowadzić ją drogą, któraby umożliwiła osiągnięcie żądanego celu.

Hasłem obecnej pedagogii jest: „nietylko słowo ale czyn". Jeżeli jednak „szkoła wiodąca do czynu" ostatniem dziś jest słowem, to mamy prawo domagać się i dążyć do tego, aby i szkoła wyznaniowa nie została w tyle, ale stała się zdolną do osiągnięcia tegoż celu u powierzonej sobie młodzieży. Lecz zadania tego nie spełni ona przez wyznaczenie paru godzin na naukę religii, w ciągu których katecheta zaledwie ma czas na udzielenie pewnych wiadomości z zakresu tego działu. Jeżeli szkoła ma prowadzić do czynu, to religia uwzględnioną być musi przez cały czas trwania nauki, aby młodzież miała sposobność do praktycznego ćwiczenia i wprowadzenia w czyn nabytych pojęć i zasad. Kto chce poprzestać na paru godzinach nauki religii, a poza tem urządza szkołę na modłę ogólno — lub bezwyznaniową, ten bawi się w pustą grę słów. Skoro się raz przyznało szkołę wyznaniową, musi się konsekwentnie dać jej możność wybicia tego znamienia na sercach uczniów, a to stać się może jedynie przez zastosowanie i wprowadzenie religii w cały tryb życia szkolnego; charakter szkoły katolickiej domaga się, aby cała praca w niej przesiąkniętą była duchem wiary.

Na czem polegać ma to ćwiczenie praktyczne? — Odpowiedź jasna: w szkole katolickiej na wyrobieniu z dziecka prawdziwego katolika. Trzeba przyuczać młodzież do modlitwy i zaprawiać ją do sumiennego spełniania obowiązków i przepisów, jakie Kościół nakłada; ćwiczyć trzeba w czynnej miłości bliźniego, w poświęceniu, posłuszeństwie. Nadto uwzględniać też wypada pewne nadzwyczajne uroczystości, czy to ogólne, czy też miejscowe, dotyczące pewnej grupy jednostek, jak np. pierwszej Komunii św.; ważną bowiem jest rzeczą, wydobyć i utrzymać odpowiedni nastrój, żeby ta pamiątkowa na całe życie chwila nie minęła bez trwałego wrażenia i skutku.

Że sprawa szkoły wyznaniowej i powyższe postulaty stoją w najściślejszym związku z kwestyą stanu nauczycielskiego, rzecz jest dla każdego oczywista, bo przecież w ręku uczących znajduje się cała ta praca i oni tylko mogą tu być wykonawcami stawianych żądań. Lecz spodziewać się tego można jedynie od ludzi, którzy zgodnych są zapatrywań i tegoż postępowania. Kto chce wpajać dobre zasady, sam musi je posiadać, kto chce wychowywać po katolicku w myśl kongresu, musi sam być katolikiem i to praktykującym. Nie pominięto też w obradach tej strony a wśród postanowień zjazdu figuruje również punkt dotyczący ciała pedagogicznego.

III.

Na tem zakończył się główny temat. Krótko tylko, jako nie podlegające właściwym obradom zaznaczono inne punkta dotyczące szkoły a w nich — zgodnie z zdrowymi, nowożytnymi prądami pedagogii — postawiono żądania zmierzające do nadania nauce praktycznego kierunku i do polepszenia bytu młodzieży.

W zakresie studyów domagano się udzielania uczniom wiadomości i wskazówek co do różnych zawodów, oraz podania należytej znajomości pewnych praw, żeby każdy wiedział, jakie jest jego stanowisko względem ojczyzny i państwa, by poznał, jakie ma prawa a zarazem jakie obowiązki i że należy je spełniać. Wspomniano też o podróżach i opisach tychże, aby wszyscy uczyli się poznawać i kochać ziemię ojczystą.

Silnie poruszono też sprawę fizycznego wyrobienia i rozwijania ciała, czego wymaga zarówno osobisty interes jak i dobro ojczyzny. Fizyczne ćwiczenia i zabawy poleca też bardzo okoliczność, że zapobiedz one mogą niejednemu złemu tak co do ciała, jak co do duszy. Nadto rzecz ta ma znaczenie wychowawcze, potęguje pośrednio siłę woli, usuwa zniewieściałość i brak odwagi a podnosi świadomość własnej siły i zdolności działania. Strzedz się tu jednak trzeba jednostronności i przesady, które przyczy-

niają się niekiedy do wyrobienia fałszywej ambicyi i zgubnie mogą się odbić na zdrowiu a nawet na całem wychowaniu.

Jedną z rzeczy, której w żaden sposób milczeniem pominąć nie można, jest umieszczenie młodzieży po tak zwanych stancyach. Mowca poleca ogromną czujność i staranie, żeby chłopiec [1] dostał się w dobre ręce a przełożony jego zaręczył, że wychowaniem zajmie się szczerze i z całą starannością.

Pozostaje wreszcie troska o niektóre inne czynniki i nadużycia, które przyczyniają się do zepsucia młodzieży. Wymienić tu należy używanie alkoholu, niemoralną literaturę i sztukę a przedewszystkiem kinematograf; do tego dołącza się umyślne uwodzenie młodych przez zwolenników niewiary i przewrotu. Mowca zaznacza wyraźnie, że przeciw tym ostatnim, to jest demokratom socyalnym, nie domaga się praw wyjątkowych, żąda jednak ochrony prawnej szczególnie przeciw wczesnemu używaniu napojów alkoholicznych, przeciw pornografii i niemoralnym przedstawieniom teatralnym.

Tak przedstawia się stan kwestyi szkolnej na przeszłorocznym zjeździe. Przytoczone pobudki i umotywowanie stawianych żądań wymownie świadczą, jak głęboko przejęci są katolicy niemieccy ważnością zadania, a z drugiej strony, jak gruntownie, objektywnie i naukowo uzasadnili swe postulaty. Nie znajdujemy tu żadnych czczych haseł, któremi tak wojować zwykli przeciwnicy, żadnej przesady, żadnych retorycznych sztuczek, zdolnych do porwania nas za byle czem; żywe i szczere, napiętnowane gorącą miłością Kościoła i ojczyzny, ale zarazem ścisłe i trzeźwe rozumowanie, nie pływające wierzchem, ale sięgające głęboko aż do dna i od fundamentów poruszające rzecz całą, cechuje każdą z mów, których materyał zawarliśmy w powyższym referacie.

I nie zarzuci nikt, że mowcy ci nie znali dobrze rzeczy i stosunków, bo to przecież wszystko fachowcy w zawodzie

[1] Zbytecznem jest zaznaczać szczegółowo, że mowa jest wszędzie o młodzieży zarówno męskiej jak żeńskiej.

nauczycielskim. A że stawiane żądania nie są wyrazem niektórych tylko osób, dowodem jest, iż w tejże sprawie i w tymsamym duchu zabierali głos hr. Droste-Vischering, hr. Hans Praschma-Rogau, profesor gimnazyalny i poseł Stang, radca wyższego sądu krajowego Marx, tajny radca sądowy dr. Porsch, radca sądowy dr. Schmitt i inni; rzęsiste zaś oklaski i aplauz, jakie mowy te zbierały od słuchających, świadczą wyraźnie, że sprawa ta wszystkim leżała na sercu i w myśl ich została przedłożoną.

Stanisław Podoleński.

Nowe drogi w wykształceniu przemysłowem.

(Dokończenie).

Obok żywotnej inicyatywy prywatnej zabrały się w ostatnim czasie do pracy nad wykształceniem przemysłowem we Francyi szersze sfery społeczne i rządowe.

Troska o pewne gałęzie przemysłu artystycznego i luksusowego, w których Francya aż do chwili obecnej górowała nad innymi narodami, i wzbierające z dniem każdym brudne fale demoralizacyi i zdziczenia dzieci ulicznych zaniepokoiły i popchnęły i rząd i społeczeństwo do pracy poważnej w tym kierunku.

„Organizacya wykształcenia technicznego, mówi b. minister handlu Cruppi w izbie posłów (20 czerwca 1910 r.), jest konieczna przedewszystkiem dla przemysłów luksusowych, z których Francya główne ciągnie zyski w współzawodnictwie światowem.

Nie uderzam na alarm, chcę tylko zwrócić uwagę, bo uważam to za swój obowiązek. Otóż w interesie tych przemysłów i robotników, w tych przemysłach zatrudnionych, trzeba spełnić nasz obowiązek ekonomiczny i zorganizować zawodowe wykształcenie techniczne.

Dla dzieci od roku 6 do 13 istnieje u nas przymusowy obowiązek szkolny, a dzieci po ukończeniu szkoły ludowej, dzieci, mające lat 13 albo raczej lat 11½, będące więc w czasie najniebezpieczniejszym fizycznego rozwoju swego rzucamy na ulicę

i wystawiamy na wszystkie niebezpieczeństwa ulicy. Wielka ciąży na naszem sumieniu odpowiedzialność w tej mierze".

I troska ta i odpowiedzialność wobec narodu i rozwoju przemysłu natchnęła i popchnęła Wyższą Radę Pracy do gruntownych studyów nad podniesieniem i reorganizacyą wykształcenia zawodowego młodocianych robotników przemysłowych.

Owocem tych studyów jest szereg projektów ustawy, tyczących się wykształcenia przemysłowego, które w ostatnich latach zalegają biuro parlamentarne.

Tak w roku 1904 projekt ustawy posła Michel'a usiłuje ograniczyć liczbę uczniów i wprowadzić czeladniczy egzamin teoretyczny i praktyczny. Nad nauką i sprawami terminatorstwa czuwać mają sądy polubowne lub lokalne komisye mieszane. Obowiązkowego jednak kontraktu terminatorskiego, normującego stosunek terminatora do pracodawcy nie domaga się projekt.

Projekt rządowy, przedłożony w r. 1905 przez ministra handlu Dubief'a w izbie poselskiej, ujmuje w organiczną całość i określa ustawowo w 69 artykułach całe wykształcenie techniczne młodzieży począwszy od najniższego aż do wyższego. Myśl przewodnia tej ustawy polega na wprowadzeniu w życie obowiązkowych i bezpłatnych uzupełniających kursów zawodowych dla młodzieży przemysłowej. Gdzie i kto ma organizować te kursy? Komitety lokalne po miastach, wskazanych przez ministra. Kto ma wejść w skład tych komitetów? Radcy miejscy, członkowie sądów polubownych, inspektorowie przemysłowi, profesorowie szkół zawodowych, przemysłowcy, kupcy i robotnicy a więc przedstawiciele administracyi państwowej i miejskiej, przedstawiciele nauki zawodowej, przemysłu i handlu i robotników pod przewodnictwem burmistrza. Komisye te mają organizować kursy i układać programy stosownie do potrzeb lokalnych. Nauka ma się odbywać w ciągu dnia i obowiązywać młodzież całą, zatrudnioną w przemyśle i handlu aż do 18 roku życia. Pod koniec roku każdego mają uczniowie wobec komisyi specyalnej złożyć egzamin w celu uzyskania świadectwa uzdolnienia. Kto nie otrzyma świadectwa, winien uczęszczać na kurs przez trzy lata.

Projekt ten jak i poprzedni, choć postawiony na porządku dziennym Izby w roku 1910, nie przyszedł wogóle pod obrady z powodu oporu sfer przemysłowych. Projekt ten, mówiono, zajmuje się tylko uzupełnieniem wykształcenia technicznego młodzieży przemysłowej i handlowej, a nie uwzględnia ani czasu nauki ani nie normuje stosunku ucznia do pracodawcy.

Powtóre projekt rządowy nie uwzględnił przemysłów, w których praca uczniów ściśle łączy się z pracą robotników, i praca warsztatowa i cały proces produkcyi zależy od pracy uczniów. Odrywając więc w takich warsztatach i fabrykach ucznia, choćby na godzin kilka w tygodniu, od pracy, trzebaby wstrzymać w czasie kursów całą pracę i zamknąć fabryki.

Wreszcie koszta kursów według projektu rządowego ponosić miały wyłącznie gminy.

Inny poseł Villemin upatruje środek zaradczy przeciwko niedomaganiom terminatorstwa w jego organizacyi przez syndykaty pracodawców pod kierunkiem Izb handlowych. I myśl tę przewodnią opracował w nowym projekcie ustawowym.

Inni wreszcie podjęli na nowo w roku 1907 i 1909 w nieco odmiennej formie poprzednie projekty i rzucili je na stół obrad parlamentarnych, ale żaden z nich nie zadowolił Izby ani nie przyszedł pod obrady parlamentarne.

Ale bo też projekty te nie odpowiadały potrzebom przemysłu ani wymaganiom terminatorstwa i nie usuwały niedomagań z korzeniem, słowem nie miały żywotnego związku z życiem.

Myśl nowa i akcya żywotna w sprawie terminatorstwa we Francyi wyszła z łona społeczeństwa i ukazała się we wnioskach praktycznych na kongresach sfer przemysłowych i robotniczych.

Tak na kongresie w roku 1905 w Albi organizacya katolickiej młodzieży francuskiej omawiając warunki pracy młodocianych robotników wskazała już na korzeń złego i domaga się akcyi ustawodawczej, zdolnej w dużej mierze zaradzić szerzącym się niedomaganiom w tym kierunku. Oto główne uchwały kongresu:

1) Wszystkie dzieci poniżej lat 16, pracujące po warsztatach, biurach lub magazynach w celu wyuczenia się jakiegoś rzemiosła,

ma ustawa uważać za uczniów lub praktykantów i unormować ich stosunek do pracodawców za pomocą kontraktu.

2) Kontrakt terminatorski ma być zawarty na piśmie i potwierdzony przez komisyę, wysadzoną w tym celu z łona syndykatów robotniczych i pracodawców albo w braku komisyi przez Radę sądów polubownych.

3) Nadzór nad nauką ma być powierzony również tejże komisyi albo Radzie sądów polubownych. Po skończonej nauce każdy uczeń albo praktykant ma otrzymać certyfikat, że skończył naukę.

W roku 1909 odbył się w Paryżu w sprawie wykształcenia młodzieży przemysłowej i handlowej ogólny kongres narodowy sfer przemysłowych, handlowych i robotniczych, na którym w ogólnych zarysach wytyczono drogi i metody wykształcenia przemysłowego.

Należy wprowadzić w życie — brzmią uchwały tego kongresu — obowiązkową naukę terminatorów i praktykantów w różnych zawodach. Organizacyą jej zająć się mają dane zawody a koszta rozłożyć należy pomiędzy syndykaty zawodowe, gminy, departamenty i państwo.

Kierownictwo nad wykształceniem młodzieży w czasie warsztatowej nauki przygotowawczej i właściwej nauki terminatorstwa objąć mają Izby handlowe (*la mission de diriger le préapprentissage et l'apprentissage en France*).

Organizacyę tę w szczegółach przeprowadzić mają stowarzyszenia specyalnych gałęzi przemysłu i handlu.

W zasadzie oświadczono się nadto za zakładaniem publicznych warsztatów przygotowawczych, w którychby dzieci po ukończonej szkole ludowej mogły się przygotować do właściwej nauki terminatorskiej i uczynić wybór odpowiedniego dla siebie zawodu (*la création d'un préapprentissage, destiné à préparer l'enfant dans' le choix d'une profession*).

Plan, przedstawiony w ogólnych zarysach na kongresie w Paryżu, podejmuje liga francuska wykształcenia technicznego na kongresie w Roubaix, który się odbył przy licznym udziale

sfer przemysłowych, handlowych i robotniczych w roku 1911 pod przewodnictwem ministra handlu Couyba.

„Cechą oryginalną tego kongresu, mówi przy jego otwarciu poseł Leroy, jest to, że biorą w nim udział, dzięki wspólnym wysiłkom, osoby, stojące na przeciwnych biegunach jużto przez swój zawód już to przez swoje dążności. Zwróciliśmy się do przedstawicieli wszystkich grup przedsiębiorców czy robotników, do dyrektorów szkół i kierowników warsztatów w dziedzinie wykształcenia zawodowego i technicznego, do ciał pochodzących z wyboru i do osób poszczególnych. Jeden z głównych i najznamienitszych rezultatów wiecu będzie ten, że zbliżyły się na nim elementy tak różne".

„Kongres w sprawie wykształcenia przemysłowego młodzieży, — pisze jego sprawozdawca, — który się odbył od 4 — 6 października w 1911 roku w Roubaix, został zorganizowany przez ligę mającą na celu podniesienie wykształcenia technicznego we Francyi. Znaczenie jego jest doniosłe bardzo. Zamyka on okres studyów i dyskusyi w sprawie terminatorstwa i początkuje erę realizacyi dojrzałych planów. Z jego prac przygotowawczych, streszczających się w szeregu referatów, opartych na dużym materyale faktycznym, z dyskusyi, które rozgrywały się w dwunastu sekcyach, z uchwał, które tam zapadły, wydziela się kwestya, jeżeli nie definitywnie oświetlona, to przynajmniej ujawniająca się w szeregu formuł, które wcieliby należało do tekstów ustawodawczych. Ich doniosłość społeczna jest wielka bardzo. I z tego względu one zdolne zainteresować i szersze koła niż przemysłowe i handlowe, które bezpośrednio odczuwają niedomagania terminatorstwa" [1].

Kongres w Roubaix buduje na kongresie paryskim.

Wykształcenie zawodowe młodocianych robotników — oto myśl przewodnia całego planu naukowego i wychowawczego kongresu — ma obejmować czas właściwej nauki terminatorskiej *l'apprentissage* i okres poprzedzający czas terminowania *le prè-*

[1] *Le Congrès de l'Apprentissage de Roubaix* par Charles Quillard, *La Revue du Mois*, zeszyt wrześniowy, 1912 r.

apprentissage. Nauka przygotowawcza ma się odbywać w warsztacie szkolnym, właściwa natomiast nauka terminatorska w warsztacie przemysłowym majstra lub właściciela przedsiębiorstwa.

Stosunek ucznia do majstra ma się opierać na kontrakcie, zawartym na piśmie.

Obowiązkowe kursy mają uzupełnić wykształcenie zawodowe ucznia.

Warto tu przytoczyć niektóre uchwały i poglądy tego kongresu, bo one ciekawe rzucają światło na stan młodzieży przemysłowej i nowe kierunki szkolnictwa technicznego we Francyi.

Najprzód we wszystkich sekcyach rozprawiano gorąco o doniosłem dla wykształcenia przemysłowego znaczeniu szkoły ludowej. Im lepsze jest wykształcenie, wyniesione ze szkoły ludowej, powtarzano, tem wydatniejsza jest nauka młodocianego robotnika lub terminatora, tem solidniejsza i pożądańsza praca robotnika.

Chcąc tedy podnieść wykształcenie robotnika przemysłowego, trzeba podnieść szkołę ludową.

A więc przedłużyć czas obowiązkowej nauki szkolnej? Nie, bo obecna obowiązkowa nauka szkolna już i tak zbyt ciężkiem przytłacza brzemieniem ubogie rodziny, które obchodzić się muszą bez pomocy i zarobku dzieci. Zresztą przedłużać naukę szkolną dla głów tępych albo słabo rozwiniętych to rzecz daremna i bezwarunkowo zbyteczna. Dzieci takie dużo więcej skorzystają z nauki pozaszkolnej po przebyciu twardej szkoły pracy i życia. Ale granica wieku nauki w szkole ludowej aż do skończonego roku 13 niech będzie ściśle przestrzeganą. Licha bowiem frekwencya szkół ludowych we Francyi jest klęską prawdziwą, którą należy na wszelki sposób zwalczać.

Powtóre wszyscy uczestnicy kongresu domagali się jednomyślnie, żeby szkoła ludowa nadto kształciła dzieci w kierunku praktycznym i przygotowywała je do przyszłych zawodów praktycznych czyli do przyszłej nauki terminatorskiej. W jaki sposób?

Od szkoły ludowej domagano się na kongresie wogóle dużo bardzo. Tak sekcya agrarna domagała się, aby szkoła ludowa przedewszystkiem przeciwdziałała dezercyi ludności wiejskiej do miast. Przedstawiciele natomiast przemysłu wielkiego i małego żądali, żeby szkoła ludowa dla produkcyi przemysłowej dzielnych dostarczała i przygotowywała robotników. I tu odrazu wyodrębniły się dwa kierunki w poglądach.

Jedni sądzą, że szkoła ludowa powinna dać możność dzieciom wybrać sobie według upodobania jakiś zawód praktyczny.

Inni natomiast domagają się, żeby szkoła ludowa uczyła przedewszystkiem tego, co dziecku będzie potrzebne w zawodzie, do którego rodzice się zaliczają. Szkoła atoli ma wszystkie dzieci jednako kształcić. I dlatego jedni i drudzy przyznają pracy ręcznej w szkole ludowej tylko znaczenie pedagogiczne. Każda szkoła ludowa ma być zaopatrzona w warsztat rękodzielniczy i ta sama praca i te same ćwiczenia warsztatowe mają obowiązywać zarówno wszystkie dzieci. Jak zaś należy zorganizować tę pracę warsztatową nie określono bliżej. Sprawą tą zająć się ma z polecenia kongresu, wytworzona w tym celu komisya z łona ligi francuskiej w sprawie wykształcenia technicznego młodzieży przemysłowej. Komisya ta ma też określić, co należy rozumieć przez słowo *préapprentissage*.

Z różnych projektów w sprawie wykształcenia zawodowego młodzieży przemysłowej wysuwa się na kongresie życzenie, wyrażone z różnych stron, prawicy i lewicy, aby młodociani robotnicy kształcili się przedewszystkiem w warsztacie pod okiem i kontrolą majstra lub werkmajstra.

Szkoła zawodowa — mówiono — dużo kosztuje a nikłe wydaje rezultaty. Robotnik dzielny nie wykształci się inaczej, jak tylko w warsztacie przy pracy bezustannej pod okiem i ciągłą kontrolą majstra lub werkmajstra-robotnika. W warsztacie on tylko pokocha przyrządy swoje, nauczy się cenić materyał surowy, korzysta z lekcyi majstra od rana do wieczora, pracuje razem i współzawodniczy z warsztatowymi towarzyszami.

Trzeba więc przedewszystkiem wznowić i uczynić obowiąz-

kowym kontrakt terminatorski i unormować prawnie stosunek młodocianych robotników do majstra i przedsiębiorcy.

Ale jak tu unormować obopólne obowiązki? Zastanawiano się nad tem szeroko i uważnie na kongresie i przekonano się, że bez dokładnego materyału ustawodawczego, który mają dopiero dostarczyć mieszane komisye lokalne, niepodobna tu ustanowić prawa ogólnego.

Wskazano tu tylko na zasady pewne, których przestrzegać należy przy prawnem unormowaniu stosunku młodocianego robotnika do przedsiębiorcy.

Tak kto pracuje jako młodociany robotnik w warsztacie przemysłowym w celu wykształcenia się w kierunku zawodowym, winien być uznany za ucznia, a nie za zwyczajnego robotnika, choćby pobierał wynagrodzenie za swoją robotę.

Z drugiej strony przedsiębiorca albo jego zastępca w warsztacie, chcąc kształcić uczniów, powinien posiadać odpowiednie kwalifikacye moralne i zawodowe jako wychowawca i nauczyciel. Kierować bowiem wykształceniem zawodowem młodzieży to rodzaj urzędu publicznego, pełnego odpowiedzialności wobec państwa i narodu.

Co więcej, nie wystarczy tylko posiadać odpowiednie kwalifikacye i płacić podatek przemysłowy, trzeba nadto faktycznie kierować pracą warsztatową osobiście albo przez swego ukwalifikowanego zastępcę.

Z drugiej strony przedsiębiorca powinien w kontrakcie terminatorskim mieć gwarancyę, że warunki umowy będą przestrzegane.

Kontrakt więc winien na piśmie być zawarty i obwarowany sankcyą. Gdy uczeń bez powodu ważnego zrywa umowę, rodzice jego albo opiekun mają odpowiadać za szkody materyalne stąd wynikające dla przedsiębiorstwa. W kontrakcie też ma być wymieniona władza kompetentna (np. sądy polubowne), któraby czuwała nad spełnieniem warunków umowy. Rezolucye w sprawie kontraktu terminatorskiego brzmią: Obowiązki obopólne, ciążące na przedsiębiorcy i uczniach, mają być w ten sposób usta-

lone i zagwarantowane, żeby ani jedna ani druga strona żadnego nie poniosła uszczerbku.

Stosunek ten ma być unormowany kontraktem.

Po skończonej nauce uczeń ma otrzymać certyfikat, uwalniający obie strony od obowiązków.

Certyfikat ten nie ma być świadectwem uzdolnienia. Kto się ubiega o dyplom winien się poddać egzaminowi wobec komisyi w tym celu zorganizowanej.

Niczależnie od komisyi, wysadzonej przez kongres w Roubaix, która miała zbadać sprawę zawodowych warsztatów przygotowawczych i ich stosunek do szkoły ludowej (*préapprentissage*) w Paryżu obrano już uprzednio drogę dużo pewniejszą w tej mierze, bo przystąpiono od razu do założenia zawodowych warsztatów szkolnych.

Wytworzono sobie tam takie rozumowanie: sumienny, pracowity i zdolny robotnik przemysłowy nie wykształci się inaczej jak tylko w warsztacie.

Za czasów cechów rzemieślniczych uczeń razem z majstrem pracował od rana do późnego wieczora i korzystał z lekcyi jego, majster zaś był dumny z ucznia pojętnego i pracowitego, bo postęp i prace ucznia świadczyły o wartości warsztatu i zdolności majstra.

Dziś majster i przedsiębiorca stał się kupcem, który przedewszystkiem myśli o tem, żeby z warsztatu i przedsiębiorstwa jak największe zyski wyciągnął. Dzisiejszy warsztat przemysłowy przestał być szkołą i pracownią, która zdolnych wychowuje i kształci pracowników. Wśród intenzywnej i maszynowej pracy produkcyjnej niema miejsca dla ucznia, ani dla majstra, zajmującego się kształceniem uczniów. Tam niema ani chwili czasu do stracenia, tam wyłącznie prawie maszyna pracuje i wszechwładnie panuje automatyzm produkcyjny.

Dziś dla kształcenia uczniów potrzeba warsztatów specyalnych. Dziś chłopiec rozpoczyna naukę po skończonej szkole ludowej jako młodociany robotnik albo terminator, a więc w trzynastym albo czternastym roku. Do rozpoczęcia specyalnej nauki zawodowej on jeszcze za młody i nieprzygotowany

i niezdolny do wybrania sobie według uzdolnienia jakiegoś zawodu. To materyał świeży i surowy, który trzeba dopiero ociosać i przygotować do produkcyjnej pracy warsztatowej. Uczeń taki powinien najprzód uczęszczać do jakiejś rzemieślniczej szkoły przygotowawczej, powinien się uczyć jakiegoś rzemiosła typowego i prostego, aby się przyzwyczaić do pracy fizycznej i przyswoić sobie niezbędne rękoczyny warsztatowe i wyrobić w sobie zamiłowanie do specyalnej pracy zawodowej. Otóż warsztat taki ma być pomostem pomiędzy szkołą a warsztatem fabrycznym. Chłopiec po skończonej szkole ludowej, niech uczęszcza najpierw do zawodowej szkoły przygotowawczej, zanim zabierze się do pracy zawodowej i zaciągnie się do właściwego warsztatu przemysłowego.

Z poglądów tych wyrosły w ostatnim czasie w Paryżu różne zawodowe warsztaty przygotowawcze, które pokazały na oko, jak należy rozumieć i organizować *le préapprentissage*. W dzielnicy de la Bastille powstał warsztat stolarski ks. de Miramont i ślusarski ks. Boyreau, przy ulicy des Epinettes i de Javel warsztaty mechaniczno-blacharskie, w Versailles warsztat wyrobów metalowych, założony przez komitet *Comité du cercle catholique*.

Jaka jest organizacya tych warsztatów? Warsztat przy ulicy des Epinettes założony został w roku 1906 przez wielkiego przemysłowca paryskiego Kula. Zakład rozpada się na dwa warsztaty: mechaniczny i blacharski. W dziedzinie bowiem prac metalowych przedewszystkiem blacharstwo nadaje się wybornie do robót i demonstracyi dydaktycznych ze względu na materyał i regularną formę geometryczną wyrobów. Obecnie w zakładzie uczy się 80 chłopców, którzy kolejno pracują w oddziale mechanicznym i blacharskim. Każdy uczeń pracuje według własnego rysunku, który przedłożyć winien werkmajstrowi, zanim zabierze się do wykonania przedmiotu. Po pewnym czasie robót wstępnych i typowych, uczeń według uzdolnienia i upodobania zostaje przydzielony do jakiejś specyalnej roboty. Czas nauki, która udziela się bezpłatnie, trwa dwa lata pod kierunkiem werkmajstrów. W zasadzie w zawodowych warsztatach przygotowawczych

nie pracuje się dla handlu i co za tem idzie majstrowie, nie przynagleni dostawą, mogą cały czas swój poświęcić wykształceniu uczniów. Koszta utrzymania ucznia w warsztacie, hygienicznie utrzymanym, wynoszą 350 fr. rocznie, a więc trzy razy mniej niż nauka w miejskich szkołach zawodowych.

Warsztat przygotowawczy przy ulicy de Javel powstał pod koniec roku 1910. Założył go ks. Blain des Cormiers w celu kształcenia chłopców na dzielnych i dobrze wykwalifikowanych robotników przemysłowych. W warsztacie ks. Blain'a prowadzi się ścisłą kontrolę nad moralnem i religijnem prowadzeniem się chłopców. Każdy uczeń musi należeć do jakiegoś stowarzyszenia katolickiego terminatorów i co tydzień przedłożyć książeczkę podpisaną przez ojca i kierownika patronatu. W warsztacie de Javel oprócz planu rysunkowego wymaga się opis zasadniczych rękoczynów przy wykonaniu przedmiotu. Po skończonej robocie winien uczeń dołączyć i krytykę swojej pracy i swoje osobiste uwagi, które mu się nasunęły przy robocie [1].

Ale wróćmy do kongresu w Roubaix. Kongres wychodzi z przekonania, że najlepszą dla robotnika przemysłowego szkołą jest warsztat przedsiębiorcy. I tylko tam, gdzie warunki przemysłu uniemożliwiają albo nader utrudniają kształcenie młodocianych robotników, lub w przemysłach, w których nauka teoretyczna dużą odgrywa rolę obok wykształcenia praktycznego, nauka w szkole zawodowej winna zastąpić naukę w warsztacie przemysłowym. Ale i w tych przemysłach ogromna większość uczniów nie będzie miała możności kształcić się w kosztownych szkołach zawodowych. Zadaniem warsztatowej szkoły zawodowej będzie kształcić przedewszystkiem werkmajstrów.

Zwyczajni zaś robotnicy przemysłowi mają swoje wykształcenie warsztatowe uzupełnić na kursach zawodowych, które obowiązywać mają wszystkich robotników młodocianych i stosować się do pory roku, do koniecznych potrzeb i wymagań danego zawodu i do warunków lokalnych. Zasady, na których kursy te się opierać mają, są następujące :

[1] *La Crise del' Apprentissage* par Ch. Giberques w *Revue de l'Action Populaire* 20 Nov. 1912.

1. Program kursów ma się ograniczać do rzeczy i wiadomości niezbędnych dla ukwalifikowanego robotnika pod względem teoretycznym i praktycznym. Program układać mają ludzie kompetentni w danym zawodzie.

2. Ze względu na program minimalny uczęszczać mają tam, gdzie stale urzędująca komisya uzna ich potrzebę, wszyscy młodociani robotnicy danego zawodu.

3. Kursy uzupełniające zawsze odbywać się mają w ciągu dnia i trwać mają jak najkrócej. Ażeby zaś ułatwić ich regularną frekwencyę, należy je co do czasu rozłożyć według wymagań pracy warsztatowej i wolniejszego czasu uczniów.

Rezolucye w tej mierze brzmią:

Opracowanie programu, kierownictwo i kontrolę nad kursami zawodowymi powierzyć należy komitetom lokalnym, w których przeważać ma element zawodowy.

Instytucye, wyrosłe z inicyatywy prywatnej, które odpowiadają wszystkim warunkom i wymaganiom terminatorstwa, należy zrównać z publicznemi i według możności subwencyami popierać.

Koszta urządzenia kursów ponosić mają w połowie przedsiębiorcy w połowie państwo i miasta. Lokalu dostarczyć ma państwo albo gminy.

Ogniskami organizacyi kursów mają być szkoły zawodowe i praktyczne szkoły handlowe i przemysłowe, które na ten cel mają dostarczyć sił naukowych i sal wykładowych i warsztatów i przyrządów.

Co się tyczy obowiązkowych dla pracowników młodocianych kursów uzupełniających prawie jednogłośnie (7 głosów przeciw) następującą uchwalono rezolucyę:

Młodzi pracownicy poniżej 18 lat, zatrudnieni w przemyśle i handlu, którzy nie wykażą się dostatecznem wykształceniem zawodowem, mają uczęszczać na kursy zawodowe. Kursy te mają się odbywać o ile możności w ciągu ustawowego dnia roboczego i w ten sposób, żeby praca w warsztacie albo w fabryce nadmiernego nie doznała uszczerbku.

„Przynosi to zaszczyt wielki, mówi sprawozdawca wiecu,

niektórym przedstawicielom wielkiego przemysłu, którzy przybyli na kongres w celu kruszenia kopii w obronie obowiązkowych kursów. Bez kursów tych bowiem usiłowania, poczynione w sprawie rozszerzania wykształcenia zawodowego, poszłyby na marne. Zapewne, jest i opozycya jeszcze liczna i potężna, która wystąpiła po kongresie w Roubaix. Ale i to pewna, że znaczny ruch wyrobił się w chwili obecnej na rzecz tej idei, i że jej realizacya w dość dużej liczbie przemysłów będzie możliwa w bliskiej przyszłości"[1].

We wielu gałęziach przemysłu uznał kongres kształcenie uczniów za rzecz konieczną. Rezolucya ogólna, odnosząca się do wszystkich robotników młodocianych, nie zapadła w tej mierze. W poszczególnych jednak sekcyach powzięto następujące uchwały:

W przemysłach środków spożywczych administracya publiczna po wysłuchaniu opinii izb handlowych i syndykatów zawodowych ma drogą rozporządzenia wskazać te przemysły, w których wprowadzić należy obowiązkową naukę terminatorską.

W przemysłach chemicznych i przemysłach wyrobów skórnych nauka terminatorska ma być obowiązkową z prawem okupu w celu organizowania specyalnych szkół zawodowych.

W przemysłach w dziedzinie mechaniki domagano się wszelkich zarządzeń, żeby nauka mogła się w zupełności odbyć według potrzeb danego zawodu.

W przemysłach krawieckich domagano się, aby nauka odbywała się w warsztacie oraz, by czas nauki obejmował wszystkie fazy i rodzaje pracy w danej dziedzinie.

Po magazynach krawieckich, podnoszono, pracuje tysiące dziewcząt, które z powodu specyalizacyi w szyciu nigdy nie wykształcą się we wszystkich działach swego zawodu. Jest dużo i takich, które po kilku latach pracy nie nauczą się nawet tyle, żeby mogły zaopatrzyć potrzeby przyszłego swego gospodarstwa domowego. Otóż tym brakom i niedostatkom ma zaradzić ustawa wraz z sankcyą odpowiednią i inspekcyami peryodycznemi

[1] *Revue du Mois* str. 320.

i ograniczoną liczbą uczniów względnie uczenic i grzywnami odpowiedniemi.

W miesiąc niespełna po kongresie (24 października 1911 r.) w myśl jego rezolucyi ukazały się dwa rozporządzenia ministeryalne p. t. de dézrets Couyba, które usiłują wprowadzić w życie to, co na kongresie uchwalono.

Pierwsze rozporządzenie tyczy się formowania komitetów departamentalnych i kantonalnych szkolnictwa technicznego w celu wprowadzenia w życie kursów zawodowych i dostosowania tych, które istnieją, do potrzeb terminatorstwa różnych zawodów.

Drugie tyczy się świadectwa uzdolnienia zawodowego dla chłopców i dziewcząt poniżej 18 lat po trzyletniej praktyce w przemyśle i handlu i odpowiednim egzaminie teoretycznym i praktycznym, którego program dla każdego zawodu z osobna zostanie ustalony przez ministerstwo handlu i przemysłu po wysłuchaniu opinii komitetów departamentalnych.

Ale czy rozporządzenia te wejdą w życie? Dotychczas podobno nigdzie jeszcze komitety takie nie uformowały się[1].

Ks. Leonard Lipke.

[1] *L'enseignement professionnel en France* par J. B. Paquier. Paris, Armand Colin.

L'apprentissage et l'enseignement technique par M. F. Dubief, Paris, Giard Brière.

L'enseignement technique industriel et commercial par M. Astier. Paris, Chez Roustan, quai Voltaire.

L'enseignement professionnel en France au début du XX siècle par René Leblanc, Paris, Cornely, édit.

L'enseignement professionnel et l'enseignement technique par Gasquet. Paris, rue Soufflot.

Le petit commerce, la petite industrie et la question de l'apprentissage par Auguste Champetier de Ribes. *Réforme sociale* zeszyt paźdz. 1910 r.

Le problème de l'apprentissage par Villemin. *Revue politique et parlamentaire*, zeszyt wrześniowy 1911 r.

La crise de l'apprentissage par Liébaut, *Correspondant*, 25 września 1911 r.

Sztuki techniczne a sztuki odtwórcze podług Lippsa.

Gdy do podstaw omówionej poprzednio[1] teoryi Lippsa należy założenie, że uciecha estetyczna polega na odnalezieniu tętna własnego żywota psychicznego w życiu form oglądanego przedmiotu, a sztuka jest wynikiem odczuwanej potrzeby, by to życie przedstawiło nam się w jednolitym związku jak najmniej zmąconym przez wpływy postronne, gdy więc odpowiednio do takiego stanowiska wypadło uznać w każdem świadomie dokonanem wyosobnieniu objawy sił pokrewnych w czemkolwiek z ludzkiem poczuciem życia i ich artystyczne kształtowanie, zrozumiałem jest, iż Lipps poświęca szczególniejszą uwagę badaniu tych sztuk, które wyrastają bezpośrednio z potrzeb życiowych i nie mają na celu samego przyoblekania wytworów wyobraźni w widzialne lub słyszalne kształty, ale wyrażają zainteresowanie dla formy w samym sposobie obrobienia materyału przedmiotów, służących jakimś praktycznym zadaniom. Sztuki t. zw. stosowane, którym nadaje miano technicznych, włączając w ich poczet także architekturę, występują w tych roztrząsaniach na pierwszorzędnym planie. Jestto bowiem istotnie zagadnieniem wielkiej wagi, odsłonić, pod jakimi warunkami wynurzają się cechy estetyczne w płodach pracy ludzkiej, skierowanej początkowo do zaspokojenia czysto realnych potrzeb,

[1] Zeszyt styczniowy.

jak wśród kształtowania materyału zaczynają równolegle i obok siebie działać te dwie grupy pobudek: jedne wiodące tylko do tego, by przedmiot uczynić przydatnem narzędziem do osiągnięcia praktycznych celów, inne zaś wymagające od sprawcy wyrobu, ażeby już w wyglądzie dzieła, w jego całej budowie i rozczłonkowaniu objawiała się ta pożądana przydatność z wszystkiemi do niej należącemi zaletami wytrzymałości, odpowiedniego jego funkcyom rozmieszczenia części, biegu linii i powierzchni uzmysławiającego przeznaczenie przedmiotu. Kwestya niezmiernej doniosłości, zwłaszcza w czasach dzisiejszych tak rozrosłej produkcyi maszynowej: gdzie się rozpoczyna i na czem polega artystyczność przemysłu? Lipps przyjmuje jako fakt nieulegający wątpliwości, że pogwałcenie materyału, nieodłączne od każdego posługiwania się maszyną, wyklucza już samo przez się artystyczny charakter wyrobu. Nie przywiązuje znaczenia do czynnika, któryby zapewne też tu uwzględnić należało, mianowicie, iż wytwory maszynowe jako takie, są skazane na jednostajność, t. j. z góry zuniformowane. Natomiast podkreśla inną okoliczność: że utwór sztuki technicznej musi, aby mógł wyglądem swoim sprawiać nam upodobanie, posiadać własną, odrębną zdolność do egzystencyi (*Existenzfähigkeit*) a to tak w fizycznym jak estetycznym sensie. Jak należy to rozumieć? Z przytoczonych przez autora przykładów i analiz zdaje się wynikać, że miał na myśli pewien stopień samodzielności i zwartości ostrej na zewnątrz, nadany wyrobowi artystycznemu przez to, iż wyraża się w nim jakiś zaokrąglony kompleks sił drzemiących w materyale w stanie napięcia lub gotowości do spełnienia odpowiednich istocie wyrobu zadań. Ale ma być to też kompleks sił takich, które nie są przeciwne naturze materyału, t. j. których funkcye wprawdzie nie przejawiają się z reguły już w materyale surowym, ale zgadzają się z jego przyrodzonemi własnościami, mogą się w estetycznem oglądaniu przedstawiać jako naturalny wypływ tych własności, względnie jako niewymuszone na materyale ich spożytkowanie. Musi więc sztuka stosowana bezpośrednio nawiązywać do owych własności masy i przy przeprowadzeniu każdej konstrukcyi uwidaczniać, że ten

właśnie obrany materyał nadawał się szczególnie do wysnucia zeń właśnie takich form. Lipps wyróżnia tu trojakie formy lub raczej składniki formalne: formę, którą jakiś materyał ma z natury (*Naturform*), formę dzieła (*Werkform*), wypływającą z celu praktycznego i formą artystyczną (*Kunstform*), która nie jest, jak to ma miejsce w sztukach odtwórczych, przeniesioną z innych przedmiotów w materyał obcy i będący tylko środkiem przedstawienia jej — ale przeciwnie, ma być usymbolizowanem własnem życiem materyału w układzie określonym dlań przez przeznaczenie przedmiotu, czy to wyłącznie realne, dla życia praktycznego, czy też potęgujące się w miarę rozwoju form, przeznaczenie ornamentacyjne, dla ozdoby ludzkiej postaci i mieszkania. Otóż ta właśnie forma artystyczna nie może być oderwaną od naturalnej formy materyału i od formy dzieła, dyktowanej koniecznościami jego budowy, ale powinna w myśl wywodów Lippsa wszystkie strony ujawniać, a to silnem i wyrazistem podkreśleniem momentów zasadniczych jak tęgości, odporności absolutnej lub względnej, elastycznej albo przeciwnie giętkości i miękkości materyału, jego receptywności szczególnie przychylnej dla pewnych barw i rodzajów oświetlenia (jak n. p. jedwabiu dla barw jasnych, aksamitu dla ciemnych, wełny dla matowych, podobnież kamieni i drzewa) — dalej w samej budowie, czy to sprzętu codziennego użytku, służącego do dźwigania, obejmowania lub okrywania czegoś, czy budynku, który ma otaczać jakąś działalność lub ochraniać jakąś egzystencyę, wyrażać ma jego forma artystyczna zmaganie się ze sobą różnych dążności, przeciwwagę sił, jak ciążenia i dźwigania ciężarów, zwężań się i rozpościerań, wyprostowań i kurczeń, ewentualnie możliwych innych tym podobnych pulsowań masy materyalnej, o ile wodząc nasz wzrok za naturalnym kierunkiem rozwoju ich linii, pobudzają nasze „ja“ do bezwiednego przeroszenia się i współodczuwania z życiem zakiętem czy też skrystalizowanem w tych masach. A może jestto raczej przenoszenie się w stan duszy twórców i pracowników, czego Lipps nie wziął pod rozwagę a co zdaje się mieć przynajmniej tyle prawdopodobieństwa za sobą, co

przypuszczana przez niego cokolwiek zagadkowa sympatya z falowaniami konturów, powierzchni czy brył. Omawiany tu estetyk głównie dlatego oświadcza się przeciw działaniu dzieł sztuki przez wyciśnięte na nich ślady pomysłów i ręki artystów, że wrażenie estetyczne każde jest bezpośrednie, ale nie jest wykluczonem tak jasne i pełne odbicie się nastrojów i indywidualności duchowych na owocach tworzenia, iżby one wprost bez jakichkolwiek wnioskowań, bez żadnego natężania umysłu, do nas przemawiały. Wiemy już jednak z poprzednich rozpatrywań, że autor wyznaje teoryę bezwzględnego zanurzania się świadomości spostrzegawczej w oglądanym estetycznie przedmiocie i utożsamiania się z nim. Otóż dla oceny jego poglądu na sztukę stosowaną czyli t. zw. techniczną, niezbędnem jest przyjrzeć się przeprowadzeniu owej teoryi w tej dziedzinie, gdzie jak wyraża się, sztuka przerzuca życie materyału w nową sferę. Najszerszem polem do rozwinięcia tego życia mas jest niewątpliwie architektura. W innych bowiem działach sztuk technicznych, jak ceramiki, sprzętów z metalu lub drzewa, tkanin ozdobnych, możność ożywienia, rozczłonkowania i zorganizowania kształtowanej masy, obraca się w skromnych stosunkowo granicach i raczej bogactwo lub subtelność w uwydatnianiu różnic funkcyi i ich powiązań aniżeli wyższe skale widzialnej mocy i odpowiedniej im intenzywności poruszeń są tym sztukom dostępne. Na przykładach jedynie organicznych także i jego zdaniem, t. j. z jednolitych elementów i założeń konstrukcyi wyrosłych stylów architektury: greckich (a zwłaszcza doryckiego) i gotyckiego stara się Lipps unaocznić, jak życie wlane w masy może wychodzić albo od wielu równorzędnych, początkowo w swem indywidualnem wyodrębnieniu z ziemi wytrysłych elementów (kolumny doryckie), które spaja siłą ciśnienia górna część budowy (architrawy, fryzy, gzymsy wieńczące z dachem o trójkątnych frontonach), albo życie to wyrasta (jak w stylu gotyckim) z ziemi masą jednolitą, następnie dopiero rozszczepia się naprzód na pęki laseczek, dalej w żebrach łuków jeszcze bardziej indywidualizuje, aż ostatecznie u szczytow sklepień dawszy pełną folgę temu wybujaniu indywidualnych sił, po-

wraca do równowagi i jedności dzięki zbieżności swych składników. W tej zmyślnej porównawczej charakterystyce najbardziej odległych od siebie stylów korzysta widocznie estetyk monachijski z prac Sempera, na które się też powołuje, opiera się na istotnie z reguły przestrzeganej zasadzie, że pęki pilastrów gotyckich nie wychodzą z posadzki wnętrza budynku, ale z ułożonych na niej bloków prawie jednolitej masy — ale w drugim członie swego porównania, w sposobie ujęcia punktów wyjścia budowli greckich wyzywa do pewnych zastrzeżeń. Bo, aczkolwiek można mu to przyznać, że podstawy (bazy) kolumn jońskich i korynckich są dla oka naszego integralną częścią wyższej jedności, na którą składa się obok nich kolumna wraz z echinusem i kapitelem, to jednak wątpliwem jest nawet w stylu doryckim, niedającym, jak wiadomo, osobnej podstawy kolumnom, czy można powiedzieć, że te kolumny wyrastają wprost z ziemi, skoro stoją na wspólnej wywyższonej zazwyczaj na kilka stopni ponad ziemię podwalinie, która niemniej przyczynia się do nadania jedności budynkowi jak górna jego część, i skoro jądro budowy, t. zw. cella, otoczone kolumnami (i to nie zawsze ze wszystkich stron), wznosi się z tej samej podwaliny, jako jednolita, zaledwie niewielu otworami przerwana masa. W rzędach kolumn greckich zatem przedstawia się raczej na zewnątrz i w pośrednich warstwach wysokości uwydatnione, aniżeli od samego dołu biegnące i kompletne, zindywidualizowanie życia mas, któreby dopiero górna część budynku spajać miała, podczas gdy w rzeczywistości jedność między niemi zaznacza się wielokrotnie, w podwalinie, w planie poziomym tejże i w jednolitej masie środkowej t. j. celli. Tak więc przeciwieństwo gotyku i architektury helleńskiej nie zasadzałoby się na różnych źródłach i punktach wyjścia sił indywidualnych, ale na tem, iż w pierwszym one bujają bardziej wewnątrz i swobodniej, bo aż ku szczytom budowy, w dziełach natomiast helleńskich przejawiają się na zewnątrz i w mierze bardzo dyskretnej, opanowane stanowczo i w wyraźnie odgraniczonych punktach ciążeniem wspólnej masy. Łatwiej zgodzić się można z niezupełnie zresztą nowemi uwa-

gami Lippsa o tem, jak napięcia sił wyprostowujących i dźwigających, wybiegłszy od samej podstawy i stopniowo potęgowane aż do zetknięcia się kapitelu (który bezpośrednio ma „przyjmować ciężar") z architrawem, ważą się i walczą z tendencyą biegnącą w przeciwnym kierunku, ku dołowi, rytmicznie rosnącą w miarę zbliżania się ku architrawom i markowaną w swej ciągłości różnymi środkami (jak t. zw. sima, regula, krople, tryglify). Szczegóły najrozmaitsze struktury architektonicznej porównuje Lipps z częściami mowy, jej składnią i interpunkcyą, objaśniając przykładami zaczerpniętymi z rozlicznych stylów, jak nie tylko wiążące ale i rozdzielające i to w różnych stopniach znaczenie zyskiwać mogą te szczegóły we właściwem miejscu. Najwięcej uwagi poświęca symbolice zakończeń tak ku górze jak ku dołowi, przyczem najskuteczniejszy środek upatruje w rozdzielaniu się i zwężaniu mas, w liniach zębatych i kolczastych, jako najlepiej uzmysławiających ulatnianie się energii, jednak nie wyklucza zakończeń kulistych, które znów drogą innych skojarzeń charakteryzują masę, jako w sobie zamkniętą, czy też w siebie powracające jej tendencye. Ważną kwestyę stosunku ornamentu do struktury stara się Lipps rozwiązać w oświetleniu jednej ze swoich zasadniczych tez, mianowicie twierdzeniem, iż nieodzownym warunkiem jednolitego dodatniego działania estetycznego jest ścisły przedział między sztukami, które coś przedstawiają, a takiemi, które tylko kształtują masę lub powierzchnię (tę ostatnią n. p. ornament czysto geometrycznych wzorów). Jeżeli budowlę lub inne dzieło sztuki technicznej upiększa się ozdobami plastycznemi, rysunkowemi lub malarskiemi, wtedy te utwory sztuk odtwórczych tylko wyjątkowo i w ściśle wydzielonych miejscach całości architektonicznej mogą wybijać się do samoistnego znaczenia za pogłębieniem swoich odrębnych środków artystycznych (jakimi n. p. w malarstwie są światłocień i perspektywa) bez uszczerbku dla jednolitości ogólnego efektu. W przeciwnym razie będą rywalizować i kłócić się z całokształtem budowy, którą miały przyozdabiać i której przewodniemu ożywiającemu systemowi sił winny były się podporządkować. Autor rozstrząsanej tu

estetyki rozprowadzając w szczegółach powyższe żądanie, pomaga sobie podziałem ornamentyki na trzy główne rodzaje, na ścisłe strukturalną, t. j. taką, której części składowe (n. p. stjuki sufitów i ścian) domagają się bezwzględnie połączenia tylko z pewnemi lokalnie określonemi częściami budowy, na ornamentykę motywów powtarzających się, mniej lub więcej neutralnych wobec zajmowanego miejsca, (jak astragale), przy użyciu jednak (n. p. dywanów) nakazujących pewne dostosowanie oryentacyjne do przyozdabianego niemi przedmiotu, wreszcie na ornament wolny, typowy zdaniem Lippsa w japońskich malowidłach dekoracyjnych, których umieszczenie daje się dowolnie zmieniać, a które i w swoim wewnętrznym układzie nie są wiązane żadnym postulatem symetryi. Osobną kombinacyę tych warunków przedstawiać mają dekoracyjna rzeźba i malarstwo, o ile przysługuje im wprawdzie pewna swoboda w doborze i traktowaniu tematu, ale zamknięte są w dość ciasnych granicach przez jakość, wielkość i położenie przeznaczonych dla nich powierzchni, wypukłości lub zagłębień (co się odnosi też do malarstwa na wazach i porcelanie), a także od potrzeby powtarzania motywów, względnie zachowania symetryczności, nie są zupełnie wolne. Skutkiem tego muszą się te sztuki w duchu powyższej teoryi ograniczyć do oddawania ogólnych typów, zgodnych z nastrojem życia i sił tętniących w całym danym utworze sztuki technicznej, t. j. dziele architektury lub przemysłu artystycznego, a nie mogą się kusić o silniejszą indywidualizacyę lub wycieniowanie delikatniejsze wyrazów życia psychicznego w przedmiotach swoich przedstawień — a to tem bardziej, że kontury plastyczne, a zwłaszcza barwa, nie są w tych sztukach wyłącznie środkiem przedstawienia, ale już same przez się środkiem dekoracyjnym. Stara się to Lipps wykazać na poszczególnych rodzajach tego malarstwa, jak gobelinowem, porcelanowem i majolikowem, a zwłaszcza na malarstwie witrażów, które z natury swej domaga się według niego barw o tonach silnych a wyklucza efekty perspektywy, światłocienia i połączonych z nimi barw przytłumionych. Posuwa się nawet tak daleko, że malarstwa ściennego, freskowego nie uważa za

sztukę niezależną, upatrując przeszkodę przeciw pełnemu rozwinięciu kolorystyki w białawym tonie wapiennym, jakoby tenże był nieodłącznym od powierzchni murów, zaś ogólną przyczynę ograniczenia swobody artystów w tem, iż służące temu malarstwu ściany, jako część dzieła architektonicznego, są podporządkowane większej całości a tak pokrywające je malowidła muszą się do charakteru tej całości dostosować, będąc zresztą uwarunkowanemi przez kształt, wielkość, położenie i otoczenie tych ścian.

Przedstawione tu myśli mieszczą obok wielu trafnych, niecałkiem zresztą nowych spostrzeżeń zależności sztuk stosowanych, sporą domieszkę jednostronnych punktów widzenia. Te ostatnie zaś zdają się mieć źródło w niedostatkach samej teoryi wczuwania się. Możność wczucia się w dzieło sztuki ma polegać na tem, że dzieło to albo ożywia materyał kształtującemi go siłami, albo przenosi nas w świat widzeń artysty. Jeżeli w aktach naszych uciech estetycznych i oglądań mamy się naprawdę, tak jak chce Lipps, w zupełności identyfikować idealnie — a nawet na dany moment egzystencyi naszej — realnie z życiem, które przenika utwór — w takim razie istotnie te dwa rodzaje produkcyi artystycznej: odtwórczo przedstawiająca nam jakieś widzenie i wyrazowo kształtująca jakiś materyał ożywczemi dlań siłami, powinny stanowczo i ostro od siebie się wyodrębniać, odrzynać, bo jeżeli zmiarkujemy, że pewna forma zarazem coś wyraża i coś innego ma oddawać, zostaniemy odrazu wyrzuceni z owego rzekomo najwyższego stanu estetycznego, doskonałego wczucia się. Ale w istocie pewnych przynajmniej, a może właśnie najpodnioślejszych stanów odczucia piękności, zdaje nie tkwić nie samo wyłącznie takie rzekome utożsamianie się. Znajdujemy wprawdzie w tego rodzaju bardzo wysoko cenionem pięknie, wyraz niezmiernie potężnych, głębokich i szeroko rozpościerających się sił psychicznych. Lgniemy oczywiście do nich, odtwarzamy je w sobie i przyswajamy z zapałem, czując wśród tej akcyi duchowe podniesienie naszego jestestwa. I do tej granicy można się zgodzić z teoryą Lippsa. Ale poza tem działaniem wyrazu sił psychicznych na nas, poza tem przenoszeniem

się w piękno i utożsamianiem się z wyrażoną w niem treścią jest coś więcej, bo odsłanianie się bezwzględnych wartości, nieskończonych perspektyw, praw powszechnych, co do których nie możemy nawet w bezpośredniej, na pół bezwiednej intuicyi być tak dalece w błędzie, abyśmy te wszystkie wartości czuli już zrealizowanemi w nas samych, abyśmy się zachowywali wobec nich jako wobec czegoś już posiadanego przez nas a nie jak wobec ideału będącego bezkreśnym celem dążenia, ideału przyświecającego całości duchowego rozwoju, obejmującego naczelne prawa wszystkich istnień, uzupełniającego to wszystko, co w nich jest ułamkowem i niedorosłem do pełni bytu. Z tych zatem powodów, ponieważ teorya wczuwania się nie uwzględnia absolutnego, transcendentnego, wyrastającego ponad każde konkretne przeżycie pierwiastku piękności — zdaje się ona potrzebować gruntownej reformy — a taka, jaka jest, nie zdaje wyczerpująco sprawy ze stosunku sztuk wyrazowych do odtwórczych.

Witold Rubczyński.

Z TWÓRCZOŚCI ROBERTA HICHENSA.

(Dokończenie.)

Toż samo, choć w mniej pochwalnym stopniu można powiedzieć o jednotomowej powieści, prawie nowelli *Barbary Sheep* (Berberyjskie owce).

Tu powracamy na krótki czas w okolice Beni-Mora, i wstępujemy wraz z młodą parą angielską do hoteliku, tulącego się w głębi skalnego parowu kończącego się pustynią. I wraz owiewa nas tenże sam czar Afryki, który młodego męża porywa w dal, na szczyty gór, w łowieckiej pogoni za gazellami i dzikiemi berberyjskiemi owcami, a pozostawionej samotnie kobiecie zamąca głowę. Upojona urokiem nieznanych dotąd wrażeń, wśród nieznanego świata i nowej dla niej rasy ludzi, Lady Wyverne daje się chwilę unieść przelotnemu marzeniu. Rzecz kończy się krwawym dramatem, z którego ocknięta na czas wychodzi cało. Piękny Arab Benczaalol, oficer francuskich Spahisów, który jej się zrazu zdał wcieleniem Wschodu przypomina postać Baroudiego z Bella Donny, ale w podlejszym gatunku, bo odepchnięty gdy sięgał po miłość, chwyta jak zwykle zbój za jej łańcuszek z brylantów. W nowelce tej autor chciał, zda się, wykazać o ile ślepa namiętność myśliwska może w sobie mieścić egoizmu wystawiającego na szwank szczęście i życie ukochanych istot. Co prawda Lady Wyverne jest tu wystawiona jako kobieta młoda, lekka, przywykła rządzić się fantazyą ale uczciwa i dobra. I takiego motyla mąż kochający, poczciwy ale pochłonięty passyą

wszelkiego rodzaju sportu zostawia samą, nie myśląc nawet, że czar jaki dla niego mają „berberyjskie owce" może na niej wywrzeć pustynia i to co w pustyni tej żyje. Myśliwi obruszają się na tę książeczkę; jestto bowiem namiętność, która dla tego, że sama przez się jest niewinną, zda im się usprawiedliwiać wszelkie zaniedbanie obowiązku, wszelkie uchybienie względom powinnym, czy rodzicom, czy żonie lub dzieciom. Zapominają zbyt często co ktoś mądry — sam wyborny myśliwy — o myśliwstwie powiedział, iż „jest ona r o z r y w k ą ludzi rozumnych, a z a j ę c i e m głupich.

Na tym barwnym, szybkim, pendzlem naszkicowanym obrazku kończy się serya znanych nam afrykańskich powieści Hichens'a. Jest jeszcze *The woman with the fan* (Kobieta z wachlarzem) ale — nawet dla sprawozdania — nie podobna wszystkiego przeczytać! Lepiej uderzywszy się w piersi przejść odrazu do pokrewnej Afryce Sycylii, pomiędzy ludność o krwi mięszanej italskiej, arabskiej i greckiej. Wiedzie nas tu i przez dwa obszerne tomy mile więzi powieść *The Call of the blood* (Głos krwi). Jestto po *Garden of Allach* najsłynniejszy utwór Hichensa. Jeżeli wolno wszakże wypowiedzieć osobiste zdanie, które może miłośnikom Sycylii wyda się herezyą — powiem, że powieść byłaby zyskała, gdyby była krótszą. Effekta świetlane, obrazy morza, i nieba są cudowne, dźwięki fletu i piszczałki góralskiej bardzo urocze, ale co innego jest długo na nich rzeczywiście używać a co innego wielekroć czytać ich opis — choćby tak czarujący jak z pod pióra Hichens'a. Treść jest niezwykła, może nieco w kolorycie przesadna. Przynajmniej tak się z nad brzegów Wisły wydaje. Główną postacią jest młody Anglik Maurycy Delarey piękny jak bożek grecki, a więc pięknością nietylko twarzy i przepaścistych oczu ale całego ciała, każdego ruchu, każdej postawy a tem piękniejszy, iż nie wie o swojej urodzie, iż gotów z dziecięcą prostotą klękać przed każdą umysłową wyższością. Czyni wrażenie Hermesa ledwie dotykającego ziemi, uskrzydlonemi stopami i czekającego tylko na rozkaz z góry, aby odlecieć. I nie dziw, bo dziadek jego poznawszy w podróży piękną Sycylijską wieśniaczkę przywiódł ją jako żonę do Anglii, a uroda jej dostała się

w spuściźnie wnukowi. Ter zaś w chwili rozpoczęcia się opowieści zakochuje się w pannie o dziesięć lat od niego starszej... Hermiona jest wysoką, niełądną, silną, ale promieniejącą dobrocią i blaskiem umysłu. Posiada duszę z kryształu i ognia, posiada serce złote, które pierwszą a spóźnioną ogarnięte miłością tonie obecnie w szczęściu i wdzięczności dla nieba, że jej to szczęście dało. I dzieje się, że oboje wzajemnie korzą się przed sobą: ona w poczuciu braku własnych wdzięków w obec tego chłopca o olimpijskiej postaci, on zaś w poczuciu własnej umysłowej niższości. Francuski powieściopisarz Artois, długoletni przyjaciel Hermiony patrzy z pewną obawą na kojarzący się związek: „On ma zbyt wiele w sobie Południa a ja Południowi nie ufam", myśli z cicha, ale wrażenie to stłumia podejrzywając się samego o pewną zazdrość, o obawę utracenia wiernych stosunków przyjaźni. Hermiona i Delarey pobierają się i wyjeżdżają — a raczej Hermiona uwozi męża do Sycylii na stok Monte Amato, pod którym osada Manachiaro — wpół wieś, wpół miasteczko rozciąga się nad skalistem wybrzeżem morza. Maurycy przybywa do wręcz obcego kraju i dziwi się, że mu się tu wszystko tak swojskiem wydaje, że po kilku dniach czuje się bliższym tutejszych ludzi niż nawet swych angielskich przyjaciół. I Hermionę chwyta niemal strach, gdy wmięszawszy się między chłopców tańczących tarantellę, mąż jej równie chłopięcy jak oni — chwyta instynktowo ich ruchy i skoki; gdy ze służącym ich, młodym Sycylijczykiem wybiega na połów, lub ze strzelbą za ptakami ugania, uderza ją podobieństwo tych dwóch: podobieństwo nie twarzy ale cech rasowych. I robi jej się smutno jakby przez to samo jej Hermes odlatywał od niej, jakby go wchłaniała w siebie Sycylia. Bo też Sycylia wchłonąć go miała...

Wkrótce doszedł ją list z Kajruanu od Emila Artois. Biedny powieściopisarz wyjechał był na wycieczkę do Afryki i tu leżał ciężko chory, niemal umierający, samotny. Nie prosił o jej przybycie, ale sam list był jękiem boleści, więc Hermiona acz z wielkiem żalem wsiadła na pierwszy pociąg i na pierwszy statek spiesząc przyjacielowi z pomocą. Delarey nie sprzeciwił się — był na to zbyt łagodnym i żonie uległym — ale uczuł się skrzywdzonym,

nieco zazdrosnym, nie o serce Hermiony ale o jej względy, markotnym, że mu przerywają miodowe miesiące dla tego starzejącego się Francuza. Więc jakby na złość postanowił się bawić bez Hermiony, użyć, nie czyniąc nic złego, wszelkich sycylijskich rozkoszy i wszedłszy na pochyłą ścieżkę jął zwolna się staczać. Próżnemi już były ostrzeżenia służącego Gaspara, patrzącego ze strachem na rozpoczynającą się idyllę jego padrone z Magdaleną, córką rybaka Salwatora. Ten ostatni czysty Arab, przebiegły, chciwy i mściwy wyciągał z Delareya pieniądze, ale z ukosa spoglądał nań groźnie. Hermiona powróciła o jeden dzień zapóźno. Zastała męża zmienionego: z oczu jego znikła wesołość, z ust uśmiech, z postaci lekkość młodzieńcza. Maurycy czuł się winnym, ten jeden grzech, nad którym wielu byłoby się prześlizgnęło z wesoło zamąconem sumieniem, palił mu duszę. Brzydził się sam sobą, byłby, jak dosadnie wyraża się autor, „rad sam wymiotować się z siebie", czuł się onieśmielonym wobec żony serdecznej, czułej, rozradowanej powrotem i tak ufnej w jego uczciwą wierność, iż drżące mu na ustach słowo wyznania nieśmiało wyrazić się w głos.

Męka jego wszakże nie trwa długo, bo Salvatore wezwał go na rozmowę grożąc, jeśli nie przyjdzie, wyjawieniem prawdy Hermionie. Więc Delarey idzie pod pozorem morskiej kąpieli i tego samego wieczora Gaspare i Hermiona zaniepokojeni jego długą nieobecnością, znajdują go utopionego z śladem tępego uderzenia na skroni; znajdują go u stóp skał w pobliżu domu Salvatora. Gaspare zgaduje prawdę ale milczy, milczy też Artois, który uratowany przez Hermionę od śmierci z nią do Sycylii przyjechał i teraz otaczał ją braterską opieką usiłując jej kielich boleści ustrzedz od jadu goryczy. Wie, że stratę swego szczęścia znieść może a nie zniosłaby rozczarowania. Rzecz zaś tem jest ważniejsza, iż Hermiona prócz pamięci krótkiego snu — ostatniego snu młodości uwozi z Sycylii nadzieję macierzyństwa.

Powieść *A spirit in prison* (Duch w niewoli czy też w więzieniu) jest dalszym ciągiem i uzupełnieniem poprzedniej. Hermiona osiadła w Neapolu i tu pozostała, wychowując córeczkę,

piękne dziecię pochłoniętego przez Sycylię Maurycego. Lata minęły, a w sercu wdowy stał wciąż w złocistej aureoli tonący, ołtarz, poświęcony jej ludzkiemu bóstwu, cudnemu Hermesowi odzianemu jej wyobraźnią nieskazitelnością aniołów. Autor nazywa złudzenie niewolą duszy, więzieniem, którego ściany bronią jej dostępu do prawdy, w której jedynie jest wolność. To też przywodzi Hermionę do chwili, gdzie ściany te pękają i odsłaniają rzeczywistość, która jej rozognionej fantazyi wydaje się otchłanią piekła. W rozpaczy usiłuje sobie życie odebrać, rzucić je na pastwę, tym samym błękitnym falom Śródziemnego morza, w których niegdyś znalazł śmierć Maurycy. Uratowana wszakże przychodzi do zmysłów, uznaje, że to co kochała na ziemi było tylko istotą ziemską a więc słabą i ułomności ludzkiej podległą, wrażliwą na otoczenie, na „głos krwi" Południa, odzywający się gwałtownie pod słonecznym żarem Sycylii. Sycylia poznała w Maurycym swe dziecię, owładnęła je i nie puściła więcej. „Ludzie z Północy nie powinni sądzić ludzi z Południa", wyrzekł Maurycy kilka godzin przed śmiercią, a my powiemy, iż tem bardziej sądzić nie powinni, iż nie są od nich lepszymi i, że nie jeden mógłby mu pozazdrościć czułości sumienia tak gorzko odczuwającego i opłakującego pierwszy grzech młodości. Wywody a raczej hipotezy Hermiony o wyrokach Bożych mogą się zrodzić w każdem cierpiącem sercu, w druku jednak krystalizują się i chwilami bywają przykremi. O deistycznych uwagach Emila Artois nie ma co wspominać, książka byłaby zyskała na zupełnem ich pominięciu. Całość wszakże nie robi wrażenia żadnej tezy, tylko powiewu gorącego wiatru z pod Etny, oblanego szafirem wód i złotem promieni słońca, zamknąwszy kartki zda się jeszcze słyszeć dźwięk tamburynów lub pasterskiej tłetni grającej melodye, jakie zapewne z tych samych wzgórz, pod tem samem słońcem, za greckich czasów płynęły.

Dodać należy, iż tu znów mimo chwilowej drażliwości przedmiotu pióro Hichensa pozostaje czystem, nie dotykającem ludzkiego brudu, co ogromnie wiele wdzięku utworowi jego dodaje. To jednak nie zawsze się powieściopisarzowi udaje i przyznać trzeba, że mniej idealnie, niż w poprzedniej wybrnął

(chwilowej także) z sytuacyi drastycznej w przedostatniej swojej powieści *The fruitful Vine* (Rodząca latorość winna).

O książce tej niełatwo wydać sąd. Jest bowiem ślicznie napisana, interesująca, pełna pięknych opisów, może głęboko psychologiczna ale — nad wyraz przykra. Rzecz odbywa się w Rzymie, wśród rzymsko-kosmopolitycznego świata, różnobarwnego cechami różnych narodowości. Jest więc w dwóch tomach zbitego druku pole do odmalowania pięknych obrazów Rzymu i Kampanii i do odrysowania mnogich typów zwłaszcza kobiecych. Rzymianki widziane trochę z daleka nie wychodzą zbyt pięknie: powierzchowne, często płoche a w gruncie namiętne aż do tragizmu. Jest młody książe rzymski zbyt typowy, bo nadający się wprost do klasycznej tragedyi; jest drugi Rzymianin Pacci, oryginał, historyk zagłębiony myślą w przeszłości, w życiu powszedniem łagodny, roztargniony i niemal dziecinny; jest trzeci Marchese Montebruno kosmopolityczny gracz, przeżyty, strupieszały, ale zachowujący na dnie duszy płomień tradycyjnych nienawiści i przyjaźni rodzinnych. Są obok nich i to na pierwszym planie Anglicy w Rzymie osiedli, ci wokoło których snuje się dramat powieści. Jest przedewszystkiem Sir Theodore Canynge i jego żona Dolores, oboje inteligentni, przystojni i dobrzy. On, wytworny dyplomata, poznał przed dziesięciu laty młodsze od siebie dziewczę, sierotę o wysmukłej kibici i słodkich oczach gazeli i w pierwszych latach szczęście przyświecało ich stadłu. Tylko że z roku na rok napróżno wyglądali potomka. Póki atoli Sir Theodore był w służbie, póty nie odczuwał tego braku; dopiero gdy w chwili złego humoru zrzekł się karyery, spostrzegł pustkę w domu i brak celu w życiu. Uczucie to zaś spotęgowało się jeszcze gdy po dwóch latach bezcelowej wędrówki osiadł w starym pałacu w Rzymie i jął go z pomocą żony urządzać wspaniale. Gdy jednak po dokonaniu dzieła stanął w ogromnych a milczących pokojach zapytał sam siebie — dla kogo? — i jał porównywać swój los z szczęściem dawnego kolegi Denzila, mieszkającego opodal w skromnem mieszkaniu z gospodarną żoną i trojgiem dzieci. P. Hichens wprowadza nas na scenę w chwili, gdy Sir Theodore wyraża gorzko przed żoną

żal swego życiowego zawodu, a ona zawsze trochę onieśmielona wobec jego umysłowej wyższości, nie śmie przytulić go do siebie i ukoić swoją miłością, milknie, sztywnieje i poczyna łamać sobie głowę nad sposobami zaradzenia złemu przez zapełnienie mężowi pustego życia. Wpada na niefortunny koncept urządzenia u siebie artystyczno-literackiego salonu i wkrótce pałac napełnia się ciżbą wszelkich znakomitości zmięszanych z elegancyą high-life'u — a Sir Theodore ucieka przed gwarem, chroniąc się do domu przyjaciela, w atmosferę dziecinno-rodzinną. Biedna Dolores nie czyni mu nigdy wymówki, ale czuje, że przedział między nią a mężem z każdym dniem się powiększa. Pragnienie macierzyństwa staje się męczarnią każdej chwili a z tem pragnieniem rodzi się pewien żal do szczęśliwych ludzi, którzy zabierają jej męża. Aliści i na tych szczęśliwych spada grom z jasnego nieba. Denzil zaskoczony nagle koniecznością niebezpiecznej operacyi, przyjmuje propozycyę Sir Theodora, aby ją przebyć w jego pałacu, prosi wszakże, aby o wszystkiem milczano przed jego żoną, chcąc, by ona i dzieci mogły jeszcze obchodzić wesoło urodziny starszego synka. Dolores z konieczności uprzedzona, przysposabia skrzętnie apartament na przyjęcie chorego, zdjęta przytem strachem o szczątki własnego szczęścia. Wie, że z chwilą zgonu Denzila jej mąż odda się całkowicie opiece nad jego dziećmi, że go straci na zawsze, więc modli się bez przerwy, błaga namiętnie, gwałtownie o powstrzymanie grożącego ciosu. Cios atoli uderza i przewidzenia jej spełniają się co do joty. Sir Theodore sam przejęty żalem przewozi do Frascati rodzinę zmarłego, jak brat najczulszy opiekuje się wdową, dzieciom zastępuje ojca, jeździ do Anglii dla ich spraw majątkowych a w domu własnym — staje się gościem i to gościem wciąż roztargnionym i spieszącym się. Wtedy Dolores szuka oszołomienia w zgiełku światowym, mąż pogardliwie dziwi się jej prożności, wtedy, gdy za jeden uśmiech rzuciłaby mu wszystkie swe tryumfy pod stopy. Świat dolewa jej goryczy, tłómacząc złośliwie jej postępowanie wobec pani Denzil; gdy sama Dolores próbuje do niej i jej dzieci się zbliżyć, czuje się odepchniętą — dzieci chcą tylko „Wujcia Theo", a Edna Denzil zazdroszcząc

jej mniemanego szczęścia, mrozi ją swym chłodem. To też, gdy Sir Theodore chcąc być bliżej pupilów, najmuje dla żony i dla siebie willę w Frascati, Dolores nie może tam wytrzymać i ucieka pod pozorem zdrowia — nad jezioro Como. Mąż obiecuje jej przyjazd; dzień i godzina już oznaczone. Dolores daje się napowrót unieść nadziei. Tu przecież będzie go miała dla siebie, tu nikt między nimi nie stanie, więc odzyska dawną miłość, dawny spokój i szczęście. Z radosną gorączką sposobi mu mieszkanie, zdobi je w książki i kwiaty, zamawia parowczyk, by na spotkanie jego wyruszyć, tak iż dokoła niej prości ludzie się dziwią: „Patrzcie, jak ta *signora* męża swego miłuje!" Gdy jednak dzień naznaczony nadchodzi, oddają jej depeszę, donoszącą o niemożebności przybycia, bo „mały Denzil ciężko zachorował".

Zawód jest gorzki i na złą trafia chwilę, bo na obecność młodego Cesara Carelli, którego płomienne uczucie objawia się w każdym ruchu, w każdem obojętnem słowie. Więc jej zbolałą duszę chwyta strach i nazajutrz gdy Cezar o nią się pyta, dowiaduje się, że odjechała ze świtem. Uciekła do Rzymu, do głuchego pałacu, gdzie każdy szmer odbija się echem, gdzie z obrazów patrzą nań oczy ciekawe lub drwiące. Rzym o tej porze pusty, znajomi wyjechali na wieś lub nad morze i Dolores spotyka jedną tylko znajomą twarz. Jestto Lady Sara Ides, kobieta już nie młoda z duszą wzbogaconą i uszlachetnioną cierpieniem. Pochowała męża i kilkoro dzieci, została sama ale z Bogiem w sercu i ogromem współczucia dla cudzych boleści. Teraz właśnie wracała z Londynu, gdzie przez kilka miesięcy pielęgnowała chorych w szpitalach. Dolores nie zwierzała jej się nigdy, — ona czuła instynktownie co się w jej biednem secu dzieje — pomódz jednak nie mogła, bo to serce za najlżejszem dotknięciem zamykało się jak kwiat mimozy. Lady Sara wiedziała, że bezdzietność jest dla Lady Canynge cierpieniem; nie mogła jednak odgadnąć, że to cierpienie doszedłszy dzięki zaniedbaniu przez męża do najostrzejszego stopnia, zamieniło się w bolesną monomanię, krzywiącą umysł i zamącającą sumienie. „Co się ze mną stanie, jest obojętnem — powtarza

sobie Dolores — cóż moja istota znaczy? Ale muszę spełnić przeznaczenie kobiety, muszę urodzić dziecko — nie dla mnie: dla męża i dla ludzkości!" I biedne oszalałe stworzenie pozostawione bez rady, bez oparcia na szerokim świecie, czyni z siebie grzeszną ofiarę, korzystając z miłości, której ani na chwilę nie jest wzajemną. Z oszołomienia budzi ją odgłos wystrzału — to Markiz Montebruno, zrujnowany grą, przyszedł się pod jej oknem zastrzelić, wyszpiegowawszy ją i zdenuncyowawszy innej kobiecie, zazdrosnej o księcia Carelli. Uczynił to „dla prastarej rodzinnej przyjaźni"... Dolores wróciwszy do zmysłów, poznaje swą winę, ale musi przenieść jej skutki. A skutki straszne, bo to, za co przed grzechem byłaby życie oddała: nadzieja macierzyństwa i powrotna fala miłości promieniejącego szczęściem męża, staje się dla niej męczarnią każdego dnia, każdej godziny. Siedzi długiemi godzinami w milczeniu wpatrzona błędnym wzrokiem w czarodziejskie niebo Sycylii, nieczuła na otaczające ją piękności, na czułe słowa męża, na jego troskliwą opiekę. „Nie dla mnie" — powtarza sobie głucho, jakoby na uniewinnienie swego czynu. I tak znosi wszystko — do końca. Dopiero po zgonie żony, Sir Theodore dowiaduje się prawdy częścią ze złośliwego listu owej zazdrosnej kobiety, a reszty z ust poczciwej i uczciwej *narse* Irlandki, jedynej powiernicy dni ostatnich zmarłej. Dowiaduje się, iż on sam przez samolubstwo i bezwzględność pchnął nieświadomie do rozpaczy, do grzechu i śmierci to biedne, kochające go nad miarę stworzenie. Więc upokorzony oddaje dziecię Lady Sarze i pozostaje sam z głębokim żalem w sercu...

Opowiadanie Hichensa zda się być na tle prawdziwego faktu opartem. Dolores jest wprawdzie w najwyższym stopniu *une femme incomprise* t. j. typem używanym i nadużywanym w czasach p. Sand i Balzac'a, jest nią wszakże na prawdę, bez cienia próżności, stanowiącej główny rys owych poprzednich postaci. U niej przeciwnie jest absolutna nieświadomość swych wdzięków, jest ogromna słodycz i pokorna nieśmiałość, pokrywająca rzeczywiście niezrozumiane skarby miłości. Jest przytem charakter jakoby dziecięcy, brak wyrobienia moralnego, brak

owej swobody i stanowczości w postępowaniu, jaką dają zasady z silnego wychowania religijnego czerpane. Autor nie miał zapewne zamiaru z tej strony obrobić swą tezę, jest bowiem, jak mówiliśmy, sam nieco mglistym deistą, czczącym głęboko każdą szczerą wiarę. ale nie wyróżniającym żadnej. Z powieści jego wszakże bije w oczy fakt bezsilności moralnej, biednej, niereligijnie wychowanej Dolores, fakt przeciwstawiony mocy ducha i wyrobieniu Lady Sary głęboko pobożnej, a więc zbolałej, ale nie złamanej ciosami życia. Charakter Sir Theodora — mięszanina poświęcenia i egoizmu — może nieco jaskrawo narysowany — a jednak — gdyby nieco uważniej patrzeć dokoła siebie, możnaby napotkać niejeden podobny typ choć z innem ubarwieniem i w innym rozwinięty kierunku. Wieluż to ludzi poświęca najbliższe obowiązki dla urojonych lub przynajmniej dla takich, któreby dla nich powinny stać na drugim planie! Byłoby zbyt długo wyliczać a właściwie nie tu na to pora. Wracając do powieści *The fruitful vine* dodać należy, iż straciłaby trzy czwarte uroku, gdyby ją autor był usunął z cudnych ram Sycylii i Rzymu wśród lata, Rzymu, jakiego prawie nikt z nas nie widział; tonącego w powodzi złocistego żaru, w poważnej ciszy i osamotnieniu starożytnych murów. A Kampania i dalsze okolice Wiecznego Miasta? Zda się czytając, iż możemy pochwycić w nich każdy odcień, każdy blask, każdą woń, każdy dźwięk dzwonka lub pasterskiej piosenki. I nie dziwimy się, spotykając nocą wśród stepu Kampanii Signora Pacci, otulonego błękitną opończą i zapatrzonego w dal, kędy mu widnieją postacie starych Rzymian lub średniowiecznych rycerzy. Toż on z nimi poufalej przestaje niż z obecnym kosmopolitycznym światem. W świecie tym mało już jest prawdziwych Rzymian — toż nawet typowy *principino* Cesare Carelli urodzony jest z Angielki. Ta co prawda, sercem, duszą, umysłem i zwyczajami przylgnęła do nowej ojczyzny, nie mogła jednak zmienić krwi, którą przelała w swe dziecko. Ztąd owa melancholia, która synom Południa nie znana, a która od czasu do czasu gasi żar w czarnych oczach Cezara — rzekłbyś mgła z nad północnych mórz przepływająca przez jego namiętne serce. Obok niego równie namiętnie typową jest postać

księżny Mancelli, odbijająca wśród międzynarodowego tłumu, który kotłuje, tańczy, gra w karty i łyżwuje na kółkach po mozaikowych posadzkach pod groźnym okiem starych Orsinich lub Ruspolich, spoglądających z ściemniałych portretów... Można niektóre rysy krytykować w tym utworze Hichensa, każdy jednak przyznać musi, iż koloryt w nim jest bajeczny, iście tycyanowskim nakreślony pendzlem.

Oryginalna, niemal dziwaczna dwutomowa powieść *The slave* (niewolnica) acz jedna z pierwszych przez autora wydanych, może być uważaną jako utwór przejściowy pomiędzy obrazami z powszedniego życia a wytworami fantazyi o cechach okkultystycznych. Widzimy tu dzieje istoty młodej, pięknej, obracającej się w wysokich kołach Londynu, ale dotkniętej monomanią pod względem drogich kamieni. Lady Caryll kocha je nie dla ich ceny, nie dlatego, że podnoszą jej wdzięki: dla niej są to istoty żyjące tajemniczem życiem zaczerpniętem w sercu ziemi, siejące blaski świadome, istoty wywierające wpływ na losy człowieka, zdolne do odczucia żalu czy też radości. I sama jest jak klejnot piękna i zimna, czysta jak perła a twarda jak brylant. Jako młoda dziewczyna odrzuca obojętnie miłość dobrego, szlachetnego człowieka, później łamie równie obojętnie życie i geniusz wielkiego muzyka, szukającego w niej ludzkiego serca o ludzkiem uczuciu. Jedyny, który ją zrozumiał, to syn Angielki i tureckiego baszy a baronet angielski Ruben Allabruth, stary, drobny, spalony słońcem Wschodu. Ten olśniewa ją blaskiem drogich kamieni i wydaje się jej geniuszem wprowadzającym ją do tajemniczych grot Alladyna. I Londyn dziwi się związkowi tych dwojga istot, ale zdziwienie wkrótce tonie w podziwie dla cudnych pereł, szafirów, rubinów, jakiemi Sir Ruben Allabruth okrywa młodą małżonkę. Jest zwłaszcza olbrzymi szmaragd, który wzbudza nie podziw już, lecz zdumienie; klejnot stary, na którego powierzchni dawno zmarły artysta wyrył trzy postacie: duszę ludzką, uprowadzaną przez duchy rozkoszy. Lady Caryll kocha ten szmaragd, jakoby fetysz strzegący jej życia; to też nie rozstaje się z nim nigdy i w niego wpatrzona słucha fantastycznych opowieści męża, wschodnich

bajek o drogich kamieniach, o ich pochodzeniu, ich właściwościach, ich tajemnej potędze. I oboje żyją szczęśliwi, bo Sir Ruben w pierwszem małżeństwie wypalił całą miłość swego serca, odpłaconego nikczemną zdradą, więc od obecnej żony wymaga tylko uśmiechu pięknej odaliski — ona zaś widzi w nim tylko skarby Alladyna i coraz to nowemi ustrojona blaskami, nie skąpi mu żądanego uśmiechu. Ani się zastanawia nad bezużytecznością swego życia, ani domyśla ogromu dobrego, jakie mogłaby wkoło siebie czynić a nie czyni. Mały akrobata, którego przypadkiem poznała i pięknością swoją olśniła, zabija się, wykonywując niebywałą sztukę na to, by uśmiech na jej usta wywołać. Umierając wśród srogich męczarni, błaga, by ją módz chwilkę zobaczyć; Lady Caryll zaś obojętnie odmawia zdziwiona, że ktoś śmie swoim jękiem złoty jej sen przerywać. I śni dalej, nie zauważając coraz bardziej więdnącego wyglądu męża, ani nieznanych jej ludzi, coraz częściej u drzwi jego dzwoniących. Marzy o podróży po wschodniej ojczyźnie swych skarbów, lecz pewnego wieczora, gdy je wszystkie wkoło rozkłada, Sir Ruben nagle u jej stóp upada bez życia. Z nim znika cała fantasmagorya Wschodu. Wierzyciele, zabierają pałac, zabierają perły, szafiry, rubiny — jeden tylko olbrzymi rznięty szmaragd pod wdowią suknią schowany pozostaje własnością Carylli. Z nim tuli się w małem mieszkaniu w oddalonej części Londynu; on jeden ją pociesza po stracie tylu kamieni, za któremi Lady Caryll płacze i mniema, że i one w obcych rękach smucą się i tęsknią. Ale niestety, o cudnym szmaragdzie wiedzą nietylko złotnicy wszystkich stolic; długie o nim rozmowy toczą się po nocach, kędy złoczyńcy gotują swoje wyprawy. I pewnej nocy, gdy Lady Caryll usnęła pieszcząc się swoim kamieniem, wysoki, blady mężczyzna wkrada się do jej sypialni. Lekka zazwyczaj sprawa okraść śpiącą kobietę, ale Lady Caryll się budzi i rozpoczyna się walka, wśród której zbój mniema chwilami, że ma przed sobą rozjuszone zwierzę. Z okrwawionemi rękami, ale z drogą zdobyczą uchodzi wreszcie, zamykając za sobą drzwi, o które Lady Caryll szalona rozpaczą napróżno rozbija swe pięści. Życie bez szmaragdu, to dla niej gorsze niż śmierć, więc odtąd odzyskanie

go staje się dla niej jedynym celem każdej chwili, każdego kroku. Policya w poszukiwaniach chybiła, więc Lady Caryll szuka sama, szuka nie samego klejnotu, ale twarzy złoczyńcy, która się w jej pamięci wyryła. Wyciągnięta z chwilowej biedy, odziedziczonym po wuju majątkiem, nie myśli o wygodach lub zbytkach. Za to postać jej, piękna, ale jakoby skamieniała, snuje się wszędzie, gdzie tylko tłum ludzki zbiera się, aż w końcu w dzień wielkiego przedstawienia w operze zdumionym oczom ukazuje się w loży obok wysokiego, bladego mężczyzny spokojna, promienna, ze swym olbrzymim szmaragdem na piersiach. Wychodząc, towarzysz jej z przesadną grzecznością toruje drogę żonie wśród rozciekawionego tłumu.

„Patrz — paryski Jack ma szansę!" szepce z boku detektyw do swego kolegi.

A ów dobry, szlachetny młodzieniec, którego miłość Lady Caryll niegdyś odrzuciła obojętnie, który pomimo wszystkiego tak w nią jeszcze wierzył, iż gdy ją widział w żalu i ubóstwie, po raz drugi daremnie o jej rękę poprosił, obecnie odchodzi smutny i wspominając wyryty na szmaragdzie obraz duszy, opętanej rozkoszą, pociesza się myślą, iż rozkosz przeminie, z rozkoszą minie niewola a dusza pozostanie żywą na wieki.

W sprawozdaniu wypadło z konieczności pominąć bardzo charakterystyczny opis rodziny tancerek i akrobatów — osobny światek, bardzo patryarchalny, uczciwy i skromny a przytem oryginalny samym rodzajem fachowego zajęcia. Jakże często ludzie zapominają, że ów chłopiec w czerwonych trykotach, wywijający koziołki o kilka metrów nad ziemią, owa tonąca w sztucznych obłokach „bogini" lasów lub źródeł, może mieć ojca niespokojnie czekającego u wejścia i mniejsze rodzeństwo, któremu owe koziołki i obłoki zapewniają obiad na dzień następny! Hichens przypomina to w bardzo ładny sposób — sam jednak główny pomysł, stanowiący jakoby oś całej powieści, wydaje się nienaturalnym — chyba że go jako allegoryę przyjmiemy.

Czy allegoryą również są *Flames* (Płomienie) opisane w innej powieści, tej, na której stanął cały gmach sławy autora? W każdym razie jestto utwór niezwykły i niepowszedni, zawierający

prócz dziwnej fabuły, tysiące mądrych a pięknych zdań, które miałoby się ochotę z książki wypisać. Dodać należy, iż też same fakta pod każdym niemal innem piórem wyszłyby okropnie lub wstrętnie. Sława zatem jest zasłużoną, pomimo, że biorąc rzeczy literalnie, nie możnaby z punktu dogmatycznego na treść jej się zgodzić. Dwiema głównemi w niej osobistościami są młodzi ludzie Julian Addison i Walentyn Creswell, obaj majętni, dobrze urodzeni i wykształceni. Pod tym względem zwłaszcza góruje Walentyn, dziwnej piękności i uroku jasnowłosy młodzieniec o wielkich szafirowych oczach i kryształowej duszy, której żaden brud czepić się nie zdołał, o wykwintnym umyśle, lubującym się tylko w prawdziwem pięknie. Londyn przezwał go był „Świętym z ulicy Victoria" — ale jak sam przyznawał, nie był prawdziwie świętym, bo nie zaznał nigdy pokusy ni walki a grzechu unikał instynktowo, bo się nim brzydził. Autor porównuje niewinność jego z niewinnością dziecka — przepiękną, ale stokroć mniej cenną od niewinności cnotliwej kobiety... Julian przeciwnie, miał naturę namiętną, miał gwałtowne instynkta trzymane w karbach przemożnym wpływem przyjaciela. Walentyn nie potrzebował prawić mu kazań — samo zetknięcie z jego czystością, z jego promienną doskonałością, starczyło za podporę, tamtemu służyło za hamulec i światło. Jednego tylko brakło „świętemu z ulicy Victoria": cnota jego nie była na religii oparta; brakło jej niezachwianych podwalin. Walentyn wszakże nie był wręcz niedowiarkiem; był obojętnym, ale wierzył w Boga, wierzył w istnienie duszy i mógł godzinami improwizować na fortepianie, wpatrzony w obraz Chrystusa Pana, z którego czerpał natchnienie. Na muzykę tę kojącą i w cudne podnoszącą marzenia, lubił w chwilach wielkiego znużenia przychodzić Dr. Levillier, sławny specyalista od chorób nerwowych, człowiek wielkiej wiedzy, głębokiej wiary i niewymownej dobroci. Kochał jak ojciec obu tych młodzieńców i rad z nimi przebywał wpatrzony w anielską twarz Walentyna, zasłuchany w jego cudowny śpiew. On też nie prawił kazań, a te byłyby się może samemu Walentynowi przydały. Przyszedł bowiem czas, gdy tenże jął się chwiać w swojej cnocie jedynie na instynkcie opartej. Gdy

Julian raz począł mu się żalić na swoją wadliwą naturę, żałując, że nie może odeń zapożyczyć coś z jego spokoju, Walentyn przyznał się, że go ten nieskazitelny spokój poczyna nudzić, iżby rad zakosztował nieco walki, nieco pokusy choćby na to, by módz zwyciężyć: „Dobrze by nam było, gdyby każdy z nas mógł drugiemu coś ze swej natury ustąpić".

„Albo i duszę na pewien czas zamienić" — odpowiedział Julian, dodając, iż poznał w świecie dziwnego a bardzo pociągającego człowieka nazwiskiem Marr, który mu tłómaczył, że podobna zamiana jest za pomocą magnetyzmu możliwą. Z razu myśl ta zdała się obu śmieszną; ciekawość jednak była rozbudzoną tak, iż postanowili „na żart" spróbować. Za pierwszym razem już Walentyn odczuł niewytłómaczone wrażenie grozy, jakoby świadomość obecności jakiejś niewidzialnej istoty. Co gorzej, wierny piesek jego trząsł się i warczał a gdy po seansie Walentyn zapalił światło, ujrzał, że kotara którą był na drzwi starannie zasunął, była odchylona... Po tym seansie, dzięki podszeptom Marra nastąpił drugi, przy którym objawy nadnaturalne wystąpiły z siłą zwiększoną. Wtedy młodzieńcy opowiedzieli wszystko Drowi Levilliers a ten w długiej rozmowie, którą chciałoby się całą przepisać, wytłómaczył im, że podobne praktyki naganne są i niebezpieczne dla duszy i ciała, że co najmniej prowadzą wprost do domu waryatów, poczem wymógł, że się ich wyrzekną. Obiecali ale nie dotrzymali. Walentyn dalej wahał się w swojej cnocie i dał za pośrednictwem Juliana skusić się przez Marra, którego nie znał. Po raz trzeci tedy zasiedli w ciemności, zamknąwszy psa, by im nie przeszkadzał. I znów na obu padła dziwna groza. Julian czuł pod swoją dłonią rękę, która nie była ręką przyjaciela, a potem nagle usłyszał krzyk i ujrzał naprzeciw siebie płomień podnoszący się w górę i ulatujący w powietrze. Gdy w przerażeniu odkręcił elektryczność, Walentyn leżał na swojem krześle — bez życia.

I nastąpiły chwile okropne, w czasie których Julian rozpaczał i zlorzeczył, a wpuszczony wierny Ripp kręcił się koło ułożonego na sofie martwego pana, łasił się doń i lizał po rękach i twarzy. Przybył Dr. Levillier, ale mógł tylko skonstatować

zgon; więc uklęknął cicho i zaczął się modlić. Ale oto stał się dziw, bo palce Walentyna jęły się poruszać, potem otwarły się oczy a po chwili podniósł się uśmiechnięty i począł mówić. W tej samej chwili jednak Ripp ze strachem z kanapy zeskoczył, schronił się warcząc na koniec pokoju, a gdy Walentyn chciał go wziąć na ręce, skoczył mu z wściekłością do twarzy...

Zrana Julian dowiaduje się, iż Marr skonał tejże nocy w bardzo podejrzanej gospodzie. Gdy wszakże z niechętnie towarzyszącym mu Walentynem udał się tamże, by go raz jeszcze zobaczyć, zdumiał się zmianą, jaką śmierć w całej jego osobie wywarła: twarz poprzednio tajemnicza i niemal zła, wyrażała obecnie spokój i dobroć, wyrażała jakoby wytchnienie po długiem znużeniu....

Na tem kończy się pierwsza część powieści. W dalszych widzimy powolną zmianę w obu młodzieńcach. Walentyn pozostaje wprawdzie równie pięknym i powierzchownie wykwintnym, ale wpływ jego zawsze na Juliana potężny, przestaje go wieść drogą cnoty. Z anioła stróża staje się szatanem kusicielem, witającym brzydkim śmiechem każdy upadek przyjaciela. Tłómaczy mu, że ich ubiegłe „białe" lata były czasem straconym dla życia, iż istotne życie polega na obrócenie w czyn wszystkich instynktów natury. Sam nie grzeszy, ale drugich pobudza do grzechu: strasznym wprost jest opis wieczoru w teatrze Empire, rodzaju wiedeńskiego Ronachera, gdzie Walentyn po przedstawieniu doprowadza licznie pozostałą młodzież do pijanego szału, do orgii i gwałtownych burd, którym kładzie koniec wkroczenie policyi. Jest wszakże coś, co mu staje zaporą w dziele niszczenia. Jasny płomień, który uleciał w górę w czasie ostatniego seansu, ukazuje się od czasu do czasu Julianowi jakoby przestroga; wtedy zda mu się, że ktoś nad nim czuwa, że cierpi nad jego poniżeniem moralnem. Jest też i ludzka istota, która nad niem cierpi a jest nią ulicznica, zwana Cuckoo Bright, dziewczyna dotąd pozbawiona zmysłu moralnego, gubiąca co dnia duszę dla chleba, nie wiedząc nawet, że duszę posiada. Julian spotkał ją o świcie na ulicy, w dzień a raczej po nocy omdlenia Walentyna, ujrzał ją wylękłą, nieszczęśliwą, zziębniętą. Nakarmił ją

przez litość — później dopiero miał się dowiedzieć, że była świadkiem zgonu Marra, że odeń w przerażeniu uciekła, bo jej się zdało, że samo piekło patrzy z jego oczu, że głos szatański brzmi w jego głosie. Poznawszy Juliana, przywiązuje się do niego głęboko i po raz pierwszy odczuwa swą hańbę. Chce więc mieć w życiu ten jeden klejnot, tę jedną czystą przyjaźń, a znając do głębi błoto grzechu pragnie go odeń ochronić. Wobec Walentyna odczuwa wstręt i zgrozę; w myśli mimowoli jednoczy go z Marrem, odciąga odeń Juliana. Ale cóż może istota upadła, nieuczona, niemądra — jak zmierzy się z pełnią duchowych i fizycznych sił Walentyna? A przecież rozpoczyna walkę, parta jakąś mocą tajemną, podniecona zachętą Dra Levillier, który w boju o duszę Juliana widzi i dla jej duszy ratunek. On sam zrazu nie poznał zmiany w osobie Walentyna. Świadomość zbudziła się w nim powoli i rosła podrażniona dwoma faktami: odrazy do Walentyna wszelkich psów, odrazą z trwogi i wściekłości złożoną a następnie zamarciem w nim cudnego niegdyś talentu muzyki. Teraz również potrafił grać, potrafił śpiewać, ale były to dźwięki okropne, łączące w sobie jęki wszystkich bolów, wycia wszystkich zbrodniczych żądz, wrzaski wszystkich złości.... I salon w którym szalał ten hałas piekielny, nie był już dawnym przybytkiem poważnego piękna: obecnie był to rozgardyasz sprzecznych form i kolorów, bezwstydnych fraszek i głupich konceptów, istna orgia rozpasanej brzydoty. Obraz Chrystusa, w którym niegdyś Walentyn czerpał natchnienie, najpierwszy zniknął ze ściany. W nocy po seansie, zaledwie Dr. Levillier i Julian opuścili zmartwychpowstałego Walentyna, tenże wszedł do nieoświetlonego salonu zkąd po dobrej chwili wyszedł z błyszczącą złością oczyma. Miał krew na palcach i okruszyny olejnej farby. Nazajutrz służący zastał na podłodze poszarpane strzępy obrazu....

Przez pewien czas Dr. Levillier mniemał, że jest obłąkanym, że stracił rozum wskutek owej magnetycznej próby. Później jednak musiał niechętnie przyznać, iż przyczyna zmiany głębszą jest i straszniejszą. Teraz już nikt nie mówił o „świętym z ulicy Victoria"; dobrzy ludzie kiwali głową nad tak gwałtownym

skokiem od cnoty do złego. Wszystkim żal było Juliana, który co dnia staczał się głębiej na dno rozpusty. Biedna „Kukułka" już nie widywała Juliana, ale nie mogąc walczyć słowem, poczęła walczyć czynem. Wyrzekła się brzydkiego rzemiosła, poczęła daremnie szukać pracy, aż w końcu głód zajrzał jej w oczy. Nie umiała się modlić, ale instynktem wiedziona, czuła, że zaparciem siebie się, że męką swoją może mu ratunek wyjednać.

I stało się, że gdy raz już nawpół z głodu przytomna, wyszła na ulicę, aby zaczerpnąć powietrza, ujrzała zbiegowisko a w pośrodku pijanego i błotem okrytego Juliana, miotającego obelgi przeciw stojącemu opodal Walentynowi. Obok czekała dorożka do której Walentyn chciał go powieść. Kukułka przedarła się przez tłum, ostatkiem sił pociągnęła za sobą nieprzytomnego młodzieńca, Julian zwalił się jak martwy w powozie, gdy zaś się obudził, ujrzał się w mieszkaniu Kukułki, która obok niego zwisała z krzesła omdlała z głodu. Zaledwie wróciła do zmysłów, ozwał się dzwonek i w progu stanął Walentyn. Chciał znów za sobą porwać swoją ofiarę, ale Julian się oparł. Dla niego również od dłuższego czasu obecny Walentyn wydawał się obcym, wydawał się intruzem, który przybrał kształty jego przyjaciela. Ten zaś już nie zaprzeczał, tylko śmiał się dziko i wyzywał do walki:

„Tak jest — mówił — Walentyn umarł, a ja ciało jego posiadłem. Poprzednio Marr zawahał się w dobrem, więc go z ciała wygnałem a potem gdy Walentyn się wahał, jego z kolei wygnałem i miejsce jego zająłem, wpoiłem w siebie siłę jego woli i tak przechodząc z ciała do ciała, własną potęgą nieśmiertelność posiędę!"

I następuje ostateczna walka dusz, w której błąkająca się po wygnaniu z ciała dusza prawdziwego Walentyna zwycięża i ulatuje radosna, unosząc ze sobą duszę Juliana. W tej samej chwili demon, który był kształty jego ziemskie opętał, uchodzi z wyciem a ciało rozsypuje się w proch.

Autor tłómaczy nam myśl, która mu dziwną treść natchnęła: cnota ludzka bez podpory łatwo się chwieje, a gdy raz jest zachwiana i nie ma czego się uczepić, zły duch, duch egoizmu

najgorszy z grasujących obecnie szatanów, wypędza ją i w jej miejsce w duszę wstępuje. Zwalczyć go i wygnać u siebie lub drugich można tylko poświęceniem, tylko oczyszczeniem własnego życia. Ale niestety p. Hichens zbyt obrazowo nakreślił swą powieść i obawiać się należy, iż wielu młodych czytelników pochwyci tylko powierzchowną, groźnie fantastyczną stronę, nie bacząc na głębsze znaczenie. Co jednak każdego uderzyć musi, to odraza do grzechu z każdej kartki, z każdego wiersza wiejąca, to ohyda, poniżenie, nużąca jednostajność rozpusty napiętnowana piórem ostrem a czystem. Autor nie uznaje konieczności używania kału dla chędożenia ulic jak to czyni mnóstwo naszych i francuskich pisarzy. Dobrem też jest zwrócenie uwagi na niewłaściwość praktyk magnetycznych, choć pod tym względem najlepszym może systemem jest odwracać od nich uwagę. Groza często umysł ludzki przyciąga zamiast go odpychać.... Zbyt długiemi też pod względem są rozprawy nad stanami duszy Kukułki. Książka zyskałaby na sile, a może i na jasności tezy, gdyby w niejednem miejscu długie ustępy przekreślić. Można bez znużenia długo słuchać o lazurze wód i złotych blaskach na błękicie nieba, można od biedy znieść kilkakrotne opisywanie wezbranych rynsztoków, żółtej mgły i mętnych obłoków, ale widok mętnej duszy nie jest przedmiotem, na którym długo bez znużenia zatrzymywać się można. Być może zresztą, iż te wywody dla tego tylko wadzą, iż czytelnik porwany dramatycznością akcyi, niecierpliwi się na wszystko, co ją przerywa, bo radby powieść z zapartym oddechem w jednym ciągu przeczytać.

Krótszym, bo w jednym niewielkim tomie zawartym jest ostatni a raczej najświeżej wydany utwór Hichens'a *The Dweller on the Threshold* (Stojący na progu). Tu już spirytyzm kwitnie w całej pełni i jest znów narzędziem, którem się autor posługuje, aby myśl swoją wyrazić. Myśl zaś jest taka: opisać wrażenia, rozdrażnienie i męki człowieka, który odłączywszy się od swego *ja*, byłby skazany na patrzenie, jakoby z progu na mniej lub więcej zdrożne czyny swego sobowtóra, czytanie z dala własnych myśli z rozbudzonym sądem i jasnem rozeznaniem złego i dobrego. Teza wcale ciekawa i piękna — szkoda tylko, że w zbyt fan-

tastyczną a przykrą szatę odziana. Oto „Rektor" jednej pierwszorzędnej parafii w Londynie, człowiek piorunującej wymowy, olbrzymiej siły moralnej i fizycznej, trapiony wątpliwościami w rzeczach wiary, pragnie za pomocą spirytyzmu zbadać zagrobowe arkana. Jako medium zaś obiera młodego wikarego, jasnowłosego, ubogiego duchem młodzieńca. Młody Chichester żywi dla swego przełożonego cześć bałwochwalczą i zaufanie bez granic, nie protestuje więc, gdy Rektor zapowiada mu, że pragnie z nim odbyć parę magnetycznych posiedzeń w celu przelania w jego słabą naturę nieco z nadmiaru własnej potęgi. Rektor jednak nie osiąga ukrytego zamiaru — coś w duszy ucznia staje mu oporem, tak iż ani razu nie zdoła go uśpić. Natomiast pozorny cel urzeczywistnia się ponad miarę. Chichester wzmocniony siłą zaczerpniętą z mistrza, poczyna czytać w jego sumieniu, widzi w niem myśl użycia go do bezbożnych praktyk i mszcząc się, wciąga stopniowo w siebie całą moc przeciwnika. Napróżno ten usiłuje się bronić, odmawiając dalszych posiedzeń — słaby młodzian przemieniony w groźnego kata, zmusza go do dalszych tortur przewagą swej woli. Sam jednak przez to skazuje się na mękę, bo przyswojonym sobie umysłem Rektora coraz dalej wnika w głąb jego duszy, widzi myśli brudne i ukryte przed światem nierządne życie. I poczyna się lękać jakoby o siebie samego, by się Rektor czy z mównicy, czy w rozmowie nie zdradził, więc mimo odrazy jaką doń odczuwa, pilnuje go na każdym kroku, śledzi każde jego słowo, przerywa mu w środku zdania rozmowę. Ktoś, który ich obu znał dawniej, zdumiewa się tą dziwną zamianą sił, lękliwem wymykaniem się Rektora z pod nadzoru wikarego, przypisuje nurtowaniu ukrytej choroby, bezsilne opadnięcie herkulesowego niegdyś organizmu. Publiczność napełniająca niegdyś szczelnie kościół św. Józefa, dziś wzruszając ramionami, rozchodzi się w połowie jąkliwych kazań Rektora a natomiast z zapartym oddechem słucha ognistych słów Chichestera. Co więcej, żona Rektora, gardząc dawniej milczącym, a słodko uśmiechniętym, młodym pastorem, poczyna podziwiać w nim zalety, które do niedawna niemal wielbiła w mężu. W końcu opuszcza go ze wzgardą i Rektor zupełnie

wyczerpany z sił, wyjeżdża sam do Australii za poradą lekarzy. Z drogi już przychodzi wieść o jego zgonie, ale wtedy znajomi przychodzący z kondolencyą do Chichestera zastają go we łzach, z dawnem dziecinnem spojrzeniem i dawnym łagodnym wyrazem. Z chwilą śmierci Rektora opuściła go opętańcza moc nieswojego ducha, opuściło też bolesne jasnowidzenie, skończyła się męka „patrzenia z progu" w głąb grzechem skalanej duszy... Spirytyści twierdzą, że takie przelanie sił jest rzeczą możliwą — nam a zapewne i innym chrześcianom wydaje się, że może być tylko mniej lub więcej długiem działaniem szatana, złudzeniem mogącem ogarnąć tylko duszę grzeszną a bezsilnem wobec duszy pozostającej w stanie łaski. Hichens nie omawia tej kwestyi; kreśli bez zastrzeżeń swą tezę, topiąc ją poniekąd w szczegółach.

Toż samo choć mniej wybitnie dzieje się we *Flames*. Tak w jednej jak w drugiej powieści, sama treść nie starczy na wyjaśnienie — autor musi podać je osobno to w formie rozumowań, to jak w *The Dweller on the Threshold* w formie przypowieści, którą Chichester z kazalnicy wykłada. Opowiada o pewnym człowieku, który idąc ulicą wieczorem, ujrzał przed sobą własną swą postać, jak szedł za tym sobowtórem aż do własnego mieszkania i tu stojąc u progu balkonu, słyszał każde jego słowo, śledził każdy ruch, czytał każdą jego myśl i z przerażeniem poznawał swoje złe czyny, swoje brzydkie myśli... Zaprawdę, byłoby każdemu zdrowo, módz niekiedy ujrzeć jak w zwierciadle stan swojej duszy, ale na to, by módz jej błędy poprawić, co bohaterowi Hichens'a, patrzącemu właściwie cudzemi oczami w głąb cudzego sumienia, jest wręcz niemożliwem. Nad tem autor się nie zastanowił.

Obie powieści usiłują wykazać niebezpieczeństwo praktyk okkultystycznych, dowodząc w nich współudział sił piekielnych. Jak bowiem w *Flames* pierwszym czynem szatana, który opętał ciało Walentyna, jest zniszczenie obrazu Chrystusa, tak w *Dweller on the Threshold* obraz Najśw. Panny blednie i zasuwa się mgłą wonczas, gdy moc nieczysta wyssawszy wszelką treść z duszy Rektora, napełnia nią duszę Chichestera. Oprócz tego w obu utworach wiedza ludzka musi się skłonić przed niezrozu-

miałymi dlań faktami, rozum przyrodzony zatrzymać się na granicy sfery nadprzyrodzonej. My zdawna wiemy o owych granicach, tylko że myśląc o nich, stawiamy je nie z dołu między ludzkością a piekłem, ale wysoko tam, gdzie ponad wiedzą wiara w jasności dosięga. *The Dweller on the Threshold* jest bardzo ciekawe, *Flames* bardzo znakomite, mnóstwem zawartych w niem prawd — nie wstyd jednak przyznać, że z owych tajemniczych cieniów i płomieni, miło jest wyjść na jasny świat boży.

T. Wodzicka.

Fakt powszechności religii w świetle pewności samorzutnej.

(Szkic z psychologii religii).

(Dokończenie.)

III.

Religia a pewność samorzutna.

Jaką więc rolę odgrywa ono nienamysłowe a jasne i pewne poznanie w powszechnem przekonaniu ludzkości o istnieniu Bóstwa i jego stosunku do świata? Jak poczęty u samej kolebki rodu ludzkiego a trwający bez przerwy tyle wieków fakt religijności przedstawia się w świetle onego drugiego faktu: pewności samorzutnej? Czy mianowicie pewność samorzutną można uważać za racyę psychologiczną, uzasadniającą dostatecznie powszechność religii?

Oto trzeci i zasadniczy punkt naszego zagadnienia, który już bliżej i dokładniej roztrząsnąć nam wypada.

Nasamprzód jednak trzeba nam przypomnieć ograniczenie naszej kwestyi, zaznaczone już we wstępie tego szkicu. Nie chodzi nam mianowicie o samo powstanie czyli genezę religii wogóle [1].

[1] Zajmujące, historyczno-krytyczne i pozytywne studyum nad tem zagadnieniem rozpoczął w najnowszych czasach wydawca międzynarodowego czasopisma etnologicznego *Anthropos*, członek Ces. Akademii Umiejętności we Wiedniu P. W. Schmidt. Pierwsza historyczno-krytyczna część jego dzieła

Pomijając tę kwestyę, szukamy tylko racyi trwania powszechnego faktu religijności, mniejsza o to, jaką drogą pierwsi ludzie nabyli swoich przekonań religijnych. Jak bowiem istnieje racya nie tylko pierwszego błyśnięcia światła słonecznego, lecz także wiekowego trwania tego morza promłeni świetlnych, tak też musi być racya wiekowego trwania religijności, raz zapoczątkowanej. Fakt ten powinien obudzić zaciekawienie tem bardziej, iż, jak widzimy, wśród najodmienniejszych warunków życia i wpływów, mimo zasadniczych zmian i przewrotów kulturalnych i społecznych, mimo ciągłej a żmudnej na ogół walki o byt, mimo niezliczonych kłopotów i trosk o chleb codzienny, przywiązujących człowieka do ziemi, zaprzątających jego umysł i serce, mimo braku wyszkolenia umysłowego, często nawet mimo głęboko zakorzenionych zwyczajów i praktyk zabobonnych i magicznych, będących negacyą albo conajmniej karykaturą religii w ścisłem tego słowa znaczeniu, zachowało się pojęcie Bóstwa względnie czyste, aczkolwiek niewyraźne, nawet u ludów za najdziksze uważanych, tak, że nie napotyka się u nich

---

wyszła w r. 1912 w drugiem, powiększonem i poprawionem wydaniu p. t. *Der Ursprung der Gottesidee*, Münster i W., Aschendorff. Porówn. nadto A. Lang, *The Making of Religion*[2], 1910 i *Magic and Religion*, 1911, London. — Mimochodem tylko warto wspomnieć, że z naszego punktu widzenia odpowiednio i konsekwentnie do pojęcia religii, rozwiniętego w poprzedniej części, można przypuścić, że albo człowiek pierwotny doszedł własną pracą, samodzielnem myśleniem do przekonania o konieczności istnienia Najwyższej Istoty, Sprawcy i Rządcy wszechświata, Pana życia i śmierci i Sędziego czynów ludzkich, któremu się należy osobliwy hołd i cześć najwyższa — albo też zawdzięcza pojęcia, sądy, przekonania religijne wyraźnemu objawieniu czyli sam Bóg pouczył go o obowiązkach religijnych — albo wreszcie, skoro się człowiek o własnych siłach wzniósł do poznania Stwórcy i obowiązek swój względem niego poznał, Bóg nadto przyszedł mu w jakikolwiek sposób z pomocą, utwierdzając go w tem przekonaniu i określając może dokładniej, jak go czcić i służyć mu powinien. W zakresie i granicach religii naturalnej wystarczyłby najzupełniej pierwszy sposób poznania i uznania obowiązków religijnych, w obecnym jednak porządku, w którym Bóg naturalny stosunek religijny wyniósł do sfery wyższej, nadprzyrodzonej, przechodzącej siły stworzenia, możliwe są tylko dwa ostatnie sposoby.

Porówn. P. Pesch S. J. *Gott und Götter* i *Praelectiones dogmaticae* (tom III. ed. altera, Friburgi Br. 1899.), gdzie znajdziesz dokładniejsze rozprowadzenie tych punktów.

na trudności, gdy chodzi tylko o pojęcia i dogmaty religii chrześcijańskiej.

Znane jest powiedzenie rzymskiego mowcy-filozofa, że powszechność przekonań religijnych wskazuje niewątpliwie na wrodzony człowiekowi popęd do religijności. A w filozofii chrześcijańskiej nie najsłabszy dowód na istnienie Boga czerpie się właśnie z onego powszechnego przekonania wszystkich ludów o istnieniu jakiejś Najwyższej Istoty.

Nie jest naszem zadaniem ten dowód przeprowadzić lub siłę jego wykazać, lecz podać racyę psychologiczną samego tego przekonania. Dowód wnioskuje z powszechności przekonań na naturalną, nieomylną łatwość poznania Stwórcy; my pragniemy ten naturalny popęd wytłómaczyć przy pomocy pewności samorzutnej. Zobaczymy w rzeczy samej, że natura nie jakbądź wspomaga człowieka, by, używając swych władz i zdolności, doszedł do pewnego poznania Boga, względnie, by nie porzucił całkiem zaczerpniętej z tradycyi i wychowania religii, ale, że poniekąd wywiera nań pewien przymus pedagogiczny, że go prowadzi niemal za rękę i wskazuje wszędzie ślady działania wyższej nad siły przyrody ręki potężnej i dobroczynnej.

Powiedzieliśmy, mówiąc o pewności, że zarówno natura i kierunek ciążenia duchowych, poznawczych i chceniowych władz człowieka, jak wpływy otoczenia fizyczne i moralne pobudzają ustawicznie i popychają go do nabywania pewności. Otóż te same czynniki są racyą faktu powszechności religii. Te same skłonności, te same wpływy prowadzą ludzi wprost do przekonania, iż jakaś Najwyższa Istota istnieć musi, i że zależność od niej uznać się powinno.

Całkiem oczywistą jest rzeczą, że w obecnym porządku, gdy wszędzie istnieją już pewne grupy społeczne, najpierwszym i najpowszechniejszym czynnikiem, wywołującym pojęcia i przekonania religijne, jest wpływ otoczenia moralny: życie rodzinne i towarzyskie ze swojemi tradycyami, wierzeniami i zwyczajami religijnemi. Jak wiemy z licznych, każdemu znanych faktów, wpływ ten tak jest silny, tak głęboko tkwi w duszy, iż ludzie często nie mają dość energii, woli czy odwagi, by odstąpić od

tradycyą i zwyczajem przodków przekazanych przekonań, chociaż uznają ich nieużyteczność albo nawet nieprawdziwość.

Atoli, jak już w pewnej części zaznaczono, wpływ otoczenia nawet najbardziej zasadniczy środek wymiany myśli i uczuć, mowa ludzka, nie potrafi wytwarzać bezpośrednio pojęć i kojarzenia idei; to wszystko jest tylko pomocą dla wrodzonej zdolności. W pedagogice trzeba się trzymać zasady, aby nawiązywać do rzeczy już znanych, w ten bowiem tylko sposób można umysł pobudzić do samodzielnego tworzenia nowych pojęć i sądów.

A więc i wpływ religijny musi mieć w naturze człowieka odpowiednie podłoże, musi napotykać na zdolności harmonijnie do tego wpływu nastrojone.

To podłoże właśnie, ten nastrój sympatyczny, że tak powiem, widzimy nie w czem innem, nie w jakiemś zmyśle czy zdolności jakiejś specyalnej, ale w tej niewyuczonej, nie nabytej, lecz wrodzonej skłonności do szukania pewności, w onej naturalnej a tak gwałtownej sympatyi dla prawdy jasno poznanej, oraz w tej równie zasadniczej i nieprzezwyciężonej dążności woli do tego, co dobre, co zdolne szczęście zapewnić i szczęścia przysporzyć.

Rozwińmy naszą myśl dokładniej.

Poznanie istnienia Bóstwa nie należy wprawdzie do owych pierwszych i koniecznych aktów umysłu, które wszystkim następnym służą za podstawę i punkt oparcia, jakimi są n. p. poznanie zasady tożsamości i niesprzeczności, zasady racyi lub poznanie faktu istnienia jaźni i niejaźni. Pierwsze sądy nasze nie mówią nam, ani czem Bóg jest, ani nawet, czy wogóle istnieje. Lecz nie da się zaprzeczyć, że już owe najpierwotniejsze sądy i pierwsze akty chcenia, budzące się równocześnie ze świadomością umysłową, zawierają pewną odnośnię do źródła i początku wszelkiej prawdy, do prawzoru tego wszystkiego, co jest i co być może [1]. Owa konieczność uznania pierwszych, najprost-

[1] cf. Aug. de Trin. l. 8. c. II. sq.

szych i dlatego też najpowszechniejszych zasad oraz konieczność stosowania ich bez namysłu do następnych aktów, owo nie dające się powstrzymać parcie woli do tego, co dobre i miłe, prowadzi niechybnie do pierwszych i zasadniczych sądów religijnych.

Jakim sposobem? — Na mocy praw psychologicznych naszej duszy, już wtedy właśnie, gdy światło rozumu świtać, gdy wola chcieć zaczyna, pojawia się na widnokręgu świadomości jakiś ideał tego, co jest, jakiś ideał tego, co jest prawdziwe, dobre, miłe. Ideał to prymitywnie prosty, niezłożony co do treści, ale dający się odnieść do wszystkiego właśnie dla tej swojej prostoty i niezłożoności. Umysł ludzki bowiem dosięga naprzód przez abstrakcyę pojęć najwyższych, tych co się urzeczywistniają w każdym bycie; potem zstępuje zwolna drogą analizy w zawiłą złożoność rzeczy. Podobnie jak słońce, co wschodząc na widnokręgu oświeca najpierw najwyższe szczyty gór, a następnie, w miarę jak się wznosi wyżej i wyżej, śle swoje promienie i w cieniste doliny. Nie schodzi się ten ideał z tem, co nazywamy Bogiem. Treść jego zbyt uboga a zakres zbyt szeroki. Atoli jest drogowskazem do Boga. Przyświeca on i temu, co Boga znać nie chce, da się pogodzić zarówno z monoteizmem, jak z panteizmem i politeizmem i z religią człowieczeństwa; nie zawiera bowiem żadnej cechy Bogu wyłącznie właściwej, lecz oznacza tylko byt wogóle, o ile jest przedmiotem poznania dla umysłu, celem pożądania dla woli.

Wobec tego ideału budzi się jednak już w duszy ludzkiej bez żadnej wyraźnej uwagi, bez refleksyi popęd do szukania prawdy i szczęścia, wzmagający się w miarę dalszego rozwoju i wysuwający ustawicznie na pierwszy plan najważniejsze zagadnienie. Skłonność ta z taką odzywa się energią, że człowiekowi nie pozwala zapomnieć tego zasadniczego pytania lub pozostać obojętnym wobec jego rozwiązania. Tu źródło tego, co możnaby nazwać wyczuwaniem religijnem, służącem niektórym autorom za punkt wyjścia do udowodnienia istnienia Boga[1].

[1] Porówn. Hettinger, *Apolog*, t. I. r. 3.

Ale jak w zakresie innych prawd, taksamo w tych zasadniczych kwestyach natura sama wymaga, by człowiek własną pracą wyrabiał i wydoskonalał swoje poznanie. Wyprowadziwszy go na pewien stopień bez żadnego prawie wysiłku z jego strony, pozostawia go następnie samemu sobie. Zaopatrzyła go przecież w rozliczne środki, dała rozum i serce, niech zatem używa swej woli, niech sam o siebie się troszczy. Wskazała dość dokładnie stronę, gdzie urzeczywistnienia ideału szukać należy, niech przypatrzy się dokładniej, a znajdzie niewątpliwie i pewną drogę. Ogólna to reguła, nie znająca wyjątku, najmniej w dziedzinie kształcenia się najważniejszej, zasadniczej, w dziedzinie religii. Jeżeli człowiek nie chce, jeżeli swej wolności nie używa na to, by wiadomości swoje w odpowiednim kierunku rozwijał, pogłębiał i rozszerzał, te pojęcia niegdyś już dosyć wyraźne i jasne zacierają się, otaczają się mgłą i mrokiem — fałsz poczyna mieszać się z odrobinami prawdy. Nie zaciera się tylko ów ogólny ideał bytu, prawdy, dobra i szczęścia, który sam przez się wyrasta na gruncie duszy z najrdzenniejszych, z najkonieczniejszych potrzeb jej umysłowych i chceniowych. Tli się jeno jeszcze iskierka, która ciemności rozprószyć nie zdolna. Jak igła magnetyczna, wyprowadzona z równowagi waha się i chwieje, dopóki się jej nie ustawi w kierunku największego przyciągania magnetycznego, tak dusza ludzka, nieskierowana w stronę, gdzie powinna znaleść urzeczywistnienie pełne i prawdziwe swoich tęsknot i pragnień.

Ale i tego zaprzeczyć się nie da, że ta nieokreśloność ideału przyczynia się niezmiernie, by człowiek pozwolił się kierować dalej samej naturze w szukaniu przedmiotu, który zdolen jest przyciągnąć go najsilniej ku sobie, porwać i przykuć do siebie duszę jego. Tu rozwija swoją działalność szczególnie zasada racyi i przyczynowości, oraz budzący się równocześnie żywy pociąg do wiedzy i związana z nim skłonność do szukania jedności. Oba te popędy schodzą się ostatecznie i ujawniają najbardziej w ustawicznem dociekaniu racyi najwyższej. „A dlaczego to?“ „A skąd to?“ „Na co, po co?“. Oto pytania, narzucające się nietylko uczonemu lub uczącemu się na ławie szkolnej i przy warsztacie,

ale które i dzieci natrętnie stawiają rodzicom i pierwszym wychowawcom, i które dziki, goniący przez lasy dziewicze za zdobyczą lub siedzący w gromadzie starszych, ciągle sobie stawia.

A chociaż zasada racyi i przyczynowości orzeka bezpośrednio tylko to jedno, iż, cokolwiek istnieje, swoją racyę dostateczną mieć musi, że nie może zajść najmniejsza zmiana bez czegoś, coby ją wywołało, to jednak umysł łatwo samorzutnym wnioskiem dochodzi do przekonania, że ostatecznie musi być jakaś racya pierwsza, że dane zjawisko, powstające w tej chwili, musi mieć jakąś przyczynę najwyższą. Każdy mógł to, czy na sobie, czy też na innych, łatwo spostrzedz, jak nie jakąbądź racyą się zadowalał, lecz niespokojnie badał i pytał dalej, dopóki nie dociekł racyi ostatecznej, dopóki nie dotarł do przyczyny przypuszczalnie przynajmniej pierwszej.

Możnaby jednak podnieść zarzut, że ten pociąg do wiedzy, to dociekanie przyczyn nie jest znowu tak strasznie silne. Poznanie, samorzutne zwłaszcza, zadowala się przyczynami najbliższemi, leżącemi niejako na powierzchni zjawisk. Nadto dociekanie dalszych przyczyn jest zbyt żmudne i uciążliwe tak, że tylko badanie celowe i metodyczne potrafi wskazać przyczyny dalsze i głębsze.

Zauważyć jednak należy, że wielka zachodzi różnica między poznaniem dalszych przyczyn pośrednich a poznaniem racyi i przyczyny najpierwszej i zasadniczej. Z taką samą łatwością rozumiemy, że każde zjawisko, jak mieć musi wogóle jakąś przyczynę, tak też musi mieć swoją przyczynę pierwszą i najwyższą. Przyczyny pośrednie wchodzą w rachubę jedynie warunkowo, gdyż i najbliższa albo następna zaraz może być ostatnią.

Nawet naturę przyczyny pierwszej łatwiej określić, niż naturę którejkolwiek przyczyny pośredniej. Tak n. p. pośrednich przyczyn może być wiele, mogą one być zależne od siebie albo też niezależne, mogą być podporządkowane jedna drugiej, albo też równorzędne i t. d. Tego wszystkiego mogę nie wiedzieć, mogę się w tem mylić, ale to oczywiste samo przez się, że ostatnia, najwyższa przyczyna może być tylko jedna, że musi być

niezależną, że w jakiś sposób powinna posiadać to wszystko, co w jej dziełach czyli skutkach się objawia, bo nikt nie może dać tego, czego nie ma, i t. d.

Nie są to dedukcye apryoryczne; muszą to przyznać nawet ci, co utrzymują, iż ludzkość w pierwszej fazie swego rozwoju jest skłonną do teologizowania, jak mówią. Teologizowanie czyli uciekanie się do przyczyny ostatniej — czy ona będzie rzeczywistą czy tylko mniemaną — zdradza wprawdzie nieznajomość przyczyn pośrednich, ale płynie całkiem naturalnie i konsekwentnie z tego nie dającego się zaprzeczyć założenia oczywistego, iż ponad przyczynami pośredniemi istnieć musi przyczyna pierwsza bezwzględna, od której ostatecznie wszystkie zjawiska na tem świecie zawisły, mniejsza o to, czy przyczyn pośrednich jest x czy y.

Nie potrzeba tedy, chcąc stwierdzić istnienie przyczyny najwyższej i poznać ogólnie przynajmniej jej naturę, ani zbyt wielkiego wysiłku umysłowego, ani dokładnej znajomości przyczyn pośrednich, ani nie wiedzieć jakich metod naukowych. Słusznie więc pisze G. Michelet w swoim znakomitem dziele: *Dieu et l'agnosticisme contemporain*: „Tem samem, że zasada przyczynowości prowadzi do stwierdzenia przyczyny, prowadzi też logicznie, w miarę rozwoju umysłowości, do coraz dalszych przyczyn, aż wreszcie stanie przed przyczyną pierwszą: Bóstwem. A to naprzód dlatego, że istnieją fakta, których człowiek nie przypisuje działaniu przyczyn pośrednich, czy to z powodu doniosłości spostrzeżonych zjawisk, czy też dla okoliczności niezwykłych, wykluczających akcyę pośrednią; następnie dlatego jeszcze, iż zasada racyi sprzeciwia się postępowi nieokreślonemu przyczyn i skutków bez punktu wyjścia bezwzględnego". [1] A dalej, mówiąc o treści pojęcia Boga, nabytego drogą nienaukowego poznania, czyli o przymiotach, jakie n. p. człowiek niewykształcony, dziecko i dziki Bóstwu przypisują, zaznacza Michelet, iż oczywiście nie należy w tem pojęciu szukać rysów dokładnie określonych, jakie widzimy w idei Boga filozoficznie

[1] op. cit. str. 316/17.

wyrobionej. Jednakowoż i historya religii i analiza psychologiczna sprowadzają zgodnie te przymioty, przypisywane Bogu w pierwotnem poznaniu, do trzech zasadniczych rysów.

Nasamprzód uważa się powszechnie Boga za istotę żywą. Powtóre Bóg jest zarówno dla dziecka jak dla człowieka niecywilizowanego bytem osobowym, stojącym ponad różnorodnemi zjawiskami tego świata, czyli transcendentnym, nie immanentnym[1]. Wreszcie, chociaż Bóg stoi ponad światem, to jednak nie ma między jednym a drugim przedziału nieprzestępnego. Bóg jak stworzył świat i ludzi, tak się też nimi zajmuje, troszczy się o nich. Między Bogiem a człowiekiem zachodzi stosunek wzajemności. Wyrazem tego przekonania jest każdy akt kultu. Bez tego przekonania o wzajemnym stosunku najprostszy akt religijny byłby nonsensem, największą niedorzecznością.

Zatrzymajmy się tu cośkolwiek. Nasuwa się bowiem poważna trudność, którą trzeba rozwiązać, zanim przejdziemy do rozbioru dalszych czynników, obudzających i podtrzymujących życie religijne. Czy przypadkiem nie za wiele przypisujemy niedojrzałej umysłowości dziecka i podobnej do niej pod wielu względami umysłowości dzikiego prostaczka? Czy mianowicie te umysły nierozwinięte zdolne są do stosowania zasady przyczynowości w takim stopniu, jakiego trzeba, by wznieść się aż do przyczyny pierwszej, niezależnej i absolutnej?

Niech odpowiedzą nam fakta z psychologii dziecka i dzikiego.

Że u dziecka bardzo wcześnie budzi się pewien instynkt, żeby tak powiedzieć, pewne jakby wyczuwanie racyi i przyczyny oraz innych zasadniczych praw bytu i myśli, o tem dzisiaj mamy mnóstwo ciekawych szczegółów. Wogóle znaną jest ciekawość dziecięcia, które ma więcej pytań, niż matka lub pedagog odpowiedzi.

---

[1] Uw. Panteizm immanentny występuje jako wytwór dość późny spekulacyi filozoficznej; co więcej zawiera negacyę wszelkiej religii, gdyż ostatecznie jest kultem, który jednostka oddaje sobie samej.

Przytoczymy kilka wybitniejszych faktów. Pytania dzieci odnoszą się najczęściej do początku, do pochodzenia, do sposobu powstania tego, co je otacza. Postępuje ono pod tym względem jak filozof. „Mamo", pyta się niespokojnie, „co sprawia, że rośliny puszczają pączki?" „Czy księżyc ma skrzydła, że się trzyma w powietrzu?" „Dlaczego nie widzimy dwu rzeczy naszemi dwoma oczyma?" „Kto sprawia, że gwiazdy spadają?". „Dlaczego między niemi niema równej odległości? Dlaczego nie mają tej samej barwy?" (Pytania dziecka mającego 56 miesięcy)[1]. — „Powiedz mi, jak my potrafimy ruszać ramieniem, kiedy chcemy, lub trzymać je nieruchomo, a firanka nie potrafi się poruszać, chyba, że wiatr na nią wieje?" (Pytanie dziewczynki, mającej 4 lata i 3 miesiące)[2].

Kiedy się dziecku tłómaczy, że Pan Bóg wszystko stworzył, słyszy się nieraz pytanie: „A kto uczynił Boga?" — Ta właśnie niepohamowana skłonność dziecka postępowania coraz wyżej w szeregu faktów niesie je naturalnym pędem aż do wysokości pierwszej przyczyny. Tajemnicza to siła, podtrzymująca wzlot jego dziecięcych myśli i dociekań i unosząca je ku wyżynom coraz dalszym, aż spoczną w poznaniu tego, który jest sprawcą duszy dziecięcej.

Stąd też łatwo pojąć niezwykłą sympatyę dziecięcego umysłu dla prawd religijnych. Tu mamy naoczny i codzienny dowód, jak te prawdy harmonizują z nastrojem duszy, nie spaczonej pychą przeceniającego wiedzę rozumu, ani nie wyprowadzonej przez zepsucie serca z kierunku wskazanego samą naturą, lecz idącej nienamysłowo za wrodzonym popędem. „Religia jest dla dzieci". To słowo wygłaszane nieraz z ironicznym uśmiechem, dla nas jest silnym dowodem, że Bóg, Stwórca i Pan wszystkiego, nie jest dla umysłu dziecięcego wielkością niezrozumiałą, lecz owszem czemś zupełnie zrozumiałem, czemś, co całkowicie zaspokaja chciwą wiedzy duszę naiwną i prostą.

---

[1] Cramaussel, *Le premier eveil intellectuel de l'enfant*, str. 145 według *Rev. prat. d'Apol.* t. 10. str. 641 sq.

[2] Sully, *Études sur l'enfance*, str. 145. wedł. tejże *Rev.*

Sceptycyzm religijny nie jest owocem prawidłowego rozwoju umysłowego, ale zarozumiałości naukowej i zepsucia serca[1].

Warto dla wykończenia obrazu religijności duszy dziecięcej wspomnieć o pierwszej lekcyi religii, jaką dał filozof szkocki Beattie († 1735) mniejwięcej pięcioletniemu synowi swojemu. Zasiał w ogródku swoim rzerzuszki tak, że wyrosły w kształcie imienia dziecka. Po dziesięciu dniach przybiega malec do ojca i, nie mogąc zapanować nad zdziwieniem swojem, woła: „Tato, tato, imię moje wyrasta w naszym ogródku!“ Uśmiechnął się ojciec i udawał, jakoby nie przywiązywał wielkiej wagi do tego, co malec mówi. Ale ten prosi, nastaje, by tatko poszedł i zobaczył, co się stało. Poszedł filozof, ale rzuciwszy okiem na ciekawe dla dziecka zjawisko, rzekł obojętnie: „Widzę, że powiedziałeś prawdę. Lecz cóż w tem dziwnego. To przypadkowo się stało“. I wraca do swoich zajęć. Dziecko niespokojne, zdziwione znowu obojętnością ojca, biegnie tuż za nim i z miną ogromnie poważną odzywa się: „Tato, to nie mogło stać się przypadkiem. To chyba ktoś naumyślnie tak posiał rzerzuszki, że imię moje wyrosło“. — „Czy tak naprawdę myślisz?“ — „Tak jest, tak myślę!“ odrzekł stanowczo mały filozof. — „Dobrze myślisz“, pochwalił ojciec i, wytłómaczywszy zjawisko synowi, wskazał mu potem na piękną, mądrze i celowo urządzoną budowę ciała i każdego członka z osobna — i pojęło dziecko, że ktoś ciało jego i świat cały tak piękny i wielki i wspaniały uczynić musiał, że ten „ktoś“ to Pan wielki i mądry, to Bóg. I nie zapomniał nigdy pierwszej lekcyi religii.

Podobne zeznania można znaleść w wielu autobiografiach znakomitych mężów i niewiast, każdy prawdziwy przyjaciel dzieci mógłby dużo analogicznych faktów opowiedzieć, a każda rodzina chrześcijańska może dać dowody pojętności dziecka dla zasadniczych prawd religijnych.

Jak o dziecku, tak samo o t. zw. d z i k i c h jest rzeczą całkiem pewną, że mają pojęcia, że urabiają sądy, że rozumują i to

[1] Porówn. Dr. Franz Krus S. J., *Pädagogische Grundfragen*, Insbruck 1911, str. 433 i nast.

często niezwykle trafnie. Upadły już przypuszczenia H. Spencera [1], M. A. Réville'a [2] i innych, którzy utrzymywali, jakoby dzicy i ludzie pierwotni byli umysłowo zupełnie ograniczeni, do myślenia niezdolni. Sumienni badacze i obserwatorzy niecywilizowanych plemion afrykańskich, azyatyckich, australskich itd. jak David [3], Passarge [4], Le Roy [5], Schinz [6], Stuhlmann [7], Johnston [8], A. W. Reed [9], A. B. Meyer [10], E. H. Man [11], M. V. Portman [12], A. W. Howitt [13], i inni świadczą, że ci dzicy są obdarzeni inteligencyą prawdziwie ludzką, zdolną do rozwoju a często znacznie wrażliwszą i bystrzejszą niż plemiona, stojące już na pewnym stopniu wyższej kultury. I oni pytają się, co znaczą zjawiska, których są świadkami, jaka ich racya i przyczyna; i dla nich istnieją zagadnienia, tyczące się początku i celu świata i ludzi.

Że znają zasadę przyczynowości i umieją ją stosować w swoim zakresie doskonale, o tem świadczą ich narzędzia, sprzęty, chaty i t. d., ich broń i przybory do polowania, które sami sobie sporządzają [14]. Że zasadę przyczynowości stosują także do powstania świata, do stworzenia ludzi, słowem, że samorzutnie wznoszą się aż do Najwyższego Sprawcy i Stwórcy wszystkiego, o tem niech zaświadczą nazwy, jakie n. p. szczepy Bantu mają dla oznaczenia Boga. A. Le Roy, biskup Alindy, który w czasie 20-letniego pobytu swego w Afryce, poznał doskonale szczepy Bantu, ich język, zwyczaje, praktygi religijne, zabobony, jeden z pierwszorzędnych znawców duszy dzikiego, sprowadza imiona,

---

[1] *Principes of sociologie*, t. I. str. 120—125, 129. Paris 1890.
[2] *Les religions des peuples non civilisés*, str. 21—24, Paris 1883.
[3] *Globus* LXXXVI (1904).
[4] *Die Buschmänner der Kalahari*, Berlin 1907.
[5] *Les Pygmées*, Tours 1905; *La Religion des Primitifs*, Paris, 1909.
[6] *Deutsch-Südwest-Afrika.*
[7] *Mit Emin Pascha.*
[8] *Rep. Smithson. Instit.* (1912).
[9] *The Negritos of Zambales.*
[10] *Die Philippinen* II.
[11] *The Adaman Irlanders.*
[12] *A History of our Relations with the Andamanese.*
[13] *The native Tribes of South-East Australia.*
[14] Porówn. W. Schmidt, *Die Pygmäen*, str. 44—111.

Najwyższej Istocie przez te szczepy nadawane, za O. Ch. Sacleux, najznakomitszym filologiem bantuskim do czterech grup. Z tych dwie pierwsze obchodzą nas najbardziej [1].

Pierwsza grupa obraca się naokoło słowa *-amba* = mówić, czynić, kształtować, układać. Od tego słowa, oznaczonego bliżej prefiksem *Nya-* lub *Nyi-* = ten, co... Bantusi z Kamerunu w kraju Hererów, wciskający się aż do centrum kontynentu, wyprowadzili następujące wyrażenia: *Ny-ambe*, *Any-ambye*, *Nz-ambi*, *Nz-ame* i t. p., co znaczy: „Ten, który mówi, czyni, układa, — organizator, stwórca!"

To samo pojęcie jest wyrażane u innych szczepów przez inne słowa, oznaczające fabrykowanie, nadawanie formy, kształtowanie i t. p. Takiemi są n. p. słowa: *-umba*, *-wanga*, *-panga*, *-tunga*, *-tonda*, *-ilola*, *-hlola*. Stąd mamy następujące nazwy Bóstwa: *Mu-umba* (kształtujący), *Mb-umba*, *Mb-umbi*, *Umb-umbi*, *Mu-vangi*, *O-wangi*, *Tei-vanga*, *ka-runga*, *ka-lunga*, *ka-tonda* i inne.

Druga grupa imion, używanych wyłącznie na oznaczenie Boga, znamionuje potęgę, siłę, wielkość, własność, najwyższe panowanie. Pierwiastkiem odnośnych słów jest *-eza* = czynić, módz, mieć powagę i moc.

Z tego pierwiastka utworzono następujące nazwy Boga: *Mwiny'ezi* (Ten, co ma moc, „Możny"), *L-eza*, *L-ezi*, *R-edża*, *R-edza*, *Ka-bedża*, *Ma-weza*.

Zaznaczyć jeszcze można inne nazwy, z odmiennych pierwiastków urobione n. p.:

Ne-ngolo, *Nkwa-ngolo*, „Mający moc".

Mpungu-ngolo, „Duch potężny".

Nzamo-mpuo, „Bóg mocny".

Nya-mpamvu-zentze, „Mający wszelką potęgę".

Nkulu-Nkulu, „Wielki Wielki" (Najwyższy).

Mu-lofo, „Pan, Naczelnik" i t. p.

Dodajmy do tego jeszcze dwie uwagi uczonego misyonarza.

---

[1] Le Roy, *La Religion des Primitifs* [2] 1910. Według polskiego przekładu (Biblioteka Dzieł. Chrz. zesz. 139 i 140) str. 120 i nast.

1⁰ Zarówno Negrillowie i Bantusi, jak wogóle wszystkie szczepy murzynów afrykańskich, głoszą istnienie jednej Istoty Najwyższej, mającej specyalną nazwę, Istoty, która jest różną od duchów, manów, cieni, żywiołów, a której i my nie możemy przyrównać do kogo innego jak tylko do Boga. 2⁰ Porównując nadzwyczajną precyzyę danych lingwistycznych u Bantusów z ich pojęciami aktualnemi, ma się wrażenie, że idea Bóstwa uległa u nich widocznemu zacofaniu, i że daleko wyrazistszą była w okresie formacyi językowej [1].

Wobec tych faktów nie przesadzamy więc, twierdząc, że ci ludzie niecywilizowani, te dzieci natury umieją się wznieść przy pomocy zasady przyczynowości ponad zjawiska przemijające aż do najwyższego Organizatora, Twórcy i Pana wszechrzeczy. I u nich pewność samorzutna, nieświadoma może, jeśli nie jest racyą powstania idei Boga, to przynajmniej bezwątpienia jest racyą trwania w przekonaniach religijnych.

Zupełnie podobne pojęcie Najwyższej Istoty stwierdzają najpoważniejsi badacze Howitt, E. Sidney Hartland, Eyre, William Thomas, Strehlow u ludów australskich, Portman i Brown u mieszkańców wysp Andaman (Pigmejów), Sarasin i R. Martin u ludów Weddah i Senoi (Pigmoidów); podobne też pojęcia podają z 16. i 17. wieku o niektórych szczepach Indyan północnej i południowej Ameryki W. Strachey, Thom. Heriot, E. Winslow, którzy bezpośrednio po zetknięciu się, Europejczyków z tubylczymi ludami, wierzenia ich badali. Wszędzie prawie bez wyjątku uznaje się Bóstwo za „Stwórcę" świata i człowieka, za „Najwyższego Pana", którego praw wszyscy słuchać winni, za „Dawcę" tego wszystkiego, co człowiekowi do życia służy; od niego zależy deszcz i pogoda, on zsyła klęski za karę, on daje obfitość zwierzyny i szczęście polowania, jego pomocy potrzeba w wyprawie wojennej. On zsyła człowiekowi śmierć, jako dał życie, On jest Sędzią dusz ludzkich, bo wszystko widzi i słyszy, nawet myśli serca nie są mu tajne [2].

[1] op. cit. str. 125 i 126.

[2] Por. W. Schmidt, *Der Ursprung der Gottesidee*. str. 113—170; 173—408.

Nie twierdzę, jakoby te pojęcia były zawsze idealnie czyste i wolne od naleciałości mytologicznych, ale są i utrzymują się, a to nam na potwierdzenie myśli naszej wystarczy.

Dużo światła rzucają na naszą teoryę fakta szczegółowe, w których zasada przyczynowości widocznie występuje jako podstawa i myśl przewodnia dowodu na istnienie Boga w myśli dzikiego. Przytaczam tylko dwa wybitniejsze.

Na wschód od jeziora Victoria-Nyanza żyje nie bardzo liczny szczep *Kikuyu*. Otoczony górami, odcięty od reszty świata afrykańskiego, nie miał styczności z ludami europejskimi aż dopiero przed dziesięciu laty, jak pisze Cayzac w *Anthropos* 1910 r. Karawany tylko czasami tędy przechodziły. Wiadomości jego etnologiczne nie sięgały zbyt daleko. Znał tylko dwa sąsiednie szczepy, z którymi od czasu do czasu wypadało wojny staczać. Istniały dla tych ludzi tylko trzy plemiona: *Kikuyu* i *Kambe*, *Massai*, *Ndobobo*, pochodzące od jednej pary ludzi, którą Bóg stworzył. Organizacya społeczna tego ludu nadzwyczaj pierwotna. Nie znają ani naczelnika ani wodza, nie pojmują bowiem, jak można słuchać człowieka sobie równego. Uznają jednego Boga, Stwórcy pierwszych ludzi, Pana wszystkiego, bez którego woli lub zezwolenia nic się nie dzieje. Do niego uciekają się w potrzebach swoich, składają mu ofiary publiczne celem uproszenia dóbr ogólnych. (Duchom składa się tylko ofiary prywatne).

Otóż po pierwszem zetknięciu się z tym ludem, badając ich pojęcia religijne, zapytał Cayzac otaczającą go gromadę: „Skąd wiecie, że Bóg jest?“ „Tośmy zawsze wiedzieli“, brzmiała kategoryczna odpowiedź. „To niczego nie dowodzi; czy widzieliście go kiedy?“ Milczenie powszechne i zdziwienie wśród czarnego tłumu. Ale wnet jeden z nich przystąpił bliżej, chwycił misyonarza za rękę, wskazał na palce, paznokcie, pojedyncze członki, na skórę, żyły i z tryumfem zawnioskował: „I ty wierzysz, że ten, który to wszystko uczynił, nie istnieje?!“

Fakt ten komentarza, zdaje się, nie potrzebuje. I najlepszy filozof nie powstydziłby się takiego wniosku.

Drugi fakt do pierwszego całkiem podobny, wcześniejszy

jeno o prawie 200 lat, miał miejsce w Grenlandyi, mniej więcej w czasie, gdy może po długiej przerwie dotarli tam znowu misyonarze. Przytacza go Cranz w historyi swojej o Grenlandyi [1].

W towarzystwie ochrzczonych już Grenlandczyków wyraził ktoś zdziwienie, jak oni mogli tak żyć bezmyślnie, bez znajomości Boga i religii. Na to jeden z nich odparł: „Nie trzeba wierzyć, jakoby żaden poganin o tem nie myślał. Ja często się nad tem zastanawiałem w ten sposób. Kajak (małe czółno) z przynależnemi przyborami nie powstaje sam od siebie; potrzeba do tego trudu i zręczności ręki ludzkiej; a kto się z nim nie umie obchodzić, wnet coś popsuje. A najmniejszy ptak jest o wiele kunsztowniej zbudowany niż najlepszy kajak; nikt nie potrafi zrobić ptaka. A człowiek jest ukształtowany o wiele zgrabniej i kunsztowniej niż wszystkie zwierzęta. Kto go uczynił? Pochodzi od rodziców, a ci znowu od swoich rodziców. A skąd się wzięli pierwsi ludzie?... Skąd jest ziemia, morze, słońce, księżyc i gwiazdy? Koniecznie musi być ktoś, co to wszystko utworzył, co zawsze był i nigdy być nie przestanie. Ten musi być nierównie potężniejszy, zręczniejszy, mędrszy, aniżeli najmędrszy człowiek. Musi być także bardzo dobry, gdyż wszystko, co uczynił, jest tak dobre i tak pożyteczne".

Jak to naiwnie proste a prawdziwe!

Nie dziwić się zatem, że gorący niegdyś zwolennik i obrońca teoryi animizmu Tylora, kilkakrotnie już wspomniany A. Lang, zebrawszy mnóstwo faktów, częścią ze starszych źródeł, częścią niedawno stwierdzonych i sprawdziwszy krytycznie ich wiarogodność, wykazał nieprawdopodobieństwo panującej powszechnie teoryi, a na jej miejsce postawił nową, zgodną najzupełniej z naszem zapatrywaniem, o ile chodzi o religię tylko naturalną, nie nadprzyrodzoną. Sądzi mianowicie uczony Szkot, że religia powstała z samej natury człowieka drogą naturalnej, nienamysłowej pewności. „Skoro człowiek", tak pisze w *The Making of Religion* [2], str. X (porówn. także *Magic and Religion*, str. 225), „miał pojęcie o „tworzeniu" rzeczy, mógł wnioskować o „Twór-

[1] Wedł. Dr. F. I. Herbst, *Excempelbuch* [3]. Regensburg, 1847. str. 8.

cy" rzeczy, których on sam nie zrobił i zrobić nie potrafił. Tego nieznanego Twórcę przedstawił sobie dalej jako dostojną jakąś i nie należącą do przyrody osobę (*a magnified non-natural man*). Gdy już było dane pojęcie o tym dostojnym, nie należącym do przyrody „mężu", można było uznać jego potęgę..."

Co Lang twierdzi o samej genezie religii naturalnej, możemy z większą, jak się zdaje, słusznością odnieść do trwania przekonań religijnych, względnie do powstania odnośnych pojęć i sądów u jednostek, rozwijających się w warunakch życia już uspołecznionego, wychowujących się na łonie rodziny i wśród religijnych współplemieńców.

Nie przypisujemy zatem, to konkluzya pierwszej i zasadniczej myśli naszej a równocześnie odpowiedź na poruszoną wyżej trudność, nie przypisujemy rzeczy niemożliwej ani nawet zbyt trudnej inteligencyi dziecka lub niecywilizowanego prostaczka. Przy pomocy zasady racyi i przyczynowości, tkwiącej głęboko i niewzruszenie w ich umyśle, potrafią się wznieść i wznoszą się faktycznie aż do poznania przyczyny najwyższej, do uznania Stwórcy tego wszystkiego, co naokoło siebie widzą, a czego ani oni sami, ani żaden inny człowiek uczynić nie potrafią i nie umieją. Wrodzony więc człowiekowi pociąg do wiedzy, chociaż bardzo może słaby, niezwyciężony ów popęd do szukania przyczyn i związane z nim niezadowolenie umysłowe, trwające tak długo, dopóki nie dotrze do racyi i przyczyny najpierwszej, pod każdym względem wystarczającej, jest pewnym drogowskazem do samorzutnego poznania Boga; jest poniekąd ustawicznem wołaniem duszy za tym, co ją stworzył, jest, krótko mówiąc, potężnym czynnikiem i silną dźwignią trwających powszechnie przekonań religijnych.

Atoli, jak w poznaniu w ogólności a przedewszystkiem w poznaniu samorzutnem umysł nie odgrywa roli wyłącznej i odosobnionej, lecz inne także dążności, popędy, siły duchowe, owszem cały człowiek czynny i żywy w aktach poznania biorą udział, tak samo w dociekanie prawd religijnych wciąga natura całego człowieka ze wszystkiemi jego władzami i skłonnościami.

Człowiek, wzięty konkretnie, zwłaszcza człowiek pierwotny i dziecko, myśli, czuje, pragnie, działa równocześnie niemal. Jeden akt wywołuje i podtrzymuje drugi, jeden przechodzi w drugi i łączy, spaja się z nim, jak ogniwa łańcucha. Rzecz zatem oczywista, że samorzutne poznanie Boga doznaje silnej podniety i skutecznej pomocy nasamprzód ze strony władz pożądania[1].

Wyżej już potrąciłem o uczucie, budzące się przy pierwszych błyskach rozumu. Dalszy rozwój zdolności umysłowych pociąga za sobą formalne parcie do religii, które tem energiczniej musi działać na człowieka pierwotnego, im mniej przeszkód do zwalczenia stawia mu życie naturalne i proste, tem skuteczniej popychać w odpowiednim kierunku, im mniej rozbieżnych dróg znajduje umysł nie zaprzątnięty ani rozrywany rozlicznemi teoryami, tem pewniej wreszcie doprowadzić do celu, im mniej surrogatów podsuwa mu kultura pierwotna. To bowiem mają popędy chceniowe i uczucia do siebie, że działają koniecznie z całą siłą sobie właściwą i czepiając się natychmiast niewyraźnych nawet i mglistych wyobrażeń i pojęć, niepokoją serce i umysł dopóty, dopóki nie znajdzie się przedmiot, do któregoby mogły przylgnąć ile możności całkowicie i na zawsze. Tak więc uczucie musi się niezmiernie przyczyniać do tego, by stosunek z Bogiem, przedstawiającym się, jakeśmy widzieli, umysłowi pierwotnego jako Pan wielki i potężny, jako Ojciec dobry i szczodrobliwy, poprzeć, ustalić, podtrzymywać, by całego człowieka wciągnąć i wepchać niejako w życie religijne, by nareszcie to życie zabezpieczyć przed zniszczeniem, grożącem ze strony nieokiełznanej swawoli.

Jak wielką rolę uczucie odgrywa w sprawie religii, jak ściśle wiąże się i zlewa prawie z poznaniem prawd religijnych, stwierdza dość wyraźnie mnóstwo teoryi o powstaniu i naturze zjawisk religijnych, któreby całą religijność człowieka chciały zamknąć do przybytku serca i uczuć, albo które przynajmniej utrzymują,

[1] Uwaga: Biorę tu pożądanie w ogólniejszem tego słowa znaczeniu, o ile obejmuje także uczucia wyższe.

jakoby uczucie było bezpośrednim i pierwszym podmiotem stosunku człowieka do Boga.

Zachodzi pytanie, jakiego to rodzaju uczucie najbardziej występuje w obudzonej świadomości religijnej. Jaka jest treść tego uczucia, podtrzymującego przekonania religijne? Dobrą uwagę czyni G. Michelet we wspomnianem już dziele. Religijność, powiada, może przechodzić całą gamę uczuć, czyli raczej wszystkie uczucia mogą przybrać barwę religijności. Jednakowoż, chcąc wyróżnić to, co w tych przejawach tak różnorodnych jest pierwotnem i stałem, to można skonstatować, że podwójne uczucie zasadnicze występuje stale w duszy religijnie usposobionej: uczucie sympatyi i uczucie bojaźni[1]. Uczucie sympatyi, ponieważ widzi się w Bóstwie istotę, która dała i daje tyle dobrego; uczucie bojaźni, gdyż uznaje się w niem równocześnie wielkiego i potężnego pana, władcę, od którego się jest całkowicie zależnym. Łatwo zrozumieć, że te dwa uczucia, chociaż pozornie sprzeczne, mogą równocześnie istnieć razem, ponieważ odnoszą się do tej samej rzeczywistości, uważanej tylko z dwóch różnych stron. Forma religii będzie się zmieniała albo przyjmie pewien właściwy sobie odcień, zależnie od tego, które z tych uczuć będzie przeważało. Na ogół dziki będzie przejęty bardziej bojaźnią, wierzący wykształcony większą ufnością.

Jak żywo i jak silnie przejmują te uczucia dusze ludzi pierwotnych, można było już stwierdzić w przytoczonych poprzednio nazwach Bóstwa. Dla uwidocznienia tej sprawy i lepszego przekonania niech posłużą następujące przynajmniej fakta.

U ludów australskich *Narrinyeri*, *Wiimbajo*, u plemion zamieszkujących południowo-zachodnią część Viktoria, u *Wurunjerriów*, *Wotjobaluków*, *Kulinów*, *Kurnaiów* i t. d.[2] imię najwyższej istoty wymawia się zawsze z największym szacunkiem. Nazywają ją nie inaczej jak „Ojciec", „nasz Ojciec", „Ojciec całego ludu", „Pan", „Wielki", „Ojciec wszystkich, którego praw słuchają wszystkie plemiona".

---

[1] *Dieu et l'agnoticisme contemp.* str. 323.

[2] Porówn. W. Schmidt, *Der Ursprung der Gottesidee*, str. 118 nast.

Buszmani modlą się do swojego Cagn, który dawniej był bardzo miły i dobry, ale potem stał się surowszym, ponieważ dużo musiał walk przechodzić: „O Cagn, Cagn, czy nie jesteśmy twojemi dziećmi! Czy nie widzisz naszego głodu? Dajże nam jeść!“ [1]

Wyrazem uczucia, bojaźni zwłaszcza i całkowitej od Boga zależności, jest także przesadna niemal sumienność w składaniu pierwocin, jedynej prawie ofiary, praktykowanej powszechnie przez Pigmejów [2], a u innych ludów w ogóle skrupulatność przy wszelkich uroczystościach religijnych.

Uczuciu pokrewnym a nie mniej od niego ważnym i potężnym czynnikiem jest w o l a, ściślej mówiąc chcenie wszelkie jest sprężyną i dźwignią uczuć. Stąd też, cośmy powiedzieli o uczuciu, trzeba jeszcze bardziej odnieść do woli. Wystarczy zatem, jeśli dodamy do rozwiniętych co dopiero myśli, kilka uwag ogólniejszej natury.

Mając już z natury swojej, podobnie jak rozum, istotną odnośnię do Stwórcy, jako do najwyższego dobra i ostatniego celu człowieka, zmusza wola mocą właściwego sobie pędu, by rozum konkretnie określił i wskazał ów ideał dobra i szczęścia, który, jak zaznaczyliśmy, powstaje już w duszy dziecięcej przy pierwszym brzasku umysłowej świadomości. Wywiera ona silny nacisk, by zbadano rzeczywistość tego ideału i jego wartość przedmiotową. Niewątpliwą też jest rzeczą, że im bliżej umysł dociera do pierwszej przyczyny, im wyżej wznosi się w sferę bytu i prawdy, względnie im lepiej przedstawi mu się Boga przy wtajemniczaniu religijnem, tem wyżej także uniesie się wola szczera i niewinna w sferę dobra i szczęścia. Pęd jej pierwotny przyspieszy się i spotęguje. Gdy zaś człowiek wśród biegu życia dojdzie doświadczeniem do coraz większego przekonania, że ani on sam, ani otaczające go dobra doczesne, ani przychylność życzliwych mu ludzi pragnienia jego zaspokoić nie zdołają, mimowoli zwracają duszę wyżej, mimowoli musi wyrobić sobie

[1] W. Schmidt, *Die Pygmäenvölker*, str. 238.
[2] Porówn. W. Schmidt, *Die Pygmäenvölker*, str. 192—249.

to przeświadczenie, że ponad temi odrobinami przyjemności doczesnych, zmiennych i nietrwałych, musi chyba istnieć coś, co temu wszystkiemu nie tylko jest równem, ale co je przechodzi obfitością, dobrocią i trwałością. I marzy German o Walhali, Grek o polach elizejskich, tęskni Indyanin za rozległemi stepami w wieczności, Andamańczycy spodziewają się zmartwychwstania i życia wiecznie młodego [1]. Pigmejczyk środkowej Afryki wierzy, że kiedyś po śmierci powie Bóg do ludzi dobrych: „Zostańcie tu, (przy Bogu), tu będziecie mieli wielkie lasy, a na niczem zbywać wam nie będzie" [2].

Gdyby człowiek nie miał wrodzonego pragnienia szczęśliwości całkowitej, gdyby ono było owocem jego własnej pracy, nigdyby chyba nie powstało w jego umyśle pytanie: Czy istnieje taki przedmiot, któryby zadowolić mógł pragnienia duszy mojej najzupełniej. Lecz właśnie ta świadomość, że ten pęd woli, to niepohamowane pragnienie szczęścia nie zależy od niego samego, ale dane mu jest z jego naturą, ta świadomość, jak jest zachętą i podnietą do pilniejszego badania, tak też daje pewną rękojmię i uboczny dowód rzeczywistości takiego przedmiotu, któryby potrafił zaspokoić wrodzoną skłonność duszy.

Dodajmy do tego wzrastające z wiekiem przeświadczenie, że w tem życiu nie ma całkowitej sprawiedliwości, że mnóstwo zbrodni, gwałtów, strasznych krzywd i zniewag bywa niekaranych. Czyż to nie narzuca najprostszemu nawet człowiekowi pytania: „Czy nie miałby istnieć Władca najwyższy, któryby oddał każdemu według uczynków jego?" A poczucie własnej krzywdy, czy nie podsuwa mimowoli myśli i zaklęcia: „Bóg to widzi", „Bogu tę sprawę polecam", „Bóg mi odda"? [3] Czy to wszystko nie zdolne oddziałać na wolę i umysł, by je utwierdzić w pewności raz nabytej lub z pewnego wahania wyprowadzić?

Tak więc różnorodne siły duszy działają nie oddzielnie, nie dla siebie z osobna, ale łącznie i wspólnie, każda w swoim za-

---

[1] W. Schmidt, *Pygmäenvölker* str. 262 nast.

[2] Le Roy, *Les Pygmées*, str. 180.

[3] Porówn. Tertul., *De test. animae* c. 5. — Cyprian. *De idol. van.* Tr. 4.

kresie i w swój sposób, by umożliwić poznanie tego, który je dał i opatrzył dziwną jakąś sympatyą dla siebie. Tem jedynie tłómaczy się nam ta niezwykła łatwość nabywania przekonań religijnych u dziecka, tem ów twardy konserwatyzm ludu prostego, trzymającego się skrupulatnie podań i zwyczajów religijnych, tem wreszcie wiekowe trwanie przekonań religijnych u ludów, nie stykających się z cywilizacyą. I duszą tych dzikich prostaczków wstrząsają zjawiska przyrody, a widok porządku i celowości w pochodzie natury, i w nich podziw i zaciekawienie obudza; i oni czują się wciągnięci w powszechny bieg przyczynowości jako maleńka cząsteczka w ogromnym świecie. Nieraz ich ogarnia przerażenie wobec niszczącej potęgi siły elementów, często nawiedza bieda i nieszczęście i czują wówczas całą swą niemoc i mimowoli podnoszą swoje ręce i swoje myśli jak mówi A. Lang, do swego Ojca, który jest i naszym Ojcem, do tego Ojca, który niedaleko jest od każdego z nas. To właśnie poniekąd najdziwniejsze, ale też bosko psychologiczne, że nic się tak prosto nie kojarzy z przekonaniem samorzutnem o istnieniu Boga, dawcy życia i wszelkiego dobra, jak instynkt samozachowawczy.

Widzimy zatem, że fakt powszechności religii przedstawia się w świetle samorzutnego poznania dostatecznie jasno. Potężny, zdaje się, wznosi się głos z piersi ogółu ludzkości: *Non sine testimonio semetipsum reliquit*, a świat cały od stropu niebios aż do krańców ziemi głośnem oddaje echem: „Bez świadectwa siebie nie zostawił".

Ks. Bruno Wolnik.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Zygmuntowi Krasińskiemu nauczyciele szkół średnich. (Księga pamiątkowa ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Z. Krasińskiego, we Lwowie, 1912, nakładem c. k. Rady szkolnej krajowej, t. I. (str. 13 + 126 + 44 + 48 + 30 + 24 + 30 + 61 + 32 + 26 + [59 + 60 do] 128 + [17 + 18 do] 35 + 43 =) **str. 640;** t. II. (str. 122 + 23 + 14 + 136 + 85 + [49 + 51 do] 58 + 73 + 36 + 25 + 56 + 43 + 23 + 8 + 24 + 18 =) **str. 644;** t. III. (str. 8 + 20 + 14 + 26 + 48 + 48 + 30 + 67 + 42 + 26 + 28 + 49 + [12 + 13 do 14 + 15 do] 33 + 44 + 9 + [96 + 97 do] 111 =) **str. 603).**

Drażliwy ród wieszczów, myśląc o swej sławie, chwieje się od czasów greckich i rzymskich aż do dnia dzisiejszego między arystokratyczną ekskluzywnością a demokratyczną popularnością. Horacyuszowa pogarda dla pospolitego tłumu i chęć podobania się tylko „najpierwszym mężom“ idzie obok radości z uznania u współczesnej mu młodzieży; ale oba uczucia pryskają wobec trwogi przed tem, by nie zostać autorem szkolnym, czytanym, a co gorsza objaśnianym w klasach, słowem klasykiem: *Non ego, nobilium scriptorum auditor et ultor, Grammaticas ambire tribus et pulpita dignor...* No, i nie uszedł losu — klasyka. Podpadli mu wszyscy najwięksi, także Krasiński.

Ogromne znaczenie poezyi narodowej w wychowaniu i wykształceniu naszej młodzieży jest faktem powszechnie znanym. A wobec tego faktu głosy czterdziestu ośmiu autorów, czytających i objaśniających Krasińskiego w szkole, stanowią pierwszorzędny materyał do odpowiedzi na pytania: 1) Jaki jest stosunek tych nauczycieli do

poezyi Krasińskiego, t. j. jak ją rozumieją i oceniają? 2) Jakiemi drogami idą do tego zrozumienia, jakie wykształcenie metodyczne i literackie pomaga im w tym pochodzie, do jakich dążą celów i jakie osiągają rezultaty? Odpowiedź na punkt drugi jest poniekąd identyczna z przedstawieniem dorobku naukowego, ukrytego w tych trzech grubych tomach o 1887 stronach, a to przedstawienie będzie głównem zadaniem niniejszych uwag. Rozprawy omówimy w grupach, związanych ze sobą treścią, odstępując od układu księgi, trzymającego się alfabetycznego spisu miejscowości, w których znajdują się zakłady średnie i ich nauczyciele-autorowie (Bochnia, Brody i t. d. aż do Złoczowa). W tem omówieniu znajdzie się zarazem materyał do odpowiedzi na pytanie pierwsze, materyał ważniejszy, aniżeli ten, którego dostarczają uroczyste przemówienia jubileuszowe, podane także w tej księdze.

1. Klaczko tak raz scharakteryzował stosunek Z. Krasińskiego do ojca: „Brał po prostu te słowa: czcij ojca i matkę! — i nie sądził, żeby mu godziło wyprzeć się tego, kto mu dał życie, nawet go sądzić. Ale niemniej silnie czuł się synem swojej ojczyzny: Dzielił wszystkie udręczenia, wszystkie nadzieje swego zgnębionego kraju, a postawiony tak między ojcem a ojczyzną, z poddaniem się przyjął tę walkę bez wyjścia, którą te dwa uczucia zarówno święte wydały sobie w jego duszy". Pierwsze fazy tej walki (aż do wybuchu powstania) dwóch ludzi, najbliższych sobie krwią i wzajemną miłością, dalekich sposobem myślenia i zapatrywania się — przedewszystkiem na ojczyznę i politykę, kreśli p. Wiktor Romański w rozprawie p.t.: „Jenerał Krasiński i jego wpływ na syna" (spraw. gimn. w Jarosławiu, str. 30), posługując się głównie materyałami, zawartymi w monografii prof. Kallenbacha o Krasińskim i prof. Askenazego o Łukasińskim. Rzeczowego referatu nie przerywają nigdzie sądy autora, co wprawdzie przyczynia się do zachowania należytego „patosu — odległości", ale też jest wykładnikiem rezygnacyi z prób rozwikłania tych zagadek charakterologicznych czy psychologicznych, w które problem tak obfituje. Autor zaznacza np. niezadowolenie, ba oburzenie matki Wincentego, spowodowane samodzielnem postąpieniem jego w dwóch bardzo ważnych sprawach: w sprawie wstąpienia w związki małżeńskie i w sprawie wstąpienia do wojska Napoleona; zamyka jednak przy tem oczy na analogiczne sytuacye w życiu Zygmunta, nie pyta się o jego — niesamodzielność. Formuła „zależności psycho-fizycznej"

niczego nie tłumaczy. Charakter jenerała występuje wyraźniej z przygodnego (nie znanego autorowi) artykuliku prof. Askenazego o powstaniu ordynacyi opinogórskiej (w jubileuszowym numerze *Tyg. Illustr.*) aniżeli z tej monografii p. Romańskiego.

2. Jenerał Krasiński był klasykiem i z wykształcenia i z zamiłowania. Nic też dziwnego, że i jedno i drugie chciał przekazać swemu synowi i w tym celu dobierał mu odpowiednich nauczycieli domowych. Tok tego wykształcenia przedstawił już dokładnie prof. Kallenbach, opierając się na zbiorach tek, zawierających różnorodne wypracowania, odpisy, ćwiczenia, przekłady, pisane własną ręką młodego Zygmunta, ale i tak za szczęśliwą należy uważać myśl prof. M. Mazanowskiego, który jeszcze raz sięgnął do owych tek, przechowywanych z pietyzmem w warszawskiej bibliotece ordynackiej hr. Krasińskich, opisał dokładnie ich zawartość i wydał z nich niektóre „Młodociane przekłady Z. K." (Sprawozd. gimn. św. Jacka w Krakowie, str. 59). Przekłady te pochodzą z lat 1823 i 1824 i obejmują wyjątki z następujących autorów: Caesara de bell. Gall. VII r. 77 i 79—89 (oblężenie Alezyi) i de bell. civ. III 84—99 (bitwa pod Farsalus); Sallustiusa, bell. Iugurth r. 40—50 (misya Metellusa); Cicerona in Verrem II 4. 27—30 (Werres okrada króla syryjskiego) i de republica VI 9—26 (Sen Scypiona), tudzież z jego korespondencyi ad familiares IV 5 (list kondolencyjny Serv. Sulpiciusa Rufusa z powodu śmierci córki Cycerona, Tullii); wreszcie Tacyta Ann. II 71—75, 82; III. 1 (śmierć Germanika). Pisał je Zygmunt w jedenastym i dwunastym roku życia. Okazana w nich biegłość w rozumieniu łaciny i władaniu polszczyzną nie zadziwi tego, kto w tejże rozprawce (str. 11) przeczyta łaciński przekład polskiego ustępu z Pamiętników Niemcewicza (o Tatarach i Kozakach krymskich), przekład, dokonany przez 10-letniego ucznia po półtorarocznej zaledwie nauce łaciny. Dziś nawet najlepszy „filolog", siadający do matury, nie potrafi tak tłumaczyć na łacinę czy polskie. Łaciński przekład Mickiewiczowskiej Świtezianki, pochodzący z r. 1827., i rozprawka maturyczna na temat: *Adulescentem verecundum esse decet* (omówione w Pam. liter. XI. 1912, str. 138 nn) dają miarę oczytania w poetach (Wergiliusz, Owidyusz, Horacyusz) i opanowania łaciny u abituryenta licealnego. A przytoczony przez prof. Mazanowskiego przekład ustępu z „Podróży Młodego Anacharsisa" Barthélemy'ego (Delos), jakoteż przekład rozdziału z podobnego romansu starożytnego o Rzymie (topografia wiecznego miasta) dowodzą, że równolegle z poznawaniem

języków i literatur klasycznych szło zapoznawanie się z tak zwanemi realiami — i to w sposób bodaj czy nie najodpowiedniejszy dla młodego wieku.

Owa topografia Rzymu jakoteż znajomość życia rzymskiego przydała się Krasińskiemu przy pisaniu *Irydiona*. Objaśnieniem szczegółów topograficznych w *Irydionie* zajął się po referencie (Rzym pogański w Iryd., *Pam. liter.* XI, 1912, str. 49—52) p. K. Ciołkosz (Topografia Rzymu w *Irydionie* Z. K., sprawozd. szkoły realnej w Tarnowie, str. 46). Podręcznik topografii rzymskiej Jordana dostarczył mu potrzebnej do tego zadania erudycyi, uwagi poprzednika o tym samym przedmiocie — niepotrzebnej animozyi. By ją usprawiedliwić, imputuje mi p. Ciołkosz (str. 4) wydobywanie z arsenału wiadomości archeologicznych „pocisków dla celów obniżenia artystycznej wartości *Irydiona*", przytaczając „na dowód" zdania, w których twierdzę, że czytelnik Irydiona ma prawo otrząść się z suggestyi Wstępu, a zwłaszcza Przypisów poety i zapytać się, czy... Konstatuję więc suggestyę, płynącą nietylko z poezyi, ale i z uczonych przypisów i dążę do odpowiedzi na pytanie, czy poetyczny obraz konającego Rzymu jest zarazem obrazem historycznym, jak się przeważnie sądzi, głównie pod wpływem przypisów poety, potwierdzających rzekomą historyczność poematu. Odpowiedź moja brzmi: (str. 45): „Obraz to nie wolny od anachronizmów naprzód i wstecz, ale jego niehistoryczności dadzą się objaśnić specyalnemi intencyami poety. W dramacie, w którym osoby są przeważnie symbolami czy reprezentantami pewnych idei, stosunki realne muszą uledz schematyzowaniu. Wytyczne schematów znajdujemy we wstępie lub w przypisach. Tu też mieści się dyagnoza chorób konającego Rzymu, dyagnoza trafna — z jednym wyjątkiem." Na miejsce tej odpowiedzi podsuwa mi p. Ciołkosz zdanie, wyrwane z zupełnie innego związku („Krasiński był przecież raz poetą ruin — ale nie w Irydionie"), by niem upozorować twierdzenie, jakobym ja „uzależnił wartość artystyczną poematu od wyniku mych badań naukowych". W rzeczywistości w ocenę owej artystycznej wartości zupełnie się nie wdaję; twierdzę tylko (str. 52), że „przy arcydziełach tej miary, co *Irydion*, nie możemy poprzestać na samem wrażeniu i ogólnym sądzie (o historyczności tła); dostojność utworu wymaga szczegółowych badań nawet nad akcessoryami, choćby dla tego tylko, by te akcessorya w przyszłych wydaniach komentowanych objaśniać prawdziwie". Takim właśnie komentarzem wszystkich akcessoryów pogańskich

jest moja rozprawa. W jej zakończeniu przedstawiam na podstawie Dokończenia *Irydiona* i lirycznych wierszy Krasińskiego poezyę Kampanii, stwierdzając, (str. 52), że „wśród wszystkich poetów Kampanii, (nie Rzymu) Krasińskiemu pierwsze należy się miejsce". Tego odróżnienia znienawidzonego Rzymu od ukochanej Kampanii nie rozumie p. Ciołkosz, co mu jednak nie przeszkadza w umieszczeniu mego zakończenia Topografii Rzymu (poezya Kampanii) na początku jego wywodów topograficznych (str. 9 nn.), jak potępienie przypisanych filologowi antiartystycznych tendencyi nie przeszkadza mu w rozwadnianiu, okraszaniu podręcznikową erudycyą i t. d. mych krótkich uwag topograficznych. Chęć wyjścia poza nie prowadzi autora do takich rzeczy, że najoczywistszy błąd drukarski, widniejący w nazwaniu łuku Flawiana (*arcus Flavianus* t. j. Tytusa) łukiem Fabiana, stara się zasypać piaskiem takiej erudycyi (str. 34): „Znaleziono wprawdzie w pobliżu dawnej świątyni Romulusa trzy kamienie, należące do tego łuku (Fabiana) i wszelkie jest prawdopodobieństwo, poparte zresztą świadectwami starożytnych, że łuk ten znajdował się w pobliżu rynku, dotąd jednak definitywnie miejsca jego nie oznaczono; objaśnienie jednak poety, że na Forum prowadziła Via Sacra przez łuk Fabiana, nie jest dalekie od prawdy, bliższe w każdym razie od twierdzenia prof. Sinki..., że łukiem tym jest *arcus Titi*, który leżał w głębi ulicy na Summa Sacra via". Krasiński (w Przypisku II. 227) patrzy na Forum z pod Kapitolu i widzi u jego stóp, przy końcu Via Sacra łuk Septymiusza Sewera, na drugim końcu, na Summa Sacra Via, łuk Flawiański i bierze te dwa łuki za punkty oryentacyjne. Objaśnienie prof. Ciołkosza, o ileby chodziło o wywód czysto teoretyczny, byłoby — pieniactwem; o ile chodzi o informowanie uczniów jest — zwykłem krętactwem. I dlatego na tym właśnie przykładzie charakteryzuję rozprawkę, ożywioną nie tyle pragnieniem poznania prawdy, ile uczuciem, streszczonem w maksymie: *Pereant, qui ante nos nostra iam dixere*!

Jak na rozprawce p. Ciołkosza Topografii Rzymu, tak mitologii, mogliby się uczniowie uczyć z rozprawki Dra Bronisława Świby p. t.: *Szczegóły mitologiczne w Irydionie* (Sprawozd. gimn. IV w Krakowie, str. 43). Nieuwzględnienie dzieł takich jak Réville'a *La réligion a Rome sous les Sevéres*, Cumont'a *Les mystéres de Mithra* i *Les religions orientales dans le paganisme Romain* nie pozwoliło autorowi ocenić synkretyzmu religijnego za Heliogabala i kazało mu poprzestać na szeregu notatek o Zeusie, Apollinie, Afrodycie, Erosie, Bachusie

i t. d. Notatki te nawet w komentarzu do *Irydiona*, przeznaczonym dla czytelników, nie mających żadnego wyobrażenia o klasycznym Olimpie, byłyby za obszerne; dla czytelników z jakiem takiem wykształceniem humanistycznem są niepotrzebne. Nauczanie zaś mitologii tylko *a propos* Irydiona jest — niedopuszczalne!

Z echami klasycznego wykształcenia Krasińskiego łączy się też przyczynek Dyr. S. Schneidra p. t.: *Krasiński a Sallustius* (gimn. III. we Lwowie, str. 8). Przypomina on, że Mickiewicz (Lit. słow. lekc. X. z r. 1843), oceniwszy rozmowę Pankracego i Henryka w *Nieboskiej*, porównuje ich z poprzednikami Cezara, Maryusem i Sullą, przyczem Hrabia chciałby udawać Sullę — i analogicznie stara się wykazać, że także Pankracy jest nieodrodną kopią Sallustyusowego Mariusa, za którym Krasiński niejedną myśl żywcem kazał mu powtórzyć. Jakoż wspólność wielu myśli jest niezaprzeczona, ale objaśniać ją trzeba nie tyle reminiscencyami lektury ulubionego Krasińskiemu Sallustyusa, ile identycznością stosunku przeżytej arystokracyi do wchodzącej w życie demokracyi — we wszystkich krajach i wiekach. Czyż słowa Pankracego: „A znam was, a wiem was, nie ustąpicie, wszystkoście oddać gotowi, ale dumy nigdy! Więc poświęceniem nowem znów dorwiecie się władzy“ muszą uchodzić za echo słów Maryusa: *Scio ego, Quirites, plerosque non isdem artibus imperium a vobis petere, et postquam adepti sunt, gerere: primo industrios supplices modicos esse, dein per ignaviam et superbiam aetatem agere*?

Wpływ klasycznych literatur na umysłowość Krasińskiego zamierzał wreszcie badać p. Kazimierz Pluciński (gimn. III. w Krakowie, str. 18), ale wobec braku odpowiedniego przygotowania poprzestał na „zaznaczeniu najważniejszych momentów“. Sądzi więc, że „w koncepcyi *Irydiona*, w tem, że alluzya do Polski, która pod obuchem nielitościwej przemocy do grobu wstąpiła, jest wyraźna, ujawnia się wpływ starożytnej literatury na Krasińskiego“ (str. 21). Reminiscencyą Antygony ma być postać Elsinoe. Ostatnie słowa *Nieboskiej* wskazują na to, „jak poeta rozumiał stanowisko Apostaty, stojącego na rozdrożu zamierających i rodzących się kultów“. Budowa *Nieboskiej* ma być antystroficzna — jak w *Antygonie*. Słowem „dramat grecki wpłynął na formę arcydzieł Krasińskiego“. Także „zjawisko fatalizmu, jako w tragedyi greckiej dominujące“, rzucało mu się w oczy i znalazło echo w *Irydionie*. Obraz zepsucia dworu Heliogabala zaczerpnął poeta z Tacyta. Z poetów

rzymskich wyszczególniał Wergiliusza i Horacego. „Ale starożytność w górniejsze sfery zawiodła poetę — w krainę idei. Odkąd się zaczął zagłębiać w filozofię i tworzyć własne koncepcye, zaczyna się w umyśle poety utrwalać panowanie Platona". „Idea Platońska... znalazła wybitny wyraz w myślowej konstrukcyi Przedświtu: Wszystko przejdzie na potoku... lecz Idea nie przeminie".

To są „najważniejsze momenty" oddziaływania antyku na Krasińskiego — według p. Plucińskiego. Powyższe zestawienie ich wystarczy do — ostrzeżenia badacza, by w tej rozprawce niczego nie szukał. Zresztą z całej tej grupy filologicznej tylko materyały, wydane przez p. M. Mazanowskiego, na coś się przydać mogą.

3. Trwałym natomiast nabytkiem literackim zostanie na długo praca (autor nazywa ją skromnie szkicem) Dra Kazimierza Kobzdaja p. t. *Z. Krasińskiego twórczość w stosunku do literatury niemieckiej* (gimn. IV. we Lwowie, str. 73): Krasiński wyniósł z nauki domowej i szkolnej bardzo małą znajomość języka i literatury niemieckiej; z czasem jednak, bawiąc za granicą, doszedł do takiej wprawy w niemczyźnie, że bez trudności mógł czytać utwory piśmiennictwa niemieckiego w oryginałach. Ta lektura oddziałała silnie na jego poglądy estetyczne i filozoficzne, zostawiła też pewne echa w jego twórczości literackiej. Badania Dra Kobzdaja odnoszą się głównie do sfery ostatniej i pierwszej, o drugą tylko mimochodem potrącając. To ograniczenie spowodowało niewątpliwie ukazanie się dzieła Dra Kleinera, przedstawiającego szeroko właśnie wpływ filozofii niemieckiej na dzieje myśli Krasińskiego. Nadobna literatura niemiecka zaczyna oddziaływać na Krasińskiego w epoce genewskiej przez dzieła E. T. A. Hoffmanna. Ślady lektury *Elixiere des Teufels* widnieją z fragmentu francuskiego *Le choléra*. Potem wpływ Hoffmanowski łączy się z wpływem Jean Paula. W Genewie rozczytuje się też Krasiński w dziełach teoretyka romantyzmu, Fryderyka Schlegla, w jego *Histoire de la litterature ancienne et moderne* (przekład W. Ducketta) i *Tableau de l'histoire moderne* (przekład J. Cherbulieza), a lektura ta pomaga mu do rozwiązania pewnych kwestyi religijnych i literackich. Dr. K. sądzi, że Schlegel też wzbudził w Kr. interes dla epopei staroniemieckiej. Echa Eddy pobrzmiewają potem w *Irydionie* i we fragmencie dramatycznym: *Wanda*. Wizyę Pankracego z epilogu *Nieboskiej* zestawia autor z wizyą *Attyli* w tragedyi Zacharyasza Wernera; po za tem jednak ogranicza suppozycye prof. Piniego co do rozmiaru tych wpływów Wernerowskich. Potrą-

ciwszy o Novalisa (obszernie wyłożył jego stosunek do Kr. Dr. Kleiner), zajmuje się autor szczegółowo wpływem Jean Paula i konstatuje go w *Nocy Letniej*, *Pokusie*, *Herburcie*, *Śnie Cezary* (imię bohatera drugiej myśli Ligenzy odniósł był już prof. Kallenbach do Jean-Paulowskiego *Tytana*). Stosunek Kr. do Goethego ulegał licznym zmianom, które zależne były od rozmaitych faz jego poglądów literackich. Poznany już w r. 1832 *Faust* zaważył na *Nieboskiej* i *Irydionie*. Nienapisane części *Nieboskiej* miały być jeszcze bardziej Faustyczne. Ale z całej literatury niemieckiej cenił Kr. najwyżej Schillera: *Wallenstein*, *Fiesko*, *Dziewica Orleańska* dostarczyły Kr. niejednej podniety, niejednego motywu, począwszy od *Grobu rodziny Reichstalów*, a skończywszy na *Nieboskiej*, *Irydionie* i *Wandzie*. Jeszcze ważniejszy jest wpływ estetycznych pism Schillera na estetykę Kr. Tak — choć naród niemiecki sam był i pozostał dla Kr. niesympatycznym, w literaturze umiał poeta cenić głębokość pomysłów, filozoficzne idee — i wpływowi ich uległ.

Jak ideowe, a nawet formalne podobieństwo dwóch miejsc poetów nie zawsze dowodzi jakiegoś zapożyczenia czy naśladowania, widać z przykładu, podanego przez Dra J. Kretza (*Analogie*, gimn. w Złoczowie, str. 15). Zwraca on uwagę na to, że *Wizya wieku złotego*, który wraz z zmartwychwstaniem Polski zapanować ma na całym globie dla całej ludzkości (w *Przedświcie* i *Traktacie*), ma treściowy, nawet szczegółowy odpowiednik w paru przemówieniach *Libuszy* Grillparzera. Poeta austryacki głosi przepowiadane przez tylu już proroków *Trzecie Królestwo*, któremu odpowiada także *Słowiańska epoka* ludzkości Krasińskiego. Zdaje się, że ten sam przedmiot w tej samej atmosferze europejskiej podobnie się wyraził u obu poetów. Obraz Chrystusa Zmartwychwstającego z wiersza napisanego przez Krasińskiego w r. 1843., zestawia Dr. Kretz z natchnionym komentarzem Mickiewicza do pewnego wiersza Garczyńskiego i z podobnym motywem *Akropolis* Wyspiańskiego.

4. Przechodząc od wpływu książek do wpływu osób na kształtującą się umysłowość Kr., zatrzymujemy się przy rozprawce tegoż Dra K. Kobzdaja p. t. *Napoleonizm w twórczości Krasińskiego* (pryw. gimn. żeńskie im. J. Słowackiego we Lwowie, str. 23). Autor szkicuje uwielbienie, a potem potępienie Napoleona w opinii polskiej przed jego upadkiem i po upadku; zaznacza, że źródłem nowego kultu dla niego stały się dzieła Byrona; potrąca o zwracanie się patryotycznych romantyków do epopei Napoleońskiej, utkanej w pewnej części

i z blasków ducha polskiego; wreszcie stwierdza, że i wpływ filozofii, głównie niemieckiej, zaważył na polskim Napoleonizmie. W tych uwagach wstępnych razi pomieszanie czynników ubocznych (Byronizm, wpływ filozofii) z głównymi (rola Napoleona wobec Polski i Polaków) i niedocenienie tych ostatnich. U Z. Krasińskiego kult Napoleona jest nietylko narodowy, ale także rodzinny. Dziecinne uwielbienie dla cesarza znajduje wyraz już w utworze 14-letniego chłopca, mianowicie w *Rozmowie Napoleona z Aleksandrem I. na polach elizejskich*. Dr. K. odnosi formę tego utworu do wpływu — Eneidy Wergiliusza (ks. VI). W rzeczywistości jest to konwencyonalna *Rozmowa zmarłych*, wzorowana albo wprost na Lukianie, którego utwory znał młody Zygmunt z przekładu Krasickiego, albo na naśladowcach Lukiana, może na Fontenelle'u. Dziecinne uwielbienie otrzymuje podstawę filozoficzną we fragmencie genewskim (z r. 1830) p. t.: *La confession de Napoleon*. Wielki cesarz jest tu wcieleniem ideałów romantycznych, poglądów, zaczerpniętych z dzieł różnych filozofów i poetów. Z czasem dołącza się do uwielbienia skarga i krytyka, ale jest to raczej krzyk zbolałego serca na widok nieszczęść kraju, któremu Napoleon wolności nie wrócił, niż sprzeniewierzenie się ideałowi. Cała działalność cesarza, zwłaszcza ostatnie lata pobytu na wyspie św. Heleny, jego pamiętniki, są dla Krasińskiego podstawą, na której rozwija się wiara w zwycięstwo idei chrystyanizmu. Napoleonizm Kr. z czasów, poprzedzających wybuch rewolucyi lutowej, miał znaleźć wyraz w dumaniach p. t.: *Noce miesięczne*. „Napoleon na skale św. Heleny zapatrzony po księżycu w nieskończoność morza i horyzontów, miał dumać nad przyszłością ludzkości". O tym planie opowiadał Kr. Stan. Koźmianowi, gdy się z nim zjechał w Bonn 23. września 1847 r.

Ze stosunków Kr. do innych ludzi opracował p. Stan. Kotowicz (Z. Kr. wobec *Króla-Ducha*, gimn. w Sanoku, str. 48) jego stosunek do Słowackiego. Za punkt wyjścia obrał, jak wskazuje tytuł rozprawki, sąd Kr. o pierwszym rapsodzie „Króla Ducha": „Nic prawiem nie rozumiał... jak w kalejdoskopie, rysunki barw pełne — lecz bez treści żadnej, dźwięki najdźwięczniejsze — ale bez myśli! przynajmniej tak schowana, że ja jej nie mogę dojść, może zgłupiałem. Jużci wiem, że idzie o metempsychozę ducha człowieczego i to przez wieki polskich dziejów; to wiem, ale nic więcej". To „więcej" to rola bohatera rapsodu, Popiela, który, choć syn zemsty i nienawiści, niszczyciel i morderca, ma wieść naród ku słonecznej

Jeruzalem. Kr. scharakteryzował to potem jako metodę Iwana Groźnego w nowej Hierozolimie i w sankcyonowaniu tej metody widział wpływ Towiańskiego. Nie mogąc zaś takiemu królowi-duchowi narodu przyznać racyi bytu, nie chciał go rozumieć, a to niezrozumienie było wypływem zasadniczego rozdźwięku między rdzenną treścią jego twórczości, a przewodnią myślą życia i twórczości Słowackiego. Wytyczeniem głównych punktów duchowego rozwoju obu poetów, rozwoju ich myśli przewodniej, wyrażonej całą twórczością, zajmuje się p. Kotowicz w głównej części rozprawki i śledzi najpierw znaczenie „zemsty" jako uczucia i motywu u obu poetów, potem szkicuje ich pojmowanie ewolucyi, wreszcie zastanawia się nad ujęciem „miłości" i „fatalności" przez obydwu. Dwa ostatnie pojęcia znalazły swój wyraz w *Popielu* z *Króla-Ducha*, wyraz, którego Kr. wolał nie zrozumieć, niż go sobie objaśnić.

W szeregu swych bardzo interesujących i zawsze uzasadnianych wywodów potrąca też p. Kotowicz o stosunek *Anhellego* do *Ostatniego*, zaznaczając przy sposobności (str. 30), że na stosunek ten zwrócił pierwszy uwagę prof. Kallenbach, który też w swym wykładzie jubileuszowym rozwinął obszernie podobieństwa między jednym a drugim utworem. Wobec tego opracowania, a nawet wobec krótkich uwag p. Kotowicza, bezprzedmiotowe jest powierzchowne traktowanie tegoż tematu przez p. Eugeniusza Spittala w rozprawce p. t.: Anhellizm w Ostatnim Krasińskiego" (gimn. II. z jęz. wykł. polskim w Tarnopolu, str. 28).

Więcej biografii niż twórczości Krasińskiego dotyczy rozprawa Dra Stanisława Kossowskiego p. t.: Krasiński a Norwid (gimn. II. we Lwowie, str. 85). Poznali się osobiście w Rzymie z początkiem r. 1848, znajomość rychło przemieniła się w przyjaźń, przyjaźń wzmocniła się wspólnem potępieniem Mickiewicza-legionisty. Po wyjeździe Krasińskiego z Rzymu informował go Norwid przez cały rok 1848 o tamtejszych wypadkach politycznych, ale ta rzymska korespondencya przeważnie zaginęła; zachowała się natomiast korespondencya paryska z roku następnego. Wyjątki z tej korespondencyi, dotyczące zadań ogólnych, stanowią zrąb rozprawy Dr. Kossowskiego. Korespondencya owa przerywa się w czerwcu r. 1849; dalsze miesiące tego roku i większa część następnego są na razie bez świadectw. Dopiero z późniejszego listu Krasińskiego do S. Koźmiana dowiadujemy się, że stosunki Kr. z Norwidem zerwały się w listopadzie 1850 r., kiedy to Kr. wraz z Cieszkowskim powie-

dzieli Norwidowi „szczerą prawdę" na temat, „by tak ciemno nie pisał"; że jednak mimo zerwania Kr. pragnął dalej „anonyme" Norwidowi pomagać — finansowo. Dawni przyjaciele komunikują się (bo trudno mówić o porozumieniu) za pośrednictwem A. Cieszkowskiego, wreszcie i ta komunikacya ustaje. Zamykają ją słowa Kr. do Cieszkowskiego: „Cały ten genus Norwidów, Stefańskich i t. d.... już mię nudzić zaczyna. Musisz się i ty coraz bardziej przekonywać, jak mało w tych ludziach postępowych istotnego postępu t. j. zacności i delikatności ducha". Zdania swego nie zmienił Kr. i w chwili, gdy Norwid zbiedzony i znękany zwrócił się do niego po podróży z Ameryki po pomoc; wierny temu, co ongiś pisał do Koźmiana i Cieszkowskiego, wspomógł Norwida materyalnie, ale nie odezwał się ani słowem. Podobny stan rzeczy trwał przez następne 3 lata (1855—1857). Dopiero pod koniec r. 1858, na niewiele tygodni przed śmiercią Krasińskiego, nastąpiło zbliżenie się, a potem pojednanie na tle przypowieści Norwida *Quidam*. W tym utworze wykazuje Dr. K. pewną zależność ideową Norwida od Kr., wskazuje na nią i w drobniejszych utworach; zajmuje się też utworami N., zwróconymi wprost lub pośrednio przeciw Kr., a kończy przedstawieniem sądów N. o (zmarłym już) Kr. Norwid był jednym z pierwszych (oczywiście po samym Kr.), którzy autora *Irydiona* i *Nieboskiej* umieszczali w naszej „Trójcy".

W Rzymie, w zimie r. 1839 poznał Kr. Kajsiewicza, ale znajomość ta utrzymywała się na razie w granicach towarzyskiego konwenansu. Kajsiewicza nie pociągał poeta, o którym w tym właśnie czasie pisze Semeneńko: „Religii zdaje się zgoła nie mieć, mógłbym powiedzieć więcej nawet, niż: zdaje się". Na tem właśnie polu, nie tyle samej religii, ile praktyk religijnych, zbliżył się Kajsiewicz do Kr. w r. 48, zajął się jego duszą i odtąd został jego duchowym doradcą, kierownikiem sumienia, a zarazem najserdeczniejszym przyjacielem. Rolą tych przyjaciół w dziejach emigracyi i wogóle polskiego życia między r. 1842 a 1848 zajął się p. J. Bystrzycki w rozprawie p. t.: Krasiński a Kajsiewicz (II. szkoła realna w Krakowie, str. 136). Rozejrzawszy się sumiennie w emigracyjnych polemikach i agitacyach, głównie społecznych, ale i religijnych, autor łączy z nimi aktualną zawartość *Przedświtu* i *Psalmów*, (przyczem nie posuwa sprawy naprzód), a myśli i tendencye Kr. zestawia i porównuje z ustępami i streszczeniami emigracyjnych kazań Kajsiewicza (i w tem leży główna wartość jego rozprawki). I wieszcz i kaznodzieja podobni są do siebie tak w groźnych akcentach i surowych tonach, jak w radosnych na-

dziejach i przeczuciach co do przyszłości Polski: „W czasach najcięższych, wśród ludzi najtrudniejszych do prowadzenia, wśród stosunków ze wszech miar opłakanych, — kiedy pod brzemieniem klęsk narodowych upadali najtężsi, błądzili najlepsi, stali nad brzegiem rozpaczy wszyscy: zbudził Pan w narodzie i postawił na szczytach ówczesnego życia tych dwu nauczycieli, opiekunów i lekarzy, leczących rany serdeczne narodu raz tą samą metodą, drugi raz zgoła różną..., ale zawsze zgodnych w jednym t. j. w miłości do chorych i oddziaływaniu przez duszę na ciało". W tym tonie namaszczonym, kaznodziejskim trzymana jest cała, bardzo zresztą sympatyczna rozprawa — i przez ten właśnie ton wkracza z dziedziny badań historyczno-literackich w sferę literatury — budującej.

Przyjaźń mężczyzny z kobietą przechodzi podobno czasem w miłość; u Krasińskiego miłość do Delfiny przemieniła się z czasem w przyjaźń. Ale i przedtem listy do niej wypełnione były nieraz treścią bynajmniej nie erotyczną. Taki list, drukowany w *Dzienniku Narodowym* jako „bezimienna korespondencya z Palermo z 25. XII. 1841, wydał ze wstępem i komentarzem Dr. Aleksander Łucki jako *Zapomnianą korespondencyę Krasińskiego* (II. szkoła realna we Lwowie, str. 24). Zapomniano o niej razem ze źródłem publikacyi p. t.: *Wyjątki z listów Z. Kr.*, t. I. Paryż 1860 (gdzie znajduje się na str. 111—112), nie przedrukowano jej w zbiorowej edycyi lwowskiej z r. 1882. Tymczasem tekst zbioru Gaszyńskiego jest kompletniejszy aniżeli tekst *Dziennika Narodowego*. Tu brak przedewszystkiem ustępów, odnoszących się do 1. lekcyi Mickiewicza z 14. grudnia 1841, ustępów tak ciekawych, że już ich przypomnienie usprawiedliwiałoby ponowną publikacyę, gdyby nawet wydawca nie był przeprowadził identyfikacyi adresata (Delfina — nie Gaszyński) i nie podkreślił momentów, oświetlających duszę Kr. w przełomowej chwili.

5. Korespondencya z Delfiną prowadzi nas do rozprawki p. Jana Pyrka p. t.: *Erotyki Z. Kr.* (gimn. w Jaśle, str. 61). Daje on parafrazę liryków Kr., ugrupowaną według adresatek (Giovannina, Beatrice, Incomparabile Donna), parafrazę, przeplataną sądami o wartości utworów, a często i przeżyć, których są odbiciem. Nad reprodukcyą tych przeżyć zaciążył u autora wpływ p. Hoesicka (Miłość w życiu Z. Kr.); ocena wartości chroma z powodu braku podstaw estetycznych i psychologicznych. By pisać o erotyce, zwłaszcza Kr., trzeba sobie przedewszystkiem uświadomić stosunek przeżycia do twórczości, tego, co K. Dilthey nazywa *Erlebnis u. Dichtung*.

Tymczasem autor nie umie odróżnić, gdzie się kończą echa życia, a gdzie się zaczyna — literatura. Studyum o literaturze erotycznej Kr. musi być dopiero napisane.

6. Akta Delfiny zamyka w twórczości Kr. *Modlitwa* za Polskę (2 września 1848). Polska też jest głównym przedmiotem tej twórczości. *Patryotyzm Krasińkiego w dobie młodzieńczej* analizuje p. Zygmunt Gerstmann (gimn. I. w Stanisławowie, str. 48), zrazu może zbyt doktrynersko (gdy pisze, str. 5: „Z. Kr. pewne założenia, pewne dyspozycye patryotyczne bez wątpienia na świat ze sobą przyniósł, nie tylko jako człowiek, ale też jako Krasiński", lub, str. 7: „Możemy tedy z wielkiem prawdopodobieństwem przypuszczać, że Kr. jako dziecko żywił gorące przywiązanie do miejsca rodzinnego", ale „pod tym względem jego ustrój psychiczny musiał się różnić od dwu innych wieszczów, a zwłaszcza, że wcześnie już, bardzo wcześnie musiały począć się rozwijać inne strony jego stosunku do ojczyzny", ale potem z ścisłą metodą i przenikliwością psychologiczną: Pojęcie stron rodzinnych, Opinogóry, Ciechanowa i t. d. już w latach najmłodszych łączyło się u Zygmunta z pojęciem całego kraju, Polski i jej losów. Ta wczesna przewaga refleksyi nie pozwoliła już młodziutkiemu autorowi poddawać się instynktownie i biernie wpływowi życia i przyrody kraju i sprawiła, że i w późniejszej jego twórczości obrazy czy wspomnienia stron rodzinnych są bardzo rzadkie i wywołane tylko jakby prawem kontrastu. Już we wstępie do *Pana trzech pagórków*, obraz przyrody rodzinnej przysłania przeszłość, pełną blasku zbroic rycerskich i krasy dziewic, łopotu chorągwi i proporców, szczęku zwycięskiego oręża i dźwięku biesiadnych szklenic, rozlegającego się w „niezdobytych" zamkach o mostach zwodzonych. Czasy te minęły — wraz z wolnością. Walki o wolność innych narodów, przedewszystkiem współczesnych Greków, interesują żywo trzynastoletniego chłopca. „Najpiękniejszą sprawą" r. 1824. jest w jego oczach powstanie greckie. Młodzieńcze utwory z lat 1826 i 1827 (Syn Botzarisa, Wiliam Wallas, Zniszczenie Ipsary, Joanna d'Arc) przedstawiają bohaterskie wysiłki o wolność, wysiłki bezskuteczne, tragiczne. Nie mogły one mieć allegorycznego zastosowania do współczesnej Polski, której położenie, jak to wynika z *Rozmowy z Aleksandrem* przedstawiało się Zygmuntowi dość optymistycznie. Dopiero wypadki z r. 1827 i 1828 rozwiały tę wiarę, którą przywiązywał do rządów Aleksandra. W utworze p. t. *Polska* (z r. 1828) przemienia się dotychczasowe zamiłowanie w walkach wolnościowych wogóle — w bezpośrednie i silne pragnienie

zbrojnego ruchu Polski przeciw „synom północy". Młody poeta zaczyna sobie uświadamiać własne swoje stanowisko i własny swój los jako syna nieszczęśliwej ojczyzny. Sprawa ojczyzny poczyna się dlań stawać sprawą osobistą. Mimo to *Polska* jest w przeciągu lat prawie sześciu jedynym wyrazem tych nowych uczuć patryotycznych. Rosnące aspiracye autorskie obudziły w Zygmuncie pragnienie publicznego występu, a tu wzgląd na cenzurę, a bardziej jeszcze wzgląd na ojca, kazały celowo unikać wszelkich alluzyi powstańczych. Ów wzgląd na ojca tłumaczy także zachowanie się Zygmunta wobec pogrzebu Bielińskiego. Wszak manifestacya pogrzebowa była skierowana nie tylko przeciw rządowi, ale i przeciw tym członkom sejmu, którzy uchwały jego nie aprobowali. Zygmunt nie chciał manifestować publicznie przeciw własnemu ojcu, z którym spodziewał się wkrótce stanąć pod wspólnym sztandarem wolności na polu walki. Ta nadzieja udziału w otwartej walce osłabiała w duszy młodzieńca uznanie dla sprawy skrytej, spiskowej. Wyrok kolegów uniwersyteckich położył kres jego marzeniom o sobie jako o narodowym Tyrteuszu i rycerzu wolności. Poeta uczuł się zniesławionym banitą, wygnańcem, któremu odtąd zamknięty zostanie powrót do kraju i odjęta możność czynnego pracowania dla niego. Pobyt w Genewie, to epoka przykrej dezoryentacyi poety. Uznał on za istotę swojego usposobienia bezsilność i osądził, że ona nie pozwala mu ani na zdobycie sławy poetyckiej ani na poświęcenie się czynnej walce za ojczyznę. Tragizm swój widział w tem, że nietylko świat go odrzucił i skrępował mu ręce, ale także sam ustrój jego istoty był dla jego jaźni jakby murem więziennym, za którym się ona szarpała w rozpaczy, a jednak wyzwolić się nie była zdolna. Wobec takiego usposobienia pierwszą wiadomość o powstaniu przyjął słowami wątpienia i niedowierzania. Do wspomnianego uczucia bezsilności przyłącza się wnet poczucie wstydu i hańby, spadającej na niego za bezczynność w powstaniu w oczach rodaków, a przedewszystkiem przyjaciela i kochanki, Henryki Willan. Artystycznem przetworzeniem tych motywów jest *Wygnaniec* (L'exilé) z lutego 1831. Dopiero doprowadziwszy swe cierpienie do ostateczności w *Adamie Szaleńcu*, przezwyciężył poeta ów czynnik osobisty, prywatny, i złożył własne cierpienia na ołtarzu dobra ojczyzny. Faktem, który zadecydował o zwycięstwie uczucia czysto patryotycznego nad bolem osobistym, był upadek Warszawy. Odtąd poeta uznaje orężne wystąpienie przeciw wrogom za beznadziejne, oświad-

cza się za cichą, ofiarną pracą, a dawną żądzę zemsty i pragnienie sławy potępia najpierw w *Adamie Szaleńcu*, potem w *Irydionie*.

Najważniejszy składnik patryotyzmu Krasińskiego, jego umiłowanie przeszłości Polski, a w tej przeszłości dziejów własnego rodu, cnót naddziadów, rozpatruje p. Henryk Maurer w rozprawce p. t.: *Przeszłość Polski w „Nieboskiej komedyi" Kr.* (gimn. św. Anny w Krakowie, str. 26). Jest to część większej rozprawy o przeszłości Polski w utworach Kr. W dziejach stosunku poety do tej przeszłości jest, zdaniem autora, *Nieboska* najciekawsza dlatego, że prócz uwielbienia przeszłości, ugruntowanego w miłości do własnego rodu, zawiera wyjątkowo ostrą i rozległą jej krytykę. Krytyka ta dotyczy przedewszystkiem grzechów społecznych, popełnianych przez dawną arystokracyę polską. „Myśli tych Kr. samby nigdy publicznie nie wypowiedział, ani też nie mógł włożyć ich w usta męża, przedstawiciela arystokracyi, pozwolił im jednak ukazać się w płaszczyku zaciekłości partyjnej — demokraty" (str. 10). Ale ten potępiciel przeszłości ma być zarazem mimowolnym jej chwalcą. Zdaniem autora Pankracemu w sławnej rozmowie z Mężem nie zależy całkiem na tem, żeby go przekonać, moralnie zwyciężyć, przeciągnąć na swoją stronę; chce go tylko poznać i ocalić. W tem świetle owa rozmowa ma być tylko ogromnym monologiem (w formie dyalogu) z przeszłością, uosobioną w Mężu: Pankracy chce w nim zachować dla dobra wyswobodzonej ludzkości przeszłość — chrześcijańską (str. 24). Oczywiście rozumowanie autora nie wystarcza na udowodnienie takiego pojmowania celu owej rozmowy i zamiarów Pankracego i wystarczyć nie może wobec fałszywości samej tezy. Nie Pankracy przecież widział w chrześcijaństwie jedyny środek do rozwiązania kwestyi społecznej, ale Krasiński; Pankracemu zabłysła ta możliwość dopiero w chwili skonu.

Odrodzenie ojczyzny łączył Krasiński ściśle z odrodzeniem społeczeństwa europejskiego. To też z przedstawienia jego patryotyzmu trudno wyłączyć zapatrywania na kwestyę socyalną. W tej myśli pisze p. Władysław Pec o *Polityczno-społecznym ideale Z. Kr.* (gimn. w Buczaczu, str. 48), chcąc „przedstawić poglądy jego i zapatrywania na istotę wszystkich warstw społecznych, wyczytać w kartach jego literackiej spuścizny wyroki bliższych przeznaczeń Polski i całej ludzkości". Spełnieniu tej chęci ma służyć przytoczenie ustępów z listów, memoryałów, Przedświtu i Psalmów. Konkluzya jest taka: „W utworach i listach poety... przebija się z jednej strony nienawiść wszelkiego absolutyzmu, z drugiej znów potęgująca się z la-

tami niechęć do rewolucyi i demokracyi... Jest Krasiński zwolennikiem państwa, opartego na podstawach prawa chrześcijańskiego tak w wewnętrznych jak i zewnętrznych stosunkach, a nieprzyjacielem wszelkich gwałtownych wstrząśnień i przewrotów... Przeciwnik średnich warstw społecznych mieszczaństwa, jako żywiołu zdaniem jego mało narodowego, odmawiając mu wszelkich zasług w historyi naszej, nie doceniał wcale znaczenia tych sfer, tak pod względem kulturalnym jak i ekonomiczno-społecznym wybitne w każdym narodzie stanowisko zajmujących, i przez to tkwił jeszcze w staroszlacheckich naszych tradycyach i pojęciach stanowych". Prawdziwe to wszystko, ale nie mniej — banalne, no i zawile wyrażone.

Z prawdziwą przyjemnością czyta się jasne, przekonywujące wywody Dra Juliusza Kleinera o „Mesyaniźmie narodowym w systemie Kr." (gimn. VI. we Lwowie, str. 36). Mesyanizm narodowy nie jest tworem specyficznie polskim. Niemal w całej Europie zachodniej cechuje pierwsze dziesiątki lat XIX. w. oczekiwanie nowego porządku rzeczy. Gdy z niem zespoliła się idea narodowa i przekonanie o ewolucyjnem znaczeniu uświadomienia się narodów, stworzona była intellektualna podstawa do teoryi, według której stworzenie nowej przyszłości świata jest religijną misyą pewnego narodu, uzdolnionego do tego posłannictwa przez swój charakter zbiorowy. Takie mesyańskie posłannictwo narodu niemieckiego głosi Fichte wtedy, kiedy Niemcy leżą w prochu u stóp Napoleona. Podobne warunki, dane w atmosferze europejskiej i w położeniu narodu, doprowadziły do podobnej koncepcyi w Polsce. A że tu cierpienia były dotkliwsze i nastrój podniecenia wyższy, więc i idee mesyanizmu wybujały wspanialej. Sformułował je jasno Mickiewicz w *Księgach Narodu i Pielgrzymstwa*, ale właściwy rozwój mesyanizmu polskiego przypada dopiero na czas po r. 1840, kiedy to Mickiewicz rozwija w *Wykładach* Towianizm, Bukaty nową metodą uzasadnia pomysły Hoene-Wrońskiego, Królikowski uwydatnia ideę ofiary Chrystusowej, Słowacki podkreśla rolę Polski, jako wzoru przyszłej formy społeczeństwa. Nieco inaczej niż oni pojmuje posłannictwo Polski Krasiński. Mesyanizm obcy mu jest jeszcze w *Trzech Myślach Ligenzy*, choć tu poeta występuje jako jawny rzecznik ogólno-europejskiego oczekiwania nowej epoki i wiąże z nią zmartwychwstanie Polski. Ale to zmartwychwstanie ma być tylko zapłatą za cnotę i cierpienia, nie zdobyczą po sprowadzeniu nowej epoki. Ta bierna rola Polski wobec przyszłości nie wystarczyła mu na długo. Z chwilą, gdy uznał wyższość

moralną Polski nad ginącym światem, gdy odkrył w jej życiu po śmierci Heglowskie połączenie dwu przeciwieństw, uznał ją za powołaną do wielkiego dzieła przyszłości. To posłannictwo Polski uświadamia mu się w r. 1841, w przeciągu roku następnego jego idee formułują się nie bez wpływu wykładów Mickiewicza i broszur Bukatego i Stoffelsa. Polska ma wprowadzić etykę do polityki, jej działalność ma być dalszym ciągiem działalności Chrystusa, którego objawienie ona realizuje; bezwzględną etykę rozszerzy ona na wszelkie stosunki życia i stworzy idealny ustrój społeczeństwa, oparty na godzeniu przeciwieństw.

Podstawą mesyanizmu Krasińskiego był bez wątpienia mesyanizm Mickiewicza; a że podstawą mesyanizmu Mickiewicza miały być według niektórych uczonych (jak Arabażyn, Hordyński) poglądy Brodzińskiego, wyrażone w *Mowie o narodowości* i *Posłaniu*, p. Maryan Wiśniewski (Wizya w zakończeniu *Nieboskiej Komedyi* i epilog *Irydiona* w związku z poglądami Brodzińskiego, spraw. gimn. w Kołomyi, str. 32) doszukuje się w wizyi Chrystusa w zakończeniu *Nieboskiej* i w zakończeniu *Irydiona* z r. 1836 wpływu mistycyzmu Brodzińskiego. Jakoż nad zapatrywaniem, że Chrystus z *Nieboskiej* wstępuje w dzieje ludzkości w duchu mesyanizmu narodowego, szerzącego się właśnie w literaturze polskiej, i że wysłanie *Irydiona* na północ może zawierać hołd dla pamięci zmarłego właśnie Brodzińskiego — możnaby jeszcze dyskutować; ale wszelka dyskusya ustaje, gdy autor, przedstawiwszy pewne echa wolnomularstwa w wierszach Brodzińskiego, posuwa się do twierdzenia, że *Resurrecturis* Krasińskiego „jak z jednej strony etycznym pierwiastkiem i ogólno-ludzkimi poglądami przypomina masoński wiersz Brodzińskiego, tak z drugiej znowu strony podobne jest do innych kantat wolnomularskich tak dla formy, jak i treści" i że choć niema dowodów na to, jakoby Krasiński podobny wiersz miał kiedy w loży wygłaszać, to jako „opatrzony formułkami i symboliką wolnomularską, mógłby być wygłoszony w loży i być wykładem zasad zakonu"...

Zdawałoby się, że do omawianej grupy prac należy także rozprawka p. F. Wojakowskiego p. t.: *Ideały narodowe i ogólnoludzkie w twórczości Z. Kr.* (gimn. II. w Stanisławowie, str. 30); w rzeczywistości jednak nie jest to rozprawa naukowa, ale nauka na temat wiary, miłości i dobrej woli — według cytatów z Kr. Już nie na temat, ale *a propos* Krasińskiego snuje swe refleksye p. Karol Bobrzyński, pisząc o *Świadomości Z. Kr. na tle psychiki polskiej* (gimn. V.

w Krakowie, str. 122). Jako próbkę tych refleksyi, podajemy uwagi na temat słów Krasińskiego: „Ja kocham tę ziemię!", słów, które autor rozbiera „wedle filologii, logiki i teoryi poznania" (str. 46). Otóż wyraz „ziemia" nie oznacza tu „niczego społecznie konkretnego, żadnej zewnętrznej rzeczywistości. W głębokiej świadomości Kr... oznaczać mógłby zgodnie z interpretacyą pragmatyczną, jakiej jego życie dostarczało, nie co innego, jak zboża i materyał drzewny z borów, młyny i tartaki, słowem to, co wyraz „dochód", chaty wiejskie, jako posiadane falansterye sił roboczych, i dwory szlacheckie, jako posiadane wygody, rzeki i stawy szkliste, jako miejsce miłych kąpieli i miejsce produkcyi do stołu, wdzięczne wzgórza i łąki kwieciste, gdzieby można od pięciolecia do pięciolecia przejść się na przechadzkę, czarne lochy, gdzie spoczywały poschłe szkielety przodków. Kr. zapewne i w takim razie lubił Polaków. Ludzie „lubią wygody..." Ale nawet tego posiadania Kr. nie przerobił, nie przekształcił swą pracą, nie szukał w niej uzasadnienia swego prawa własności. A przecież „kochać ojczyznę" oznacza w pewnym względzie wkładanie osobistej pracy w przyrodę dla udoskonalenia jej na daleką przyszłość. Krasiński tak ojczyzny nie kochał. „Możność rządzenia drugimi oraz możność — w najszerszem słowa znaczeniu — zużywania im pewnej części tego, coby zrobili: takie przedstawiają się dwa o stalszym charakterze składniki gnozeologiczne wyrazu „ojczyzna" u Kr. (str. 55). Zapomocą podobnych rozważań „wedle filologii, logiki i teoryi poznania" dowodzi autor, że niema co mówić o filozofii czy religijności Kr. „Uczucia religijne Kr. okazują się uczuciami nerwowemi, wzruszeniami czasem nieokreślonemi, jakby estetycznemi i dekoratywnemi... tworzą one jednę z dekoracyi i osłon psychicznego życia magnata". Mimo to zajmuje się autor pewnemi „powiedzeniami wobec otoczenia" tego „bezczynnego społecznie magnata", gdyż one właśnie mogą uchodzić za cenne w kulturze polskiej, mając za zadanie „otamowywać żywiołowe, ślepe działanie namiętności". Więc komentuje słowa: „Poznaj sam siebie", krytykuje mesyanizm, określa stosunek poety do moralności, jego stosunek do arystokracyi, demokracyi mieszczańskiej i demokracy. ludowej, wreszcie do rozwiązywania zagadnień i, co gorsza, zapowiada na rok przyszły cały tom podobnych rozważań i to tylko tom pierwszy. Dobrzeby jednak było, gdyby wydaniu książkowemu dał tytuł: *Moja* (t. j. Karola Bobrzyńskiego) *świadomość na tle psychiki polskiej*, a to celem ostrzeżenia badaczów Krasińskiego, że oni tu nie mają czego szukać.

7. Rozważania p. K. Bobrzyńskiego negują, jak wspomnieliśmy, filozofię Kr. Dzieło dra J. Kleinera o tym przedmiocie uważa on (str. 82) za „dzieje frazeologii Krasińskiego", przydatne, „komuby na poznaniu tej frazeologii zależało". W każdym razie wobec tych dwóch tomów niesłychanie bogatej w rezultaty pracy bezprzedmiotowe są uwagi dra Tadeusza Staniewskiego o *Filozofii Z. Kr.* (gimn. I. w Tarnopolu, str. 26), streszczające się we wnioskach: „1) Filozofia ta niema charakteru wielkiej syntezy i nie posiada cech wogóle systemu; 2) nie jest zbyt oryginalną i nosi na sobie ślady różnych wpływów, zwłaszcza idealizmu niemieckiego. 3) Cała twórczość filozoficzna (!) poety rozpada się na trzy okresy": dualistyczny, spirytualistyczny i mistyczny...

8. Przechodząc od rozpraw, traktujących kwestye ogólne, związane z całą twórczością Krasińskiego, do przyczynków, poświęconych poszczególnym dziełom, rzucamy okiem na szkic jubileuszowego monografisty poety, prof. Tadeusza Grabowskiego (Z. Kr. jako romansopisarz, I. szkoła realna w Krakowie, str. 14), który po kilku uwagach o romansie europejskim z początku w. XIX. poświęca po parę zdań nietylko romansom, ale w ogóle młodzieńczej prozie Kr. Nie zatrzymujemy się dłużej przy jubileuszowym odczycie p. Józefa Wiśniowskiego o *Irydionie* (pryw. gimn. żeńskie im. królowej Jadwigi w Krakowie, str. 23), jako, że ten popularyzuje tylko poglądy prof. Tarnowskiego i Kallenbacha, a zwracamy uwagę na trafne wywody p. Wincentego Wysockiego (*Dramat Masynissy*, gimn. I. w Rzeszowie, str. 14), według którego Masynissa w pierwotnej koncepcyi należał do typu Byronowego Lucifera, później zaś, wskutek zmiany planu całego utworu, do postaci tej wkradła się (w zakończeniu) pewna niekonsekwencya. Między tem, co poeta pisze o Masynissie w liście do Gaszyńskiego, a między Masynissą takim, jakiego widzimy w *Irydionie*, zachodzą ważne różnice.

P. Wysocki więcej powiedział na tych 14 stronach o *Irydionie*, aniżeli na 125 stronach *O Niedokończonym Poemacie Z. Krasińskiego* p. Henryk Trzpis (gimn. w Bochni). Będąc przekonanym, że „twórca *Nieboskiej* nie chce być artystą, lecz nauczycielem swego społeczeństwa, celem jego nie sztuka, lecz nauka" (str. 3) rozważa „ideową głębię i etyczną dążność" Niedokończonego Poematu i dochodzi do wniosku, że „ta poezya jest marzeniem, ale marzeniem jasnowidzącego". Wolno oczywiście ekonomiście politycznemu czy społecznemu patrzeć na pewne dzieło sztuki z za fachowego biurka, wolno mu glossować

je fachowo, jak to uczynił np. prof. Kostanecki z Politechniki lwowskiej z Boską Dantego i Nieboską Krasińskiego; ale te same uwagi ekonomiczne i społeczne w ustach niefachowca są przynajmniej — nieciekawe. Do historyka literatury należy objaśnianie i ocenianie dzieła sztuki i jego intencyi artystycznych, a nie utylitarystyczne ważenie zawartych w nim haseł np. politycznych i ekonomicznych. Przykład prof. Tarnowskiego nie usprawiedliwia postępowania uczniów, skoro mistrz obok artyzmu oceniał tendencyę utworów, a oni głoszą, że tendencya jest u Kr. rzeczą główną, artyzm podrzędną.

9. Rzetelnie zasłużyli się badaczom artystycznych walorów poezyi Krasińskiego ci młodzi uczeni, którzy, rezygnując z dorywczych syntez, ograniczyli się do zbierania materyałów, objaśniających technikę jego utworów. Na pierwszem miejscu trzeba postawić rozprawę p. Stefana Vrtela p. t.: *Przyroda w warszawskim okresie twórczości Z. Kr.* (gimn. III. we Lwowie, str. 48). Stwierdziwszy, że przyroda występuje w literaturze pod dwojaką postacią: albo jako czynnik pomocniczy, dekoracyjny, albo jako samodzielny motyw literacki, śledzi autor, począwszy od najwcześniejszych listów Zygmunta (z r. 1825), co poeta widział w świecie przyrody i jak odtwarzał zjawiska, zaobserwowane zmysłami? Materyału do odpowiedzi na te pytania dostarczają mu porównania i przenośnie, wzięte z natury, epitety, nadawane przedmiotom natury (np. niebu, gwiazdom, chmurom, wiatrom, rzekom, drzewom), wreszcie opisy zjawisk natury i krajobrazów. Autor stwierdza w ten sposób nie tylko wrażliwość na piękno przyrody u początkującego powieściopisarza, ale także daje poznać, na co reagują zmysły poety i jakie reakcye zmysłowe (np. wzrokowe, słuchowe) składają się na pewien krajobraz. Stopniowe pogłębianie stosunku do przyrody widoczne jest w częstem upatrywaniu coraz ściślejszego związku między nią a człowiekiem, w pogłębianiu tego stosunku sympatycznego. — *Obrazami w utworach Kr.* zajmuje się także p. Longin Lam (gimn. w Złoczowie, str. 96), który w subtelny sposób rozważa utwory poety pod względem kolorystyki, plastyki i rysunku, uwydatnia w nich młodzieńczą manierę Walter-Scottowską, a potem Byronowską, wykazuje, jak miłość, wpływ natury, zranione uczucia patryotyczne, stosunek z Mickiewiczem, choroba oczu, doskonaliły stopniowo zmysł estetyczny poety, uwalniały go od egzaltacyi i przesady w kierunku nastroju i kolorystyki, a wreszcie pozwoliły mu się wznieść na wyżyny poezyi i wycisnąć na niej piętno indywidualnego stylu.

Daleko pobieżniej traktuje ten sam temat p. Tadeusz Rojek (*Z. Kr. wobec przyrody*, gimn. w Dębicy, str. 30). Wynikiem tej pobieżności jest przedwczesna konkluzya, że „naogół przyroda odgrywała w tych powiastkach (okresu warszawskiego) rolę conajmniej trzeciorzędną". Więcej materyału wydobywa autor z francuskiego dziennika podróży po Szwajcaryi (z sierpnia 1830), a rozprawkę swą kończy znowu fałszywem twierdzeniem, jakoby we Włoszech źródłem natchnień poety stały się ruiny Rzymu, wśród których myśl się kryła, a nie urocza Kampania, która śnić i marzyć w obłokach fantazyi pozwalała. Tymczasem zakończenie *Irydiona* i mnóstwo włoskich liryków od r. 1836 dowodzą czegoś wprost przeciwnego: Krasiński był przedewszystkiem poetą Kampanii, która stanowiła tło dwóch jego miłości.

Jak p. Vrtel technikę i strukturę krajobrazów Kr., tak dr. Marya Kadyjówna (*Wizya Polski w utworach Z. Kr.*, gimn. realne i liceum im. kr. Jadwigi we Lwowie, str. 18) bada patryotyczne wizye poety i analizuje wizyonerskie obrazy Polski ukrzyżowanej, Polski w grobie złożonej i Polski zmartwychwstającej. — Co dr. Kadyjówna traktuje na jednej stronie, temu 26 stron poświęca Ferd. Józef Śliwiński, pisząc o *Strukturze wizyonerskich obrazów w Z. Kr. Śnie Cezary* (gimn. II. w Rzeszowie). Jest to właściwie szczegółowa interpretacya, miejscami trafna, na ogół jednak rozbijająca się o szkopuł, sformułowany raz przez p. Śliwińskiego w ten sposób (str. 11): „Obraz ten, zarysowany z niezmierną subtelnością odcieni myślowych, nie znosi wprost żadnej interpretacyi". Znajomość psychologii snu i assocyacyi sennych autorowi nie dopisuje. Kto wie, czy przy tego rodzaju pracach nie przydałoby się trochę Freudowskiej psycho-analizy. A młodzi w pierwszym rzędzie powołani są do wypróbowania młodych i nowych metod badania, w danym razie psycho-fizyologicznego.

P. Franciszek Sokołowski (*O komiźmie w utworach Z. Kr.*, filia gimn. w Stryju, str. 42) kładzie kres utartemu mniemaniu, jakoby Kr. „nigdy się nie śmiał", a przedmowa do „Trzech myśli" była „jedynym błyskiem humoru w jego poezyi", a zastanowiwszy się nad komizmem w utworach literackich Kr. (komizm postaci, gestów i ruchów; komizm słów; komizm charakterów; komizm sytuacyi), dochodzi do wniosku, że „w Krasińskim tkwił kapitał na specyficznie polskiego humorystę, z zabarwieniem satyrycznym; kapitału tego jednak nie wykorzystał". Kapitalnych przykładów na poparcie tego twierdzenia dostarcza przedewszystkiem *Panie Ko-*

chanku, Herburt i *Rok* 1846, utwory dostępne dopiero od krakowskiego wydania jubileuszowego. Autor zapowiada jeszcze studyum porównawcze o komiźmie w dziełach Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, a do studyum takiego okazał się w omawianej rozprawce doskonale przygotowanym.

10. Językowi Krasińskiego poświęcone są trzy prace. Dr. Władysław Ćwik (*Badania nad idyosynkrazyami językowemi Z. Kr.*, gimn. VIII. we Lwowie, str. 56) bierze za punkt wyjścia wyznanie Kr. wobec Koźmiana, który wytykał w rękopisie *Resurrecturis* takie wyrażenia, jak „natchnienny" (zam. natchniony) głos, „pokorniany" (zam. pokorny), wyznanie, że do wyrazu pokorniany ma poeta *idiosincrasis*. Takich osobistych, niewytłómaczonych upodobań językowych miał Kr. więcej, jak to wykazuje dr. Ćwik, zestawiając nowotwory z przedrostkiem wszech — jako typ idyosynkrazyi późno powstającej; świetny, świetność, świetnieć i t. p., jako typ wcześnie ginący; i przykłady przestawnego szyku wyrazów (np. nieśmiertelną zostawili chwałę), jako typ idyosynkrazyi trwałej. Trwale lubuje się też Kr. w archaicznej końcówce — y narzędnika l. mn. (pełnemi ręki, żelaznemi kraty); w umieszczaniu na końcu zdania wyrazów jednozgłoskowych albo orzeczenia; w końcówce rzeczowej rzeczowników męskich osobowych w l. mn. (Turki, Greki, wrogi); w używaniu „zdało się" zam. „zdawało się", „miasto" w znaczeniu „zamiast", „by" zamiast „aby". Około 20 r. życia wzrosła koturnowość czy monumentalność stylu. Z 30 rokiem życia język Kr. jeszcze bardziej poczyna się odchylać od języka codziennego pod wpływem dzieł filozoficznych i operuje nowotworami, niezawsze koniecznymi. Tego rodzaju obserwacye, same przez się bardzo ciekawe, nabierają większej wagi jako kryteryum, pomocne przy oznaczaniu chronologii pism niedatowanych lub autentyczności utworów wątpliwych. Ale tych operacyi autor tym razem nie przeprowadza.

Surowy materyał z III, IV, VI i połowy V tomu pism Krasińskiego w wydaniu prof. Czubka zbiera p. Alfred Brodnicki (*Język w utworach Z. Kr., cz. I*, gimn. w Drohobyczu, str. 24), grupując go według następujących rubryk: 1) głosownia (np. przemiana *a* na *e*: ścienie); 2) deklinacya; 3) konjugacya; 4) składnia; 5) archaizmy; 6) gwara (np. bieluteńki, bies, brzdąkać...); 7) szyk wyrazów; 8) nowotwory (ze słownikiem). Takiego schematu używa się przy opracowaniach np. zabytków języka staropolskiego; w zastosowaniu do artysty o silnym indywidualiźmie i wyraźnym rozwoju językowym sche-

mat ten nie dopisuje i sprawia, że materyał, zebrany przez p. Brodnickiego, jest nie tylko surowy, ale i martwy. — Podobnie martwą szablonowością grzeszy rozprawka p. Alfreda Wątorskiego *O języku i stylu Irydiona*, (gimn. w Podgórzu, str. 20), wpychająca żywy materyał w kategorye w rodzaju: Metafory I klasa (przeniesienie konkretów na konkreta), 1 grupa (nieżywotnych na inne nieżywotne), 2 grupa (żywotnych na inne żywotne), 3 grupa (żywotnych na nieżywotne), 4 grupa (nieżywotnych na żywotne)... Wśród neologizmów wymienia autor 3 przykłady: czterodźwięczne (struny), przyspieszyciel (przyszłości), dziko świetnieje... Czyżby to były wszystkie nowotwory *Irydiona*? Latynizmami są dla autora: spisani ojcowie (*patres conscripti*) i fortunne wieści... Czy Krasiński nigdzie więcej w *Irydionie* nie zabarwia stylu latynizmami? Materyały p. Wątorskiego są bardzo niezupełne i — bezwartościowe.

11. Od samego Krasińskiego przechodzimy poza niego, do wpływu, jaki wywarł na innych autorów i inne piśmiennictwa. *Wpływ Krasińskiego na twórczość poetycką Ujejskiego* bada p. Gabryel Dubiel (gimn. I. w Tarnowie, str. 49) i konstatuje ślady historyozoficznej poezyi Kr. (głównie *Przedświtu* i *Psalmów*) w pierwszej części *Skarg Jeremiego*. — Dr. Tadeusz Stanisław Grabowski (*Kr. w piśmiennictwach s'owiańskich*, gimn. św. Jacka w Krakowie, str. 128) ogłasza materyały, odnoszące się do wpływów poezyi Kr. na niektórych poetów czeskich (Kvapil, Vrhlicky, Svatopluk i Čech) wymienia nieliczne przekłady liryków Kr. na język słowieński. Dalsze części tej pracy o Kr. w literaturach serbsko-chorwackiej, bułgarskiej i ruskich ogłosił autor w wydaniu książkowem. — Literaturze niemieckiej przyswaja *Nieboską* po K. Batornickim (1840) dr. M. Bienenstrock, *Die ungottliche Komödie. Zum* 100 *Geburtstag des Verfassers übe setzt u. eingeleitet* (gimn. w Stryju, str. 67). Interesującemby było wiedzieć, czy i o ile Niemcy zwrócili uwagę na ten dość artystyczny przekład, a temsamem na europejskie dzieło Krasińskiego. — O dawniejszych *Niemieckich tłumaczeniach dzieł Krasińskiego* pisze p. J. W. Rollauer (gimn. VII. we Lwowie, str. 25), wyliczając i charakteryzując (odmiennie od prof. Stroki) ośm przekładów dzieł większych (*Agay-Han von Emil Brachvogel*, 1840; *Iridion in Rom von Polono-Germanus* t. j. *dr. Jochmus*, 1847; *Iridion v. dr. Albert Weiss w Roklama Universalbibliotek*; *Ein Traumgesicht Anonima*, 1875; *Die Sommernacht von H. Blumenstock*, 1881; *Die Versuchung von Vincenz Stroka*, 1881; *Drei Gedanken des Heinrich Ligięza*, 1897); pomijamy wymie-

niony powyżej przekład Batornickiego tudzież parafrazy pięciu fragmentów oraz siedmnastu wierszy drobnych.

12. Byśmy przy mustrowaniu uczonych nie zapomnieli o nauczycielach, zapytuje nas dr. Marek Piekarski: *Jak czytać z uczniami Nieboską Komedyę Krasińskiego?* (gimn. pryw. im. A. Mickiewicza we Lwowie, str. 43) i odpowiadając na to pytanie, przedkłada rezultaty swego kilkuletniego doświadczenia, bądźto reprodukując tok idealnej lekcyi, wypełnionej rozbiorem części I, bądź podając potrzebne dla uczniów wiadomości (głównie społeczne), odnoszące się do części III. i IV.

W epilogu wyliczamy publikacye o charakterze wybitnie krasomowczym, poświęcone jubileuszowi Krasińskiego: P. Zygmunt Lubertowicz (*Krasiński jako wieszcz narodowy*, gimn. w Brodach, str. 44) deklamuje o związku idei narodowych Krasińskiego z ideałami narodowymi Mickiewicza, o społecznych, religijnych, narodowych ideach Krasińskiego, o marzeniach i prawdach Przedświtu, o tragiźmie rzeczywistości i pięknie marzeń w Psalmach przyszłości, wreszcie o testamencie poety w *Resurrecturis*. Nie widać na tych wywodach, żeby intuicya (p. Lubertowicz jest poetą) pozwalała na odkrycie jakichś nowych prawd, ukrytych dotychczas przed badaniem naukowem. A. E. Balicki (*Ku czci Z. Kr.* gimn. III. w Krakowie, str. 17) mówi bardzo podniośle o cnotach i zaletach, składających się na wielkość i potęgę Kr. i o najważniejszych cechach jego utworów. Z mniejszym polotem prawi p. Franciszek Walczak o ideach poezyi Z. Kr., kładąc główny nacisk na *Miłość i Czyn* (I. szkoła realna we Lwowie, str. 8); z wielką rutyną sławi Kr. jako *Poetę Nadziei* p. Stefan Morawiecki (gimn. w Myślenicach, str. 4). Ks. dr. Jan Wiślicki każe o *Ideałach religijnych Z. Kr.* (gimn. II. w Tarnowie, str. 12), a p. Bronisław Kryczyński (*Zaleszczyki Z. Kr.* pryw. gimn. w Zaleszczykach, str. 4) zestawia cztery przemówienia (Z. Kr. na tle epoki; miłość ojczyzny w dziełach Kr.; religijność Z. Kr.; kobieta w poezyi Kr.), wypowiedziane na „Uroczystej Akademii w Zaleszczykach".

Gorzej od Swady dopisała Muza Poezyi, która chyba nie bardzo łaskawem okiem spojrzała na p. Wincentego Korolewicza *Hołd Z. Kr.*, (gimn. II. w Tarnowie), a już zupełnie odwróciła się od p. Edmunda Biedera, gdy pisał swą „baśń dramatyczną w 1 akcie, p. t.: *Irydion w krainie mogił i krzyżów* (gimn. II. w Tarnowie, str. 33).

Płodnego liryka można poznać tylko po strofkach lirycznych, stosowanych do — dyalogu!

Księgę, zestawioną z omówionych artykułów przez dra Hahna, zaopatrzył na drogę „dobrem słowem“ przedstawiciel nakładczyni, (t. j. Rady szkolnej krajowej) p. Wiceprezydent Ignacy Dembowski, mówiąc pięknie o pierwiastkach etycznych i wychowawczych poezyi Krasińskiego i publikując z archiwum rodzinnego urywek listu, pisanego w r. 1855 do ojca jego, Zygmunta Dembowskiego, krewnego i serdecznego przyjaciela znacznie starszego poety.

Rzucając jeszcze raz okiem na te trzy ogromne tomy, musimy powiedzieć, że warto było przecież powołać do naukowego hołdu cztery tuziny nauczycieli szkół średnich, by uzyskać przynajmniej tuzin prac — nietuzinkowych. Wiążą się one przeważnie z seminaryum polonistycznem prof. Kallenbacha i dowodzą, ile podniet i wskazówek do twórczości naukowej płynie z ust autora kapitalnej biografii Krasińskiego. On też właściwie najbardziej był powołany do oceny tego hołdu dla Krasińskiego. *Tadeusz Sinko.*

Z piśmiennictw obcych.

Адамъ Мицкевичъ. Его жизнь и творчество. *Проф. А. Л. Погодинъ.* Москва 1912. **Adam Mickiewicz. Życie i twórczość.** *A. L. Pogodin.* Moskwa 1912. T. I. str. I—III. 404; t. II. str. 350.

Dwutomowa monografia o Mickiewiczu, obejmująca życie i dzieła. Czwarta z kolei po monografiach Chmielowskiego, Wł. Mickiewicza i Kallenbacha. Nie biorę w rachubę nowej, interesującej acz subjektywnej konstrukcyi na tle twórczości Mickiewicza p. t Monsalwat A. Górskiego. Pozatem od lat piętnastu[1] pojawiło się wiele studyów, rozpraw, dociekań, wydano nieznane pisma poety, wydano wiele materyałów, dotyczących jego epoki — i monograficzne opracowanie na tej podstawie miało racyę bytu, zwłaszcza, że i dwaj najwięksi obok Mickiewicza — Słowacki i Krasiński, pozyskali nie tylko mnóstwo krytycznych badań, lecz i opracowania

[1] Ostatnia z wymienionych monografii Kallenbacha wyszła w 1887 r., zatem przed 15 laty.

całokształtu twórczości. Bądź co bądź należałoby się koniecznie wielkiemu poecie ponowne wydanie którejś z trzech dużych monografii. Uprzedził krytykę polską rosyjski monografista — Pogodin. Nazwisko nieobce tym, którzy śledzą uważnie opinię rosyjskich pisarzy o Polsce i Polakach.

Aleksander Leonowicz Pogodin był uczniem slawisty Łamańskiego, wychowańcem petersburskiego uniwersytetu. Badał przed laty językoznawczo i folklorystycznie Żmudź, Litwę i Estonię. Jako docent slawistyki w petersburskim uniwersytecie wydał „Materyały do historyi oświaty w Rosyi", w których oceniał stosunki wileńskie za Czartoryskiego i Czackiego z uznaniem dla kulturalnej i pedagogicznej działalności obydwu. Już na stanowisku profesora warszawskiego uniwersytetu do r. 1904 zajmował się głównymi kierunkami polskiej myśli politycznej po rok 1863 i w tym celu czynił studya w Krakowie, przyjmowany sympatycznie, sam bowiem, choć rodowity Rosyanin, użycza narodowi naszemu i naszej literaturze gorącej życzliwości. Dzieło też o Mickiewiczu zaopatrzył dedykacyą: „żonie mej ofiaruję tę książkę o największym poecie jej narodu". Wstępne słowo autora zawiera skromne zeznanie o celu dzieła. Bez znajomości Mickiewicza — mówi słusznie Pogodin — niepodobna zrozumieć literatury polskiej XIX wieku. Postanowił tedy ułatwić poznanie go swym rodakom.

„Zadanie przewyższało siły me i zdolności. Lecz zanim podejmą się go sposobniejsi, ileż jeszcze czasu upłynąć może! To też i w niniejszej postaci niech książka pełni swą służbę: niech nasze społeczeństwo zainteresuje się Polską i jej wielkim poetą, niech ona roznieci współczucie i szacunek ku narodowi polskiemu i jego ideałom. Będę szczęśliwy, jeżeli to dzieło ukrzepi humanitarne uczucia w młodych sercach".

W wykładzie przyjął Pogodin ład chronologicznego rozpatrywania działalności twórczej w związku i na tle przeżyć wewnętrznych. Metoda to dawno znana: narracyjna w sprawozdaniach z życia i rozwoju myśli; indukcyjna i przedmiotowa w analizach dzieł. Metoda zapewne nie rości pretensyi do budowania nowych konstrukcyi hipotetycznych na rumowisku lekko przeoczonych materyałów; wszelako rozjaśnia wiele i rzadko bywa błędna, zwłaszcza w rzeczach zasadniczych, gdyż opiera się zazwyczaj na wszechstronnie kontrolowanych dokumentach. Taką metodą pisały się do dziś cenne krytyczne dzieła nasze o Skardze Dzieduszyckiego, o Sło-

wackim Małeckiego, o Mickiewiczu Chmielowskiego i Kallenbacha. Tak samo pisze i Pogodin. Ponieważ atoli bibliografia mickiewiczowska dziś rozrosła się na setki dzieł, broszur, studyów, notatek, rozbiorów, — a z nich wielka część wyzyskana w ostatniej monografii prof. Kallenbacha, przeto Pogodin przyjmuje już udowodnione pewniki ostatnich monografistów, sprawdza wątpliwości przy pomocy ostatnich szczegółowych badań lub świeżo odkrytych materyałów. Na wstępie w obszernym o 50 stronach oktawy rozdziale roztacza pogląd na stan kulturalny społeczeństwa polskiego z początkiem XIX wieku.

Doniosłe skutki czteroletniego Sejmu, oczyszczenie atmosfery szlacheckiej, reforma wychowania, walka o Polskę Napoleona i Aleksandra, entuzyazm patryotyczny szerokich kół, obrona polskości w działaniu Towarzystwa Przyjaciół nauk, Bard polski Czartoryskiego, O dobrodziejstwach Opatrzności Woronicza, Pieśnioksiąg Niemcewicza, jednem słowem podniesienie uczuć religijnych i patryotycznych: oto szereg zjawisk i przyczyn pogłębienia uczuciowości zbiorowej, na którą też od okresu Stanisławowskiego pracowała polska powieść i sielanka. W związku z tem — wywodzi Pogodin — upowszechniało się przeświadczenie, że literatura powinna mieć cele umoralniające. Umoralnienie sceny było zadaniem Iksów w Warszawie, umoralnienie towarzystwa, wychowanie poważnej, zdrowej moralnie jednostki było zadaniem Szubrawców i *Wiadomości Brukowych* we Wilnie.

Na takiem podłożu rósł geniusz Mickiewicza, niebawem też ujęty porywem filomatów, którzy również za cel sobie wzięli budzić w młodych sumienie, pracować dla dobra kraju i ojczyzny. W rozwoju ideowym filomatów zgodnie z prawdą rozróżnia dwie fazy: z początku celem nauka, później praca dla ogółu nie bez politycznej zaprawy.

Po takim wstępie rozpoczyna rzecz o Mickiewiczu, o wpływach szkoły, uniwersytetu, przyjaźni, miasta na rozwój poety; rozpatruje klasycyzm jego, przejście do nowego kierunku, miłość, życie kowieńskie, twórczość romantyczną; analizuje ballady, Grażynę, Dziady, — wszystko to prawie zawsze trafnie, z dobrą znajomością rzeczy, z uwzględnieniem najnowszych opracowań i dociekań, z bezpośredniem wglądaniem do dzieł literatury niemieckiej, francuskiej i angielskiej, żeby sprawdzić wiarogodność jakiegoś wpływu obcego, wskazanego przez krytykę mickiewiczowską. Nie przyjmuje też bez-

krytycznie domniemań najnowszych badaczy. Parę przykładów rzecz wyjaśni. Dr. T. Grabowski w dziele *Krytyka literacka w czasach romantyzmu* upatrywał śladów romantyzmu w *Uwagach nad Jagiellonidą* Mickiewicza. Pogodin stanowczo nie godzi się z tem zdaniem (str. 81 t. I). W sposobie tłómaczenia psychologii Maryi Wereszczakówny i miłości ku niej Mickiewicza usiłuje znaleźć inne wyjście, niż Chmielowski lub Kallenbach. Pierwszy nazywa Maryę sentymentalną panną, wychowaną na idyllach i czułostkowych romansach; drugi sądzi, że Marya nie była naturą skłonną do czczych czułostkowych marzeń, lecz była naturą czynną. Pogodin z portretu i listów Maryi stara się odgadnąć duszę: niezdolna do walki z życiem, uciekająca od niej w głąb swego duchowego świata, bierna natura, lecz subtelna, arystokratyczna, kryjąca wielką siłę oporu i jedynej, wiernej miłości, która nie żąda ani wynurzeń, ani odwzajemnień. (88—9 t. I). Słowa swe popiera Pogodin opinią Promienistych i czarodziejskim wpływem takiej postaci na uczucia filareckiej młodzieży.

Zastanawiając się nad czasem powstania ballady *To lubię* i *Do przyjaciół*, w pierwszem wydaniu noszącej datę 27 grudnia 1821 roku, uznaje słuszność wywodów prof. Tretiaka, Kallenbacha i Chmielowskiego, cofających tę datę wstecz o rok, lecz sam nie tylko cofa datę jeszcze o rok tj. do 1819, ale radby i 27. grudnia przerobić albo na 21 grudnia albo na 27 listopada. (I. 121—122).

W rozbiorze ballady *Rybka* odrzuca stanowczo wszelką publicystyczną nutę na temat antagonizmów klasowych, zaznaczonych przez Zdziarskiego, lecz też nie zgadza się z wpływem dumy Niemcewicza, upatrzonym przez prof. Bruchnalskiego (I. 182—183).

W rozbiorze części I. *Dziadów* oraz stosunku jej do dalszych: II. i IV. polemizuje i z Tretiakiem i z Kallenbachem — trzeba przyznać — dość niefortunnie (I. 264—265). Przytem widocznie nie zna bardzo zajmujących wywodów Bruchnalskiego w rozprawie p. t. *Do genezy wileńskich Dziadów*. Tak samo niefortunnie wypadł rozbiór ballady *Lilie* (I. 200—201). Szeregując opinie o tym poemacie Biegeleisena, Szyjkowskiego i Bruchnalskiego, zachwyca się subtelną analizą pierwszego (*Wisła* t. V); lecz własny Pogodina sąd wypadł i kuso i nawet nie bez sprzeczności. Raz uznaje mistrzowstwo Mickiewicza, polegające na braku gadulstwa i t. d.; drugi raz wyraźnie utrzymuje, że akcya płynie wolno i wyraża się z obfitością słów[1].

[1] I. 200. „многословія нѣтъ“ pisze raz; „медлительное и многорѣчивое“ zarzuca drugi raz na tejże stronie.

Ze wszystkich przykładów — a możnaby je bez trudności potroić — widać, że choć nie zawsze pomiędzy wynikami badań wybiera szczęśliwie, to jednak nie przyjmuje też bezkrytycznie pierwszego z brzegu sądu, ale stara się skontrolować go za pomocą wszystkich dostępnych sobie materyałów.

Dla polskich czytelników wszystkie te początkowe rozdziały, traktujące o życiu i twórczości Mickiewicza we Wilnie i Kownie, mają o tyle znaczenie, że gromadzą rozprószone po licznych czasopismach wiadomości i krytyczne spostrzeżenia w całość. Gdyby który z polskich badaczy Mickiewicza ogłosił nowe wydanie monografii — mam głównie na myśli prof. Kallenbacha — uczyniłby to samo w sposób niewątpliwie bieglejszy a nawet głębszy, gdyż nam znana jest większa ilość prac dawnych o poecie, a tych nie uwzględnia Pogodin. Jednakże radbym zwrócić uwagę czytelników polskich na jeden rozdział monografii Pogodina, oparty w części na mało nam dostępnych źródłach rosyjskich. Jestto rozdział XV. w tomie II. o pobycie Mickiewicza w Moskwie. Pozwolę sobie o tej partyi dzieła szerzej się rozwieść, a nawet sądzę, że nie byłoby od rzeczy przełożyć ten rozdział (str. 1—34) na nasz język.

Mickiewicz przybył do Moskwy w grudniu 1825 r. wkrótce po stłumieniu spisku dekabrystów. Kwestyi polskiej wówczas w Rosyi jeszcze nie było; Polskę znali tam mało; nie mówili o niej zgoła. Literaturą również się nie zajmowano. Tylko dyplomaci użalali się na przywileje Królestwa. Co innego atoli w Warszawie, gdzie między Polakami a Moskalami istniała nieufność i niechęć, gdzie mowy Aleksandra przy otwieraniu sejmów budziły rozdrażnienie i odbijały się silnem i dalekiem echem w sferach rządzących na północy. Dnia 20. stycznia 1831 pisał Naszczokin do przyjaciela swego Puszkina: „Nigdy nie lubiłem Polaków i rad będę, gdy w Polsce nie pozostanie ani jeden Polak. Zesłać ich w stepy. Polsce pustka nie grozi: fabrykanci ruscy ją zajmą. Naprawdę zdaje mi się, że nietrudno Polskę zrusyfikować". Myśl i zamiar rusyfikacyi dawno istniały tedy. Grudniowiec ks. Wołkoński w pamiętnikach też opowiada o nienawistnych stosunkach między oficerstwem rosyjskiem a szlachtą polską. A w Rosyi? Tam i grudniowcy nie byli szczerzy w swych sojuszach z Młodą Polską i inteligencya raczej nieżyczliwą okazywała się względem Polaków, aniżeli obojętną. Poematy Puszkina o wzięciu Warszawy witano w Rosyi z zachwytem. Sam on 1. czerwca 1831 r. wyrażał

się: „Ich trzeba zadusić, a nasza powolność dręczy. Dla nas rewolucya w Polsce — to stara dziedziczna nienawiść"...

W ówczesnej Moskwie nie było lepiej. Życie ogółu zmateryalizowane; cielec złoty bogiem. W sferach urzędowych po świeżem obaleniu grudniowców — panika, donosy, służalczość. Studenci na komersach zaczynali od toastu za państwo i cara. Przytem nie było mowy o wyższych pobudkach miłości ojczyzny, o szacunku dla narodu i władzy.

Już poeta był w Moskwie, a jeszcze wciąż toczyła się o nim i o niego korespondencya pomiędzy ministrem oświaty Szyszkowem, generał-gubernatorem Golicynem, wileńskim uniwersytetem i kuratorem Nowosilcowem. Skutkiem jej było, że Golicyn bał się umieszczać spiskowca w swej kancelaryi (Pogodin II 9.) i pozostawiał mu swobodę woli i ruchów — pod pozorem, że musi się nauczyć po rosyjsku. Ale że to był pozór, wiemy od rosyjskich świadków, zeznających, że poeta dobrze władał tym językiem. Golicyn wydawał też i Malewskiemu i Mickiewiczowi doskonałe świadectwa, aczkolwiek nie służyli w urzędzie. Tak np. 9 kwietnia 1829 daje mu Golicyn kwalifikacyę, że „karanym i sądzonym nie był, zawsze celował uzdolnieniem, godnem promocyi, sprawował się znamienicie, poruczone obowiązki wypełniał ze wzorową gorliwością i energią". A w samej rzeczy wszystko to było fikcyjne. Życie w Moskwie zrazu zamknęło się w kółku najbliższych. Jeszcze w czerwcu 1826 r. Mickiewicz pisał do Zana, że znajomości nie mają żadnych. Wprawdzie od końca 1825 roku znał braci Polewych, rosyjskich liberalnych kupców i wydawców, lecz zbliżenie nastąpiło dopiero wiosną 1826 r. „Przyjaciel mego brata — mówi Ksen. Polewoj — Poznański, natenczas młody oficer generalnego sztabu, przybył z Polski i przywiózł kilka utworów poetycznych Mickiewicza w przekładzie. Dziwił się, że brat prawie nie zna bawiącego w Moskwie największego polskiego poety. Entuzyazm, z jakim Poznański odzywał się o Mickiewiczu i owe przekłady, acz nie doskonałe, skłoniły mego brata, że udał się do Mickiewicza, zaprosił go do siebie — i po kilku odwiedzinach poeta zżył się z naszym domem, jakby należał do rodziny. Z nikim prawie wtedy nie znał się w Moskwie, żył w odosobnieniu z paru przyjaciółmi i chciwa serdecznego ciepła dusza jego cieszyła się szczerem przyjęciem, jakie znalazł w rosyjskiej rodzinie, w gronie ukształconych ludzi i literatów". Tu Mickiewicz poznał ks. Wiaziemskiego, Boratyńskiego, Puszkina, M. P. Pogodina. Wiaziemski w swych wspomnieniach przechował wizerunek poety.

Nie ma go w swej biografii Władysław Mickiewicz, lecz znany

on nam z dzieła prof. Kallenbacha (I. 240), a wydaje mi się ten portret ówczesnego Mickiewicza tem ciekawszy, że i różni się od portretów Polewoja i hrabiny Rostopczyn, podanych przez syna poety (t. I. 244—248) i zgodniejszy o wiele z tonem ówczesnej korespondencyi. Ksenofont Polewoj np. utrzymuje, jakoby Mickiewicz nie znał rosyjskiego języka, jakoby przemawiał tonem uroczystym, jakoby był posępnym [1]; my dziś wiemy, że w języku rosyjskim zdawał część kandydackiego egzaminu; wiemy z listów i wierszy Wiwlasów, jak bywał wesoły i dowcipny.

Pogodin przytacza też nieznany nam list Mickiewicza do Żukowskiego z 1827 roku [2]. Mickiewicz tytułuje Żukowskiego „mój przyjacielu". Wymienia tu poeta niektóre szczegóły swego zesłania do Rosyi, nadmienia o procesie Filaretów w tych słowach: „Oto, drogi panie, część wtóra mojej historyi, obejmująca podróż: to moja Odyssea. Co się tyczy Iliady, w której opisuję bezeceństwa naszego litewskiego Achillesa, który tyle złego wyrządził uczniom, tej pan nie będziesz dzisiaj czytał. Wybawię pana od tej nudy, lecz za to gotuję mu dłuższą posyłkę".

Podług Pogodina wtedy w Moskwie w rozmowach ze słowianofilami Pogodinem, Chomiakowem, Aksakowem, Wenelinem Mickiewicz w dwóch kierunkach przeistaczał swe przekonania: nabierał tego słowianofilskiego zabarwienia, jakiem odznaczą się później głoszone z paryskiej katedry wykłady; powtóre zaś tu, w Moskwie, dalszy rozwój nalotu mistycznego, który się zaczął w chwilach krótkiej znajomości poety w Petersburgu z Oleszkiewiczem, poczynił postępy, gdyż ci sami moskiewscy towarzysze literaccy poety lubili dyskusye religijne. Chomiaków, Aksaków, Kirejewski religię uważali za fundament swego na świat poglądu. W Moskwie o Bogu ciągle debatowano.

Pomijam stosunek poety do Puszkina; pomijam przyjaźń Mickiewicza i Wołkońskiej, oraz projekty małżeństwa poety z Karoliną Jänisch, jako znane nam dawno i dość dokładnie z dzieła Władysława Mickiewicza (I. 265—273). Natomiast na uwagę zasługuje notatka Mickiewicza z 1829 dla szefa żandarmeryi, Benkendorfa, z prośbą o wyjazd za granicę, drukowaną w *Byloje* za kwiecień 1906. Stwierdza ona raz jeszcze, że poeta korzystał z wpływów wysokich sfer, skąd nawet na W. księcia Konstantego wywarto nacisk, aby przyspieszył

[1] Żywopisnaja Ruskaja Biblioteka N. 10.

[2] Podług *Birżewych Wiedomostej* z 30 listopada 1910 r.

pomyślne załatwienie sprawy paszportowej; lecz to rzecz drobna, w niczem nie zmieniająca naszej znajomości życia poety, Bez znaczenia także są niedorzeczne wiadomostki z *Dziennika* Niemca Warnhagena, który powtarzał swą rozmowę w 1858 z Karoliną Jänisch, że „była narzeczoną Mickiewicza, że mu ułatwiła ucieczkę z Rosyi przed wybuchem rewolucyi, że utrzymywała, jakoby Mickiewicz ród swój od Żydów wywodził (*sie sagt Mickiewicz sei ein Jude gewesen*)"[1].

Możnaby już uznać za podlegającą dyskusyi opinię Pogodina, jakoby Mickiewicz dla tego tak długo i tak niechętnie wykańczał w Moskwie *Konrada Wallenroda* (przez r. 1826 i połowę 1827), bo przeobrażał się wewnętrznie[2]. Tworząc uosobienie namiętnej nienawiści ku wrogom i zdradzieckiej zemsty, sam już nachylał się ku uczuciom chrześcijańskiego przebaczenia, odtrącał pychę i hardy rozum. Opiera Pogodin ten sąd wyłącznie na uznaniu przez Mickiewicza za słuszny zarzutu Natalii Biszpink o chrześcijaństwie Wallenroda — żywem, potem zapomnianem; lecz możnaby przeciwstawić takiej opinii nie tylko list Mickiewicza do Zana i Czeczota o idei Wallenroda z 5. stycznia 1827 roku, nie tylko późniejsze poematy *Do przyjaciół Moskali*, *Do Matki Polki*, w których o łudzeniu despoty wyraźnie mówił, ale i ten pewnik, że *Wallenrod* nie tyle jest uosobieniem namiętnej ku wrogom nienawiści, ile ideałem ofiarnej miłości ojczyzny. Nie wydaje mi się szczęśliwym pomysłem przesunięcie wewnętrznego przeobrażenia Mickiewicza z czasów rzymskich do czasów moskiewskich[3]. Podobnie rzecz ma się w kwestyi dwóch powieści w *Wallenrodzie*. Jak wiadomo, Mickiewicz godził się na sąd, że w poemacie uczta za długa, zeznawał, że chciał zrobić dwie powieści oddzielne, zacząć poemat opisem zarazy, lecz musiał z różnych przyczyn włożyć go w usta wajdeloty — i to zepsuło plan. Jakie miały być dwie powieści? Podług prof. Tretiaka, zgodnie przez krytykę przyjętego, pierwszą były dzieje młodości Wallenroda, powrót z niewoli niemieckiej i projekt zemsty, drugą zaś wykonanie zemsty na Krzyżakach. Pogodin mniema, jakoby owe dwie powieści były: pierwsza — powieść o zemście Litwina, druga zaś o wiernej miłości. W pierwszym wypadku poemat stanowiłby jednolitą całość i tego bronią tak poważni rzeczoznawcy, jak Tarnowski i Zdziechowski;

[1] Pogodin I. 33.
[2] Ibd II. 37.
[3] Pogodin I. 37.

w drugim zaś ilość sprzeczności w utworze zachwiałaby organiczną jego budową, co też utrzymuje Pogodin, zarzucając stronniczość sądom polskiej krytyki [1].

Prawie nic nowego nie przynosi dalszy ciąg biografii, której lata 1828—1834 traktowane są z obfitością szczegółów, zdobytą dzięki korespondencyi i opracowaniom, zwłaszcza Wł. Mickiewicza. Tu wypada wyrazić ubolewanie, że Pogodin nie znał wielu pierwszorzędnych materyałów i nie zadał sobie trudu dokładniejszego zbadania środowiska w Rzymie, Dreźnie i Paryżu, jak to uczynił z Moskwą. Dość powiedzieć, że nie cytuje zgoła w źródłach ani *Listów ś. p. Adama Mickiewicza do Pani Konstancyi*, Poznań 1863, ani cennej pracy Kanteckiego *Mickiewicz w Smiełowie*, nie zna ani Siemieńskiego *Ewunia*, ani nawet Gadona trzytomowego dzieła o emigracyi. Prawie wyłącznie opiera się na książkach syna poety, Chmielowskiego i Kallenbacha. To też biograficzna część dla polskiego czytelnika nie budzi głębszego interesu, nawet razi niejednym brakiem. Część krytyczna, obejmująca *Dziady*, ze względów zapewne oportunistycznych, grzeszy przejściem do porządku dziennego nad książką Mościckiego p. t. *Warszawa i Wilno w III. części Dziadów*. „Historyczne sceny tragedyi znalazły tak świetnych tłómaczy w dziełach Mościckiego *Wilno i Warszawa w Dziadach* i Sz. Aszkenazego *Łukasiński*, że wypada mi ku nim skierować rosyjskiego czytelnika“ [2]. Oto wszystko. A jednak skutkiem tej wstrzemięźliwości, czy obawy niezrażenia sobie rosyjskich nacyonalistów, ucierpiał wykład o największem dziele Mickiewicza: drezdeńskich *Dziadach*. Na uwagę zasługuje parę myśli Pogodina o znaczeniu *Dziadów* dla literatury europejskiej, myśli już dotkniętych czy u George Sand czy u Kallenbacha, lecz ładnie sprecyzowanych przez rosyjskiego monografistę. Trzecia część *Dziadów* — mówi on [3] — miała duże znaczenie w literaturze i dziejach polskich narodowych ideałów. Ona wydała nowy kształt dramatu, w którym realizm przedziwnie łączył się z symboliką, tworząc nierozdzielną całość, tak wiernie swem zawikłaniem odpowiadającą spółczesnej ludzkiej duszy. Mickiewicz może nie znał drugiej części *Fausta*, gdy tworzył dramat Konrada. Wyszła ona dopiero w końcu 1832 r. Prawda, że domysł Kawczyńskiego o wpływie niektórych

[1] Ibd. I. 58.
[2] Tom II. 176.
[3] Tom II. 184.

scen tej części na *Dziady* nie wydaje się nieprawdopodobnym: we Włoszech Mickiewicz spotkał się z synem Goethego, spędził z nim cały wieczór i mógł od niego dowiedzieć się o planie drugiej części. Jakkolwiekbądź, *Dziady* i *Faust* tworzą nowe słowo w literaturze, wywołane nowemi wymaganiami sztuki. Realizm i fantastyczność, trzeźwy ton i głęboki patos zlały się w jakiś splot nierozdzielny. Właśnie przez III. część *Dziadów* Mickiewicz wysunął się na czoło europejskiego ruchu literackiego. Swoją walką o ideał, wiarą w istnienie jego, zaprzeczeniem grubego materyalizmu i oportunizmu, zajął w światowym rozwoju ideałów ludzkości takie wyjątkowe stanowisko, jak później Tołstoj. I jak Tołstoj, płonący nadludzką żądzą dobra i prawdy, jest geniuszem moralnego doskonalenia się ludzkości, tak Mickiewicz wysoko ponad współczesnych wzniósł się w swym niewstrzymanym locie ku Bogu, sprawiedliwości i miłości. Żaden z pisarzy polskich nie dorównał mu w tem dążeniu i jako etyczny geniusz, jako moralny wódz swego narodu do dziś zajmuje on naczelne miejsce w polskiem życiu.

Taki sąd rosyjskiego uczonego nie jest dla nas dziwnym ani nowym, lecz oddaje sprawiedliwość stanowisku kultury polskiej i jej znaczeniu w kulturze Europy. Życie paryskie Mickiewicza traktowane w dziele Pogodina w porównaniu do pierwszej połowy życia i prędko i nieco powierzchownie. Nie mam do autora o to pretensyi, że nie zajmuje się Konfederatami, Jakóbem Jasińskim, przekładami, artykułami politycznymi, gdyż może dla Rosyan dokładna analiza tych utworów nie wydawała się potrzebną; ale muszę wyrazić zdziwienie, że dwadzieścia końcowych lat życia zamknął autor w pięćdziesiąt kartek druku wobec trzystu trzydziestu kartek, poświęconych pierwszej jego połowie. Ta proporcya razi tem mocniej, że stanowisko poety w narodzie i na emigracyi, a nawet w Słowiańszczyźnie i Europie staje się widne i naczelne, że poeta rwie się do bohaterstwa, czuje się powołanym do spełnienia wielkiego czynu, działa. Jeśli nie chodzi o zewnętrzne wydarzenia, o spis mieszkań, sprzętów, odzieży, o przyjazdy i odjazdy, przyjęcia i wizyty, znajomości i stosunki, lecz jeśli chodzi o treść duchową, o przeobrażenia rozumu i uczuć, przekonań i wiar, doświadczeń i aktów woli, — to dwadzieścia paryskich lat Mickiewicza dają widok tytanicznych walk wielkiego ducha. Tymczasem z książki Pogodina poznajemy losy ubogiej rodziny na paryskim bruku i biednego człeczynę, dość kiepsko radzącego sobie

w zawikłaniach losu; następnie zaś rzekomo źle przygotowanego naukowo do zawodu slawisty profesora; a nareszcie niefortunnego adepta „mistyka i szarlatana Towiańskiego" (II. 304) i równie niefortunnego agenta napoleonizmu, choć go o to ród Napoleona ani prosił ani dbał. Obraz tedy wypadł skrzywiony i niepochlebny, lecz i nieprawdziwy. Pogodin nie poznał ostatnich studyów o tym okresie duchowych mocowań się poety: skutkiem nieznajomości trzech tomów *Dzieów emigracyi* Gadona w rysunku tła opiera się autor wyłącznie prawie na książce Wł. Mickiewicza; skutkiem nieznajomości *Współudziajłu A. Mick. w sprawie Andrzeja Towiańskiego* Semenenki, doktryna określona węzłowato jako „mistyka i szarlatańswo", lecz na czem właściwie ono polegało, nikt się z Pogodina nie dowie, gdyż towianizmem się dzieło wcale nie zajmuje, ani rozbioru doktryny nie daje. Nie poznajemy też i politycznych poglądów poety, choć parę tomów artykułów politycznych mogły dostarczyć dość materyału do zajmującego rozdziału o tej kwestyi, zwłaszcza, że na sukurs poszłyby już istniejące u nas opracowania tej kwestyi Hodiego, Grabowskiego i innych. Nie zadowala także nader płytkie i pobieżne a zupełnie ujemne jakby niechętne rozprawienie się z prelekcyami paryskiemi Mickiewicza[1]. Od Pogodina, jako profesora slawistyki w uniwersytecie, właśnie możnaby wymagać poważnego, gruntownego i przedmiotowego artykułu o wykładach, a w takiej ocenie należałoby się liczyć: po pierwsze z potrzebami francuskiego i polskiego audytoryum, powtóre ze stanem materyałów i badań nad słowiańską kulturą i literaturą przed laty siedmdziesięciu, po trzecie z indywidualnością Mickiewicza, a nareszcie dla uzyskania miary w sądzie, należałoby prelegenta porównać z innymi spółczesnymi profesorami. Żadnego z tych postulatów nie spełnił Pogodin. Nie podał nawet argumentów zbijających: przytoczył jedynie kilka czy kilkanaście wyjątków z prelekcyi i zaopatrzył je lekceważącemi adnotacyami.

Część końcowa życiorysu Mickiewicza wypadła tedy nie tylko bardzo kuso, lecz i bardzo słabo. Do tych zarzutów dołącza się parę drobnych faktycznych sprostowań. Żartobliwą balladę *Czy to pies,*

---

[1] „Naukowa treść pierwszej lekcyi bardzo wątła: szereg frazesów i ogólników" (II. 277); „męki nieprzygotowanego profesora" (II. 281); „trudno okazać więcej niezrozumienia historycznych procesów" (II. 283); „zdumiewa nieznajomość" (II. 284) i t. d.: w takim tonie ocenia Pogodin wykłady.

czy to bies napisał Odyniec i Słowacki, nie zaś Mickiewicz, jak utrzymuje Pogodin [1].

Podanie o wpływie *Ludmiły* Żukowskiego na Filomatów nie pochodzi od Odyńca, lecz od Chodźki, który o tem mówi w *Dwóch konwersacyach z przeszłości* [2]. Bürger nie napisał zgoła ballady *Ludmiła*, jak utrzymuje Pogodin [3], lecz *Lenore*.

Mickiewicz wcale nie napisał ballady p. t. *Pan Twardowski*, lecz *Pani Twardowska* [4].

Mówiąc o recenzyach sonetów Mickiewicza, dodaje Pogodin: „staruszek Dmochowski, wódz warszawskich pseudoklasyków, zabrał głos w *Bibliotece Polskiej*“ [5]. Ale pomieszał syna z ojcem: Franciszek Ksawery Dmochowski, urodzony w 1762 r. byłby istotnie w 1827 już starcem; syn zaś Franciszek Salezy Dmochowski, urodzony w 1801, w 1827 miał lat 26, i choć w istocie wydawał *Bibliotekę Polską* i pisał recenzyę sonetów — zgoła nie rościł pretensyi do wodzostwa tam, gdzie dowodzili Kajetan Koźmian, Ludwik Osiński lub Franciszek Morawski.

Nic też nie wiadomo [6], jakoby się klassycy warszawscy zbierali u jakiegoś Potockiego. Hr. Aleksandrowa Potocka miała wprawdzie salon towarzyski w tym czasie w Warszawie, lecz słynął on ze swej francuskiej kultury. Salonem literackim polskim był dom Wincentego Krasińskiego.

Takich błędów, niedokładności i drobnych nieścisłości da się uzbierać o wiele więcej. Byłyby to atoli usterki, płynące raczej — powiedziałbym — z braku czucia literatury polskiej, niż z braku wiedzy. Muszę przyznać, że Pogodin wpracował się pilnie i sumiennie w twórczość poety naszego. Dziś gdyby polski uczony zechciał taką monografię o Mickiewiczu wydać, miałby obowiązek zaznajomić się nie tylko z tem, co o poecie spisały lata ostatnie, lecz ze wszystkiemi źródłami i opracowaniami. Od biografa obcego może wymagać tego tantalowego trudu nie należy. I on wszelako powinienby dążyć do takiego rozpoznania krytycznego źródeł, żeby umiał nie bez zastrzeżeń czerpać z *Listów z podróży* Odyńca, ze *Wspomnień* Aëra, Niewiarowicza czy Lenartowicza, ażeby na rzecz anegdoty nie rezygnował np. z korespondencyi samego poety. I tu Pogodin też nie bez grzechu.

Bądź co bądź, książka jego o Mickiewiczu podoba mi się — mimo

---

[1] I. 14. [2] I. 108. [3] I. 108. [4] I. 191. [5] I. 396. [6] II. 84.

rozlicznych niedomagań; podoba mi się zwłaszcza w swej pierwszej części do wyjazdu Mickiewicza za granicę.

Do pięknych rzeczy w niej należą prozaiczne przekłady dzieł naszego poety. Celują one wiernością i uczuciem. Błędne lub szorstkie oddania myśli czy uczucia możnaby na palcach policzyć — tak ich mało. A przekładów z natury rzeczy i z potrzeby wiele. Po raz to pierwszy Mickiewicz rosyjskiemu czytelnikowi przedstawi się z taką przejmującą, wprost porywającą siłą uczucia i głębokością myśli. Choćby tylko za to należy się Pogodinowi uznanie. Ale także i za gorące uwielbienie dla poety, za ciepło, z jakiem pisze o Polsce i Polakach, za ten szczery głos przyjaźni, jakim nasz naród darzy, i entuzyazmu, z jakim chyli się przed geniuszem Mickiewicza. Prawdę powiedział jakiś rosyjski recenzent tego dzieła w *Birżewych Wiedomostach*: książka Pogodina jest pięknym pomnikiem przez Rosyanina wystawionym ku czci i pamięci Mickiewicza.

Antoni Mazanowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Wojna na Litwie w roku 1831 przez *N. Z.* Nakład G. Gebethnera i Spółki. Kraków, 1913.

Mała książeczka opisuje w sposób żywy i bardzo przystępny ważny epizod z wojny o niepodległość. Wyświetla, bardzo dobrze jak wielki wpływ na przebieg i udanie się całego przedsięwzięcia mieć była powinna wyprawa na Litwę, tak przez jen. Chłapowskiego świetnie prowadzona z początku — a zmarnowana przez zupełne niedołęstwo, upór i chwiejność później wysłanego po klęsce ostrołęckiej Gielguda, któremu Skrzynecki naczelne dowództwo powierzył. Autor sumiennie cytuje źródła, z których czerpał, z wielką rozwagą porównywa różne zdania — dużo przytacza zdań jen. Prądzyńskiego, hr. Mielżyńskiego. H. Dembińskiego pamiętniki krytycznie roztrząsa, oraz Wrotnowskiego. Cytuje i sądy obcych autorów Puzyrewskiego i pruskiego majora Kuntzego. Mimo tylu cytat rzecz czyta się gładko. Dodana mapa działań ułatwia rozumienie ruchów wojskowych i manewrów. Pomiędzy tylu dziełami o tej epoce książka ta wyróżnia się spokojnym i trzeźwym sądem o ludziach jak i wypadkach. Jasno widać, jak wielkie mieliśmy szanse zwycięstwa, gdyby Pan Bóg dał był człowieka, któryby pojął położenie.

X.

Rok 1863. W Pięćdziesiątą rocznicę. *I. Grabiec.* Poznań. Str. 464. Nakład Z. Rzepeckiego i Spółki, 1913.

Wydawnictwo wspaniałe, godne rocznicy powstania 1863 r.; wielka ilość ilustracyi i barwnych trójdruków. Dzieje powstania opowiedziane szeroko, we wszystkich swoich rozgałęzieniach, rozrzuconych po całej Rzeczypospolitej,

choć pod tym względem odczuwa się tu i ówdzie braki. Natomiast niepotrzebnie wdaje się autor w apologię tego powstania; pod tym względem opinia jest dziś ustalona. Pomijamy już takie ciekawości, jak próba obrony Mierosławskiego lub pogląd na ówczesne stanowisko duchowieństwa.

P.

Walka z alkoholizmem. 1912. Kraków.

Pod takim tytułem wyszła Jednodniówka z okazyi kongresu antyalkoholicznego we Lwowie b. r. Zredagowaniem jednodniówki zajął się znany działacz na tem polu, p. Jan Szymański, prezes krakowskiego związku Abstynentów. Same nazwiska, których referaty są umieszczone w Jednodniówce, już wiele mówią, że ona wielkie przysługi w kierunku uświadomienia może oddać naszemu społeczeństwu. Obecnie „Walka z alkoholizmem" zamienia się w pismo kwartalne z siedzibą w Krakowie. Redaktorem będzie sam prezes, p. Jan Szymański. Całemu naszemu społeczeństwu polskiemu wielce się poleca to nowo powstałe pismo, mające na celu wyswobodzenie narodu naszego z tyranii alkoholu. *Kn.*

Pamiętniki ks. Zygmunta Felińskiego, arcybiskupa warszawskiego. Wydanie II. Lwów 1912. Nakładem księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego. 2 tomy.

Pamiętniki ks. Felińskiego znane były dość szeroko z pierwszego wydania i cieszyły się zasłużoną reputacyą. Ponowione wydanie przyszło w samą porę, jakby na 50-letni jubileusz biskupiej konsekracyi autora, odbytej w 1862 roku i na półwiekowy obchód wypadków, w których odgrywał tak wybitną rolę. Życzyć należy zatem, by to drugie wydanie znalazło się w rękach wszystkich tych, co historyą naszego narodu i Kościoła pod panowaniem rosyjskiem interesują się. Tom pierwszy zawiera opowiadanie o młodości autora do chwili powołania duchownego t. j. do 1851 roku. Jakkolwiek staranniej odrobiona, część ta dla historyi jest mniejszej wagi, choć zawiera wiele bezpośrednich spostrzeżeń z życia i ze stosunków ówczesnych, zwłaszcza na emigracyi. Obfituje w anegdoty i wspomnienia słyszane od innych osób, ale te przyjmować często należy z wielką rezerwą. Za to część druga, pod literackim względem niewykończona, mieści wiele ciekawego materyału do historyi stosunków kościelnych w Rosyi za Mikołaja I i Aleksandra II, a zwłaszcza w Petersburgu i w Warszawie, które to miasta były areną działalności autora. W tym drugim tomie pozostawił zarazem autor dokument swych przekonań kościelno politycznych. Ze zdań, które tu i ówdzie wypowiedział o stosunku Kościoła do państwa, o obowiązkach kapłanów i biskupów względem Stolicy św. i praw kościelnych, zdań, które nieustraszenie głosił wobec silnych świata tego i które wygnaniem przypieczętował, dałby się ułożyć mały kodeks, któryby powinien się znaleźć w rękach każdego kapłana. Niestety, zapewne książce utrudniony będzie dostęp do rąk tych, którzy najbardziejby jej potrzebowali i najwięcej skorzystaćby mogli. *J. U.*

Geschichte der Kongregation der Franziskanerinnen von der Busse und der christlichen Liebe. Von *Maria Paula Münster*. (XVI+460 str.) Freiburg, Herder.

Dzieje tego zgromadzenia, powstałego w pierwszej połowie zeszłego wieku w Hollandyi, wymownie świadczą o tem, jak Opatrzność Boża nikłemi na pozór narzędziami potrafi

stworzyć wielkie dzieło chrześcijańskiej miłości, poświęcenia i opieki nad opuszczonymi. W przeciągu zaledwie 80-lecia swego istnienia nietylko objęło ono swą działalnością własną ojczyznę, ale rozszerzyło swą zbawienną pracę mimo licznych przeciwności na Niemcy, Amerykę, Afrykę i Indye. *V. S.*

Der junge Priester. Von *Herbert Kardinal Vaughan*, Zweite, verb. Aufl. (XVI+346 str.) Freiburg-Wien, Herder.

Wysokie pojęcie o powołaniu kapłańskiem podyktowały dostojnemu autorowi te głębokie i trafne spostrzeżenia, z własnego doświadczenia zaczerpnięte; prawdziwe to gwiazdy przewodnie na całe życie. *B.*

Leben und Lehre Jesu Christi. Betrachtungen für alle Tage des Jahres von *Nikolaus Avancini.* Vierte Aufl. Zwei Bände (XXXVI+708 str.) Freiburg, Herder.

Niewiele podręczników do rozmyślań cieszy się takiem wzięciem jak dziełko powyższe, które przy całej swej zwięzłości zaleca się doborem myśli oraz praktycznemi uwagami. *B.*

Predigten von *Alban Stolz.* Aus dem Nachlass herausgegeben. Zweiter Band. Predigten für die Sonntage des Kirchenjahres. (XII + 581 str.) Dritter Band: Fest- und Gelegenheitspredigten (X+532 str.). Freiburg, Herder.

Życzliwe przyjęcie, jakiego doznało wydanie pierwszego tomu kazań głośnego pisarza ludowego i kaznodziei, zachęciło wydawców do ogłoszenia drukiem następnych; bo też ujmuje Alban Stolz swą głęboką znajomością potrzeb serca ludzkiego, świeżością myśli oraz sobie właściwą prostotą i jędrnością języka obok wyjątkowo bogatej inwencyi. *Sz.*

P. Martin von Cochem 1632—1712. Sein Leben und seine Schriften nach Quellen dargetellt von *P. I. Schulte O. M. Cap.* (XVI+207 str.).

Cenna to i gruntownie opracowana monografia gorliwego misyonarza ludowego i płodnego pisarza dzieł treści religijnej, z pośród których „Życie Chrystusa P." dziś jeszcze cieszy się zasłużoną sławą. *Z.*

Aszetische Bibliothek: Trost und Ermutigung im geistlichen Leben von *L. Blosius O. S. B* Bearbeitet von P. Pl. Friedrich O. S. B. (XVI + 213 s.).

Celem tej książeczki jest pocieszyć i umocnić na duchu ludzi przygnębionych tysiącznemi dolegliwościami codziennego życia, ku czemu bardzo się nadaje sposób pisania autora szczery i do serca idący. *T.*

Führer durch die deutsche katholische Missionslitteratur. Von *Robert Streit O. M. I.* (XII+140 str.). Freiburg, Herder.

Wobec coraz żywszego zainteresowania się kwestyą misyi zagranicznych, powyższy pracowicie a umiejętnie ułożony przewodnik wśród literatury misyjnej daje pojęcie o rozległej działalności katolickiej na tem polu, przedewszystkiem zaś ułatwia korzystanie z tak obfitego materyału, często nieznanego w znacznej części. *V. S.*

Sancti Benedicti Regula Monachorum. Editionem critico-practicam adornavit *D Cuthbertus Butler O. S. B.* (XXIV+212 str.). Friburgi, Herder.

W stosunkowo szczupłych ramach skupił wydawca przeszło dziesięciolecie

żmudnej pracy nad regułą wielkiego Zakonodawcy: nietylko podał krytyczny tekst, ale też pierwszy wskazał szczegółowo na źródła, skąd św. Benedykt po części czerpał. Krótkie ujęcie głównych zasad reguły, oraz staranny spis rzeczy podnoszą doniosłość praktyczną książki. *T.*

Monumenta Ecclesiastica Petropolitana. *Dr. Michał Godlewski.* Zeszyt 4. Petersburg 1912.

Profesor Akademii duchownej w Petersburgu, ks. Godlewski, nie przestaje czynić poszukiwań w archiwach rządowych rosyjskich, dostarczając pracującym na polu historyi prawie co rok nowej wiązanki dokumentów do dziejów Kościoła katolickiego w Rosyi za czasów Siestrzeńcewicza. Obecny czwarty zeszyt przynosi między innymi memoryał arcybiskupa Siestrzeńcewicza o potrzebach Kościoła, złożony rządowi w r. 1803. Dowodzi tu konieczności rozszerzenia jego praw. Następnie mamy odpowiedź rzymską w tej sprawie, zupełnie nie sprzyjającą ambitnemu metropolicie. Inne dokumenty odnoszą się do lat 1816 i 1817, w których między innymi znowu wysuwa się sprawa kardynalatu Siestrzeńcewicza i korespondencya rządu z Rzymem z powodu nagany Stolicy św. udzielonej Siestrzeńcewiczowi za należenie do Towarzystwa Biblijnego. Wydanie luksusowe, ozdobione portretem pierwszego metropolity mohylowskiego. *J. U.*

Die Gnadensonne des 20. Jahrhunderts. Geistliche Erwägungen zur Förderung der Herz-Jesu-Andacht von *Martin Hagen S. J.* Dritte, neu bearb. Aufl. (X+176 str.). Freiburg, Herder.

Uzasadniwszy historycznie i dogmatycznie cześć Najsł. Serca Jezusowego, tłumaczy autor symbole, jakie widać na obrazkach tegoż Bożego Serca, a wreszcie wykazuje, jak bardzo ten kult właśnie w obecnym wieku jest na czasie. *T.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nowy kurs we Francyi?

Nie spełniły się nadzieje antyklerykalnej Francyi, które towarzyszyły prawu separacyi Kościoła od państwa. Owe *associations cultuelles*, za pomocą których chciano osłabić wpływ Rzymu na katolików francuskich i podać ich w większą zależność od państwa, pozostały na papierze. Inwentaryzacya kościołów przez rząd natrafiła w wielu razach na tak energiczny opór ze strony gmin, że często jej zaniechano. Oczekiwany upadek życia religijnego w kościele francuskim nietylko nie nastał, lecz owszem wywołana przez prawo separacyjne opozycya katolików, przyczyniła się do wzrostu życia religijnego i intenzywniejszej akcyi katolickiej zwłaszcza po większych miastach. Zrzeszenie się silniejsze katolików zdołało nawet po niektórych miastach zadać dotkliwą klęskę socyalistom przy wyborach do rady miejskiej.

Że przy wyborze nowego prezydenta Francyi Poincarego, prawica konserwatywna za nim się oświadczyła i zapewniła jego wybór, że po mowie programowej nowego prezydenta ministrów Brianda ta sama prawica głosowała za votum zaufania dla rządu, mimo, że w mowie wyrażono zamiar rządu dalszej laicyzacyi szkoły, wszystko to z pewnością nie działo się bez poprzednich gwarancyi danych katolikom ze strony nowego rządu. Wobec tego prawo, przedłożone niedawno przez Brianda

i ministra finansów Klotza, tyczące się prawa kongregacyi zakonnych z roku 1910, przedstawia się jako pierwsza rata spłacenia długów, zaciągniętych przez nowy rząd u katolików, choć z pewnością wchodzą tutaj w grę także inne względy, jak kwestya protektoratu Francyi nad katolikami Wschodu. Nowe prawo zamierza stworzyć fundusz dla popierania członków zniesionych zakonów, którzy z powodu tego zostali bez dostatecznego utrzymania i nawet orzeka, że w poszczególnych wypadkach może być udzielone członkom Kongregacyi lub zakonów zniesionych pozwolenie na założenie domów zakonnych. Nie wiedzieć, czy prawo przyjęte będzie w Izbie i Senacie, ale oznacza przynajmniej zwrot obecnego rządu w dotychczasowej polityce kościelnej. Cokolwiek się stanie, to jednak przedłożenie rządowe jest znakiem, że katolicyzm coraz więcej zyskuje na znaczeniu w polityce francuskiej i zmusza rząd do liczenia się z jego siłą; jest także znakiem, że nastało pewne otrzeźwienie wobec dążności antyklerykalnych i partyi radykalnych, których zgubne wpływy na niejednem polu życia publicznego już stały się bardzo widoczne. Daleko idących koncesyi dla katolików w bliższej przyszłości spodziewać się jeszcze nie należy.

Program wyborczy włoskich katolików.

Znaną jest rzeczą, jak żywo Ojciec św. interesuje się akcyą katolicką we Włoszech. Trudną zwłaszcza kwestyą dla katolików włoskich był ich udział w życiu politycznem. Od czasu, kiedy znowu przystępują do urny wyborczej, coraz dotkliwiej dawał się odczuć brak wielkiego wspólnego pogromu. Troską Piusa X. było temu zaradzić. Ponieważ reprezentantem akcyi katolickiej we Włoszech na polu politycznem jest włoski *Volksverein*, dlatego trzeba uważać mowę prezydenta hr. della Torre, wygłoszoną niedawno we Wenecyi za nowy program tejże akcyi przez Ojca św. pochwalony. Podnosi ona bowiem kolejno najważniejsze postulaty katolików włoskich i ich stanowisko wobec innych partyi politycznych.

Najprzód zaznaczył hr. della Torre, że katolicy włoscy do żadnej z istniejących partyi politycznych należeć nie mogą dla różnic zasadniczych.

Socyalna akcya katolików nie może być oddzielona od akcyi Kościoła, tem mniej od niej się różnić, lecz musi się trzymać ewangelii i encykliki papiezkiej. Dlatego program katolicki różni się od programu wszystkich innych partyi. Konserwatywno-liberalna partya ma inne pojęcie o religii i inną treść idei gospodarczych; radykalna demokracya ma tendencyę antyklerykalną, a socyalizm ma na względzie stosunki wyłącznie gospodarcze, katolicy zaś chcą, aby dobra religijne i duchowe stanęły w pierwszym rzędzie. Katolicy także nie mogą iść ręka w rękę z nacyonalistami, bo ci dążą do laicyzacyi i niszczą historyczną podstawę włoskiego nacyonalizmu, religię.

Potem przeszedł hr. della Torre do kwestyi rzymskiej. Obrona religii, mówił, streszcza się dla nas w obronie wolności i niezawisłości papieża, bo brak jej równa się wolnemu podkopaniu Kościoła. Kwestya rzymska nie jest kwestyą polityczną albo patryotyczną, lecz religijną. Dlatego zadaniem *Volksvereinu*, według statutu po włosku ułożonego przez Piusa X, jest, przypomnieć i wzmocnić w społeczeństwie katolickiem religijne, obywatelskie i społeczne obowiązki.

Nie mógł prezydent *Volksvereinu* pominąć w swej mowie programowej kwestyi szkolnej także dziś dla włoskich katolików tak bardzo piekącej. Nowe prawo usuwa naukę religii ze szkoły normalnej i czyni ją zależną od woli i pozwolenia gmin. Są to stosunki dla katolików niemożliwe i dlatego hasłem wyborczem dla nich będzie wolność szkoły.

Jako przedmiot główny dla katolickiej akcyi społecznej oznaczył hr. della Torre: opiekę nad wiejskimi i fabrycznymi robotnikami i nad wychodźcami — i wszystkie inne formy pomocy i patronatu.

Nie zadziwi nikogo, że osią niejako całego programu wyborczego włoskich katolików jest wolność i niezawisłość Stolicy św., gdyż ona dla Włoch szczególniejsze ma znaczenie i jest niejako jądrem każdej kwestyi katolickiej we Włoszech. Toteż *Osservatore Romano* omawiając mowę hr. della Torrego podnosi, że program wyborczy słusznie wysuwa na pierwszy plan swobodę Stolicy św., gdyż ona jest niejako sprawą honorową

włoskich katolików i zarazem najsilniejszą gwarancyą religijnej wolności. I zarazem zaznacza, że katolicy włoscy domagać się będą tej swobody, nie jako łaski, lecz jako świętego i słusznego prawa.

Nie łatwa będzie walka włoskich katolików o wspomniane prawa, ale jasno wytknięta droga i program uwzględniający celowo także stosunki lokalne już są połową zwycięstwa, zwłaszcza, że akcya katolicka w ostatnich latach potężnie się wzmogła we Włoszech.

Ostatnia statystyka religijna w Niemczech.

Zimne, sztywne, liczby nieraz wymownie świadczą o doniosłych faktach i ukrytych drogach. Nie każda statystyka interesuje, ale statystyka wyznaniowa i religijna zawsze jest interesująca nawet dla szerszych kół, zwłaszcza, gdy się z nią łączą inne żywotne sprawy.

Ostatnia statystyka religijna w Niemczech 1 grudnia roku 1910 pod niejednym względem ciekawe daje wyniki.

Królestwo pruskie, mając na względzie tylko ewangelików i katolików, liczy 24,830.547 ewangelików i 14,581.829 katolików. W roku 1905 było 23,341.502 ewangelików a 13,352.444 katolików, z czego wynika, że wzrost liczby katolików był stosunkowo większy aniżeli ewangelików, ale nie taki, aby w jakikolwiek sposób zdołał osłabić dominujące stanowisko protestantyzmu.

W poszczególnych prowincyach położenie religijne różnie się przedstawia.

We Westfalii, co do której była obawa, że straci swój wybitny charakter katolicki, położenie na korzyść katolików znacznie się polepszyło. Podczas, gdy w roku 1900 Westfalia prawie na pół już była protestancką, teraz znowu katolicy znaczną wykazują przewagę, gdyż na 1,947.673 protestantów przypada 2,121.534 katolików.

Z bliżej nas interesujących prowincyi pogorszył się wyznaniowy stosunek w Poznańskiem. Przyczyną tego jest bezwątpienia po większej części polityka kolonizacyjna pruska, o której nie tajno, że świadomie szerzy protestantyzm. W roku 1905

liczyło księstwo Poznańskie 1,347.958 katolików i 605.312 ewangelików, w roku zaś 1910 liczyło 1,422.238 katolików i 646 580 ewangelików. Stosunek więc wyznaniowy o 0,12% się pogorszył na niekorzyść katolików, chociaż wobec licznych rodzin polskich i korzystnych dla katolików imigracyi przeciwnego skutku spodziewać się należało. Śląsk od połowy zeszłego wieku coraz silniejszą wykazuje przewagę katolicyzmu, choć i tutaj wzrost katolicyzmu nic nie zmienił w reprezentacyi prowincyi; na sejmie prowincyonalnym i na wyższych urzędach prowincyi dominuje protestantyzm.

Bawarya liczy w roku 1910 na prawie 7 milionów mieszkańców 4,862.233 katolików i 1,992.385 ewangelików. W porównaniu do roku 1905 spadli katolicy z 70,63% na 70,60%, a protestanci z 28,28% do 28,20%. Oprócz tego i inne wyznania religijne wykazują ubytek. Pochodzi to głównie stąd, że liczba wolnomyślnych wzrosła w tych latach z 2.893 do 5.841, i bezwyznaniowych z 1.702 do 5.143, którzy się głównie skupiają w Monachium, Norymberdze i Ludvigshafen. Wogóle już od dłuższego czasu stosunki religijne w Bawaryi bardzo mało ulegają zmianie.

Choć w Królestwie saskiem do tego czasu katolicy przedstawiają szczupłą bardzo liczbę, to jednak skonstatować trzeba, że ich liczba od roku 1871, w którym wynosiła 53.643, aż do roku 1910 podniosła się do 233.872. Należy to głównie przypisać imigracyi zwłaszcza polskiej. Także we Wirtembergii liczba katolików od 1905—1910 znacznie się podniosła, co głównie przypisać należy imigracyi z Austryi, Bawaryi i Włoch. Liczba katolików podniosła się o 0,14%, podczas gdy liczba ewangelików spadła o 0,20%. Przewaga ewangelików jest jeszcze znaczna, gdyż w 1910 Wirtembergia liczy 1,671.183 ewangelików a 739 995 katolików.

Odwrotnie rzecz się ma w Badeńskiem. Tu liczba ewangelików stale rośnie, podczas gdy się zniża liczba katolików. Tak w ostatnich pięciu latach liczba katolików spadła z 59,60% do 59,31%, liczba zaś ewangelików podniosła się z 37,94% do 38,32%. Imigracya ma tu skutek przeciwny jak w innych pań-

stwach niemieckich, zasila ludność ewangelicką: i tak wynosiła liczba imigrantów protestanckich w ostatnich 10 latach 34.145, katolickich zaś tylko 22.432. Ogółem liczy Badenia w roku 1910 katolików 1,270.782, ewangelików zaś 821.228 Niekorzystnie przedstawia się ostatnia statystyka wyznaniowa dla katolików w Alzacyi i Lotaryngii. Tu liczba ewangelików podniosła się o 4.552 dusz. Wzrost ten jednak zawdzięcza protestantyzm jedynie tej okoliczności, że rząd pruski przerzuca wielką liczbę wojska i urzędników protestanckich w te okolice.

Ks A. Starker.

Z czwartej konferencyi dyrektorów szkół średnich galicyjskich we Lwowie.

Do niedawna w Austryi decydowali w sprawach szkolnych w ostatniej instancyi nie szkolnicy, lecz dygnitarze. Im wyższy dygnitarz, tem większą miał powagę nawet i w rzeczach szkolnych. Ponieważ jednak i w dziedzinie szkolnej tak samo, jak w sprawach wojskowych i prawniczych, potrzebni są rzeczoznawcy, zatem i w Austryi zasiągano od czasu do czasu rady rzeczoznawców. A gdy chodziło o reformy zasadnicze, wtedy wypożyczano rzeczoznawców zagranicznych, bo niższej rangi szkolnik austryacki nie mógł przecież być powagą nawet w sprawach szkolnictwa wobec dygnitarskich powag. Pod wpływem niemieckich dopiero urządzeń w szkolnictwie zerwano przed kilkunastu laty z bezdusznym systemem biurokratycznym, mierzącym powagę wedle rang, a nie wedle rzeczoznastwa i dopuszczano do głosu, na razie doradczego, rzeczoznawców. Tak powstały w Austryi i w Galicyi konferencye dyrektorów. Przyznano rzeczoznawcom atoli tylko doradczy głos, nie decydujący. Stwierdziła to ankieta wiedeńska w sprawie reformy szkół średnich, gdzie większa część uczestników ankiety składała się z najwyższych dygnitarzy i ludzi najwybitniejszych, niestety nie na polu szkolnictwa. Także i konferencye dyrektorów mają na razie w wielkiej części akademickie tylko znaczenie. Uchwały ich bywają przyjęte do wiadomości przez decydujące czynniki, nie stają się dyrektywą wiążącą władze. Uchwalone z aplauzem przez dyrektorów i inspektorów szkol-

nych postulaty pozostają w znacznej części na papierze, stają się tylko *pia desideria* bez wprowadzenia ich w czyn i życie. Ile to pięknych i uzasadnionych wniosków uchwaliła konferencya dyrektorów przed czterema laty, a ile z tych wniosków weszło w życie? Uchwalono, by zakładów nowych nie tworzono po wielkich miastach, ogniskach zepsucia, by nie przyjmowano młodzieży zamiejscowej, a zwłaszcza zagranicznej do zakładów wielkomiejskich. Czy uchwałę tę, tak uzasadnioną, choćby w części uwzględniono? Uchwalono konieczność ustawodawstwa ochronnego dla młodzieży przed zepsuciem. Czy władze poczyniły energiczne kroki, aby dać ochronę prawną młodzieży przed demoralizacyą? A jednak konferencye dyrektorskie olbrzymie mają znaczenie mimo to; poruszają bowiem zagadnienia pierwszorzędnej wagi, zaczerpnięte u samego źródła. Postulaty, poruszone na konferencyach tych, dyktuje konieczność i potrzeba, dyktuje obserwacya gruntowna życia szkolnego i te to momenta sprawiają, że raz podniesione postulaty nie schodzą z porządku dziennego, póki decydujące czynniki zadość im nie uczynią. Z tych także pobudek wypłynęła i ostatnia, czwarta z rzędu konferencya dyrektorska w naszym kraju, odbyta dnia 16 i 17 grudnia 1912 r. we Lwowie w auli gimnazyum Franciszka Józefa.

Ponieważ kwestye, na niej poruszone, dotyczą najważniejszych zagadnień polskiego szkolnictwa średniego, tuszę, że nieobojętnem będzie dla czytelnika Waszego pisma zwięzłe sprawozdanie z tych obrad.

Obrady zagaił wiceprezydent Rady szkolnej krajowej, Dr. Dembowski, przedstawiając rozwój szkolnictwa średniego w ostatnich latach. W r. poprzedniej konferencyi (1908) było w gimnazyach państwowych w kraju przeszło 29000 uczniów, dziś jest ich przeszło 32000, w szkołach realnych było 3880, dziś 4184, (wzrost mały, w każdym razie wzrost) — w prywatnych zakładach średnich było uczniów 465, dziś 4778; wzmaga się ruch umysłowy i literacki nauczycieli, pomnażają się naukowe kółka dla młodzieży, zrozumiano znaczenie warsztatów studenckich, wycieczek szkolnych, zabaw ruchowych, kolonii wakacyjnych, stwarza się skaut i t. p., lecz wiele jeszcze rzeczy trzeba ulepszyć i to miała właśnie zrobić konferencya zwołana. Referatów wygłoszono na niej 16, przydzielonych inspektorom i najwybitniejszym z dyrektorów. Najbardziej aktualną kwestyę t. j. kwestyę strejków szkolnych, powtarzającą się zeszłego roku epidemicznie w szeregu zakładów, zwłaszcza we wschodniej Galicyi, zre-

ferował jeden z inspektorów, Dr. Majchrowicz. Stwierdził, że powody ich są podwójne: polityczne i wewnętrzne. Usunięcie pierwszych jest bardzo trudne, skoro źródło ich znajduje się poza szkołą, usunięcie drugich zależnem jest wyłącznie od czynników szkolnych. Jeżeli nauczyciele nie zadowolą się tylko zewnętrznymi środkami karności, lecz postarają się o zdobycie zaufania uczniów, wtedy o strejkach szkolnych mowy nie będzie. Słusznie jednak podniesiono, że aby to uzyskać, trzeba znacznie lepiej przygotowanego metodycznie personalu nauczycielskiego. Dopóki w Galicyi istnieje instytucya nieegzaminowanych suplentów, którzy niejednokrotnie eksperymentują *in anima vili*, dopóty będzie w zakładach galicyjskich przeraźliwe przepełnienie, znajdzie się zawsze wśród personalu nauczycielskiego dość znaczny procent niedorosłych do trudnego zawodu nauczycielskiego. Całkiem słusznie podniesiono również w dyskusyi, że w sprawie strejku *autoritas* władzy winna być wszelkimi środkami zachowana, z tem wszystkiem nie tyle chodzi o *autoritas* dyrektora lub nauczycieli, ile o *autoritas* słuszności i sprawiedliwości, której wszyscy winni być bezwzględnymi sługami i obrońcami. Szkoła która lekceważy *autoritas* słuszności, a dba o *autoritas* osób, nie wychowuje, lecz korumpuje młodzież, krzewiąc wśród niej kult siły i osób, zamiast kultu prawa i sprawiedliwości.

Interesujące referaty wygłosili z kolei dyrektorowie, Rzepiński, pełniący obecnie funkcye krajowego inspektora szkolnego, i radca Bednarski z gimnazyum św. Jacka w Krakowie na temat konferencyi nauczycielskich. Obaj zgodzili się, że tych konferencyi za wiele, że konferencye w sprawach formalnych dadzą się uprościć. Pierwszy z referentów, jeden z najtęższych pedagogów galicyjskich, całkiem słusznie polecił przeważną część spraw, dotąd ryczałtowo załatwianych na konferencyach plenarnych, przekazać konferencyom klasowym, albowiem nauczyciele uczący w pewnej klasie, daleko lepiej, gruntowniej i sprawiedliwiej ocenią dolę lub niedolę ucznia, jego zachowanie się i postępy od pełnego grona nauczycielskiego, nieznającego, lub mało znającego w znacznej części tego ucznia.

W austryackich gimnazyach istnieje chwalebny zwyczaj konferencyi wywiadowczych, na których rodzina i nadzór domowy dowiaduje się od czasu do czasu u profesorów o postępach młodzieży. Gdyby te konferencye były w myśl ustawodawcy wyzyskane w celu wzajemnego porozumienia się szkoły i domu rodzicielskiego co do

rzeczywistego rozwoju uczniów, konferencye wywiadowcze byłyby najpożądańszą i najpożyteczniejszą instytucyą w świecie. Niestety, jak wszystko, tak i konferencye wywiadowcze wskutek formalistycznego ich wykonywania stały się szablonem, na który utyskują zwłaszcza sfery nauczycielskie, zarzucając domowi rodzicielskiemu, że polując tylko na dobrą klasę uczniów, zamienił pożyteczną instytucyę na jarmark i istny targ, na którym dom usiłuje oszukać szkołę i wytargować dobry stopień dla dziecka bez względu na jego dobro. Omówili tę sprawę wyczerpująco dyrektorowie: Passendorfer i Dropiowski, ubolewając nad uprzedzeniem znacznej części rodziców, sądzących, że szkoła jest tylko kuźnią patentów. I w tej, jak i w innych kwestyach, wypłynęło na wierzch jako źródło niedomagań przepełnienie w naszych zakładach, panujące zwłaszcza po większych miastach. To przepełnienie sprawia, że materyał nauczycielski, w części nieprzygotowany i należycie niezrównoważony, niejednokrotnie wyrokuje w kwestyach pedagogicznych z tem większą pewnością i stanowczością, im mniej posiada podstaw do sprawiedliwego ocenienia postępu uczniów. Skarga, że konferencya wywiadowcza zamienia się w targ, gdzie dom usiłuje wytargować dobrą notę od szkoły, zamienia się w straszliwy zarzut przeciwko samej szkole, skoro się przecie tylko tam targ odbywać może, gdzie się da coś utargować. Jeżeli istnieją targi między nauczycielami a rodziną o klasy, tedy one są najcięższem potępieniem nauczycieli i szkoły, która coś podobnego toleruje. Dobry postęp zależeć winien wyłącznie od pracy i zachowania się ucznia, nie zaś od widzimisię nauczyciela. Gdzie jednak ten postęp zależy od kaprysu, słabości lub dobrej woli nauczycieli, tam tylko mogą się odbywać targi. Gdyby dyrektorowie więcej energicznie czuwali nad słusznością wyroków i ocen, zwłaszcza początkujących lub nerwowych i uprzedzających się łatwo nauczycieli, nie byłoby z pewnością ani targu o klasy z domem rodzicielskim ani horrendalnego poglądu u części rodziców, że szkoła jest kuźnią patentów.

Z kolei dyrektorowie: Krotoski i Śmiałek, poruszyli w swych referatach bardzo ważne pytanie: „Jak należałoby unormować stosunek obowiązkowej pracy szkolnej uczniów do pozaszkolnych ich zajęć i ćwiczeń fizycznych?“. Pierwszy z referentów stwierdził brak ekonomii w pracy naukowej u naszych uczniów. Brak ten spowodowany jest przez samą szkołę, która zaprowadziwszy system nauczycieli fachowych, nie troszczy się wcale albo troszczy się o to mało, ile z nich który na jeden dzień uczniom zadaje. Są u nas dni próżniactwa,

są dni straszliwego nadmiaru pracy. Uczniowie przygotowują się w pewne dni po pół godziny na dzień następny do szkoły, w pewne dni i po 11 nawet godzin. Wszędzie indziej za granicą istnieje w szkolnym dzienniku rubryka pensum, zadawanego na jeden dzień; niema tego niezbędnego protokołu pracy dziennej u uczniów w Galicyi, niema kontroli co do wymiaru i równomiernego rozłożenia materyału na każdy dzień. Już przed 20 laty jeden z najzasłużeńszych wychowawców galicyjskich, nieodżałowanej pamięci inspektor Samolewicz, zwrócił na ten brak uwagę i sprowadził druki z zagranicy celem protokołowania i kontrolowania pracy domowej uczniów z dnia na dzień. Niestety usunięcie się jego nagłe ze szkolnictwa przeszkodziło zaprowadzeniu zbawiennej praktyki, bez której poprostu nie można sobie pomyśleć normalnej nauki szkolnej. Wobec udoskonalonej metody nauczania, oraz lepszych i więcej skróconych podręczników i ograniczeń materyału, przeciążenie bezwzględne w naszych szkołach z małymi wyjątkami prawie że nie istnieje. Istnieje jednak przeciążenie względne w pewne dni wskutek braku kontroli nad zadawanem przez poszczególnych nauczycieli pensum domowem.

Ta kontrola ścisła, codzienna, wykonywana przez gospodarzy klas, najlepiej stwierdzi, jacy uczniowie nie nadają się do gimnazyum i w interesie nauki na końcu roku wyłączeni być powinni. Gospodarz klasy winien być tem dla klasy, czem dyrektor dla zakładu i dlatego też urząd ten winien być remunerowany odpowiednio; i doborowym tylko siłom poruczany. I znowu przepełnienie w zakładach naszych i brak ukwalifikowanych w części sił nauczycielskich stoją na przeszkodzie wykonaniu najsłuszniejszych w świecie postulatów. Być może, że nasze władze szkolne zrozumieją wreszcie potrzebę codziennej kontroli w pracy obowiązkowej uczniów, aby coraz więcej na znaczeniu zyskujące ćwiczenia fizyczne, warsztaty szkolne, skauty, czytelnie uczniowskie i nadobowiązkowe przedmioty, jak języki nowożytne, znalazły czas w ramach pracy szkolnej i mogły należycie się przyczyniać do wszechstronnego rozwoju naszej młodzieży.

Referat dyrektora Mazanowskiego co do potrzeby ćwiczeń ustnych i zaprowadzenia systematycznej nauki retoryki w naszych zakładach, spotkał się z ujemną krytyką i większość oświadczyła się przeciwko takim ćwiczeniom już w najniższych klasach w przekonaniu, że społeczeństwu mówców nie tyle potrzeba, ile ludzi czynu.

Dyrektor radca Sołtysik z gimnazyum Sobieskiego w Krakowie w referacie swoim dotknął bardzo aktualnego pytania: „Jak należałoby unormować obowiązki dyrektora szkoły średniej pod względem administracyi zakładu?". Referent w sposób wymowny i zaprawiony często ciętym humorem podniósł potrzebę uproszczenia administracyjnych czynności dyrektora zakładu, by tenże znalazł więcej czasu na działalność dydaktyczną i wychowawczą, a więc na to, co jest jego istotnem zadaniem. Należałoby więc ustanowić osobną posadę urzędnika czy pomocnika kancelaryjnego, lub dotychczasowym pomocnikom dyrektora — profesorom — podnieść wynagrodzenie za tę żmudną pracę (pomocnik taki otrzymuje dziś 400 kor. najwyżej) — zwiększyć ilość gotowych druków na różnego rodzaju sprawozdania, — zebrać wszystkie rozporządzenia szkolne, odnoszące się do administracyi zakładu — zwiększyć ryczałt na koszta administracyi, konserwacyi i t. p. Wywody referenta, znakomitego administratora zarówno, jak i pedagoga, zdobyły sobie powszechny poklask, a wiceprezydent Dembowski obiecał imieniem Rady szkolnej krajowej poprzeć słuszne żądania dyrektorów.

Punktem jednak kulminacyjnym obrad były referaty pp. Wojciechowskiego ze Lwowa i M. Mazanowskiego z Krakowa na temat: „Jak należałoby zapobiegać zgubnym wpływom lektury, działającym demoralizująco na młodzież szkół średnich"?

Obaj referenci stwierdzili, że młodzież nasza demoralizuje się nieodpowiednią lekturą, że do duszy jej wdziera się zgnilizna niebezpieczna tak dla szkoły, jak wogóle dla społeczeństwa. Złe książki, a tyle ich jest u nas, pod wpływem płodów beletrystyki francuskiej i rosyjskiej, i nieodpowiednie przedstawienia, mnożące się na nieszczęście w kinoteatrach, brudy życia, które często stanowią najbliższe otoczenie młodzieży, i t. p. trucizny równe alkoholizmowi, pozbawiają młode pokolenia w zarodku wyższych myśli i wzniosłych ideałów tak, że aż rozpacz bierze, gdy się rozważy, co będzie, gdy zło zatoczy najszersze kręgi. Sprawa to ogromnej wagi i szkoła musi użyć wszystkich tu środków, aby młodzieży podać deskę ratunku, wznieść ją na wyżyny duszy czystej, na granitowe fundamenty etyki życiowej. Należy więc w nauce szkolnej wyzyskiwać wszystkie czynniki etyczne, podawać odpowiednią literaturę z jasnem uświadomieniem faktu, że na nieszczęście najnowsze utwory naszych pisarzy najczęściej się nie nadają do lektury szkolnej. A jednak tymi utworami

karmi się naszą młodzież zarówno męską, jak i żeńską. Czy nadają się do naszej szkoły tacy Przybyszewscy, tacy Żeromscy, a nawet i Reymonci i Tetmajery, a jednak od dziewcząt z czwartej klasy żądają młodzi poloniści dokładnego zdania sprawy z awantur miłosnych Olbromskiego lub miłosnych afer Jagny Reymonta. Czy sceny z „Ziemi obiecanej", „Wampira" i „Anioła śmierci" i t. p., nie mówiąc o „Dziejach Grzechu", powinny brukać życie szkolne? A jednak część młodych naszych polonistów aż nazbyt się zachwyca nagą duszą naszych modernistów i ten zachwyt udziela się bez trudu naszym dzieciom. Precz zatem z Żeromskim, precz z Reymontem ze szkoły, nawet „Faraon" Prusa nie nadaje się w całości dla naszych dzieci, a jeżeli błyski geniuszów tych najnowszych powieściopisarzy mają działać wychowawczo, a nie zabójczo dla młodzieży, niech pojawią się w wydaniach szkolnych. Prawda, że marzyć nie możemy, aby wytrącić z rąk młodzieży szkolnej lekturę nieodpowiednią, ale przynajmniej szkoła winna być wolna od współwiny wciskania do rąk młodzieży lektury złej. Te i tym podobne zdania wypowiadali z niesłychanym naciskiem najwybitniejsi dyrektorowie, znani ze swej działalności literackiej, jak Mazanowski, Zawiliński, Wojciechowski. W prześlicznych słowach skreślił dyrektor Wojciechowski, jak należy wyzyskać do etycznego wychowania młodzieży pierwiastek patryotyczny i obowiązek odrodzenia Ojczyzny. Całkiem słusznie jednak podniósł jeden z dyrektorów: „Dobre to wszystko i piękne, ale przedewszystkiem przywróćmy w naszej szkole na całej linii cześć dla dekalogu, dla Boga i Kościoła, a wszystkie inne postulaty najnowszych wychowawców znajdą na tym fundamencie zupełne zastosowanie". Zgromadzenie głęboko przekonane, że w tej kwestyi mieści się najważniejszy moment całego szkolnictwa polskiego, uchwaliło zwrócić się do dziennikarstwa i ogółu społeczeństwa, abyśmy wszyscy zgodnie oddalali od młodzieży to, co jej duszę znieprawia. Apelów takich atoli było już wiele, uczciwa prasa zawsze te hasła głosi i popiera; niestety jest zła prasa, jest zła książka, która truje i truć będzie nam duszę dziatwy. Dlatego też dom zarówno, jak i szkoła winny jak naj energiczniej przeciwdziałać demoralizacyi. Jeżeli kto bowiem, to szkoła po Kościele winna być *sal terrae*, jeżeli zaś okazuje się zwietrzałą co do najistotniejszych zasad wychowawczych, to może się stać czemś gorszem niż niczem.

Podczas gdy w pruskich gimnazyach rozróżnia się słusznie przedmioty pierwszorzędne i drugorzędne, w gimnazyum austryackiem

wszystkie przedmioty są równorzędne i taka propedeutyka filozoficzna lub geografia z jedną godziną tygodniowo ma taki sam walor, co sześciogodzinna łacina lub greka w humanistycznem gimnazyum i jeden stopień niedostateczny z jednego przedmiotu wystarcza zupełnie do zatrzymania ucznia od dalszego postępu. Wprawdzie t. z. egzamin poprawczy po wakacyach wielkich z jednego przedmiotu, łagodzi rygor austryackich przepisów, ale pod warunkiem, że uczeń tylko w drugiem półroczu otrzymał złą notę z tego przedmiotu. Przepisy zatem austryackie są bez porównania surowsze od przepisów obowiązujących w Niemczech. By więc je złagodzić, ostatnia reforma zaprowadziła w niższych klasach notę „na ogół uzdolniony", dzięki której uczeń niedostateczny w jednym z języków lub w matematyce, może otrzymać promocyę do wyższej klasy. Reforma ta nie była szczęśliwa, degradując najważniejsze właśnie przedmioty w gimnazyum humanistycznem do roli drugorzędnej; niedostateczny bowiem stopień z nauk przyrodniczych, geografii lub fizyki zatrzymuje ucznia bezwzględnie w klasie. Reforma też okazała się szkodliwą, jak to wykazał wymownie referent, inspektor krajowy Dr. Opuszyński, dla naszych szkół, skoro stała się nie środkiem do naprawy uczniów, lecz raczej furtką do lenistwa; radził też słusznie referent ograniczenie tego paliatywu do minimum.

Inspektor krajowy Lewicki i dyrektor Matuszyński omówili w sposób wyczerpujący wzajemne hospitacye nauczycieli, lekcye praktyczne, konferencye fachowe i referaty konferencyjne. Ostatni niemniej ciekawy referat, oparty na cyfrach, wygłosił dyrektor ruskiego gimnazyum w Stanisławowie, Dr. Sabat, który omawiając korzyści szkoły t. z. godzin szkolnych skróconych (*Kurzstunden*), zalecał 40-minutowe lekcye, zaprowadzone już ze skutkiem w ruskiem gimnazyum w Stanisławowie; tembardziej są one polecenia godne w naszym kraju, że w stosunku do krajów zachodnich mamy więcej godzin szkolnych i rok nasz szkolny jest o 5—8 tygodni krótszy.

Obrady zakończyły się dopiero o 9 godzinie wieczorem. Senior dyrektorów galicyjskich p. Maciszewski z Tarnopola, wyraził imieniem wszystkich zebranych podziękowanie panu wiceprezydentowi za zwołanie konferencyi i wyraził życzenie, by podobna wymiana myśli mogła się jak najczęściej odbywać w celu coraz doskonalszego ulepszania metody nauki szkolnej i sposobu wychowania młodzieży na dzielnych obywateli. Te same myśli wyrażono na uczcie, wydanej przez p. wiceprezydenta, cieszącego się powszechną sympatyą — tylko radykałom

ukraińskim jest on nie na rękę. Zwłaszcza prześliczne słowa złotoustego arcybiskupa Teodorowicza o posłannictwie dyrektorów niezatartemi głoskami zapisały się w pamięci uczestników.

Jeżeli teraz porównamy ostatnią konferencyę dyrektorów z poprzednią, stwierdzić musimy, że nie zajmowała się ona tak zasadniczemi sprawami i doniosłemi zagadnieniami, jak poprzednia. Nie łamali sobie uczestnicy ostatniej konferencyi głowy nad wynalezieniem środków celem wytworzenia przyjaznego pożycia między nauczycielami a uczniami polskich a ruskich szkół średnich, nie zastanawiali się nad arcytrudnem zagadnieniem uświadomienia hygieniczno-płciowego młodzieży. Nie usiłowali przeprowadzić reformy przepisów szkolnych. Ostatnia konferencya poruszała kwestye mniej ideowe, zato więcej praktyczne, łatwiejsze do rozwiązania. Z pewnością, że kwestya przyjaznego pożycia między nauczycielami i uczniami polskich i ruskich gimnazyów jest bardzo doniosła, ale czy ją rozwiąże konferencya dyrektorów, gdy równocześnie nacyonalistyczne fermenty obu narodów do szkoły wnoszą narodową waśń, a szowinizm wywołuje najdzikse ekscesy na ławie szkolnej, wyzyskując młodzież do harców antagonizmu narodowościowego?

Praktyczniejsze dla życia szkolnego było postawienie kwestyi strejków szkolnych, która powinna i musi być rozwiązana i zwalczania jak najenergiczniej przez władze szkolne. Tak samo uproszczenie administracyjnych zajęć dyrektorów da się bez większych trudności przeprowadzić przy dobrej woli i życzliwości władz szkolnych. Również drobna na pozór kwestya świeżo wprowadzonej cenzury „na ogół uzdolniony“ jest aktualną nadzwyczaj, a zarazem wyjaśnienie jej przez referenta dla kierowników zakładów w najwyższym stopniu pożądane. Z tego to powodu z ostatniej konferencyi szkoła nasza z pewnością więcej wyniesie korzyści, niż z pierwszej. A jeżeli chodzi o kwestye zasadnicze, to i te na niej wybiły się na wierzch. W przeciwieństwie bowiem do pierwszego kongresu pedagogicznego, ostatnia konferencya dyrektorów potrzebę moralno-religijnego wychowania zaznaczyła z niezwykłym naciskiem i z wyjątkową jednolitością przy potępieniu wpływów najnowszej literatury modernistycznej.

Protest jednomyślny najwybitniejszych przedstawicieli szkolnictwa galicyjskiego przeciwko modernizmowi literackiemu w szkole, potępienie jego destruktywnych wpływów na młodzież, to najpiękniejszy moment w toku czwartej konferencyi dyrektorów. Wprawdzie nikt na niej nie domagał się tak wyraźnie wyciśnięcia na naszych szko-

łach piętna ducha katolickiego, jak to uczynił na zeszłej konferencyi ruski dyrektor Sabat, z drugiej strony jednak nikt nie stawił tak monstrualnych poglądów, jakoby ascetyczne pojęcia średniowieczne o chrześcijańskiej czystości były jednym z powodów dzisiejszego rozpasania obyczajów, jak to twierdził jeden z referentów na poprzedniej konferencyi. Ostatnia konferencya znalazła inne źródła tego zepsucia i najwybitniejsi dyrektorowie, znani ze swej działalności na polu literackiem, mieli odwagę to źródło zła napiętnować tak silnie, jak tego dotąd nikt w kraju nie uczynił. Okoliczność ta jest pocieszającym objawem i dowodzi, że grono dyrektorskie obecnie lepiej jest sharmonizowane i zgodniejsze w zasadniczych poglądach na szkołę i wychowanie, niż przed 4-ma laty.

Największym zyskiem jest ten, że chrześcijańska zasada i chrześcijański pogląd na moralność niema wśród dyrektorów galicyjskich żadnego otwartego przeciwnika i że neopogański modernizm literacki, wielbiący nagość ciał i dusz, znalazł wśród nich stanowczych przeciwników bez wyjątku. Kto wie zatem, czy następna konferencya nie posunie się o krok jeszcze dalej i nie uzna otwarcie katolickiej zasady i katolickiej etyki za kamień węgielny wszelkiego zdrowego wychowania.

Najnowsze prądy w szkolnictwie, nie tylko u nas, zdają się za tem przemawiać. *K. K.*

Listy z Warszawy.

Jeszcze bojkot Żydów w Warszawie. — Przeszkody. — Brak rutyny kupieckiej. — Adwokaci i dworzanie żydowscy. — Socyaliści w obronie Żydów.

Rusza się żwawo bojkot Żydów w Warszawie. Nie idzie on jeszcze tak, jakby powinien, ale każdy początek jest trudny. Rozpęd jego powstrzymują różne przeszkody.

Przedewszystkiem nie trzeba zapominać, że społeczeństwo polskie nie jest przygotowane do handlu. A nie jest przygotowane dlatego, bo brało w handlu zawsze bardzo mały udział. Szlachta miała wstręt do kupczenia, chłop wolał grzebać w ziemi, mieszczaństwa rdzennie polskiego było u nas tak mało, iż nie mogło wziąć w garść całego handlu. Z tego położenia skorzystali Żydzi, którzy osiedlili

się od pierwszej chwili swojej inwazyi do Polski w miastach i zaczęli od pierwszej chwili bojkotować kupców polskich.

Konkurencya z nimi była trudną, zwykle bezowocną, posługiwali się oni bowiem środkami, jakimi kupiec chrześcijański aż do czasów nowszych posługiwać się nie mógł, albo nie chciał. Kupca chrześcijańskiego krępowała w jego ruchach etyka chrześcijańska, poparta przez ustawodawstwo, które zabraniało mu drapieżnej konkurencyi z sąsiadem i nakazywało mu dostarczać tylko towaru solidnego, kupca zaś żydowskiego wyzwalała mądrość talmudyczna ze wszystkich względów w stosunku do innowierców. On to jest twórcą panującej obecnie metody, zwanej „sztuką kapitalistyczną", polegającej na wyssaniu ze spożywcy jak największego zysku, nie zwracającej uwagi na jakość towaru. Tandetą kupczył Żyd, nabytymi od złodziejów sprzętami, lichwę uprawiał wszędzie z zamiłowaniem, małoletnich lekkomyślników wyzyskiwał bez litości.

Z takim konkurentem była gra bardzo trudna, w czasach dawniejszych wprost niemożliwą. Pokonywał on zawsze handel uczciwy.

Inne narody załatwiały się z takim bezwzględnym konkurentem radykalnie: brały go za łeb i wyrzucały z kraju. Polska tego nie uczyniła, tolerowała Żydów ślamazarnie i dlatego natłoczyło się ich tylu pod naszem berłem, iż pochłonęli z czasem mieszczaństwo polskie, nasze miasta i miasteczka prowincyonalne. Było ich u nas zawsze za wielu. Musieli swoim sprytem handlarskim i swoją bezwzględną metodą zniszczyć handel autochtonów.

I zabrakło mocnego mieszczaństwa polskiego w chwili, kiedy było potrzebne (w epoce przedrozbiorowej) i braknie obecnie rutynowanego z pokolenia na pokolenie wyrabiającego się kupca.

W czasach ostatnich garnęło się mnóstwo ludzi w Królestwie do handlu, są to jednak z wyjątkiem Polaków niemieckiego pochodzenia głównie *homines novi* w tym kierunku, w znacznej części podupadli szlachcice, nie mający w sobie krwi kupieckiej. A każdy nowicyusz, zanim się nauczy nowego rzemiosła, musi płacić frycówkę. Z tej frycówki korzysta oczywiście tylko Żyd.

Korzysta, bo zręczny kupiec musi być grzeczny, przegrzeczny cierpliwy, przecierpliwy — musi znosić bez zmarszczenia brwi kaprysy, wahania, targowania klientek wszelakich warstw, musi mieć poprostu strawny żołądek. Żyd wysłucha bez obrazy nawet niemądre uwagi, nawet wymyślania i potrafi targować się zawzięcie, a wmawiać swój towar, polecając go, wychwalając aż do obrzydzenia. Byle „zarobił" —

połknie, nie krzywiąc się, każdą pigułkę. Ma on zresztą w targach swoją własną metodę. Podaje rozmyślnie znacznie wyższą cenę, aby klientka mogła „dużo odtargować" co ją bardzo cieszy. Gdyby poszła do sklepu chrześcijańskiego, przekonałaby się, że zapłaciłaby tę samą cenę za ten sam towar, ale bez — rozkosznego targu.

Klientka — bo klienci nie lubią żadnych targów, płacą, co kupiec zażąda. Nasze panie miejskie a baby wiejskie nie mogą sobie odmówić przyjemności utargowania czegoś i dlatego kupują pokryjomu u żydów wbrew woli i zakazom mężów. A co chłop zwiezie furą do stodoły to wyniesie baba fartuchem, jak wiadomo.

Kobiety utrudniają na pierwszem miejscu bojkot Żydów. W nierozumie swoim psują robotę mężczyzny.

Oprócz tej pierwszej przeszkody, istnieje jeszcze druga. Są nią różni proszeni i nieproszeni adwokaci, dworzanie, służalcy żydowscy którzy mącą wodę.

Mówi się, że co głowa to rozum.

O jednomyślność wszędzie trudno. Są jednak w życiu narodów chwile, w których wszelkie spory stronnicze i indywidualistyczne *vota separata* ustają, milkną. Swarliwe usta zamyka im na czas pewien albo groza wojny, albo jakieś inne niebezpieczeństwo, zagrażające całemu narodowi.

Zdawałoby się, że podjęta u nas walka ekonomiczna ludności rdzennej z Żydami powinna była zamknąć usta wszelkim sporom stronniczym, przewaga bowiem ekonomiczna Żydów w naszym kraju, rosnąca z każdym rokiem, grozi całemu społeczeństwu ruiną materyalną. Nie nienawiść, nie doktryna antysemicka podyktowały, wskazały tę walkę, lecz poprostu naturalna, instynktowa samoobrona. Jakże w takiem położeniu rozbijać się na grupy, odmienne wygłaszające poglądy? W takiem położeniu niema miejsca na dwa zdania. A jednak znaleźli się żarliwi adwokaci żydów.

Skąd się wzięli?

Tych „żydolubów", jak adwokatów Judy nazwał Ignacy Grabowski, można podzielić na trzy grupy, na: 1) mecenasów żydowskich z krwi, 2) dla chleba, 3) dla doktryny.

Więcej, aniżeli się nam zdaje, płynie w żyłach naszego społeczeństwa krwi żydowskiej, o czem wie każdy, kto szukał w archiwach, herbarzach i księgach kościelnych neofitów polskich. Wielu ich nie mógł ustalić, a to z tego prostego powodu, iż chrzczący się, aż do 1800 mniejwięcej, żydzi, podawali w metrykach chrztu rzadko nazwisko,

jakie sobie obrali. Księża notowali w księgach kościelnych tylko ich chrześcijańskie związki. W tydzień potem nazwał się taki neofita, przyjął jakieś istniejące nazwisko polskie, zwykle szlacheckie, ale jakie? Dokumentami sprawdzić go nie można. Przepadło. We Lwowie n. p. chrzciło się w latach 1759 i 1760 przeszło 500 frankistów, a z tych zapisało się z przyjętemi nazwiskami zaledwie dwustu. Działo się to w celu utonięcia bez śladu w tłumie szlacheckim, co udawało się głównie na Litwie bez wielkiego trudu. Możniejszy neofita kupował sobie tam w jakimś zapadłym kącie kawał ziemi, żenił się z jaką ubogą sąsiadką i wsiąkał w szlachtę litewską. Gdy do tych skrytoneofitów dodamy neofitów jawnych, którzy weszli z czasem przez małżeństwo do rodzin polskich i Polaków, pożenionych z neofitkami, nietrudno wywnioskować, iż w naszej krwi aryjskiej, polskiej, płynie więcej krwi żydowskiej, aniżeli o tem wiemy.

A krew żydowska jest mocna, trwała zmieszana z inną odzywa się w dziesiątem pokoleniu nietylko fizycznie. I sympatyę i antypatyę dziedziczą mieszańcy aryjsko-żydowscy po swoich przodkach semickich. Do dziś dnia n. p. noszą niektórzy frankiści w portfelach, w portmonetkach miniaturę swojego „proroka", Józefa Franka, chociaż katolikami są już od lat 150-ciu i szukają sobie z nielicznymi wyjątkami żon w swojej grupie, jak im Frank przykazał. Gdyby się znało dokładnie genealogię owych zbankrutowanych karmazynów, co pozłacają sobie swoje wytarte, wyblakłe herby złotem córek bankierów lub lichwiarzów (przez małżeństwo), znalazłoby się u niejednego z nich jakąś antenatkę-neofitkę z nabitym trzosem, o czem on sam nawet nie wie. Wspólna krew pociąga nieświadomie.

Rozumie się, że potomkom Żydów, czy z ojca czy z matki, nie może walka z Judą sprawiać przyjemności. Milczą, ale spoglądają zezem z pod czoła na ruch, zwracający się przeciw ich krwi. Naturalny to odruch, dziwić mu się nie można.

To pierwsza grupa adwokatów żydowskich. A druga?

Druga to gromada, jak obecnie u nas, cały tłum biedaków, skutych potrzebą zarobkowania z żydami. Ci wszyscy współpracownicy pism wydawanych przez Żydów, ci wszyscy urzędnicy żydowskich banków, fabryk, różnych przedsiębiorstw, ci wszyscy podupadli niewinnie albo winnie siedzący w kieszeniach żydowskich, zależący od kredytu żydowskiego, od jego łaski, ten cały legion białych murzynów Judy, potrząsa niewątpliwie po cichu, skrycie nieznośną obrożą. Jest w duszy może więcej antysemitą, aniżeli zdeklarowani

bojowcy przeciwżydowscy, bo odczuwa więcej od nich twardą rękę swoich „panów", ale jawnie w świetle dziennem milczy, gryząc bolesne wędzidło. Gdyby tylko milczał... On jednak, obawiając się ciągle „wyrzucenia na bruk", utraty chleba dla siebie żony i dzieci, udaje „żydoluba", głośno broni swoich praco- i chlebodawców.

Rozgrzeszyć tej grupy adwokatów żydowskich nie można, gdy idzie o dobro publiczne można się tylko nad nimi litować.

Jest jeszcze druga grupa „chlebowych" adwokatów żydowskich, którzy nie zasługują nawet na litość. Są to owi dworzanie żydowscy, w każdem wielkiem mieście, owi znani sybaryci, uprawiający kult wykwintnego stołu, spieszący skwapliwie wszędzie, gdzie można się za darmo dobrze najeść i napić, owa hołota we fraku i smokingu, która dla smacznego obiadu sprzeda bez wahania sumienie. Dla tej „eleganckiej" hałastry nie istnieje dobro publiczne, nie istnieją bóle narodów. Z cynicznym uśmiechem, który ma wykazać „wyższą, bezprzesadną kulturę" przechodzi ona lekką stopą po troskach swojego społeczeństwa. Roją się salony i jadalnie żydowskie od takich „światowców".

Trzecią grupę adwokatów żydowskich tworzą doktrynerzy, którzy, uczepiwszy się frazesów humanitarnych błyskają nimi w oczy naiwnych i bezkrytycznych. Nie nauczywszy się, lub nie chcąc się niczego nauczyć od życia, bywają oni ślepi na fakta, głusi na alarmowy głos czasu. Powiedziawszy sobie raz: trzeba żydów zasymilować, wessać ich w siebie, wszelka bowiem walka z nimi jest akcyą niekulturalną", będą powtarzali ten frazes nawet w brzuchu żyda, schrupani przez niego do ostatniej kosteczki. Żyd będzie z nich skórę zdzierał, a oni będą wołali z uporem maniaka: kocham cię miłością chrześcijańską i kulturalnego asymilatora.

Przeciwko walce ekonomicznej z żydami zaprotestował p. Ludomir Grendyszyński w swojej broszurce p. t. „Protestuję".

Tak się biedak zmartwił rezultatem wyborów warszawskich, tak „boleśnie, tak dotkliwie, tak okropnie odczuł obelgę, wymierzoną Warszawie i całej Polsce przez garstkę zuchwałych polityków litwackich", iż „dwie noce spędził bezsennie, a do dziś dnia krew cała uderza mu do głowy, gdy sobie uprzytamnia sceny, jakie się odegrały w ratuszu warszawskim" a mimo to...

Mimo to protestuje z wielkiem oburzeniem przeciw ukaraniu tego zuchwalstwa żydowskiego przez społeczeństwo polskie.

Dlaczego ?

Bo „nie wolno nawet wobec wroga łamać najprostszych zasad sprawiedliwości i słuszności, nie wolno karać jednych za drugich, nie wolno krzywdzić niewinnych!"

Gdyby taki frazes wyrzucił z siebie jakiś młokos, nie mający wyobrażenia o życiu lub jakiś ideolog, obałamucony doktryną kosmopolityczną, możnaby przejść po nim obojętnie, wzruszywszy ramionami.

Ale p. Grendyszyński, człowiek dojrzały, polityk zawodowy, realista ?...

Jest chyba pierwszym obowiązkiem realisty umieć wczuwać się w rzeczywistość, liczyć się z istniejącymi w danej chwili warunkami i zastosować do nich swoje postępowanie.

Niech się p. Grendyszyński obejrzy dokoła po Europie, a choćby tylko w swojem najbliższem otoczeniu jako Polak. Rozgrywający się właśnie krwawy dramat bałkański przy akompaniamencie samolubnej gry dyplomatycznej odsłania znów po raz tysiączny tajnie polityki. Ginie, kto się nie umie bronić przeciw zasadzie polityki: mocniejszy albo sprytniejszy zwycięża.

Nie powinno tak być, wiadomo, ale jest tak niestety, i z faktem z życia musi się liczyć każdy „realista".

Faktem w naszym obecnym stosunku do Żydów jest ich świadome, celowe dążenie do opanowania mienia polskiego i duszy polskiej. Widzi to każdy analfabeta. Wzmógłszy się u nas na siłach liczbą i kapitałem, postanowili oni zawładnąć krajem, który ich kiedyś, rozbitków, włóczęgów, wypędzanych z zewsząd, przygarnął, przytulił. Mało im przewagi ekonomicznej. Zachciewa im się i rządów.

Myli się p. Grendyszyński, twierdząc, że odnosi się to tylko do t. zw. litwaków. Ta gromadka napływowych Żydów nie byłaby nic zdziałała, gdyby nie była zastała w kraju materyału przygotowanego. Litwacy, żwawsi, ruchliwsi od naszych Żydów, podniecają tylko, prowadzą tłumy „wybrańców" Jehowy. Cóż robić z takim faktem? Pozwolić mu się spokojnie, bez oporu, bez obrony rozwijać, wzmacniać, potężnieć? Patrzeć obojętnie, apatycznie na systematycznie posuwający się podbój naszych miast i miasteczek? Równałoby się to naszej ostatecznej zagładzie, naszej śmierci narodowej. Powoływanie się w takiem położeniu na „sprawiedliwość i słuszność" jest co najmniej naiwnością dziecka.

Nawet nikły robak broni się przed depczącą go stopą, stara się

z pod niej wydostać. Nikłym robakiem przecież jeszcze nie jesteśmy, żyjemy jeszcze, a kto żyje, ten powinien się bronić.

Jedyną naszą bronią przeciw zachłanności Żydów jest walka na polu ekonomicznem. Innej broni nie posiadamy.

Oto źródło bojkotu ekonomicznego. Nie nienawiść go stworzyła, jak krzyczą nam w uszy adwokaci i dworzanie żydowscy, lecz po prostu instynkt samozachowawczy, nakazujący samoobronę.

P. Grendyszyński lituje się nad Chawami Rubin i otoczeniem ich. Zapewne... Bojkot ekonomiczny dotyka w pierwszej chwili przedewszystkiem Żydów ubogich. Ale i my mamy swoich ubogich, swoich nędzarzów, krocie ich, może miliony, swoich emigrantów, których brak chleba na własnej ziemi zmusza do poniewierki wśród obcych. Bliżsi nam oni od Chaw Rubin i Mośków i Icków. Z takich Chaw Rubin zresztą wykuwają się z czasem zwykle kupcowe, z kupcowych żony bud wekslarskich, z żon wekslarzów bankierowe i t. d. A gdyby nie, to Żydzi posiadają tyle mamony, iż mogą pomódz swoim Chawom, sprzedającym jabłka. Obędą się one doskonale bez kilku groszy p. Grendyszyńskiego lub innego „goja". Żydzi są solidarni, jak wiadomo.

Oburza się p. Grendyszyński na bojkot ekonomiczny. Na jego miejsce podsuwa swoją własną receptę. Jaką ? Każe on nam „przymusowo reformować Żydów w taki sposób, jaki jest potrzebny dla interesów polskich, dla dobra i postępu całego kraju i całej jego ludności".

Stara, ograna piosnka asymilacyjna odzywa się w tej recepcie. Wróble polskie gwiżdżą dziś na nią. Nawet andrus z nad Wisły wie, że asymilacya żydowska jest utopią. Stosowali tę receptę imperatorowie rzymscy, rozporządzający chyba skuteczniejszymi środkami od nas, biedaków, stosowały ją świeżo mocne ludy germańskie, papieże i cesarze, stosowały ją wszystkie nowoczesne narody europejskie aż do r. 1880, wezwawszy w ostatnich czasach na pomoc tolerancyę polityczną i społeczną — równouprawnienie, a Żyd został Żydem, czyli wybrańcem, megalomanem, wrogiem wszystkich innowierców wogóle, a chrześcijan w szczególności, narodem odciętym świadomie, rozmyślnie od wszystkich innych. Nie trzeba znać psychologii Żyda, aby się po spełzłych na niczem próbach lat dwu tysięcy jeszcze łudzić. Żyd nie chce przestać być Żydem, co mu się chwali, każdy bowiem powinien się trzymać tradycyi swojego gniazda, Żyd

nie potrzebuje niczyjej pomocy, bo radzi sobie sam doskonale, dążąc do swoich celów, nie mających nic wspólnego z naszymi.

Każe nam p. Grendyszyński „oświecać i podnosić kulturalnie lud polski i także oświecać i cywilizować lud żydowski, chociażby wbrew jego woli". Jak gdyby oświata zmieniała tradycye i instynkty lat trzech tysięcy, etykę talmudyczną w stosunku do gojów w etykę Ewangielii, o co głównie chodzi. Oświecony aferzysta, kupiec, finansista żydowski kieruje się taką samą „czystokapitalistyczną moralnością", jaką posługuje się w handlu pierwszy lepszy szajgec. Oświata wychowuje tylko ludzi oświeconych, oświecenie zaś a postępowanie etyczne to dwie bardzo różne rzeczy. Więcej wart uczciwy aaalfabeta od oświeconego łotrzyka, od których roi się w ostatnich czasach Europa i Ameryka właśnie wskutek oświecenia, opartego o światopogląd przyrodniczy, czyli materyalistyczny.

I ta druga recepta p. Grendyszyńskiego, która jest echem przebrzmiałych haseł pozytywistycznych, nie ma żadnego praktycznego znaczenia, jest utopią.

Niechże p. Grendyszyński obmyśli jakąś inną, skuteczniejszą. Wprawdzie nie udała się ta sztuka dotąd nikomu — od cesarza Justyniana, wielkiego prawodawcy, począwszy, aż do Napoleona I. i nowoczesnych asymilatorów, ale może uda się jemu. Kto tak głośno tak stanowczo woła: protestuję! ten musi, powinien być pewnym siebie, swojego geniuszu — swojego prawa narzucenia społeczeństwu nowego środka, któryby wyleczył rany ekonomiczne, zadane mu przez Żydów.

P. Grendyszyński, broniąc Żydów, powołuje się na tolerancyę, na pojęcia i uczucia humanitarne — p. Ludwik Straszewicz na miłość chrześcijańską. Towarzyszami, przyjaciółmi są ci dwaj publicyści od lat wielu, idą zawsze razem, ręka w rękę. Różnią się tylko metodą bojową. Pierwszy z nich, nie rozporządzający ani lotnością słowa, ani temperamentem dziennikarskim, mówi prosto z mostu, krótko, zwięźle, co myśli, czego chce — drugi, posiadający dar obfitego słowa, *copiam verborum*, giętkość myśli i temperament, umie zasypać czytelnika taką lawiną błyskotliwych frazesów i aforyzmów, iż wywołuje zamęt w głowie bezkrytycznej, nie umiejącej czytać pomiędzy wierszami.

P. Straszewicz jest utalentowanym żonglerem myśli i słowa; zapala on świeczkę Bogu a dyabłu ożóg z taką zręcznością, iż tylko ktoś bardzo uważny dotrze do jądra jego sprytnej gry. Czasami tylko,

pod wrażeniem jakiegoś głośniejszego faktu, wykoleja się, zapomina o swoim talencie wywracania koziołków na prawo i lewo, a wówczas odsłania na chwilę swoje właściwe oblicze. On to, jak wiadomo, bronił dnia 7 października 1909 w swoim *Kuryerze Polskim* razem z wszystkimi masonami, anarchistami, socyalistami, wywrotowcami Europy zachodniej, hiszpańskiego masona, anarchistę, wroga chrześcijaństwa, katolicyzmu, — Ferrerę, on, jeden z głównych filarów zachowawczego stronnictwa realistów. Nadzwyczajna kombinacya ! Realista, rozpaczający nad ukaraniem anarchisty....

Do swojej mikstury żonglerskiej wlewa p. Straszewicz zwykle duży flakon słodkich kropli sentymentalizmu, dodając do nich trochę gorzkich łez, lamentacyi i t. d. Wiadomo, że się naiwni „biorą" na wszelakie łezki patryotyczne i inne.

Typowym dokumentem żonglerki dziennikarskiej jest jego obrona Żydów („Nasze stanowisko" w *Kur. Polskim* Nr. 323, 324, 325).

P. Straszewicz jest znanym żydofilem. Czy go z Żydami łączą jakie osobiste stosunki lub interesy, nie jest rzeczą publicysty dochodzić. Niech się taką wyżłą robotą zabawia ciekawość reporterów. Wystarcza stwierdzić jego żydofilstwo.

Już w r. 1886, kiedy grupa t. zw. „młodozachowawców", których znaczna część przeszła do dzisiejszych realistów, wystąpiła z serdecznem oburzeniem przeciw policzkującemu nasze społeczeństwo „memoryałowi giełdowemu", zredagowanemu przez warszawską finansierę żydowską, p. Straszewicz, początkujący wówczas publicysta, stanął po stronie Judy, jako jego szampion. I pozostał nim na zawsze.

Jego to rzecz — rzecz jego sumienia. Każdemu wolno myśleć co i jak mu się podoba. Podoba mu się kochać Żydów, niech sobie ich kocha.

Ale w takim razie powinien mieć odwagę powiedzieć jasno, wyraźnie, bez frazeologii i aforyzmów: jestem przyjacielem, obrońcą Żydów i dlatego protestuję przeciwko ich „krzywdzie". Tak postąpił p. Grendyszyński. Ten był przynajmniej szczerym.

P. Straszewicz inaczej. Zobaczmy, jak ?

Artykuły swoje zaczyna on wstępem, w którym dowodzi, że „jedynem uczuciem twórczem jest miłość".

Zapewne, — miłość tworzy, idzie tylko o to, jaka miłość, względem kogo, w jakiem położeniu ? Gdyby n. p. Słowianie bałkańscy

miłowali poddańczo, niewolniczo Turków, nie stałaby w tej chwili armia bułgarska przed bramami Konstantynopola. I obrona bywa czasami twórczą. Wiadomo, że zbyteczna, słaba miłość matek gubi dzieci.

Rzuciwszy garść niepotrzebnych frazesów, przechodzi p. Straszewicz do właściwego tematu swoich artykułów i mówi: „nie mieliśmy nigdy wątpliwości żadnych, iż obecność we wnętrzu narodu polskiego wielkiej masy pierwiastku obcego — obcego wiarą, mową, obyczajem, uczuciami — stanowi nieszczęście.... Ale wiedzieliśmy i to, że z niebezpieczeństwem i nieszczęściem narodowem potrafi poradzić sobie jedynie rozum i rozwaga".

Pierwszy koziołek... Bo jakże to ? Jedyną siłą twórczą ma być miłość a zaraz potem mają tylko rozum i rozwaga posiadać moc usuwania nieszczęścia narodowego ? Miłość bywa rzadko rozumną i rozważną, zaślepienie jest jej cechą znamienną. Więc jakże połączyć te dwie znoszące się nawzajem siły ? Miłość przecież nie rozumuje, z chwilą bowiem, gdy zaczyna rozważać, gaśnie.

„Jedno z naszych zadań narodowych polega na stworzeniu polskiego stanu średniego — mówi p. Straszewicz dalej — a w nim polskiego handlu... Robi się to. Robi się ze skutkiem i powodzeniem... Chwała Bogu !"

Drugi koziołek, — świeczka zapalona dla przemożnej opinii chwili, prącej wielką falą ku kooperatywie, czyli wyzwoleniu narodu z pod jarzma ekonomicznej przewagi żydowskiej.

Ale, cóż powiedzą na to Żydzi ? Więc prędko koziołek trzeci — ożóg, zapalony dla nich... „Chwała Bogu — ale nie psujmy tej roboty, nie narażajmy przez jakieś hazardy, zrodzone z gniewu" (czytaj: z samoobrony).

Teraz wraca p. Straszewicz znów do swojego słodkiego sentymentalizmu, do miłości, sypiąc obficie aforyzmami, tu i ówdzie bardzo dobrymi, świadczącymi o jego zdolności do uogólniania pojęć. A potem słyszymy znów, że „szyk społeczny rodzi się tylko z miłości" (gdzie podziały się rozum i rozwaga?). Nawet do Ewangelii sięgnął, on, wielbiciel Ferrery, apostoła bezwyznaniowości, wroga Ewangelii.

Powoli, bojaźliwie, ostrożnie, zasłoniwszy się lisim ogonem mnogich zastrzeżeń, skrada się do właściwego celu swoich artykułów. Umoczywszy pióro w „łezkach serdecznych", prosi płaczliwie: „Czytelnicy drodzy, pomyślcie tylko ! Ogromna większość Żydów, masa żydowska jest nam obca. Jako przekupnie, często zbyteczni, więk-

szość ta nie daje krajowi pracy twórczej. Czyż nam chodzić o nich może ? Czyż ich bronić chcielibyśmy przed słusznym gniewem ogółu? Nam chodzi o Polskę, jedynie o Polskę ! Zmożemy wszystko, bylebyśmy mieli duszę silną, nie sparaliżowaną, nieskalaną nienawiścią".

Przemówiwszy do serca czytelnika, przypomniawszy mu obowiązki chrześcijanina i patryoty, odsłania nareszcie przyłbicę. O „nienawiść" mu głównie idzie, *recte* o antysemityzm. „Gdy nienawiść rozpocznie swe dzieło, nie wiadomo, do czego dojdzie... Nienawiść płodna rodzi zawsze potwory" — uczy. Według niego zrodził się z antysemityzmu we Francyi: antyklerykalizm i antypatryotyzm. Ma to znaczyć: wyrzeczcie się antysemityzmu, wytwarza on bowiem wrogów Kościoła i narodu. Bardzo zręczny nowy koziołek, ale na szczęście nieudany. Bo właśnie, przeciwnie, antysemityzm we Francyi jest naturalnym skutkiem antyklerykalizmu i antypatryotyzmu masonów i żydów francuskich. I u nas zrodziły go w jego ostatniej formie okrzyki Żydów podczas rewolucyi: precz z krzyżem, precz z białą gęsią !

Czuł widocznie p. Straszewicz, że przeholował, bo zakończył swoje artykuły nadzwyczajną, niespodziewaną woltą. Oto ofiarował z własnej kieszeni 50 rubli na „zakładanie w całym kraju szkół ludowych, któreby prócz innych nieodzownych przedmiotów uczyły też zasad współdzielczości i rachunkowości handlowej"... Zapchał gębę opinii rublami...

Odczytawszy artykuły p. Straszewicza, doznaje się przykrego wrażenia nieszczerości, przymusu, jakiejś wewnętrznej szarpaniny. Sumienie polskie, połączone z obawą przed opinią chwili, kazało mu stanąć po stronie swoich, żydofilstwo pchnęło go na kręte drogi dziennikarskiej kazuistyki. Na dwóch stołkach siedząc, jedną ręką bierze, drugą daje, twierdzi i przeczy. Taka metoda wytwarza zawsze chaotyczną, za włosy przyciąganą argumentacyę. Nie przekonywa ona nikogo, przeciwnie zraża, odpycha. Polak, katolik, przebrnąwszy przez poplątane gąszcze argumentacyi p. Straszewicza, powie: kpi, czy o drogę pyta ? — Żyd splunie po swojemu i mruknie: wasy dues? ten goj jest muszygene; niby zwalcza antysemityzm, a zezuje w jego stronę, niby każe nas kochać, a nazywa nas nieszczęściem i nawołuje do systematycznej kooperatywy gojów, która nas zniszczy.

Na co taka bezpłodna żonglerka myśli i słowa? Chybia ona zawsze celu. Gdy ktoś nie chce albo nie może wypowiedzieć swoich przekonań

jasno, wyraźnie, przejrzyście — niech milczy. Nikt mu za dyplomatyczne milczenie głowy nie urwie.

* * *

Do głosów męskich adwokatów żydowskich przyłączyły się także głosy niewieście: p. Lubińskiej i Sempołowskiej. Można po tych zgrzytach przejść do porządku dziennego, źródłem ich bowiem są histeryczne wybuchy starganych nerwów. Widzieliśmy te stargane nerwy niewieście przy robocie podczas rewolucyi. Nie są one dla nas nowiną.

Rzecz szczególna... Wszyscy ci adwokaci i dworzanie żydowscy trąbią nam bezustannie w uszy: miłujcie Żydów, chrześcijanie, nie plamcie się nienawiścią! Ale żaden z nich nie woła: miłujcie chrześcian, Żydzi, bądźcie wdzięczni Polakom za to, że was przez tyle wieków u siebie gościli!

Wołajmy więc my Polacy, katolicy: miłujmy swoich, brońmy krwi swojej przeciw nienawiści obcych! Nikt nie ma ani obowiązku, ani potrzeby być swoim własnym wrogiem. Odwoływanie się do miłości chrześcijańskiej w tym wypadku jest albo dziecinną naiwnością, albo podstępnym, chytrym absurdem.

Rozumie się, że i socyaliści stanęli po stronie Żydów. A stanęli dlatego, bo w sztabie ich zasiada większość Żydów.

W Niemczech nazywają socyalistów *die Judenschutztruppe*! I w istocie, przypatrzywszy się uważnie robocie socyalistów w Europie, widzimy wszędzie rękę żydowską. Żydzi, Marks i Lasalle, zaczęli tę robotę, Żyd Singer przewodził współczesnemu socyalizmowi w Niemczech, Żydzi pchają się do przodu w agitacyach socyalistycznych. U nas wodzą oni głównie rej między robotnikami.

Nie o robotnika chrześcijańskiego im oczywiście idzie, lecz głównie o to, żeby z jego pomocą podciąć, zniszczyć warstwy przodujące w narodach chrześcijańskich. Hasłem ich: rzucić zarzewie sporu, nienawiści pomiędzy gojów, aby łowić w mętnej wodzie dla siebie złote ryby. I dlatego to pchają się wszędzie tam, gdzie się w społeczeństwach chrześcijańskich coś rysuje, pęka, strojąc się w maskę radykalnego postępu, — oni, najwstecznijsi wstecznicy w wielkiej rodzinie narodów — i odgrywają rolę mecenasów ubogich — oni, urodzeni kupcy, których bożyszczem jest kapitał, pieniądz.

Wsłuchując się w mowy prowodyrów socyalistycznych, wczytując się w ich broszury, artykuły, podpada, że ci „apostołowie przy-

szłości" opluwają wszystkie stany chrześcijańskie: kler (głównie katolicki), szlachtę, przemysłowców, kupców, mieszczaństwo, chłopów, ale nie dotykają nigdy Żyda. Nie było jeszcze wypadku, żeby atakowali jakiego rabina albo bankiera żydowskiego. Chyba to wskazówka dość wyraźna. Socyalizm, wróg kapitalizmu, omijający spekulacyjny (bankierski) kapitał żydowski.

Nic dziwnego, że się naszym socyalistom bojkot Żydów nie podoba....

* * *

Mimo jednak te wszystkie przeszkody i hamulce, rozwija się bojkot Żydów w Królestwie powoli ale skutecznie. Już go na sobie Żydzi odczuwają, jak skarżą się codziennie ich pisma żargonowe.

Teodor Jeske Choiński.

Druk ukończono 18 lutego 1913 roku.

Obrona narodowej pracy[1].

Stoimy dziś przed zagadnieniem, czy terytoryalna i polityczna niezależność narodu wyczerpuje kwestyę naszych pragnień i dążeń, póki jest z tem połączoną zależność przemysłowa i handlowa — i przed drugiem, na które odpowiedź wypaść winna na naszą korzyść, a którego samo postawienie dodaje nam otuchy: a mianowicie czy zależność ekonomiczna nie bywa zarazem szkołą zdobycia niezależności; czy nie bywa częstokroć tylko etapem, przykrym ale koniecznym, o ile chodzi o dokonanie przekształcenia wewnętrznych skłonności i upodobań narodu, o wzbogacenie skali jego działania, rozszerzenie jego widnokręgu, o uwszechstronnienie jego pracy — słowem o zajęcie godnego miejsca we wszystkich dziedzinach twórczości obok innych narodów cywilizowanych. Gdyby chwila obecna była tylko etapem, dzisiejsza nasza niewola gospodarcza nie powinnaby nas trwożyć, a wszelka z nią walka napawać owszem radością.

Tworzenie własnego przemysłu i handlu utrudnia niezmiernie fakt, że wielki przemysł zagraniczny sprzedaje u nas i wogóle wszędzie tam, gdzie pragnie stłumić konkurencyę lub nie dopuścić do jej powstania, wyroby swoje niżej ceny kosztu, oczywiście tylko do czasu, by potem, gdy zawładnie niepodzielnie rynkiem, dyktować ceny towarów. W takiem położeniu najskuteczniejszą bronią bywa bojkot w rodzaju tych, o których w dwóch dzielnicach polskich ciągle się słyszy w ostatnich

[1] Zamierzamy w tej kwestyi ogłosić kilka prac, oświetlonych odmiennymi punktami widzenia. *Redakcya.*

latach. Nie są to bojkoty czysto ekonomiczne, jako sposoby walki zorganizowanych robotników przeciwko przedsiębiorcom, obniżającym płacę lub dyktującym w innych kierunkach niekorzystne warunki; nie są to też bojkoty przedsiębiorców, skierowane przeciwko robotnikom złączonym w związki robotnicze, a polegające na prowadzeniu czarnych list głównych agitatorów i działaczy z intencyą szkodzenia im tym sposobem w zarobkowaniu. Nie są to również bojkoty robotników skierowane przeciwko pewnego rodzaju towarom, pochodzącym ze zwalczanych przez nich przedsiębiorstw, ani też przeciwko lokalom sklepowym, w których te towary sprzedają, bojkoty płynące z pobudek li socyalno-politycznych, a w szczególności z przyczyny doznawanych w owych przedsiębiorstwach przez robotników, czeladników lub subjektów mniemanych lub rzeczywistych krzywd, a zmierzające do tego, by na towarach umieszczane były kartki *(labels)* wskazujące, że w danem przedsiębiorstwie dobrze się obchodzą z robotnikiem. Są to raczej bojkoty pochodzące od pewnej grupy przemysłowców i kupców skierowane przeciw pewnym towarom, wyprodukowanym przez pewne kategorye przemysłowców, a sprzedawanym przez pewne kategorye kupców-pośredników, których bądź ogół konsumentów bądź też inni przedsiębiorcy, kupcy, pośrednicy i agenci zwalczają bez względu na cenę z przyczyn narodowych. Podobnie jak Napoleon I. bojkotował towary angielskie, zamykając przed niemi kontynent europejski, a Turcya przed kilkoma laty po aneksyi Bośnii i Hercogowiny, teraz zaś Serbia bojkotuje towary pochodzenia austryackiego, obecnie w dzielnicy pruskiej dawnej Polski rozlega się hasło bojkotowania towarów pochodzenia niemieckiego w znaczeniu dawania pierwszeństwa przemysłowcom i kupcom polskim, w odpowiedzi na co rząd pruski urzędnikom swoim zabronił czynić zakupy u pewnej kategoryi obywateli swoich, a mianowicie u obywateli narodowości polskiej. Podobnie w Królestwie rozlega się hasło popierania przemysłu i handlu polskiego i dawania mu pierwszeństwa przed żydowskim, a w odpowiedzi żydowscy wielcy kapitaliści bojkotują kupców Polaków, a to samo czynią żydowskie banki

i fabryki. W ten sposób walka między narodami, ziemię naszą zamieszkującymi, przeszła na pole ekonomiczne.

Niemiecka ekspanzya gospodarcza grozi dziś połowie świata zupełnym podbojem. Handel niemiecki w r. 1911 przedstawiał olbrzymią cyfrę 17·7 miliardów marek, okręty tow. niemieckich lub niemieckim kapitałem wspieranych przewożą nasze towary i naszych wychodźców; potężne niemieckie banki powstają nietylko w Stanach Zjednoczonych, w Południowej Ameryce, w państwie ottomańskiem i w Chinach — ale i nasze banki zostają w ścisłej zależności od niemieckich. W naszych kopalniach nafty i węgla, w naszych rafineryach głos niemiecki jest rozstrzygający. W przemyśle chemicznym i elektrycznym Niemcy kroczą na czele Europy, podobnie jak żydzi w świecie finansów.

Nasuwa się więc pytanie, czy nie należałoby stanąć w dziedzinie przemysłu i handlu na stanowisku międzynarodowem i czy bojkot z pobudek politycznych jest wogóle dopuszczalny w dziedzinie, w której — jak nas uczyła ekonomia klasyczna — miara i waga, ekonomiczny interes, lepszość towarów, większa szybkość usługi, zapewnienie dłuższego lub dogodniejszego kredytu powinne być jedynie decydujące. Nasuwa się pytanie, czy poza przykrą i pełną ofiar walką klasową w obrębie tegosamego państwa dopuszczalny jest i ten nowoczesny bojkot, przesuwający i zacierający granice stanów i zawodów, a łączący niejednokrotnie wbrew wszelkim teoryom ekonomicznym pracodawców i robotników jednej narodowości przeciw pracodawcom i robotnikom drugiej. Dosyć już, zdawałoby się, walk wśród ludzi mieszkających na tej samej ziemi, podlegających tymsamym prawom i władzom, żeby wolno było zachęcać do nowych jeszcze. Budzi się nadto wątpliwość, czy tego rodzaju bojkot jest etycznie usprawiedliwiony a nawet dopuszczalny, skoro może być połączony ze szkodą a nawet ruiną setek tysięcy ludzi, którzy nie zawinili nic ponadto, że należą do pewnej narodowości, a którym z tego powodu miałoby się odbierać kawałek chleba i skazywać ich na zagładę.

Te i tym podobne refleksye skłaniają do uważnego i wszechstronnego rozpatrzenia problemu nie ze stanowiska codziennych

haseł i namiętności partyjnych, ale z wyżyny nauki, z lotu ptaka niejako, przy sprawiedliwem rozważeniu wszystkich za i przeciw danej sprawy. I w tym konflikcie przypominamy sobie przedewszystkiem słowa Bismarcka, że „i narody muszą oddychać i mieć zdolność poruszania się, aby żyć mogły". Do tego zdania, cytowanego w dziele Bluntschle'go p. t.: *Die Lehre vom modernen Staat*, dodaje sławny uczony, iż owe uprawnione funkcye życiowe narodów polegają na prawie rozwijania się i tworzenia organów, przy pomocy których żyć mogą i wypowiadać się na zewnątrz. Zdaniem jednak Bluntschle'go nie każdemu narodowi służą te prawa narodowości, o których mówił Bismarck; prawa te służyć mają tylko narodom politycznie uzdolnionym i posiadającym świadomość własną, a zarazem mającym dostateczną siłę do zaspokojenia swojego popędu do samoistnego rozwoju politycznego. O tem, k t ó r e narody są politycznie dojrzałe, rozstrzyga zdaniem Bluntschle'go historya. Jest to więc — jak widzimy — po pięknym i zasadniczym wstępie ukłon w stronę pospolitej prozy życia, powodzenia, liczenie się z faktem dokonanym, z siłą przed prawem.

I na to narodom politycznie dojrzałym, a jednakowoż nie rozporządzającym jeszcze dostateczną siłą wypada odpowiedzieć: Niechaj rozstrzyga historya, ale historya jeszcze nie jest zamkniętą, historya — to nie tylko to, co było, ale i to, co się dzieje obecnie, i co sami współpracą naszą pomagamy tworzyć i co zdziałamy w przyszłości my lub potomkowie nasi. Możemy więc mimo tak brutalnego i tak ciasnego zakończenia i tę konkluzyę Bluntschle'go przyjąć. Wojna rosyjsko-japońska i świeżo stoczona bałkańska wykazały, że bywają niespodzianki i że istnieje polityczna dojrzałość i tam, gdzie się jej zgoła nie spodziewano, a zarazem stwierdziły prawo samoistnego rozwoju i przyszłości owych narodowości.

Profesor wrocławskiego uniwersytetu dr. S. Brie idzie dalej od Bluntschle'go. W ostatniej jego rozprawie, umieszczonej w *Handbuch der Politik*, twierdzi on bowiem, że fakt podboju, a więc przewagi obcego narodu, nie uchyla bynajmniej prawnego (nie faktycznego oczywiście) istnienia narodu. Mo-

żemy więc i dziś, nawet w oczach uczonych niemieckich, mimo przewagi państw zaborczych uważać się za naród prawnie istniejący, zanim zaś egzamin dojrzałości we właściwem złożymy miejscu, wolno nam samym przynajmniej uważać się za zdolnych do narodowego rozwoju i w tym kierunku rozwinąć pracę a nawet jesteśmy do tego obowiązani. Otóż nie ulega kwestyi, że zadaniem dobrego gospodarstwa danego narodu jest pokrywanie jego potrzeb o ile możności wytworami własnej produkcyi, w ten sposób bowiem wzmagają się siły wytwórcze danego narodu, co stanowi warunek wszelkiego rozwoju kulturalnego i materyalnego. Powiedział to twórca narodowej ekonomii społecznej, Fryderyk List, Niemiec, w znakomitem dziele: *Das nationale System der politischen Oekonomie*, a wszyscy współcześni ekonomiści, wszyscy mężowie stanu, głoszący potrzebę ceł protekcyjnych w jego wstąpili ślady, jego żywią się myślami. Argumenty Lista skłonić miały państwo do ustanowienia ceł ochronnych w interesie rozkwitu rodzimej produkcyi. Tam, gdzie naród pozbawiony jest państwa, z natury rzeczy przechodzą obowiązki te na związki dobrowolne i na jednostki. Nie możemy nakładać ceł na wyroby innych narodów, wśród których żyjemy i z którymi razem podlegamy tymsamym prawom i władzom, ale możemy świadomą wolą omijać wyroby obce a kupować swoje, chociażby to nawet było czasami nie ekonomiczne i wpływało na podrożenie cen. Młody przemysł danego narodu, brak wprawy i umiejętności, brak stosunków handlowych, nieudałe próby i t. d., brak surowca lub półfabrykatu, potrzebnego do przeróbki i wysokie cła prohibicyjne przy imporcie tychże albo też taryfy dyferencyjne kolejowe z intencyą szkodzenia rodzimemu przemysłowi mogą podrażać nasz produkt. Mimoto możemy stanąć na stanowisku, że tę stratę wynagradza sowicie wzrost sił wytwórczych danego narodu, inteligencyi, moralności, zręczności, wiadomości technicznych i gospodarczych. Cała polityka cłowa XIX. wieku opiera się na tych wywodach Fryderyka Lista, hasło obrony pracy narodowej wywiesiły dziś wszystkie stronnictwa, że wskażę tylko w Niemczech na *Bund der Landwirte*, narodowych liberałów, chrze-

ściańsko-socyalnych, *Hansabund*, założony przez sfery handlowo-przemysłowe i *Bauernbund*. Cała Europa walczy dziś pod tym znakiem, a jeżeli w Anglii idee Chamberlain'a do czasu nie zostały zrealizowane, to jednak i tam coraz silniej wywalcza sobie uznanie pogląd, że należy stworzyć wielki związek cłowy, ogarniający obok Wielkiej Brytanii wszystkie kolonie zamorskie i w ten sposób uczynić Anglików niezależnymi od zboża rosyjskiego i Stanów Zjednoczonych, zapewnić odbyt w koloniach przedewszystkiem angielskiemu przemysłowi, a ograniczyć import towarów obcych, a w szczególności niemieckich. Czy to, co jest dozwolone i chwalebne ze strony narodów tworzących samoistne i potężne państwa, miałoby być potępienia godnem dlatego tylko, że jest środkiem walki narodów słabych, podbitych, państwa własnego pozbawionych?

Wzywają dziś do pokoju międzynarodowego, do polityki wolno-handlowej wielkie narody przemysłowe, ale te tylko, które zapewniły sobie bezsprzeczną przewagę na rynkach świata. Przedtem gotowe do boju domagały się ceł protekcyjnych, gdy chodziło o tworzenie przemysłu, o zapewnienie mu odbytu. Niechajże wolno będzie dorabiającym się narodom, narodom o kulturze młodszej walczyć o byt tymi samymi środkami, jakie służyły owym narodom szczęśliwym, wyposażonym we własne państwo.

Ale pozostaje pytanie, czy w obrębie tegosamego państwa godziwym jest środek walki ekonomicznej tego rodzaju, wojna jednych obywateli przeciwko drugim, i to obywateli wyposażonych w równouprawnienie przynajmniej na papierze? W każdem państwie i w każdym narodzie znajdują się stronnictwa, które się wzajemnie zwalczają. Stronnictwa te tworzą się w państwach narodowo jednolitych na tle różnych interesów ekonomicznych lub rozmaitych poglądów prawnopaństwowych i politycznych. W państwie różnolitem pod względem narodowości niektóre stronnictwa grupują się na zasadzie wspólnej przynależności do danego narodu, a różnice klasowe, zawodowe i ekonomiczne ustępują na drugi plan. Kwestya teraz, czy interesy gospodarcze są kitem silniejszym niż narodowe i czy kupcy

dajmy na to — polscy i żydowscy w Warszawie lub polscy i niemieccy w Poznańskiem nie powinniby iść razem przeciwko konsumentom, a konsumenci polscy i żydowscy lub polscy i niemieccy przeciwko kupcom, czy też interes narodowy jest wyższy i przeważa interesy ekonomiczne? Nie jest wykluczonym fakt, że fabrykant i robotnik przemysłowy, których interesy klasowe są różne, pójdą razem, o ile znajdzie się interes wyższy, kojarzący ich, a tym interesem może być interes narodowy. To wskazuje obserwacya codzienna i to są fakty bez względu na to, na jakiemby ktoś osobiście chciał stanąć stanowisku. Faktem w szczególności jest, że są ludzie kładący wyżej interes narodowy od klasowego i gospodarczego. Na tej właśnie wyższości opiera się obserwowany u nas bojkot; około tego poglądu, zainicyowanego przez Fryderyka Lista, a więc przez patryotę niemieckiego, rozwija się i snuje cały dalszy tok myślenia owych milionów, które dziś w rozmaitych obozach politycznych powyższą wyznają zasadę. Konstytucya Rzeszy niemieckiej stanowi, że wieczny związek państw poszczególnych zawarty został celem pielęgnowania dobra ludu niemieckiego. Wynika stąd, że o ludach nieniemieckich w konstytucyi nie pomyślano a przynajmniej nic nie powiedziano o ich dobru, pozostawione więc są owe narody samopomocy i mają prawo w granicach legalnych dawać pierwszeństwo swoim przed obcymi, narażając się oczywiście na wzajemność. Bojkot nasz bowiem jest tylko dawaniem pierwszeństwa jednym wobec drugich, a więc tem, co ciągle i oddawna czynimy, z przyłączeniem do dawniejszych punktów widzenia jeszcze jednego: narodowego. Jeżeli dotąd bojkotowaliśmy kupca nie uczciwego, wyzyskiwacza, dostarczającego zły towar, zdziercę, to ponadto zawsze bojkotowaliśmy ludzi niesympatycznych choćby najuczciwszych i najporządniejszych. To leży już w naturze ludzkiej. Jeżeli przeto ktoś jest nam niesympatyczny dlatego tylko, że należy do innej narodowości, której ogół przeciwko nam wrogo czy szkodliwie występuje, jak n. p. Litwacy w Warszawie, to nie można się dziwić, że i jednostka choćby osobiście sympatyczna i zasługująca na poparcie, już przez to samo staje się nam nie-

miłą, iż należy do owego nienawidzącego nas środowiska. Są w takiej walce ofiary niewątpliwe i znaczne, jednostkom dzieją się i dziać muszą w walce tej krzywdy, rzecz i w wojnie nieunikniona. A jednak wojna uznana jest dotąd za dozwolony środek rozprawy w razie sprzecznych interesów między narodami. A trzeba i o tem pamiętać, że ta *ultima ratio*: wojna o wiele jest szkodliwszą, o wiele bez porównania straszliwszą, aniżeli walka ekonomiczna, która n. p. w Królestwie skończyćby się mogła z korzyścią obustronną w ten sposób, że Żydzi, którzy w całej Rosyi stanowią 4% a w Królestwie 14%, częściowo wyemigrują i rozleją się równomiernie po całej Rosyi, a w polskiem społeczeństwie pozostaną tylko w tej samej proporcyi, w jakiej zamieszkują całe Cesarstwo; część zaś z pomiędzy nich, jak domagają się poważne wśród nich samych stronnictwa, stworzy sobie nową ojczyznę w okolicach i krajach dla siebie odpowiedniejszych.

Jeżeli wolno bezsprzecznie każdemu dawać pierwszeństwo swojemu przed obcym, to wolno mu też to zapatrywanie publicznie wypowiedzieć, bronić go w prasie i na zgromadzeniach. Jednego tylko nie wolno, to jest krępować woli jednostek, terroryzować ich, przeszkadzać w swobodnem działaniu. I tak samo, jak nie wolno nam wstrzymywać podczas strejku robotnika chcącego pracować, terroryzować tak zwanych niesłusznie łamistrejków — bo kto do strejku nie przystąpił, nie łamie go wcale — i za taki terroryzm słusznie jest wyznaczona kara, taksamo winna być pozostawiona swoboda każdemu, czy chce pójść za hasłem bojkotu z pobudek narodowych, czy też nie. Do jednego przemawiają silniej hasła patryotyczne, do drugiego słabiej. Co się da osiągnąć drogą pokojowej perswazyi, spokojnym i rzeczowym argumentem, to pozostaje w granicach dozwolonej agitacyi, to jest dopuszczalne i godziwe. Każda inna metoda bez względu na cel, choćby najchwalebniejszy, jest wadliwą a nawet nieetyczną.

Stając silnie w obronie swobody decyzyi jednostki i nieużywania niewłaściwych środków, pragnąc oddziałać jedynie na swobodne przekonanie tejże, należy jednak wskazać, że nawet biorąc rzecz ze stanowiska kosmopolitycznego możnaby zwalczać

ideę samopocy narodowej jedynie wówczas, gdyby naukowo dowiedzionem było, że narody, które dziś stoją gospodarczo wyżej, są już wogóle i raz na zawsze dzielniejsze i gdyby ponadto zalety gospodarcze były wyłącznie decydujące dla postępu ludzkości. Historya poucza, że tak nie jest. *Deus sanabiles fecit nationes*, narody ulegają zmianom i przekształceniom podobnie jak jednostki. Losy, jakie przechodzą, środowisko, w którem zmuszone są żyć i rozwijać się, skłania je do przystosowania się, udziela często cennych przymiotów, jakich naród dany w historycznej swej przeszłości nie wykazywał. Powtóre zaś zalety gospodarcze nie są jedynemi, nie są najważniejszemi, jakkolwiek mogą się takiemi wydawać w epoce, w której więcej niż w jakiejkolwiek innej, królem jest pieniądz. Nawet zwolennicy wolnego handlu nie posuwają się w swej prawowierności tak daleko, aby domagać się od narodów gospodarczo mniej rozwiniętych lub przez przyrodę gorzej wyposażonych rezygnacyi na przyszłość i oddania się w niewolę ekonomiczną innym narodom sprawniejszym.

Wiadomo, że w Galicyi niedawno zniesiono prawo propinacyi. Otóż z tej okazyi szynkarze narzekali, że będą zrujnowani. Na jednem zgromadzeniu włościańskiem pewien chłop nasz tak szynkarzowi biadającemu na dolę swoją, odpowiedział: „Był raz grabarz, który bardzo narzekał, że robi złe interesy. Czy chłopi z jego wsi z tego powodu mieli położyć się do trumny?“

Rzeczywiście sprawa tak stoi. Tu trzeba wybierać między ofiarą własną a cudzą, między samobójstwem a koniecznem w danym wypadku zmniejszeniem ekonomicznego powodzenia jednostek obcego narodu. Naród ekonomicznie słabszy stoi przed alternatywą, albo poddania się zupełnemu podbojowi, ekspropryacyi i opuszczeniu przyrodzonych i odwiecznych swych siedzib albo walki gospodarczej, która polegać musi na solidarnem dawaniu pierwszeństwa swoim. Tu już nie chodzi o sentyment ale o byt. Jeżeli samobójstwo jest śmiertelnym grzechem i tchórzostwem, to jest nim oczywiście tembardziej samobójstwo narodu, a byłoby niem opuszczenie rąk i co za tem idzie — konieczna masowa emigracya, jak w Irlandyi. Mamy ją od dziesiątków lat w Galicyi i Królestwie. Najlepsze siły, najdzielniejsi

ludzie opuszczają ojczyznę a ludności przybywa tylko dlatego, że w miejsce tych, którzy opuścili nasz kraj często na zawsze, nie znalazłszy w nim chleba, przyszli, rozsiedli się i wzbogacili obcy.

Taka jest smutna różnica między dobrami ekonomicznemi a dobrami duchowemi, że udzielając ostatnich, nie traci się ich, owszem własny zasób wiedzy przez to się pogłębia i utrwala. Dobra ekonomiczne, niebacznie wydane obcym, przepadają dla swoich. Trzeba tedy wystrzegać się marnotrawstwa sił narodowych, które polega właśnie na nierobieniu różnicy między obcymi a swoimi, trzeba wszędzie i zawsze, jeżeli się narodowo żyć pragnie i utrzymać na własnej ziemi, pierwszeństwo dawać w każdym kierunku swoim przed obcymi!

Przejdźmy do szczegółów. Walkę w obronie kółek rolniczych, tworzenia kooperatyw i hurtowni polskich oraz kas Raiffeisena chyba obrońcy lichwiarzy i wyzyskiwaczy określić mogą jako objaw nienawiści narodowej, czy nawet rasowej lub religijnej, podczas gdy faktycznie jest to jedynie objaw budzącej się powoli ekonomicznej samopomocy społeczeństwa polskiego. Trzeba sobie w każdej konkretnej kwestyi zadawać pytanie, o ile można dany towar dziś już nabyć ze źródeł polskich lub choćby obcych ale przynajmniej narodowo obojętnych i nie niebezpiecznych dla naszego stanu posiadania narodowego.

Kwestye te są niesłychanie doniosłe a przytem bardzo zawiłe.

Musimy z nich bowiem wyłączyć poza nawias wbrew zwyczajowi i nieomal tradycyi uczucie, które bywa najczęściej złym w polityce doradcą, a za drogowskaz obrać nie chęć szkodzenia wrogom, ale przysporzenia korzyści sobie.

Wszelkie kupowanie towarów własnego zapotrzebowania u obcych, przyjaciół czy wrogów, jest zależnością ekonomiczną i upokorzeniem, bo przyznaniem się do własnej niższości. Ambicya i interes narodu powinny więc popychać go koniecznie w kierunku wyzwalania się z tych łańcuchów. Zastąpienie jednej niewoli drugą jest tylko zmianą kajdan, niczem więcej. W pierwszym więc rzędzie powinno być naszem zadaniem stwo-

rzenie w kraju przemysłu we wszystkich dziedzinach, obejmujących nasze zapotrzebowanie. To jest jasne. Ale o ile to jest niemożliwe, bądź wogóle, bądź na razie, ze względu na wysokie taryfy kolejowe, brak miejsc odbytu, zdobytych już przez fabryki zagraniczne i austryackie w innych krajach koronnych położone, brak kapitału i przedsiębiorczości w kraju, jakiż wówczas ma być kierunek naszego działania? Oddając się jednym, obojętnym w zależność ekonomiczną, rugujemy przynajmniej drugich, prześladowców i wrogów. Krzywdzą nas, więc gdy zerwiemy z nimi stosunki handlowe, może otworzą im się nareszcie oczy.

A teraz pytanie: Czy bojkot ma być indywidualny czy geograficzny? czy np. centrowiec Niemiec, odnoszący się zawsze życzliwie do Polaków, ale posiadający fabrykę w granicach Prus ma być bojkotowany przez nasze kupiectwo, a niemiecki narodowiec, zwolennik Wolfa, z Chebu, Liberca, lub Moraw ma być protegowany jako Austryak? Byłoby to oczywiście niesprawiedliwością a jednak wprost to niemożliwe badać przekonania jednostek, zwłaszcza gdy one są interesowane w tem, aby się nam jak najkorzystniej przedstawić i gdy, jak niedawno jeszcze kupcy w Katowicach, Poznaniu i większa część fabryk pruskich, wszyscy zapewniają kupców polskich o przyjaznych dla nas uczuciach i niezadowoleniu z polityki rządowej. W walce między narodami, niepodobna niestety odróżnić winowajców od niewinnych i póki istnieć ona będzie na ziemi, jednostki cierpieć muszą za winę swego narodu. Więc bojkot, jeżeli wogóle ma być, może być tylko geograficzny. Wyrządzi on wprawdzie niejednej jednostce krzywdę, bo uległość posłów swoich wobec rządu odpokutuje nieraz człowiek, pragnący stać z daleka od polityki, może dobroduszny, raczej obojętny niż niechętny nam Niemiec. Mimo to tylko taki bojkot geograficzny może mieć sens, oczywiście pod warunkiem, że będzie konsekwentnie i solidarnie przeprowadzony, w przeciwnym wypadku może lepiej go zupełnie nie zaczynać. Wszelki fajerwerk bowiem i wszelki ogień słomiany, tak ulubiony i powszechny u nas, odsłoniłby tylko całą naszą niemoc ekonomiczną przed światem i wzmógł hardość nieprzyjaciół, podczas gdy szkody ekonomiczne, wyrządzone mądrym, wytrwałym

i zgodnym całego narodu bojkotem, mogłyby skłonić rząd pruski ze względu na własny handel i przemysł do opamiętania się na pochyłej drodze, na której się znajduje.

Wytrwałości naszej w tym kierunku na przeszkodzie stoją trzy okoliczności: przeważny udział w kupiectwie naszem Żydów, obojętnych dla sprawy polskiej, dogodne warunki, udzielane naszym kupcom przez Niemców, oraz oswojenie się z dostawcą, którego trzebaby zastąpić dopiero nowym, wreszcie bezmyślne przywiązanie większości konsumentów do źródła pochodzenia nabywanych towarów i tępy upór, z jakim zawsze żądają tego samego krochmalu, czy płótna, specyfiku aptecznego lub węgla, jakiego dotąd używali i jaki przyzwyczaili się uważać za najlepszy, wraz z małem bardzo uświadomieniem i zrozumieniem obowiązków narodowych w szerokich masach. Wychowanie konsumentów w duchu narodowym, jest przeto najbliższem i najważniejszem zadaniem, boć ostatecznie oni decydują w ostatniej instancyi o towarze, jaki kupiec sprowadzi. Obojętność narodowa lub dogodność kupca ustąpi wobec kategorycznego żądania całego społeczeństwa i pewnego rodzaju nacisku, z jakim zawsze łączy się ruch potężny, porywający wszystkich. To musimy sobie powiedzieć. Tylko w razie oddziałania na ogół społeczeństwa zdołamy coś zdziałać. Naturalnie zdobycie handlu, obsadzenie placówek kupieckich przez Polaków byłoby najlepszem rozwiązaniem kwestyi.

Jeszcze jest jeden bojkot, o którym społeczeństwo nasze, choć nie zapomina, jednak z niedostateczną traktuje go konsekwencyą. Jeżeli każdy naród winien oddawać pierwszeństwo własnym członkom i jest to dla niego po prostu kwestyą istnienia, jeżeli ma prawo i obowiązek wśród cudzoziemców dawać pierwszeństwo tym, którzy go nie krzywdzą i nie prześladują, to u siebie, na własnych śmieciach ma każdy z nas święty obowiązek ani kawałka ziemi nie odstępować cudzoziemcom, nie pozwolić im na wzbogacanie się z uszczerbkiem narodowym. Czyn taki jest lekkomyślnością, graniczącą o miedzę ze zdradą polskości.

Jeżeli przy tworzeniu się nowych gałęzi przemysłu w kraju, na usprawiedliwienie danego osobnika wpłynąć może fakt,

że w kraju niema ani kapitału, ani przedsiębiorczości dostatecznej do eksploatacyi danej kopalni nafty, węgla i t. d., i że cudzoziemcy, przybywający do kraju z kapitałem i technicznem wykształceniem przyczyniają się tem samem do wzmożenia bogactwa krajowego, choć lwią jego część zabierają dla siebie, to już żadnego wytłómaczenia nie ma dla tych, niepomnych obowiązków narodowych właścicieli majątków ziemskich, którzy je w naszym kraju wydzierżawiają, lub sprzedają członkom obcych narodów, mając możność zawierania umów tego rodzaju z własnymi rodakami.

Tego rodzaju kurczenie ojczyzny zasługuje na jak najsurowsze i solidarne potępienie całego społeczeństwa polskiego. Ileż podobnych wypadków zdarzyło się i zdarza ciągle we wszystkich dzielnicach Polski, a jednak jak pobłażliwie, nieomal służalczo zachowuje się wobec nich opinia publiczna! Czy istnieje jeszcze wogóle ta opinia, czy prasa peryodyczna, która ma być jej wiernym doboszem, nie wstrzymuje czasami pałeczek usłużnego bębna?

Samo się przez się rozumie, że wszelki bojkot musi być ograniczony względem, by nie przeszkadzał rozwojowi cywilizacyi własnego narodu.

Gdyby chodziło n. p. o nabycie przedmiotu najlepszej jakości, potrzebnego nam dla cywilizacyjnego postępu, n. p. jakiejś soczewki do teleskopu, lub przyrządu chirurgicznego i t. d., byłoby oczywiście błędem nie nabyć go w Prusiech, o ileby tylko tam dany przyrząd w najlepszej jakości wyrabiano.

Każdy z nas uważałby to również za śmieszny szowinizm nie zasięgnąć rady lekarzy światowej sławy, w dziedzinie ich specyalności, dlatego tylko, że są Niemcami.

Przykład ten prowadzi nas do drugiej dziedziny, w której bojkot u nas występować poczyna. Mam na myśli naukę. Gdybyśmy wiedząc, że w danej gałęzi wiedzy najlepsze siły wykładają w Berlinie, lub Lipsku, nie posyłali naszych badaczy dla uzupełnienia studyów na ten uniwersytet dlatego tylko, że to miasto niemieckie, sobie a nie im wyrządzilibyśmy krzywdę, nie ich ale siebie ubożylibyśmy.

Istnieją granice, których naród, pragnący kroczyć naprzód w cywilizacyi, bezkarnie przestąpić nie ma prawa. Narody, chcące żyć i rozwijać się, czerpać winny z wszystkich przystępnych im źródeł nauki i wiedzy i dążąc nietylko do doścignięcia, ale i do przewyższenia swoich rywali w gronie narodów, muszą starać się o to, aby umieć więcej od nich a co najmniej tyle, ile one.

Kongresy naukowe całego świata winne w swojem gronie jak najwięcej widzieć Polaków: i takich, którzy jadą, aby się czegoś nauczyć, i takich, którzy jadą, aby pouczyć innych. Jest jeszcze wielka rzeczpospolita naukowa europejska, a może dzisiaj światowa, do której należeć, winno być chlubą uczonego całego świata, a nie w najmniejszej mierze uczonych polskich. Czyżby Prusy ustawą ekspropryacyjną i o zakazie używania języka polskiego na zebraniach publicznych zdołały za jednym zamachem wyłączyć nas także z tej republiki, w której nie armaty i miliardy, dla nas niedostępne, ale praca i talent przez Boga dany zapewniają głos i znaczenie? W takim razie należałoby tylko powinszować im sukcesu, bo osiągnęłyby więcej niż się spodziewały, odebrałyby nam bowiem trybunę wszechświatową naukowych zjazdów i ten łącznik z innymi narodami, jaki one stanowią, przynajmniej o ile odbywają się na ziemi pruskiej.

Jeżeli na kongresach naukowych odbywających się w Niemczech, Polacy świecą nieobecnością i to nawet w dziedzinach, w których posiadamy europejskiej miary uczonych, to tego rodzaju uchylenie się, korzyści nam z pewnością nie przyniosło. *Les absents ont toujours tort*!

Wszakże miejsce kongresu naukowego jest zupełnie obojętne, bo gdyby nawet Berlin miał być słusznie jako taki, bojkotowany, to przecie co roku, kongresy naukowe obradują gdzieindziej, a w danym właśnie roku, w którym Berlin jest miejscem zebrania, na porządku dziennym obrad stać może kwestya bądź dla narodu polskiego bardzo doniosła n. p. emigracya, bądź taka, w której polski uczony już się w nauce odznaczył i skutkiem tego ma możność zdobycia uznania dla nauki polskiej wśród cudzoziemców.

Rozsądek i interes narodowy mówią co innego, co innego

wzburzone uczucie. Prawda, że łatwiej przypominać innym horacyuszowskie: *Aequam memento rebus in arduis servare mentem*, niż samemu wobec pewnych rzeczy zimną krew zachować. Ale i to jest faktem, że kto we własnej sprawie pójdzie za popędem ślepej namiętności, sobie tylko szkodzi; kto tak nieopatrznie postąpi w sprawie publicznej, naraża na szwank dobro całego narodu, w jednym zaś i w drugim wypadku jest człowiekiem, pozbawionym woli i hartu ducha, a gdybyśmy wszyscy byli takimi, tworzylibyśmy społeczeństwo niedojrzałe do samoistnego bytu. Do kierowania narodem powołani są tedy ci tylko, którzy czując głęboko i gorąco, umieją jednak okiełznać uczucie i w imię dobra publicznego poddać je pod rozkazy świadomej celu woli, ci którzy rozważą przed każdym krokiem, czy prowadzi do celu, czy i środki są dostateczne i cel osiągnięcia godnym. Zimna rachuba i spokój zapewniają zwycięstwo — dowiedli tego Japończycy. Ale ile trzeba umieć, jak wyrobić się duchowo, jak ujarzmić materyę, aby tryumfować nie dziarskością, fantazyą i osobistą odwagą, ale głęboką wiedzą, najwyższem skupieniem woli, niemal przewidywaniem!

Zrozumiałym więc jest i chwalebnym ze stanowiska narodowego bojkot solidarny i wytrwały w dziedzinie ekonomicznej, dyktowany nie bezpłodną nienawiścią do wrogów naszego narodu, ale chęcią przysporzenia korzyści jemu samemu; natomiast bojkot zdobyczy jakiegokolwiek narodu w krainie myśli jest niedorzecznością, przynoszącą nam samym szkodę i ujmę, niedorzecznością tem większą i szkodliwszą, że opóźniając nasz postęp kulturalny, przedłuża tem samem okres przykrego terminowania, utrudnia walkę systematyczną w obronie pracy narodowej i wywalczenie narodowi niezależności ekonomicznej, co oczywiście nastąpić nie może bez gruntownego obeznania się z sposobami działania tych, pod których jarzmem handlowem i przemysłowem żyjemy.

Dr. Leopold Caro.

Szkolnictwo przemysłowe i szkoły św. Łukasza w Belgii.

W Belgii przed 30 laty szkolnictwo przemysłowe i zawodowe było jeszcze w powijakach. Dość powiedzieć, że w roku 1884 w całym kraju było nie więcej jak 86 szkół przemysłowych.

W 10 lat później liczba szkół tych wzrosła w czwórnasób, a w roku 1907 kraj cały liczył już 644 szkół zawodowych.

W ślad za rozwojem szkolnictwa rośnie budżet ministerstwa przemysłu i pracy, które stałemi subwencyami zasila szkoły.

Oto kilka cyfr:

W roku	1875	278.700 fr.
,,	1885	373.900 ,,
,,	1895	732.900 ,,
,,	1900	1,092.500 ,,
,,	1905	1,950.000 ,,
,,	1908	2,150.000 ,,

Ogółem państwo w roku ostatnim wydało na szkolnictwo techniczne 3,300.000 fr.

Jakie warunki i przyczyny złożyły się na niezwykły ten rozwój?

Wzrost ludności i potężne wzmożenie się przemysłu w Belgii w ostatnich lat dziesiątkach.

Według ostatniego spisu ludności z dnia 31 grudnia 1910 liczy Belgia 7,423.784 mieszkańców. Przyrost ten stale się pomnaża co 10 lat o 10% z okładem.

1880—1890	549.312 . . .	9,95%
1890—1900	624.227 . . .	10,28%
1900—1910	730.236 . . .	10,91%

Przyrost z ostatniego dziesięciolecia przewyższa procentowo cyfrę z roku 1866—1876, t. j. okresu świetnego rozwoju przemysłu i niemniej świetnego wzrostu ludności. Cyfra ta podówczas wynosiła 10,53% [1] tylko a dzisiaj 10,91%.

Równolegle z wzrostem ludności idzie potężny rozwój przemysłu. Belgia pod względem swej struktury ekonomicznej, jest *par excellence* krajem przemysłowym. Z przemysłów zaś węgiel i żelazo przedewszystkiem najważniejszą odgrywają rolę. W roku 1880 przemysł węglowy liczył 304 kopalń, w dziesięć lat później 275, a w roku 1910 tylko 273 kopalń. W miarę atoli koncentracyi produkcyi rośnie jej wydajność, która w roku 1880 wynosiła 16,866.698 ton, w roku natomiast 1910, 25,523.000 ton. Fabryk stali było w roku 1901 19, w roku 1910 28 o wydajności 527.240 względnie 2,064.390 ton.[2] Przemysł cynkowy, ołowiowy, szklany również w ostatnich latach potężnie się rozwinął.

Miarę rozwoju przemysłu w Belgii w przyćmionych oczywiście zarysach daje nam rosnąca liczba robotników, zatrudnionych wogóle w przemyśle. W roku 1880 pracowało w kopalniach węgla i innych kopalniach, w kamieniołomach, w hutach szklanych i fabrykach żelaza i stali 102.930, 3.810, 27.336, 10.124, 21.177 czyli razem 165.377. W roku 1903 natomiast liczba robotników wynosi 139.592, 682, 37.117, 22.780 i 25.133 czyli razem 225.304. W roku 1907 pracuje w kopalniach węgla 142.699, w roku 1910 143.701 robotników; w fabrykach stali w roku 1901 6.580, w roku 1910 16.877 robotników. W miarę rozwoju przemysłu rośnie też liczba i siła maszyn i motorów. Wogóle w Belgii około

[1] *L'Économiste Français* z dnia 31 sierpnia 1912 r.
[2] *L'Économiste Français* 1912 r. t. II. str. 421.

2,000.000 ludności pracuje w samym tylko przemyśle, który rozwija się potężnie. Tylko w tym ogólnym rozwoju nie dotrzymuje kroku przemysł artystyczny. „W ostatnim czasie bilans handlowy, który przez długie czasy stanowił o naszem bogactwie narodowem, przechyla się na naszą niekorzyść, mówi poseł Carton de Wiart. Import nasz w dziedzinie przemysłu artystycznego przenosi 36 milionów franków".

Otóż wzrost ten ludności i świetny rozwój przemysłu i zastój w przemyśle artystycznym obudziły i uświadomiły potrzebę wykształcenia przemysłowego i zwróciły przed 30 laty uwagę rządu i społeczeństwa na zaniedbane zupełnie i leżące odłogiem pole szkolnictwa zawodowego.

Rząd zrozumiał, że podnieść szkolnictwo i szerzyć wykształcenie przemysłowe i kształcić przedsiębiorców i oficyalistów fabrycznych i robotników to znaczy wydatnie popierać wszystkie czynniki produkcyjne i rozwój przemysłu w kraju i otwierać nowe źródła bogactwa narodowego.

Rząd belgijski pojął i zrozumiał, że podniesienie wykształcenia przemysłowego robotników, łączy się ściśle z podniesieniem położenia ekonomicznego i społecznego stanu robotników wogóle, że wykształcić robotnika pod względem zawodowym to znaczy uzdolnić go i uzbroić do przezwyciężenia wszystkich trudności konkurencyjnych i życiowych, że wszelkie pogłębienie i rozszerzenie wykształcenia zawodowego uszlachetnia i opromienia pracę i wyzwala ją z pęt rzemiosła mechanicznego i otwiera przed robotnikiem źródło pociech, dostępnych tylko dla artysty i wynalazcy.

„I w tem wielka zasługa, mówi ks. Vermeersch, kierowników nowych departamentów z roku 1884, że zrozumieli naglącą potrzebę wykształcenia przemysłowego i mieli odwagę przyłożyć rękę do gruntownej reformy w tym kierunku. A trzeba było zacząć od fundamentu.

I stąd te wysiłki na polu kultury rolnej, przemysłu i handlu, pod względem teoretycznym i pracy praktycznej. I dlatego zajęto się kształceniem dziecka i dorosłego, ażeby uzupełnić jego wykształcenie. I dlatego zwrócono się do robotnika, oficyali-

sty i przedsiębiorcy, uczono, jak należy prowadzić małe gospodarstwo i skromną kuchenkę i jak trzeba kierować warsztatem i przedsiębiorstwem fabrycznem".[1]

Ale bo też na polu szkolnictwa zawodowego rząd belgijski rozległą i bogatą w owoce rozwija działalność. Rola jego zawsze jest pośrednia tylko. Zamiast ująć w swoje ręce inicyatywę, zamiast absorbować twórcze i żywotne siły narodu, działalność jego ogranicza się tylko do udzielenia rad i wskazówek i subwencyi, do wydobywania z ukrycia sił pedagogicznych, do budzenia i popierania inicyatywy prywatnej i zbiorowej, do łączenia i uzupełnienia w harmonijny zespół twórczy sił organizacyjnych narodu. „Tłumiąca życie narodu centralizacya i podejrzliwy etatyzm coraz mniej nas mami, mówi wyż przytoczony autor, i obecnie nie pragniemy nic innego jak tylko, żeby Belgia pozostała krajem swobody miejscowej i wolności stowarzyszania się".

„Szkoły — czytamy w pierwszem sprawozdaniu rządowem o szkolnictwie technicznem z roku 1897 — winny powstać tam, gdzie ich potrzebę odczuwają. Przemysłowcy i robotnicy mają w pierwszym rzędzie decydować, gdzie należy szkołę zorganizować. Szkoły powinny być zorganizowane według potrzeb lokalnych. W rozwoju ich i programach trzeba tedy uwzględnić elementy zmienne, jakimi są: rodzaj przemysłów w danej okolicy i stopień wykształcenia ludności, która ma uczęszczać na kursy. Również szkół technicznych nie można zakładać według jednego modelu.

I oto powody, dla których rola rządu na tem polu ogranicza się do popierania żywotnej inicyatywy i do udzielania organizatorom rad koniecznych, żeby szkoła dobre osiągnąć mogła rezultaty" [2].

---

[1] *Manuel Social, La Législation et les Oeuvres en Belgique* par Vermeersch et Müller. Paris, Alcan 1909. t. I. str. 436.

[2] *Rapport sur la situation de l'Enseignement industriel et professionnel en Belgique, présenté aux Chambres Législatives par M. Le Ministre de l'Industrie et du Travail.* Bruxelles 1897, str. IX. Sprawozdania rządowe w Belgii są wzorowe i wyczerpujące i informują wybornie społeczeństwo o stanie i rozwoju szkolnictwa technicznego. Miałem sposobność przekonać się o tem na oko podczas podróży socyalnej w Belgii.

To też wszystkie prawie szkoły zawodowe w Belgii są prywatne. Większe szkoły zawodowe i kursy uzupełniające prowadzą zwykle miasta, mniej kosztowne są w ręku prywatnych instytucyi społecznych lub religijnych. Ale nad wszystkiemi unosi się czujna kontrola rządu. Wszystkie bowiem ubiegają się o stałe subwencye rządu, za któremi idzie z prawa nadzór nad całą szkołą i jej programem i siłami nauczycielskiemi.

Subwencye rządowe wynoszą co do szkół przemysłowych $^1/_3$ część ogólnych wydatków rocznych po odliczeniu nadwyżki bilansowej z roku przedostatniego, wpisowego za rok bieżący i czynszu za ubikacye, w których szkoła się mieści. Nadto pokrywa rząd połowę wydatków, wyłożonych na zakupno i instalacyę przyrządów i umeblowanie szkolne po przedłożeniu duplikatów rachunków.

Co do szkół zawodowych zaś rząd pokrywa $^2/_5$ wydatków rocznych po odliczeniu nadwyżki bilansowej i dochodów bieżących jak przy szkołach przemysłowych. Takich samych też jak poprzednio subwencyi udziela rząd tym szkołom co do zakupna przyrządów.

Teraz jaki jest cel i organizacya tych szkół?

Najprzód szkoły przemysłowe. Celem ich jest uzupełnić i rozszerzyć i pogłębić wykształcenie elementarne robotnika, podczas gdy szkoły zawodowe kształcą przedewszystkiem rękę robotnika przez ćwiczenia warsztatowe.

Program nauk w szkołach przemysłowych wielką przedstawia rozmaitość. Nauka trwa zwyczajnie 5 lat, z tych 2 przypadają na kursy przygotowawcze a 3 obejmują nauki, wiążące się z gałęzią przemysłu w danej okolicy. Dużą wagę przywiązuje się do rysunków według wymagań specyalnych zawodów. W nauce przeważają metoda poglądowa i demonstracye i zastosowania praktyczne, łączące się z zwiedzaniami zakładów przemysłowych. Obok kursów ogólnych odbywają się nadto kursy specyalne, odnoszące się do nauki handlowej i języków i do przemysłów specyalnych danej okolicy i miejscowości.

Profesorami kursów elementarnych są nauczyciele ludowi,

wyższych nauczyciele szkół wyższych, kursy zaś techniczne prowadzą inżynierzy i specyaliści.

Uczniami są robotnicy, praktykanci, uczniowie innych szkół. Dzieci jednak poniżej 14 lat zwyczajnie nie przyjmuje się do szkół przemysłowych ze względu na dyscyplinę szkolną.

Ażeby uczniowie więcej cenili sobie naukę i do niej pilniej się przykładali, wymaga się zwykle wpisowego np. 6 fr., które idzie na nagrody dla pilnych uczniów. Ażeby robotników przynaglić do uczęszczania na kursy niektóre zarządy przedsiębiorstw wyznaczają premie dla pilnych uczniów.

Rzut oka na rozwój statystyczny szkolnictwa przemysłowego w Belgii ukaże nam wewnętrzną strukturę tych szkół i kursów i ich żywotność.

	1900 r.	1903 r.	1907 r.
Szkoły subwęncyonowane . . .	68	83	92
Wpisy:			
Na kursy wieczorne	9317		
„ „ niedzielne	7645		
„ „ wieczorne i niedzielne .	3526		
Razem . . .	20488	21741 męż. 907 dziew.	21961 męż. 1002 dziew.
Zawód:			
Robotników uczęszczało	13427		
Uczniów innych szkół	3007		
Urzędników prywatnych	2981		
Różnych	1073		
Uczniów dyplomowanych . . .	1367		
Wiek:			
Poniżej lat 14	1995		
od 14—16	5201		
od 16—20	8531		
Powyżej lat 20	4761		
Nauczycieli	793	972	1053
Uczniów, którzy uzyskali dyplom .	1367	1560	1582

Sprawozdanie zaś rządowe poucza nas w jakim kierunku idą polepszenia i jakich reform dokonano w ciągu lat ostatnich na polu szkolnictwa przemysłowego. „Kursy elementarne, czytamy tam, stały się dużo praktyczniejsze; sekcye specyalne rozwinięto; lekcye techniczne o ile możności przystosowano do miary pojęć robotnika, naukę rysunków zorganizowano na zasadach więcej racyonalnych i zastosowano do pracy zawodowej uczniów; skompletowano materyał dydaktyczny, przyrządy i biblioteki. Przeprowadzono ulepszenia co do umeblowania i ubikacyi szkół, choć pod tym względem we wielu wypadkach jeszcze dużo pozostaje do zrobienia".

Szkoły i kursy techniczne i warsztaty terminatorskie mają przedewszystkiem na celu kształcić robotników przemysłowych pod względem zawodowym i werkmajstrów i rzemieślników i zastąpić naukę warsztatową terminatora nauką szkolną pod kierunkiem specyalnych werkmajstrów. Statystyka ich przedstawia się następująco:

Rok	Szkoły	Kursy	Nauczyciele	Uczniowie	Certyfikaty
1897	18	4	122	1371	42
1901	36	15	229	3466	166
1906	48	16	468	5770	740
1907	52	16	498	6236	735

Program naukowy i praktyczny szkół technicznych jest rozległy bardzo stosownie do potrzeb dzisiejszych rzemieślników, będących przedsiębiorcami zarówno jak kupcami.

W szkole n. p. de Notre-Dame du Travail w Brukseli program wykształcenia teoretycznego obejmuje: matematykę, fizykę, mechanikę, elektrykę, technologię, rachunkowość, prawo handlowe, język niemiecki i angielski, stenografię, daktylografię hygienę, ekonomię przemysłową i rysunki.

Do ogólnych i zasadniczych przedmiotów programowych szkół technicznych należą przedewszystkiem rysunki i pojęcia teoretyczne i technologia rzemiosła.

Zresztą obok rzeczy zasadniczych co do ilości godzin i przedmiotów wielka panuje rozmaitość.

Lekcye odbywają się już to za dnia już to wieczorem.

Jedne kursy są płatne, inne bezpłatne, na innych znowu uczniowie otrzymują wynagrodzenie za robotę. Tu uczniowie pracują razem z robotnikami, tam znowu oddzielnie pod kierunkiem specyalnych werkmajstrów.

W ostatnich latach wyrobił się wśród rzemieślników prąd żywotny, dążący do wskrzeszenia i reorganizacyi terminatorstwa.

Tęgi pracownik, mówiono, nie wykształci się inaczej, jak tylko w warsztacie pod ciągłą kontrolą majstra. Szkoły zawodowe są drogie bardzo, nie ogarną nigdy ogółu młodzieży i kształcą najczęściej uczniów na werkmajstrów. Zwłaszcza w przemysłach artystycznych nauka szkolna nie zastąpi nigdy inicyatywy światłego i wykształconego pod względem artystycznym majstra. Wykształcenie terminatorskie zresztą łatwo uzupełnić i rozszerzyć można i trzeba na kursach przemysłowych i zawodowych.

Prawda, trudno znaleźć światłego przedsiębiorcę-pedagoga. Fachowe bowiem uzdolnienie, choćby najlepsze, nie stanowi jeszcze o zdolności nauczycielskiej i wychowawczej majstra. Trzeba nadto posiadać dobrą wolę i ambicyę, żeby wykształcić dzielnego pracownika, żeby przelać całą wiedzę swoją techniczną i rękoczyny swego rzemiosła na swego ucznia i współpracownika.

Kto bowiem w uczniach swoich upatruje przyszłych współzawodników przemysłowych albo materyał tylko robotniczy, podatny do wyzysku, albo zgoła nie dba o wychowanie ich moralne i religijne, oczywiście pomnaża tylko liczbę partaczy i ogromną wyrządza szkodę samym rzemieślnikom i społeczeństwu.

Dlatego chcąc wskrzecić i podnieść terminatorstwo, trzeba przedewszystkiem zainteresować przedsiębiorców i majstrów w tym kierunku i roztoczyć pewną kontrolę nad wykształceniem i położeniem terminatora w warsztacie. W tym celu tedy narodowa komisya dla spraw przemysłu drobnego w Belgii wyznaczyła premie dla przedsiębiorców, zarówno zajmujących się wykształceniem terminatorów, jak i dla uczniów, składających egzamin terminatorski. Doniosłe dla podniesienia terminatorstwa zarządzenie to zatwierdziło ministerstwo w roku 1906.

Otóż według rozporządzenia tego przedsiębiorca przyjmujący na naukę terminatora ma otrzymać roczną premię, którą

trzy razy ponowić wolno, za trudy wykształcenia i wychowania. Do premii tych atoli dołączyło ministerstwo dwa zastrzeżenia: najprzód stosunek terminatora do przedsiębiorcy ma się opierać na kontrakcie pisanym, a powtóre spory, wynikające z tego stosunku, mają podlegać sądom przemysłowym organizacyi zawodowych. Conseils de Prud'hommes.

Po skończonej nauce trzechletniej następuje egzamin wobec komisyi zawodowej. W razie pomyślnego jego wyniku przedsiębiorca otrzymuje 50 fr., a wyzwolony terminator wiązkę przyborów rzemieślniczych za 100 fr.

Zdawałoby się, że korzystne te warunki popchną liczną młodzież do terminatorstwa. Tak nie jest. Młodzież nie garnie się tłumnie do rzemiosł, ani nie ubiega się skwapliwie o te stypendya. Zresztą dziś jeszcze zawcześnie sądzić o wartości społecznej tego zarządzenia. W każdym razie szczęśliwą była myśl powołania organizacyi zawodowych do pracy nad podniesieniem terminatorstwa. Bo dzięki organizacyom odrazu powstało w kraju 6 sekretaryatów terminatorskich, które postawiły sobie za zadanie pouczać rodziców i dzieci co do wyboru rzemieślniczego zawodu i znaczenia kontraktu terminatorskiego. One też wnoszą podania do ministerstwa w sprawie stypendyów czy premii terminatorskich.

Przypatrzmy się teraz niektórym szkołom zawodowym i terminatorskim, których rysy więcej rzucają się w oczy, albo które odznaczają się oryginalnością struktury swojej.

W Leodyum n. p. istnieje znana szkoła broni, założona przez unię przemysłowców broni w roku 1897. Na początku liczyła 44, obecnie około 300 uczniów. Wpisowe dla uczniów zwyczajnych wynosi 5 fr., dla uczniów wolnych 120 fr., dla obcokrajowców 300 fr. Uczniowie zwyczajni pobierają 0·25 fr. dziennie za uczęszczanie do szkoły i 25% za pracę solidną, wykonaną przez nich. W szkole pracuje 15 nauczycieli z kierownikiem na czele. Administracya szkoły jest w ręku komisyi składającej się z 5 przemysłowców, 3 delegatów rządu, prowincyi i miasta i wiceprezydenta probierni broni. Komisya odmładza się co roku w $\frac{1}{3}$ części swoich członków.

Pod koniec roku 1907 szkoła wydała 33 dyplomów i 133 certyfikatów uzdolnienia.

Szkoła w Wandre, założona w r. 1847 przez ks. Depaquier rozpada się na szereg sekcyi: pilników, zamków, rewolwerów i sprężyn i t. d. i kuźnię i stemplarnie. W pierwszym roku liczyła szkoła 27, w 1903 r. 64, w 1908 r. 67 uczniów i ta liczba jest maksymalna ze względu na specyalny charakter warsztatów terminatorskich. Szkoła udzieliła 54 dyplomów. Gdy się uczniowie poduczą w rzemiośle, otrzymują 40, 50 i 60% za solidną robotę.

Większość przyrządów wyrabiają sobie uczniowie sami. Pożytek stąd duży, bo narzędzie w ten sposób ciągle się udoskonala w szczegółach i łatwiej da się dostroić do ręki.

W roku 1903 objęli kierownictwo szkoły Fréres du Sacré Coeur i wprowadzili kursy rysunków, kursy teoretyczne i lekcye wieczorne. Stosunek pomiędzy uczniami, którzy w czasie nauki dużo stosunkowo zarabiają, a nauczycielami i kierownikami jest dobry bardzo i przyjacielski.

W Marchienne-au-Pont (Docherie) założyli zakonnicy Aumôniers du travail szkołę sztygarską. Celem jej jest kształcić werkmajstrów i sztygarów pod względem zawodowym i w duchu religijnym. Szkoła ta łączy wykształcenie teoretyczne z pracą praktyczną w kopalni. Z zarobku w kopalni pokrywa każdy uczeń koszta utrzymania i nauki. Nauka trwa 3 lata.

Ciekawa jest organizacya kamieniarskich warsztatów terminatorskich w Écaussines, przytykających zwyczajnie do kamieniołomów. Zarząd ich spoczywa w ręku komitetu a warsztatom przewodzą kierownicy, którzy zajęci są wyłącznie tylko wychowaniem uczniów. Nauka trwa 3 lata, uczniów przyjmuje się po skończonym 12 roku. Wieczorem odbywają się kursy rysunków od 6½—8½ g. Po ukończonej nauce uczniowie otrzymują świadectwo uzdolnienia. Właściciele kamieniołomów nie zatrudniają uczniów poza warsztatem i dają pierwszeństwo robotnikom, którzy odbyli naukę terminatorską w warsztatach.

Każdy uczeń otrzymuje książeczkę, w której zapisuje się

zarobek dzienny i wszelkie nagrody. Książeczkę tę winien każdy uczeń przedłożyć co miesiąc rodzicom.

Uczniowie otrzymują wynagrodzenie według taryfy, obowiązującej w kamieniołomach. W pierwszych zaś miesiącach, gdy praca ich jeszcze żadnej nie przedstawia wartości otrzymują premie, malejące w miarę rosnącego zarobku za regularne uczęszczanie do warsztatu. Przeciętny zarobek ucznia w ciągu trzech lat wynosi 1.100 fr., który dochodzi niekiedy do 1700 fr.

W roku 1907 było w Belgii 25 terminatorskich warsztatów kamieniarskich, w których kształciło się 688 uczniów pod kierunkiem 40 profesorów. Dyplomów uzdolnienia wydano 101.

Przeciwko zbiorowej nauce warsztatowej powstają robotnicy, którzy sami chcą kierować wykształceniem dzieci swoich. Dziecko trzeba nietylko kształcić pod względem fachowym, mówią, ale i wychowywać. W środowisku zaś warsztatowem prawie zawsze panuje atmosfera demoralizacyjna. Przemysłowcy natomiast obstają za wykształceniem warsztatowem.

W Charleroi grupuje się około muzeum przemysłowego szereg warsztatów terminatorskich: pracownia ślusarska, drukarska, piekarska, elektryczna, pracownia dla wyrobów z ołowiu i cynku, konfekcya ubrań, pracownia dla modelowania i odlewania.

Kursy piekarskie, które zaprowadzono w roku 1904, rozpadają się na ćwiczenia praktyczne i lekcye teoretyczne. Uczniów przyjmuje się po skończonym 15 roku i 3-miesięcznej praktyce.

W warsztatach szewskich w Charleroi nauka trwa 3 lata z rocznymi egzaminami i jest bezpłatna. Uczniów przyjmuje się po skończonym 14 roku. Uzyskanie dyplomu zależne jest od wykonania próbnej roboty. Uczniowie otrzymują wynagrodzenie za swoją robotę po potrąceniu 10% w pierwszym roku, a 5% i 3% w 2 i 3 roku nauki. Procent ten idzie na premie dla uczniów pilnych i przykładnych. Jako premie otrzymują uczniowie książeczki oszczędnościowe lub ubezpieczeniowe albo przybory rzemieślnicze.

Wielu obcokrajowców, mówi zasłużony inspektor szkolnictwa przemysłowego Arendt, zwiedza zawodowe szkoły nasze

i krytyczne pochwały ich są dla nas dowodem, że zawodowe szkolnictwo w Belgii zarówno dla robotników jak dla werkmajstrów jest wybornie zorganizowane. Zapewne, a jednak co dotąd uczyniono, należy uważać za dobry początek tylko. W dziedzinie wykształcenia przemysłowego jeszcze dużo jest do zrobienia. Trzeba iść wciąż naprzód na drodze ulepszeń, żeby odpowiedzieć wymaganiom czasu i przemysłu.

W zawodowem szkolnictwie belgijskiem rzuca się w oczy przedewszystkiem brak jednolitego kierownictwa. „Potrzeba nam pracy więcej prawidłowej, więcej systematycznej, jak się ks. Vermeersch wyraża. Nie idzie tu o centralizacyę państwową, tłumiącą rozwój życia, fatalną dla inicyatywy prywatnej zarówno jak dla wolności, ale o wskazania, o radę, o zachętę, których skąpić nie należy czynnikom, powołanym do zgodnej współpracy".

Szkoły przemysłowe, same sobie zostawione, snadno się przerzucają na małoużyteczne wykłady teoretyczne albo też przeobrażają się w rodzaj szkoły ludowej dla uczniów zacofanych. Praktyczne natomiast szkoły zawodowe zaniedbują stronę teoretyczną w wykształceniu uczniów. Zresztą „szkoły te, albo przynajmniej większość ich nie zamierza dać robotnikom wykształcenia wykończonego, ale raczej chce im wskazać tylko kierunek i drogę, ażeby przez ćwiczenia mogli się wykształcić i wyspecyalizować"[1].

Samo w końcu wykształcenie warsztatowe opiera się rzadko na nauce metodycznej. Chcąc tedy wykształcić zawodowo uzdolnionych robotników, trzeba ćwiczenia warsztatowe uzupełnić w szkole technicznej i na kursach uzupełniających pod względem teoretycznym.

W sprawie wykształcenia technicznego młodzieży zasługuje na uwagę szeroko pomyślany program narodowej komisyi dla spraw drobnego przemysłu *Comission nationale de la Petite Bourgeoisie*. Według programu komisyi tej należy pracę ręczną

[1] Vermeersch t. I. str. 461.

wprowadzić do szkoły ludowej tak, żeby uczniowie bezpośrednio mogli się przygotować do rozpoczęcia nauki zawodowej.

Szkolnictwo zaś zawodowe i przemysłowe należy zorganizować więcej metodycznie i hierarchicznie według wymagań organizacyi pracy. W pierwszym dziale czyli na stopniu najniższym program wykładowy ma być tylko streszczeniem programu szkoły ludowej, skierowanego ku życiu praktycznemu. W drugim dziale nauka zmierzać powinna do tego, żeby dobrze wykształcić robotnika przemysłowego. W trzecim dziale mają się kształcić przyszli kierownicy przedsiębiorstw handlowych lub przemysłowych.

Organizacye zawodowe mają wypracować program w tym kierunku z uwzględnieniem zbytu wyrobów. Obok szkół zawodowych poleca komisya kształcenie terminatorów w warsztacie majstra.

Wreszcie, ażeby podnieść wykształcenie rzemieślnika, wygotowała komisya szczegółowy plan szkoły uzupełniającej.

Typ niemal idealny wykształcenia warsztatowego terminatora w połączeniu z kursami uzupełniającymi szkoły przedstawiają szkoły zawodowe św. Łukasza.

Szkoły te jak wszystkie prawie wielkie instytucye socyalne miały początek skromny bardzo. „W roku 1862 — czytamy w sprawozdaniu rządowem — pod opieką towarzystwa św. Wincentego à Paulo zapoczątkowano w Gandawie skromny kurs rysunków dla młodocianych robotników. Kurs ten, prowadzony przez p. Dullaert'a rozrósł się zwolna za przyczyną barona Bethune i hr. de Hemptinne w instytucyę dość rozległą i szereg kursów pod nazwą *Ecole Saint-Luc*.

Kierownictwo szkoły powierzono Braciom szkolnym *Frères des écoles chrétiennes*, którzy ułożyli program i zorganizowali naukę. Zasługa to braci Marés i Mateusza, którzy dziś jeszcze po pół wieku z okładem stoją na czele instytucyi, jeden jako inspektor generalny wszystkich szkół św. Łukasza w Belgii, a drugi jako dyrektor szkoły w Gandawie.

Zrazu sprawa szła twardo, ale zwolna żadną przeciwnością niezachwiane zabiegi i poświęcenie organizatorów piękne przy-

nosić poczęły owoce. Światłym i zapalonym protektorem szkoły był baron Bethune. Gdy w pierwszych początkach szkoły braciszek-profesor zwrócił się do swego protektora o wskazania i pomoc, bo szkoła nie miała jeszcze ani gotowego programu, ani jasno określonego celu, ani zapewnionych warunków rozwoju, otrzymał w odpowiedzi książkę p. t.: *Fra Angelico et son oeuvre*. I książka ta stała się dla sprawy rodzajem objawienia. Ona w duszy zakonnika-artysty zapaliła ideał sztuki religijnej i popchnęła go pod tchnieniem geniuszu ostatniego, wielkiego przedstawiciela średniowiecza do twórczej pracy organizacyjnej i wychowawczej.

W kilka lat później pierwotna i skromna szkoła rysunków i budownictwa stała się kwitnącą instytucyą architektury średniowiecznej i sztuki stosowanej. Dziś szkoła w Gandawie liczy przeszło 700 uczniów. Na szkole gandawskiej poczęły się wzorować i organizować podobne szkoły w Tournai, w Brukseli (Schaerbeck, Molembeck, Saint-Gilles), w Leodyum i Mons. Wszystkie razem liczą obecnie przeszło 3.000 uczniów i stały się wszędzie, jak się wyraża sprawozdanie rządowe, „żywotnemi ogniskami sztuki stosowanej".

Obecnie, mówi poseł Carton de Wiart, szkoły św. Łukasza już przebyły próbę ogniową doświadczenia. „Rzeczoznawcy najkompetentniejsi przyznają, że szkoły te zbudziły z letargu i wskrzesiły nasze szkolnictwo przemysłu artystycznego, który poprostu zamierał w szablonie rutyny akademickiej".

Elita zaś uczniów szkół św. Łukasza około 2.000 zajmuje dziś już zaszczytne posady po różnych warsztatach i szkołach i przedsiębiorstwach lub samodzielne zajmuje stanowiska, albo własne prowadzi pracownie rzemieślnicze i artystyczne.

Wpływ szkół tych widoczny jest też w budownictwie, które w ciągu ostatnich lat dziesiątek po różnych miastach cały szereg monumentalnych stworzyło gmachów i budowli, jak n. p. w Gandawie poczta i most monumentalny, w Bruges hospicyum, w Koekelbery-Brukseli narodowa bazylika i t. d. „Z prostego i swojskiego materyału budowlanego — przyznaje jeden z przywódców socyalistycznych w Izbie posłów — uczniowie szkół

św. Łukasza umieją bez kosztów wielkich stworzyć dzieła artystyczne".

Jaki jest cel szkół tych i program i organizacya?

Celem głównym szkół św. Łukasza, które przedstawiają typ niemal idealny szkół zawodowych, jest według sprawozdania rządowego „dopomagać młodzieży, a w szczególności synom rzemieślników do należytego wykształcenia się w kierunku teoretycznym i praktycznym i zdobycia sobie zaszczytnego miejsca w różnych zawodach sztuki budowlanej i stosowanej. A więc w szkołach tych kształcą się na przedsiębiorców robót publicznych i uczą się architektury, stolarstwa, ciesielstwa, stolarstwa artystycznego, rzeźby w drzewie i kamieniu, ślusarstwa, różnego rodzaju malarstwa, hafciarstwa, rytownictwa, złotnictwa i t. d.

„Ongi, liczne arcydzieła sztuki flamandzkiej: ratusze, wieże strażnicze, hale towarowe, zamki i różne monumenty, które dziś jeszcze wzbudzają słuszny nasz podziw, zostały wzniesione przez rzemieślników zdolnych i zapalonych do strony artystycznej swego rzemiosła. Otóż szkoły św. Łukasza usiłują przywrócić chwałę dawnym artystom, kierującym się podniosłemi uczuciami i wskrzesić w kamieniu, cegle, żelazie i drzewie idee, dążności i upodobania estetyczne naszych praojców" [1].

Szkoły więc św. Łukasza obok celu, właściwego wszystkim innym szkołom zawodowym, postawiły sobie za zadanie pracować nad rozwojem przemysłu artystycznego i wskrzeszeniem dawnych narodowych tradycyi artystycznych i wykształceniem elity wśród robotników przemysłowych.

Program ich zamknąć się da w kilku słowach i hasłach: napowrót do średniowiecza, wznowić znowu estetykę średniowiecza i jej głębokie poczucie realizmu i jej ideały religijne — oto nowa droga i cel wielki naszej sztuki w dobie obecnej.

Obecna architektura i sztuka stosowana to nie rodzimy wytwór naszego geniuszu narodowego, ale raczej wyrób impor-

[1] *L'Enseignement industriel et professionnel en Belgique.* Bruxelles 1897, str. 143.

towany. Sztuka żywotna ciągnie soki życiodajne tylko z narodu i ziemi, gdzie ujrzała światło dzienne. Inna sztuka wyrosła pod niebem Helady, a inna na glebie flandryjskiej, inna dusza jest Grecyi a inna naszych miast kwitnących średniowiecza. To też chcąc pracować nad rozwojem sztuki narodowej, trzeba przedewszystkiem wskrzesić duszę średniowiecza i zwrócić się do studyum sztuki średniowiecza.

I dlatego szkoła św. Łukasza buduje na zabytkach sztuki średniowiecza. A we Flandryi takie bogactwo arcydzieł tej sztuki począwszy od katedr i ratuszów i domów cechowych, aż do kościelnych i domowych sprzętów i wyrobów sztuki stosowanej, cała Flandrya to jedno muzeum olbrzymie i przebogate sztuki średniowiecza. A więc studyować te katedry i zamki i gmachy i witraże i monstrancye i cyborya i rzeźby i meble i kominki i kute wyroby żelazne i fajanse i wyroby ceramiczne, bo to arcydzieła sztuki rodzimej i naszych mistrzów narodowych *maîtres nationaux*, którzy rozumieli doskonale duszę ziemi i swego narodu i z genialną intuicyą swoje pomysły artystyczne przyoblekali we formy, przypadające do miary tej ziemi i nieba i słońca.

W rozumieniu średniowiecza sztuka to jakby organizm rozległy, jedną ożywiony duszą, ogarniający wszystkie dziedziny od smętnych katedr i bogatych domów cechowych aż do mebli i najdrobniejszych przedmiotów codziennych potrzeb.

W rozumieniu średniowiecza sztuka ściśle łączy się z rzemiosłem, ona niczem innem nie jest jak myślą praktyczną, zrealizowaną w sposób najdoskonalszy. W rozumieniu średniowiecza piękno niczem innem nie jest, jak rozczłonkowaniem i roztoczeniem harmonijnem i uporządkowanem form użytecznych przedmiotu jakiegoś albo monumentu.

Dlatego też podówczas każdy rzemieślnik był artystą, a każdy artysta rzemieślnikiem, który znał na wylot naturę i właściwości materyału i swoich narzędzi warsztatowych.

Dlatego też sztuka średniowieczna wraz z sztuką stosowaną tworzyła jakby odrębne królestwo hierarchicznie uporządko-

wane, w którem architektura dominowała wszystkim innym sztukom.

W sztuce średniowiecznej góruje przedewszystkiem technika i wyciska charakterystyczne swe piętno na każdem dziele sztuki. Ona domaga się, by każde dzieło sztuki ściśle odpowiadało celowi, by właściwości materyału umiejętnie zostały zużyte i wyzyskane, ona jest podstawą i rdzeniem i duszą architektury i wogóle sztuki średniowiecza.

I dlatego też szkoła św. Łukasza, idąc śladem wielkiej sztuki średniowiecza — jak tłómaczy brat Marès, założyciel i inspektor generalny szkół tych — od samego początku wzięła rozbrat z metodami obecnie używanemi w wykształceniu artystycznem. W naszych szkołach studyum formy, mówi on, zostało usunięte na drugi plan. U nas na pierwszym planie studyum materyału i narzędzi właściwych w danem rzemiośle. A pod tym względem „sztuka gotycka, która jest *par excellence* racyonalistyczna, doskonałą stanowi podstawę do studyum innych stylów".

Nie idzie tu o naśladownictwo tylko stylu gotyckiego, o kopiowanie niewolnicze form gotyckich, ale o wskrzeszenie dawnej metody i ducha średniowiecza.

Duch zaś średniowiecza i jego metoda polega na przyswojeniu sobie techniki dawnych mistrzów, którzy panowali nad materyałem i nigdy nie gwałcili go w sposób partacki.

Duch średniowiecza polega na twórczych siłach, płynących z wiary, która jest skarbnicą niewyczerpaną wielkich ideałów i wielkich myśli. Naśladownictwo ma się ograniczać tylko do tego, co stanowi nieporównaną wartość tych dzieł t. j. do nadania wszystkim wyrobom i dziełom cechy indywidualnej i do zrozumienia głębokiego tej epoki i jej sił twórczych.

Oto w ogólnych zarysach program wykształcenia artystycznego szkół św. Łukasza, „zastosowany do potrzeb obecnych czasów i liczący się z dzisiejszymi wymaganiami komfortu i postępem dzisiejszym".

Program nauk rozpada się na nauki teoretyczne i rysunki i pracę warsztatową. Nauka odbywa się za dnia i wieczorem. Pracę warsztatową prowadzą majstrowie, werkmajstrowie i dawni

uczniowie, którzy co do myśli przewodnich i programu i metody ciągłą i żywotną utrzymują łączność ze szkołą.

Najprzód uczeń kończy kurs przygotowawczy, który trwa rok cały. Następnie idą studya i analizy autorów, które trwają trzy lata, i ćwiczenia w kompozycyi i ćwiczenia praktyczne, które trwają przez 4 lata.

Uczniów przyjmuje się od 13 roku począwszy.

Po skończonym kursie przygotowawczym rozszczepia się szkoła na dwie sekcye: budowlaną i łączące się z nią zawody i sekcyę sztuki stosowanej.

W pierwszym dziale zajmują się uczniowie materyałem budowlanym i nauką konstrukcyjną, wygotowaniem szkiców detailicznych i planów, analizą budowli istniejących.

Po skończonej nauce uczeń zrozumie i wytłómaczy każdy projekt konstrukcyjny, zanalizuje i dokładnie oznaczy wszystkie szczegóły praktyczne i zdoła pokierować całą budową.

Ogół uczniów też na tem poprzestaje i po skończonych kursach ubiega się o dyplom uzdolnienia. Uczniowie zaś zdolniejsi kończą jeszcze kurs kompozycyjny.

Na kursie tym wykłada się o budownictwie publicznem, prywatnem i przemysłowem, o umeblowaniu, o materyale budowlanym naturalnym i sztucznym, o wytrzymałości materyałów i ich użyciu, o hygienie w budownictwie i t. d. i t. d.

Na kursy sekcyi tej uczęszczają architekci, przedsiębiorcy i kierownicy robót publicznych, kamieniarze, cieśle, stolarze, metalowcy i t. d.

Program trzech pierwszych lat w drugiej sekcyi sztuki stosowanej obejmuje studyum rysunków geometrycznych, flory, fauny i postaci ludzkiej w różnych zastosowaniach praktycznych rzemiosł; nadto analizę dzieł typowych głównych epok z historyi sztuki, różne metody i technikę rzemiosł, reguły kompozycyi, zasady stylu odpowiednio do sprzętów, do materyału i przeznaczenia dzieł.

W czwartym roku uczniowie rozpadają się na dwie grupy:

Jedni malują i rysują desenie dla tkanin, haftów, koronek, tapet, malują na szkle, zajmują się rytownictwem, typografią, mozaiką, ceramiką, introligatorstwem i t. d.

Inni zajmują się rzeźbą dekoracyjną, rzeźbiarstwem, modelowaniem, odlewaniem, ornamentacyą, złotnictwem, jubilerstwem, bronzownictwem i t. d.

Program kursów dwu tych grup obejmuje: prawo zwyczajowe, kompozycyę dekoracyjną, ikonografię, stolarstwo artystyczne, naukę o kostyumach i o rzemiosłach wogóle. Wykłady teoretyczne odbywają się na oko i z demonstracyami za pomocą modelów i materyału dydaktycznego, w które zwykle bogato jest zaopatrzone szkolne muzeum techniczne.

Dużo ważniejsza od wykształcenia teoretycznego jest oczywiście nauka warsztatowa uczniów. W średnich wiekach uczeń kształcił się pod okiem i kontrolą majstra i cechu, a każdej pracy warsztatowej w obrębie cechu przyświecały wielkie ideały religijne i szlachetne współzawodnictwo miast i cechów.

Szkoły św. Łukasza, które postawiły sobie za zadanie wskrzesić ideały i pracę twórczą średniowiecza, gdzie kształcą uczniów swoich?

Po warsztatach dawnych uczniów swoich. Oni to przyjmują uczniów do swoich warsztatów na naukę, kształcą ich, zaznajamiają z rękoczynami rzemiosła i wprowadzają ich w świat twórczej pracy średniowiecza. Ożywczy zaś zapał i ogólna oryentacya i żywotne wskazanie i idee, słowem to, co stanowi duszę twórczej pracy idzie ze szkoły, w której się ogniskuje i z której wypływa wszelki ruch artystyczny i intelektualny całej kolonii rzemieślniczo-artystycznej.

Tej metody trzymają się wszystkie szkoły św. Łukasza z wyjątkiem jednej tylko szkoły w Tournai, gdzie z powodu specyalnych warunków lokalnych warsztaty mieszczą się w obrębie gmachu szkolnego. I to stanowi ich cechę oryginalną i stąd płyną duże korzyści dla pracy warsztatowej i wielkiej i żywej tradycyi szkoły.

Ten sam duch bowiem ożywia ucznia i majstra, który w ciągłej łączności żywotnej ze szkołą z ucznia przedzieżgnąwszy się w nauczyciela siłą rzeczy iść musi z rozwojem szkoły — nad każdym zaś warsztatem, nad szkołą całą i kolonią unosi się

wielka tradycya dawnych cechów, kwitnących dobrobytem i chwałą i religijnością średniowiecza.

Nad rozwojem całej instytucyi czuwa komitet, złożony z ludzi nauki i sztuki, a przedewszystkiem gorącej wiary, którym leży na sercu rozwój przemysłu artystycznego i podniesienie rzemiosł w duchu tradycyi narodowych i wiary średniowiecza. W ręku ich spoczywa cała administracya instytucyi, oni w porozumieniu z dyrektorami szkoły mianują profesorów, układają programy.

Dawni zaś uczniowie, ażeby podtrzymywać twórczy zapał i pielęgnować wielkie ideały braterstwa i sztuki, łączą się w stowarzyszenia, przypominające średniowieczne cechy na pół rzemieślnicze na pół artystyczne w wielkich ogniskach średniowiecznej kultury i sztuki.

Gilda n. p. św. Łukasza i św. Józefa w Gandawie postawiła sobie za hasło: *Un coeur, une âme.*

Celem jej jest:

1. Podtrzymywać i pomnażać stosunki braterskie pomiędzy uczniami aktualnymi i dawnymi szkoły św. Łukasza, dostarczając jednym i drugim środków do podtrzymywania i rozszerzenia swego wykształcenia teoretycznego.

2. Pracować nad podniesieniem rzemiósł przez rozwijanie zmysłu artystycznego.

3. Wzajemnie się wspomagać i popierać w materyalnych i duchowych potrzebach.

4. Przyczyniać się do podtrzymywania szkoły św. Łukasza i do rozszerzania jej zasad artystycznych (art. I).

W skład gildy wchodzą najprzód uczniowie dawni i aktualni, którzy „uczęszczali na kursy szkolne z dobrym skutkiem" (art. VI, 2). Są to członkowie w szerszem znaczeniu t. zw. *associés.*

Skoro zaś kandydat zdobył sobie w ciągu trzechletnich studyów swoich w kompozycyi jakieś wyszczególnienie, ma prawo do tytułu *membre confrère* (art. V).

Nadto gdy prosty członek *associé* stworzy jakieś dzieło wybitne, zostaje również zaliczony do grona ściślejszych członków *membres confrères.*

Census ten artystyczny, na którym opiera się ustrój gildy, okazał się żywotną sprężyną ruchu artystycznego i intelektualnego i ciągłego postępu w łonie stowarzyszenia.

Nad podtrzymywaniem zresztą ruchu i życia intelektualnego czuwa sekcya studyów, organizująca konferencye i wycieczki artystyczne (art. XXXV).

Spójnią zaś najsilniejszą i fundamentem nieporuszonym całej organizacyi jest duch i życie religijne członków. Jak prastare cechy gilda opiera się i buduje na twardym gruncie Kościoła.

Chcąc być członkiem gildy, trzeba być z przekonania katolikiem i to praktykującym (art. II).

Gilda ma swego kapelana Prévôt (art. XXV).

Walne zebrania gildy rozpoczynają się „śpiewaną mszą św. za spokój dusz zmarłych członków i za powodzenie gildy". (art. XXVI).

W procesyach i pogrzebach członków biorą członkowie gremialnie udział (art. XXVIII, XXVII).

I duch ten i żywe praktyki religijne stanowią jej moc niespożytą i są zadatkiem żywotnego renesansu wielkiej i nowej sztuki religijnej we Flandryi.

Ks Leonard Lipke.

Papport général sur la situation et l'Enseignement technique en Belgique par M. Francolle. 2 vol. Bruxelles 1903.

Écoler Saint-Lus par J. Helbig w sprawozdaniu z Kongresu kat. w Leodyum „*Congrès des Oeuvres Sociales à Liège*" r. 1886.

L'Enseiguement Professionnel Artistique dans les Écoles Saint-Lus par J. Dassonville w *L'Action Populaire*. Paris, Victor Lecofre 1912 Nr. 239.

Baron Bethune par Geoffroy de Grandmaison w *Le Correspondant*, 10 sept. 1907 r.

Religijny moment w belletrystyce naszej.

Religijny moment w naszej belletrystyce? Ależ on wcale nie istnieje! jak mówić o tem czego niema?

To pierwsza odruchowa refleksya nasuwająca się każdemu, kto ma przed oczyma mętne fale powieści naszej, a usłyszy podobnie sformułowany temat. Religijnego momentu trudno się w niej istotnie dopatrzeć, ale mię to nie zniechęca do mówienia właśnie na ten temat.

Wiem, że ani Żeromski ani Tetmajer, ani Daniłowski żadnej pretensyi nie mają, aby w ich dziełach ten właśnie pierwiastek czytelnicy odnaleźli, z belletrystów naszych zaledwie kilku przypomniałoby sobie utwór, gdzieby moment ten intencyonalnie w grę wchodził, a jednak twierdzę, że niema autora, a więc niema i dzieła, któreby świadomie czy nie z momentem tym nie było związane i w jakimkolwiek stosunku z nim nie pozostawało.

Wszechobecność Boża nie tyczy się tylko miejsca materyalnego — tyczy się ona i dziedziny moralnej. Niema myśli i słowa ludzkiego, któreby nie w Jego świętej i sądzącej świętością swoją obecności wypowiedziane były, niema więc faktu w całokształcie życia, niema myśli lub słowa, któreby w jakimkolwiek stosunku z nim nie pozostawały. Nas chrześcijan przyucza do tego rachunek sumienia, obejmujący całokształt naszego życia.

Na zasadzie więc jakiej dziwnej logiki usunęliśmy od wszechobecności Boga dziedzinę sztuki, tak wielkie dziś miejsce

w życiu zajmującą? Na zasadzie jakiej dziwnej logiki usunęliśmy, my, wierzący nawet, słowo pisane z przed oblicza wszechobecności Jego, z pod ingerencyi Jego, z pod odpowiedzialności przed Nim?

To zignorowanie więc absolutne momentu religijnego przez belletrystykę naszą, to nieliczenie się z nim jest właśnie ważnym i znamiennym religijnym momentem i pozostanie nim, dopóki wszechobecność i wszechingerencya Boża istnieć będzie t. j. na zawsze.

Ignorowanie momentu tego nie jest wykreśleniem go, wyzwoleniem się od Boga — owszem mimo wiedzy i woli autorów jestto ciągły z nim stosunek, stosunek niesprawiedliwości, buntu. Człowiek każdy jest i pozostaje mimo wszystko Jego stworzeniem, a więc związanym prawem Jego. — Zresztą w życiu każdego człowieka przychodzą chwile uświadomienia zależności swojej, zetknięcia z momentem religijnym i reakcya: cześć, miłość, wewnętrzne oddanie się, albo bunt i nienawiść.

Co wynikło z tego zignorowania idei Bożej w literaturze naszej? zanik duszy ludzkiej. Mamy w powieści naszej dzieje wyobraźni i nerwów, dzieje namiętności i dzieje grzechu — dziejów duszy nie mamy. Mówić chcę o duszy nieśmiertelnej, która się budzi i objawia pod tchnieniem wieczności, karmi się prawdą, kocha to, co niewidzialne i wieczne jak ona. Ta dusza w literaturze naszej umarła. Za miłością wieczną, za miłością Boga powoli zaczynają umierać uczucia szersze, przyrodzone: miłość ojczyzny, miłość rodziny, miłość człowieka: pozostaje z nich tylko to, co negatywne: nienawiść, urąganie, ironia. Zmysł spostrzegawczy, staje się zmysłem podstrzegawczym. Z miłości pozostała tylko jedna odmiana najciaśniejsza, najbardziej egoistyczna. Ta miłość zapanowała wszechwładnie, posiadła włość każdej innej miłości — a jaki jej poziom? Porównajmy literaturę naszą pod tym względem z literaturą z przed pięćdziesięciu choćby lat.

Człowiek odrzucił Boga i oto kolejno gasną wszystkie światła Bogiem zapalone, wszystko ku czemu musiał oczy podniesione trzymać. Cześć, adoracya, ten kwiat przeczysty duszy ludzkiej

umarł. Za czcią dla Boga umarła cześć dla współczłowieka; jedyna miłość, która mu została, to miłość bez czci, miłość tego co poniżej jego, miłość zmysłowa, bez szacunku — depcząca i kopiąca przedmiot swój. Został egoizm moloch, walka o byt i walka o rozkosz, robi się ciemno i straszno.

Literatura nasza to świat instynktów. Ktoby z nas poza lekturą, bo tę, jak wspomniałam, postawiliśmy na wyjątkowych jakichś prawach, ktoby się z nas poważył zatrzymywać nad obrazami, które nam książka dzisiejsza przed oczy ciska? Kto z nas z czystem sumieniem poważy się do dna odczuć to, co się tam mówi? A pamiętajmy, że jeśli my potrafimy się nawet prześliznąć, biorąc tylko artystyczne użycie, to tłumy nieuświadomionych piją tę czarę do dna ze wszystkimi mętami, im gorętsza czara tem lepiej.

Ażeby książkę taką żądz i instynktów rozumieć, aby upodobanie w niej znaleść, trzeba się na tym samym poziomie postawić, trzeba się wżyć w osoby działające. Nietylko autor dla czytelnika dzieło tworzy — żeby z dzieła skorzystać, żeby dzieło odczuć, musi czytelnik współtworzyć ze swoich nerwów, ze swojej wyobraźni, ze zmysłów swoich. Książka niemoralna tylko wtedy powodzenie ma, gdy demoralizuje, gdyż autor, by być zrozumiany, musi audytoryum swoje uczynić podobnem swoim bohaterom, że zaś zrozumianym jest, więc, że mu się porozumienie między bohaterami a audytoryum udaje, świadczą coraz nowe wydania dzieł najjaskrawszych, najbezwstydniejszych, świadczą też coraz nowe szeregi autorów zapisujących się pod znak „szczerej“ sztuki.

A my co na to? my chrześcijanie?! Co na to krytyka chrześcijańska, głos czytelnika uświadomionego? boć przecie chrześcian piszących krytyki jeszcze mamy.

My mówimy: „Nie o to nam idzie, co autor pisze, ale o to, jak pisze“ i dzieło chwalimy bez zastrzeżeń. Mówimy: „Trudno wymagać, by autorzy dla dzieci pisali“, ale czy tylko dzieci do czystości myśli obowiązane? Mówimy pozatem, że na nas zło wrażenia żadnego nie robi, a granice zła usuwamy bardzo daleko i coraz dalej. Nie zastanowimy się jednak, czy ta nasza

invulnérabilité nie jest przypadkiem oswojeniem się ze złem, zcynizowaniem wyobraźni naszej?

Czy nie uznajemy przynajmniej wszyscy, że literatura ta szkodzi młodszym sferom, że oswaja ze złem, że kala wyobraźnię, znieprawia serce? To uznajemy, ale nas to nic nie obchodzi. To jest wzgląd, któryby wstydziła się wziąść pod uwagę poważniejsza krytyka literacka, któregoby się wstydziła każda jednostka kulturalna, mająca pretensyę do rozumienia sztuki. Ale pytam, czy zdołalibyśmy w imię sztuki przypatrywać się spokojnie zabójstwu fizycznemu, czy doprawdy i w tym razie zdobylibyśmy się na słowa: „Azalim ja stróżem mego brata?"

Zasada, którą się wojuje za bezkarnością i bezkrytycznością etyczną literatury jest: Objektywne przedstawienie prawdy — tendencyjność niszczy artyzm.

Jeśli tendencya umyślnie postawiona, jeśli nie wypływa z organizacyi jednostki która patrzy, ale jest narzucona zewnętrznie, samowolnie przez autora, to z pewnością. Myślę jednak, że niema autora, któryby tendencyi nie miał własnej, niema głębszego dzieła bez tendencyi, jak niema czynu, któryby fatalistycznie, świadomie czy nie, celowości w sobie nie niósł. Wyrzeczenie się przez piszącego tendencyi byłoby wyrzeczeniem się głębszego spojrzenia, wyrzeczeniem się duszy dzieła, wyrzeczeniem się nastroju. Autor aparatem fotograficznym nie jest i nie może to być ambicyą żadnego artysty. Artyzm polega esencyonalnie na indywidualnem spojrzeniu na rzecz. Gdy dana rzecz przedstawia mu się piękną, tendencyą jego będzie przedstawić piękno tej rzeczy — gdy przedstawia mu się śmieszną, tendencyą jego będzie uplastycznić jej śmieszność lub nienawistność, wywołać ten i ten nastrój, te i te uczucia u czytelnika. Miłość lub nienawiść przejawiająca się w dziele i pociągająca za sobą czytelnika, to tendencya. Autor bez tendencyi, to człowiek bez miłości i nienawiści, a niezdolność miłości i nienawiści, to nie bogactwo duszy, ale jej wyjałowienie. Jakość zaś duszy, stąd reagowanie jej na prawdę i grzech, jest powodem, że w tę stronę

zwraca się jego miłość, a w tę nienawiść, w tę stronę drwiny i urąganie.

Więcej powiem — myślę, że się nie omylę twierdząc, że nietylko autor z talentem rzetelnym nie dokaże tego, by rzecz daną zupełnie bezosobiście, beztendencyjnie, bez miłości czy nienawiści wewnętrznej przedstawić, ale, że ta miłość lub nienawiść, idea, jest pierwszym motorem danego dzieła, że ona to rozgląda się więcej lub mniej świadomie za faktami lub postaciami, któremiby odpowiednio wypowiedzieć się, w któreby się wcielić mogła.

Plastyka wymaga objektywności pewnej, przedstawienia faktów, jakimi są — ale dobór ich, zgrupowanie, oświetlenie będzie takiem, jaką była miłość autora. Dlaczego n. p. Mereżkowski w dziele swojem *Leonardo da Vinci*, nie mówiąc o innych, na bohaterów wiary wybiera zawsze hypokrytów, kretynów czy epileptyków? Czy za czasów Leonarda nie było świętych? Czy nie było mędrców chrześcijańskich? Owszem, ale dusza autora głęboko nienawidzi wiary skrystalizowanej w instytucyi Kościoła, jako afirmacyi rzeczowej porządku nadprzyrodzonego. Co jak nie tendencya kazała mu wybrać te właśnie czasy zepsucia strasznego w Kościele, które z takim przepychem barw, z takim splendorem maluje? — Typ Leonarda szlachetny, to jedno jeszcze potępienie instytucyi i wierzeń Kościoła urzędowego. Gdyby autor jaki, malując tę samą epokę, przeciwstawił fali zepsucia bohatera chrześcijanina t. j. świętego — gdyby postać Savonaroli inaczej wyzyskał, wtedy uważalibyśmy powieść za tendencyjną. Bo nas literatura naturalistyczna, ta, która uchodzi za beztendencyjną, tendencyą swoją styranizowała tak, że książka mówiąca o tem co szlachetne w człowieku jest tendencyjną, mówiąca o złem i nizkiem jest pisana wedle prawdy: bez tendencyi.

A otóż ja właśnie tym panom, tak zwanym realistom, a właściwie materyalistom, stawiam zarzut braku realizmu, braku prawdy, najjaskrawszej tendencyi.

Czyż naprawdę bowiem, jak to nam powieść nasza współ-

czesna przedstawia, społeczeństwo nasze składa się z samych upadłych ludzi? Czyż upadek ludzki, nie już wyjątkowo niskich istot, ale ogółu typów tak beznadziejny, że echo odpowiedzialności zupełnie zamilkło? Boć nietylko nadprzyrodzony pierwiastek w nas, ale uczciwość ludzka w nas oburzać się musi, protestować, odczuwać niesmak po niskim czynie popełnionym, — żadne echo takie nie dochodzi nas, choć powieść nasza przeważnie o czynach niskich mówi.

Powieść nasza typami swymi tak swobodnie i bez troski obracającymi się w poniżeniu i znikczemnieniu, chce nam dowieść, że nawet przeciętnie uczciwych ludzi między nami niema, więc powieść nasza kłamie.

Powieść nasza dowieść chce, że świat zmysłów jest światem jedynie właściwym dla człowieka. Podaje nam ona dokumenta ludzkie z tych krańców, na których człowieczeństwo styka się z bezrozumenm stworzeniem.

Chrześcijaństwo przechowało dokumenta ludzkie inne, dokumenta z tych krańców, gdzie człowieczeństwo podniesione miłościwą łaską Bożą dotyka świata Bożego. Wejdźmy w atmosferę tę, zapoznajmy się z dostojnem obliczem, jakiem patrzy na nas człowieczeństwo z postaci świętych, człowieczeństwo w nimbie łaski Bożej — zaczerpnijmy oddechem powietrza przeczystego szczytów, powietrza prześwietlonego słońcem obecności bożej, a potem spojrzmy na powieść naszą, wtedy ukaże się nam ona wprost ohydną, jak ohydną byłaby nam atmosfera izby karczemnej po powietrzu czystem, świeżego, słonecznego ranka.

Wtedy odczujemy całe poniżenie, którem urąga człowiekowi powieść współczesna. Odczujemy, jak bezczelnie tendencyjną jest, pokazując tę jedną najniższą stronę człowieczeństwa, stronę zmysłową chorobliwie wybujałą, twierdząc, że maluje człowieka całego, istotę człowieczeństwa.

„Ale autor musi być szczerym, to pierwsze wymaganie artyzmu! pierwszy warunek sztuki". Naturalnie — tylko kwestya w tem, że autor powinien być sam takim, jakim wymagać mamy prawo, aby sztuka jego była.

Winą jego nie jest, że przedstawia nam to, w czem ma upodobanie, ale właśnie to, że w tem upodobanie ma.

„Kiedyż on takim już jest, bo ma takie indywidualne zapatrywania".

Gdyby prawo boże, ten szkielet niewidzialny, na którym nietylko świat fizyczny, ale i świat moralny spoczywa, stał się nagle widzialnym, jak widzialnym będzie w dzień sądu i otrząsnął z siebie tyranizującą nas złudę, którą go doczesność pokrywa, gdzieby się podziały owe indywidualne przeciwne mu zapatrywania? Okazałyby się wprost śmieszne, chcąc sobie rościć prawo do dawania praw postępowania przeciw porządkowi bożemu. A ten szkielet prawa bożego, moment religijny, potężny a utajony, w każdej istocie moralnej jest — dziś jako prawo, jutro jako sędzia. Jest w każdym jej przejawie, w każdym jej czynie, uznany czy nie. Moment religijny jako prawo i jako sędzia jest więc i w literaturze naszej. Jako prawo i jako sędzia jest w duszy każdego, który pióro do ręki bierze, czy będzie to geniusz, czy talent skromnej miary, czy prawo to i sędziego uznaje on, czy odrzuca.

Wiara nasza różni się tem od innych wierzeń, że wiemy, iż prawda, która jej przedmiotem, to prawda jedyna istotna: niestworzona, bezwzględna, przedwieczna, niezależna od żadnego z nas, ale od której wszystko, co istnieje, zależy samym faktem istnienia, bo wszystko, co istnieje, przez nią stworzone. Jako stworzenie Jego rodzimy się synami bożymi wszyscy, wierzący czy nie, ze znakiem i obowiązkami synostwa tego, tak niezależnie od nas, jak niezależnym fakt przyjścia naszego na świat. A to jedynie zależy od nas, czy pójdziemy wedle praw drogą synostwa bożego ku wiecznemu światłu, czy też odejdziemy buntem w ciemności zewnętrzne. A nie jestto żadną szykaną Boga, lecz tak prostem prawem jak to, że zachodzi w ciemność ten, kto się od ogniska i światła oddala.

A to prawo i ten sąd tyczy się również tych, którzy zgorszenie szerzą jak i nas, jeśli zgorszenie to bezkrytycznie przyjmujemy, uznajemy jego prawo istnienia w imię sztuki i obo-

jętnie szerzyć mu się pozwalamy w książce złej: książce niszczącej moralność i religię.

Ale celu tego nie osiągniemy nigdy, jeśli przedewszystkiem nie uświadomimy sobie sami wewnętrznie, że książka zła bezwarunkowo nie ma prawa bytu, jeśli nie uświadomimy sobie tej tak prostej, zdawałoby się prawdy, że i wobec książki chrześcijaninem być musimy, jeśli uczciwym chrześcijaninem być chcemy.

Chrześcijaństwo bowiem, to nie suknia, którą wedle okoliczności nałożyć lub zdjąć możemy, ale chrześcijaństwo to stan. W naszych czasach więcej niż kiedy stan rycerski, stan, któryśmy nadto po dojściu do rozumu sami tylekroć przysięgą stwierdzali. Rycerza cześć w wierności jego, niema okoliczności, któraby tę wierność przełamać mogła bez naruszenia czci jego. Dziś w czasach intellektualizmu, na pole intellektualne walka się przeniosła, ale i dziś jak ongi na polu bitwy, rycerska cześć tylko pod jednym warunkiem ostać się może, — cześć rycerska, to wierność sztandarowi swemu.

Patrzyliśmy się, jak wygląda piśmiennictwo nasze o ile zignorowało Boga — zobaczmy teraz parę rysów z momentu religijnego, jakim się on wypowiada w naszej belletrystyce. Bo twierdzić nie możemy, że nie mówimy w niej o niczem co z religią wspólność ma. Jak więc o tem mówimy?

Mówimy po swojemu, nie dbając o charakter przedmiotu samego w sobie, nie dbając o prawdę istotną, jak dziś mówimy objektywną, bo tę my, indywidualiści, mamy w pogardzie, nawet więc i fakta kapitulować muszą przed prawdą naszą własną, przed prawdą subjektywną.

Weźmy parę przykładów: Kain od czasów Byrona zawsze jest tym bohaterem skrzywdzonym przez Boga, bohaterem uroku i mocy pełnym, tak samo jak i jego plemię, które w interpretacyi bardzo zdolnej poetki naszej panny Szadurskiej, przedstawicielem pierwiastku idealnego, wzniosłego — plemię zaś Seta słabe, płaskie, ciasne — poziome.

W biblii odnośny ustęp brzmi: „I rzekł Pan do niego:

Czemuś się rozgniewał i czemu spadła twarz twoja? Azali jeśli dobrze czynić będziesz, nie odniesiesz, a jeźli źle natychmiast we drzwiach grzech twój będzie. Lecz pod tobą będzie pożądliwość twoja, a ty nad nią panować będziesz. I rzekł Kain do Abla wynijdźmy na pole". A gdy byli na polu powstał Kain na brata swego i zabił go.

Podkreślić nadto trzeba, że w odpowiedzi swej ostatecznej Bogu, Kain nie grzeszy buntem, ale rozpaczą, zwątpieniem o miłosierdziu Jego. I rzekł Kain do Pana: „Większa jest niesprawiedliwość moja, niżbym miał odpuszczenia być godzien".

Podobnie się ma z wiecznie wracającą w belletrystyce rzekomą historyą miłosną Salomy odnośnie do Jana Chrzciciela, chociaż wzmianka w Piśmie świętem o tem, że Salome zasięga porady matki i wtedy dopiero prosi o głowę Świętego powinnaby uniemożliwić, taką interpretacyę, o ileby chodziło o oddanie treści tego zdarzenia.

Ale o to poetom nie chodzi, gdy czerpią z Pisma świętego — pociąga ich ono kolorytem i nastrojem zewnętrznym, pejzażem, szczegółami egzotycznymi, jakim epizodem dramatycznym. — Często tylko jako pretekst do wybuchu zmysłowego erotyzmu w nowej dekoracyi, bo przecie temat ten, tak starty użyciem, jakiejś innowacyi koniecznie wymaga. Natomiast nastrój głębszy, prawda wewnętrzna, dramat ten najwspanialszy, który między Bogiem a ludzkością przed oczami naszemi się roztacza, uchodzi ich odczuciu artystycznemu. Trzeba całość mieć w oczach, by go ujrzeć, trzeba płynąć rzeką wielką myśli Bożej, by do kraju tego dopłynąć, gdzie się rozgrywa owo święte misteryum — tem się różniące od wszelkich ludzkich pseudomisteryów operujących szychem fikcyi, że tam wszystko ma wagę rzetelną złota, prawdy najgłębszej, która przetrwa próbę czasu i wieczności.

Poeci nasi, uważając biblię za skarbnicę obrazów, czerpią z niej w mniejszych i większych kreacyach swoich, okrawując obrazy wedle upodobania, czasem tylko imię i otoczenie zostawiając, treść wyrzuciwszy. Nie przyjdzie im na myśl, że popełniają podobne barbarzyństwo, jakieby popełnił profan,

wykrawując z bezcennych arcydzieł szczegóły, któreby mu do gustu przypadły, układając z nich sceny własnej iwencyi, nie będąc w stanie ocenić całości obrazu, w której się odbiła myśl mistrza.

Zwróćmy tu jeszcze uwagę na tradycyę, która w ten sposób na przekór historyi powstaje. Tak było z Kainem, tak z historyą Salome podaną przez Sudermana w dramacie jego *Jan Chrzciciel* z całkowitem niezrozumieniem tego olbrzyma ducha — dwa razy tak już oddaną przez Kasprowicza. Tworzenie się takiej tradycyi trawestującej, najwyraźniej występuje w ostatnim dramacie Staffa: *Wawrzyny.*

Tematem głównym tutaj, to legendowy spór dwóch braci budujących w zawody wieże Maryackie, spór zakończony bratobójstwem. Ale moment religijny, który podnieść chcemy, to historya Maryi Egipcyanki wyczytana według *Wawrzynów* w żywotach Świętych. Pragnie ona z miłości ku Chrystusowi zobaczyć ziemię Świętą i nie mając pieniędzy, okupuje przejazd tamże cnotą swoją. „Przebaczył jej Bóg, bo wielce umiłowała". Żona jednego z braci, będąca kością niezgody między nimi, słyszy tę historyę od matki. Sama postępuje podobnie, by zasłonić męża przed gniewem brata jego.

Jedynym faktem prawdziwym jest, że Marya Egipcyanka w Ziemi Św. była i że po nawróceniu usłyszała słowa przytoczone w innem otoczeniu przez poetę — „Idź za Jordan" — reszta historyi jest zmyśloną. — Kasprowicz w swojej ohydnej Maryi Egipcyance szczegół taki mimochodem rzucił, Staff go powtarza z małym dodatkiem, że wyczytanym on został w żywotach Świętych.

Jeżeli niezgodność z historyą jakiego dzieła, choćby beletrystycznego, obniża wartość jego, jest skazą na nim, to cóż mówić o dziele fałszującem historyę świętą, będącą nietylko historyą ale jedną z dwu podstaw naszej wiary, jako taka nietykalną — urabiającą autentyczne nasze pojęcia o Bogu i Jego prawach. Również musimy się zastrzedz przed przeinaczaniem żywotów Świętych, bo te są nam przykładem

czynów aprobowanych przez Kościół: fałszując je i tak je rozpowszechniając, fałszuje się zasady moralne.

To samo da się zauważyć o innych świętych. Co ze św. Franciszka uczynił Sabatier, za którym idzie belletrystyka nasza?

Nietylko świętych, Chrystusa samego nie uszanowała ona, i Jego tłómaczy wedle indywidualnej prawdy swojej. Nie mówiąc już o częściowo bardzo ładnych, częściowo zupełnie protestanckich legendach Selmy Lagerlöf i powieściach z absolutnem niezrozumieniem postaci tej, czyniących z Chrystusa pomadkowo ckliwą aparycyę, pozbawioną siły i powagi Boskiej, lub maga okultystę — doszliśmy do tego, że Wilde w swojem *De Profundis*, nad którego głębokością nawet i chrześcijanie wierzący się unoszą, czyni z Chrystusa adwokata grzechu, a Andrzej Baumfeld, idący do trzeciej epoki, do epoki Ducha Świętego (u niego uwielbienia ciała, narówni z duchem) czyni z niego proroka wolnej miłości.

Tak indywidualnie traktować biblii i najświętszych postaci niewolno — nie są one bowiem manekinami, lub mitami, ale świętością naszą żyjącą i będące źródłem życia. Taki ich stosunek względem nas. *C'est à prendre ou à laisser*. Wolno jest autorowi nie tykać przedmiotów świętych, ale jeśli je ujmuje, ująć je musi tak, jak są. Nie są to bowiem zabaweczki dla najartystyczniejszej choćby wyobraźni: jestto objawienie Boga dane ludzkości, prawda Boża. Nie można od poematu wymagać, by był traktatem teologicznym, poczucie artystyczne się temu sprzeciwia — ale przynajmniej równe prawa przyznajmy poczuciu chrześcijańskiemu w nas, uznając za niedopuszczalny utwór artystyczny uwłaczający chrześcijaństwu.

Bunt to jedyna siła, na którą się duch ludzki w literaturze naszej zdobywa w stosunku do Boga. Gdy poeta zwraca się do Boga, a czyni to rzadko, to z buntem, bluźnierstwem. Minęły te czasy, gdy Mickiewicz, uniesiony porywem bolu, zatrzymuje się nad przepaścią, usta jego nie wymówią strasznego mu słowa. Konrad słania się i pada, gdy mu ono w myśl

błyskawicą wejrzało. Dzisiaj inaczej, dziś poeci się już z tem oswoili, dziś wielki, czy mały poeta z największą łatwością i wprawą to czyni. Przywykli i słuchacze do bluźnierstw, przywykła i krytyka, nikogo one nie dziwią ani rażą.

Czy tak nas steroryzowały talenta i artyzm? Czy tak dalece dbamy o szerokość sądu naszego cudzym kosztem, kosztem Boga? Czy też tak głęboko już spoganieliśmy, nie wiedząc sami o tem?

Poeta stoi nad odmętem nędzy, niesprawiedliwości, rozpaczy, który u nóg mu się przewala z wieku w wiek, aż do bram wieczności, do bram sądu ostatecznego, sądzić mającego owo nieszczęście, nędzę i płacz, którym jest człowiek. A odmęt ten toczy się pod okiem i władzą wszechmocnego Pana. On na to pozwala. On uczynił człowieka, a mścić się będzie winy, nie bacząc na nieszczęście i nędzę, bo jest mocny — On postawi tryumf woli swojej na zatracie stworzenia, On zwycięży, bo jest Pan. Bunt w tych okolicznościach to siła i bohaterstwo, uległość to strach niewolniczy przed tyranem.

Poeta popełnia tu dwa błędy: Moralny, przeciw porządkowi t. j. przeciw sprawiedliwości: będąc stworzeniem, a więc podwładnym, przystępuje do Boga jako sędzia, pyta Go jako sędzia, nie jako uczeń.—Na takie pytanie Pan nie odpowiada, z porządku bowiem moralnego, ze sprawiedliwości, idzie za takiem pytaniem nie światło, ale zaślepienie.

Poeta popełnia też błąd drugi: logiczny. Sprawę sądzi, biorąc tylko jeden jej moment pod uwagę, moment sądu:

Stopę swoją złożyłeś na pokoleń grzbiecie
i sądzisz! Kyrie elejson!
Płaczów i jęków słuchasz niesłyszącem uchem.
i sądzisz! Kyrie elejson!
na mękę wieków patrzysz niewidzącem okiem
i sądzisz! . . . . . .

„A kto mię stworzył na to, ażebym w tej chwili,
odziany potępienia podartą żałobą,
kawałem kiru, zdjętym z mar Twojego świata,
wił się i czołgał przed Tobą,
i martwem, osłupiałem z przerażenia okiem

strasznego sądu wyławiał płomienie,
świat druzgocące rozkazy?"

Gdyby ten najgłębszy z naszych poetów żyjących, w uniesieniu wizyi Sądu Bożego nad grzechem, połączonym z nędzą i nieszczęściem tak, że ich nie może umysł rozeznać i rozgraniczyć, — gdyby miał przed oczami ową „Głowę opasaną cierniową koroną" w istotnem jej znaczeniu, cofnąłby się przed bluźnierstwem. Cofnąłby się, gdyby w agonii swej własnej, ujrzał agonię inną, w Ogrojcu oliwnym, gdzie już nie człowiek niepewny własnym grzechem, ale On, majestat czystości — nie marna okruszyna patrząca z małości swojej, ale On, Bóg, z tronu swej wszechwiedzy patrzy w ten sam odmęt skłębionego nieszczęścia. A patrzy pochylony nad przepaścią oną w takiej grozie i litości, że Mu ciało krwawym potem opływa i rzuca na szalę, nie już wspaniałe łuny wizyi, ale istotną, bezcenną krew Boga człowieka i bezcenne jego życie.

Tak wielką ceną ratował Bóg biedne stworzenie Swoje ze strasznej komplikacyi, w którą je grzech pierworodny zepchnął. Tak straszną katastrofą był jeden czyn indywidualizmu wynoszącego się nad swoją prawdę i możność, nad swoje prawo, pierwszy czyn pychy, pierwszy grzech.

W świetle tego ogrojca, przed Bogiem w pyle konającym, ujrzałby, że przystępując do Stwórcy swego jako sędzia, sędzią był niesprawiedliwym.

Bunt to namiętność — namiętność zawsze jest jednostronną i tylko w ograniczoności źródło mieć może. Wiara nasza wierzy w Boga, nietylko moc, ale mądrość i miłość. Jeżeli poeta opierając się na nauce Kościoła przyjmuje moc Bożą, musi na tej samej podstawie przyjąć dogmat mądrości, przenikającej rzeczy do dna i wszechstronnie, a więc sprawiedliwość Jego, a nadewszystko dogmat miłości Bożej „Bóg jest — miłość" mówi apostoł. Miłość, która względem winnego, ale biednego nieskończenie stworzenia, czyni się niezmierzonem miłosierdziem, jakiego żadne serce ludzkie nietylko objąć, ale ani pojąć nie jest w stanie. Lecz tego poeta nie czyni—odjąwszy Bogu miłość, uczynił zeń sędzię, który

brakiem miłości staje się niesprawiedliwym i tego Boga własnej kreacyi lży, za to, czem go sam uczynił.

Niewiara odwraca się od dogmatu całego, a chwyta ułamek jego wtedy, gdy go może Bogu w twarz bluźnierstwem rzucić, kiedy go lżyć chce, poczyna w Boga wierzyć.

Ale jest jeden warunek konieczny, by Bóg oblicze sprawiedliwości od nas odwrócił, a okazał nam oblicze miłosierdzia. „Przecz się skarży człowiek żywiący? niech się na grzech swój uskarża" mówi pismo święte. Poeta naszych czasów widzi płomienie sądu pochłonąć gotowe świat, widzi gniew straszny Boga i lęk śmiertelny stworzenia, winowajcy — ale nie widzi tego aktu jedynego, który czyni, że sędzia stworzyciel z nieskończoną troskliwością podnosi ze ziemi drżącego robaczka ziemnego. „Przecz się skarży człowiek żywiący, niech się uskarża na grzech swój"? — potrzebne odwrócenie się od przyczyny sądu Bożego, od zła, od kłamstwa: grzechu.

Epoka nasza jest przedewszystkiem epoką bezwzględnej bezkrytycznej affirmacyi swojej indywidualności, wszystkich ich zachceń i porywów, to ją czyni niedostępną prawdzie i miłosierdziu Bożemu. Wszystko, co się sprzeciwia jakiemukolwiek prądowi powstającemu w nas, jest niesprawiedliwością i przyczyną buntu. Wobec braku poglądu szerokiego, poglądu na całość wszechświata i wszechżycia, które nam tylko wiara daje, uchodzi nam z myśli, że nie każdy głos w nas, choćby najsilniejszy, winien być w imię sprawiedliwości wysłuchany. Grzech pierworodny zaciemniając rozum, osłabiając wolę, obciążając serce, rzucił je pod panowanie wyobraźni i uczuciowości, za którymi idąc, stwarzamy fikcyjnie, naprzekor prawdzie „nowe niebiosy i nową ziemię" sądząc nimi niebiosa i ziemię stworzone bez nas, w prawdzie czynu mądrości przedwiecznej.

Przedwcześnie zgasły poeta X. Szandlerowski, piszący pod pseudonimem Władysława Poświata, jaskrawo czyni to w swoim Paraklecie: Bóg Ojciec to niedołężny umysłowo starzec, tyran ślepy i głuchy, bezradny wraz ze swą potęgą i piorunami. W Chrystusie, synu Bożym, widzimy już niejaką poprawę: próbuje od-

kupić świat, ponosi mękę, ale Mu się próba nie udaje, powraca do Ojca stroskany. Na szczęście jest świat, który lepiej widzi rzeczy od Stwórcy swego, — jest Bożenna, idealna miłość, — jest Ziemic, przeklinał on Boga tyrana, Bożenna — miłość go zbawi.

Ojciec ongi śnił sen szczęśliwego świata, dzieło stworzenia sen zdradziło, teraz, rzucając zakochanego w nim stęsknionego Ojca, sen znajduje spełnienie swoje w miłości Ziemca i Bożenny, bo w niebie miłości nie znalazł:

Ojciec mówi do Syna: „A sen mój? powiedz!

Syn. Sen Twój tam —

Ojciec. Na ziemi? ...

Syn. Tak. Sen Twój u ciebie zamierał z tęsknoty, bo pragnął żyć i nie być snem. Ojciec i Syn, skruszeni, idą ku temu źródłu miłości, które wytrysło w spotkaniu dwojga ludzi, idą się od nich uczyć.

Ojciec. O Ziemio, z ciebie miłości duch wykwita!

Syn. Idzie Królestwo Paraklita.

Ojciec pod wpływem tego odkrycia zaczyna myśleć o Duchu świętym: „Stań się" powiada zamknąwszy oczy.

Syn. Już się stało.

Sen do Syna — Zbądź krzyża!

Za mną hen, za mną w sen. —

Niebiosa i tron potęgi i aniołów hufy opuszczone przez Boga zamierają. Tron się rozpada, hufy aniołów kamienieją.

Taka jest w paru słowach treść tego poematu, pięknego w formie, bogatego we wspaniałe obrazy, ale dziwnie płytkiego co do koncepcyi Boga, Który tu ostatniem ze stworzeń, one go to powoli wychowują. — Mamy tu też charakterystyczną niechęć naszych czasów do Boga Jehowy, do Boga potęgi, sędziego: do Boga Starego Testamentu. — Zdaje się, że konkretne rozmyślanie o przyczynie i skutku mniej poetom naszym dogadza. Ale Boga Starego testamentu biorą także bardzo jednostronnie i konwencyonalnie, jako Boga piorunów, Boga mściciela — nie znają go, jakim ukazuje się w proroctwach, w niewymownej troskliwości, tkliwości i rzewności dla karanego, a zawsze ukochane-

go, wybranego narodu swego — i tu znów dla Boga są sędzią niesprawiedliwym.

Daleko bliższym sercu ludzkiemu okazuje się w Paraklecie Szatan i to znów jedną z cech naszego momentu religijnego w sztuce. Duch buntu, szatan, daleko więcej odpowiada dzisiejszemu poecie niż pierwiastek odwiecznego ładu: Bóg. Widzimy to i w Chrystusie Kasprowicza, gdzie szatan daleko mędrszy od marzycielskiej, wiotkiej postaci Chrystusa.

Według pojęcia naszych czasów, szatan, bunt, to siła zbawiająca. Nie już szatan człowieka kusi, ale człowiek kusi szatana porządkiem i ładem bożym. Żuławski wyraźnie to wypowiada w zbiorze swym opowiadań „Kuszenie szatana", trawestując na swój sposób kuszenie Chrystusa na puszczy, zachowując dekoracyę, nastrój zewnętrzny, a nawet i słowa biblii: „A ja wam powiadam", mówi szatan, „kto będzie mocy swej pewien, przyjdą na jego zawołanie anieli niebiescy, aby o kamień nie uraził stopy swojej". Człowiek odpowiada przekręcając naukę o łasce. „Moc człowiekowi własna nie jest potrzebną, oto napisano Bogu się pokłonisz i Jemu samemu służyć będziesz". Tedy rozgniewał się szatan i zawołał: — „Pójdź precz kusicielu! kto mię posłucha kłaniać się nie będzie nikomu, owszem panem świata się stanie" . . człowiek, patrząc nań litośnie, odszedł aby się modlił.

Przeciwstawia tu autor siłę czynną, niezależną i twórczą szatana-buntownika — i słabość, bierność modlitwy i posłuszeństwa, będących wyznaniem zależności naszej od Boga, przykazań i łaski Jego. I jakżeby inaczej było, kiedy bez tej łaski, jak to nam poezya nasza aż nazbyt wyraźnie dokumentuje, nawet ujrzeć nie możemy krain żywota wiecznego, ani owych ścieżek bożych po ziemi wykreślonych wśród wybujałej roślinności ludzkich mniemań i złudzeń, jak więc możemy kroki nasze po niej stawiać bez łaski bożej, bez nadprzyrodzonej pomocy Jego?

— „Szatan zasię zwrócił kroki utrudzone ku miastu", . . . by dalej misyę swą wyzwalającą prowadzić, boć „Kochałem was i chciałem, żebyście i wy się nie poddali" . . .

Wyraz *szatan* znaczy dosłownie „przeciwnik". U Żulawskiego w innem miejscu jego zbiorku stwierdza on pysznie „Jam jest

siła odśrodkowa". Jedno i drugie ma atoli znaczenie tylko ujemne, z twórczością niemające nic wspólnego. Pierwsze wyrażenie mówi o Tym, który był, nim przeciwnik powstał, drugie stwierdza centrum, od którego wolą swoją się odchyla.

Religia z natury swojej jest uzależnieniem, związaniem, bo połączeniem człowieka z Bogiem: — doczesności z wiecznością — słabości z mocą — ograniczoności z mądrością — nędzy z miłością. Uniezależnienie od tego, od czego z natury swojej zależymy, bunt, nie potrzebuję mówić, że jest essencyą antireligijności, ale pozatem uniezależnienie, to oderwanie i doczesności od wieczności, słabości od mocy, ograniczoności od mądrości, nędzy od miłości — i pozostawienie ich samym sobie, z męką głodową, bo z natury swojej miały znaleść radę na niedostatek swój w Bogu.

„Jam jest siła odśrodkowa"! ale dokądże ta siła odśrodkowa oderwane od centrum atomy rzuca? Chrystus powiada, o tych co za Nim iść nie chcą, że będą wrzuceni „w ciemności zewnętrzne".

On trwa w świetle, mocy, pięknie, miłości i szczęściu na wieki. On i Jego świat to jedyny przybytek światła, miłości i szczęścia. Wszystko co poza Nim, to tylko ciemności zewnętrzne — a wszystko co w ciemnościach tych się jawi, to tylko złuda i marzenie wyobraźni, tracące całą swą ułudną wartość u progu wieczności — u progu, przez który każdy z nas przejść musi.

Wypływa to z natury rzeczy — z tego, że On jeden źródłem wszechistnień.

I zwrócić tu uwagę należy na jedno jeszcze nieporozumienie. Oto w belletrystyce naszej przebija oburzenie na tę Istotę, która domaga się miłości, czci i posłuszeństwa, cowięcej pod tym tylko warunkiem obiecuje dać niebo, w przeciwnym razie zagraża piekłem. I mielibyśmy racyę uważać to za potworny egoizm i tyraństwo, gdyby nie zachodziło tu pomieszanie pojęć, pewna antromorfizacya. Bóg nie jest jednym z nas, istotą nam współrzędną, podobną. Bóg jest właśnie Bogiem, słowo to jedynem określeniem istoty Jego i istotnego Jego do nas, nie bogów; stosunku.

Bóg to początek i koniec, cel i warunek szczęśliwości stwo-

rzenia swego. Prawo Jego, to objawienie i stwierdzenie prawdy istniejącej, zastosowanie jej w praktyce.

Stan nasz doczesny, to stan niedowidzenia, zaślepienia, złudy i ciasnoty naszego widnokręgu. Dziś namiętności: żądze ciała, oczu i pychy, głośniej w nas wołają niż głos ducha. Śmierć, to chwila opadnięcia złudy, ujrzenie i odczucie indywidualności swojej w prawdzie. Wonczas głos duszy, tu słyszany jako szept tylko, stanie się w nas potężnym, niczem nietłumionym krzykiem indywidualności naszej, wyrażeniem się jej. Wtedy obudzi się, z jasnością i bezwzględnością z niczem ziemskiem nieporównaną, poczucie potrzeby istoty naszej. Ujrzymy, że Bóg istotnie jest jej żywiołem, jej koniecznością, że istnienie bez Niego to śmierć i męka. Coby za uczucie miała ryba pozbawiona wody, ptak powietrza? Podobny im będzie ten, którego śmierć skrystalizuje w stanie odłączenia od Boga — tylko, że ta śmierć i ta męka będzie nieśmiertelną.

Czyż wobec tego może być dość bezwzględnie wyrażony nakaz miłości Bożej? Dość straszna, póki jeszcze czas, groźba w razie odstępstwa?

My, wiedzący, komuśmy zawierzyli, wiemy, iż tak jest — ale nie przestaje tak być i dla tych, którzy o tem nie wiedzą, lub wiedzieć nie chcą i dlatego w nieszczęściu nieświadomem są, i ku nieszczęściu świadomemu idą i ku nieszczęściu wloką tych, których uwiedli mocą mowy swej, mowy kryjącej pod dźwiękiem i blaskiem treść swoją: „brzydkość spustoszenia".

Krytyka nasza, która winna być pochodnią sądu, nietylko cierpi na brak odwagi cywilnej ale ani krytyce, ani nam, publice czytającej, nie przyjdzie na myśl, że bluźnierstwo odziane w pyszne szaty poezyi, bluźnierstwem być nie przestaje i że odpowiedzialność nasza nawet wobec poematu w duszy naszej trwa.

Poeci nasi przyzwyczaili się do tego, że im wszystko mówić wolno, byle pięknie, że nie krępuje ich ani prawda, ani cześć, którą swemu człowieczeństwu winni, ani cześć daleko głębsza, jaką winni milczącemu do czasu, Stworzycielowi swemu, po którym depczą lekką stopą z niefrasobliwością dzieci lub szaleńców.

Jak jednak wygląda słowo ich w sądzie prawdy i sprawiedliwości, w którym słowo każde pisane, czy mówione, ma jedną tylko wartość, wartość wewnętrznego znaczenia swego? a sąd ten przecie ani na chwilę trwać nie przestaje! Ale jak wyglądać przed nim będziemy i my, którzy wyznając codzień wierność Bogu swemu, Stworzycielowi i Odkupicielowi, wyznajemy nietylko prawo bytu, ale chwałę słowa bluźniącego Jemu?

Z pośród wspomnień stających nam przed oczyma, gdy myśl zwracamy do bolesnej chwili pożegnania ostatniego z najbliższymi nam, jest wspomnienie chwili jednej, szczegół to tylko drobny, ale szczegół dziwnie bolesny: to rozdanie własności nieboszczyka, rzeczy codziennego użytku, rzeczy, co jego piętno noszą, codziennym użytkiem z nim związane i uświęcone dla nas, własności jego. Jestto chwila rozdzierająca, znaczy ona: Odszedł i nie wróci — ani się o własność swoją upomni, ani już mu to wszystko potrzebne, ani kiedykolwiek potrzebnem będzie. Rzeczy jego wyjdą z jego domu, nędzarze rozniosą je po świecie, rzeczy jego walać się będą po ulicach, by wreszcie wsiąknąć w jakieś śmietnisko, jak wszystko co zużyte, niepotrzebne, co przestało mieć właściciela. To ostateczne zamknięcie szeregów nad nim, przejście do porządku dziennego.

Czyż w literaturze naszej ta chwilą nie nadeszła dla Boga?

Bóg, jako prawda obowiązująca, w literaturze umarł, Bóg, żywa adoracya, miłość, chwała ludów — umarł, religia umarła, kult umarł — ale spuścizna została.

Stoją świątynie w które się wcieliło uwielbienie wieków, szaty i klejnoty czci Jego poświęcone w skarbcu ludzkości leżą. Wonny olej namaszczeń ulotnił się, bo namaszczenie Boże nam dziś niepotrzebne, by prorokiem i królem zostać — ale amfory, natchnieniem świętem rozmodlonego artysty rzeźbione, cudowne zawsze stoją. Kadzidło czci przedwiecznemu nie będzie ofiarowane, bo przedwieczny umarł już dla nas razem z wiecznością — ale zostały trybularze, w których jeszcze trwa słodkość kadzidła i słodkość czci.

Umarł kult duszy świadomej i nieśmiertelnej dla Przedwie-

cznej Piękności, Miłości i Mądrości, umarła adoracya, umarł zachwyt — ale pozostały zewnętrzne szaty, w których żył on, pozostały nastroje, w których mieszkał, które sobą wyrzeźbił, w których woń Jego jeszcze trwa. Zostały słowa... niegdyś żywota słowem były, dziś żywot ich — duch, uszedł, ale i dziś jako symbole świecą jeszcze pięknością, śmiertelnym nawet oczom piękne.

Zostały ołtarze i sakramenta, zostały hymny i psalmy, zostały litanie i modlitwy, zostały habity i nimby, zostały tajemnice święte, ekstazy i zachwyty.

Umarł Bóg i kult, umarł właściciel, zostały skarby i klejnoty — strojmy w nie miłość naszą dzisiejszą, miłość przyrody i ziemi, miłość zmysłów i tego co dawniej, kiedyś, za życia Boga, nazywano grzechem. Użyjmy łun tych, co z chwały Jego przywarły do słów mowy naszej, użyjmy na ozłotę korony, którą ze słów splatamy skroniom naszym wieszczym. Ze świętych kielichów, w których ludy piły wino łask bożych, pijmy wino nowe upojeń i rozkoszy zmysłowych.

I oto literatura nasza, której wszystko wolno, w oczach naszych rozgrabia skarbiec Boga żywego, rozgrabia rzeczy święte stanowiące dziedzictwo wierzących, mające w sobie woń świętą obecności Jego.

W klejnoty — w które wiara pokoleń przez wieki i wieki w tajniach dusz się przetapiała, w ogniu czci Jego — widzimy strojne wizye, bezczelne nieraz, ich wyobraźni. — W rzeczy święte przybranych włóczęgów i nędzników rycerzy *sans foi ni loi*. Widzimy ołtarze, hostye, Kalwarye, sakramenta, komunie, ekstazy i zachwyty walające się po brudnych erotykach — litanię loretańską użytą jako pieśń do ukochanej. Widzimy świętą miłość pokutnic w najohydniejszych obrazach — i milczymy i zachwycamy się w imię artyzmu! Zrozumny raz, że są zjawiska, wobec których wybrać w sobie musimy między artystą a chrześcijaninem.

Jaka jest indywidualność poety dzisiejszego patrząca na nas z dzieł jego? Kim on jest?

W jednym ze zbiorów lirycznych, pisanych bardzo zdolnem piórem, spotykamy zaklęcie wzywające Arymana, bożka zła, z przeklęciem Ormuzda:

Ormuzdzie, dobra ty przejasny boże,
Niechaj mi dary twe będą przeklęte!...
Zła bezlitosny boże, Arymanie,
Podsycę w sobie zła najżejsze dreszcze,
Abyś mię zaklął, ze mną pojednany,
W twoich żywiołów szczęśliwe orkany...
...Cisza wciąż we mnie bezgrzeszna i święta,
O bądź przeklęta ciszo, bądź przeklęta.

Aliści kilkadziesiąt stron dalej czytamy:

Dokąd się udam z moją duszą chorą?
Było z niej jasne krysztalne jezioro,
Teraz ją zaćmił męt.
Dławi mię straszna samowzgarda, wstręt,
Pełzną dokoła złe nawiedzenia, moc nieprzyjaciela...
Grzeszyłam myślą i słowem i czynem
Mnie od złych myśli pod czaszką tak rojno,
Jakby robactwa drobnego miryady
Miast mózgu wiły się w kłęby...
Duch mój skalany, znieprawione ciało...

Lecz znowu dalej dowiadujemy się:

...i wiem już, wiem, o morze, że niema dobra i zła.

Czemu więc wierzyć? — Co właściwie autorka myśli? Kim ona jest?

Ze zdziwieniemby zapewne autorka pytanie to przyjęła. „Czemu wierzyć? — ależ wszystkiemu! co jedno drugiemu przeszkadza? Kim jestem? —dzisiaj tem, jutro tamtem. Jestem narzędziem muzycznem, piszę to, co mi natchnienie przyniesie".

Ale istota moralna, ta która w człowieku jest jedna?

Poeta piórem nieobeschniętem z hymnu o Bogarodzicy, będzie pisał hymn do Astarty. Cóż jedno do drugiego ma? Ale jaka twoja wiara? jaka twoja miłość? jaka twa ojczyzna?

Bywali rycerze, bohaterowie zapatrzeni w miłość Ojczyzny swojej, idący przez życie z wlepionemi w miłość swą oczyma, niosący jej wierną służbę, niosący jej życie i żertwujący to życie, wierni w życiu i śmierci miłości wielkiej — to byli *rycerze prawi*.

Byli też rycerze inni. Niezwiązani ani z Ojczyzną jedną, ani z jedną sprawą — błądzący od przygody jednej, do przygody drugiej, od króla jednego, do króla drugiego — rycerze bez miłości wielkiej, rycerze co miłość rozmieniali na miłostki, bohaterstwo na awanturnicze kaprysy — to byli: *rycerze błędni.*

Pierwsi siebie poświęcali czemuś ponad nimi stojącemu, do czego dusza ich się otwierała, jak kwiat do słońca — zdolni zachwytu, zdolni ukochać to, co nad nimi.

Drudzy poświęcali wszystko życiu swojemu, użyciu, czyniąc ze wszystkiego strawę dla kapryśnej wrażliwości swojej. Pierwsi tylko wyrośli narodowi w olbrzymów i stoją pochodniami znaczący drogę ludów, drudzy chyba echem i ognikiem błędnym w poezyi się błąkają.

Miłość wielka nietylko upaja, nietylko rozkosz daje — ona żąda człowieka, ona go bierze całego, ona go skuwa łańcuchem złotym wierności, i zdarzenie po zdarzeniu, chwila po chwili, miłość ta, czyniąca człowieka zależnym od siebie, tworzy go, i taka tylkotworzy człowieka godnego imienia człowieka. Zestrzela w sobie wszystkie jego myśli, wszystkie dążenia woli, wszystko ukochanie serca, pochłania go całego i czyni go jednolitym i panem siebie i świadomym swoich dążności i woli swojej.

Ale miłość taka, zdolna pochłonąć człowieka i stworzyć go jednolitą jednostką, zużywająca cały zasób sił jego, musi być większą od niego, musi stać nad nim, rwać go w wieczność, w otchłań zachwytu zdolną tak wchłonąć duszę jego, jak niebiosa wchłaniają rosy kroplę—w zachwyt eksktatyczny, wybuchający hymnem *gratiam Tibi agimus propter magnam gloriam Tuam* — dzięki czynimy za wielkość chwały Twojej.

Ale miłość taka, to autorytet, to pan. Indywidualizm nasz autorytetu nie znosi, więc artysta zrzucił z siebie miłość-autorytet, miłość tworzącą go, krystalizującą go w jednostkę jednolitą, świadomą siebie, dróg swoich i celu swego i oto indywidualność jego, jednolita jednostka, ginie. Umysł pozbawiony nieskończonych pól prawdy wiecznej, utracił charakter powagi — wola pozbawiona poznanego i uznanego celu, straciła miano woli, stała się namiętnością i kaprysem — serce rozrywane w kawałki, jak to jagnię na

rozdrożu krwawi się i szarpie bezsilnie. Nad umysłem, wolą i sercem zapanowała wyobraźnia, ta *folle du logie*. Jej wszystkie władze służą, a ona rozwinąwszy pełne żagle wszystkim wichrom co wiać mogą, porywa biedną, bezwolną, bezświadomą dróg swoich istotę za sobą, na wolę wichrów i fal. Czyni ją tak rozwiewną i zmienną — tak bezosobistą i bezimienną — jak bezosobistą i bezimienną sama jest.

I dlatego na zapytanie, kto jest ta istota, która patrzy na nas z literatury naszej, z przejawów artystycznych wogóle, odpowiedzi nie otrzymujemy—bo mówię nie o tej i tej roli, w której się ukazuje jak na scenie, nie o tym i tym nastroju chwilowym, mówię o istocie moralnej, tak prawdziwej i głębokiej, że oblicza nie zmienia i w życiu i w śmierci, która spojrzy na nas tym wzrokiem od progu wieczności, jakim z dzieł swych spogląda.

Człowiek to stworzenie miłości wielkiej i wiecznej, znajdujący w niej swoje uzupełnienie, zależny więc od niej w istocie swojej. Istota stworzona jako zależna, w zależności tej ma warunek istnienia swego. Gdzie się kończy zależność jej, zaczyna się śmierć. Człowiek stworzony z prochu, wyniesiony z nicestwa przez Boga i utrzymywany przy życiu prądem życiodawczym idącym z Niego, gdy zerwie z Bogiem, gdy prąd ten koncentrujący, dający życie i miano trwać w niem przestanie, traci swoje miano i indywidualność swoją i człowieczeństwo swoje, rozpada się na atomy, na prochy wiejący każdy z osobna, gdzie go tchnienie powieje.

W imię indywidualizmu odrywamy się od źródła swego i oto indywidualność nasza, istota moralna, umiera w nas.

Myśląc nad tem beznadziejnie smutnem obliczem ducha ludzkiego, mówiącego w literaturze naszej, powraca nam na myśl wiersz ostatnio cytowanej poetki:

Ja byłam buntem i rozpaczą,
Żywem jasności zaprzeczeniem,
Otchłanią, próżnią, nikłym cieniem.
Świat zaciemniałam mem obliczem,
Chciałam być wszystkiem, byłam niczem.

Krystyna Saryusz Zaleska.

Estetyka Witaska.

Wydane w r. 1904 dzieło znanego już poprzednio z psychologicznych i estetycznych rozpraw docenta uniwersytetu w Gracu (obecnie profesora) Stefana Witaska p. t.: *Grundzüge der allgemeinen Ästhetik* (Lipsk), odznacza się wielu zaletami, jasnością twierdzeń, przejrzystym układem, ścisłem wyróżnieniem i sprecyzowaniem faktów psychologicznych, na których autor opiera swoje rozumienie estetycznego przedmiotu i będącego warunkiem tegoż podmiotowego zachowania się. Wyszedłszy ze szkoły Meinonga, którego klasyfikacyę zjawisk psychicznych na cztery główne grupy, przedstawienia (wyobrażenia) i przedstawienia pojęciowe, sądy, uczucia i pragnienia oraz jego teoryę wartości w głównych rysach podziela, niezależnym jest w sposobie ugruntowania swej estetyki od Lippsa i zwalcza go, odmawiając wczuwaniu się wpływu na powstanie upodobań estetycznych powszechnego i dominującego. Zgadza się z nim wszakże na punkcie bardzo zasadniczym, w tem, iż uważa również za zadanie estetyki przedewszystkiem psychologiczne wyjaśnienie uczuć, sprawianych przez przedmioty, które wchodzą w obręb tej nauki, przeczy zaś, jakoby to, co nazywamy normami piękna, miało charakter pierwotny jakichś bezwzględnych żądań, których treść dałaby się ustalić niezależnie od psychicznej organizacyi istot, odczuwających piękno i od natury procesów duchowych, składających się na to odczuwanie. Nie rezygnuje zatem z usiłowań umiejętnego uzasadnienia norm estetycznych,

ale każe ich szukać w ogólnych subjektywnych warunkach użycia estetycznego, w tem, co odpowiada wykształconemu smakowi, który znów polegać ma na szczególnem spotęgowaniu konsekwentnem, wszechstronnem rozwinięciu dyspozycyi do odczuwania piękna (str. 370).

Pierwszem staraniem autora rozstrząsanego tu dzieła jest odgraniczyć przynajmniej w grubszych konturach materyał faktów i zjawisk estetycznych, a czyni to postawieniem dwóch twierdzeń: 1⁰ iż własności estetyczne (przymiot piękności, względnie jego brak lub przeciwieństwo: brzydota) nie są bezpośrednio spostrzegalne, czyli, jak je W. nazywa, realne, tak jak n. p. barwa lub ton, ale dają się ująć jedynie myślą, t. j. sądem, stwierdzającym ich rzeczywistość, przynależność do pewnej rzeczy, są w tem znaczeniu idealnymi (pomyśleć się dającymi) przedmiotami (*denkbare Gegenstände*); 2⁰ iż nie są zamknięte w przedmiocie, do którego je odnosimy, tak, ażebyśmy wyobrażając sobie ten przedmiot, lub myśląc o nim, musieli je sobie razem z nim wyobrażać lub myśleć, ale są pozaprzedmiotowemi czyli pomyślanemi w stosunku do drugiego członа relacyi, mniej lub więcej wyraźnie w naszej świadomości występującego, mianowicie do istoty odczuwającej, na której rzecz piękna lub brzydka wywiera swoje działanie. Ta pozaprzedmiotowość (*Aussergegenständlichkeit*) każdego faktu czy przejawu estetycznego odsłaniać się zaś ma zdaniem W. z dwóch stron, zapomocą dwóch relacyi: przyczynowej i celowej, tem, iż przedmiot, któremu przypisujemy jakąś własność estetyczną, działa na nas w pewien sposób i że uczucie stąd powstałe, dodatnie czy ujemne, skierowuje się na jakiś przedmiot, który niekoniecznie musi być tym samym, co przedmiot uczucie wywołujący. Przykładów takiego wypadku wprawdzie nam autor nie przytacza, ale nasuwają się one same, jak między innymi nastrój, wywołany muzyką, który nas usposabia do reagowania rozmaitemi uczuciami na widok tego samego krajobrazu w naturze, oglądanego raz przy marszu żałobnym, a drugi raz n. p. przy jakiejś serenadzie.

Poza działaniem przedstawionego (w spostrzeżeniu, przy-

pomnieniu lub wyobraźni) przedmiotu przyjmuje W. (za Meinongiem) także powodujące uczucia działanie t. zw. objektywów t. j. bądź stwierdzonych rzeczywistym sądem, czyli przekonaniem, bądź przyjętych tylko fikcyjnie w suppozycyi (*Annahme*) jakichś realności czyli faktów (*Tatsachen*). Stara się wykazać, iż poezya przeważnie, zaś sztuki wzrokowe alegoryczne w znacznej części sprawiają użycie estetyczne zapomocą takich objektywów. Objektywem też jest osnowa sądu estetycznego, uznającego jakiś przedmiot za piękny, t. j. za obdarzony własnościami, dzięki którym jego przedstawienie sprawia przyjemność. Znaczenie wszakże owych objektywów w tej dziedzinie zjawisk ulega komplikacyi przez to, iż, jak dowodzi nasz autor, sam nagi fakt może spowodowywać przeważnie albo wyłącznie uczucia wartości, czyli przywiązywanie wartości do tego, że zaszedł lub nie zaszedł wraz z płynącą stąd uciechą, względnie przykrością, nie jest to więc uczucie bezinteresowne, jakiem i wedle W. jest uciecha estetyczna. Inaczej ma się rzecz z faktami urojonymi, „przyjętymi“ bez przekonania o ich realności, których uświadomienie sobie przynosi nam uciechę bez względu na to, czy rzeczywiście zaszły. W. przyznaje wprawdzie, że i w myśleniu o takich faktach może być wiele żywiołu pozaestetycznego, że rojenie sobie pewnych ewentualności może być kołysanem pobudkami bądź ciasno egoistycznemi, bądź rozszerzonym narodowym egoizmem, bądź jeszcze czystszemi altruistycznemi aspiracyami. Jednakże w powstających pod wpływem takich wytworów wyobraźni (o ile tu bodźcami nie są wyraźne realne pragnienia) uczuciach fantazyjnych (*Phantasie-Gefühle*) upatruje ważny element użycia estetycznego, mimo, że jak wykazuje w dalszym ciągu, bezpośrednim przedmiotem estetycznych uczuć są zawsze tylko spostrzeżone, przypomniane lub wyobrażone przedstawienia, a nie przekonania (realne sądy) ani też przypuszczenia (suppozycye = fikcyjne sądy) jakichkolwiek faktów.

Tak więc przedmiot estetyczny przedstawia się W. z pewnego punktu widzenia, jako tkwiący w podmiocie czującym („immanentny“) — z innego zaś jako (idealnie czyli w przeko-

naniu odczuwającego) wykraczający poza podmiot, z zewnątrz nań działający („transscendentny"). Pierwszym jest, o ile uczucie skierowane jest ku temu, co sobie przedstawiliśmy, co zatem jest nam w świadomości danem. O ile zaś przyczynę tego uczucia myślenie nasze każe nam śledzić w działających na nas własnościach rzeczy, musimy tę rzecz umieszczać poza nami, jako od nas niezależną i raczej spowodowującą nasze stany niż z niemi identyczną. Nie oświadcza się jednak autor dość stanowczo i jasno, czy i jak tę zewnętrzną rzeczywistość pojmować należy i co nas do twierdzenia o niej uprawnia. Zresztą pytanie to nie należy już do estetyki, ale do teoryi poznania.

Przegląd faktycznego materyału estetycznego stanowi słusznie w jego oczach pierwsze zadanie estetyka, a rozwiązuje on je w ten sposób, iż odróżnia przedmioty estetyczne (n. l. immanentne t. j. dane w naszej świadomości) elementarne od zbiorowych, skomplikowanych, na tej zasadzie, że własności estetyczne pewnych przedmiotów dadzą się rozłożyć na składniki cząstkowe tak, iż można je uważać za rezultat tych składników lub za ich sumę, podczas gdy z innemi własnościami, względnie z przedmiotami, będącymi ich podłożem tak postąpić się nie udaje i ich składniki już albo nie mają samoistnego charakteru estetycznego, t. j. zdolności wywołania upodobań w spostrzeganiu, albo przynajmniej połączenie tych składników daje w wyniku coś, co samem zsumowaniem ich nie daje się wyjaśnić. Tych ostatnich, nazwanych przez się elementarnymi, przedmiotów estetycznych odróżnia W. pięć grup:

Do pierwszej należą proste przedmioty wrażeń, jak barwa, ton. Co do prostych wrażeń smaku i powonienia sądzi autor, iż przyjemności z niemi połączone chwieją się między charakterem zmysłowym a estetycznym (do pierwszego za bardziej zbliżone uważa smaki, zaś do drugiego zapachy). Natomiast odmawia zupełnie charakteru estetycznego wrażeniom temperatury, nacisku (dotykowym) i sprawianym przez ruchy lub stany części organizmu (organicznym). W dalszej części dzieła przeprowadza rozgraniczenie przyjemności estetycznej od zmysłowej w ten sposób, iż pierwsza polegać ma na treści wrażeń,

czyli, że dają ją uczucia skierowane na treść czegoś spostrzeżonego, przypomnianego lub wyobrażonego (*Inhaltsgefühle*) — podczas, gdy przyjemność zmysłowa tkwi w uczuciach, sprawianych przez sam akt spostrzegawczy (*Aktgefühle*). Tem tłómaczy, dlaczego ten sam widok bardzo silnego światła może być estetycznie przyjemnym a zmysłowo (przez zbytnie napięcie aktu widzenia szkodzące organowi wzroku) przykrym. Także wyjaśniać ma się tem fakt, iż wrażenia t. zw. niższych zmysłów przynoszą przyjemność wyłącznie lub przeważnie zmysłową: ponieważ w nich jest za mało zróżniczkowanej treści, tak, iż w świadomości funkcya spostrzegania i jej stosunek do organizmu (pomyślny dla tegoż lub niepomyślny) są na pierwszym lub na jedynym planie. Nie zdaje nam się to jednak dostatecznie tłómaczyć, dlaczego już bardzo proste wrażenia barw lub tonów (także przekonaniem autora) mają stanowczo przywiązane do nich jakości niezmysłowe uczucia — w szczególności da się to powiedzieć o barwach i tonach czystych — ale także i o natężeniu t. zw. barw nasyconych. To, że nazywamy pięknemi takie barwy lub tony, które nie są zmieszane z innemi (nie są mętne lub brudne) przemawiałoby jeszcze za teoryą W., że przyjemność estetyczna polega na przewadze działania treści i jej uświadomienia sobie nad aktem spostrzegania, ale natężenie tonu lub barwy, jej siła świetlna, połysk, są to już momenty w bardzo ścisłym związku pozostające z napięciem aktu spostrzegawczego, a przecież godzi się powątpiewać, czy sprawianą przez nie przyjemność można zaliczyć do zmysłowych. Uczucia wynikłe z bliższych właściwości aktu jakiegoś, o których zgoła nie wiemy, czy odpowiadają potrzebom organizmu, nie dają się z góry podciągać pod kategoryę przyjemności lub przykrości zmysłowej.

Drugą klasę elementarnych przedmiotów estetycznych stanowią według W. t. zw. kształty, której to nazwy nieogranicza on do form przestrzennych (połączeń najprostszych dat lokalnych czyli punktów przestrzeni), ale obejmuje nią i kompleksy tonów (akordy) całości rytmów, melodyi i wogóle wszystkie takie powiązania wrażeń, które nam się przedstawiają jako

wytwór psychicznej czynności produkowania „nowych" jednolitych wyobrażeń, oparty wprawdzie (czy jak się autor wyraża ufundowany) na swoich składnikach, wrażeniach, względnie wyobrażeniach, wogóle przedstawieniach produkujących, ale nie będący w swej treści (i dodajmy formie) li tylko ich sumą — a co jest najwymowniejszem, mogący powstać także z innych składników, jak się to ma n. p. z melodyą, dającą się w innej oktawie złożyć z innych tonów. Co decyduje o wywoływaniu uciechy estetycznej przez takie kształty, czy sposób urabiania się odnośnych przedstawień w świadomości odczuwającego ich piękno, czy i jakie objektywne warunki dla ich tworzenia się niezbędne, tę kwestyę W. pozostawia otwartą tak, jak i wiele innych również zasadniczych.

W trzeciej klasie umieszcza przedmioty estetyczne zgodne z normami (*normgemäss*). Rozumie przez to takie strony ustroju rzeczy indywidualnych, które odpowiadają najwyraźniej i całkiem niewątpliwie znanej nam już naturalnie przedtem ich istocie gatunkowej, a o ile to są wytwory ludzkie, ich celowi. Tak n. p. w kształtach konia niepodoba nam się choćby jak delikatnie zaokrąglona linia obwisającego żołądka, dlatego, iż umniejsza mu to jego typową zdolność do rączego biegu; miękkość i przegięcia linii ciała kobiecego, składające się na jego piękność, rażą nas, gdy występują na ciele męskiem; to co stanowi piękno dębu, w brzozie pojawiwszy się, sprawi jej brzydotę i odwrotnie, pochyłość wieży budzeniem myśli o możliwości jej upadku i minięciu się z celem, wywołuje wrażenia estetycznie ujemne i t. p. W tych wszystkich wypadkach sposób działania plastycznego przedstawienia na uczucie komplikuje się przez grę czynności rozpoznawczych, t. j. przez wydawanie sądów podporządkowujących konkretne szczegóły pojęciom gatunku lub celu i rodzących uczucia wartości stosownie do tego, czy i w jakiej mierze zgadza się spostrzeżona lub wyobrażona (pod wpływem lektury lub słyszenia poematu) jednostka ze swym gatunkiem albo z nadanem jej przeznaczeniem. Rezultat, t. j. uczucie wywołane przez przedmiot indywidualny, jest wprawdzie zależnem faktycznie od treści owych sądów

i spowodowanych przez nie uczuć wartości, a więc od motywów postronnych, leżących poza sferą estetyczną bezpośredniego działania przedstawień na uczucie, ponieważ jednak te sądy i uczucia wartości powstają z taką odruchową szybkością, że ich sobie nie uświadamiamy, tak przynajmniej można rozumieć istotny sens wywodów W. — przeto mamy prawo i te przedmioty upodobań zaliczyć do estetycznych, jako działające w życiu potocznem za wskazówką doświadczenia bezpośrednio na nasze uczucia, dopóki nie zaczniemy analizować naszych stanów podświadomych.

Czwartą klasę elementarnych przedmiotów estetycznych stanowić mają wyrazy i nastroje. Działanie ich polega na tem, że pewne kształty i to nietylko przestrzenne, ale też połączenia dźwięków, ruchów, słów, całych zachowań się budzą w nas przedstawienia pewnych stanów psychicznych, które odczytujemy z owych kształtów, jako będących ich wyrazami i tem plastyczniej je sobie wyobrażamy, im łatwiej jest nam przenieść się w nie, albo jak to ma miejsce przy nastrojach, które w przedmiot przedstawiony wnosimy. Tu widzi W. właściwe pole dla wczuwania się, którym nie przyznaje takiego obejmującego cały zakres zjawisk estetycznych znaczenia, jak to czyni Lipps, uzupełniając je zresztą innym w jego przekonaniu równie doniosłym momentem psychologicznym, mianowicie uczuć udziału (*Anteilsgefühle*). Do tego, ażeby się chętnie przenosić w cudze stany, potrzebne jest zajęcie się nimi. Gdy dla postaci jakiejś rzeczywistej, czy fikcyjnej uczuwamy jedynie obojętność, gdy ona w nas nie budzi ani żywej sympatyi ani conajmniej równie silnej odrazy — odczytywanie wyrazu jej wewnętrznych kolei, śledzenie wątka jej poruszeń duszy będzie połączone z zadaniem sobie przymusu, a w takich warunkach o użyciu estetycznem w sensie dodatnim mowy być nie może. W przeciwieństwie do Lippsa podkreśla też W., iż estetyczne przenoszenie się w koleje psychiczne tak rzeczywistych jak fikcyjnych istot nie jest wcale utożsamianiem się z niemi, ale odbywa się z świadomością przedzielającego od nich odstępu, względnie fikcyjności tych istot, tak, iż wywiązujące się przytem

i zapośredniczające właściwe estetyczne użycie uczucia nie są uczuciami seryo (*Ernstgefühle*) ale fantazyjnemi, jakkolwiek samo owo użycie jest uczuciem poważnem, bo z faktu (dla naszego podmiotu) realnego. Te wszystkie przedmioty przeciwstawia jako obdarzone pięknością duchową, psychiczną (*Seelenschönheit*) objawom t. zw. piękna materyalnego lub cielesnego.

Do ostatniej wreszcie klasy elementarnych przedmiotów estetycznych zalicza W. omawiane już wyżej objektywy, objaśniając je nawiasowo w nagłówku słowami: zdarzenia, stany i t. d. To podciągnięcie zastanawia wobec innych jego wywodów, według których stwierdzenie lub przypuszczenie faktu budzi w nas bezpośrednio uczucia wartości, a tylko przedstawienia wywołują bezpośrednio uczucia estetyczne właściwe. W. stara się samoistne znaczenie faktów przy użyciu piękności uzasadnić tem, iż jest wiele dzieł sztuki nawet plastycznych, w których zasmakować do głębi bez zrozumienia tego, co znaczą, t. j. przedstawionej ogólnej prawdy lub szczegółowej sytuacyi niepodobna — zaś na „opowiedzeniu historyi" jakiejś polega prawie każda poezya — nie wyłączając lirycznej. Włożone w utwór sądy realne czy fikcyjne (suppozycye) są z tego punktu widzenia niezbędnym środkiem pomocniczym dla wytworzenia w nas przedstawień, względnie wyobrażeń plastycznych, istotnych warunków odczucia piękna. Nasuwa się tu jednakże wątpliwość, czy koniecznie potrzebnem jest uciekanie się do takiej pomocniczej funkcyi sądów i zawartych w nich objektywów, czy nie dałoby się o wiele prościej powiedzieć, że jak mamy przedstawienia ruchów, czemu W. nie przeczy, tak samo, acz w nietejsamej mierze plastycznie mogą się przed naszą świadomością przesuwać przedstawienia akcyi i cierpień jednostkowych lub zbiorowych. Snując je w wyobraźni, czy kreśląc słowami, możemy nie mieć zamiaru wypowiedzenia jakiegoś sądu, stwierdzenia lub przypuszczenia jakiejś rzeczywistości — a jeżeli została uzmysłowioną w tych czynach czy kolejach jakaś ogólniejsza prawda, to następuje to w dzie-

łach prawdziwego, wysokiego artyzmu mocą naturalnego rozwoju akcyi lub zdarzeń przedstawionych, bez świadomej intencyi twórcy, bez stawiania t. zw. tezy n. p. w dramacie lub w powieści. Fabuła poematu, w której zapamiętaniu kondenzuje się utrwalone w nas wrażenie z jego całości, może być tak samo skróceniem plastycznego obrazu jego akcyi, jaki mieliśmy przed sobą w ciągu lektury lub widzenia na scenie i nie koniecznie trzeba ją uważać za złożoną z sądów lub z suppozycyi. Ale przed ostatecznem załatwieniem tej wątpliwości należy przyjrzeć się teoryom W. o estetycznym stanie podmiotu, które się organicznie wiążą z jego klasyfikacyą elementarnych przedmiotów estetycznych.

Poglądy Witaska

o kombinowaniu się różnych czynników psychicznych przy powstawaniu smaku estetycznego.

Rozmaite zachowanie się podmiotu, czującego wobec rozgatunkowanych, jak wyżej, elementarnych przedmiotów estetycznych, powoduje w myśl omawianego tu poglądu całą rożnobarwność dziedziny piękna, jako sumy odniesień między ludzkiemi przedstawieniami i uczuciami, a w szczególności owocem oddziaływań pierwszych na drugie i odnoszenia się drugich ku przedmiotom pierwszych, t. j. przedstawień. Wywody autora zmierzają do wykazania, że nietylko w najprostszej formie upodobań względnie odraz estetycznych polegającej na działaniu elementarnych wrażeń zmysłowych (barw, tonów a z zastrzeżeniami wyżej podniesionemi także woni) i kształtów, ale i tam, gdzie odsłania się skomplikowańsze piękno, bądź to jako piękność normatywna, zgodna z istotą gatunku lub jakimi celami, bądź też jako piękność wyrazów i nastrojów, ostatecznie sprowadza się estetyczna strona odnośnych faktów psychicznych do działania jakichś poglądowych (*anschaulich*) plastycznych przedstawień na uczucia. Posługuje się przytem podziałem uczuć na wyobrażeniowe (*vor-*

stellungsgefühle), t. j. płynące z wyobrażeń i myślowe (*Denkgefühle*), których realną przyczyną a zarazem przedmiotem jest stwierdzenie jakiejś rzeczywistości, albo ujęcie przedstawienia w formie nieplastycznej, niepoglądowej, ale pomyślanej, abstrakcyjnej, n. p., gdy elipsę pomyślimy sobie, jako figurę geometryczną, odpowiadającą pewnemu równaniu. Przy powstawaniu uciechy sprawionej przez piękność urzeczywistnionego w jednostce typu lub odpowiedniego celowi ukształtowania, pośredniczą wprawdzie akty myślenia, o ile odczuwający taką piękność podmiot musiał w sobie poprzednio wytworzyć pojęcie gatunku względnie celu przyświecającego pewnemu dziełu ludzkiej techniki, rodzą się też uczucia wartości, t. j. przyjemności związanej z zajściem danego wypadku, czyli z urzeczywistnieniem typu gatunkowego przez jednostkę, względnie z umożliwieniem osiągnięcia celu, jednakże zarówno owe myśli jak uczucia nie osiągają dominującego stanowiska w naszej świadomości, lecz podporządkowują się jako ogniwa mniej lub więcej bezwiednego mechanizmu psychicznego pod fakt przewodni, jakim jest plastyczne przedstawienie przedmiotu wraz z wynikającą z niego i na przedmiot skierowywaną uciechą. Jakim sposobem jednak te uczucia, po części intellektualne (z wiernego, jasnego, względnie pełnego uzmysłowienia się typu gatunkowego), po części z praktyką życiową się wiążące (z zapewnionego osiągnięcia celu), tak mają tracić swój charakter samoistny aż do zatarcia się w świadomości ich pobudek, aby potęgować uciechę estetyczną, zamieniwszy się jakoby w jej narzędzia, tego nam W. dostatecznie nie wyjaśnia. Musiałby chyba powiedzieć, że zapomocą owych aktów myślenia teoretycznego i praktycznego chwytamy intuicyjnie to, co uważamy za jądro życia i istnienia przedmiotu pięknego, to, co w nim nam wydaje się najstalszem i najsilniejszem, jego organizacyę gatunkową i celową. Ale to byłoby przeciwnem jego kardynalnemu założeniu, iż czysto estetycznem jest tylko bezpośrednie działanie plastycznego przedstawienia na uczucie, a cieszenie się rzeczywistością,

jakimbądź sposobem odgadywaną, jako uczucie wartości jakiejś egzystencyi, musi być temsamem pozaestetycznej natury.

Skutkiem tego stanowiska jeszcze skomplikowańszem musiało się stać psychologiczne rozczłonkowanie i wyjaśnianie, jak działa na nas piękność wyrazu i nastroju, czyli t. zw. psychiczna. W. upatruje jej właściwość w tem, iż odczucie jej polega na wewnętrznem doświadczeniu, na realnem niekiedy, ale częściej i głównie na fantazyjnem przebywaniu tych stanów i poruszeń duszy, których wyraz znajdujemy w jakiemś zjawisku zewnętrznem (albo w nie z wnętrza naszego jako nastrój przenosimy). Nie fakt, że coś się wyraża lub wyrażonem zostało, ale sama wyrażona treść, jest, jak to trafnie wykazuje autor, właściwym przedmiotem uciechy w tego rodzaju pięknie, i można też zgodzić się z dalszem twierdzeniem, że treść i przedmiot, t. j. przedstawienie żywe odnośnych stanów psychicznych są tu identyczne. Ale skąd pochodzi siła emocyonalna takiego przedstawienia. Dlaczego pewne tylko z wyrażonych stanów i poruszeń duszy mają ogólniejszą i stalszą zdolność podobania się nam, a dlaczego inne choć równie intenzywne i w osobistem przeżyciu przyjemne i z innych względów, jak zwłaszcza etycznych, dodatnio oceniane, mogą, gdy patrzymy na ich wyraz lub gdy sobie tenże wyobrażamy, pozostawiać nas w obojętności? W. kładzie nacisk na trzy momenty, które jego przekonaniem widocznie mają głównie decydować o dojściu do skutku upodobania w pięknie wyrazu i nastroju. Jednym z nich jest to, że owe uczucia, przy pomocy których odgadujemy i przeżywamy w sobie wyrażone w pięknie psychicznem stany duszy, nie są poważnemi, realnemi uczuciami (*Ernstgefühle*), przynajmniej w niezmiernej większości wypadków, ale fantazyjnemi, jakkolwiek doznana w ostatecznym wyniku uciecha estetyczna jest całkiem poważną. To znaczy w przeciwieństwie do poglądów Lippsa, iż my delektując się pięknem wyrazu, bardzo rzadko utożsamiamy się, czy to świadomie, czy choćby bezwiednie z istotą, przebywającą wyrażony stan psychiczny, ale prawie zawsze, a zwłaszcza,

gdy mamy przed sobą dzieło sztuki, zdajemy sobie całkiem dobrze sprawę z tego, iż stan ów nie jest naszym, ale innej istoty, albo, że jest wręcz wytworem fikcyi artystycznej. Jako jeden z walniejszych argumentów przytacza W., iż przedstawienia cierpień n. p. Laokoona lub bohaterów tragedyi nie wywołują w nas wcale uczuć przykrych, ale przeciwnie. Illustracyę jego sposobu pojmowania tych zjawisk daje następny ekskurs (na str. 110): „Całość faktów psychicznych dzieli się na dwie połowy, które są tak ukształtowane, iż każdy psychiczny zasób (*Tatbestand*), który się znajduje w jednej połowie, ma w drugiej wierne odzwierciedlenie swe, zapomocą którego w pewnych okolicznościach może się dać zastąpić bez dalszych zachodów. Tak odpowiada przedstawieniu spostrzeżenia przedstawienie fantazyjne, sądowi supozycya o tej samej osnowie (objektywie), uczuciu poważnemu równe zresztą (*gleiches*) uczucie fantazyjne, pragnieniu poważnemu fantazyjne. Jeżeli tedy ma się utworzyć plastyczne przedstawienie jakiegoś stanu psychicznego, który w danej psychicznej konstellacyi podmiotu nie zachodzi, może nawet zajść nie może, to da się on zastąpić przez odpowiadający zasób fantazyjny i przez to, że się wewnętrzne spostrzeganie ku niemu zwraca, tworzy się pożądane przedstawienie plastyczne. Egzystencya i właściwość zasobów fantazyjnych są łatwe do rozpoznania w wewnętrznem doświadczeniu, skoro tylko uwaga na nie skieruje się". W tym kierunku dalej snując zestawienia obu „połów" życia psychicznego, stara się wykazać ścisłą analogię między uczuciami ze spostrzeżeń a uczuciami z przedstawień fantazyjnych, zaznaczając tylko ich słabszą intenzywność, charakterystyczną jakość odrębną, właśnie o ile są fantazyjnemi i to, że można o nich ściśle wziąwszy, powiedzieć, że „ani radują, ani bolą". Okoliczność że się w tej sferze wyobraźni nie zaznaje niczego na seryo, dopomagałoby może żywszemu wyobrażaniu treści stanów psychicznych, ich możliwych związków i faktycznych jedności. Ale pierwotnego bodźca do tych wyobrażań — a tem mniej podstawy do całkiem realnej, jaką W. uznaje, uciechy estetycznej te dość słabe uczucia

z fantazyjnych przedstawień nie dają. Przyzywa więc on tu do pomocy dwa inne momenty: wczuwanie się i zajęcie (uczucia udziału). Pierwsze pojmuje jako doznawanie następcze (*Nacherleben*) w przeciwieństwie do zaznawania samego (*Selbsterleben*) i tłómaczy przyjemność takiego pochodnego doznawania wywiązywaną energią psychofizyczną przy odnoszeniu wyobrażanych stanów własnych do zmysłowych przejawów wyrazu tych stanów, obok czego i uczucia fantazyjne z suppozycyi (n. p. siebie samego, jako znajdującego się w przedstawionem położeniu) mogłyby grać rolę. W rozdziale p. t. „analiza mechanizmu suggestyi uczuć fantazyjnych" stara się autor uprawdopodobnić znaczny wpływ woli na bieg zarówno uczuć jak wyobrażeń fantazyjnych i wiązanie się pierwszych i drugich, w muzyce zwłaszcza, na zasadzie podobieństw ruchów i form. Co do uczuć zajęcia, wśród których za podstawowe i najznaczniejsze zwłaszcza przy użyciu poetyckiego i belletrystycznego piękna uważa sympatyę, przyznaje, iż są to motywy postronne, nieidentyczne z właściwą uciechą estetyczną, dodaje jednak, że ją potęgują w miarę uświadamiania sobie ich porywającej siły (str. 152). Uczucia te rodzące się pod wpływem widoku jakichś wybitnych przymiotów w dodatnim lub ujemnym kierunku krępują uwagę, ożywiają grę naszych wyobrażeń dokoła wewnętrznego życia i zewnętrznych sytuacyi odnośnych a tak stanowią realną podnietę dla wczuwań się i dla ocen przedstawienia treści psychicznej. Nawet dla zupełnie poważnych, nie wywołanych żadną fikcyą, w realnem życiu tętniących uczuć zastrzega autor zdolność pośredniego ułatwiania lub podsycania uciech estetycznych, mianowicie z powstaniem znanych przykładów natur twórczych, które w pięknie ulgi szukały i znajdowały ją. Te spostrzeżenia, jakkolwiek w szczegółach trafne, nie dają nam jednolitego i przejrzystego obrazu powstawania uciech w pięknie wyrazowem i nastrojowem. Widzimy wcale misterną mozaikę analizy psychologicznej, ale na próżno wypatrujemy jakiegoś

górującego hasła, któreby sprzęgało w jednolity organizm stan duszy widza, słuchacza, czy czytelnika opanowanego wizyą wstrząśnień duchowych, któreby nam wyjaśniało odczucie piękna w przejawie potężnych, harmonijnych, albo gwałtownemi walkami szarpanych osobistości. Autor ścisły w odróżnieniach i klasyfikacyach nie uczuwa potrzeby uwydatnienia głównego nerwu życiowego w działaniu estetycznem jednych ludzi na drugich, czy nim jest siła woli, czy śmiałość inicyatywy, czy poruszenie jasnej i ogarniającej idei. Nie wystarczy powiedzieć, że wyobrażenia tego rodzaju działają drogą zwykłych skojarzeń na wzmocnienie uczuć wczuwania się i udziału, gdyż rola ich przy wywołaniu uczuć estetycznych nie jest uboczną ale główną i wszelki przejaw bardzo skondenzowanej albo szeroko rozgałęzionej, wszechstronnej i zrównoważonej w swoich różnych kierunkach, albo wreszcie bardzo subtelnej i przenikliwej w sposobie swego reagowania energii duchowej ma warunki po temu, aby obudzić zajęcie i dążność do wczuwań w każdej do pewnego stopnia rozwiniętej i wrażliwej organizacyi psychicznej ludzkiej. Przy wykształceniu się kultury estetycznej przyznaje W. stosunkowo znaczny udział czynnikom, które uważa za pseudo- lub pozaestetyczne, a do takich zalicza oprócz uczuć wartości etycznej, uczucia zainteresowania umysłowego, w szczególności między innemi zainteresowania dla naśladownictwa, gry, a także tego, co jako charakterystyczne, wyraziście objawiające pewną istotę i jej cechy, zazwyczaj bywa zamieszczane w obrębie estetycznych wartości, że w jego oczach wartości etyczne najbliżej sąsiadują z pięknem, to widocznem jest z ułożonej przez niego tabeli kombinacyjnych elementów czysto estetycznych uczuć, (str. 275), których odróżnia 9: 1. Przedmioty prostego wrażenia zmysłowego. 2. Przedmioty kształtów (*Gestaltgegenstände*). 3. Przedmioty (fizyczne) piękna wartości t. j. normatywnego — następnie z przedmiotów wewnętrznej piękności. 4. Przyjemne, etycznie akcentowane (betonte) uczucia wczuwania się. 5. Takież uczucia etycznie nieakcentowane. 6. Przykre uczucia

wczuwań się etycznie akcentowane. 7. Takież uczucia etycznie nieakcentowane. 8. Przyjemne uczucia zajęcia czyli udziału i wreszcie 9. też uczucia przykre.

Ponieważ w kategoryach 1, 2 i 3 przyjmuje jeszcze podpodział na przedmioty sprawiające upodobanie i nieupodobanie, uzyskuje w ten sposób 12 odrębnych elementów, z których składu ogółem 46 kombinacyi, a to przy pomocy następujących czterech zasad: *a*) Każda kombinacya musi zawierać element 1-szy t. j. prostych wrażeń zmysłowych, a każda dalsza także jakiś kształt. *b*) Produkt kombinacyi zawierający dwa ostatnie elementy uczuć udziału, musi mieścić także element piękna wartości. *c*) Jakościowo różne elementy uczuć wczuwania wykluczają się wzajemnie, a również dwa ostatnie, z pominięciem wypadków niedających przynajmniej nic nowego ani charakterystycznego. *d*) W produktach kombinacyi zawierających piękno wartości, obojętnem jest różniczkowanie prostych wrażeń zmysłowych wedle tego, czy są przyjemne, czy przykre zaś dla wszystkich, które mieszczą uczucia udziału, również obojętną jest różnica przyjemności i przykrości kształtu. Za pomocą tych kombinacyi, względnie formułujących się symbolów charakteryzuje tak skomplikowane zjawiska jak n. p. bolejącą Madonnę na włoskim obrazie złożenia Chrystusa do grobu (1, 2, + 3, 7, 9) albo Ifigenię na końcu dramatu Göthego (1, 2, + 3, 4, 8), podobnież ustępy z utworów Wagnera i Beethovena. Tym analizom nie można odmówić znacznych zalet i zasług dla nauki z tem jednak zastrzeżeniem, ażeby przy wyciąganiu z nich konsekwencyi nie rozbijać jednolitego efektu rzeczy pięknej.

Jeden z głównych dowodów decydującej roli uczuć fantazyjnych w estetycznem zanalizowaniu się podmiotu stanowi dla W. to, że uczucia, których w wyobraźni dodatkowo przeżywać nie możemy, jak fizyczny ból lub wstręt, nie mogą być, a w szczególności pierwszy bezpośrednio, drugi zaś zgoła (nawet choćby tylko dla wywołania kontrastu) zużytkowanymi w estetycznem odczuwaniu. To, na czego temat nie możemy bez przymusu snuć wyobra-

żeń, to, co nas albo odpycha wręcz (jak wszystko budzące wstręt), albo, co (jak ucierpienie fizyczne) nie da się z dostateczną plastycznością wyobrazić, tak iż my to zastępujemy tylko pośrednio współczuciem bolu duchowego, to nie nadaje się też na przedmiot wczuwań i współudziału. Znamiona wolności, wzniesienia się ponad byt, usunięcia ze zgiełku światowego (*Weltentrücktsein str.* 219) przysługiwać mają zachowaniu się estetycznemu, głównie na tej podstawie, iż czynności i uznania fantazyjne wchodzą w skład wszystkich zaznawań piękna, wyjąwszy chyba niezłożone wrażenia zmysłowe, bo już przy produkcyi najprostszych kompleksów wyobrażeniowych nie da się z góry wykluczyć udział owych czynników fantazyjnych. Natomiast zwalczając teoryę Groosa o powstaniu sztuki z igraszek dzieci i ludzi pierwotnych, wykazuje, iż zabawy dziecinne mają w sobie wiele elementów poważnych czyli, że tkwią w nich zainteresowania dla pewnych konkretnych i rzeczywistych zawodów życia, natomiast gra samych przedstawień „estetycznego pozoru" niezdołałaby tym zabawom użyczyć dostatecznie krępującego uwagę uroku, jaki faktycznie wywierają.

A jednak mimo tak stanowczych twierdzeń o przeważnym wpływie uczuć fantazyjnych na ukształtowanie się życia estetycznego widzimy u tegoż samego autora w sposobie wyłuszczenia i uzasadnienia różnicy między t. zw. czystą, czyli, bez konfliktów (*konfliktlose Schönheit*) pięknością a mieszczącą w sobie takie konflikty — w szczególności uczuć przyjemnych z współodczuwanemi przykremi, — stanowisko o całkiem odmiennych konsekwencyach. Przyznaje mianowicie, iż z trzech możliwych wypadków konfliktu, między uczuciami seryo sprawianemi przez przedstawienie przedmiotu estetycznego między uczuciami seryo a fantazyjnemi i wreszcie między samemi uczuciami fantazyjnemi, tylko wypadek drugi może mieć znaczenie dla treści i formy dodatniego odczucia estetycznego, gdyż kolizya poważnych uczuć budzi dyssonans, zaś ścieranie się uczuć wyłącznie wyobrażonych nie wystarcza jeszcze do powstania oceny piękna lub brzydoty. Skoro tedy ów jedynie znaczący wypadek kolizyi może

być tylko wynikiem stosunku uczuć poważnych do fantazyjnych, t. j. gdy wyobrażenie jakiegoś uczucia przykrego sprawia nam przecież całkiem realną, estetyczną przyjemność, i skoro zgodność jednych uczuć z drugiemi ma stanowić główną zasadę podziału piękności na czystą i na połączoną z konfliktami, można powiedzieć ogólnie, iż uczucia fantazyjne mają niezaprzeczony wprawdzie i znaczny wpływ na ukształtowanie się przedmiotu i treści pewnych doznawań estetycznych, jednakże nierozciąga się wpływ ten do całej dziedziny objawów piękna, warunkowany jest ściśle sposobem oddziaływania przedstawień na strony uczuciowe realne, a względną samoistność [1] objawia tylko wtedy, gdy uczucie zadowolenia estetycznego towarzyszy przenoszeniu się wyobraźnią w stany bolesne a nawet współczuciu dla realnych czy fikcyjnych istot cierpiących (głównie w t. zw. litości tragicznej [1]. W każdym razie przyczyny, dla których takie uczucie fantazyjne mimo swego zabarwienia bolesnego, t. j. motywów jakiegoś cierpienia, uznawających je, składa się przecież na ogólny rezultat dodatni, na radosne podniesienie ducha doznającego tego uczucia, tkwić zdają się nie w samem uczuciu fantazyjnem, ale w stosunku wy-

[1] Dr. Sobeski w dziele powyżej cytowanem zdaje się utożsamiać uczucia fantazyjne z uczuciami wyobrażonemi, gdy (na str. 66) powiada, że Witasek upatruje istotę wczuwania w wyobrażaniu uczuć, nie pomnąc, iż „wyobrażone uczucia" są psychologiczną fikcyą. Jednakże tak elementarnego błędu w rozumowaniu nie można przypisywać estetykowi grackiemu. Widzieliśmy z przytoczonych ustępów, że uczucia fantazyjne różnią się tem od uczuć seryo (w znaczeniu nadanem im przez Witaska), iż są uczuciami wymotywanemi przez wyobrażenia, a nie przez spostrzeżenia ani przez sądy konstatujące coś rzeczywistego. Uczucia te więc charakteryzować ma świadomość z niemi połączona, iż przedmiot przedstawiony nie jest w danej chwili i miejscu realny i że kwestya jego ziszczenia się, t. j. większe lub mniejsze tegoż prawdopodobieństwo nie ma wpływu na jakość i siłę uczucia. To znaczy, że także z nadziejami i obawami uczuć takich nie należy mieszać. Mogą one tłómaczyć się często lub po największej nawet części podobnemi przeżyciami realnemi, ale trudno wątpić o tem, iż powstają, bo inaczej musiałoby się chyba odmówić wartości estetycznej wszystkiemu, co działa na nas przez swą bajeczność lub widoczną legendarność.

obrażeń połączonych z niem do całości oglądanego w wyobraźni lub w spostrzeżeniu przedmiotu, o ile przez ten stosunek zdziałanie przedmiotu na nas w jakimkolwiek kierunku potęguje się, skłania do żywszego, głębszego lub bardziej wszechstronnego zatopienia się uwagą w plastycznem przedstawieniu istoty, odczuwanej jako piękna. Są to więc, jak w ogóle w dziele Witaska, raczej nasunięte problemy, aniżeli ich rozwiązanie lub chociażby dopiero ukazana ku temuż droga. Z ogólniejszych praw podobania się estetycznego odważa się omawiany tu autor sformułować bliżej tylko to jedno, iż z dwojakich dyspozycyi psychicznych stanowiących warunek takiego dodatniego działania przedmiotu oglądań, mianowicie z dyspozycyi dla założeń, t. j. dla pewnej osnowy i sposobu łączenia wyobrażeń i dyspozycyi dla wzruszeń przez te wyobrażenia w dodatnim lub ujemnym kierunku, dyspozycye pierwszego rodzaju łatwiej i szybciej ulegają zmianom, podczas gdy dyspozycya czysto uczuciowa, emocyonalna wystawioną jest jedynie na oscyllacye w pewnych granicach skutkiem znużenia i wypoczynku, przytępienia i przyzwyczajenia, a dopiero w ciągu życia całych pokoleń radykalniej zmienia się, będąc zresztą zawsze bardzo rozmaitą u różnych indywiduów i narodowości (str. 351). Prawo to uchodzi u W. za tak pewne, że wysnuwa z niego rodzaj dyrektywy, metodycznej wskazówki. Ilekroć stajemy przed faktem różnych reakcyi estetycznych na ten sam zewnętrzny przedmiot, tam przedewszystkiem, zdaniem jego, zachodzi podstawa do przypuszczenia, że niejednakowo funkcyonowały dyspozycye dla założeń, to znaczy, że nie tosamo przedstawienie było bodźcem uczucia estetycznego w jednym i w drugim wypadku. Na pytanie prowadzące do rozstrząsań tego prawa: jaka mianowicie jest właściwa i bezpośrednio czysto-estetyczna dyspozycya? odpowiada w duchu wyżej wyłożonej teoryi, iż jest nią dyspozycya do uczuć wywoływanych treścią przedstawień (*zu Vorstellungsinhaltsgefühlen* str. 347).

Kwestyę istnienia i określenia norm piękności stara się W.

rozwiązać przy pomocy pojęcia smaku estetycznego, jako odznaczonego przez nas szczególną wartością przed innemi dyspozycyami estetycznemi i dzieli problem na trzy części: (str. 357) 1. Czy faktycznie przypisujemy pewnym objawom uczucia estetycznego wyższą wartość aniżeli innym? 2. Jeżeli tak, to jakim? 3. Dlaczego to czynimy? Odpowiedź twierdząca na pierwsze pytanie, zaś wyjaśniająca na drugie, nie ulega w oczach autora wątpliwości, przynajmniej w obrębie prostych wrażeń zmysłowych (n. p. jasno czerwony kolor jest mu niewątpliwie piękniejszym od brudnego zielono-żółtego), a również w obrębie regularnych kształtów przestrzennych i dźwiękowych. Co do przedmiotów skomplikowańszych przyznaje, że nie można w nich odrazu stwierdzić tego rodzaju norm rządzących oceną piękna, jednakże zaraz dodaje, że źródło („korzeń") istnienia takiej normy tam, gdzie się musi ją uznać, jest takie, iż się jest uprawnionym do wyczekiwania skutków widocznych i poza owym ciasnym obrębem. Źródło to mianowicie widzi w daleko sięgającej (jakkolwiek niecałkowitej) jednorodności organizacyi psychicznej, w „ogólnoludzkim pniu" a ta wspólna podstawa wydaje mu się mieć o wiele, bez porównania, bardziej determinujące znaczenie aniżeli wszelkie osobliwości indywidualno-psychiczne, a to tak dla życia umysłowego jak emocyonalnego. Wpływy zakłócające jednakość przyczyn, mianowicie subjektywnych warunków odczuwania piękna, należą zdaniem W. w największej liczbie wypadków do sfery pozaestetycznej, jak przy upodobaniach wmówionych czyjąś powagą, wyrozumowanych, lub przez etyczne względy narzuconych, tak iż, po wyeliminowaniu tych czynników postronnych, pozostanie jedynie stosunek przedstawień do wiążących się z niemi uczuć, w którym „normalne", czyli odpowiadające zgodnym rysom organizacyi psychicznej danego środowiska kulturalnego zachowanie się estetyczne wykryć bez trudności da się. A to tembardziej, że nietylko prawa ogólne życia psychicznego istnieją, ale i otoczenie człowieka w pewnych granicach zachowuje przez czas dłuższy jednakie cechy zasadnicze (str. 368).

Ponieważ jednak w ten sposób dla każdego odrębnego

typu środowiska cywilizacyjnego włącznie z czynnemi w niem rasowemi właściwościami psychicznemi wytwarzają się osobne estetyczne normy, względnie normalne reakcye uczuć na przedstawienia plastyczne, z drugiej zaś strony nie może autor zaprzeczyć istnieniu dążności do uszykowania tych norm w jakiś porządek pierwszeństwa wartości. (*Rangordnung*), która to dążność zdaje się być nieodłączną od natury duchowej człowieka, radzi sobie W. przez utożsamienie normy wyższej z normą bardziej obejmującą i t. p. dającą się zastosować do szerszego obrębu przedmiotów i przynależną większemu kołu indywiduów. Przewidując zarzut z powodu wyprowadzenia czysto ilościowego kryteryum, coby się nie liczyło z powszechnie wiadomym brakiem zrozumienia dla najwznioślejszych dzieł przez szerokie masy, precyzuje bliżej pojęcie normy bardziej ogarniającej w tym kierunku, iż wykształcony, oczyszczony wytworny smak, który taką wyższą normą się kieruje, zastosowuje ją i przejawia w swoich odczuwaniach, przedstawia w osobie znawcy sztuki wcielenie jakiejś wyższej potęgi (*einer höheren Potenz* str. 369) dyspozycyi estetycznych powszechnie danych. Będzie to n. p. w odniesieniu do muzyki jaśniejsze ujęcie kształtów dźwiękowych, głębsze wczucie się w ich wyraz. Wogóle nie jakieś gatunkowo odmienne ale tylko silniej spotęgowane, konsekwentniej i wszechstronniej rozwinięte funkcye tętnią w myśl tego poglądu w duszy wybrańców smaku i stanowić mają w ten sposób produkt krystalizacyjny dyspozycyi, najszerzej rozsianych wśród ogółu, ale tylko w kształtach ułamkowych, niewykończonych. Trafność ustosunkowania tych funkcyi, objektywność odczutej piękności mogą być z tego punktu patrzenia oczywiście tylko względne, o ile w porównaniu z innemi zachowaniami się estetycznemi objawiają większą wszechstronność, zgodność lepszą elementów i form przedstawień oraz uczuć — o ile też w czystszej, wolnej od postronnych domieszek postaci zre-

alizowane jest w nich działanie przedstawień na uczucia ze wzajemną ze strony tych ostatnich reakcyą.

W związku z tem stanowiskiem i w pochodnym doń stosunku pozostają poglądy o stylu, stylowości i sztuce. Nie na skombinowaniu pewnych charakterystycznych elementów formalnych ma polegać styl przedmiotu, względnie stylowość danego utworu, ale na uwidocznieniu jego ustroju i właściwości, (*Beschaffenheit*), jako uwarunkowanych właściwym ustrojem istotnie współdziałających około jego powstania czynników a przedewszystkiem osobistości twórcy i fizycznego materyału wykonania. Na pierwszy plan wysunął tu W. zdolność wyrazową form artystycznych, w których przebijają się najpierw charaktery ludów i epoki, a z czasem i stopniowo indywidualności. Gdy zaś w jego rozumieniu norma estetyczna jest u swego źródła i podstawy niczem innem jak wspólną prawidłową postacią przebiegów życia psychicznego, przeto styl, ażeby mógł być łatwo zrozumiałym, żywo przemawiającym wyrazem stanów i kolei psychicznych, aby pobudzał do wczuwań się weń i rodził za tychże pośrednictwem bogatszą grę uczuć, musi odpowiadać wiernie panującej w danem pokoleniu normie t. j. całokształtowi wspólnych w organizacyach psychicznych rysów pod względem sposobu przedstawiania sobie rzeczy i uczuciowego reagowania na nie. Na poparcie służy tu okoliczność, iż przy oglądaniu i ocenianiu jakiegobądź wytworu artystycznego ducha ludzkiego myśli widza mimowoli i z najwyższą łatwością przemykają się od zewnętrznych form dzieła i jego treści ku jego wytryskowi z duszy a dla estetycznej oceny jest nawet koniecznie wymaganym ten sposób wczucia się w rodzący dzieło ustrój psychiczny.

Sztukę określa W. jako czynność ludzką skierowaną ku wytworzeniu przedmiotów działających estetycznie dodatnio a przemysł artystyczny jako połączenie powyższej czynności z zajęciami przemysłowemi zwróconemi do określonych praktycznych celów. Kładzie nacisk na to, że do powstania sztuki niezbędnem jest zbudzenie się już przedtem uczuć estetycznych, względnie wywołanie ich przez odpowiednie przedsta-

wienia spostrzeżonych lub wyobrażonych przedmiotów a w dalszej konsekwencyi pragnienie płodów ludzkiej działalności, któreby podobne uczucia sprawiały. Nie wystarcza tedy mimowolny wyraz stanów wewnętrznych uzyskany w tworach kształtowań, ale musi to być wynik osiągnięty z zamiarem zakomunikowania go innym, przyczem i zamiar oddania swoich spostrzeżeń (nietylko wzruszeń) może, jeśli to oddanie było szczęśliwem a nie ogranicza się do czystego naśladownictwa, użyczyć dziełu charakteru artystycznego. Mimo starannego rugowania z dziedziny użycia piękna uczuć wartości uznaje przecież W. w sztuce dążenie do pewnych wartości (*Anstreben von Werthen* str. 385) i zadaje sobie bez dania odpowiedzi pytanie, dlaczego wartość uczuć estetycznych przez rozwój zdarzeń wedle zasady naturalnego doboru w walce o byt, a temsamem i uczucia same, nie starły się. Oświadcza się przeciw poglądowi, jakoby zadaniem sztuki było wywoływanie illuzyi, w szczególności także illuzyi świadomej (w myśl poglądów Konrada Langego), lub w ogóle naśladownictwo — a to z powodu, iż te rzekomo pożądane rezultaty bynajmniej działania piękna wytworzonego przez fantazyę i za pośrednictwem uczuć fantazyjnych, sprawiającego użycie estetyczne, nie wyczerpują — w wielu zaś sztukach jak w architekturze, ornamentyce, muzyce, o illuzyi lub naśladowaniu wcale niema mowy — wreszcie dlatego, że ani sądy ani supozycye nie są założeniami dla uczuć estetycznych. Podnosi dalej, że naśladownictwo rzeczywistości może nawet w pewnych razach szkodzić działaniu artystycznemu, gdy mianowicie zaostrza nadmiernie realizm pewnych uczuć i sytuacyi tak, iż tenże tamuje grę krzyżujących się (interferencyę) uczuć fantazyjnych — jakkolwiek w uprawnionych granicach naturalność (Naturwahrheit) potęguje w widzu dzieł sztuki zdolność wczuwania się i współudziału.

Zupełnemu rozpętaniu sztuki ze względów na etyczne przekonania i na religijne wierzenia jest W. stanowczo przeciwnym. Bardzo charakterystycznem jest zdanie, wyglądające jakby na aluzyę do reklamowanych w parlamencie wiedeńskim „Legend“ Niemojewskiego (str. 387). Jeżeli temat historyczny należy do

rzędu tych, które z jakichkolwiek powodów w sposób normalny i tradycyjny zabarwiano pewnym określonym tonem uczuciowym, jak niektóre z religijnych legend wyjęte, i jeżeli poeta pozwala sobie na różne modyfikacye, które pozostają w sprzeczności z tonem uczucia od początku tkwiącym w przedmiocie, to w takim razie musi się liczyć z komplikacyami uczucia stąd wynikłemi, które utrudniają estetyczne użycie i wykracza przeciw normom estetycznym, jeżeli nie potrafi tych komplikacyi pokonać siłą własnego przedstawienia.

Jakkolwiek nie można odmówić znacznej dozy bardzo poważnych zalet sposobowi postawienia i rozstrząsania problemów estetycznych przez Witaska — pozostają w jego teoryi punkta bardzo niejasne — zapewne przez autora samego jeszcze stanowczo nie rozstrzygnięte, a zwłaszcza pojęcie normy estetycznej, rozleglejszej ponad inne, pozostało wbrew tendencyi do psychologicznego wyjaśnienia wartości rodzajem niedającego się wypełnić, na zawsze otwartego postulatu, tak iż wykracza w niem W. poniekąd poza swoje zdeklarowane stanowisko wyłącznie tłómaczącego psychologisty — ponadto zaś rola norm fantazyjnych i ich stosunek do uczuć poważnych jak również funkcya t. zw. objektywów w użyciu estetycznem nie zostały wyczerpująco wyświetlone, jak to wyżej udowodniono.

Dr. Witold Rubczyński.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe".

Niewiasta Chanaanejska.

— Matko... matko! — zerwała się z posłania, oczyma pełnemi obłędnego lęku wodząc dokoła, dziewczęca jej twarzyczka bardzo szczupła, o żółto sinych tonach, wychylała się z potarganych czarnych włosów na kształt zjawy — Matko!... Ma...tko...

Stara kobieta przyrządzająca w kącie izby śniadanie drgnęła, rzuciła na ławkę chleb trzymany w ręku i podeszła do dziecka z całem piekłem rozpaczy w wypłakanych źrenicach.

— Znowu córuchno... znowu...

— Znowu...

Zwarły się w milczącym uścisku.

Drżące, zwiędłe ręce starszej, przesuwały się machinalnym, nieskończenie pieszczotliwym ruchem, po zwojach włosów młodszej.

Dziewczyna tuliła się do matki, szczupłe ramiona zaciskając kurczowo w koło jej szyi, bo czuła znowu ten straszliwy lęk, który poprzedzał każdy jej atak, ten strach ścinający krew w żyłach, duszący krtań, wdzierający się w mózg... w głąb serca... zimnym potem perlący jej skronie. Wiedziała, że potem coś się z nią staje, własna jej osobowość na szereg chwil zanika, wyparta przez jakąś siłę obcą... z wykrzywionych bolem warg rwie się dziki śmiech... szelest słów, których echo nie dochodzi nawet do świadomości zwojów mózgowych, nic w sobie ludzkiego nie mający krzyk... A potem... konwulsyjne rzuty ciała...

straszny, bezwolny taniec, gdy oczy pełne męki zdają się wytryskać z orbit, a usta sine, krwawą pianą oblane, śmieją się... śmieją... wśród łkań...

I oto czuje, że ten atak, ta chwila bezświadomości nadchodzi... głos jej niewyraźny już, żałosny, skomleniu szczenięcia podobny, dźwięczy w przestrzeni.

— Matko!... matko...

Siwa kobieta namiętnym ruchem tuli do wyschłej piersi głowę dziewczęcia... tak kocha, tak kocha to nieszczęśliwe dziecko swoje... mimowiednie szepcą jej usta słowa pociechy, pieszczoty.

A jednak... miała już chwile, w których spływała na nią pokusa... zaduszenia własnemi rękami tego pisklęcia... by nie cierpiało. Zdawało się jej nie raz, że przeżyć nie potrafi tego ataku powtarzającego się tak często, a zmieniającego jej dobre, łagodne, chore dziecko w jakąś furyę rozpętaną, wściekłą... w jakąś obcą, straszną istotę.

Każdy krzyk tego jej dziecka wdzierał się jej w mózg, szarpał nerwami, rozrywał serce...

Wolałaby sama wykonywać ten straszny pląs niżeli patrzeć, słuchać z wiedzą, że pomocy przynieść nie jest w stanie.

Pragnęła pomoc dać... po lekarzach chodziła, po cudotworcach... krwawo zapracowany grosz wciskała w sępie szpony cudotworców...

Posłyszała o cudownej wodzie w Jeruzalem... zapożyczyła się na drogę i wiodła dziecko w tę gehennę bolu do świętej wody sadzawek Betsedy — by napiła się lub obmyła w jej głębi, gdy anioł skrzydłami wodę poruszy. Z takim niepokojem tuliła dziecko do siebie, czekając drgnienia przejrzystych wód... z taką olbrzymią, świętą wiarą.

A dokoła widziała wszystkie nędze ziemi, na marmurze schodów siedziały wyschłe mumie ludzkich ciał, bezwładne obnażając członki, widziała... otwarte, ropiejące rany... zatruwające odorem zgnilizny powietrze, starców paralityków, dzieci na rachitycznych nogach z zaskorupiałemi owrzodzeniami, z ciekącymi skrofułami... Słyszała: śmiechy idyotów,

krzyk opętanych... szepty ust błagających modlitewnie... I widziała oczy ślepców, martwe, w bezbrzeżną dal wiecznego mroku utkwione i źrenice obłąkanych powiększone, nieczułe na blask, nieprzytomne.

Pamięta, jak błagała Boga swego i wreszcie... woda drgnęła... na powierzchni sadzawki ukazała się sieć zmarszczek ledwo dostrzegalnych... dojrzały ją oczy oczekujących.

Powstał tłok... każdy pragnął być pierwszym... słabi odnajdowali siły do walki na pięście, tłoczyli się przewracając jedni drugich do sadzawki. W modlitewną ciszę wpadł krzyk tłumu podnieconego oczekiwaniem... brutalny gwar przekleństw i wyzwisk, przejrzysta woda zmąciła się w jednej chwili, zaroiła kłębem nagich ciał. I ona cisnęła się wraz z innemi, byle i jej dziecko otrzymało błogosławieństwo tej wody zdrowie dającej.

Zanurzyła je w wodzie... aż po tę biedną chorą głowinę i przyszedł atak gorszy niżeli wszystkie poprzednie, sina głowa jej dziecka uderzała o marmur schodów, znacząc go plamami piany i krwi.

A jej coś w duszy zamarło... usta zapomniały modlitwy, wzięła szarpiące się dziecko na ręce i niosła po schodach w górę... a śmierć miała w duszy i jakiś straszny nieludzki ból.

— Przecież wy pierwszy raz dopiero z chorą waszą byliście w Betsedzie... nie trzeba rozpaczać... usiądźcie tu obok mego tapczana... spocznijcie...

Starzec-paralityk uśmiechał się do niej, z trudem robiąc miejsce jej dziecku na swoim barłogu... Złożyła je i zmęczona osunęła się na kolana, wpijając oczy w niebios błękit... w próżnię, w dal... A starczy głos szeptał, jak gdyby zrozumieć nie mógł.

— Rozpacz macie w oczach... a jesteście dopiero pierwszy raz w Betsedzie... czyż nie wiecie, że miłosierdzie Pana wyżebrać trzeba... nie przychodzi ono tak, na pierwsze zawołanie duszy znużonej. Spojrzcie ilu dokoła nas czeka uzdrowienia i uzbrójcie się w cierpliwość.

— W cierpliwość!...

— Widzicie... ja... dwadzieścia kilka lat już tu czekam...

ruszyło mnie powietrze... Młody, zdrowy, silny przyszedłem z winnicy do domu i w progu zwaliło mnie powietrze z nóg... w mgnieniu oka... jak siekiera wali pień cedrowy... urwał, bo głos mu się załamał łzami. Przywiodła mnie do Betsedy żona młoda, Rachela moja słodka... co dnia znosić mnie kazała do sadzawki, nieruchome ciało myjąc... wierzyła ona... wierzyłem... może z początku tylko dla niej... i ja. Czekaliśmy cudu... wspominając miniony sen szczęścia i nawet w tej gehennie męki dobrze nam było... Aż odeszła gołębica moja... odeszła w bezpowrotną drogę do dusz ojców... a jam pozostał...

— I pragnęliście jeszcze uzdrowienia?...

— By się na jej grób zawlec... by przy niej umrzeć... by do domu jeszcze wrócić, w którym syn już zdawna gospodarzy... raz jeszcze minione przypomnieć i po świętej rodnej ziemi, na której pracowałem, raz jeszcze przejść.

— Schodzicie do sadzawki?...

— Nie ma mnie kto znieść... syn czasu nie ma, synowa w południe zajrzy, jedzenie przyniesie, ale czuwać przy mnie nie może... ma dom, dzieci, służbę. Ot gdy wnuka dorośnie... to dziadka zaprowadzi do sadzawki świętej po zdrowie... Cierpliwość trzeba mieć i wiarę w Panu.

— A zdrowieją ci inni co tu czekają?...

— Zdrowieją niekiedy . . . ale wielu z nich czeka, jak ja . . . latami. Rachel moja, gołębica moja, tuliła niegdyś słoneczną twarz do moich rąk... gdy z moich oczu płynęły łzy nad . . . bezwładnością moją . . . drobnemi rączkami garnęła moją głowę, do krągłych, silnych piersi swoich i szeptała . . . cierpliwość trzeba mieć i . . . wiarę . . . — z pod starczych powiek wymknęły się dwie łzy i spłynęły po bruzdach twarzy . . . — A wnuka moja, dzieciątko najmilsze gdy przyjdzie, to szczebiota — jak dorosnę do sadzawki cię zaniosę, zdrowie odzyskasz . . . tyś lekki a ja silną będę już nie długo . . . Więc czekam . . .

— Łatwiej wam dla samego siebie cierpliwość mieć ale mnie o dziecko chodzi . . . A przytem . . . ja na czekanie środków nie mam . . . zmarniałoby gospodarstwo i tak dług zaciągnęłam . . . wracać mi trzeba . . .

Spojrzał w jej suche, gorączką płonące źrenice swemi łagodnemi oczyma i uśmiechnął się do niej.

— Wracajcie . . . Wiecie?. . . ja myślę . . . chociaż to grzech może . . . że gdy Bóg zechce, to wyzdrowienie da i bez cudownych wód Betsedy . . . trzeba tylko kochać Go bardzo i wierzyć w niego . . . ze wszystkich sił.

— Szczęśliwi jesteście przy kalectwie swojem z tą waszą wiarą . . . ja jej nie mam . . . — odparła zaschłemi wargami.

— Będę się modlił za was i za dziecię wasze, bo obojgu wam zarówno trzeba uzdrowienia — szepnął starzec, a w oczach jego była olbrzymia litość dla jej nędzy.

Wróciła do domu . . . i oto lata minęły już od tego czasu, z dziecka jej wyrosła dziewica, a ataki przychodziły co raz to częstsze . . . co raz to silniejsze.

A ona nawet tej ulgi nie miała, by wzywać Bożej pomocy... bo w mózgu rodziła się zaraz, wszystko inne paraliżująca myśl . . . po co ty wołasz? . . . do Boga? A splecione palce rozsuwały się bezwładnie.

Wszak tam . . . nikt nie słucha . . .

I wtedy wstawało w niej pragnienie śmierci dla dziecka i siebie . . . ucieczki przed bolem, wyzwolenia. Stronili od jej chaty sąsiedzi, gromada ludzi ciemnych i biednych odrazu określenie znalazła dla choroby jej dziecka... „opętana przez dyabła", a w matce wstawał lęk, by się komu co złego nie stało w osadzie, by krowy mleka dawać nie przestały, bo wtedy ten ciemny tłum rzuciłby się z kamieniami na jej dziecko.

Widziała raz taką podejrzaną o czarowanie nieszczęśliwą, gromadka wyrostków gnała ją za bramy miasteczka. Przez zdarte płótno sukni świeciło nagie sińcami i ranami pokryte ciało, lepiły się krwią włosy złotawe . . . przez chwilę spotkała spojrzenie takie straszne umęczonej śmiertelnie duszy i krew jej zastygła w żyłach na myśl, że i jej dziecko mógłby podobny los spotkać.

Więc zamknęła drzwi chaty a w niej dziecko swoje, byle nie powiedziano, że oczy jej córki urzekły komuś dobytek lub zdrowie.

Nieludzki krzyk, rwący się z ust chorej w ataku, usiłowała zgłuszyć, zatykając dłońmi jej wargi... szamotała się ze zrywającą z posłania... a gdy wreszcie wysilona dziewczyna zapadała w sen, to i ona matka opadała wpół martwa na tapczan, a każdy nerw w niej drżał, każdy zmysł cierpiał.

Tyle lat to już trwa... tyle lat...

Za czyje winy?

Ile razy, z zaschłych jej warg chciało się zerwać bluźnierstwo, tyle razy widziała twarz paralityka z Betsedy i słyszała jego równy, głęboki głos.

— Cierpliwość trzeba mieć i... wiarę...

Trzeba... ale gdy się jej nie ma?... nie do wszystkich dusz ona schodzi... nie do wszystkich przemawia serc. Spojrzała na dzieweczkę, spała, na masie czarnych, starganych włosów, rysowała się ostrymi konturami twarzyczka wychudła... nawet przez sen ból drgał bezbrzeżny na zaciśniętych ustach.

Trzeba po wodę pójść... trzeba pójść...

Zwlokła się z tapczanu, dzban na wodę wzięła, serce w niej kołatało niespokojnie, słaniają się nogi, ale teraz dokąd ona śpi, chatę może odejść spokojnie i przynieść co do życia potrzeba.

Wyszła...

Przecudny był ranek, złociły się zbóż łany rozfalowane a w jej duszy rozpacz była i tępy, obojętny już na wszystko ból.

Wlokła się z naczyniem swojem do studni w polu, odpoczywając chwilę, brakowało jej tchu...

Przez łany zbóż wiła się wąska ścieżyna, dojrzała na niej grupę ludzi, błękitne i purpurowe szaty wykwitały nad rolą, jak olbrzymie maki i bławaty. W pośrodku szedł wysoki, smukły młodzieniec w białej szacie... mówił coś a garść mężów i niewiast łowiła zda się słowa z jego ust łagodnych, jakieś święte przejęcie było na twarzach starców, młodzieńców i niewiast.

— Kto to może być? — myślała Chanaanejka, bezwiednie przylgnęły do niego jej oczy... był w Jego ruchach majestat a na przeczystem czole przeczuciowy stygmat wielkich cierpień

co nadejść muszą, uśmiechały się usta tajemniczym, łagodnym a bezmiernie dobrym uśmiechem.

Mijali ją właśnie . . . więc pytała.

— Kto to... ten mąż?

— To wielki nauczyciel.

— Jezus z Nazaretu . . .

— Mesyasz od Boga przysłany . . .

— Bóg...

— Żyd . . . — myślała pogardliwie Chanaanejka.

W tej chwili spokojne, ciemno-błękitne oczy Jezusa z Nazaretu, spoczęły na jej twarzy przez mgnienie i zasnuła je głęboka mgła smutku.

— Uzdrowił już tylu ludzi — słyszała czyjś życzliwy — jeżeli chora jesteś niewiasto lub chorych masz w domu . . . Korzystaj . . . prawdziwy to Syn Boży.

Więc rzuciła się białej, młodzieńczej postaci do nóg, chociaż w głębi jej serca nie było wiary.

„Zmiłuj się nademną Panie... synu Dawidów... córka moja ciężko bywa od dyabła dręczona".

Biała, smukła, postać cofnęła się bez słowa, a w głębi oczu błękitnych odbił się żywy i bezmierny ból . . .

Spotkały się źrenice Boga z oczyma kobiety . . . niemy wyrzut z nich spłynął pytaniem.

— Gdzie wiara twoja? . . . zabrać ją sobie dałaś . . . niewiasto?

— „Panie . . . ratuj dziecko moje! — błagała.

Pochylił jasną, piękną głowę.

— „Nie jestem posłany . . . tylko do owiec, które zginęły z domu Izraelskiego" — mówił zwolna.

Dziwili się uczniowie, raz pierwszy bowiem młodzieńcza twarz Pana, miała wyraz takiego bezbrzeżnego smutku, raz pierwszy smukłe dłonie cofały się przed uzdrowieniem. . . bo oczy, które widziały przeszłość i czytały w duszach ludzkich . . . wiedziały że w kobiecie tej był brak wiary, buntowniczy protest przeciw Bogu a i teraz jeszcze w tem „Ratuj mi je Panie" snuł się podkładny ton . . . jeżeli możesz . . .

Więc schylił jasną, piękną głowę, mówiąc surowo niemal.

„Nie dobra jest brać chleb dziecinny a miotać go . . . szczeniętom . . .“

I znowu spotkały się Jego oczy ze źrenicami kobiety, widziała tuż nad sobą tę twarz przedziwnie piękną i mistyczną, głębie oczu . . . karcących a pełnych żalu, że karcić muszą a w duszy jej zerwał się jakiś przeradosny krzyk.

To Bóg . . . Bóg . . . nie rabbi cudotwórca. . . to Bóg, który wszystko może.

Łkanie olbrzymiego szczęścia zerwało się w jej piersi — przygarnęła się do stóp Pana wołając.

„Panie! a wszakże i szczenięta jedzą odrobiny, które padają ze stołów panów ich . . .“

A w głosie jej dźwięczał teraz bezmiar gorącej, pełnej wiary, dusza jedną myślą była . . . — jam niegodna . . . straciłam prawo do łaski Twojej . . . ale Tyś litościwy . . .

Jasną twarz Pana opromienił błysk radości wielkiej, smukła ręka opadła na siwiejącą, w pyle gościńca leżącą głowę.

— „O niewiasto! niechaj ci się stanie jako chcesz . . .“

Przywarła płonącemi ustami do Jego stóp, wdzięczna bezmiernie. . . a dusza jej jedną modlitwą dziękczynną była za dziecko i za siebie.

M. Český.

Rok 1496 w życiu Stwosza.

Jest rzeczą zupełnie pewną, że Stwosz styczeń roku 1496 przepędził w Krakowie. Stwierdzają to dokumenty. Datę 10 stycznia nosi zapiska w krakowskich *Actach Consulariach*, brzmiąca: „Rajca Fryderyk Schilling oświadczył i poręczył czcigodnemu panu Krześławowi, biskupowi kujawskiemu za Wita rzeźbiarza przed magistratem, że tenże tak dobry kamień zamówi na jego grób, jakim był ten, który ten rajca mu przedłożył i mistrz Wit zobowiązał się, że w tej sprawie rajcę Fryderyka od szkody uchroni". (*Ac.* III 452). Cóż ta notatka mówi? Oto Krzesław biskup kujawski zamówił u Stwosza grób kamienny dla siebie, Schilling zaś ręczy, że Stwosz da taki sam kamień, jaki Schilling przedłożył. A notatka ta rodzi cały szereg pytań i wniosków.

---

[1] Skrócenia: *Ac* = Acta consularia w Archiwum miasta Krakowa. *Bbs* = Der Bildschnitzer V. Stoss und seine Werke Photographien von J. Hahn. Beschreibung von R. Bergau Nürnberg Schragskunstverlag. Bez daty. *Gab* = Albert Gümbel Archivalische Beiträge zur älteren Nürnberger Malergeschichte w *Rfk* 1907. *Hnr* = Der Th. Hampe Nürnberger Ratsverlässe Wien Leipzig 1904. *Kjz* = Kunstgeschichtliches Jahrbuch der kk. Zentralkomission Max Dvorak. *Kpo* = Dr. Jan Kapras Pozustatky knih zemskieho prava Knizestvi opavskeho v Praze 1906—1908. *Kws* = Feliks Kopera Wit Stwosz w Krakowie. Kraków 1907. *Mhu* = Kazimierz Morawski. Historya Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1900. *Nnl* = Dr. G. W. H. Lochner. Des Joh. Neudorfer Nachrichten. Quellenschriften Eiltelberg von Edelberg Wien Braumüller 1875. *Rfk* = Repertorium für Kunstwissenschaft. *Rgp.* = Dr. V. Roth Geschichte der deutschen Plastik in Siebenbürgen. Strassburg Heitz 1906. *Rsv* = Kurth Rathe. Ein unbekanntes Werk d. Veit Stoss in Wien w *Kjz* 1909 Heft III, IV. *Sps* = Ludwik Stasiak. Prawda o piętnowaniu Stwosza. „Sztuka" 1912. VIII. *Spv* = Ludwik Stasiak. Prawda o Piotrze Vischerze. Kraków. 1910.

Przedewszystkiem ten, czy Stwosz wykonał ten grób biskupi, boć on w dniu 10 stycznia ma dopiero kamień zamówić! Jakże Stwosz mógł przyjąć to zamówienie, skoro on najpóźniej, jak zobaczymy, w pierwszych dniach lutego Kraków opuszcza? Gdyby przypuścić, że sprowadzenie takiego kamienia trwało dwa tygodnie czasu, gdyby przypuścić, że wówczas, w średniowieczu, istniał w Krakowie skład i dostawca takiego kamienia, toć i tak na wykończenie takiego grobu pozostało mistrzowi co najwyżej dwa tygodnie czasu, które to dwa tygodnie musi zredukować do zera uwaga, że przed taką ogromną podróżą Stwosz musiał wiele czasu stracić na przygotowanie do drogi. Nadewszystkiem góruje fakt: dziś taki stwoszowski grobowiec biskupa Krzesława nie istnieje. Napróżno pytaliśmy się o jego istnienie, we Włocławku i w kościołach Kujaw nic nie wiadomo, jakoby taki grób stwoszowski kiedykolwiek tam istniał. A więc odpowiedzieć na to pytanie: grobowiec nie istnieje, bo go Stwosz wcale nie wykonał? I znowu ciężko zaprzeczyć dokumentowi, zaprzeczyć faktowi „poręczonemu w magistracie" zapisanemu w księgach radzieckich Krakowa. Jedynym więc wnioskiem, jaki postawić należy jest taki: Stwosz przyjął zamówienie na grób biskupa kujawskiego imieniem swego warsztatu, który, pomimo jego wyjazdu, nadal czynny pozostaje. Czy w ostatnich dniach stycznia 1496 miał jakiś osobisty udział w robocie nad tem dziełem i co się z tym grobem stało, na to nie możemy dać niestety żadnej odpowiedzi.

Jeszcze jeden charakterystyczny szczegół jest w tej sprawie do podkreślenia. Kiedyż umiera Krzesław biskup kujawski? W roku 1503. A już dziś z początkiem roku 1496 grób zamawia? Na siedm lat przed śmiercią? Oto jeszcze jeden przedstawiony przez nas obrazek i naoczny dowód, że ówcześni ludzie — prawie bez wyjątku — groby i tablice za życia dla siebie zamawiali, tak czyni według Bielskiego król Kazimierz Jagiellończyk, tak czyni według własnych słów Jan Sienneński, papież, Jagiełło, cesarz Maksymilian etc. Ciężkie błędy popełniła historya sztuki zupełnie mylnie datując powstanie tablic grobowych Gruszczyńskiego, Kallimacha, Oleśnickiego etc. etc.; niechże ten naoczny

przykład, jeden z legionu podobnych, fatalne omyłki sprostuje.

W pierwszych dniach lutego, w zimie, jedzie Stwosz do Norymbergi. Jedzie na kilku „dobrych, polskich wozach". O jednym z tych wozów mamy historyczną wiadomość, jest on bowiem tematem sądowego sporu. Akta procesu z roku 1506 mówią: Stwosz przywiózł dobry, polski wóz, który otrzymał do rąk Seytz Pfintzig budowniczy, za to żąda Stwosz 10 fl.[1] i „należy się dowiedzieć u Seitza Pfintziga co do wozu i ułożyć się ze Stwoszem o cenę". (*Hnr* 105 i nast.) Pytanie: a dlaczego to Stwosz ten polski wóz do „rąk budowniczego miejskiego" oddaje? Jaki powód tego? Dlaczegóż to budowniczy ten przez tyle lat zatrzymuje ten dobry, polski wóz?! Otóż na to pytanie jest tylko jedyna przez nas dana odpowiedź, że na tym wozie jadą z Krakowa rzeźby drewniane dla olbrzymiego Mauzoleum Św. Sebalda przeznaczone, rzeźby, które Stwosz, jak to ze źródeł i dokumentów wypływa od roku 1488 do r. 1498 dla gminy miasta Norymbergi wykonuje. (*Por. Spv* 75—129). On to ogromne dzieło skończył „przed ośmiu laty", zatem w r. 1498, cena jego umówiona jest tak wielką, że musiał co najmniej dziesięć lat nad niem pracować, dekoracye, przeźrocza, posągi w Krakowie w latach 1489—1496 rzeźbił, obecnie je na „dobrym polskim wozie" do Norymbergi wiezie i „do rąk miejskiego budowniczego" tę własność miejską oddaje i deponuje. Oczywistość płynąca z aktów sporu co do Stwoszowego dzieła, jak dokument mówi, w r. 1498 skończonego, a sumę, według wartości naszych pieniędzy 47790 kor. kosztującego, znakomicie popiera ten dobry polski wóz z własnością miejską do Norymbergi przywieziony i do „rąk miejskiego budowniczego oddany".

Któż jedzie ze Stwoszem wówczas do Norymbergi? Jestto rzecz bardzo charakterystyczna, że on prawie wszystkie swoje tak liczne dzieci w Krakowie pozostawia. Jeśli stwierdzimy, że on ze swej drugiej żony, Reinoltówny, miał tylko dwoje dzieci

[1] Według współczesnej nam wartości pieniędzy 177 austr. koron. Cena więc tasama co dzisiaj. Dziś w krakowskiej ziemi dobry wóz chłopski kosztuje 150—200 koron.

t. j. Willibada i Małgorzatę (*Bbs* 3), jeśli stwierdzimy, że w r. 1496 jedzie z nim tylko syn Andrzej i jedna córka (*Nnl* 85) ta, która później dzielnemu, zacnemu i rycerskiemu obrońcy Stwosza, Jerzemu Trummerowi poślubioną została, jeśli Stwosz w Krakowie domu nie sprzedaje i nie zamyka, w którym co najmniej dziewięcioro dzieci jego zostało, toć widzimy, że nieprawdą jest jakoby Stwosz w r. 1496 „na zawsze opuścił Kraków, przeniósł się do Norymbergi". On założył w Norymberdze drugi dom, drugi warsztat. „Niejedną rzecz sprowadzono do Krakowa od Stwosza z Norymbergi" mówi Bergau (*Bbs* 31). Fakt ciągłych jego podróży po r. 1496 z Norymbergi do Krakowa uznają niemieccy pisarze. Pan Rąthe datuje stwoszowską Św. Annę na lata 1520 — 1530 a przecież pisze: „Tak więc mógł Stwosz podczas jednej ze swych podróży z Krakowa do Norymbergi lub odwrotnie w Wiedniu się zjawić i tu osobiste stosunki nawiązać!" (*Rsv* 195). Otóż w roku 1496 wcale nie opuścił Krakowa. On założył drugi warsztat w Norymberdze. Przyjął prawo w Norymberdze? Ależ on wszędzie, gdzie się na dłuższy czas zjawi, prawo miejskie przyjmuje, on wyjechał w. r. 1523 do Kronsztadu w Siedmiogrodzie i tam prawo miejskie przyjął, bo on tam jest „tutejszym", *von da hier* (*Rgp* 61). Pozostał w Norymberdzie? Olbrzymia finansowa ruina go tu przywiązała, pozostał tu, aby wydobyć „swoje", całe dziesiątki lat się procesuje, aby majątek jego, przez Bonera i Starzedela zagrabiony, odebrać, pozostał tu zresztą dlatego, bo musiał, bo „nawet na jednę noc nie wolno mu było pozostać poza miastem". (*Hnr. Nnl.* 91), bo tortura mu i więzienie groziło, gdyby śmiał opuścić miasto, bo grozą tortury zmuszano go do złożenia przysięgi, „że na wieki miasta Norymbergi nie opuści" (*Nnl* 87). Przekonamy się ile razy i jak gorąco Stwosz prosi, aby mu do ojczyzny powrócić dozwolono (*Sps*). Chce ten zamożny niegdyś, dziś zrujnowany, „biedny" obywatel zrezygnować z mienia, byleby to miasto nieszczęścia i kary mógł porzucić, niestety przemocą go zatrzymano. Nadeszła wreszcie chwila wolności, ale wtedy wszystkie jego dzieci stanowiska znalazły, w związki małżeńskie powchodziły, wiemy jak serdecznie swe wnuczęta, dzieci Trummera, Stwosz kocha,

dzieci i wnuki związały biednego starca na zawsze z Norymbergą. A więc nieprawdą jest jakoby Stwosz w r. 1496 „na zawsze" się do Norymbergi przeniósł, tak nie jest, oto wszystkie jego dzieci a mianowicie Stanisław, Sebastyan, Adryan, Floryan, Jan Chrzciciel, Jan Ewangelista, Wit, Marcin i Krzysztof, w ogromnej większości małoletnie, w Krakowie pozostały, na powrót ojca czekają — wróci do ojczystego miasta niosąc laury i dorobek, — nie przeczuwali zaprawdę jaka tragedya, jaka krwawa i łzawa dola ich ojca na obczyźnie czeka.

Stwosz stanął w Norymberdze w dniach między 30 stycznia a 27 lutego a przynajmniej to jest pewnem, że w tych dniach stał się na nowo obywatelem Norymbergi (*Gab* 43). Zapłacił 3 fl. I od tego przyjazdu niemal zgasła gwiazda jego szczęścia, aby już nigdy nie zaświecić nad jego dolą.

W tym roku (jeśli nie wcześniej) zawiązały się jego stosunki finansowe z Jakóbem Bonerem. Posłuchajmy tylko. Wiadomem jest powszechnie, że Stwosz złożył u Bonera na zysk i stratę sumę 1000 fl., że sumą tą zarobił 300 fl. (*Nnl* 86). Kiedyż się to stało? Kronika Deichslera mówi: „Stwosz i Boner prawowali się dwa lata nim do nieszczęścia doszło". Nieszczęście (Deichsler mówi tu o piętnowaniu) zaszło w grudniu 1503. Zaczem oni prawowali się od grudnia 1501. A zatem w r. 1501 nastąpiło zerwanie stosunków Stwosza z Bonerem, wypowiedzenie kapitału i proces sądowy. Toteż procentowanie się sumy 1000 fl. należy od tej daty liczyć wstecz, należy zapytać o ile lat wcześniej, przed rokiem 1501, musiał Stwosz złożyć 1000 fl. u Bonera, aby urosły do sumy 1300 fl.? Jeśli spojrzymy na ówczesne stosunki procentowe, jeśli przekonamy się z Baadera, że 1200 fl. złożone przez Stwosza w izbie giełdowej niosą 50 fl. rocznego procentu (*Bb* 15), jeśli tedy stwierdzimy, że kapitał dawał podówczas prawie takie same odsetki jak dzisiaj, to licząc według wysokości procentu, wynoszącego 300 fl. od 1000, musimy przyjąć, że pieniądze były zdeponowane u Bonera już w r. 1496. Potwierdza to i ten stan rzeczy, że Stwosz, jak sam mówi, „nie chciał, by pieniądze próżnowały". (*Nnl* 86) zaraz więc po przyby-

ciu z Krakowa pieniądze u brata potężnego krakowskiego bankiera zdeponował.

Drugie nieszczęście spadło na Stwosza niebawem. Wnet po przyjeździe rozchorowała się Stwoszowa. Musiała się na to złożyć straszna podróż w zimie z Krakowa do Norymbergi, może przyczyną tego była tęsknota za polską ojczyzną. Z końcem lipca 1496 umarła żona wielkiego artysty. W owym czasie w Norymberdze prowadzono „wielką księgę dzwonień dla zmarłych". (*Grosstotengeläutbuch*) otóż w tej księdze jest zapisane, że pogrzeb Stwoszowej odbył się 28 lipca. Zapiska w tej księdze brzmi: „*Item Barbara Feytt Stoesin am eritag noich* (sic) *Jacoby*" (*Gab* 53). Jak więc widzimy nie wiele się nacieszyła polska zacna matrona szczęściem za górami.

W tym roku następuje osadzenie prześlicznego dzieła Stwosza w kościele Dominikanów w Krakowie. Mówimy tu o tablicy Kallimacha. Bronz ten był dawniej stekiem stylistycznych i artystycznych zagadek, które, jak mniemamy, są dzisiaj w zupełności rozwiązane. Jeśli przedstawiliśmy fakt, że podówczas prawie wszyscy zamożni ludzie, każą robić swe portrety grobowe i groby za życia, jeśli powyżej widzieliśmy biskupa Krzesława, który zmarł w r. 1503, a w r. 1496 grób sobie stawiać każe, to patrząc na portret Kallimacha, nikt chyba nie będzie mniemał, żeby on był od tej reguły wyjątkiem. I ktokolwiek przyjrzy się tej postaci, żywej, młodej, przy biurku pracującej, trzymającej dyplom w rękach, ten uzna i oceni całą śmiałość twierdzenia, że to jest tablica grobowa a nie portret żywego człowieka. To jest portret żywego człowieka, portret, którego potem użyto na tablicę grobową, to jest model wykwintnego mieszkania Kallimacha, który, jak to na portrecie widać wspaniale swoje zacisze domowe dekoruje, który z artystami znajomości zawiera, który ze samym Giovannim Bellinim koresponduje (*Mhu* 140). Spotkał się ze Stwoszem, złotem przez królów polskich obsypany Kallimach, kazał się mu uwiecznić w otoczeniu aparatu nauki, w blasku przepychu, którym go Kraków obdarzył, z pergaminem o pieczęciach Polski i Litwy, jakby dla zaznaczenia, że on losem tych ziemi żywo

się zajmował. A teraz styl tablicy. Figura to arcytwarda, gotycka postać. Era poczęcia tej postaci, to początek pracy nad Maryackim ołtarzem, czas, kiedy Stwosz nie ma w swych figurach nawet przeczucia renesansu. Portret Kallimacha rzeźbił Stwosz wtedy, kiedy drugi takiż portret, tegoż Kallimacha rzeźbił na reliefie Maryackiego ołtarza. A jakżeż się to dziać może, że tę gotycką, twardą figurę renesansowy ornament otacza? Otóż to jest wpływ i istota wpływu Kallimacha. On nie mógł wysłowić się, on nie mógł słowem na rzeźbiarza podziałać, aby ten gotycki człowiek w stylu renesansu figurę wykonał — ale on mógł pokazać mu, przed oczy przedstawić gotowy, przywieziony z Włoch ornament i polecić mu: w podobny ornament ustrój twoje dzieło. Kallimach przywozi ze sobą do Polski illuminowane księgi, ilustrowane rękopisy, taka prześlicznie oprawna księga jest odtworzona na portrecie — renesansowe ornamenty na tej gotyckiej twardej rzeźbie, to wzory z owych kallimachowskich ksiąg przez wielkiego humanistę mu wskazane. Jeszcze raz pytamy, kiedyż powstał portret Kallimacha? Pytamy się ile ma lat ten człowiek na tablicy Stwosza? Ile lat ma ten człowiek ubrany wykwintnie, nawet pretensyonalnie, o włosach starannie fryzowanych, co zauważa Kopera, siedzący przed zwierciadłem, co nam mówi pomnik? Sądzimy, że ma on lat co najwyżej czterdzieści. Otóż i data powstania portretu, powstania tablicy. Jeśli Kallimach rodzi się w tym samym roku, w którym urodził się Stwosz, w r. 1438 (*Mhu* 133) to tablica była rzeźbiona w r. 1478, to jest w pierwszych latach roboty nad Maryackim ołtarzem. Oto doszliśmy do tejże samej daty powstania tablicy inną idąc drogą. Przeprowadźmy jeszcze dowód z negacyi. Kallimach umiera jako 58-letni człowiek? Czy ten młody człowiek o trefionych włosach na tablicy Stwoszowej ma lat 58? A więc może czas wreszcie skończyć z niemiecką legendą o współpracownictwie Vischera, może czas nareszcie przyjąć i uznać fakt, że ta rzeźba Stwosza powstała około r. 1478.

Piszemy kronikę roku 1496, więc zapiszmy dzieje wielkiej uroczystości, jaka się odbyła w tym roku około Stwoszowego

dzieła. Dnia 13 listopada 1496 r., a więc w 8 miesięcy po wyjeździe Stwosza z Krakowa, umiera przyjaciel Belliniego i Stwosza, Kallimach. Zostawia piękny, w Polsce zdobyty majątek, kardynałowi Fryderykowi zapisuje karocę z czterema końmi, uniwersytetowi miednicę srebrną z nalewką, bardzo być może, że tę samą, którą wyrzeźbioną na pomniku jego widzimy, temuż uniwersytetowi zapisuje 100 fl. według naszej wartości około 1770 kor. Grób jego w kościele Dominikanów zbudowano, arcydziełem pochodzącem z jego mieszkania udekorowano. W r. 1478, wtedy, gdy Stwosz Kallimacha na ołtarzu Maryackim portretuje, wykonuje również drugi portret, który dziś grób jego stroi. Wspaniały relief drewniany odlewa z bronzu w swej odlewarni przy ul. Poselskiej ludwisarz Wit Stwosz, tenże, który w ośmnaście lat potem, jak dokument mówi, kilka ogromnych spiżowych posągów dla cesarza Maxymiliana odlewa. Odlew ten jest jednym z najpiękniejszych, jakie istnieją na świecie, on nie da się zakryć odlewom Ghibertiego, jak mówi p. Daun. Podobnie jak wszystkie spiże stwoszowskie w Polsce zachowane, to jest Kmity, Salomonów i Szamotulskiego etc. — nie może być ten Kallimach nawet porównanym z tem, co współcześnie na polu odlewnictwa w Niemczech wykonano, krakowskie i wielkopolskie spiże, od vischerowskich przegradza przepaść niesłychana, zestawienie też tych prac pod wspólne miano jest dziełem nierozwagi i małej świadomości artystycznej.

Tablica spiżowa przyniesiona z domu Kallimacha nie nadawała się do starszej snać rzeźbionej framugi grobu. Zwrócono się do warsztatu Stwosza, pomimo jego wyjazdu w Krakowie ciągle czynnego i otwartego, ten też warsztat odlał napis pośmiertny, dwa boki zaś nagrobka nową renesansową sztabą w r. 1496 ustroił.

W pogrzebie Kallimacha wziął udział cały kler Krakowa. Wszystkie zakony i czterech infułatów odprowadzało trumnę do grobu. Za trumną szedł cały uniwersytet krakowski. (*Mhu* 202). Nad bronzową tablicą pomieszczono obraz przedstawiający N. Pannę z Dzieciątkiem, przed którą klęczy Kallimach. (*Kws* 106). Obraz ten przepadł niestety. Kto był jego autorem? Zaprawdę,

cy, których najbardziej w życiu ukochała, którym niosła w ofierze znojny trud całego życia, ci wszyscy wyginęli. W okropnym szlochu zawiedzionych nadziei i nieszczęsnej miłości macierzyńskiej rzuca się na ziemię. „Tak u zwalisk zburzonej Troi, Hebuba, Pryamowa żona, wyła z żałości po synach pobitych i uwięzionych córkach" (str. 326).

Poddał kiedyś I. Matuszewski myśl, by St. Żeromskiemu kobiety polskie wystawiły pomnik za przepiękną rzeczywiście postać Joasi z „Ludzi bezdomnych". Orzeszkowa takiego pomnika nie potrzebuje. Ma ona w sercach nas, pogrobowców powstania pomnik najszczerszej i wdzięcznej miłości za postać tej nowożytnej Hekuby, w której nie jeden z nas odnajdzie ukochane rysy swej matki czy babki. Gdyby nie więcej tylko ten jeden utwór po Orzeszkowej pozostał, sądzę, że jużby się należało jej miejsce poczesne w panteonie narodowego ukochania.

O artystycznej wartości tych obrazów powstania mówić więcej chyba nie trzeba. Czyż można jeszcze nowy liść przydać do wieńca chwały i zasługi Orzeszkowej? Ale jedno podnieść się godzi i należy. Zdaje mi się, że nikt dotychczas ani Urbański i Kontrymowicz-Ogiński ni Rodziewiczówna czy Żuławski (z wyjątkiem może A. Struga, gdyby był literacko bardziej niezawisły) nie wniknęli tak głęboko w psychologię powstania styczniowego. Widziała je Orzeszkowa dzieckiem będąc. Słuchała o niem świetne i straszne legendy, opowiadane w długie wieczory zimowe. To też zżyła się z powstaniem tak, jak nikt w literaturze przed nią. Sądzę, iż książka ta będzie może ważniejszym dokumentem dla przyszłego historyka 63 roku, niż niejeden pamiętnik. Przyczyni się ona do zrozumienia tego tak wyszydzanego „ducha czasu" tej dziejowej chwili. A wreszcie okrazy przyrody, któreśmy podziwiali w „Nad Niemnem" „Chamie" i „Bene noti", okrazy te w tem dziele są tamtym w plastyce równe, a w potężnym nastroju uczuciowym od tamtych wyższe.

Mimo wszelkie wykrętne rozumowania historyków i historyi na usługach ludzi i stronnictw, przejmuje nas do głębi duszy krzyk, bijący z tej księgi: *Gloria victis*, tym, co idąc na śmierć bezimienną, siali posiew poświęcenia się i hartu serca i woli, świadcząc głośną swą krwią, że „Jeszcze nie zginęła".

Stanisław Sołtys Kozaryn.

Babilon. *Wacław Gąsiorowski (Wiesław Sclavus)* opus 28, tom 34. Warszawa 1912.

Dziesięć lat spędzonych we Francyi, nauczyło autora miłości dla niej, choć, jak sam mówi w ostatnim rozdziale swojej książki „nie dało ani chwili zapomnienia o kraju własnym, rodzonym . . .".

Poznał autor duszę Francyi — przejął się jej chwałą, jej bólami i nadzieją przyszłości. Ukochał szlachetne pierwiastki tej duszy — czy jednak patrzy dosyć jasno na stosunki, wśród których duch ten rozwija się i żyje? i czy nie do zbytku optymistycznem ogarnia je spojrzeniem? A co ważniejsza, czy dosyć sprawiedliwem?

„Gorze Babilonowi"! — Policzone są dni nieprawości jego! Temi słowami woła autor, parafrazując kursującą szeroko opinię Europy o współczesnej Francyi i stołecznem jej sercu Paryżu. A potem wzywa czytelnika za sobą: „Idźmy się przyjrzeć z bliska, idźmy — nie dowodzić, lecz stwierdzać — nie przekonywać, lecz oglądać."

Odbywszy tą pielgrzymkę z autorem, mniemaćby można, że stosunki francuskie są dobre i zdrowe, że nic w nich nie zagraża duchowi tego narodu. Mniemaćby można, że trzecia Rzeczpospolita ma rząd idealny — że stojący na jego czele mężowie są doprawdy wybrańcami całego narodu, „mającymi na oku pomyślność jego całości, a nie jednej tylko warstwy".

Rozglądając się bezstronnie — wchodząc w myśl tylu pierwszorzędnych pisarzy i działaczy francuskich, których pojęcia bliskie nam są i sympatyczne, wiemy, iż wiele zła panoszy się w Babilonie — zła, którego twórcami są przedstawiciele rządzącej frakcyi.

Wiemy, ile usiłowań rozwija się we Francyi, celem ratowania tego, co i my uważać musimy za najcenniejsze dobro każdego narodu: wiarę w Boga i w najwyższe ideały. Wiemy, że praca ta wyrywa dzieci francuskieego ludu od zatrucia duchowego — ale wiemy także, że usiłowania te skierowane są właśnie przeciwko rozporządzeniom, jakie wydaje rząd Rzeczypospolitej.

Słusznie za to podnosi autor, że dla mało myślącego ogółu, Francya, a przedewszystkiem Paryż, to synonim blasku, użycia, zabawy — zepsucia. A przecież, obok tego świata, który zapełnia mniej lub więcej wykwintne teatry, kabarety i t. p. istnieje świat wielkich myśli, wielkiej pracy i gorącego miłosierdzia. Francuska nauka, przepojona światłem i ścisłością łacińskiego ducha — praca wytrwała i wykończająca artystycznie każdy szczegół — wszystko to sprawia,

że Francya stoi zawsze na czele wszelkiego prawdziwego postępu. Autor „Babilonu“ przechodzi kolejno wszystkie przejawy życia rodzinnego i społecznego współczesnej Francyi. Wchodzi w warunki życia francuskiej rodziny, podkreśla różnice, które ją wyodrębniają od naszej n. p. to jest przedewszystkiem więcej swobody i jak chce autor, więcej prawdy i więcej przyjaźni. Nie zdaje mi się, aby istnieć mogły jakie istotne różnice, co do życia rodzin różnych narodów. Wszędzie motorem i zasadniczym pierwiastkiem jest miłość — wszędzie bywa tak — bywa też inaczej. I tam, gdzie prawdziwe uczucie było podstawą, rozwija się życie rodzinne zdrowe i piękne, bez względu na narodowość i różnice w obyczajach.

Słusznie podnosi autor nadzwyczajną pracowitość Francuzów, w której spoczywa niepospolita moc społeczna. A drugim takim czynnikiem mocy jest karność. Pojęcie to w odniesieniu do Francuzów brzmi nieco paradoksalnie. Karność ich jednak jest niezaprzeczoną — pochodzi z kultury, cywilizacyi, instynktu obywatelskiego. „Francya może śmiało patrzyć w przyszłość, nie sromać się nawet klęsk — bo państwo, którego obywatel myśli o swem jutrze, który pracę ma za treść życia — takie państwo, taki naród nie zginie. Dodać trzeba, że nie zginie taki naród, jeżeli zdoła z zamętu kotłujących ambicyi i wywrotowych pojęć uratować nieśmiertelne pierwiastki prawdy, dobra i piękna. Nie zginie, jeżeli uczci w przeszłości swoje to, co czci jest godne, a przyszłość oprze na podwalinach silnych i zdrowych, na zwycięstwie tych czynników, które stanowią rdzeń narodowej duszy. *Helena Skolimowska.*

Życie św. Alfonsa Maryi Liguorego, Doktora Kościoła. Skreślił *O. Bernard Łubieński*, kapłan ze Zgrom. OO. Redemptorystów. Kraków 1911, str. 906.

Bardzo ważnym działem literatury ascetycznej są żywoty świętych; najpiękniejsze bowiem traktaty o cnotach pozostałyby suchą teoryą i nie zdołałyby wywrzeć wpływu, gdyby idea cnoty nie była konkretnie przedstawiona, jako urzeczywistniona w życiu osób świętych, bo nie *verba* ale *exempla trahunt*, mówi przysłowie. Niestety w literaturze naszej ten dział nie jest wcale obfity, a jeżelibyśmy wyłączyli przekłady z obcych języków, to już wprost bardzo ubogi.

Tembardziej przeto pożądane było ukazanie się takiego dzieła, jak żywot św. Alfonsa Liguorego. Raz dlatego, żeśmy w języku pol-

skim nie posiadali obszerniejszego jego życiorysu. Powtóre, że idzie tu o żywot Świętego, którego postać ma dla naszych czasów tak aktualne znaczenie. Św. Alfons żył w warunkach zbliżonych bardziej do naszych, aniżeli święci średniowiecza, więc też szczegóły jego życia pod niejednym względem bardziej są dla nas interesujące. Żył najpierw w świecie oddany zawodowi prawniczemu, potem zostaje kapłanem, a wreszcie zakonnikiem; stąd dla ludzi różnych stanów jest przykładem i wzorem. Jako zakonnik, owszem założyciel nowej kongregacyi, prowadzi życie wspólne, a więc wśród warunków dla większej liczby przystępnych. Toteż jak postać Świętego była wzorem pociągającym całe jego otoczenie, tak też opis jego życia podobnie musi na czytelnika podziałać.

Tyle danych schodzących się w osobie św. Alfonsa już przez się musi jego biografię uczynić nader interesującą. Lecz osobnego uroku udzieliło jej jeszcze pióro autora, którego tryb życia, tak żywo nam przypomina postać św. Alfonsa... O. Bernard, mimo, że chronologiczny układ faktów wysuwa na plan pierwszy, mimo to nie pisze jak historyk, któremu idzie o suche ustalenie poszczególnych zdarzeń, ale pisze jak biograf-asceta, który idąc za wzorem swego św. Fundatora, zszedłszy z ambony chwyta za pióro, aby jeszcze bardziej porywające ułożyć kazanie, powiedziane słowami i czynami świętego Doktora Kościoła. Najdrobniejsze szczegóły życia Świętego służą mu tylko za nić przewodnią do skreślenia wzoru życia umartwionego i doskonałego na przykładzie św. Alfonsa. Dlatego też nie przestaje na zewnętrznym opisie faktów, ale wchodzi w ich psychologię i uwydatnia wszędzie wpływ łaski Bożej. Dlatego to książka O. Łubieńskiego nie tylko zaznajamia nas z historycznymi szczegółami odnoszącymi się do osoby św. Doktora Kościoła i do początków założonej przez niego kongregacyi Redemptorystów, ale działa przedewszystkiem na serce czytelnika i zapala go do naśladowania tych cnót, których przykłady przed jego oczami z taką plastyką rozwija.

Styl dzieła potoczysty, sposób obrazowania tak miły i lekki, że spory tom obejmujący przeszło 900 stron czyta się z pełną satysfakcyą. Wskazówka to najlepsza dla innych, jaką formę należy pisaniu życiorysów świętych nadawać, ażeby mogły zadanie swoje należycie spełniać, t. j. ludzi do czytania ich i naśladowania pociągać!

Ponieważ obszerne żywoty świętych nie tylko służyć mają do lektury duchownej, ale także do celów homiletycznych znakomicie mogą się przydać, przeto wielką zaletą książki tej byłby indeks re-

alny, przydany na jej końcu, któryby ułatwiał wyszukanie wszystkich szczegółów, odnoszących się do tej samej cnoty Świętego.

Ks. St. B.

Obrona religii katolickiej. Tom I. Jak wielkim skarbem jest religia katolicka i dlaczego ma dzisiaj tylu przeciwników Napisał *Ks. Biskup Pelczar*, Przemyśl 1911, str. 258, cena 3 kor. 50 hal. — Tom II. Czy i jaki jest Bóg? Napisał *Ks. Dr. K. Wais*, prof. uniw. lwow., str 197, cena 2 kor. 60 hal.

Z radością witamy myśl rzuconą przez J. E. Ks. Biskupa Pelczara, „aby ogłaszać drukiem konferencye i odczyty, mające na celu oświecić czytelników o religii katolickiej, jej podstawach i tajemnicach". Myśl ta została już częściowo urzeczywistniona. W r. 1911 ukazał się bowiem I-szy tom wydawnictwa p. t.: *Obrona religii katolickiej*, w którym Dostojny Autor, na tle swych konferencyi apologetycznych, miewanych jeszcze w r. 1884 w Krakowie tłómaczy, jak wielkim skarbem jest religia katolicka i dlaczego ma tylu przeciwników. Autor chcąc dawne swoje konferencye spopularyzować, nadał im, jak się sam wyraża, „formę lżejszą". Nie poprzestaje zatem na naszkicowaniu toku myśli, ale przedmiot omawiany szeroko rozwija, działając przytem nie tylko na rozum, ale i na serce czytelnika. W poszczególnych rozdziałach rozwodzi się nad tem, co religia katolicka daje rozumowi, woli, sercu, rodzinie i całemu społeczeństwu. Ponieważ *in concreto* przemawia do Polaków, przeto poprzednie argumenta apologetyczne jeszcze bardziej pogłębia, opierając je na związku historycznym między katolicyzmem a narodem polskim. Szczególniej cenny jest rozdział o historycznym rozwoju niedowiarstwa, rzucający światło na jego przyczyny. Z tych ostatnich wyprowadza Ks. Biskup wniosek co czynić należy, aby wiarę chwiejącą się od utraty ochronić, a utraconą odzyskać.

W roku 1912 ukazał się tom II-gi tegoż wydawnictwa, napisany przez Ks. Profesora Waisa p. t.: *Czy i jaki jest Bóg?* W tym tomie rozwodzi się autor z wielką erudycyą, a przytem bardzo jasno i treściwie o istnieniu Boga, Jego przymiotach i działaniu na zewnątrz. Podaje zatem wyborne repetitorium teodycei dla tych zwłaszcza, którzy ją przedtem gruntownie przestudyowali. Styl naukowy — a nie ciężki, uwzględnienie wielkie najnowszej literatury, a nadto ujmująca prostota, z jaką autor uzasadnia najgłębsze podstawowe prawdy religijne, oto charakterystyka książki ks. prof. Waisa.

Szkoda tylko, że ks. profesor nie dosyć dostosował się do tego umysłowego poziomu czytelnika, który X. Biskup miał na oku, popularyzując swoje konferencye. Autor II-go tomu *Obrony religii katolickiej* traktuje swą rzecz tak zwięźle, jak gdyby pisał dla słuchaczów uniwersytetu i posługuje się swobodnie technicznymi terminami filozoficznymi, które stanowczo należałoby pierwej objaśnić. Po uzupełnieniu tego książka stałaby się bardziej przystępną dla kół szerszych, a dzieło zbiorowe *Obrony religii katolickiej* zyskałoby na jednolitości. *Ks. St. B.*

Z piśmiennictw obcych.

Die Ethik des heiligen Augustinus. Von *Joseph Mausbach*, Doktor der Theologie und Professor an der Westfälischen Wilhelms-Universität in Münster. Erster Band: Die sittliche Ordnung und ihre Grundlagen. Freiburg im Breisgau 1909 (Herdersche Verlagshandlung) str. XI, 442. Zweiter (Schluss-) Band: Die sittliche Befähigung des Menschen und ihre Verwirklichung. Freiburg im Breisgau 1909 (Herdersche Verlagshandlung) str. VII, 402.

Mimo olbrzymiej literatury, odnoszącej się do św. Augustyna, dotychczas — jak autor zaznacza we wstępie — brakowało większego naukowego dzieła, przedstawiającego obszernie całość poglądów etycznych wielkiego Ojca Kościoła. X. Prof. Mausbach stara się tę lukę wypełnić swem dwutomowem dziełem.

Treścią pierwszego tomu jest porządek moralny i jego podstawy. Na początku rysuje autor postać św. Augustyna na tle historycznem, w ośmiu zaś rozdziałach przeprowadza temat zasadniczy, który rozpada się na szereg kwestyi. Celem życia ludzkiego jest szczęście (I). Drogę do osiągnięcia tego celu i zarazem do absolutnego dobra wiodącą — wskazuje porządek moralny (II). Wszechstronna potęgą moralną jest Bóg; Chrystus — punktem środkowym moralności. Stąd konsekwentnie w III rozdziale następuje rozbiór pojęcia stosunku Boga do świata, z czem wiążą się problemy teologiczne i kosmologiczne, odnoszące się do niezmiennego istnienia Boga a faktu stworzenia świata, jak również do niezmienności Boga a czynności istot stworzonych. IV. rozdział przedstawia miłość Bożą (*caritas*)

jako główną siłę moralności, V rozdział zaś żądzę (*cupiditas*) jako źródło grzechu. Rozdział VI poświęcony jest pracy w świecie i znaczeniu kultury, VII usunięciu się od świata i kontemplacyi, ostatni zaś (VIII) rozdział tomu pierwszego wprowadza we wzajemny stosunek pracę skupioną zdala od życia światowego i pracę wśród świata, wskazując zarazem na realne, konkretne wartości obydwu.

Drugi tom, zajmuje się zdolnością moralną człowieka i jej urzeczywistnieniem. Natura ludzka sama w sobie nie posiada siły do urzeczywistnienia ideału moralnego i przeciwne zapatrywanie, które na stronę woli ludzkiej zbyt wyłączny kładło nacisk, wystąpiło przy końcu IV i w V wieku w formie pelagianizmu, z którym też św. Augustyn musiał walczyć. Treść tej polemiki jest przedmiotem I rozdziału tomu drugiego. W tym względzie manicheizm przedstawia znowu drugą ostateczność. Według pelagianizmu dobro i zło są niezależnem dziełem stworzonej woli, w manicheizmie zaś są to kosmiczne potęgi, sięgające w głąb człowieka, wobec których wola jego nie odgrywa roli decydującej. Św. Augustyn reprezentuje stanowisko pośrednie i wskazuje wyższość nauki Kościoła katolickiego ponad skrajnemi teoryami. W II rozdziale jest mowa o znaczeniu łaski Bożej. Rozdział ten rozpoczyna się od pojęcia wolności woli u św. Augustyna. Wola ludzka zostaje poza związkiem przyczynowym natury, a tylko zewnętrze wykonanie postanowień zależy od naturalnej prawidłowości. Św. Augustyn podkreśla znaczenie wolności wyboru i siły ludzkiej woli; skuteczność jednak woli w kierunku dobra moralnego zależy od pomocy Najwyższego źródła wszelkiego dobra, to jest od Boga. Do moralnego dążenia i działania potrzebuje człowiek pomocy Bożej czyli łaski, której obfitość wysłużył nam Chrystus Pan, przynosząc odkupienie ludzkości. Znaczenie łaski Bożej uwydatnia się tem silniej — na tle rozdziałów III i IV — gdy się zważy stan człowieka po upadku w grzech pierworodny. Rodzaj ludzki o własnej sile nie mógł się wznieść na wyżyny etyczne. W następnym rozdziale (V) zastanawia się autor nad postępowaniem moralnem poza Kościołem i poza chrześcijaństwem. Ostatni rozdział (VI) ma za przedmiot walkę i zwycięstwo dobrego w rozwoju chrześcijanina.

Książka Prof. Mausbacha jest owocem długich studyów i rozległej lektury, opiera się na licznych cytatach z dzieł systematycznych św. Augustyna, jego kazań i korespondencyi, tak, że — jak się wyraził sprawozdawca w *Revue néoscolastique* 1911 — sam św. Augustyn przychodzi tutaj do głosu. Czytelnik ma sposobność poznać po-

glądy wielkiego Ojca Kościoła, odnoszące się do podstawowych kwestyi teologicznych i filozoficznych, zestawione obok siebie i rozważane z wielu stron. Dla uniknięcia jednostajności często jeden tekst podaje autor w przekładzie, inne zaś równoległe o treści tej samej lub zbliżonej — w oryginalnem brzmieniu łacińskiem.

Dotychczas w opracowaniach naukowych często na pierwszy plan występowały drobniejsze szczegóły pomysłów Augustyna, z czem łączył się brak przejrzystości w przedstawieniu całej nauki. Opierając się na pismach polemicznych zbyt mało może zwracano uwagi na to, co jest istotne, w przeciwstawieniu do okolicznościowego zabarwienia (*gewisse Spitzen und Schroffheiten* t. I. str. VII). Czynnik polemiczny podkreśla często silnie te rysy, o które w danym momencie chodzi, jeżeli zaś badacz nie zdaje sobie sprawy z faktu, że dane wypowiedzenie miało polemiczny charakter, może narazić się na to, iż zbytnio podnosić będzie pewne strony systemu ze szkodą dla innych i dla stosunku właściwego części do całości. Mausbach pomieszcza także drobne szczegóły, stara się jednak ugrupować je tak, aby pierwszy plan się nie zatracił i stąd w jego dziele główne linie etyki św. Augustyna dokładnie się rysują.

Teologiczne kwestye, jak n. p. ocenę rozważań, odnoszących się do grzechu pierworodnego, zostawiamy teologom, wskazując równocześnie, że książka Mausbacha posiada obszerny podkład filozoficzny. Z filozoficznego punktu widzenia ważnem jest zaznaczenie łączności etyki z metafizyką, występującej u św. Augustyna w pojęciu porządku, które odnosi się i do zjawisk w świecie fizycznym (porządek kosmiczny) i do zakresu czynów ludzkich (porządek moralny): *Was sich die natürliche sittliche Überzeugung nicht rauben lässt, was tiefer grabende Ethik unter dem empiristischen Flugsande stets wieder auffindet, die Begründung der Ethik auf die Metaphysik, die Aussöhnung zwischen dem Guten und dem Wahren, dem Gewissen mit dem Wissen, das hat unser Denker in seinem Begriff der Welt- und Sittenordnung in grossartiger Weise erreicht.* (t. I. str. 221).

Dzieło, z którego zdajemy sprawę, przeznaczone jest przedewszystkiem dla badacza etyki, zawiera bowiem tę naukę systematycznie wyłożoną tak, jak się przedstawia u jednego z najwybitniejszych myślicieli. Ma jednak ono doniosłe znaczenie, dla historyi filozofii nie tylko ze względu na postać św. Augustyna, lecz także z powodu szeregu zestawień z zakresu filozofii starożytnej (t. I. str. 58—79, t. II. str. 278—284). Historyk kultury znowu znajdzie w niem wdzię-

czne obrazy historycznego tła, wśród jakiego Opatrzność postawiła św. Augustyna (t. I. str. 1—20), historyozof zaś analizę niektórych momentów z dzieła *De civitate Dei* (t. I. str. 122—127, 311, 326—350); stosunek pracowników duchownych do świeckich w organiźmie Królestwa Bożego (t. I. str. 414—434).

Z dostateczną wyrazistością występuje w dziele Mausbacha to, co jest wielkim tytułem chwały dla etyki św. Augustyna, odnosi się zaś do związku między etyką, a metafizyką: Uwydatnienie, iż jest jedno i to samo źródło zarówno porządku moralnego, jak i fizycznego, a źródło to ma swój początek w Najwyższej Istocie. (t. I. str. 47). Najwyższy moralny cel i ideał nie może być jedynie tworem myśli, nie miałby bowiem trwałego znaczenia, nie może również być czemś skończonem, gdyż nie zdołałby dla duszy ludzkiej wystarczyć (t. I. str. 99). Trwałą wartość może mieć dla człowieka nie coś wyłącznie wyobrażonego, lecz żywotna i pełna rzeczywistość dobra, która znajduje się w Bogu. Z tego źródła tryskają wartości moralne. *Caritas*, odniesienie od Najwyższego dobra, wytwarza dopiero moralność. Według intenzywności tej moralnej siły kieruje się wartość działania i człowieka (t. I. str. 221). Nacisk na to i podkreślenie teocentrycznego stanowiska etyki św. Augustyna jest jedną z zasług dzieła Prof. Mausbacha.

Stworzenie rozumne jest uzdolnione do tego, aby zająć stanowisko wobec najwyższego celu wszechświata, ponieważ w niem sharmonizowana jest wspaniałość całości. Przez duchowość i wolność odczuwa istota rozumna stanowisko i zadanie swoje wobec Boga w głosie sumienia, w wewnętrznem przeświadczeniu powinności. Dusza grzeszna nie jest taką, jak być „powinna"; „treścią jej winy" jest przekroczenie moralnego porządku. Chociaż istota stworzona rozumna nie przenika we wszystkich szczegółach związku wszechświata, to jednak ujmuje wysokość celu świata w całości prawdziwie i głęboko w pojęciu prawa wiecznego, *lex aeterna*, w ideach porządku, koniecznej prawdy i dobra, które jako gwiazdy kierownicze panują nad jej wnętrzem duchowem i tworzą świat idealny ponad naturą i duszą, ściśle jednak z nią złączony (t. I. str. 114, 115).

Dążenie człowieka do coraz dokładniejszej zgodności czynów własnych z ogólnym porządkiem moralnym wytwarza i potęguje cnotę. Człowiek, jako istota wolna, może się jednak także najwyższemu celowi stworzenia sprzeciwić. Sprzeciwia się, gdy występuje wbrew woli Stwórcy, a popada we fałszywą miłość własną i pychę

(t. I. str. 232). Pobudką działania grzesznego staje się żądza (*cupiditas*). Grzech czyli moralne zło zwraca się przeciw celowi stworzenia (t. I. str. 113) i przeciw porządkowi moralnemu. W przeciwstawieniu do tego poczucie obowiązku polega na poszanowaniu wewnętrznej godności i uznaniu prawa moralnego, a w najwyższym stopniu na bojaźni i miłości Boga (t. I. str. 158), skąd wynika miłość sprawiedliwości (t. I. str. 203).

Wzbogacenie wewnętrzne pochodzące ze związku duszy z Bogiem, jest przyczyną twórczości w zakresie czynów dobrych. Psychologicznie zasadniczy punkt kwestyi polega na określeniu podstawowego afektu woli. Zdaniem Platona, św. Augustyna, św. Tomasza jest nim miłość: *auf den Eintritt des Gutes in die Seele* (*durch das Erkennen*), *ist die erste affektive Reaktion das sympatische Ergriffensein des Begehrungs- und Willensvermögens, das Wohlgefallen, die Liebe im weitesten Sinne. Dieser Grundzug geht durch das ganze Affektleben hindurch und wird gleichsam potenziert in dem höchsten Affekt der Liebe als persönlicher Seelengemeinschaft*" (t. I. str. 192, 193). Z tego punktu widzenia zaznacza Mausbach słabe strony psychologii i etyki Kanta, gdzie przy wypełnianiu obowiązku jest z jednej strony rozkaz, z drugiej posłuszeństwo, nie dostrzega się zaś miłości względem rozkazującego połączonej z radosnem współdziałaniem woli przy wykonywaniu treści rozkazu.

Z miłości Boga wynika miłość bliźniego i cały szereg cnót. Chrystus Pan jest najdoskonalszym punktem jednoczącym miłości; miłość Boga i bliźniego mają w Nim swój przedmiot cudownie połączony (t. I. str. 84). Jak na miłości Bożej, jako na fundamencie, polega mnogość czynów dobrych i jak z tej jednej podstawy odbywa się różniczkowanie się działania moralnego według stosunków doczesnych — pod tym względem można wiele skorzystać z IV. rozdziału (str. 168—221) I tomu dzieła X. Prof. Mausbacha. W tem różniczkowaniu się odgrywają ważną rolę cztery cnoty kardynalne. Autor zaznacza (t. I. str. 207), że niema u św. Augustyna całkowitego schematu przy wyliczaniu cnót, chociaż niektóre, jak pokora i pobożność, uważa św. Augustyn za szczególnie podstawowe i złączone z istotą chrześcijaństwa. Do swego wykładu etyki przyjmuje św. Augustyn system czterech cnót kardynalnych, występujących we filozofii greckiej u Platona i Arystotelesa i pod tym względem prostuje Mausbach zapatrywanie Paulsena, jakoby te cnoty w pojęciu dawnych chrześcijan nie miały wartości (t. I. str. 207). Bliższym

prawdy w tej kwestyi jest Wundt, który zaznacza uznanie św. Augustyna dla moralności Cicerona, płynącej ze źródeł stoickich i perypatetycznych, z drugiej strony jednak nie rozumie dokładnie, jakie fundamentalne znaczenie ma u św. Augustyna cnota miłości Bożej w stosunku do cnót innych (t. I. str. 207, 205).

Poglądami starożytnych filozofów zajmuje się autor dwukrotnie: w pierwszym rozdziale tomu I. i w piątym rozdziale tomu II. Z elementów nauki Platona i Arystotelesa, wytwórzył się zdaniem św. Augustyna, zrąb prawdziwej filozofii, który z treścią nauk chrześcijaństwa posiada wewnętrzne pokrewieństwo (t. I. str. 52). Za opatrznościowe można uważać spotkanie się św. Pawła w Atenach z przedstawicielami ówczesnych szkół etycznych, stoickiej i epikurejskiej. Epikurejczyk żyje *secundum carnem*, Stoik *secundum animam*, Apostoł, *secundum Deum* (Sermo 156, 7 cytuje Mausbach w t. II. 278). Platonizm prowadził św. Augustyna do chrześcijaństwa; św. Augustyn uważa to za zrządzenie Boże, iż pierwej poznał pisma Platona, a potem św. Pawła; w ten sposób mógł ocenić cały odstęp, jaki je oddziela i uświadomić sobie szczytne stanowisko chrystyanizmu (t. I., str. 10, 11) W ogłoszeniu nadludzkiej i nadczasowej prawdy, w spekulatywnem jej ujęciu i wszechstronnem zużytkowaniu jest wielkość św. Augustyna i wyższość nad Platonizmem (t. I. str. 34). Od Stoików wyższy jest św. Augustyn nie tylko przez pojęcie Boga, który darzy życiem duszę i koncentruje jej miłość (t. I. str. 62), ale także przez zrozumienie potrzeb duchowych natury ludzkiej, a szczególnie strony uczuciowej (t. I. str. 216). Co do określenia najwyższego Dobra spotyka się Neoplatonizm z uznaniem św. Augustyna (t. I, str. 52); można u niego spostrzedz świadomość pokrewieństwa idei filozoficznych chrześcijańskich i neoplatońskich a zarazem i poczucie wyższości stanowiska teologii chrześcijańskiej. Nowoplatończycy posiadają wiadomość o Bogu pozaświatowym, ale własną siłą chcą dojść do czystości obyczajów; wierzą, że sama kontemplacya prawd wiecznych może odnowić rzeczywistość naturalnego i moralnego życia, brak im jednak lekarza przeciw złym skłonnościom odziedziczonym i nabytym (t. I. str. 17, 18).

Z wielkich następców św. Augustyna znajdujemy w dziele Mausbacha dosyć obszerne refleksye o św. Tomaszu z Akwinu. Autor zaznacza wpływ, jaki na św. Tomasza wywarł św. Augustym; co do niektórych zaś subtelnych zagadnień spostrzedz można pewne różnice między tymi dwoma wielkimi umysłami, n. p. w kwestyi

stosunku łaski Bożej do woli ludzkiej. Późniejszy rozwój teoryi poznania w scholastyce przeszedł od platońskiego kierunku św. Augustyna więcej na tory arystotelesowe, za czem poszło silniejsze podkreślenie samodzielności woli (t. II. str. 56, 57, 104, 105).

Plan dzieła powstał przy studyowaniu rozwoju myśli chrześcijańskiej o doskonaleniu się a szczególnie przy rozważaniu stosunku kontemplacyi i pracy zdala od świata do pracy wśród świata (*Weltflucht und Weltarbeit*, t. I. str. VII, 396—442). Obydwie te różne formy życia jedną mają podstawę, a jest nią miłość Boża (t. I. str. 404 414). Z tego punktu widzenia warto zwrócić uwagę na znaczenie książki Mausbacha dla uczonych, którzy zajmują się naukami społecznemi; uwzględnienie ekonomicznych i socyalnych stosunków znajduje się n. p. w tomie I. rozdz. VI. (*Die weltliche Arbeit und Kultur*, szczególnie *Die materielle Basis der Kultur. Reichtum und Armut*) i VIII. (*Der Zusammenhang und Ausgleich zwischen Weltflucht und Weltarbeit*). Oto Willmann pisząc o książce Mausbacha w *Theologische Revue*, zaznacza objektywne i socyalne momenty i przypomina: *Augustinus musste nicht platonisch geschult sein, wenn nicht das Problem: Der Einzelmensch und die Gemeinschaft und das andere: Schaffen und Betrachten, bestimmend in seine ethische Reflexion eingegriffen hätten.* (*Theolog. Revue VIII. Jg.* 1909., kol. (szpalta) 369).

Wpływ św. Augustyna na chrześcijańskie życie kulturalne jest wszechstronniejszy, niż innych Ojców Kościoła. Jego teologia interesuje nie tylko teologa, lecz także psychologa i etyka, socyologa i historyka i ma znaczenie ogólno ludzkie. Uwydatnia to Mausbach w historycznym wstępie. Jest tam również zaznaczone, że św. Augustyn jest przewodnikiem w rozwoju filozofii; nie tylko wyprzedza on teoryę poznania Kartezyusza' ale także wobec dzisiejszego przeciwieństwa kierunków intellektualizmu i woluntaryzmu te rozwiązania zagadnień, które podaje św. Augustyn, są pełne wartości (t. I. str. 46).

Jeżeli z obowiązku recenzenta chcemy wymienić jakie strony ujemne dzieła Mausbacha, to z trudnością przychodzi je wyszukać. Znane nam sprawozdania (niektóre wylicza Dr. A. Ruge w *Die Philosophie der Gegenwart* I. Heidelberg 1910 str. 284, Nr. 2182), także przeważnie takich słabych stron nie podają. Na kilka usterek zwraca uwagę M. Reichmann S. J. w *Stimmen aus Maria Laach*, (77. Bd. 1909 str. 202).

Całość dzieła wywiera nadzwyczaj korzystne wrażenie. Znajduje

się w niem obfity materyał umiejętnie zbadany i ugrupowany w systematycznem przedstawieniu, którego cechą jest obszerność i gruntowność. U nas obecnie studya nad postacią św. Augustyna zaczynają się częściej pojawiać; żeby wymienić po większej książce Prof. M. Straszewskiego „Filozofia św. Augustyna" na tle epoki. Kraków 1905, także parę młodszych, jak M. Dragana: „O filozofii dziejów św. Augustyna", Kraków 1910 r. i L. Chmaja: „Wyznania św. Augustyna, ich rozbiór i znaczenie", (w *Przeglądzie polskim*, w zeszytach czerwca i lipca 1912 r.) wznowiono również wydanie przekładu *Confessiones* przez M. Szyszkę „Wyznania". Wyd. nowe, uzupełnione i poprzedzone wstępem przez ks. Stanisława Miłkowskiego, Wilno 1912). Wobec żywszego ruchu na tem polu i wobec wielkich przymiotów dzieła X. Prof. Mausbacha, wydaje się bardzo wskazanem, aby ktoś zechciał przełożyć je na język polski.

Sprawozdanie nasze zakończymy słowami, które o dziele Mausbacha napisał *De Wulf* w *Revue néoscholastique de philosophie*, XVIII. 1911. str. 138: „*Voici un ouvrage de grande valeur*".

Dr. Wojciech Marceli Gielecki.

Ze świata autobiografii.

Autobiographie de H. M. Stanley, publice par ta femme *Dorothy Stanley* 2 vol. Paris Plon.

Jean Henri Fabre, l'entomologiste, racconte par lue-même. Lyon, Vitte 2 vol.

Nazwisko tego prawdziwego Kolumba Afryki (1843 — 1904 r.) znane jest wszystkim; przed kilku laty świat zadziwił wynikami swych odkryć, niestrudzoną odwagą i przedsiębiorczością. Ale Stanley'a, jak tylu innych ludzi, znamy tylko zewnętrzną stronę życia. Sam mówi o sobie: „Ludzie widzieli tylko wyniki moich trudów, opowiadania pobytu mego w Afryce wszyscy czytali, ale kto zna moje ja, moje życie wewnętrzne? A przecież sądzę, że jest o niem coś do powiedzenia, że opis moich walk wewnętrznych, przygód dzieciństwa i młodego wieku może niejednego pouczyć, innemu dodać odwagi, lub przynieść godziwe rozrywki, a więc i tem, póki żyje, chciałbym się przysłużyć bliźnim moim. Pragnąłbym przemówić do tylu młodych dusz, które są skłonne do przyjęcia dobrego wpływu, a choć wiem, że nauki nie zawsze skutkują, że nawet przykład drugich często

zimno puszczamy, pewny jestem, że jest dużo między młodemi dusz szlachetnych, na które jeszcze działać można. Dla nich chciałbym zostawić wierny opis walk, usiłowań, cierpień, niepowodzeń, które były moim udziałem, a sądzę, że ten obraz nie dla jednego pożytecznym będzie.

Trudno czytać coś boleśniejszego, jak opis dzieciństwa Johna Rowlands'a, bo takie było jego rzeczywiste nazwisko. Matka jego lekkomyślna i bez serca kobieta, zostawiła go u dziadka, od niego przechodząc z rąk do rąk, jako czteroletnie dziecko, oddany zostaje przez jednego z krewnych do Workhauta. Czem był ten pobyt dla dziecka, którego serce dziwnie było rozwinięte, trudno powiedzieć. Życie więzienne, tryb kolonii karnej, praca nad siły, obchodzenie nielitościwe wypełniło dziecinne lata wielkiego człowieka. A przecież pobyt w Workhautie, gdzie tryb życia był wprost barbarzyński, wszczepił w duszę jego zasady wiary, oparte na silnej podstawie nauki Pisma ś-go, ta wiara jest mu obroną i wskazówką przez całe życie i jak w ostatnich dniach życia pisze, „jej wpływ pociągał mnie do dobrego, odwodził od złego, nauczył panować nad namiętnościami, kierownikiem był moim wśród zepsucia, które mnie w tylu niezwykłych okolicznościach otaczało i obronił, bym w niem nie zginął. Bez nauki wiary byłbym równy murzynowi afrykańskiemu, a ona w serce moje wlewała też to słodkie uczucie, że ja sierota bez ojca i przyjaciela mam w niebie Ojca i Opiekuna sierot i opuszczonych, dla którego nie mniejszym jestem od wielkich tego świata". W 12-tym roku życia pod wpływem oburzenia za doznane niesprawiedliwości rzucił się John na okrutnego dozorcę, a powaliwszy go mimo młodego swego wieku, zdołał zbiegnąć z Workhautu i ujrzał się na wolności.

Ale ten świat, który tak ponętnym się wydawał poza murem i kratami, jakże twardym, nielitościwym okazał się dla biednego chłopca. Zaczyna się dla niego szereg zawodów, niesprawiedliwości, pracy bez wynagrodzenia, aż wreszcie w Liwerpoolu dostaje się na statek, płynie do Ameryki i po dwóch miesiącach ciężkich przygód, wśród rozbestwionych marynarzy staje na ziemi amerykańskiej w Nowym Orleanie.

Na ziemi wolności, jakby karta się obróciła, spotyka ludzi zacnych, którzy podają rękę chłopcu i poznają się na jego zdolnościach i charakterze. Bogaty kupiec, który całe życie pragnął mieć syna, adoptuje go, daje mu swoje nazwisko: Henry Stanley i stara się do-

pełnić braki zewnętrznego i wewnętrznego wychowania jego. Jak roślina pod wpływem słońca, tak chłopiec rozwija się pod wpływem miłości i wszystkie przymioty jego charakteru i serca występują. Zdaje się, że to najszczęśliwsza pora życia Stanley'a i gdy po kilku miesiącach opiekun jego odjeżdża, jak sądzą na krótki czas, chłopiec tak gwałtownie cierpi, że po 35 latach pisze, że był to największy ból jego życia. Przeczucie nie omyliło go, po kilku miesiącach dochodzi go wiadomość o nagłej śmierci Stanley'a, zdaje się, że na to tylko go spotkał, by pod wpływem ojcowskiej miłości dojrzał, dotąd bowiem, a niestety i później tak być miało, spotykał niesprawiedliwość, a gdy doszedł do znaczenia, podłą zazdrość.

W tym czasie mniej więcej wybucha wojna 1862 r. Stanów północnych i południowych Ameryki. Stanley'a porywa zawierucha, w części duch jego awanturniczy i zostawia nam barwny opis tej bratobójczej wojny, a straszny wprost obraz położenia rannych i więźniów, do których się dostał. Ta okoliczność daje kierunek wytyczny jego życiu, listy jego dostają się do dzienników i zostaje wkrótce potem korespondentem największego amerykańskiego pisma *N. Jork Herolda*, a nazwisko jego łączy się niejako z redaktorem i właścicielem pisma Banettym.

W jakimkolwiek punkcie kuli ziemskiej dzieje się coś nadzwyczajnego, tam Banett, nie zważając na koszta, wyprawia S. Widzimy go w Abissynii, podczas powstania na Krecie, przy otwarciu kanału Suezkiego, na wojnie Don Carlosa w Hiszpanii. Zewsząd pierwsze od niego przychodzą telegramy i zdobywa rekord szybkości, zdawałoby się, że aeroplanami podróżuje. Ale to tylko przygotowanie do wypraw, które nazwisko jego głośnem uczynią. Banett sprowadza go do Paryża i tam mu powierza missyę odnalezienia Livingstona, którego od kilku lat ślad przepadł w głębokiej Afryce. Ale przedtem miał zbadać wyższy Egipt, ostatnie wykopaliska w Jerozolimie, położenie Turcyi i postępy Rosyi w Persyi, zajrzeć do Indyj i dopiero statkiem z Bombaju przybywa do Zanzibaru w celu zorganizowania wyprawy podwzrotnikowej. Mógł tylko tego dokonać człowiek, który mówił o sobie, że wykreślił ze swego słownika słowo: niemożliwe, nie uda się.

Bardziej jeszcze jak niepojęta przedsiębiorczość i odwaga, charakteryzuje Stanley'a jego wewnętrzne wyrobienie. Pobyt w pustyniach Afryki, daleko od ludzi, daje mu sposobność zastanowienia się głębszego i pisze o sobie, że gdyby nie te miesiące samotności,

byłby może wśród ludzi i nieustających wrażeń wiarę zatracił. Jako książkę ma ze sobą Biblię, tę samą, którą w dzieciństwie za nagrodę dostał, a gdy choroba powala go na łoże, w Psalmach i Księgach Joba szuka światła i pociechy. Znane jest spotkanie jego z Livingstonem, dwie te dusze mogły się zrozumieć i zazdrościć można narodowi, który takich ludzi wydaje.

Jak wiadomo nie był to koniec podróży S. i owszem jeszcze kilka razy wzdłuż i wszerz przeszedł Afrykę i nazwisko jego na zawsze z czarnym kontynentem związanem zostanie, jak Kolumba z Ameryką.

Nie będziemy mu już jednak towarzyszyć w dalszych wędrówkach, chodziło nam szczególniej o przedstawienie człowieka, a Stanley pozostał już wierny temu, czem go lata młodości, trudów, zaparcia siebie uczyniły. Przedstawia nam się rzeczywiście jako charakter niezwykły, dobór przymiotów i cnót nie zawsze idących z sobą w parze. Wola żelazna, idąca mimo wszelkich przeszkód do wytkniętego celu, odwaga nieustraszona, czy w puszczy afryk., czy na polu bitwy w wojnie Anglików z Achantisami. Jen. Wolsley, dowódca Highlandaderów pisze o nim: „Opodal odemnie stał H. Stanley, po 30-tu latach widzę go jeszcze przed sobą, wyraz twarzy jego tak spokojny wśród kul i świstu strzał, jakby strzelał do tarczy, a determinacyą i odwagą swoją wzbudzał ją w drugich i sam widok jego, każdego tchórza mógł przykuć do placu bitwy, wystarczało patrzeć na niego, by nabrać odwagi".

Żona daje mu świadectwo niezwykłej, kobiecej łagodności, *das Ewigweibliche* i mówi, że więcej niż sławę cenił sobie miłość i zaufanie.

Dzieckiem poznał Boga i myśl, że żyje pod Jego okiem i opieką szczęściem go napełniała, młodzieńcem nie zaparł się Go, a folgowanie namiętnościom nie wypaliło w sercu jego wiary. Umierając czuł, że spełnił przeznaczenie od Boga mu dane.

Mało w ostatnich czasach wyszło książek tak moralnie zdrowych jak autobiografia Stanley'a. Powinna być na język polski przetłómaczona i pragnie się, by spełniło się jego życzenie i przemówił i do naszej młodzieży zdolnej go zrozumieć.

Niezwykłą w swoim rodzaju jest autobiografia cichego pracownika, tylko w kołach uczonych znanego entomologisty Fabra.

Ur. 1823 r. z b. ubogich rodziców z warunkami kształcenia się, o których zupełnie wyobrażenia nie mamy, bo w ówczesnej izbie szkolnej wraz z dziećmi gąski i świnki schronienie znajdowały. Pierwszego obudzenia się dziwnego zmysłu i zamiłowania do owadów,

które mu było dane od Boga, doznał pilnując kaczek, pluskających w kałuży opodal od chaty. Wodne porosty, robaczki na nich igrające zachwycają dziecko, śledzi za nimi, poznaje ich obyczaje i to będzie kierunek jego badań przez ciąg długiego życia. Nie odrazu jednak poszedł na tę drogę, z niesłychaną trudnością z powodu materyalnych warunków przechodzi szkoły normalne, gimnazyum.

18-letni chłopiec zostaje nauczycielem ludowym, ale urządzenie szkolne nie wielkie jeszcze postępy zrobiło i choć już jesteśmy w r. 1841 i to we Francyi, szkoła nie posiada ławek, a chłopcy na kolanach piszą zadania, nauczyciel zaś uczy według własnej metody i programu. Widocznie jednak nie zawsze źle się na tem wychodziło, bo młody nauczyciel, zamiast kuć gramatykę i słówka łacińskie, dosyć poznał chemię, by wiedzieć, jak dla rolników użyteczną być może jej nauka i z dziwnym sprytem, nie mając prawie żadnych potrzebnych aparatów, robi z uczniami doświadczenia, które mu nowych uczniów i sławy przysparzają. Następnie uczy ich miernictwa, a tak kształcąc drugich, sam się kształci i dochodzi do tego, że uczy wyższej matematyki, nie przeszedłszy jej sam w szkołach. Nieraz w pół śnie, jak pisze w swoich wspomnieniach, „rozwiązywałem zadanie matematyczne, a wtenczas wyskakując z łóżka, notowałem wynik otrzymany, bo to światło w umyśle równie niespodzianie okazywało się, jak znikało. Dlaczego te myśli wśród snu przychodziły? Sądzę, że dlatego, że od dzieciństwa miałem zwyczaj ciągle rozważać te przedmioty, których się uczyłem. Jeżeli więc kto chce dojść do rezultatu, niezawodnym na to sposobem jest zaprzątać ciągle myśl swoją tą nauką, której się poświęca".

Taka usilna praca musiała przynieść owoce, zdobył stopnie naukowe, które mu były potrzebne i został mianowany profesorem gimnazyalnym w Ajaccio. Tam spotkanie wielkiego botanika i wielkie bogactwa fauny miejscowej kierują Fabra już 27-mio letniego na jego właściwą drogę, ale te lata pracy nie były stracone, dały mu silną podstawę nie tylko nauk ścisłych, ale i filologicznych.

Zaczyna się nowy okres życia Fabra, poświęcony już cały badaniu owadów. Zostawia nam opis tych wędrówek po łąkach, skałach, pastwiskach, polach i drogach, gdzie śledzi je w ich norach i życiu, żywieniu się, zwyczajach, mnożeniu, dochodzi wprost do zdumiewających odkryć, które z równą naukową metodą jak poetyczne przedstawia w licznych swoich dziełach o owadach. Pamiętniki jego, o których teraz mówimy czytają się rzeczywiście jak poemat, takie świeże,

takie pełne miłości i podziwu dla tych zwierzątek, które ledwie większej części ludzi z nazwiska są znane.

To też W. Hugo nazywał go Homerem owadów, a Maeterlink o nim pisze, że to jeden z najwyższych umysłów obecnego świata i równie głęboki przyrodnik, jak świetny poeta.

Wśród tego znajdują się w tych wspomnieniach śliczne obrazy dzieciństwa jego i życie ubogiej rodziny, w którem widzimy stan ówczesny społeczeństwa francuskiego na wsi. I on też nie doszedł do wielkiego majątku, ani do tego, czego bardzo pragnął, t. j. katedry uniwersyteckiej. Jako ziemską nagrodą został ozdobiony krzyżem legii hon., którą nie tak jeszcze szafowano jak obecnie, przyjaźnią najlepszych i najuczeńszych, szczęściem domowem, ożywionem 7-giem dzieci, którzy za przykładem ojca śledzą za życiem i zwyczajami owadów i stają się najdzielniejszymi jego współpracownikami.

Fabre pozostawił liczne swe głębokie spostrzeżenia i odkrycia o życiu owadów w ośmiu tomach, w których nauka przedstawiona w sposób tak popularny, jak tylko Francuzi umieją. Tem więcej wspomnienia, o których mowa, zająć i zaciekawić potrafią ludzi nie fachowych nawet. Najrzeczywistszą jednak nauką dla każdego jest przykład człowieka mrówczej pracy, skromnego życia, wpatrzonego w swój cel: jakim jest badanie dzieł natury. Gdy go raz pytano, czy wierzy w Boga? Nie, odrzekł, nie mogę powiedzieć, bym wierzył, ja Go widzę, bez Niego nic nie rozumiem, bez Niego wszystko ciemnością, prawda ta z dniem każdym utwierdza się w sercu mojem.

W czasach jak obecne, gdy tylu zwłaszcza młodym, wydaje się trudno połączyć wiarę dogmatyczną z postępem i wiedzą, życie tych dwóch ludzi równie dzielnych charakterem jak nauką i pracą, może być przykładem dla wierzących, pociechą i utwierdzeniem, dla wszystkich przeczytanie tych książek bardzo miłą rozrywką.

Z. P.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Jak my pracujemy? Szkic z życia naszego przemysłu. *Żuraw*. Lwów, 1912. Gubrynowicz i syn. 8-ka, str. 54.

Sporo już wypisano artykułów w sprawie uprzemysłowienia i uhandlowienia Galicyi, wszelako mało kto raczył zdać sobie sprawę z przyczyn, powodujących zastój na obu tych polach pracy. Tem większa wdzięczność należy się pseudonimowemu autorowi

omawianej rozprawki, ujął bowiem rzecz w sposób jedynie właściwy, choć nader smutne nasuwający refleksye. Autor bowiem udowodnił w sposób niezaprzeczalny, że powodem najważniejszym osławionej „nędzy galicyjskiej“ jest: ospałość, próżniactwo oraz niechęć przystosowania się galicyjskiego kupca i przemysłowca do fluktujących bez ustanku warunków handlowych i przemysłowych. Toć niema dnia, w którym pisma nie donosiłyby o kupcach, zachowujących się wobec klientów w sposób ordynarny, a już chyba aż uszy bolą, skoro się słyszy wieczne narzekania na brak kredytu, skoro się wie, że ten kupiec nie reguluje nigdy swoich zobowiązań wekslowych w terminie, nie jest akuratnym w załatwianiu korespondencyi handlowej, nie stara się o odpowiednią reklamę, jest nietaktowny wobec zajętych u niego robotników i jakkolwiek nie potrafi pozbyć się konkurencyi towarów zagranicznych, przecie snuje rojenia nieziszczalne o eksporcie!... W tem, co autor napisał, niema przesady ani odrobiny. Czy jednakowoż strony najbardziej interesowane zechcą uderzyć się w piersi i wyzbyć się błędów dotychczasowych?.. to wątpliwe. *Z.*

Spółki pieniężne. *Jan Purwin.* (Wydawnictwo wydz. Kółek Centr. Tow. Roln. nr. 14). Warszawa, 1912. Nakł. Spółki wydawniczej warszawskiej. 8 ka, str. 51.

Ostatnia to praca przedwcześnie zgasłego działacza, który zapowiadał tyle świetnych nadziei, nie tylko jako pracownik skrzętny i ochoczy, ale też znakomicie przygotowany w swoim zawodzie, czego dowodem najlepszym jego prace drukowane swego czasu w warszawskim *Przeglądzie narodowym*. Rzecz powyższa, jakkolwiek trzymana w tonie popularnym, przecież daje czytelnikowi dokładne wyobrażenie o korzyściach, płynących z kooperatyw kredytowych, które od niedawna dopiero zaczęto zakładać w Królestwie Polskiem. To też nie brak tutaj szczegółowych wskazówek, odnoszących się do sposobu racyonalnej gospodarki w spółkach pieniężnych, tak że z ich pomocą jednostki chętne do pracy wśród ludu będą miały zadanie wielce ułatwione. *Z.*

Zdradne sieci. Przestroga dla dziewcząt. *Iza Moszczeńska.* Warszawa. 1912. Nakł. Cecylii Walewskiej. 8-ka, str. 17.

Nawet p. Moszczeńskiej zdarzy się niekiedy napisać rzecz wcale pożyteczną. Do nich należy też omawiana broszura w sprawie handlu żywym towarem. Tylko — po co w rzeczy popularnej tyle zbędnego patosu? Celem ilustracyi wystarczy przytoczyć kwiatek następujący: Kiedyś, hen, przed latami, żyły na ziemi smoki, „mające koński łeb, łuskę węża, skrzydła ptaka i lwie pazury, ziejące dymem i siarką, a pożerające rocznie po kilkaset czystych dziewic“. Mało tego!... Wszak — podług p. Moszczeńskiej — „do dzisiejszego dnia taki straszny potwór istnieje, że nie potrzeba go szukać daleko, żeruje on na naszej ziemi i pochłania rok po roku nie kilkanaście, ale kilka tysięcy czystych dziewic“. Że przyczyną główną są mrok i nędza, na to zgoda, jak niemniej na to, że środkiem ochronnym jest oświata, lecz, czy „jedynym“, jak chce autorka, to wielkie pytanie. Broszurkę kończy opis szczegółowy towarzystw ochrony kobiet we wszystkich krajach. *Zet.*

Jaką młoda dziewczyna być powinna. *Nixon Waterman.* Przełożyła E. Węsławska. Kraków, 1912. Gebethner i Sp. Str. 104 in 16°.

Chcąc młodym dziewczętom podać przewodnie zasady do wyrobienia cha-

rakteru, zebrał autor aforystyczne zdania pisarzy bardzo różnej wartości i przekonań... Sentencye ludzi dobrych i złych, byle głośnych, wylicza bez wyraźnego systematycznego porządku. „W żadnej epoce, mówi autor na str. 7, dziewczyna nie miała tak wielkiego znaczenia, jak dzisiaj", otóż ażeby jej pomódz do należytego spełnienia celu życia, zachwala jej .. Darwina, jako tego, który nowe zbudował podstawy filozofii (str. 13). Religijnych źródeł etyki autor widocznie nie uwzględnia, kiedy dopiero od Dra De Witt Hyde każe się dziewczętom uczyć, że „dzieci winne są rodzicom posłuszeństwo i obowiązane są do oddawania im usług .." (str. 55)

Jaką więc młoda dziewczyna być powinna — z tej książki chyba się nie dowie...

B.

Dobre dzieła. I. Szynwałd. Napisał *Józef Nekanda Trepka.* Kraków, 1912. Nakładem „Głosu narodu". Str. 16.

Broszurka powyższa jest zaczątkiem wielce pożytecznego wydawnictwa, zasługującego na gorące poparcie tak ze strony duchowieństwa, jak i wszystkich szczerych przyjaciół ludu i jego oświaty, rozwoju moralnego i gospodarczego postępu. — Treść jej to jędrnie opowiedziane dzieje wyzwolenia wsi Szynwałdu (odległego od Tarnowa o 11 km) z jarzma żydowskiego i nędzy, będącej tego jarzma nieodłącznym towarzyszem, a to przez podziw i cześć budzące poświęcenie pasterza tej parafii, ks. Aleksandra Siemieńskiego, który w ciągu ćwierćwiecza zdołał ten zakątek uczynić siedzibą cywilizacyi, moralności i wysokiego dobrobytu, choć „za to mieszka sam w walącej się plebanii" (str. 13). Zaprowadzenie kasy Raiffeisena (obrót do 521,700 K.!), Kółka rolniczego ze sklepikiem chrześcijańskiem, dwu ochronek ze szkołami (do 200 dzieci!) i zakładem kursów gospodyń wiejskich, pomieszczonym w okazałym domu piętrowym pod kierownictwem Sióstr Służebniczek N.P.M.! „fundacya Skargowska" dla młodzieży na wzór Miejsca Piastowego; zebranie funduszu na nowy kościół, mający stanąć kosztem 200,000 K.; zorganizowanie „Spółki wywozu mleka i „rolniczo-magazynowej", jako też „Składnicy towarów" w Tarnowie; urządzenie kursów dla małorolnych włościan i nauki wyrobu guzików, trykotaży i galanteryjnych wyrobów papierowych... to wszystko dzieła tylko główniejsze, powołane do życia zabiegami, ofiarami, trudem i potem jednego wiejskiego plebana!

Rozpowszechnienie wiadomości o tak obywatelskich czynach jest obowiązkiem całej naszej prasy; a poznanie owoców takiego społecznego działania zachętą dla wszystkich nieszczęsnych gmin — ofiar żydowskiego wyzysku, aby poszły śladami tego prawdziwego „ludowca", co tak dzielnie umiał chleba i nieba przychylić „robaczkom ziemskim".

W końcu z radością zaznaczyć możemy, że p. Trepka seryę „Dobrych dzieł" w ostatnich kilku miesiącach wzbogacił nowemi broszurkami, a mianowicie: II. Bonifratrzy w Krakowie; III. Albertanie i Albertanki; IV. Opieka nad terminatorami (już z datą 1913 r.) — poświęcona wspaniale rozwijającemu się dziełu socyalnemu, którem kieruje O. M. Kuznowicz T. J. Już same ich tytuły mówią, jakim prawdziwie „dobrym dziełom" każda z tych broszur swe usługi niesie. Zalety ich i wartość jakoteż interes, jaki budzą, niemniejsze od zalet i wartości broszurki pierwszej. Daj Boże, aby p. Trepce nie brakło materyału do dalszych ogniw „dzieł dobrych" ku pokrzepieniu zwą-

tlałej ludzkiej woli i podniesieniu poziomu moralnego w społeczeństwie.

R. K.

Irydion *Z. Krasińskiego.* Dramat w 9-ciu odsłonach z prologiem i eksodosem — wystawia na scenie (sic!) Bernard Feller. Gebethner i Spółka, Kraków, 1912, in 8°. Str. 131.

P. Feller odważył się na wielki czyn! Ze sanctissimum naszej literatury wydobył dzieło głębokie i ludzkim chce je pokazać oczom. Zapomniał snać p. Feller, a może nie wiedział, że są rzeczy wielkie, w skupieniu ducha pisane, dla garstki wybranych. Nie wiedział p. Feller, że takie rzeczy czyta się w ciszy nocnej, przy słabym świetle lampy, by nic ziemskiego nie odrywało roztargnionego ducha, bo dla niego jedynie pisane są takie rzeczy jak „Irydion". Nie wiedział p. Feller, że ze wstępu i zakończenia, jakie Krasiński skreślił dla „Irydiona" nie można stworzyć obrazu dla sceny, bo dzieło się zaćmi i straci na wartości w niezręcznej przeróbce. Wprawdzie p. Feller zapowiada, że „Irydiona" przerobił w duchu reformy teatralnej oryginalnie pojętej, ale żadna reforma nie dokaże tego, by wstęp i zakończenie przemówiły do nas tak, jak przemawia samo czytanie tych rzeczy. Nietylko te dwa ustępy ucierpiały w przeróbce p. Fellera. Te zresztą błędy można mu darować, bo że ktoś duszę ma płytką, to za to winić nie można. Ale p. Feller skaził utwór w miejscach, gdzie tego mógł uniknąć. Poopuszczał sceny ważne, dla akcyi dramatu nieodzowne — lub poprzestawiał je, by ograniczyć zmiany dekoracyi; stąd gmatwa się wszystko i miesza, a dzieło i tak już trudne do zrozumienia staje się w nieszczęsnej przeróbce zupełnie niezrozumiałem. A zapowiada bardzo wzniośle na wstępie, w jaki całość zaopatrzył, że nie jest to przeróbka, ale przeżycie dramatu „Irydiona". To zdanie zresztą jak i cały wstęp jest pustym frazesem. Chciał p. Feller dać przez przeróbkę reformę teatralną praktycznie urzeczywistnioną, dał zaś przykład, jak wielkie rzeczy maleją w rękach niepowołanych. Szczęściem, że p. Feller nie wystawi nigdzie „Irydiona" w swej przeróbce. To zaś, że prasa swojego czasu przyjęła tę rzecz z aplauzem, nie powinno być dla p. Fellera wyrocznią. Zapewne ci panowie nie znali, a w każdym razie nie czuli, gdzie leżą prawdziwe skarby „Irydiona".

bn.

Polska pieśń miłosna. *Jan Lorentowicz.* Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa, in 8°. Str. 479.

Trudno wyliczać wszystkich wielkich i mniejszych poetów, których swym wyborem zaszczycił p. Lorentowicz. Są chyba wszyscy ci, którzy choćby jednym wierszykiem, miłości śpiewali — od Kochanowskiego począwszy aż do tych z doby obecnej, wśród których znajdzie się zapewne i niejeden z tych, którzy pretensyi do nazywania się poetą nie mają. — Wszyscy po porządku, tak jak żyli — po starszeństwie, aby snać krzywda któremuś z nich się nie stała, że go wydawca dalej umieścił, choć lepiej pisał. A są tu i pieśni ludowe — nie wiadomo kto je pisał, ale że są miłosne, więc i one mają swe miejsce. Usprawiedliwił je wszystkie, że się powtórnie w druku pojawiają, p. Lorentowicz, wstępem wcale pobieżnym. A żeby nietylko serce ku miłości skłonne, ale i oczy miały udział w tej biesiadzie wydanej na cześć miłości, przeto przegradza rymy dwanaście reprodukcyj naszych malarzy. Biorąc książkę do ręki, gdy się już tytuł przeczyta, to raczej wolałoby się pod tym tytułem znaleść rozprawę naukową, krytyczną, z którejby się naprawdę

można było czegoś dowiedzieć o polskiej pieśni miłosnej. Tak jak jest, to książka przypomina wielce owe zeszyty-pamiętniki zapisane ręką pensyonarek i zakochanych studentów.

bn.

Duszom w odlocie. Poezye. *Władysław Zalewski.* Gebethner i Wolff, Warszawa, 1913, in 8°, str. 126.

Górnymi drogami chce stąpać myśl, a za nią pióro Wł. Zalewskiego. W poezyi swej zna on przeważnie drogę ku szczytom, ku słońca blaskom, byle najwyżej wznieść się ponad szarzyznę skorupy ziemskiej. Hasła to nawoływujące do czynów wielkich, a hasłom towarzyszy wiara w ich spełnienie, która wsparta na optymizmie, rzadko bardzo z nim się rozstaje. Nie zawsze jednak szczęśliwy wiersz towarzyszy tym myślom poety. Udatniejsze pod tym względem są rzeczy lżejsze, jak „Psalmodye jesienne", jak „Podzwonne", w których autor pofolgował nieco swym skrzydłom i ku ziemi zniżył lot i na niejedną ziemską pokusę oczy zwróciwszy, jej także poświęcił pieśń. A zaglądnie z tych poezyj nieraz i zwątpienie i rezygnacya, a oczy zamknąwszy na ból, zawoła w taniec przy dźwięku basetli.

bn.

Skarga. *Jadwiga Podhorska.* Część II. Nakładem i drukiem W. L. Anczyca i Sp. Kraków, 1912, in 8°. Str. 32.

„Majaczenia letniego wieczoru" — taki pod tytułem napis umieściła autorka. W taki wieczór myśl jej ku Bogu się wznosi — i klęczy w adoracyi i łaskę pragnie dla siebie wyprosić, by duszy jej nic od Boga nie dzieliło. — W taki wieczór staje przed autorką Polska przez wrogów skrzywdzona — Polska z niedaleką przyszłością zmartwychwstania. *bn.*

Łzy-Perły. Poezye. *Marya Paruszewska.* Tom II. Poznań, 1912, in 8°, str. 107.

Tytuł nie bardzo odpowiada rzeczy, bo choć łez w poezyach Maryi Paruszewskiej nie brak — zresztą o łzy nie tak trudno — to zato pereł tam niewiele. Wiersze to przeważnie okolicznościowe, począwszy od życzeń noworocznych aż do opisu „Pochodu na Wawel" Szymanowskiego. Nudzi ten tomik poezyj, jak przeczuwa autorka we wstępie, ale nie dlatego, że łzami pisany, raczej dlatego, że ponad przeciętność się nie wznosi. *bn.*

Przez złocisty gaj. *Ks. Ewaryst Nawrowski.* Nowe poezye. Nakładem księgarni św. Wojciecha, Poznań, 1912, in 16°. str. 212.

„Tylko trzeba ufnie siać
Zdrowe ziarno w łan wytrwale,
Precz odrzucić próżne żale,
A przy skibie trwać — jak stróże —
A przy skibie trwać!"

Oto próbka poezyj ks. Nawrowskiego, których tematem przeważnie wiejskie ustronie z całem bogactwem natury: Więc i czar wiosny i jesień polska ze swymi zachodami słońca — a wszystko ujęte w zręczną, bezpretensyonalną formę. Ta prostota ujmuje czytelnika i myśli jego prowadzi poprzez złocisty gaj w środowisko myśli poety. *bn.*

Hołd miłości u stóp Chrystusa. *Dziecko Maryi.* Nakładem autorki, Kraków, 1912, in 8°, str. 128.

Już z tytułu łatwo się dorozumieć, że treścią niniejszego tomiku będą Boga pełne uwielbienia strofy. W przedmowie zaznacza autorka, że celem wydawnictwa jest jedynie chwała Boga. Nie dba o krytykę, a pragnie rozpalić w czytelniku iskrę miłości Bożej. Sądzę, że autorka prędzej dopięłaby swego

celu, gdyby zamiast kosztownego wydawnictwa, pieśni swe objęła w ramy książeczki do modlitwy. *bn.*

Aniołom dźwięku. *Bronisława Ostrowska.* Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa, in 16°, str. 252.

Helwetia. *Marya Poraska.* Gebethner i Spółka, Kraków, 1912, in 16°, str. 201.

Gdy się dziwnym zbiegiem okoliczności przeczyta poezye Ostrowskiej i zanim wywietrzeją z pamięci, weźmie się do ręki dziełko Poraskiej — mimowoli szuka się pokrewnych cech twórczości u obu poetek. Tasama melancholia, tensam smutek płyną ze strof. Podobna wreszcie forma wiersza, a może i tasama łatwość wierszowania. Tylko Ostrowska ma w sobie coś z mistyki religijnej i często Bogu śpiewa i Bożej Matce. Jest więcej swojska, nie szuka natchnienia pod obcych niebami, choć zna zapewne ich literaturę, skoro tłómaczy i z belgijskich i z francuskich poetów, wybierając najwięcej swemu natchnieniu pokrewnych. Poraska podróżowała, więc widnokrąg u niej szerszy; temat do wierszy czerpie raczej z widzianych rzeczy, aniżeli z głębi swej duszy. *bn.*

Poezye. *Matylda Piotrowska.* Gebethner i Wolff. Warszawa, in 8°, str. 79.

Matylda Piotrowska, to jedna z niewielu poetek, w której strofach jest siła prawdziwie męska.

„A mnie potrzeba wołać, kląć,
W złocony róg bez przerwy dąć,
Zarzucać wiecznie złotą sieć,
Gdzie śpią w letargach kniaź i kmieć
Iść naprzód wciąż, budzić i grać,
Zziębnięte bratnie serca grzać!"

Za siłą idzie zwięzłość. Umie autorka paru słowami oddać myśl głęboką. Jest dobrą obserwatorką, stąd tematy jej wierszy są nam nieraz tak bliskie, że mimowoli czyta się je po kilka razy, a co ważniejsze uczy się ich na pamięć, czemu wielce pomaga niewyszukana forma, bo poetka czuje to co pisze, a nie urabia poezyi. W omawianym tomie jest również próbka prozy, noszącej tesame, co poezya zalety. Z powodzeniem także dokonuje autorka przekładów włoskich poetów. *bn.*

Imagina. *Marya Konopnicka.* Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa, in 16°, str. 235.

Rzecz zaopatrzył przedmową A. Grzymała Siedlecki, wspominając o wszelkich zaletach, jakiemi się odznaczają i język i wiersz M. Konopnickiej; wyjaśnił nadto myśl przewodnią. Nie zbijając pochwał p. Siedleckiego i uznania dla twórczości M. Konopnickiej przecież zauważyć należy, że „Imagina", to utwór chybiony. Jest tam czar języka i wersyfikacyi, można zachwycać się nad blaskiem słowa, są zatem te zewnętrzne części dzieła, ale gdy się wglądnie w głąb i duszę poematu, pocznie się logicznie rozbierać, to uderzyć musi dziwne zlekceważenie fabuły, której brak ciągłości jeszczeby można wytłómaczyć, ale autorka wyszła z innego założenia i w pierwszych pieśniach bezwarunkowo inne zakreśliła dlań plany, jednak z biegiem strof poniosło pióro wielką poetkę. *bn.*

Ethica socialis seu sociologia. Auctore *Dr. Josepho Kachnik C. R.* Facultatis theologicae Olomucensis professore publ. ord. Olomucii 1909. Sumptibus R. Promberger. 8-ka duża. Str. 287.

Wykłady akademickie Dr. Kachnika o etyce socyalnej są jasnem i treściwem zestawieniem wiadomości z etyki socyalnej, potrzebnych koniecznie każdemu kandydatowi stanu duchownego.

W pierwszym rozdziale rozpatruje autor cechy społeczeństwa domowego i politycznego i wysnuwa z ich zadania obowiązki społeczne, rodzinne i obywatelskie. Drugi rozdział omawia kwestyę pracy i płacy, w szczególności zagadnienia pracy dzieci i kobiet, czasu i warunków pracy, najmu i strajku. W trzecim rozdziale podaje autor krótki zarys historyi socyalizmu, oraz krytyczną ocenę teoryi Marksa. Ostatni rozdział obszernie traktuje o liberalizmie ekonomicznym i organizacyi klas społecznych.

Zaletami dzieła są: jasność obok ścisłości i bogatej treści, oraz pewność wyłuszczonych poglądów. Autor opiera się zawsze na gruntownych źródłach, szczególnie na encyklikach Leona XIII. o państwie i o kwestyi socyalnej. Na uwagę zasługuje jeszcze bogactwo historycznych i statystycznych szczegółów, oraz obfite uwzględnienie rozmaitych kodeksów prawa państwowego, zwłaszcza austryackiego.

Dla kleryków i kapłanów książka Dr. Kachnika jest wybornym podręcznikiem socyologii. *E. M.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Praca kapłana polskiego śród stosunków najtrudniejszych.

I na ziemi naszej Kościół zapisuje nazwiska sług swoich, którzy zrozumieli, na jakich drogach P. Bóg powołał ich do pracy, zdolnej odrodzić Ojczyznę. Zrozumiał to ks. dr. Marceli Godlewski w archidyecezyi warszawskiej: przez ćwierćwiecze pracy tak swojemu społeczeństwu okazał żywotną siłę Kościoła, tak — cichą wymową czynów — wzbudził cześć dla haseł odrodzenia narodowego na gruncie ewangelicznym, że kapłański jego jubileusz nie ograniczył się ramami uroczystości rodzinnej w gronie przyjaciół, ale przybrał rozmiary obchodu rozgłośnego po całym kraju. Dorobek ks. Godlewskiego wymagałby osobnej o nim pracy sprawozdawczej; tu nie miejsce streszczać choćby tylko przewodnią myśl różnych czasopism, które zapoznawały cały naród z zasługami niestrudzonego pracownika; wystarczy wymienić, co temu słudze Kościoła zawdzięcza sama Warszawa. Do zakresu jego dzieł chrześcijańsko-społecznych należą: Stowarzyszenie Robotników chrześcijańskich, Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe Robotników, Stowarzyszenie sług katolickich, Towarzystwo schroniska Dzieci Maryi, Towarzystwo Spożywcze Spólna Praca, Kasa Oszczędności dla dzieci, Bractwo Matek chrześcijańskich, fabryka kapeluszy założona i prowadzona

przez robotników, hurtowny skład skór szewców chrześcijańskich, Stowarzyszenie szewców i Towarzystwo domów robotniczych.

Dodać należy, że przy tylostronnej pracy, każdą ks. Godlewski umie rozpoczynać środkami bajecznie małymi. Np. — miał pomieścić Dom ludowy w Warszawie a w kieszeni miał gotówką 5.000 rs. i nic więcej; tedy znalazł stosowną kamienicę przy ul. Kaliksta, której cena sprzedażna wraz z wkładem na przebudowę wyniosła 140.000 rs.; otóż kupił ją, przebudował i pomyślnie wybrnął z grzęskiej drogi kłopotów. A podobnych przygód już więcej przebył z oczywistem błogosławieństwem Boskiem. Jakiej odwagi i usilnej pracy potrzebuje, kto w taką drogę się puszcza?

A w osobie ks. Prałata widzimy nie tylko wielce gorliwego działacza społecznego, ale także wychowawcę młodzieży duchownej, także poważnego pisarza w dziale naukowym i religijnym, także redaktora czasopism, także konserwatora zabytków sztuki, a nadewszystko wzorowego kapłana. A praca jego, tak różnorodna, tak szerokim objęta widnokręgiem, nie tworzy nic dorywczo, pobieżnie, dla marnego pozoru: prowadzi ją czcigodny sługa Kościoła ściśle, zasadniczo, zamiarowo. Jak może wszystkiemu podołać? skąd przymnaża sobie godzin czasu?

Społeczeństwo widzi tylko i podziwia owoce tej pracy, — a o źródle sił do niej i o chwilach na nią odkradanych od spoczynku — wiadomo tylko Bogu, który szczęści modlitwom i zamysłom takich sług Swoich. A ten Jego Sługa działa przy stosunkach niewypowiedzianie ciężkich, stawia każdy krok wśród przeszkód i zawad, których nie zna świat daleki: trzeba tam się przyjrzeć zbliska, gdzie wróg stawia wciąż zasieki, a swój nieraz kamień ciska. Tak słowami pożyczonemi od jednego z mowców jubileuszowych można z *Biesiadą literacką* zakończyć treść jej opisu i z nią Czcigodnemu Dostojnikowi Kościoła Warszawskiego życzyć po staropolsku: Boże Ci zdarzaj w przezacnym trudzie!

Staropolska modlitwa i praca.

Kto śledzi rozwój myśli Bożej w Kościele powszechnym, ten nie przeoczy dyecezyi Gnieźnieńsko-Poznańskiej, o której stanie uwiadamia nas świetny

sprawozdawca Ateneum Kapłańskiego [1]. Od niego dowiadujemy się o najwybitniejszych źródłach, z których życie religijne płynie w parafiach dyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej. W ogólności jest ono bujne. Gdyby się wzięło miarę życia tego z uczęszczania parafian do Wielkanocnej Komunii św., to drobny zaledwie znalazłby się procent tych, którzy obowiązek ten zaniedbują i byłby większy oczywiście w Poznaniu, Bydgoszczy, mniejszy w innych miastach, a zanikałby prawie zupełnie po wsiach.

Zatem Kościół w macierzy ziem polskich nad Wartą okazuje się w stanie pomyślnym, do którego wiele krajów katolickich na świecie dąży jako do kresu dalekich nadziei. Przed kilku latami powstała myśl, żeby sprawdzić statystycznie stan Kościoła liczbą Komunii Wielkanocnych. Z kilku krajów mamy szczegóły wymowne. Francya liczy czterdzieści milionów mieszkańców a Wielkanocnych Komunii — najwięcej ośm milionów. Włochów ledwo połowę widzi Kościół u Komunii przed Wielkanocą; ani groza wojny przed rokiem i dwoma latami nie zwiększyła we Włoszech tej odsetki: nie więcej niż pięćdziesiąt osób na sto zamieszkałych w parafii spełnia tam obowiązek wiary. A znacznie niższą odsetkę wykazują dyecezye wielu innych krajów. Słowiańskie dyecezye południowe i zachodnio morawskie albo czeskie, — podnoszą tę odsetkę wykonawców przykazania kościelnego ponad trzy ćwierci liczby mieszkańców. Na jednej tylko ziemi, pozatykanej krzyżami między Wartą a Dniestrem, statystyka wykazuje, że ani do pięciu od sta nie dochodzi liczba przeciętna Polaków, nie pamiętnych na obowiązek Wielkanocny. Z różnych dyecezyi polskich konsystorze i księża Biskupi, zapytywani o ten wynik statystyki, sprawdzali, że niewątpliwie ani do pięciu od sta nie dochodzi liczba Polaków, którzy nie spowiadają się w czasie Wielkanocnym. Najświeższe świadectwo z Bnina przemawia za wnioskiem, że na milionów dwadzieścia najwyżej milion Polaków nie okazuje się wiernymi synami Kościoła.

Dalsze szczegóły o najstarszej dzielnicy polskiej przedsta-

[1] X. Stanisław Okoniewski *Ateneum Kapł.* 1913 t. 9 str 157—160.

wiają w niej stan Kościoła pomyślniejszy, niż w niektórych dyecezyach na wschód wysuniętych. Dowiadujemy się, że szczerą religijnością odznacza się przedewszystkiem wielkopolski lud wiejski, ale i mieszczaństwo i warstwy ziemiańskie stoją przeważnie zwartym szeregiem przy Kościele. Zachodnie hasła obojętne na wiarę albo jej wrogie zawiewały nad Wartę, ale nie zdołały wybić znacznego wyłomu wśród społeczeństwa, któremu Bóg dał zwycięstwo w walce wyznaniowej za Bismarcka. Nawet okrzyki socyalistyczne nie porwały za sobą jak tylko jednostki, o czem świadczą wyniki wyborów do rady państwa.

Ujemnie oddziaływać mogłyby na lud jedynie pisemka, rzekomo ożywione myślą narodową, które niekiedy bezmyślnie sieją rozterkę w poglądach na rządy władzy duchownej. Zdrożna ta praca niepocześnie kala sławę katolickiego stanowiska, na którem dzielnie się trzyma dziennikarstwo wielkopolskie.

Jakże Kościół wychowuje swoich pasterzy w owczarni św. Wojciecha? „Kler wielkopolski zawdzięcza niemal wszystko teoretycznemu seminaryum duchownemu w Poznaniu i praktycznemu w Gnieźnie. Tam odbiera wykształcenie naukowe i ascetyczne, tam przyswaja sobie one widnokręgi, wśród których spędza życie". Przed walką wyznaniową „wychował w Poznaniu kilka pokoleń kapłanów dzisiejszy biskup Likowski, zaprawiając je głęboką znajomością historyi kościelnej, prawa kanonicznego, oraz gorącem przywiązaniem do Kościoła". Po walce wyznaniowej „niemniej szczęśliwie kwitnie wiedza teologiczna w seminaryum poznańskiem i gnieźnieńskiem. Obok innych profesorów wpisał się trwale w pamięci duchowieństwa wielkopolskiego jako świetny dogmatyk ś. p. X. Warmiński, który i jako historyk dziełem *Samuel i Seklucyan* głośne w Polsce zyskał imię".

„W seminaryum gnieźnieńskiem zaprowadzono już przed kilku laty wykłady o kwestyi społecznej i o sztuce kościelnej. Wielkie około tych przedmiotów położył zasługi przedwcześnie zgasły X. Trzciński". Posiew jego wydaje owoce: duchowieństwo rozmiłowało się w ochędóstwie Domu Bożego; „odbyty w listopadzie w Poznaniu kurs sztuki kościelnej zgromadził przeszło

dwustu kapłanów. Dużo stąd popłynęło zachęty, dużo lepszego zrozumienia rzeczy".

„Poziom naukowy kleru wielkopolskiego jest stosunkowo bardzo znaczny. Przyczynia się do tego dość gruntowne wykształcenie humanistyczne, ale niemało także dość wysokie postulaty naukowe w seminaryum".

Młody pracownik na niwie duszpasterskiej nie może zaniechać pracy naukowej: musi ciągle pogłębiać i przetrawiać wiedzę kapłańską, bo obowiązuje go przepis, żeby w pierwszem dziesięcioleciu kapłaństwa nie głosił kazań przygotowanych w pamięci, tylko na piśmie. „Podczas wizytacyi, odbywających się najpóźniej co trzy lata w każdej parafii, winien ksiądz młody kazania owe przedkładać. Zniewala go to do pracy i przysparza literaturze kaznodziejskiej niejeden cenny przyczynek".

Również naukę oraz kapłańską gorliwość podtrzymują zjazdy dekanalne, „na których omawia się sprawy na czasie, zwłaszcza z dziedziny duszpasterstwa. Niejednokrotnie rozbrzmiewają tam referaty niepośledniej wartości. Najważniejszym jednakże czynnikiem wewnętrznego życia dyecezyi, — ogniskiem niejako, z którego tryska światło i zapał i prawidła postępowania są kongregacye dziekanów. Na nich to zapadają po oględnem zbadaniu sprawy uchwały, wchodzące w życie całego społeczeństwa. Świeżo (3 grudnia 1912 r.) odbywała się XIX już z rzędu taka kongregacya. Przypomniano na niej dekret papieski o Komunii dzieci i postanowiono, uwzględniając nabyte już doświadczenia, przeprowadzić go ściśle; zobowiązano rządców parafii do zakładania towarzystw młodzieży; odnowiono obowiązek wręczania wychodźcom kart polecających ich duszpasterzom na obczyźnie; uchwalono składki na nowe kościoły. W ostatnich czasach powstało tych nowych domów Bożych kilkanaście".

Do wpływu na społeczeństwo wyrabiają się dzielni przewodnicy różnych związków i towarzystw, które wydały już wiele skutków doniosłych. Tak „niezmiernie doniosłym czynnikiem rozbudzenia życia religijnego w parafiach obu dyecezyi jest arcybractwo matek chrześciańskich. Co miesiąc zbierają się

w kościele albo sali parafialnej matki, które nie mają ni czasu ni zdolności, by zgłębić zasady wychowawcze; słuchają tam jakby pedagogiki praktycznej, — uczą się, jak w dziecku tłumić zdrożne porywy, a rozwijać popędy zacne i szlachetne, jak kształcić je na dobrego człowieka i dzielnego chrześcijanina". Doświadczeni na tem polu pracownicy nie poprzestają na ustnych wykładach; szerzą wychowawcze zasady przez dzieła o treści przydatnej i dla samych przewodników i dla członków arcybractwa: więc zasłużony ks. Jaskulski wydał podręcznik pod napisem: „Matka chrześcijańska" i pracę: „O wychowaniu", — ks. Dziegiecki: „Dziesięcioro przykazań chrześcijańskiego wychowania", — ks. Żychliński: „Nauki dla ojców i matek".

Przewodnicy towarzystw dla młodzieży dwojako stają do pracy: albo zbierają terminatorów i czeladników w związkach zawodowych, albo prowadzą po miastach sodalicye Maryańskie, a po wsiach kółka różańcowe; w tych to religijnych stowarzyszeniach „rozbudzają przedewszystkiem zamiłowanie cnót, ale usiłują także zapoznać młodzież z zgubnymi wadami nowych czasów i podać im broń do ręki. Stąd konferencye apologetyczne, które obejmują nieraz cały krąg zagadnień i oświetlają przedmiot wszechstronnie".

Towarzystwa robotników pod patronatem duchownym, zawdzięczają obecnym na zebraniach kapłanom nieustanny wpływ błogi.

„Ta podwójna praca" — ściśle parafialna i obywatelsko-społeczna, „absorbuje zwłaszcza po wsiach i mniejszych miasteczkach wszelką siłę duchowieństwa; na jego barkach spoczywa niemal wszystko. To też z ostatnim wysiłkiem może pracować na niwie literackiej. I pracuje. Zapełnia łamy *Nowej Biblioteki kaznodziejskiej*, *Miesięcznika Kościelnego*, raz po raz odzywa się w *Poznańskiem Towarzystwie Przyjaciół Nauk*, a nawet wydaje i obszerniejsze prace".

„Nie małe zasługi około rozwoju myśli religijnej wśród ludu ma *Przewodnik Katolicki*. Na niedzielę i święto przynosi on naukę, opartą na ewangelii, podaje umoralniające powieści, karci w pogawędkach zabarwionych humorystycznie wkrada-

jące się gdzieniegdzie nadużycia. Lud chętnie czyta to pisemko; świadczy o tem wymownie pokaźna liczba abonentów, wynosząca 70.000".

„Dla sfer wykształceńszych przeznaczono *Wiadomości apologetyczne*, ukazujące się już rok drugi w Poznaniu. Podają one redakcyom pism polskich bezpłatnie materyał religijny, przeważnie z dziedziny apologetycznej. W ten sposób przedziera się niejeden promyk prawdy odwiecznej do kół czytelników, którzy na kazaniach regularnie nie bywają".

Taki stan prac Kościoła nad Wartą nie tylko dla owych dwu archidyecezyj przemawia głosem nadziei: wynikł z tej przyczyny, która już działa sprężyście po przeważnej części innych dyecezyj na polskiej ziemicy. Jedna z nich po drugiej już takiego na swojej stolicy okazuje męża, jacy przez pół wieku przyśpieszali żywe tętno żywota katolickiego w poszczególnych parafiach owych archidyecezyj. Kardynał Ledóchowski od r. 1866-go „niestrudzenie przebiegał wszerz i wzdłuż W. Ks. Poznańskie, odwiedzając kościoły, usuwając z nich niepożądane naleciałości, budząc gorliwość duchowieństwa i żarliwość ludu około służby Bożej. Rozniecał, jakby przewidując zbliżającą się burzę kulturkampfu, znicz wiary, który w jego dyecezyach takim niezrównanym zajaśniał blaskiem w latach następnych. Dwa mianowicie zarządzenia jego z onych lat zasługują na uwydatnienie. Aby podtrzymać wśród dyecezyan ducha pobożności, postanowił, żeby co dziesięć lat w każdej parafii odbywała się misya. A pragnąc odnowić błogie w skutki synody dyecezyalne, przerwane w dyecezyi poznańskiej w r. 1738, powoływał dziekanów na kongregacye do Gniezna albo do Poznania i obmyślał z nimi sposoby moralnego i duchowego podniesienia parafii".

„Błogą jego działalność przerwał kulturkampf. Zerwał się jak widmo groźny i zmiatać począł i arcypasterza i kler do więzień, ale nie zdołał złamać wytrwałości kleru, społeczeństwa, skupionego wokoło Krzyża. Odpadła zaledwie tu i owdzie jakaś sucha gałąź; duchowieństwo z ludem wyszło z zapasów z wrogimi Kościołowi prądami zwycięsko".

„Ale burza wyrządza szkody. Burza kulturkampfu osiero-

ciła wiele parafij, rozerwała uczelnie duchowe w Poznaniu i Gnieźnie, pozbawiła głowy dyecezyan. Gdy przeszła, trzeba było szkody opatrzyć. Przychodzi nowy arcybiskup, obcy językiem, ale sercem odczuwający gorąco potrzeby społeczeństwa. Z pomocą biskupa Likowskiego usiłuje wprowadzić ład i porządek w zarząd dyecezyi, których majątkiem dotąd administrowała władza świecka. Otwiera seminaryum duchowne, zwołuje alumnów, rozprószonych po różnych uniwersytetach niemieckich. Ale niebawem śmierć nielitościwa przecina pasmo jego życia. Po raz pierwszy ujmuje ster dyecezyi w rękę jako administrator X. biskup Likowski. Nie na długo. W r. 1892 przybywa X. Arcybiskup Stablewski. Rozpoczyna się pod tchnieniem obydwóch tych książąt Kościoła jakby złoty okres w dziejach dyecezyi".

I innym dyecezyom polskiego Kościoła Boski jego założyciel już daje apostolskich zarządców, jakich św. Wojciech dla swojej owczarni uprosił od pół wieku. Z pracy tamtych dziś sprawozdawca Ateneum widzi plon złoty. Świadectwo jego nietylko dla najstarszej ziemi polskiej przemawia słowem nadziei.

Ks. Konstanty Czaykowski.

Ze świata nauk i wynalazków.

Chodząca ryba. — Pośmiertne objawy życiowe. — Odznaczenie lekarza bohatera. — Odżywianie nowoczesnej armii. — Z najnowszej statystyki militaryzmu. Najlepszy chronometr w r. 1912. — Badania nad aeroplanami. — Atom magnetyzmu, magneton.

W akwaryach zamożnych amatorów niemieckich i francuskich napotkać można rzadkie i bardzo interesujące zwierzątko, które tak swą budową, jak i własnościami biologicznemi powszechną zwraca uwagę. Jest to rybka niewielka, bo około 15 centymetrów długa, która jednak tem się różni od reszty rybiego społeczeństwa, że może żyć nietylko w wodzie, ale i na lądzie, po którym swobodnie przechadza się i skacze.

Ryba ta należy do rzędu kostnoszkieletowych, a więc tam, gdzie nasz karp, pstrąg, szczupak, okoń i sandacz, zbliżona do tych dwu

ostatnich jeszcze i tą cechą charakterystyczną, że pletwy jej są utworzone przez twarde cierniste włókna, stąd ich nazwa ciernioplytwych, sama zaś nosi nazwę *Periophtalmos*, którą jej dali zoologowie za jej piękne, wybitnie ku górze na osadkach sterczące oczka, pozwalające jej ogarniać naokoło szerokie horyzonty — jako że po grecku peri znaczy naokoło, zaś *ophtalmos* oko.

Prócz tych oczek ma *periophtalmos* inne jeszcze bardzo ciekawe charakterystyczne rysy. Wysunięta ku przodowi szczęka dolna przypomina nieco fizyognomią mopsa, a prócz tego szczególną uwagę zwracają pletwy. Jak każda prawdziwa ryba, ma nasz *periophtalmos* dwie pary pletw parzystych, a nadto pletwę grzbietną, złożoną z dwóch części, dalej ogonową i brzuszną. Z pomiędzy nich pletwy piersiowe uderzają odrazu swym kształtem. Rozpięte po bokach przedniej części kadłuba, podobne są do odnóż; u podstawy utworzona przez warstwę mięsną, pokrytą skórą, opatrzoną łuskami, ku końcowi rozszczepiają się w zwykłe łuki pletwowe, jak gdyby palce, połączone błoną. Inne pletwy natomiast są takie same, jak u innych ryb, tylko jeszcze pletwa pierwsza grzbietowa tem się odznacza, że może ją zwierzę dowolnie opuszczać ku dołowi, lub najeżać.

Te właśnie pletwy piersiowe, zbliżone swym kształtem do nóg, pozwalają zwierzęciu wyruszać z wody, w której zwykle żyje, na lądowe wycieczki. Czyni to zwłaszcza dla dwóch powodów, najpierw uciekając przed drapieżnemi rybami, a dalej celem połowu owadów, którymi się żywi. Na mulistych brzegach mórz tropikalnych, zwłaszcza Afryki zachodniej i Oceanu Indyjskiego, przy ujściach rzek, można rybki te widzieć łażące lub skaczące za żerem, jak żaby, za zbliżeniem się zaś ptaka drapieżnego grzebiące się szybko z wielką zwinnością w mule. Trzymane w akwaryach nie tracą swych lądowych nawyknień; od czasu do czasu wyłażą na odpowiednio urządzone sztuczne wybrzeże, gdzie spinają się po lądzie lub chodzą swobodnie; postraszone lub podrażnione, najeżą grzbietną pletwę i jednym skokiem jak żaby, wracają do swego właściwego żywiołu, wśród którego rozpiąwszy pletwy, zwinnie pływają.

Zagadkę, nie zupełnie jeszcze rozwiązaną, stanowi sposób oddychania tej ryby. W wodzie służą jej do tego celu skrzele, na lądzie jednak organ ten nie byłby do oddechania dłuższego przydatny. Zoologowie jednak, zajmujący się dokładnem badaniem tego zwierzątka, zauważyli, że jego ogon jest bardzo bogato unaczyniony, więc nasuwa się wniosek, że *periophtalmosy*, gdy przebywają na lą-

dzie oddechają — ogonem, co oczywiście stanowić będzie jeden jeszcze powód do sławy tej, jak nazywają ją Anglicy, chodzącej ryby.

Gdy stojąc u łoża konającego człowieka zauważymy, że oddech jego coraz słabnie, aż wreszcie wraz z pulsem ustaje zupełnie, powiadamy, że człowiek ten już umarł, a wielu jest nawet przekonanych, że dusza ulatuje z konającego z tymi ostatnimi ciężkimi wydechami, które zwykle są końcem widocznych zjawisk życiowych. Kiedy jednak na prawdę następuje rozłączenie się duszy z ciałem, o tem nikt dotąd jeszcze nie wie, a i medycyna w tej sprawie tak niezmiernie doniosłej, jaką jest oznaczenie chwili prawdziwego zgonu człowieka, jest bezsilną. Badania bliższe nad tą sprawą, bądź umyślne, bądź przygodne, czynione tak nad człowiekiem, jak i nad zwierzętami, doprowadzają jednak do bardzo ciekawych rezultatów, które jednak zamiast przyczynić się do rozwiązania powyższych wątpliwości, nasuwają raczej przypuszczenie, że ta kwestya, jak tyle, tyle innych, usuwa się zupełnie z pod naszej kontroli. Pokazało się mianowicie, że choć organizm, jako całość, z pewnością już żywym nazwanym być nie może, to jednak poszczególne jego części, czyto tkanki, czy całe narządy, spełniają jeszcze długo nadal swe funkcye życiowe, jak je spełniały za życia organizmu. Znaną jest rzeczą, że na przykład gdy zabijemy żabę i wyjmiemy z niej serce, bije ono dalej na stole przez kilkadziesiąt minut, a w dogodnych warunkach, więc gdy je chronimy od wyschnięcia i podsycamy tlenem, będzie ono bić jeszcze przez cały szereg dni, przyczem wykonuje skurcze zupełnie prawidłowe, takie same, jak w piersi żywej żaby.

U zwierząt ciepłokrwistych doświadczenia takie są znacznie trudniejsze, a serce wyjęte ze zwłok chociażby świeżo zabitego osobnika, nie wykazuje żadnych skurczów. Jednak i tutaj udało się fizyologom pobudzić do bicia wycięte z ciała zwierzęcia serce i to przez ciąg kilku godzin; potrzeba jednak w tym celu to serce odżywiać, to znaczy przez naczynia, okalające ściany serca, musi przepuszczać się płyn odżywczy, ogrzany, a samo serce trzymać trzeba w zamkniętej wilgotnej i ogrzanej przestrzeni. W skład takiego płynu odżywczego wchodzą sole nieorganiczne, jak chlorek sodu czyli sól kuchenna, chlorek potażu, wapna, a nadto, gdy chcemy czynność serca podtrzymać dłużej, musimy do tego płynu dodać materyi białkowatych i węglowodanów. Metody tej próbowano także i ze sercem, wyjętem

ze zwłok człowieka, jednak bez skutku. Dopiero cierpliwości i wytrwałości niezmordowanej fizyologa Kuliabka zawdzięczamy i tutaj pomyślne rezultaty. Uczonemu temu udało się serce ludzkie, wyjęte ze zwłok, jeszcze w 20 godzin po śmierci, pobudzić zapomocą powyższej metody do rytmicznych, regularnych skurczów, trwających ponad godzinę.

Na posiedzeniu medycznej akademii w Paryżu, odbytem dnia 7 stycznia b. r. profesor Pozzi doniósł o dalszym szeregu doświadczeń na tem polu czynionych przez dra Carrela, znakomitego badacza, który w roku zeszłym otrzymał za swe prace nagrodę Nobla. Dr. Carrel wyjął z kota całe wnętrzności jamy piersiowej i brzusznej i umieścił je w opisanym wyżej roztworze Ringera, ogrzanym do zwykłej temperatuty ciała, to jest do 38 stopni Cels. Nadto do płuc zaaplikowano sztuczne oddechanie, a żołądkowi dostarczano odpowiedniego pokarmu. W licznych tego rodzaju doświadczeniach otrzymano rezultaty prawdziwie senzacyjne. Wnętrzności przechowywane w tych warunkach wykonywały zupełnie dokładnie wszystkie funkcye życiowe przez godzin dziesięć, a nawet jedynaście, a w jednym wypadku przez godzin 13. W ciągu tego czasu serce biło zupełnie regularnie, płuca oddechały prawidłowo, zaś narządy pokarmowe odbywały swoje funkcye zupełnie normalnie.

Prawda, żeby te funkcye życiowe w organach, po zgonie osobnika wywołać i utrzymać, potrzeba było szczególnych zabiegów i warunków, ale bądź co bądź zabiegi te życia stworzyć nie mogły, ono musiało istnieć w organach. Jak długo takie życie kryje się jeszcze po wydaniu ostatniego widocznego tchu i jak sobie istnienie jego tłómaczyć filozoficznie — na to zapewne nie prędko znajdziemy odpowiedź zadowalniającą.

W Anglii istnieje zwyczaj, że król w nagrodę za znakomite zasługi, oddane krajowi i ludności, zaszczyca tytułem Lorda nietylko wybitnych polityków, dyplomatów i wojskowych, lecz także ludzi nauki. Ostatnia lista noworoczna odznaczonych w ten sposób mężów, zawiera między innymi i nazwisko lekarza Jerzego Turnera, którego cichy heroizm, połączony z olbrzymiemi zasługami na polu medycyny, przy tej dopiero sposobności przypomniano całemu światu.

Polem głównem działania dra Turnera była Afryka południowa, gdzie mając już lat 50 wstąpił w szeregi zorganizowanej przez rząd

angielski służby zdrowia. W rok po jego przybyciu, w r. 1896, wybuchła w kolonii angielskiej Przylądka plaga najstraszniejsza dla farmerów, zaraza na bydło. Sławny uczony niemiecki dr. Koch, przybył tam, by wypróbować świeżo przez siebie wynaleziony środek szczepienia ochronnego przeciw tej epidemii, lecz wkrótce go odwołano, a jego prace miał dalej prowadzić dr. Turner. Mimo, że tylko trzy tygodnie praktykował pod Kochem, zabrał się do pracy samodzielnej z takim skutkiem, że wkrótce wynalazł surowicę, zarówno leczącą zarazę, jak i chroniącą od zasłabnięcia na tę chorobę. Niestety pokazało się, że preparat Turnera chroni zaszczepione bydło od zarazy tylko na przeciąg trzech tygodni; niezrażony rzucił się do pracy dalszej, a jej wynikiem było wynalezienie metody chroniącej zupełnie, w której wstrzykiwał zarówno *serum* jak i *virus* zarazka. Metoda ta była tak skuteczna, że w ciągu roku zaraza na bydło ustąpiła zupełnie z całej kolonii Przylądka.

Tymczasem wybuchła wojna bursko-angielska. Turner z boleścią patrzał na spustoszenia, jakie wśród wojska i ludności czyniła idąca za wojną, jak zawsze, zaraza, którą był tą razą tyfus. Ofiarował więc swe usługi władzom wojskowym i z narażeniem własnego życia poświęcał się z gorliwością, uznaną przez głównego wodza, lorda Robertsa, pielęgnowaniu chorych po szpitalach wojskowych i w owych głośnych obozach koncentracyjnych, w których rząd angielski gromadził ludność burską, wypędzoną z powodów strategicznych z własnych domostw. Gdy zaś w r. 1901 z wznowioną siłą zaczęła grasować zaraza na bydło, rząd uciekł się znowu o pomoc do dra Turnera, który założył stacyę kultury zarazka w Pretoryi i preparatami swymi w ciągu jednego roku zarazę wygubił, a nawet posyłał je w dalekie kraje, do Natalu i Egiptu.

Chociaż kierowanie stacyą taką wymaga pracy bardzo wytężającej i ciągłej, jednak nie za mało jej było dla niezmordowanej energii dra Turnera. W Pretoryi, gdzie dr. Turner pracował, istniało schronisko chorych, najbardziej upośledzonych i odrzuconych od społeczeństwa, trędowatych. Mieściło się tam około 50 pacyentów Holenderczyków i 40 krajowców, a byli tam starzy i młodzi, całe rodziny wraz z małemi dziećmi, które otrzymały trąd w spuściźnie po trędowatych rodzicach. Nasz lekarz bohater, przejęty współczuciem dla tych nieszczęśliwych, cały wolny czas od swych ciężkich zajęć im wyłącznie poświęcił. Wstawał rano o świcie, by w pracowni swojej czynić sekcye pośmiertne i badania nad trądem, któreby

umożliwiły wynalezienie środka przeciw tej strasznej chorobie, jaką jest trąd, nadto codziennie rano i wieczór odwiedzał swych ukochanych chorych, którzy go też, zdaniem naocznych świadków, otaczali czcią i ufnością, a zwłaszcza dzieci trędowate, chodzące za nim krok w krok z miłością i bezgraniczną ufnością. Nadto dnie wolne od zajęć obowiązkowych, soboty i niedziele, były także całkowitą własnością tych nędzarzy. A wszystko to czynił zacny lekarz bez żadnego wynagrodzenia, bez rozgłosu, jedynie z miłości nieszczęśliwych do tego naglony.

Przed pięciu laty dr. Turner doszedł do wieku, w którym poszedł na pensyę. Wrócił więc do Anglii, lecz i tu w swojem laboratoryum niezmordowanie pracuje nad wydarciem przyrodzie tajemnicy, jak walczyć skutecznie z trądem. Prace te jednak dotychczas należytego owocu nie przyniosły, są bowiem niesłychanie trudne z tego powodu, że nie można dotychczas znaleść zwierzęcia, któreby podlegało trądowi, a więc nie można mieć dostatecznego materyału do badań. Cokolwiekbądź bowiem mówią i krzyczą przeciwnicy wiwisekcyi, faktem jest pewnym, że bez zwierząt, na którychby można czynić doświadczenia, postęp medycyny, na jaki dziś patrzymy i z jakiego wszyscy korzystamy, byłby zupełnie niemożliwy.

Prace laboratoryjne dra Turnera nad trądem nie przyniosły więc dotąd rezultatu naukowego, ale bohaterowi temu przyniosły inny owoc, który jego imię otoczy większą jeszcze czcią i aureolą u potomnych. Turner goląc się przed kilku laty, zauważył na ręce znak nie wielki, lecz znany mu dobrze. Nie ufając jednak jeszcze sobie, udał się natychmiast do dwóch kolegów specyalistów, którzy niestety złowrogą dyagnozę mogli tylko potwierdzić: bohater nasz uległ chorobie, którą z takim wysiłkiem chciał u innych wytępić, dr. Turner stał się sam trędowaty. Obecnie utracił już władzę w jednej ręce, mimo to wśród cierpień pracuje dalej nad urzeczywistnieniem swej idei pokonania trądu. Zachodzi jednak obawa, że wkrótce stanie się obłożnie chory i potrzebować będzie odpowiedniej pielęgnacyi, a tu ten, który pracami swemi nad szczepieniem ochronnem przeciwko zarazie bydła przysporzył innym miliony i miliony, obecnie za całe utrzymanie ma tylko skromną emeryturę. Przypomina więc *Times*, z którego te dane czerpiemy, Rządowi afrykańskiemu o obowiązku wdzięczności, by obfitszą pensyą osłodził ostatnie chwile, które czekają jeszcze tego bochatera.

Żywot Turnera, to tylko jeden z wielu przykładów, ilustrujących

znany ten fakt, że ludzie nauki pracują przedewszystkiem dla innych, z ich wysiłków ciągną korzyści tak materyalne, jak i duchowe, inni, ci może właśnie najwięcej, którzy najbardziej naukę i jej pracowników lekceważą.

Zdolność wmyślenia się w położenie niezwykłe, to znaczy przedstawienie uprzytomnienia sobie jasnego sytuacyi, w której się jeszcze nie było, uwzględnienia wszystkich panujących tam wyrunków, jest rzadko napotykanym przymiotem średniego śmiertelnika. Każdy praktyczny psycholog, polityk czy pedagog wie o tem dobrze — a kto nie wie, ten przekonać się może obecnie z tych niesłychanie naiwnych poglądów, jakie o wojnie i jej wymaganiach panują u ludzi, nawet skądinąd bardzo inteligentnych. Mamy tu na myśli głównie zaprowiantowanie armii w czasie wojny i stosunek tej kwestyi do ludności danego kraju, na którego terenie operacye wojenne się odbywają. Przyzwyczajeni przez długie już lat dziesiątki do poszanowania prawa własności, przez wszelkiego rodzaju władze, sądzi wielu, że i na wojnie armia w dzisiejszych cywilizowanych czasach, w niczem nie zaciąży zbytnio na cywilnej ludności. Tymczasem dzisiaj właśnie, wobec ogromu nagromadzonych na jedno miejsce wojsk, problem zaprowiantowania armii stanowi największą troskę zarządu i w rachuby musi się koniecznie wciągać zasoby ludności miejscowej, na której terenie walka się odbywa i to często wciągać w sposób bezwzględny, nie oglądający się na los i przyszłość ludności, bo jak dawniej, tak i obecnie, „wojna żywi wojnę", a „tylko żołnierz o pełnym żołądku bije się dzielnie". W sztabach generalnych wiedzą o tem dobrze i sumiennie rachują zasoby ludności, ile z nich można będzie w danym razie wycisnąć, ale się oczywiście o tem głośno nie mówi.

Toteż dla każdego niewtajemniczonego w praktyki wojennego kunsztu niezmiernie interesujące i pouczające są wywody, jakie wyższy oficer francuski Lemarc ze stanowiska fachowego znawcy przedstawia w czasopiśmie naukowem *Revue Generale des Sciences* o problemie zaprowiantowania armii bułgarskiej w czasie ostatniej wojny bałkańsko-tureckiej. Armia ta rozpadała się podczas pierwszego okresu wojennej akcyi, t. j. do zawieszenia broni, jak wiadomo na trzy grupy, gdy jednak dwie z nich trzymały się ustawicznie linii kolei żelaznych, a więc arteryi łatwego dowozu prowiantu, to trzecia,

największa, operująca nad Marycą i biorąca udział w akcyi pod Kirkilissą, musiała odejść od kończyn kolei na 90 do 150 kilometrów. Armia ta według ocenień sztabu francuskiego składała się ze 168 batalionów, w czem cztery regimenty kawaleryi, razem 225 tysięcy ludzi [1] — a więc ilość, odpowiadająca tylko pięciu korpusom armii wielkiego mocarstwa.

Według zasad statystyki armia taka, zdaniem Lemarca, może utrzymać się wogóle tylko w zetknięciu się bezpośredniem z linią kolei żelaznej, gdy jednak przyjdzie jej od tej arteryi oderwać się na czas jakiś, wtedy czerpać musi swoją energię fizyologiczno-życiową z następujących czterech źródeł: *a*) środki żywności zabrane miejscowej ludności; *b*) artykuły niesione na grzbiecie żołnierzy; *c*) żywność, wieziona na wozach, ciągnących wraz z wojskiem; *d*) żywność, którą z głównych magazynów lub zbiorowisk dowożą wojsku wozami.

Co do pozycyi pierwszej, to oczywiście wojsko zwłaszcza głodne ceremonii nie robi i intendantura nowoczesna oblicza, że z miejscowości rolniczej o średniem zaludnieniu 60 do 70 mieszkańców mającej na kilometr kwadratowy można wycisnąć tyle żywności, że z każdych trzech kilometrów kwadratowych można wyżywić tysiąc żołnierzy przez jeden dzień. Eksploatacya ta odbywa się albo zapomocą prostej „konfiskaty“ czyli rabunku, albo zapomocą przymusowego wykupna, przyczem środek drugi okazuje się tyle odpowiedniejszy, że jest znacznie wydatniejszy, łatwiej bowiem wyciągnąć z ludności środki żywności, gdy się za wszystko płaci gotówką. Gdy zaludnienie kraju jest gęstsze, to oczywiście zdolność wyżywienia armii maleje i w Tracyi, terenie operacyjnym głównej armii bułgarskiej, trzeba liczyć 5 kilometrów kwadratowych na dzień i tysiąc żołnierzy. W tén sposób cały kraj mógł utrzymać armię przez cztery dni. Zaznaczyć zaś należy, że w obrachunkach swych przyjmuje autor porcye dzienne dla jednego człowieka w ten sposób, że z jednej sztuki bydła rogatego liczy średnio 400 porcyi, zaś zboża w formie chleba, mąki, lub kaszy około pół kilograma. Jak z fizyologii wiadomo, człowiek dorosły, ważący około 70 kilo i normalnie pracujący, potrzebuje

---

[1] W kilku tygodniach, w czasie pierwszej kampanii, stracili z niej Bułgarzy 70 tysięcy, a z pozostałych, jak donosi życzliwy Bułgarom i dobrze poinformowany korespondent *Timesa*, połowa leżała chora w szpitalu na cholerę i dyzenteryę. To jest próbka nowoczesnej wojny.

dziennie pokarmu, któryby energetycznie równy był mniej więcej 2000 wielkich kaloryi, a zawierał w sobie 50 do 100 gramów białka. Pokarmy nasze należą do trzech wielkich grup związków organicznych, które są: białka, węglowodany i tłuszcze. Jeden gram białka daje 4 wielkich kaloryi czyli kaloryi kilogramowych, gram węglowodanu daje takich kaloryi również tyle, zaś gram tłuszczu przeszło dwa razy więcej, bo 9·3. Ponieważ kilogram chleba żytniego podeschniętego zawiera według Hammarstena

114 gr. białka, czyli	467	kaloryi
20 gr. tłuszczów równych	180	,,
725 gr. węglowodanów	2972	,,

co czyni razem 3619 kaloryi, więc jeden kilogram takiego chleba byłby już pokarmem zupełnie wystarczającym nawet dla żołnierza na wojnie, odbywającego ustawicznie forsowne marsze i prace. Jednak zaznaczyć trzeba, że wartość ta energetyczna chleba spada znacznie w wypadku chleba świeżego, który zawiera jeszcze wiele bardzo wody, tak, że kilo chleba żytniego świeżego daje tylko około 2370 kaloryi, przy zawartości białka nie dochodzącej 80 gramów. Wogóle tedy trzeba liczyć ciężar pokarmu dziennego dla jednego człowieka około jednego kilograma — a więc widoczna, że żołnierz nie może podczas wojny nosić więcej ze sobą pokarmu, jak na dwa do trzech dni.

Dlatego też wydatność drugiego i trzeciego źródła zapatrywania armii w żywność jest bardzo niewielką. Żołnierz może ze sobą nosić pożywienia najwyżej na trzy dni, a wozić z nim na wozach także wiele nie można. Regiment bułgarski np. składa się z 4000 ludzi, a więc dziennie potrzeba dlań około 5 ton (5 tysięcy kilo) pożywienia; by ciężar taki wziąść ze sobą na wozy, potrzeba użyć dziesięciu naszych furmanek parokonnych. Jest rzeczą oczywistą, że regiment, jeżeli niema stracić najważniejszego przymiotu w wojnie, jakim jest zdolność do wykonywania szybkich marszów, nie może więcej wozić żywności ze sobą, jak na dwa dni. Wszystkie więc trzy źródła razem zapewniają armii pożywienie zaledwie na dni ośm, stąd wojsko, odsunąwszy się raz od linii kolejowej, zdane jest zupełnie na łaskę intendantury, która ma przed sobą szalenie trudne zadanie, by armii dowieść wszystkie artykuły potrzebne na wozach. Oczywiście trudność tego zadania wzmaga się niezmiernie z każdym dalszym kilometrem, jaki armię od kolei żelaznej dzieli. Nie będziemy powtarzali tu szczegółowych rachunków, jakie Lamarc wykonywa w obecnym przypadku armii bułgarskiej, powiemy tylko, że według jego bardzo

ostrożnych i fachowych obliczeń wojsku bułgarskiemu, operującemu w Tracyi, w podanych wyżej warunkach, musiało dostarczać żywność 12.800 wozów parokonnych, a więc potrzebujących 25.600 koni.

Lecz proszę zawczasu nie ostygać z przerażenia, bo to dopiero jedna część. Żołnierz idzie na pole walki nie po to, by się przechadzał, lecz by strzelał, a do tego potrzebuje amunicyi. Opierając się na danych statystycznych i strategicznych, ocenia Lamarc średnią ilość patronów wystrzelonych przez jednego żołnierza w czasie mniejszej potyczki na 50, zaś w wielkiej bitwie na 100. Przyjmując, że żołnierz bułgarski średnio wdał się w ciągu obecnej kampanii tylko w jedną bitwę wielką i dwie potyczki, otrzymuje się dla całej armii trackiej 36 milionów patronów, do przewiezienia których potrzeba 2 tysiące wozów.

To piechota — a teraz zapytać trzeba o amunicyę dla artyleryi. Tutaj liczy nasz autor średnio 280 strzałów wogóle na jedno działo lekkie, a 200 na ciężkie, przyczem zaznacza, że rachunek taki jest już bardzo niski, bo np. podczas wojny rosyjsko-japońskiej dnia 24-go lipca 1904 r. w niektórych rosyjskich bateryach dało jedno działo średnio 522 strzałów w tym jednym dniu, a w ataku na Port Artura dnia 26 i 27 maja na jedno działo japońskie przypadło tysiąc strzałów, z czego jednego dnia 26-go ośmset.

Chociaż więc artylerya bułgarska składała się tylko z ośmiu dywizyi, z których każda zawierała 54 do 72 dział lekkich i 4 działa ciężkie, to jednak potrzeba było celem dostarczenia jej amunicyi, użyć 3.260 wozów parokonnych. By więc dowieść armii trackiej żywność i amunicyę, musiała intendantura mieć do rozporządzenia 18.060 wozów parokonnych. Licząc zaś na potrzeby armii, oblegającej Adryanopol, tylko 5.000 wozów, wypadnie na Bułgaryę 23.060 wozów o 46.120 koniach. Wobec tego nie można się dziwić opisom korespondentów wojennych, które mówią o zupełnem ogołoceniu kraju z koni i automobilów, tak, że po miastach tu i ówdzie tylko ujrzeć można dorożkę i to zaprzągniętą w stare, nieudolne szkapy.

Rozważania powyższe dają nam zarazem ideę, jak nikt na świecie nie zdoła wyrobić sobie pojęcia, czego należałoby oczekiwać w razie wybuchu wojny europejskiej, gdzie ścierałyby się potęgi, których armie bałkańskie są miniaturową tylko kopią. Nigdy bowiem historya ludzkości nie zapisywała takich olbrzymich armii,

jakie dziś stają gotowe do boju choćby tylko w samej Europie środkowej, a które mimo rosnących kosztów utrzymania wojska, z dnia na dzień prawie się zwiększają. I tak prawo wojskowe niemieckie z dnia 14 czerwca 1912 r. powiększa czynny stan armii na stopie pokojowej o 49 tysięcy ludzi — co znaczy, że rok rocznie przybywać będzie Germanom o 49 tysięcy ludzi więcej, wyćwiczonych znakomicie do boju, a cały stan czynny armii w stanie pokojowym wynosić będzie do r. 1915, w którym reorganizacya będzie już zupełnie uskuteczniona, 544.211 żołnierzy, a z oficerami, ochotnikami jednorocznymi i rozmaitymi funkcyonaryuszami wojskowymi około 700 tysięcy ludzi. Ile ich może stanąć pod bronią w czasie wojny, nie wiadomo, ale jako ideał pod tym względem, do któregosztab niemiecki dąży, jest podobno, według angielskich źródeł, najbardziej w tem zainteresowanych, skromna liczba pięć milionów, licząc w to oczywiście pospolite ruszenie. Armia czynna ma rozpadać się na 25 korpusów, z których cztery na granicy rosyjskiej, a pięć na francuskiej i belgijskiej. Bateryi mają Niemcy posiadać 633, a więc pięć razy tyle, co Bułgarya w Tracyi. Nic też dziwnego, że budżet wojskowy roczny Niemiec na armię lądową i flotę wynosi 1540 milionów marek, do których trzeba dodać żądane obecnie 12 milionów na flotę wojenną powietrzną.

Monarchia nasza musi także oczywiście dotrzymywać kroku swemu sojusznikowi, to też prawo najnowsze wojskowe powiększa stan czynny armii na czas wojny o 600 tysięcy ludzi, to jest do 1,820.000 ludzi, przyczem wydatki na armię mają wzróść rocznie po całkowitem przeprowadzeniu tego prawa, o 140 milionów koron.

Bardzo piękną i dla rozwoju niesłychanego cywilizacyi obecnej doby charakterystyczną statystykę ogłasza angielski minister marynarki Churchill, odpowiadając na interpelacyę znanego agitatora nowoczesnego militaryzmu Lorda Beresdorfa o powiększeniu flot mocarstw europejskich. Otóż według tego zupełnie chyba autentycznego zestawienia, główne państwa Europy, w celach oczywiście wyłącznie pokojowych i dla zabezpieczenia tak potrzebnej i zbawiennej równowagi sił, będą miały w dniu 1 kwietnia 1915 roku następującą liczbę dreadnoghtów, owych pływających, w gruby pancerz stalowy zakutych potwornych twierdz, z których każda kosztuje do 50 milionów koron. Oto ich lista: Anglia 35, Niemcy 23, Włochy 6, Austro-Węgry 3 — wszystko w tem przypuszczeniu, że w konstrukcyi nowych okrętów nie zajdzie przyspieszenie.

Wprawdzie pod ciężarem tej strasznej opieki pokojowe prace i zajęcia ludzi coraz trudniej rozwijać się mogą, ale mimo to przemysł prawdziwie cywilizacyjny idzie naprzód. Jednym z takich jego działów, które w latach ostatnich do coraz piękniejszych dochodzą wyników, jest zegarmistrzowstwo. Nie tak to jeszcze dawno, jak posiadanie dobrego zegarka kieszonkowego uchodziło za zbytek prawdziwy, a ludzie zadowalniali się temi godzinami, jakie w pewnych, często dowolnych, bo od różnych wewnętrznych i zewnętrznych okoliczności zależnych, wydzwaniały im zegary wieżowe. Dziś zegarek z prawdziwie dobrym mechanizmem dostać można za kilka dziesiątek koron, a doprowadził do tego pocieszającego stanu ogromny popyt za zegarkami, które stały się dzisiaj nieodzowną potrzebą każdego inteligentnego i w pracy swej od czasu zależnego człowieka. W miarę jednak postępu wzmogły się też i nasze wymagania i dziś pragnąłby każdy posiadać zegarek, któryby szedł idealnie, nie robiąc żadnej prawie różnicy. Dobrze wobec tych wymagań będzie dowiedzieć się, do jakich granic doskonałości doszła dzisiejsza technika w fabrykacyi zegarków.

Najlepsze zegarki, które wykazują wszelkie możliwe udoskonalenia w konstrukcyi mechanizmu, noszą nazwę chronometrów-czasomierzów, i fabryki, które takowe produkują, odsyłają je, przed puszczeniem w obieg, celem wypróbowania i kontroli, do odpowiednio do tego urządzonych obserwatoryów astronomicznych. Najsławniejsze takie miejsca kontroli są Narodowe Laboratoryum Fizyczne w Kew w Anglii, dalej w Neuchatel, w Besancon, w Genewie i i. W instytucyach tych każdy nadesłany zegarek bada się czas dłuższy i poddaje rozmaitym próbom, przyczem zegarek, w razie pomyślnego na daną próbę wyniku, otrzymuje tak zwany „punkt", których rodzaj i liczba niestety nie jest dotychczas zupełnie ta sama we wszystkich wielkich instytucyach badawczych. W roku ubiegłym 1912 powszechną uwagę świata zegarmistrzowskiego zwrócił chronometr znanej firmy Paul Ditisheim z Chaux-de-Fonds, który w Kew na sto punktów otrzymał 96,1 przyczem pobił rekord punktów 94,9 jaki trwał od r. 1903. Jestto więc, powiedzieć można, najlepszy zegarek, znany dotychczas na świecie, który też dać nam może wyobrażenie ostatecznego stopnia doskonałości dzisiejszej techniki na tem polu. Badania z tym zegarkiem, czyniono następnie w ciągu 65 dni w obserwatoryum w Neuchatel, gdzie zegarek ten poddawano działaniu rozmaitych temperatur i coraz to inaczej go zawieszano.

Przy badaniach tego rodzaju nie wymaga się wcale, by zegarek szedł dobrze w znaczeniu używanem w codziennem życiu, to znaczy, by zawsze wskazywał prawdziwą godzinę. Może on iść prędzej lub spaźniać się, byle tylko różnice, jakie dziennie robi, były ile możności stałe; zegarek idealny byłby wtedy, gdyby opóźnienia lub przyspieszenia, dokonane dzisiaj, były te same co jutro, pojutrze, w pół roku, w zimie lub w lecie, w dzień i w nocy, gdy zegarek leży lub wisi w jakiemkolwiek położeniu. Takiego zegarka jednak dotychczas na świecie nie było i nie będzie, gdyż każdy w swych dziennych różnicach wykazuje pewne wahania. Zegarek, o którym piszemy, spaźniał się średnio o 1,36 sekundy na dobę, jednak te spaźniania zmieniały się, zależnie od warunków, w jakich zegarek się znajdował, od 0,06 sekundy, do 0,84 sekundy na dobę, to znaczy, że gdy jednego dnia spóźnił się o 1,36 sekund, to innego dnia mógł spóźnić się np. o 2,2 sekundy.

Podobnie jak w innych gałęziach naukowego przemysłu, tak i w fabrykacyi dobrych zegarków w czasach naszych zaszła gruntowna zmiana pod tym względem, że gdy dawniej artykuły wybitnie dobre powstawały niejako przypadkiem, dziś dochodzi się do granic możliwych doskonałości całą świadomością naukowego badania i umiejętnej konstrukcyi. Tak było n. p. z mikroskopami, gdzie wyjątkowy pracownik obdarzony jakby specyalną intuicyą, budował najlepsze objektywy w ten sposób, że dobierał odpowiednie soczewki przez próbowanie i w ten sposób od czasu do czasu udawało się zrobić coś rzeczywiście bardzo dobrego. Dziś natomiast, dzięki teoretycznym i doświadczalnym pracom uczonych oblicza się naprzód na tysiączne części milimetra krzywizny i spółczynniki załamania i inne własności soczewek, mających wejść w skład objektywu, robi się sztuczne szkło o własnościach naprzód obliczonych i tworzy się potem objektywy doskonałe nie metodą próbowania ale napewne, bo oparte na matematycznych obliczeniach, z których więc każdy musi posiadać żądane zalety. I gdy dawniej nigdy nie wiedziało się, co się za swe pieniądze kupuje, dziś nabywa się rzeczy, do których fabrykant daje i dać może zupełną gwarancyę. Podobnie i ze zegarkami. Gdy dawniej dobry bardzo zegarek „wydarzał się“, teraz fabrykant, dzięki mozolnym, kosztownym i wieloletnim nieraz badaniom i doświadczeniom, dochodzi do możności wyrobu instrumentów, o których dobroci może być napewne naprzód przekonany.

W wyrobie zegarków prócz tego, że trzeba oczywiście w konstrukcyi pojedynczych części składowych dojść do idealnej wprost do-

kładności, ma się jeszcze do czynienia z dwoma źródłami błędu, których usunięcie zupełne jest jeszcze do dziś dnia niemożliwe. Pierwszym z nich to tak zwana kompenzacya drugorzędna, mocą której wymaga się od zegarka, by bieg jego był niezależny od zmian temperatury. Usunąć ten błąd zupełnie jeszcze się nie udało. Gdy mianowicie temperatura zegarka, więc i sprężyny się podnosi, to jej sprężystość, czyli jej siła naprężenia się zmniejsza, działa więc słabiej na ruch kółek, a przez to chód zegarka się zwalnia. Próbowano różnych sposobów, by wadę tę usunąć, ale najlepszym z nich jest zdaje się wynaleziony w r. 1904 przez astronoma dr. Karola Guillaume w Genewie. Mianowicie zmiany siły włoska kompenzuje się tu przez takie zbudowanie kółka wahadłowego, by jego moment bezwładności zmieniał się odpowiednio z temperaturą. Uczony ten wynalazł w tym celu aliaż, któremu nadał nazwę Invar, utworzony ze stali i niklu, który ma tę własność, że w wyższych temperaturach rozszerza się mniej, niż w niższych. Tego właśnie sposobu kompenzacyi zmian temperatury użył w swych chronometrach Ditisheim, i dzięki temu doszedł do niebywałych wyników budując znakomite zegarki, jak widzimy nie ślepym trafem, lecz oparty na naukowych i pewnych danych.

Zegarek, o którym piszemy, wykazał pod tym względem następujące zmiany: Leżąc poziomo, cyferblatem do góry, w temperaturze 18 do 19 stopni Celzyusza, zbaczał na dobę od średniego biegu o 0,04 do 0,56 sekundy, przyczem jednak, co rzecz ciekawa, zmiany te zależą od przeszłości zegarka, czy mianowicie dnia poprzedniego był w temperaturze niższej, czy wyższej. Dalej w temperaturze 25 do 26 stopni wahania są prawie takie same 0,06 do 0,46 sekundy na dobę, a w temperaturze 31 do 32 stopni, 0,06 do 0,26 sek. Widzimy więc, że zegarek ten prawie jest zupełnie nieczuły na zmiany temperatury, przynajmniej w granicach badanych od 4 stopni do 32 stopni.

Drugi punkt słaby zegarków i największą trudność w ich wyrobie stanowi ta okoliczność, że w dobrym zegarku musi punkt ciężkości kółka wahadłowego i włoska padać dokładnie na oś obrotu kółka, gdyż inaczej system taki będzie działał jak wahadło, opóźniając lub przyspieszając bieg zegarka, stosownie do tego, w jakiem położeniu zegarek zawiesimy. Prosta ta na pozór rzecz przedstawia w wykonaniu tak wielkie trudności, że celem usunięcia tego błędu w najlepszych chronometrach oś włoska i kółka przytwierdza się do pewnego rodzaju jakby wózeczka ruchomego, które powoli ustawicznie się obraca.

W ten sposób błędy zrównoważą się, i chociaż chód zegarka w pojedynczych sekundach będzie teoretycznie nieco różny, to jednak na zewnątrz i w ciągu doby te niedostrzegalne zresztą błędy pojedyncze mniej więcej się wyrównają. Otóż i pod tym względem zegarek Ditisheima doszedł do wyżyn niebywałych. W tej samej temperaturze leżąc poziomo cyferblatem do góry wykazuje dziennie zmiany biegu 0,24 do 0,44 sekundy, zawieszony pionowo na lewym boku, ma zboczenia od stanu średniego 0,24 sek. do 0,34 sek., na boku prawym zawieszony 0,34 do 0.44 czyli idzie zupełnie stale, położony poziomo cyferblatem na dół 0,34 do 0,84.

Z cyfr i badań powyższych pokazuje się, że najlepszy zegarek, na jaki technika dzisiejsza się zdobyła, zbacza ustawicznie od średniego biegu i o ile te zboczenia się nie skompenzują, może w ciągu roku uczynić różnicę dosyć znaczną. Cóż wobec tego mówić o naszych poczciwych czasomierzach, ogrzewanych w kieszeni w dzień, oziębianych w nocy, rzucanych, wstrząsanych, trzymanych w coraz to innem położeniu. Gdy kto natrafi na zegarek, który noszony w kieszeni w miesiącu robi tylko pół minuty różnicy, niechże go uważa za ideał, za wyjątek jeden z pośród milionów, i niech wartość jego ceni na setki koron. Zegarmistrze nasi, wiele zabawnych umieją opowiadać zdarzeń o wygórowanych i niemożliwych wprost do spełnienia żądaniach publiczności, co do dokładności zegarków. Wyniki badań streszczone powyżej, nad najlepszym znanym dziś zegarkiem sprostować powinny nasze wyobrażenia i obniżyć nieco poziom naszych wymagań, a z drugiej strony nauczyć, jak ostrożnie z zegarkiem obchodzić się trzeba, by jako tako bieg jego uregulować.

Ostatnimi czasy wypadki śmiertelne przy wzlotach nadpowietrznych mnożą się niesłychanie i niema wprost dnia prawie, w którymby telegramy nie oznajmiły światu nowej jakiejś katastrofy. Główną przyczyną tego wzrostu jest z pewnością to, że z powstaniem fabryk aeroplanów sport lotniczy coraz więcej rozpowszechnia się po całym świecie cywilizowanym, a lotnicy, nabierając wprawy, rzucają się na szalone przedsięwzięcia nieraz tylko celem zdobycia rekordu. Ale i to jest także rzeczą pewną, że sprawa zabezpieczenia lotników od fatalnych wypadków nic naprzód się nie posuwa, i do dziś dnia jeszcze niepewność losu lotnika jest tak wielką, jak była w początkach lotnictwa, lat temu kilka. Wychodząc z zasady, że nie można godniej

złożyć hołdu poległym pionierom lotnictwa, jak gdy się z ich losu wyciągnie naukę, w jaki sposób zabezpieczyć od wypadku innych, dwa największe towarzystwa lotnicze, Królewski Klub Powietrzny i Towarzystwo Lotnicze, oba w Londynie, wybrały komitet, który ma za zadanie badać ile możności jak najskrupulatniej każdy nieszczęśliwy wypadek, jego przyczynę i okoliczności, by z tego wyciągnąć naukę w konstrukcyi i używaniu latawców. Badania te nie prędko jednak wydadzą plon obfitszy, gdyż, jak słusznie zauważono, brak w nich prawie zawsze świadka najważniejszego, a często jedynego, któryby o przyczynie prawdziwej katastrofy i jej przebiegu mógł dać wyjaśnienie, bo świadek ten zamilkł na zawsze, a do nas przylatują tylko szczątki jego przyrządu. Na razie tylko są przypuszczenia bardzo uzasadnione, że najsłabszą częścią aeroplanu są żebra skrzydeł, nietyle z powodu nieodpowiedniego ich wyrobu, lecz ile dlatego, że ucisk mechaniczny, jakiemu wśród lotu podlegają skrzydła, jest niezmiernie skomplikowany. Pokazało się także, że najbezpieczniejszym materyałem na szkielet główny latawca, jest drzewo, a nie stal. Zresztą, o ile sądzić można z pozorów, najczęstszą przyczyną wypadku jest utrata równowagi przyrządu, pod wpływem gwałtownego, zdradzieckiego uderzenia wichru, lub gdy aeroplan dostanie się do tak zwanej dziury w powietrzu, gdzie skrzydła jego jakby przestały napotykać na opór ośrodka.

Mimo jednak tylu zgonów lotników, rozwój lotnictwa ani na chwilę nie ustaje, gdyż zaopiekował się nim ten odłam naszych urządzeń społecznych który na swoje usługi ma zawsze dosyć wiele i pieniędzy i ludzi. Militaryzm opanował właściwie całą sprawę lotnictwa i dziś gorączkowo pracują zarządy wojsk, by celem zapewnienia równowagi, koniecznej dla utrzymania pokoju, prześcignąć współzawodników w jak najodpowiedniejszym rozwinięciu i dostosowaniu do potrzeb strategicznych tak aeroplanów, jak i okrętów powietrznych. Co do tych ostatnich, to na czele stoją Niemcy, gdzie wojskowość wytęża wszystkie siły, celem jak największego udoskonalenia balonów. Po całem państwie z prawdziwie niemiecką systematycznością rozsiano porty nadpowietrzne, to znaczy szopy z balonami, których bezpośrednio w rękach wojskowych znajduje się siedm, a narazie w prywatnych 19; razem więc armia ma na swe usługi 26 takich stacyi, od Kolonii, Frankfurtu, Strassburga aż do Królewca, przyczem balony do kierowania, (jest ich dziewięć w rękach wojskowych), odznaczają się przeważnie ogromem, bo ich pojemność wynosi dwanaście do dwudziestu

tysięcy metrów sześciennych. Oczywiście wszystkie szczegóły bliższe budowy trzymane są w jaknajwiększej tajemnicy, z powodów oczywiście humanitarnych, by sąsiadów nie przerażać i nie zmuszać do czynienia kosztownych wysiłków. Nawet o ruchach tych powietrznych dreadnoghtów nic nie wiadomo, to tylko pewna, że Anglicy raz po raz dostrzegają nad swą niedostępną dotychczas krainą jakieś tajemnicze olbrzymie balony, o których niewiadomo skąd przychodzą i dokąd dążą.

Anglia i Francya buduje także flotę nadpowietrzną, przyczem jednak główny nacisk kładą tam raczej na latawce, niż na balony, chociaż i tych także używają, a Francya ma właśnie na warsztatach cztery wielkie balony do kierowania, każdy o pojemności 17 tysięcy metrów sześciennych. Dla postępu lotnictwa ważne są bardzo prace teoretyczno-doświadczalne sztabu angielskiego, a zwłaszcza bardzo gruntowne i rozległe próby, jakie wojskowość czyniła tamże na wojskowem polu lotniczem z rozmaitemi, znanemi dzisiaj po świecie latawcami. Do doświadczeń dopuszczono wszelkiego rodzaju aeroplany, byle tylko mógł taki latawiec unieść 350 funtów wagi pilota i jego towarzysza, a nadto smar i opał dla motoru, wystarczające na cztery i pół godziny lotu.

W badaniach pokazało się, że znane dzisiaj systemy aeroplanów niewiele różnią się między sobą co do wydajności. I tak na konia siły motoru aeroplany unosiły od 23 i pół do 27 funtów, więc różnica między nimi dosyć stosunkowo mała. Natomiast była ona znaczniejsza co do wielkości skrzydeł, i tu na kwadratową stopę powierzchni skrzydła wypadało u różnych latawców od trzech do dziewięć funtów unoszonego ciężaru. Największa szybkość jednopłaszczyznowca wynosiła 75.4 mil angielskich na godzinę (przeszło 110 kilometrów) a dwupłaszczyznowca 72,4 mil na godzinę. Natomiast możliwie najmniejsza prędkość, z jaką mógł szybować jednopłaszczyznowiec, była 40 mil ang. na godzinę, a dwupłaszczyznowiec 37,4. Szybkość z jaką latawce wzbijały się w górę była także bardzo wielka, bo wynosiła od 105 do 365 stóp na minutę, a więc z Zakopanego na Giewont możnaby się dostać za dziesięć minut.

Jak wszędzie, tak i w Anglii na razie wszystkie udoskonalenia żeglugi powietrznej stają się prawie wyłącznie własnością armii, ale nie ulega wątpliwości, że to zajęcie się lotnictwem zarządów wojskowych wyjdzie z pewnością na korzyść całej sprawy i umożliwi następ-

nie korzystanie z tych urządzeń na wielką skalę także i dla celów prawdziwie cywilizacyjnych.

Gruntowne zmiany, jakim poglądy nasze na istotę elektryczności i jej stosunek do materyi uledz musiały pod wpływem zjawisk promieniotwórczych, podziałały zapładniająco także i na inne działy fizyki, zwłaszcza na ten, który nierozłącznym jest towarzyszem zjawisk elektrycznych, to jest na magnetyzm. Dawnymi czasy mówiono o magnetycznem fluidum, substancyi nieważkiej, rozlanej po ciałach namagnesowanych. Później, gdy wyrugowano z nauki wszystkie fluida, poszło wraz z nimi do graciarni naukowej także i fluidum magnetyczne, a siłę magnetyczną umieścił Weber w molekułach, z których każda była jakgdyby maleńkim, molekularnym magnesikiem. Przez podziałanie na te magnesiki, zwyczajnie w różnych kierunkach rozłożone, zapomocą pola magnetycznego, czyto przez pocieranie o magnes, czy przez działanie elektromagnetyczne, magnesiki zwracają się odpowiednimi biegunami w jednym kierunku i na zewnątrz działania ich się sumują, a całe ciało z nich utworzone okazuje teraz własności magnetyczne, staje się magnesem. Do tej teoryi Webera dostosowano później teorye elektromagnetyczne Faradaya i Maxwella, i powiedziano, że własność magnetyczna molekuł jest wynikiem prądów elektrycznych, obiegających rzekomo każdą molekułę.

Tak stały sprawy z magnetyzmem do roku zeszłego. Tymczasem, jak wiadomo, już przed dziesięciu mniej więcej laty trzeba było, celem zdania sobie sprawy o zjawiskach elektrycznych, połączonych z promieniotwórczemi przemianami materyi, mimo oporu i wstrętu, sięgnąć do starego składu i wyciągnąć z tamtąd flakonik w stylu empire z napisem — Fluidum elektryczne. I w chwili, gdy teorya Faradaya — Maxwella uważająca elektryczność tylko jako formę energii, rozmieszczoną w eterze, poparta odkryciami fal elektrycznych przez Herza i ciśnienia światła zaczęła święcić swój zupełny tryumf, rozeszła się nagle po świecie wieść, że substancya elektryczna, której istnienia zanegowano, jednak rzeczywiście istnieje, nie jest to jednak jakiś ciągły płyn, jak dawniej utrzymywano, lecz substancya, złożona zdwojakiego rodzaju jakgdyby atomów, cząstek dodatnich i ujemnych zwanych elektronami.

Wobec takiego zwrotu w teoryi elektryczności nic dziwnego, że nasunąć się mogła myśl fizykom, czy też i w magnetyzmie nie znaj-

dzie się coś odpowiadającego elektronom — i oto leży przed nami teorya, wypracowana, na podstawie bardzo żmudnych doświadczeń, przez Weissa, a ogłoszona świeżo w naukowych pismach. Weiss opierając się na wspomnianej wyżej teoryi magnetycznej Webera zapragnął, celem jej głębszego rozpatrzenia, obliczyć dokładnie moment magnetyczny drobiny. W tym celu zbadał doświadczalnie moment magnetyczny molekuły gramowej [1] żelaza i niklu, lecz nie w zwykłych warunkach, a w temperaturze najniższej, jaką dziś wogóle rozporządzamy, to jest w płynnym wodorze, a więc przy 253° Cels., czyli 20° absolutnych. Badania te czynili fizycy, Weiss i Kamerlingh Onnes dlatego w tak niskiej temperaturze, by ile możności usunąć wpływ ruchu cieplnego drobin, który według teoryi, musi wpływać na siłę magnetyczną całego ciała, a nie wiadomo, w jakim kierunku. Pokazało się, że w tej niskiej temperaturze moment magnetyczny molekuły gramowej żelaza wynosi 12.360, a niklu 3.370. Z porównania tych cyfr widać, że mają one wspólną miarę, a jest nią liczba (biorąc średnio, co w takich badaniach niezmiernie subtelnych jest zupełnie dozwolone i ścisłe) 1123,5, która w liczbie mierzącej moment magnetyczny żelaza mieści się 11 razy, niklu 3 razy. Inny fizyk, Bloch, zrobił podobne pomiary dla kobaltu, i pokazało się, że moment magnetyczny tego metalu wynosi znowu liczbę równą 9 razy powyższej wspólnej mierze 1123,5. Liczbę tę 1123,5 nazwał Weiss magneton-gram.

Opierając się na kinetycznej teoryi gazów, zapytać dalej można, ile wynosi moment magnetyczny jednego atomu. By na to odpowiedzieć trzeba 1123,5 podzielić przez hypotetyczną liczbę atomów, zawartych w jednym gramie atomowym, czyli przez $6{,}85 \times 10^{24}$. Otrzymamy liczbę $1{,}64 \times 10^{-21}$; jestto ilość magnetyzmu elementarna, której Weiss nadał nazwę *magneton*, odpowiednio do najmniejszej cząstki elektryczności zwanej elektronem. Magneton będzie to więc narazie najmniejsza wspólna miara jakichkolwiek napotykanych w przyrodzie momentów magnetycznych.

By się przekonać, że rzeczywiście wszelkie momenty magnetycz-

[1] Jak wiadomo, molekula gramowa jestto ilość danego ciała, która zawiera tyle jego gramów, ile wynosi ciężar molekularny tego ciała. Tak np. molekuła gramowa wody jest 18_{00} gramów wody, bo ciężar molekularny wody jest 18_{02}. Odpowiednio do tego mówimy także o atomie gramowym; atom gramowy wodoru jest gram wodoru, atom gramowy tlenu, znaczy 16 gramów tlenu, atom gramowy żelaza znaczy 56 gramów żelaza

nych ciał paramagnetycznych[1] — a jest ich prócz żelaza, niklu i kobaltu bardzo wiele — są wielokrotnością magnetonu, to znaczy są z magnetonów złożone, obliczał Weiss momenty magnetyczne przedewszystkiem wielu soli paramagnetycznych, a zestawiając te rezultaty z badaniami Langevina i Pascala, wykrył niezmiernie ciekawy fakt, że atom tego samego pierwiastka ma coraz to różne momenty magnetyczne, zależnie od temperatury, i związków chemicznych, w jakich jest związany, ale że mimo to ten moment zawsze jest wielokrotnością całkowitą magnetonu. Tak n. p. nikiel w temperaturze bliskiej zera absolutnego ma moment atomiczny 3 magnetony, w temp. 400° moment ten wynosi 8 magnetonów, w temp. 900 stopni 9 magnetonów, zaś rozpuszczony w solach 16 magnetonów.

Wobec tych faktów, że mianowicie átom tego samego pierwiastka zależnie od warunków fizycznych i chemicznych, w których się znajduje, może posiadać siłę magnetyczną raz większą lub mniejszą, i że ta siła jest zawsze wielokrotnością pewnej liczby, zwanej magnetonem, można wnioskować, że magnetyzm, podobnie jak elektryczność, występuje w cząstkach, mogących do atomu wstępować, lub z niego uchodzić, a które, podobnie jak przypuszczają niektórzy o elektronie, mają podłoże materyalne, wchodzą więc w istotny skład atomu. Że magneton nie odgrywa tam roli podrzędnej, możnaby wnioskować z tego niezmiernie ciekawego zjawiska, odkrytego z okazyi powyższych badań doświadczalnych, że te atomy żalaza, które zawarte są w związkach pod względem chemicznym najczynniejszych, mają też największy moment magnetyczny, a więc najwięcej magnetonów.

Jaka rola przypada magnetonom w oddziaływaniu i przemianach chemicznych? Jak wpływają na to, co nazywamy wartościowością pierwiastka. Jaki stosunek magnetonu do elektronu, który także tworzy istotną część składową atomu? Oto pytania niezmiernie ciekawe, a potrącające bezpośrednio o ten od wieków najbardziej nęcący

---

[1] Dowód, że prawie wszystkie ciała w przyrodzie, nie wyłączając gazów i płynów, mają własności magnetyczne, przeprowadził jeszcze Faraday, od którego też pochodzi nazwa dyamagnetyzm, na oznaczenie magnetyzmu, biegunowo przeciwnego od magnetyzmu żelaza. Gdy między bieguny silnego magnesu żelaza zawiesimy swobodnie poziomo sztabkę żelaza, to ustawi się ona wzdłuż linii magnetycznych, to jest wzdłuż kierunku, łączącego oba bieguny magnesu; gdy zaś ten pręcik będzie z bizmutu, to ustawi się on w kierunku pionowym do linii sił. — Stąd żelazo nazywano ciałem paramagnetycznem a bizmut diamagnetycznem.

i niepokojący problem, jakim jest budowa materyi. W rozwoju nauk nieraz pojawiają się teorye efemeryczne, jednodniowe twory zbyt gorącego badacza, które z początku nieraz trudno odróżnić od odkryć epokowych, rozpoczynających nowe działy nauki. Do której z tych dwóch kategoryi należy magneton, teraz jeszcze trudno powiedzieć. W każdym razie z bardzo ciekawych prac Weissa i innych pozostanie cały doniosły i obfity materyał doświadczalny; gdyby się zaś pokazało, że magneton ma te sama prawa do naukowego szacunku, co i elektron, to jego pojawienie się bardzo gruntownie przeorze nasze poglądy na stosunek elektryczności do magnetyzmu. W jakim kierunku nowe próby pójdą, o tem nic jeszcze powiedzieć nie można, tem bardziej, że badania dotychczasowe objęły dopiero ciała paramagnetyczne, a nie tknęły drugiej, większej może grupy ciał dyamagnetycznych.

Ks. F. Hortyński.

Druk ukończono dnia 10 marca 1913 roku.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Co każda dorastająca panna wiedzieć powinna przez Dra Mary Wood-Allen. Tłómaczenie z angielskiego. Nakładem księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego. Drukiem J. Chęcińskiego. Lwów 1912. Str. 173.

Poznaj żyda napisał Teodor Jeske-Choiński. Nakład Konstantego Treptego. Druk Synów St. Niemiry. Warszawa 1912. Str. 292.

Głuchoniemy wobec najnowszych badań nauki napisał ks. Wilhelm Wagner, katecheta zakładu głuchoniemych we Lwowie. Nakładem Gubrynowicza i Syna. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1913. Str. VIII + 189.

Uświadomienie katolickie, przegląd krytyczny literatury religijno-katolickiej polskiej. Biblioteka „Prądu" Nr. 4. Druk Józefa Zawadzkiego. Wilno 1913. Str. 166. Cena 60 kop.

Ratuj duszę swoją nieśmiertelną, napisał X. Paweł Makowski T. J. Nakład Wydawnictw Tow. Jez. Druk E. i Dra K. Koziańskich w Krakowie 1912. Str. 35.

Skeptycyzm. Wykład wygłoszony w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego w dniu 17 listopada 1909 r. przez Dra Wojciecha Marcelego Gieleckiego. Osobne odbicie z Wydawnictwa Towarzystwa filozoficznego w Krakowie Nr. 2. Nakładem Autora. Drukarnia „Czasu" w Krakowie 1910. Str. 34.

Pisma Elizy Orzeszkowej. Wydanie zbiorowe zupełne ze wstępem Aurelego Drogoszewskiego. T. I: Obrazek z lat głodowych; Za doliną róż; Echo; Niziny; Tadeusz; Cień; W zimowy wieczór. T. II: Nad Niemnem, część I. T. III: Nad Niemnem część II. T. IV. Dziurdziowie; Cham. T. V: Anastazya; Bene nati. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1912. Str. T. I. XCV + 269. T. II. 193. T. III. 284. T. IV. 337. T. V. 276.

Przez złotolistny gaj, nowe poezye przez ks. Ewarysta Nawrowskiego. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha w Poznaniu 1912. Str. 212.

Krasiński a Kajsiewicz, napisał prof. I. Bystrzycki. Odbito w drukarni E. i Dra K. Koziańskich w Krakowie 1912. Str. 136.

Rzeczpospolita krakowska w dobie powstania listopadowego, napisał Stanisław Stetkiewicz. Biblioteka krakowska Nr. 45. Nakładem Tow. Miłośników historyi i zabytków Krakowa. Druk „Czasu". Kraków 1912. Str. 160. Cena 2 kor.

Przykłady ojczyste do nauki katechizmu. T. IV. zebrał ks. Józef Makłowicz. Nakładem i drukiem Zienkowicza i Chęcińskiego. Lwów 1913. Str. 375.

O intuicyi w mistyce i sztuce, napisał J. Wł. Dawid. Odbitka z „Krytyki". Nakład Nebethnera i Sp. Drukarnia literacka. Kraków 1913. Str. 87.

Kazania na niedziele całego roku kościelnego. Napisał ks. Józef Stanisław Adamski T. J. Tom III zawierający kazania od V niedzieli po Świątkach do XIV włącznie. Nakładem Wydawnictw Tow. Jez. Druk „Czasu". Kraków 1913. Str. 316.

Świat zwierząt. Tom II: Ptaki, gady, ryby i t. d., opracował J. P. Cornish. Wydanie polskie pod redakcyą prof. Jana Sosnowskiego. Z 12-tu kolorowemi rycinami i 600 illustracyami w tekście. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1912. Str. 386 + XVII.

Dopust. Dramat napisany przez Antoniego Waśkowskiego. Nakładem autora. Druk W. Poturalskiego w Podgórzu 1912. Str. 53.

Wskazania polityczne irredentysty polskiego. Napisał Władysław Studnicki. Nakładem Autora. Drukiem „Prasy" we Lwowie 1913. Str. 218.

Jarzmo miłosne, powieść przez Teresę Lubińską. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1912. Str. 390.

Epos szlacheckie K. Brodzińskiego. Napisał Dr. A. Łucki. Kraków 1912. Nakładem autora. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Odbitka z Księgi pamiątkowej dla Józefa Tretiaka. S. 26.

Dozory kościelne rzymsko-katolickie w Królestwie Polskiem, napisał ks. Karol Dębiński. Wydanie II. (Biblioteka dzieł chrześcijańskich pod redakcyą ks. Dra Zygmunta Chełmickiego, zeszyt 145. Styczeń 1913). Nakładem Biblioteki dzieł chrześcijańskich. Druk „Drukarni Polskiej". Warszawa 1913. Str. 107.

Swiat Aniołów. Rozmyślanie o Aniołach, spisane przez św. Ałojzego Gonzagę. Tłom. S. M. Chyrów 1912. Skład w księgarni F. Westa w Brodach. Wydawnictwo Chyrowskiego Koła Tow. im. P. Skargi Nr. 7. S. 55.

W przededniu odrodzenia literatury polskiej (1706—1779).

Wacław Rzewuski, napisał prof. Alfred Brodnicki. Odbitka z „Filarety". Poznań 1912. Drukiem „Pracy". S. 12.

Pismo św. a Skarga, napisał ks. Romuald Koppens T. J. Odbitka z „Przeglądu powszechnego". Kraków 1913. Druk E. i Dra K. Koziańskich w Krakowie. S. 32.

Odnowienie kapłana w Chrystusie przez wzniecenie łask w święceniach otrzymanych. Napisał X. Dr. H. M. Ludwigs, przełożył z niemieckiego za zezwoleniem autora X. Józef Bielicki, proboszcz w Błędowie dyecezyi Chełmińskiej. Mikołów—Częstochowa 1913. Nakładem K. Miarki. S. 144.

Wybór listów Pliniusza Młodszego dla użytku gimnazyów polskich, opracował Piotr Liszkowicz. Nakładem wydawcy. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1913. Str. 95 + 4 tablice.

Pierwsze ćwiczenie do nauki poprawnego pisania. Stopień IV-ty. Powtórzenie i przestankowanie Ułożyły C. Bogucka, C. Niewiadomska, J. Warnkówna. Nakładem Gebethnera i Sp. Druk W. L. Anczyca i Sp.. Kraków 1913. Str. 63.

W palącej kwestyi. Pogadanka o średnich zakładach naukowych, przez Stefana Brykczyńskiego. Drukiem K. Miecznikowskiego. Płock 1911. Str. 24.

Czarna perła. Powieść współczesna w dwóch częściach przez z Bardzickich Annę Karvatową. Wydanie pierwsze. Nakład Gebethnera i Sp. Drukarnia Narodowa. Kraków 1913. Str. t. I. 311; t. II. 305.

Veni Creator! Nowenna i rozważania o Duchu Świętym. Napisał ks. St. Bartynowski T. J. Nakładem Wydawnictw Towarzystwa Jezusowego. Druk E. i Dra K. Koziańskich. Kraków 1913. Str. 187.

Wybór Poezyi Zdzisława Dębickiego. Nakład Gebethnera i Sp. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków. Str. 238.

Kobieta bez skazy. Powieść przez Gabryelę Zapolską. Nakład Gebethnera i Sp. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków 1913. Str. 376.

Reduta. (Niedobry. — Aniołek. — Żal. — Eskapada. — Pani Aniela. — Walc. — Pierwsza miłość. — Laska. — Pojedynek amerykański. — Stary cmentarz. — Ojciec i Syn. — Czortówka. — Rachalski. — Śmierć Panny Anzelmy. — Niańka. — Marysia. — Topielica. — Baba Hanna. — Kaprys). Napisał Henryk Piątkowski. Nakład Gebethnera i Sp. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków 1913. Str. 305.

Trudy życia. Tragedya w 10 odsłonach przez Juliana Zubczewskiego. Nakładem autora w Zakopanem. Drukiem J. Borka w Nowym Targu i Zakopanem 1912. Str. 151.

Głos czasu głosem Boga! napisał Paweł Krzyżny (Wiedza i Prawda VIII). Nakładem (?) Druk L. Bilińskiego i Wł. Maślankiewicza. Warszawa 1913. Str. 83.

Dzieje Kościoła Polskiego. Tom pierwszy: Wiek X, XI, XII. Początki metropolii polskiej. Napisał Dr. Kamil Kantak. Nakładem Spółki Wydawniczej. Czcionkami „Pracy". Gdańsk — Poznań. MCMXII. Str. 292.

Dziennik Franciszka Smolki 1848—1849 w listach do żony. Wydał, wstępem „o ojcu i jego listach", objaśnieniami opatrzył, zapiskami Franciszka Smolki z lat 1841—1848 oraz wielu dokumentami z jego papierów dopełnił Stanisław Smolka. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1913. Str. LXI—369.

Skarbierz — polska siedziba wzorowa pracy radosnej i rozwoju. Odezwa w imię wyzwolenia od biedy i upodleń przez Szczęsnego Kuczkowskiego. Tysiąc 1—10. Cena groszy 30. Kraków w drukarni Nakładowej. S. 31.

Królestwo Boże w was jest. O naprawie stosunków społecznych i prywatnych przez praktykowanie dobroci. Napisał X. Adam Maciejowski. Płock, 1913. Druk. Miecznikowskiego S 181.

Mittelstandkasse i Bauernbank napisał Józef M. Palędzki. Nakładem autora. W drukarni Związkowej we Lwowie 1910. Str. 51.

Młodzieńcze wstań. Konferencye wielkopostne, napisał X. Dr. Andrzej Macko. Nakładem autora. Z drukarni Zygmunta Jelenia w Tarnowie 1913. Str. 79.

Troski Wojciecha Górskiego, biskupa kieleckiego (1805—1818) **o seminaryum duchowne.** Opracował na podstawie źródeł archiwalny h X. Józef Rokoszny. Odbitka z „Kroniki dyecezyi Sandomierskiej". Warszawa 1912. W drukarni Niemiry. S. 63.

Mowa żałobna nad zwłokami ś. p. X. prałata W. Zalewskiego. Napisał X. prof. J. Rokoszny. Warszawa 1912. Druk Niemiry. S. 12.

Mowa żałobna nad zwłokami stuletniego starca, jenerała Wojciecha Ostrowskiego, wypowiedziana w Sandomierzu przez X. prof. J. Rokosznego. Warszawa 1912. Druk Niemiry. S. 11.

Uniwersał hetmański. Powieść historyczna Józefa Dzierzkowskiego. Tom I. Warszawa 1912. Druk Niemiry. Dodatek do „Biesiady literackiej". S. 165.

Opowiadania z dziejów monarchii Austryacko-Węgierskiej w związku z historyą powszechną, dla kl. III. szkół średnich. Wydanie II., aprobowane rozp. c. k. Rady Szkolnej. Cena 2 K. 50 h. Napisał Dr. K. Krotoski. Kraków 1913. Nakładem autora. S. 164 + XXXVIII. z 54 rycinami i 4 mapkami.

Skarga, ewangelista Polski. Kazanie wygłoszone w katedrze tarnowskiej z okazyi obchodu ku czci X. P. Skargi w trzechsetną rocznicę jego zgonu, przez X. Dra Andrzeja Mackę. Nakładem autora. Z drukarni Z. Jelenia w Tarnowie 1913. Str. 19.

Planety i warunki życia na nich z 123 rycinami. Napisał Dr. M. Ernst, profesor uniw. lwowskiego. Nakładem księgarni H. Altenberga i Sp. Druk „Słowa Polskiego". Lwów 1913. Str. 412.

Więcej radości. Napisał Dr. Paweł Keppler. Tłumaczenie z niemieckiego. Biblioteki „Prądu" Nr. 5. Nakładem „Prądu". Druk. I. Zawadzkiego w Wilnie 1913. Str. 133.

Bronisław Trentowski (1808—1869). Dodane 2 portrety i 3 autografy. Napisał Władysław Horodyski. Nakładem Akademii Umiejętności. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1913. S. XII + 532.